



Collins Jackie

Szanse 03

Lady Boss

Kolejny bestseller Jackie Collins, autorki m.in. słynnej powieści "Szanse", opowiada o dalszych losach niezwyklej Lucky Santangelo, która tym razem podstępem postanawia przejąć największe studio Hollywood - Panther.

PROLOG

Wrzesień 1985

Zabij ją — powiedział głos.

Kogo?

Lucky Santangelo, oczywiście.

Zrobi się.

Mam nadzieję.

Nie martw się, ta pani już nie żyje.

Rozdział pierwszy

Od samego początku ich przeznaczeniem było stać się niezwykłą parą upartych, szalonych, błyskotliwych ludzi.

Lennie — wysoki i chudy, z włosami koloru brudnoblond i oczami zielonymi jak ocean. Był przystojny na swój szorstki, niedbały sposób. Kobiety przepadały za nim. W wieku trzydziestu siedmiu lat dopiął w końcu swego celu — został gwiazdorem filmowym. Należał do nowego pokolenia aktorów komediowych, ze szkoły Eddiego Murphy'ego i Chevy'ego Chase'a. Był cyniczny i potrafił rozśmieszyć publiczność, a jego filmy przynosiły krociowe zyski, co w Hollywood jest najważniejsze.

Lucky Santangelo Richmond Stanisloupoulos Golden, trzykrotna mężatka, córka złej sławy Gina Santangelo. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, była egzotycznie piękna z burzą ciemnych loków, niebezpiecznym blaskiem czarnych oczu, gładką oliwkową cerą, dużymi, zmysłowymi ustami i szczupłą figurą. Jej niezależna osobowość i silna wola czyniły z Lucky kobietę bezkompromisową, która wykorzystywała każdą szansę.

We dwoje byli jak naładowani elektrycznością. Pobrali się blisko rok temu i oboje oczekiwali zbliżającej się we wrześniu rocznicy ślubu z mieszaniną szczęścia i zaskoczenia. Szczęścia, ponieważ tak bardzo byli w sobie zakochani. A

zaskoczenia, bo kto mógł przewidzieć, że to małżeństwo wytrzyma próbę czasu? Lennie był właśnie w Los Angeles, gdzie dla studia Panther kręcił *Mucho Mana* — komedię parodiującą wszystkich hollywoodzkich supermanów Eastwooda, Stallone'a i Schwarzeneggera.

Wynajmowali dom letniskowy w Malibu, ale podczas gdy Lennie pracował nad filmem, Lucky wołała zostać w Nowym Jorku, gdzie prowadziła przedsiębiorstwo spedycyjne o wartości idącej w setki milionów dolarów, które otrzymała od swego poprzedniego męża, Dimitriego Stanisloupoulosa. Chciała

także, aby jej i Dimitriego sześciopółletni syn, Bobby, mógł uczęszczać do angielskiej szkoły — w Nowym Jorku była o wiele bliżej syna.

W weekendy odwiedzała Bobby'ego w Londynie, albo Lenniego w Los Angeles.

„Moje życie to nie kończący się lot samolotem” — skarżyła się żartobliwie swoim przyjaciółom. Ale wszyscy wiedzieli, że Lucky uwielbiała aktywny tryb życia i nudziłoby ją ciągle przebywanie u boku męża w roli żony gwiazdora. W tej sytuacji natomiast ich pożycie małżeńskie było jednocześnie ulotne i pełne napiętości.

Macho Man sprawiał Lenniemu same kłopoty. Co wieczór dzwonił do Lucky z litanią skarg. Słuchała cierpliwie jego narzekania na producenta, który był półgłówkiem, na reżysera po odwyku, na partnerkę, która sypiała z producentem i wreszcie na studio Panther, którego właściciele byli bandą oszustów znikomych na punkcie forsy. Lennie miał tego dosyć.

Lucky słuchała, uśmiechając się do siebie. Zajęta była realizacją planu. Jeśliby się powiodł, miał uniezależnić jej męża od reżysera, którego nie mógł szanować, od znienawidzonego producenta i od studia prowadzonego przez ludzi, z którymi nigdy w życiu nie chciałby powtórnie współpracować — nawet wzięwszy pod uwagę fakt, że Lennie, nierozsądnie i wbrew jej radom, podpisał kontrakt na trzy filmy.

— Jestem gotów rzucić to wszystko — straszyl po raz kolejny.

— Nie rób tego — odparła, próbując go ułagodzić.

— Nie mogę już wytrzymać z tą bandą idiotów — jęczał Lennie.

— Ci idioci mogą cię wrobić w takie odszkodowanie, że nie wypłacisz się do końca życia. A do tego uniemożliwią ci pracę gdzie indziej — dodała niewzruszonym głosem rozsądku.

— Wiesz, gdzie ja ich mam?

— Nie rób nic, dopóki ja tam nie przyjadę — ostrzegła go Lucky. — Obiecuj mi.

— Kiedy, na Boga? Zaczynam się tu czuć jak dziewica. Ciche kasznięcie.

— Hmm... Nie sądziłam, że masz taką dobrą pamięć!

— Pospiesz się, Lucky, naprawdę mi Ciebie brakuje.

— Może przyjadę szybciej niż myślisz — obiecała tajemniczo.

— Łatwo mnie poznasz — odparł z przekąsem. — Rozglądaj się tylko za facetem, któremu bez przerwy stoi.

— Bardzo dowcipne — Lucky odłożyła słuchawkę, jeszcze się uśmiechając.

Lennie Golden będzie zaskoczony i wniebowzięty, kiedy dowie się, jaka czeka go niespodzianka. A wtedy Lucky będzie już przy nim, aby mogła cieszyć się na widok jego miny.

Odwiesiwszy słuchawkę Lennie znów stał się niespokojny. Jego żona była najbardziej podniecającą kobietą na świecie, ale też potrafiła go wkurzyć. Dlaczego nie mogła powiedzieć choćby: „Lennie, przyjadę zaraz, jeśli mnie

potrzebujesz"? Dlaczego nie potrafiła zapomnieć o wszystkim i być »VIk.> razem z nim?

Lucky Santangelo. Niewiarygodnie piękna. Silna i zdecydowana. Niemożliwie bogata. I zbyt niezależna.

Lucky Santangelo. Jego żona. Czasami zdawało mu się, że to sen ich małżeństwo, jego kariera, wszystko to razem. Sześć lat temu był zwykłym komediantem, szukającym pierwszej lepszej okazji pokazania się, zarobienia paru marnych dolarów, gotowym na wszystko.

Lennie Golden. Syn starego, nieokrzesanego Jacka Goldena, prostego robotnika i niepowstrzymanej „Trunkowej Alice”, jak zwano jego matkę w jej najlepszych latach, gdy była striptizerką w Las Vegas. Lennie opuścił Nowy Jork, kiedy skończył siedemnaście lat i wszystko co miał, zdobył własną pracą. Ojciec od dawna nie żył, ale Alice ciągle kręciła się gdzieś w pobliżu. Energiczna, sześćdziesięciopięcioletnia Alice Golden znalazła się w dziurze czasowej. Nie przyjmowała do wiadomości starzenia się, a do Lenniego przyznawała się jako do swego syna tylko dlatego, że był teraz sławny. „Bardzo młodo wyszłam za mąż — skamlała w ucho każdemu, kto miał ochotę jej słuchać, trzepocząc sztucznymi rzęsami i lubieżnie wydymając uszminkowane wargi. — Urodziłam Lenniego, kiedy miałam dwanaście lat!” Lennie kupił dla niej domek w Sherman Oaks. Nie była zachwycona mieszkaniem z dala od wielkiego świata, ale co mogła poradzić? Alice Golden żyła jednym marzeniem — że pewnego dnia sama stanie się wielką gwiazdą, a wtedy... lepiej niech wszyscy mają się na baczności.

— Potrzebują pana na planie, panie Golden — oznajmiła Cristi, druga asystentka, pojawiając się w drzwiach jego przyczepy. Cristi była naturalną kalifornijską blondynką o szczerym spojrzeniu i wyjątkowo długich nogach w połatanych drelichowych spodniach. Ze naturalną, Lennie wiedział od Joeya Firello, przyjaciela i towarzysza w *Macho Man*, który przespał się kiedyś z Cristi, a w tych sprawach Joey miał niemożliwie długi język — nie mówiąc już o jego niemożliwie długiej kusce, którą ochrzcił pieszczotliwie Joey Senior. Lennie natomiast był wiernym mężem. Odkąd Lucky stała się częścią jego życia nie mógł nawet spojrzeć na inną kobietę i nie bawiło go wysłuchiwanie relacji Joeya o upodobaniach erotycznych jego kolejnych partnerek. „Jesteś po prostu zazdrosny — Joey śmiał się z protestów Lenniego. — Masz ochotę, a nie masz z kim, co?” Lennie tylko pokiwał głową z wyrazem twarzy, który mówił: kiedy ty wreszcie dorośniesz? Swego czasu i on był takim napaleńcem. Jego dewizą było- Jeśli coś się rusza i ma blond włosy — rznij to”. Przez wiele lat wykorzystywał każdą okazję, unikając jednocześnie wszelkich zobowiązań. Kilka kobiet zapadło mu w pamięć na zawsze. Jedną z nich była Eden Antonio Ach, Eden” — pomyślał ze smutkiem. Była inna niż wszystkie kobiety, wiedziała, czego chce. Biedna Eden. Na przekór swoim planom.

dostała się w łapy pewnego notorycznego gangstera, który nakręcił z nią serię filmów porno. Nie o takiej przyszłości marzyła.

Potem była Olimpia. Ożenił się z tą pulchną, zepsutą dziedziczką superbogatego ojca, ponieważ było mu jej szkoda — i został, bo nic nie zmieniło się na lepsze. Niestety, nawet on nie potrafił uchronić Olimpії od niej samej. W końcu pewnego razu ona i jakiś naćpany gwiazdor rockowy, Flash, przedawkowali w pokoju podłego nowojorskiego hotelu i Lennie znów był wolny.

A teraz miał Lucky, i wcale nie było mu lepiej. Chwycił spod lustra paczkę papierosów i powiedział:

— Dobra, Cristi, już lecę.

Dziewczyna kiwnęła głową ze szczerym wyrazem wdzięczności. Nie był to łatwy film i choćby najmniejsza oznaka współpracy była bardzo pomocna.

Na planie, Joey Firello i starej daty reżyser Grudge Freeport kłócili się o kolejną scenę. Grudge ubierał się niechlujnie i bez przerwy żuł tytoń, plując nim gdzie popadło. I — jak zwykle — był prawie pijany. Marisa Birch, partnerka Lenniego i jednocześnie dziewczyna producenta, stała oparta

o ogrodzenie i przyglądała się swoim paznokciom. Zwracała na siebie uwagę — wysoka na metr osiemdziesiąt, ze srebrnymi włosami i silikonowym biustem przerażających rozmiarów, prezentem od byłego męża Marisy, któremu nie wystarczało trzydzieści sześć cali. Była potworną aktorką

1 zdaniem Lenniego robiła, co mogła, żeby film poniósł spektakularną klępkę.

„*Macho Man* — pomyślał Lennie z gorczyką — komedia skazana na klępkę, zanim jeszcze wejdzie na ekrany — nawet pomimo jego roli”. Poprzednie filmy Lenniego były przebojami — a teraz mógł tylko czekać bezsilnie na klęskę, która musiała nadejść. Kłopot wziął się stąd, że Lenniego oczarowała astronomiczna gaża zaproponowana mu przez Mickeya Stolliego, szefa Panther Studios — a on, jak najgłupszy z chciwców, rzucił się na tę okazję i podpisał kontrakt na trzy filmy.

— Nie rób tego — ostrzegła go Lucky. — Dopiero co adwokaci wypłacali cię z jednego kontraktu, a ciebie już korci, żeby wpaść w następne sidła. Kiedy ty się wreszcie czegoś nauczysz? Powtarzam ci — nie zamykaj sobie drogi, to bardziej ekscytujący styl życia.

Jasne, to był styl, który jego żona uwielbiała. Ale on nie potrafił oprzeć się pokusie megadolarów — megadolary mogły zbliżyć go o krok do niezrównanej fortuny Lucky. Wiedział, że powinien być jej słuchać — Lucky miała typową dla Santangelo intuicję, która podpowiadała, kiedy i jaki ruch najlepiej zrobić. Gino, jej ojciec, doszedł do bogactwa zaczynając od zera. Jej stary miał styl — i Lennie go za to podziwiał. Ale co tam — kupa forsy to kupa forsy, a on nie zamierzał być ubogim krewnym.

Teraz na szczęście byli z powrotem w studiu. Tydzień wcześniej kręcili zdjęcia w plenerze, w skalistych górach Santa Monica, co było nie do zniesienia. A wkrótce mieli przenieść się na pięć tygodni do Acapulco.

Z westchnieniem wkroczył na pole walki. Marisa wydeła lubieżne, gmin-wargi i posłała mu całusa. Miała na niego ochotę od pierwszego dnia zdjęć, lecz Lenniemu udało się zachować całkowitą obojętność. Nawet gdyby nic było Lucky — silikon nigdy go nie podniecał.

— Cześć, Lennie, kotku — zawołała śpiewnie, a jej twarde sutki celowały w jego stronę.

Cholera! Następny przemiły dzień na planie.

Lucky wyszła szybkim krokiem z wysokiego budynku ze szkła i chromu na Park Avenue, który wciąż nosił nazwisko Stanisloupoulos. Nie miała zamiaru go zmieniać.

„Pewnego dnia wszystko to będzie należeć do jej syna Bobby'ego i wnuczki Dimitriego, Brigitte — więc niech już to nazwisko zostanie” — myślała. .

Lucky bardzo lubiła Brigitte. Ta siedemnastolatka przypominała swoją matkę, Olimpię, w tym właśnie wieku. Olimpia i Lucky przyjaźniły się kiedyś, ale to było tak dawno temu i tyle innych rzeczy się wydarzyło, odkąd jako dwie zwariowane nastolatki uczęszczały do szwajcarskiej szkoły z internatem, i obie zostały z niej wydalone.

Kiedy Olimpia umarła tak tragicznie i tak młodo, Lucky była bardzo przygnębiona, chociaż śmierć Olimpji ostatecznie uwolniła Lenniego — wówczas jej męża — od brzemienia niezawinionej odpowiedzialności. Chwilami czuła się winna, że między nimi układało się tak pomyślnie — ale cóż, myślała, takie jest życie, a i jej własne nie zawsze było usłane różami. Kiedy miała pięć lat, znalazła ciało matki pływające w basenie ich rodzinnej willi. Dziesięć lat później jej pierwsza miłość, Marco, został zastrzelony na parkingu hotelu Magiriano. Wkrótce potem zamordowano Dana, jej brata. Trzy straszliwe zabójstwa.

Lucky zemściła się, w końcu nosiła nazwisko Santangelo. „Nie zaczynaj z Santangelo” — to była ich rodzinna dewiza. Wychodząc z budynku zauważyła Boogiego, opartego o drzwi ciemnozielonego mercedesa. Widząc, że szefowa kieruje się zdecydowanym krokiem w stronę wozu, Boogie stanął na równe nogi i z gorliwością otworzył! Boogie był kierowcą, gorylem i przyjacielem Lucky. Znali się od wielu lat i jego lojalność nie budziła wątpliwości. Był długowłosy, wysoki, szczupły i miał wyjątkową zdolność zjawiania się zawsze, gdy go potrzebowała. Boogie znał ją lepiej niż ktokolwiek inny.

— Lotnisko - powiedziała, sadowiąc się na przednim siedzeniu.

— Spieszymy się?

Oczy Lucky zabłysły z rozbawienia.

— Zawsze się spieszymy - odparła. — Nie sądzisz, że na tym właśnie polega życie?

Rozdział drugi

Wybierając się na swą poranną przechadzkę dla zdrowia, Gino obierał zawsze tę samą drogę. Z apartamentu prosto 64 ulicą, przez Central Park do Lexington, i dalej kilka przecznic. Ta codzienna rutyna sprawiała mu przyjemność. O siódmej rano ulice Nowego Jorku nie były zatłoczone, a pogoda o tak wczesnej porze zazwyczaj była znośna. Po drodze zawsze zatrzymywał się na lody z owocami w swej ulubionej kawiarni, po czym kupował gazetę u ulicznego sprzedawcy. Dla Gina były to najprzyjemniejsze chwile całego dnia — za wyjątkiem okazji, kiedy z Los Angeles przyjeżdżała do niego Paige Wheeler, co zdarzało się rzadziej, niż on by sobie życzył. Kiedy odwiedzała go Paige, Gino rezygnował ze swej porannej przechadzki i spędzał leniwe godziny barszkując z nią na wygodnym dwuosobowym łóżku. Nieźle jak na osiemdziesięciolatka. Wystarczy powiedzieć, że Paige przywracała mu młodość.

Kochał tę kobietę jak nikogo w świecie, nawet pomimo tego, że uparcie nie zgadzała się odejść od swego od dwudziestu lat męża, producenta. Od dawna Gino namawiał ją do rozwodu, a Paige z niewiadomych powodów odmawiała.

— Ryder nie dałby sobie rady beze mnie — mówiła po prostu, jakby to wyjaśniało wszystko.

— Bzdura — denerwował się Gino. — A o mnie nie myślisz?

— Ty jesteś silny — odpowiadała Paige. — Ty możesz beze mnie przeżyć. Rydera by to załamało.

„Załamałoby go, akurat — myślał Gino idąc ulicą. Ryder Wheeler był jednym z najlepiej prosperujących producentów w Hollywood. Gdyby Paige go opuściła, zakreśliłby się wokół pierwszej lepszej laski i byłby spokojny. Dlaczego do cholery Paige wyobrażała sobie, że jest mu taka niezbędna? Owszem, była niezbędna Ginowi. Dla Rydera stanowiła jedynie osobę, z którą dwadzieścia lat temu wziął ślub. Facet pewnie by jeszcze dopłacił za odzyskanie wolności”.

Gino poważnie zastanawiał się nad skorzystaniem z czyjegoś pośrednictwa.

Zaproponować Ryderowi milion zielonych i — do widzenia, palancie. Niestety, w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy Ryder Wheeler wyprodukował dwa kinowe magahity i w danej chwili nie potrzebował od nikogo pieniędzy: zgarniał własne łopata.

— Do diabła z tym sukinsynem! — mruzczał do siebie Gino, dobrze rozumiejąc, że nie młodnieje przecież, a pragnie, żeby Paige zawsze była przy nim.

Wiał orzeźwiający wiatr, kiedy Gino zatrzymał się przy znajomym stoisku z gazetami na małą pogawędkę z Mickiem, zgorzkniałym Walijczykiem o jednym szklanym oku i szczęką pełną sztucznych żółtych zębów. Mick panował nad swoim małym królestwem zawsze posepny i w podłym nastroju.

— Co słysząc w okolicy? — spytał od niechcienia Gino, podnosząc wysoki kołnierz płaszcza.

— Dziwki i taksówkarze. Powinno się powystrzelać całą tę hołotę odparł Mick z błyskiem wrogości w jedynym dobrym oku. — Parę dni temu prawie mnie załatwili. Ale byłem sprytniejszy od nich. Odpłaciłem im z nawiązką. . . .

Gino wołał nie pytać więcej. Mick potrafił opowiadać długie i przeważnie zmyślone historie. Rzucając kilka drobnych monet wziął „New York Post” i ruszył w swoją drogę.

Nagłówki kipiały od sensacji. Szef mafii, Vincenzo Stobbino, zastrzelony przed własnym domem. Na zdjęciu Vincenzo leżał twarzą do ziemi w kałuży krwi.

„Prosił się o to, frajer — pomyślał Gino bez zaskoczenia. Ci młodzi Turcy, narwańcy. Zamiast poszukać rozsądnego wyjścia z sytuacji woleli się powystrzelać, jakby to rozwiązywało wszystko. Dzisiaj Vincenzo, jutro ktos inny. Przemoc rządzi niepodzielnie. Gino z ulgą pomyślał, że ma to już za sobą. Wiele lat temu byłby w samym środku tego wszystkiego, ciesząc się każdą minutą takiego życia. Teraz już nie. Teraz był starcem. B o g a t y m starcem. W a ż n y m starcem. Mógł sobie pozwolić na to, żeby nic nie mówić — tylko obserwować”.

Nie wyglądał na swoje siedemdziesiąt dziewięć lat. To było niezwykle — z łatwością mógł uchodzić za mężczyznę około sześćdziesiątki — z energicznym krokiem, gęstą czupryną siwych włosów i świdrującym spojrzeniem czarnych oczu. Jego lekarze nie mogli się nadziwić, że Gino wciąż ma tyle energii i entuzjazmu dla życia, nie mówiąc już o wyglądzie.

— Co to za problem z AIDS, bo ciągle o tym słyszę? — spytał ostatnio osobistego lekarza.

— Tym nie musisz się martwić, Gino — odpowiedział doktor z rozbawieniem.

— Ach tak? Bo co?

— No cóż... — lekarz przełknął ślinę. — Nie jesteś już chyba... aktywny... prawda?

— Aktywny? — Gino wybuchł gromkim śmiechem. — Nabijasz się ze mnie, doktoru? W dniu, w którym mi pierwszy raz nie stanie, położę się i umrę na miejscu. *Capisce?*

— Jak ty to robisz? — spytał lekarz z zazdrością w głosie. Sam miał pięćdziesiąt sześć lat i był zmęczony życiem. Szczerze podziwiał swego tryskającego życiem pacjenta.

— Nie dawaj się robić w balona — roześmiał się Gino ukazując zdrowe, białe zęby.

— O, przepraszam, panie doktorze, powiem inaczej. Nie pozwól, żeby rządzili tobą głupcy. Przeczytałem to gdzieś. Lepiej brzmi, co?

Gino Santangelo rzeczywiście prowadził fascynujące i pełne przygód życie. Lekarz zasepił się, myśląc o własnym — pięć lat w szkole medycznej i następnie dwadzieścia własnej praktyki. Jedyna przygoda w jego życiu, to kiedy

pewna pacjentka poczuła nagły przypływ żądz i przeżyli razem sześciotygodniowy, potajemny romans. Niewielki powód do dumy.

— Masz idealne ciśnienie krwi — zapewnił Gina. — Test na cholesterol także wypadł znakomicie. A co do twojego życia erotycznego. Może powinieneś wydać trochę pieniędzy na prezerwatywy.

— Prezerwatywy? — Gino znów się roześmiał. — Nazywaliśmy je kiedyś „gumowe kalosze”, bo to tak, jakby pan chciał pływać w butach.

— Zmieniły się bardzo od tamtej pory. Supercienki latex, gładki w dotyku. Można je nawet dostać w różnych kolorach, gdybyś chciał.

— Nie żartujesz? — Gino śmiał się na samą myśl.

Wyobraził sobie minę Paige, kiedy założy czarny kapturek na swojego kutasa. W końcu, to nie taki zły pomysł — Paige lubiła zmiany. Może kiedyś tego spróbuje. Może...

Na lotnisku jak zwykle panował nieprzebrany tłum. Młody, energiczny mężczyzna w trzyczęściowym garniturze czekał na Lucky i osobiście poprowadził ją od samochodu do prywatnego klubu linii lotniczych TWA.

— Lot jest opóźniony piętnaście minut, pani Santangelo — powiedział przepraszającym tonem, jakby to on był winien. Czy przynieść pani coś do picia? Odruchowo spojrzała na zegarek, właśnie minęło południe.

— Napiję się whisky J & B, z lodem.

— Już niosę, pani Santangelo.

Oparła się wygodnie w fotelu i przymknęła oczy. Kolejna błyskawiczna podróż do Los Angeles, o której Lennie nie mógł nic wiedzieć, Tylko, że tym razem miała nadzieję ubić w końcu interes, dzięki któremu jej mąż znów będzie wolnym człowiekiem.

Ten wyjazd na zachód miał zdecydować o wszystkim.

Rozdział trzeci

Abedon Panercrimski — albo, jak znał go świat, który wciąż o nim pamiętał, Abe Panther — miał i wyglądał na swoje osiemdziesiąt osiem lat, ale w jego zachowaniu nie dawało się zauważyć oznak starości. Abe nadal był facetem z jajami, chociaż wielu — włącznie z jego dwiema byłymi żonami i niezliczonymi kochankami — próbowało go ich pozbawić.

Abe codziennie zrywał się z łóżka o szóstej. Brał prysznic, zakładał nowy komplet śnieżnobiałych zębów, czesał resztki siwych włosów, przepływał swój basen dziesięć razy, po czym raczył się sutym śniadaniem, składającym się ze steku, jajek i trzech filiżanek czarnej, gorzkiej kawy po turecku. W końcu zapalał ogromne hawańskie cygaro i zabierał się do lektury codziennej prasy.

Abe uwielbiał czytać — cokolwiek. Pożerał wprost „Wall Street Journal” i angielski „Financial Times”. Z jednakowym entuzjazmem przeglądał kolumny plotek, rozkoszując się każdą sensacyjką. Dowiadywanie się różnych rzeczy, choćby bezużytecznych, sprawiało mu przyjemność. Jego umysł wchłaniał wszystko — od spraw wagi światowej do mało ważnej dziennikarskiej gadaniny.

Zawsze po takim maratonie czytelnictwem nadchodził czas dla Ingi Irving, towarzyski Abe'a od wielu lat, która odwiedzała go na tarasie jego domu na Miller Drive.

Inga była Szwedką o mocnej budowie ciała i wyprostowanej postawie. Miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Nie malowała się i pozwalała, aby jej długie do ramion włosy pokrywały się naturalną siwizną. Nosiła zawsze nieco za szerokie spodnie i luźny sweter. Pomimo niedbałości o wygląd, Inga nadal była interesującą kobietą i zdradzała ślady nieprzeciętnej urody.

Przed laty, kiedy Abe był t y m Abe'em Pantherem, największym z wielkich potentatów Hollywood, większym nawet od panów Goldwyna, Mayera, Zanucka i Cohna — próbował wykreować Inge na filmową gwiazdę — i nie udało mu się. Inga Irving nie nadawała się do kamery i nie podobała się publiczności, aż w końcu, po kilku nieudanych a kosztownych próbach, Abe musiał zrezygnować. Producenci, reżyserzy i amanci w okolicy odetchnęli z ulgą. Pomimo bohaterskich wysiłków Abe'a, przeznaczeniem Ingi nie było zostać nową Gretą Garbo.

Kiedy miała na to ochotę, Inga potrafiła przeobrazić się w prawdziwą dziwkę, kapryśną, ordynarną i obrażającą wszystkich wokół. Te cechy mogłyby nawet być akceptowane, gdyby towarzyszył im prawdziwy talent, czy choćby potencjał dla rozwoju. Niestety, było inaczej. A na swej krótkiej i nieudanej drodze do kariery, Inga zdążyła zaskarbić sobie wrogość wielu osób.

Uważała, że Abe nie dość uparcie starał się o jej karierę, i nigdy mu tego nie wybaczyła. Mimo to została z nim, bo rola przyjaciółki niegdyś wielkiego Abe'a Panthera odpowiadała jej bardziej niż jakakolwiek inna.

Po rozwodzie z ostatnią żoną, Abe nie ożenił się z Ingą — a ona była zbyt dumna, by go szantażować lub prosić. Poza tym i tak była jego żoną „nieoficjalnie”, i po śmierci Abe'a zamierzała upomnieć się o wszystko, co, jak była przekonana, słusznie jej się należało. Codziennie około południa Abe zjadał lekki posiłek. Szczególnie upodobał sobie ostrygi, kiedy był na nie sezon, ze szklaneczką białego wytrawnego wina. Po lunchu robił sobie małą drzemkę, a po godzinie budził się rześki i oglądał dwa ulubione seriale telewizyjne.

Abe Panther nigdy nie wychodził z domu — nigdy, odkąd miał wylew. Sześć tygodni w szpitalu wystarczyło, żeby pozbawić go kontroli nad studiem.

Teoretycznie nigdy jej nie utracił — wciąż był prezesem i właścicielem Panther Studios — ale nie miał już ochoty tam wracać. Produkcja filmów nie wyglądała już tak jak kiedyś. Abe pracował w filmie, odkąd skończył

osiemnaście lat, i w wieku siedemdziesięciu dziewięciu zdecydował, że najwyższy czas z tym skończyć. Ta przerwa trwała już dziesięć lat i nikt nie spodziewał się jego powrotu.

Oczekiwano natomiast — i Abe doskonale o tym wiedział — że umrze w końcu pozostawiając pokaźny spadek. Spośród krewnych żyły tylko jego dwie wnuczki — Abigaile i Primrose — oraz ich dzieci.

Abigaile i Primrose były tak do siebie niepodobne, jak tylko dwie siostry mogą być. Nie znosiły się nawzajem. Siostrzana miłość i przywiązanie były im zupełnie obce. Abigaile była agresywna, uparta i chciwa. Uwielbiała rozrywkę i wielkie przyjęcia. Celem jej życia było wydawanie pieniędzy i spotkania towarzyskie. Jednym słowem — prawdziwa hollywoodzka księżniczka.

Primrose — młodsza i ładniejsza od siostry — wybrała inny styl życia w Anglii, gdzie wychowywała dwójkę dzieci w najnormalniejszej — jak mówiła — atmosferze.

Byli też mężowie wnuczek. Mickey Stolli, mąż Abigaile, prowadził studio, podczas gdy mąż Primrose, Ben Harrison, zajmował się operacjami zagranicznymi studia Panther. Mickey i Ben także się nie cierpieli. Dla dobra interesów zgodzili się na niełatwy rozejm. Pomagało jedynie to, że mieszkali po dwóch stronach Atlantyku. Abe mówił o nich „łotry, nic zięciowie”. Obu miał za oszustów, którzy zmówili się, żeby go wykorzystać i okraść przy pierwszej nadarzającej się okazji. Lubił rozmawiać o nich z Ingą. Nigdy się nawet nie uśmiechnęła, choć była pilną słuchaczką i nie traciła ani jednego szczegółu z jego wyobrażeń o nikczemnych zakusach zięciów.

W całym studiu Abe miał jednego lojalnego pracownika w osobie Hermana Stone'a — skromnego mężczyzny z bezużytecznym tytułem osobistego asystenta pana Panthera. Herman przyjeżdżał raz w miesiącu i zdawał Abe'owi relację z działalności studia. Wiedziano o tym, że jest szpiegiem Abe'a i nie dopuszczano go do naprawdę ważnych informacji. Herman miał swoje wygodne biuro i podstarzałą sekretarkę, Sheilę. Oboje byli relikdami złotych lat Abe'a Panthera — całkiem nieszkodliwi i całkiem nieusuwalni, do czasu jego śmierci.

„To już niedługo” — pocieszał się Mickey Stolli. Wtedy on obejmie niepodzielne panowanie nad studiem i wreszcie będzie mógł pomyśleć, jak pozbyć się szwagra, Bena Harrisona. „To już niedługo” — pocieszał się Ben Harrison. A wtedy on przeniesie się z powrotem do Hollywood i wyrwie studio z chciwych rąk szwagra. Abigaile Stolli i Primrose Harrison wiedziały, że po śmierci Abe'a będą dwiema najpotężniejszymi kobietami w całym Hollywood. Abe był wyłącznym właścicielem całego studia Panther — stu dwudziestu akrów najlepszej ziemi — i one to po nim dostaną.

Mickey Stolli miał zamiar władać swym odziedziczonym królestwem na wzór dawnych potentatów rodem ze złotych lat Hollywood.

Ben Harison miał zamiar wyprzedać działki cennych terenów, tak jak to zrobiło 20th Century-Fox, i zostać miliarderem.

Łotry. Nie mogli się doczekać jego śmierci, i stary Abe Panther wiedział o tym. Dlatego miał inne plany — i to takie, że gdyby dowiedzieli się o nich Abigaile, Mickey, Primrose i Ben, wszyscy czworo popełniliby hańbę w samym środku Chasens w niedzielny wieczór.

Abe miał zamiar sprzedać studio.

A kupcem, którego sobie upatrzył, była Lucky Santangelo.

Rozdział czwarty

W Nowym Jorku Steven Berkeley pocałował Mary Lou, pogłaskał ją pieszczotliwie po brzuchu i skierował się do drzwi, pytając jeszcze tylko:

— Wyjdziemy gdzieś wieczorem, czy zostaniemy w domu?

— Wyjdziemy — padła odpowiedź. Steven jęknął.

— Dlaczego? — spytał tonem skargi.

— Dlatego, że jak dziecko zacznie mi się wiercić w brzuchu, to nie będę już nigdzie wychodzić.

Roześmiali się oboje. Mary Lou była śliczną Murzynką, która za kilka miesięcy miała obchodzić dwudzieste trzecie urodziny, a za dwa i pół miesiąca urodzić pierwsze dziecko swoje i Stevena. Pobrali się prawie trzy lata temu.

Steven Berkeley, miał cerę koloru gęstej mlecznej czekolady, kręcone czarne włosy i niezwykle, zielone oczy. Mając sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i czterdzieści siedem lat, utrzymywał świetną kondycję trzy razy w tygodniu odwiedzając salę gimnastyczną, a co drugi dzień pływając na krytym basenie.

Mary Lou była gwiazdą popularnej komedii telewizyjnej, a Steven zarabiał na życie jako wzięty adwokat. Poznali się, gdy jej menażerowie poprosili Stevena o reprezentowanie Mary Lou w sądzie, kiedy pozwała pewien niewybredny magazyn pornograficzny za publikację jej aktów, wykonanych, gdy miała szesnaście lat.

Steven zajął się tą sprawą i wygrał ją, zyskując dla Mary Lou odszkodowanie w wysokości szesnastu milionów dolarów zmniejszone później przez sąd apelacyjny — a w końcu ożenił się ze swoją klientką. Pomimo dwudziestu czterech lat różnicy wieku, żadne z nich nie było nigdy tak szczęśliwe jak teraz.

— A jakież to rewelacje zaplanowałaś dla nas na wieczór? spytał sarkastycznie.

Mary Lou uśmiechnęła się. Jakikolwiek były jej plany, wiedziała, że Steven i tak będzie wolał zostać w domu. Uwielbiał gotować, oglądać telewizję i kochać się — niekoniecznie zresztą w tej kolejności

— Mieliśmy spotkać się z Lucky - przypomniała. Ale jej sekretarka zadzwoniła, że Lucky wyjechała z miasta. Więc zaprosiłam moją mamę

— Twoją mamę?!

Mary Lou wydała ciężkie westchnienie.

— Przecież kooochasz moją mamę. I przestań marudzić.

— Jasne, że kooocham twoją mamę — naśladował ją Steven — ale moją żonę kocham jeszcze bardziej. Dlaczego nie możemy spędzić miłego wieczoru w domu, tylko we dwoje?

Mary Lou pokazała mu język.

— Tobie tylko jedno w głowie. - A co w tym złego?

— Jdź już sobie. Spóźnisz się do pracy. Jaki ty jesteś nieznośny'

— Kto, ja?

— Do w i d z e n i a , Steven. Steven nie dawał za wygraną.

— Czy to przestępstwo, że chcę być z moją żoną sam na sam?

— Wychodź! — ton Mary Lou był stanowczy.

— Jeden pocałunek i już mnie nie ma - obiecał Steven.

— T y l k o jeden - uprzedziła.

Jeden pocałunek zamienił się w dwa, potem trzy, i zanim zdali sobie z tego sprawę, byli już w sypialni ściągając z siebie ubranie i padając bez tchu na łóżko.

Kochanie się sprowadzało na nich słodki szal wzajemnej namiętności. Steven starał się być delikatny, w obawie że może skrzywdzić dziecko. Mary Lou nie myślała o tym, przepelniona miłością, przyciągała go do siebie, zaplatała nogi na jego plecach i kołysała się razem z nim aż do orgazmu, który nadszedł serią krótkich pojękiwań. Kiedy skończyli, Steven musiał znów wziąć prysznic i w rezultacie spóźnił się na spotkanie.

— To nie moja wina — oświadczyła Mary Lou, kiedy Steven w pośpiechu opuszcza! dom.

— Nie twoja wina?! — wrzasnął, biegnąc do samochodu. — Zrozum to! Twoja niepohamowana żądza czyni z ciebie maszynę seksu! I jak ja mogę wreszcie zabrać się do jakiejś pracy?

— Ciszej! — syknęła Mary Lou, stojąc na progu domu, okryta jedwabnym kimonem. Na jej twarzy jaśniało szczęście. — Ludzie cię usłyszą!

W biurze czekał na niego niecierpliwie Jerry Myerson, najbliższy przyjaciel i partner w firmie prawniczej Myerson, Laker, Brandon i Berkeley.

Jesteś spóźniony — zganił go Jerry, stukając palcem w zegarek, jakby się spodziewał, że Steven zacznie się z nim spierać.

Wiem — odpowiedział Steven po prostu. — Musiałem się pokochać z żoną.

— Bardzo śmieszne — zadrwił Jerry.

Był czterdziestoletnim starym kawalerem i kobieciarzem, i był święcie przekonany, że od chwili ślubu żadna kobieta nie mogła być dłużej atrakcyjna dla mężczyzny.

— Chodźmy już — niecierpliwił się.

Jerry i Steven rzadko odwiedzali klientów w domu, czasami jednak robili wyjątki. Tym razem szli na spotkanie z pewną niezwykle bogatą kobietą nazwiskiem Deena Swanson. Deena była żoną miliardera Martina Z. Swan-sona, prezesa i właściciela Swanson Industries — potężnego przedsiębiorstwa, które posiadało większość nowojorskich nieruchomości, hoteli, fabryk kosmetyków i wydawnictw.

Martin Z. Swanson mógłby z powodzeniem wygrać konkurs na mężczyznę Nowego Jorku — charyzmatyczny czterdziestopięciolatek, któremu jego nieograniczona władza nie wystarczała jeszcze do pełnej satysfakcji. Deenę także nie satysfakcjonowała pozycja żony Martina. Wkrótce po ślubie wynajęła agenta prasowego, który miał zadbać o to, by znano ją szeroko jako kogoś więcej niż tylko żonę przemysłowego potentata. Z pozycji towarzyskiego motyla i eleganckiej snobki, awansowała do sławy, używając swego nazwiska wszystkiemu od kosmetyków do własnego fasonu dżinsów. Reprezentowała Swanson Style, jedno z wielu przedsiębiorstw męża. Kosztem pięciu milionów dolarów rocznie Deena zapewniała nazwisku Swanson miejsce na pierwszych stronach gazet.

Swansonowie byli małżeństwem od dziesięciu lat i pasowali do siebie. Zachłanność Deeny na sławę, pieniądze i władzę dorównywała z powodzeniem apetytom jej męża. Kiedy Deena Swanson zadzwoniła do biura i poprosiła o wizytę, Jerry nie posiadał się z radości. Ich firma reprezentowała ją od kilku miesięcy w paru drobnych sprawach, ale teraz Jerry przypuszczał, że osobiste spotkanie oznaczało coś znacznie poważniejszego: może będą mogli uszczknąć coś z konta jej męża. Ten pomysł bardzo mu się podobał.

— Po co mam z tobą jechać? — narzekał Steven, kiedy szofer prowadził wóz Jerry'ego w kierunku Park Avenue, gdzie znajdowała się jedna z trzech stałych rezydencji Deeny Swanson.

- Bo nie wiemy, czego od nas chce — tłumaczył cierpliwie Jerry. — Może to coś prostego, a może bardzo trudnego. Co dwie głowy to niejedna. A poza tym, ona podobno lubi czarną kawę.

Steven zmrużył oczy.

-- Co powiedziałaś? - spytał ostro.

— To co usłyszałeś — Jerry był nieporuszony. Kiwając głową z politowaniem, Steven odparował:

— Ty naprawdę jesteś głupi, Jerry. Wydaje mi się czasami, że zostawiłeś go na studiach. - Co zostawiłem? — spytał niewinnie Jerry.

— Twój pojebany mózg.

— Dziękuję.

Samochód zatrzymał się na światłach, a Jerry przyglądał się dwóm dziewczynom przechodzącym właśnie przez ulicę. Jedna z nich, seksowna rudowłosa piękność, przyciągnęła jego uwagę.

— Myślisz, że ta mała bierze do...

— Nawet o tym nie myśl — przerwał mu Steven poważnie. — Wiesz, Jerry, powinieneś się ożenić i przestać zachowywać się jak stary, obleśny adwokacina.

— Ożenić się? — głos Jerry'ego był pełen nieskrywanego przerażenia. — Nie sądzisz chyba, że mógłbym być aż tak głupi?

Steven często zastanawiał się, w jaki sposób ich przyjaźń przetrwała czasy studiów. Tak bardzo się różnili, a jednak nie potrafił sobie wyobrazić bardziej lojalnego i oddanego przyjaciela niż Jerry Myerson. Jerry towarzyszył Stevenowi w wielu przejściach — włącznie z katastrofalnym małżeństwem z szaloną portorykańską tancerką imieniem Zizi, pracą w charakterze sędziego rejonowego, walczącego o prawa czarnej ludności, a także w jego wieloletnich usiłowaniach dowiedzenia się, kim naprawdę był jego ojciec. Kiedy Steven w końcu przekonał się, że jest synem złej sławy Gina Santangelo, Jerry mu gratulował.

— Stary! Teraz masz jedno jajo czarne, drugie białe! — żartował. Należysz do obu światów. Całkiem nieźle, Steven, jesteś synem gangstera.

To odkrycie było szokiem, ale życie toczyło się dalej. Przy pomocy Jerry'ego Steven rzucił się w wir pracy, postanawiając specjalizować się w prawie kryminalnym. Odkrył swoje powołanie i uwielbiał tę pracę. Wkrótce stał się znany jako jeden z najlepszych adwokatów w Nowym Jorku. Ale zawsze pierwszy przyznawał, że gdyby nie pomoc Jerry'ego, nie byłby teraz partnerem w jednym z najlepiej prosperujących biur adwokackich w tym mieście. Jerry wspierał Stevena przez te wszystkie lata. Cóż więc znaczyło, że jego życie osobiste było życiem idealnego czytelnika „Playboya”? Pod maską kobieciarza kryło się wielkie serce, i tylko to się liczyło. Deena Swanson była chłodną, ale atrakcyjną kobietą o delikatnych rysach twarzy, zimnych niebieskich oczach i bardzo jasnych rudych włosach, upiętych w kok w stylu lat trzydziestych. Była jedną z tych kobiet o nieokreślonym wieku — biała gładka cera bez jednej zmarszczki, doskonały makijaż i szczupła figura pod elegancką szarą spódnicą i kosztowną bluzką z jedwabiu. Steven oceniał jej wiek między trzydzieści i czterdzieści lat — niepodobna było stwierdzić tego dokładniej. Natomiast z miejsca mógł stwierdzić, że Deena Swanson nie wyglądała na osobę szczęśliwą. Powitała ich delikatnym uściskiem dłoni, zapraszając do przestronnego salonu pełnego dzieł sztuki afrykańskiej, rzeźb i wspaniałych obrazów. Nad kominkiem wisiał imponujący portret olejny pana i pani Swanson — ona miała na sobie różową suknię balową, a jej mąż biały frak. Obie twarze wyrażały to samo — mdłą obojętność. Palestyński lokaj oczekiwał w milczeniu na polecenie podania kawy, po czym kłaniając się z szacunkiem

opuścił salon. Deena wskazała im obszerną sofę, a kiedy usiedli, powiedziała z delikatnym akcentem:

— Spotkanie, na które panów zaprosiłam, musi pozostać w absolutnej tajemnicy. Czy mogę być tego pewna?

— Oczywiście — Jerry pospieszył z odpowiedzią, urażony, że ta dama mogła w to wątpić.

— Mój mąż także nie może o niczym wiedzieć.

— Pani Swanson, bardzo cenimy sobie współpracę z panią. Cokolwiek pani powie, pozostanie między nami.

— To dobrze.

Skrzyżowała nogi obciążone jedwabnymi pończochami i ze srebrnego pudełeczka wzięła czarny cienki papieros. Jerry natychmiast podsunął jej zapalniczkę.

Deena zaciągnęła się dymem, popatrzyła najpierw na Jerry'ego, potem na Stevena, po czym powiedziała:

— Nie wiem, jak panowie, ale ja nie lubię marnować czasu.

— Zupełnie się z panią zgadzam — przytaknął Jerry, nadzwyczaj uprzejmy. Podobała mu się ta chłodna, elegancka kobieta, choć nie była raczej w jego typie.

Deena uciszyła go spojrzeniem.

— Proszę mnie łaskawie wysłuchać — powiedziała rozkazującym tonem. — I nie przerywać.

Jerry zeszytniał z wrażenia. Nie przywykł, żeby zwracano się do niego jak do służącego.

Deena mówiła dalej, nie zważając na jego urażoną dumę.

— Panowie — powiedziała cicho — ostatnimi czasy okazało się, że mogę być zmuszona do popełnienia morderstwa doskonałego.

Złowieszcza cisza zaległa w salonie, gdy Deena przerwała na chwilę, aby jej słowa wywarły należyty efekt na słuchaczach. Przekonawszy się co do tego, mówiła dalej:

— Gdyby kiedykolwiek zaistniała taka sytuacja, a mnie nie udało się uczynić tego w sposób doskonały, będę oczywiście oczekiwać, że panowie, jako moi adwokaci, zrobią wszystko co w ich mocy dla mojej obrony w sądzie — długi biały palec, ozdobiony okazałym diamentem, wskazywał na Stevena. — P a n . Chcę, żeby pan mnie bronił. Słyszałam, że jest pan najlepszy.

— Proszę poczekać — Steven przerwał jej, zaskoczony — nie mogę przecież.

— Nie to pan poczeka — ucięła jego słowa, przyzwyczajona do tego, że wszyscy spełniają jej polecenia. — Proszę pozwolić mi skończyć - przyglądała się im obu spojrzeniem lodowatych niebieskich oczu wyzywając ich, żeby ośmielili się znów jej przerwać. — Zaliczka w wysokości miliona dolarów została w dniu dzisiejszym przelana na konto waszego biura. Wszystko, czego

od panów oczekuję, panie Myerson, panie Berkeley, to żebyście panowie byli na miejscu, kiedy i jeśli, podkreślam to jeśli, będę was potrzebować — zaśmiała się krótko, po czym dodała z naciskiem — dla dobra nas wszystkich, mam nadzieję, że taka konieczność nigdy nie nadejdzie.

Rozdział piąty

Abe Panther siedział za swym dużym orzechowym biurkiem, a Inga usadowiła się z groźną miną za jego plecami.

Lucky Santangelo weszła do pokoju w towarzystwie Mortona Sharkeya, jej prawnika z Zachodniego Wybrzeża.

Abe powitał Lucky przyjaznym skinieniem głowy. Widzieli się przedtem tylko raz, ale Abe zdążył ją polubić, rozpoznając w niej osobę prawdziwie niezależną i energiczną. Przypominała mu jego samego z lat młodości.

— Dobrze pan wygląda, panie Panther — zauważył uprzejmie Morton Sharkey, wcuąż jeszcze zaskoczony tym, jak daleko posunęła się Lucky.

Kiedy po raz pierwszy przyszła do niego z tym szalonym pomysłem, prawie roześmiał się jej prosto w twarz.

— Chyba wiesz, że pragniesz niemożliwości — ostrzegął ją. — Panther jest kontrolowane przez Mickeya Stolliego i Bena Harrisona. A ja wiem z całą pewnością, że oni nawet nie zechcą się zastanowić nad ewentualną sprzedażą.

— Czy nie zapominasz, że oni tylko prowadzą to studio? — odpowiedziała chłodno Lucky. — A z tego co słyszę, każdy z nich ciągnie w swoją stronę. Nie przejmuj się, Morton. Kazałam sprawdzić każdy szczegół. Abe Panther jest wyłącznym właścicielem studia. Może zrobić, co mu się podoba. A ja chcę, żeby on mi to studio sprzedał.

— Ten facet ma sto sześć lat — żartował Morton.

— Ma osiemdziesiąt osiem i jest w świetnej formie — odparła pewna siebie Lucky. Morton Sharkey uważał, że jest to absolutnie niemożliwe. Ale przecież Morton Sharkey nigdy wcześniej nie miał do czynienia z kimś, kto nosi nazwisko Santangelo. Kiedy Lucky zabierała się do czegoś, była gotowa na wszystko, a instynkt podpowiadał jej, że stary Abe Panther z przyjemnością wystawi do wiatru obu tych oszustów, mężów swoich wnuczek, i pozbawi ich nadziei na przejęcie studia — jego studia.

Najpierw, w sekrecie przed wszystkimi, odbyły się wstępne negocjacje. Z początku Abe nie wydawał się zainteresowany, aż w końcu Lucky zdecydowała się przylecieć do Los Angeles, aby spotkać się z Abe'em w cztery oczy.

Abe Panther mógł być starcem, ale w chwili, kiedy czarne oczy Santangelo spotkały się z przejrzystym błękitem jego oczu wiedział, że on i Lucky są w gruncie rzeczy sobie bliscy.

— A co pani właściwie wie o kierowaniu studiem i produkcji filmów? atakował ją.

— Niewiele — odpowiedziała uczciwie. — Ale potrafię poczuć, kiedy jestem na śmietniku, a to jest właśnie to, w co zamienia się stopniowo pańskie studio. Tani śmietnik dla wyrobników — jej oczy płonęły. — A więc myślę, że potrafię robić to samo, tylko lepiej.

— Studio przynosi zyski — zauważył Abe.

— Tak, ale kręci gówniane filmy. A ja chcę, żeby Panther znów było wielkim studiem, tak jak dawniej. I coś panu powiem — potrafię tego dokonać.

Zapewniam pana, to obietnica Santangelo. A nikt, kto nosi to nazwisko, nie łamie raz danej obietnicy.

Urwała i przyglądała mu się, hipnotyzując go niebezpiecznym blaskiem czarnych oczu, zanim dodała jeszcze:

— Może się pan założyć.

To mu się natychmiast spodobało. Miała w sobie ducha walki i odwagę, cechy, które posiadało niewiele kobiet.

Intuicja także nie zawiodła Lucky. Nic nie sprawiłoby Abe'owi takiej przyjemności, jak nabicie w butelkę Mickeya Stolliego i Bena Harrisona, którzy byli pewni, że studio zostanie przekazane w ich ręce i że im się ono słusznie należy! Przygotowania zostały zakończone i potrzebny był już tylko podpis Abe'a.

— Chcę porozmawiać z Lucky w cztery oczy — powiedział Abe, poprawiając się w krześle. Wszystko było na dobrej drodze, ale Morton czuł, że czeka ich jeszcze jedna przeszkoda.

— Oczywiście — powiedział, dużo lżej niż mu to naprawdę przyszło. Spojrzał przelotnie na Lucky, która niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy poleciła mu opuścić pokój. Morton wyszedł.

Inga nie ruszyła się. Pozostała na swoim miejscu, za biurkiem Abe'a, niewzruszony pomnik szwedzkiego stoicyzmu.

— Wyjdź! — rozkazał Abe podniesionym głosem.

Tylko grymas jej wąskich warg zdradzał niezadowolenie. Wychodząc z pokoju trzasnęła drzwiami okazując je bardziej dosadnie. Abe kaszlnął.

— Inga nie lubi, żeby jej rozkazywać. Wciąż ma do mnie żal, że nie zrobiłem z niej gwiazdy — potrząsnął głową. — Nie moja wina. Ona się nie nadaje. Gwiazdy filmowe muszą mieć dwie cechy charakteru — bez nich nic mają szans — spojrzał na Lucky z ukosa. — Wiesz, jakie to cechy?

Lucky potaknęła. Znała jego credo na pamięć.

— Muszą dać się lubić i dać się rznąć — wyrecytowała bez wahania Abe był zaskoczony.

— Skąd ty to wiesz? — spytał.

— Bo przeczytałam o panu wszystko. Każdą notatkę w prasie, historię studia, trzy nie autoryzowane biografie. Ach tak, i jeszcze kilka osobistych biografii paru bardzo pięknych aktorek, które nie mogły się powstrzymać od wspomnienia pana — uśmiechnęła się. — Miał pan fascynujące życie, prawda? Jest pan sławnym człowiekiem, panie Panther.

Abe, „pokiwał z uznaniem głową, zadowolony z pochlebstwa.

— Jestem ostatnim z wielkich — powiedział z dumą. — Ostatnim dinozaurem kina.

— Nie nazwałabym pana dinozaurem.

— Nie potrzebuję twoich pochlebstw, dziecko. Już i tak prawie postawiłaś na swoim. — Wiem — jej oczy zabłysły. — Jestem gotowa przyjąć pańską cenę. Pan jest gotów sprzedać studio. A więc, panie Panther — co jeszcze pana powstrzymuje?

— Jest taki drobiazg, którego od ciebie chcę.

Lucky starała się nie zdradzać zniecierpliwienia w głosie. Kiedy czegoś chciała, musiała to mieć natychmiast. — Co takiego? — spytała ostro. — Zemsta.

— Słucham?

— Te łotry, moi zięciowie, i ci wszyscy inni krwiopijcy.

— Tak?

— Chcę dobrać się im do skóry. I to porządnie.

— Sama zamierzam to zrobić.

— Tak jak ja chcę.

Lucky nadal powstrzymywała zniecierpliwienie.

— A jak pan tego chce?

— Zanim przejmiesz studio, będziesz w nim jakiś czas pracować. Będiesz asystentką Hermana Stone'a — to mój człowiek — mówiąc to, Abe czuł jak wraca mu energia. — A kiedy tam będziesz, w samym środku, przyłapiesz ich na tym, czego nie powinni robić — Abe zakaszlał z rozbawienia. — Sześć tygodni pracy w studiu, a potem jazda — studio jest twoje i możesz wywalić ich wszystkich na zbity pysk. Jak ci się to podoba?

Lucky nie wierzyła własnym uszom. To był wariacki pomysł. Jak mogła zniknąć na sześć tygodni i udawać kogoś innego? Była właścicielką wielkiego imperium, nie mogła tak po prostu zginać wszystkim z oczu. A co z Lenniem? A Boby i Brigitte? Nie mówiąc już o jej licznych zobowiązaniach w interesach.

— To niemożliwe — powiedziała z przykrością.

— Jeśli chcesz mieć moje studio, zgodzisz się na to — odparł Abe, zgrzytając sztucznymi zębami. — Jeśli n a p r a w d ę chcesz je mieć.

Przesunęła ręką po swych czarnych włosach, wstała i zaczęła przechadzać się w podnieceniu po pokoju. Jasne, że chciała mieć to studio, ale nie będzie przecież podskakiwać na zawołanie marudnego starca. Ale... czy na pewno

nie? W końcu, może to nie był taki zwariowany pomysł? Może była lo iae/c| całkiem kusząca propozycja... wyzwanie losu. A nic nie sprawiało Lucky większej przyjemności, niż podejmowanie takich wyzwań. Działając z ukrycia będzie mogła przyłapać ich wszystkich na gorącym uczynku. To będzie coś nowego, szalona przygoda. No cóż...

Abe przyglądał się jej uważnie, mrużąc oczy, gdy sięgał po szklanekę kompotu ze śliwek, która stała na biurku.

— Nie zgadzasz się na mój plan, nie będzie transakcji — powiedział, żeby mieć pewność, iż Lucky rozumie jego intencje.

Lucky odwróciła się w miejscu i spojrzała na niego.

— To znaczy, że odpuści pan ten interes? — spytała z niedowierzaniem. — Tyle pieniędzy?

Abe uśmiechnął się, zaciskając lśniące porcelanowe zęby. Nie pasowały do jego pomarszczonej, starej twarzy, były zbyt nowe.

— Mam osiemdziesiąt osiem lat, dziecko. Co ja zrobię z całą tą forszą? Nie kupię sobie nowej kuśki, co? Nie stanie mi od tych pieniędzy.

Lucky uśmiechnęła się.

— Nie wiadomo.

— Ja wiem, dziecko. Z pewnością.

— Nic w życiu nie jest pewne.

Abe znów zazgrzytał sztucznymi zębami.

— Sześć tygodni — powiedział z zaskakującą stanowczością — albo nici z interesu.

Rozdział szósty

Brigette Stanisloupoulos miała siedemnaście lat i była niezaprzeczalnie śliczna.

Miała długie, naturalne blond włosy i zaokrągloną, kobiecą figurę. Była także dziedziczką połowy wielkiej fortuny, jaką zostawił jej dziadek, Dimitri. Już teraz zarządzała majątkiem swej matki, a po ukończeniu dwudziestu jeden lat miała stać się jedną z najbogatszych kobiet na świecie. Myślała o tym z powagą, bo Brigette, choć jeszcze nastolatka, miała życie pełne bólu i niepewności i czuła instynktownie, że odziedziczenie majątku ściągnie na nią tylko kłopoty.

Jej matce pieniądze nie przyniosły szczęścia. Biedna Olimpia, odnaleziona w jakimś podłym nowojorskim hotelu ze słynnym gwiazdorem rocka oboje martwi od przedawkowania narkotyku. Taka śmierć nie pasowała do Olimpii — dziewczyny, która powinna mieć wszystko, czego zapragnęła

Brigette była zdecydowana inaczej pokierować swoim życiem. Nic miała zamiaru podążyć śladem matki prosto w nieszczęście — trzech kolejni mężowie

i bezustanne zaspokajanie swych egoistycznych zachcianek. Kiedy Olimpia umarła, Brigitte miała trzynaście lat. Nigdy nie poznała swego prawdziwego ojca — włoskiego biznesmena, o którym jej dziadek mówił, że ożenił się z jej matką tylko dla pieniędzy. Olimpia rozwiodła się z nim wkrótce po urodzeniu Brigitte, a kilka miesięcy później zginął od bomby, podłożonej w samochodzie przez terrorystów w Paryżu. Dość już było utracić ojca i matkę w tak młodym wieku, a przecież nie był to koniec łańcucha tragedii w życiu Brigitte. Kilka miesięcy potem ona i syn Lucky, Bobby, zostali porwani. Santino Bonnatti, znany gangster i odwieczny wróg rodziny Santangelo, więził ich oboje w domu swej dziewczyny, Eden Antonio, i próbował nawet zgwałcić Brigitte. Zanim mu się to udało, Brigitte zdołała chwycić jego rewolwer i strzeliła do niego trzy razy właśnie w chwili, gdy Lucky, odnalazłszy miejsce ich uwięzienia, spieszyła im z pomocą. Prawie natychmiast w drzwiach pojawili się policjanci, ale do tego czasu Lucky zdążyła wyprowadzić dzieci tylnym wyjściem i odesłać bezpiecznie do domu. Następnie wzięła na siebie odpowiedzialność za zamordowanie Santina.

Kilka miesięcy później, podczas procesu Lucky, Brigitte zdołała zebrać całą swą odwagę i publicznie wyznała prawdę. Nie przyszło jej to łatwo, ale nie mogła siedzieć spokojnie i patrzeć, jak Lucky ponosi karę za jej przestępstwo. Na szczęście znalazła się kasetka wideo, z której wynikało jasno, że zabicie Bonnattiego było czystym aktem samoobrony. Brigitte otrzymała wyrok z zawieszeniem i została wysłana do babci, Charlotte — pierwszej żony Dimitriego.

Ale Charlotte nie była opiekuńczą babcią. Elegancka kobieta z towarzystwa, krótko po ślubie ze swym czwartym mężem, młodszym od niej o dziesięć lat, angielskim aktorem teatralnym, dzieliła czas między dom na Eaton Square w Londynie a swą nowojorską kamienicę. Dogłądanie Brigitte nie było wymarzoną zajęciem Charlotte. Natychmiast zapisała wnuczkę do prywatnej i surowej szkoły z internatem o godzinę drogi samochodem od Nowego Jorku.

Brigitte pragnęła jedynie, żeby zostawiono ją samą. Była biedną, małą, bogatą dziewczynką o skandalicznej przeszłości. Unikała towarzystwa, odrzucając wszelkie propozycje przyjaźni, bo przede wszystkim nauczyła się najważniejszej tajemnicy przetrwania: że nic wolno nikomu zaufać.

— Hej, Stanislob, telefon do ciebie.

Stanislob było jednym z miłszych imion, jakimi ją nazywano. Ale Brigitte to nie obchodziło. Wiedziała dobrze, kim jest — Brigitte Stanislopoulos. Kobieta.

Człowiek. Nie rozpieszczona dziewczyna, na jaką kreowały ją brukowe gazety.

Prasa nie dawała jej spokoju. Dziennikarze bez przerwy węszyli wkoło, szpiegowali ją. Fotografowie ukryci w krzakach, bezczelni reporterzy podążający za nią krok w krok. Obserwowali ją bezlitośnie i bezustannie. Brukowe gazety miały swe ulubione postacie. Lisa Marie Presley, księżniczka Monako

Stephanie i Brigitte Stanislopoulos — trzy młode dziedziczki, zawsze dobry temat.

Nie zwracając uwagi na głupie przezwisko, Brigitte wzięła słuchawkę z rąk wysokiej, piegowatej dziewczyny. Mogłyby się zaprzyjaźnić - ale nie teraz. Nie w tym życiu.

- Słucham? — odezwała się z wahaniem.

Jej rozmowy telefoniczne mogły być podsłuchiwane, ale nikogo to nie obchodziło.

— Cześć, ślicznotko, tu mówi Lennie. Jak zwykle wpadłem na genialny pomysł.

Masz jakieś plany na wakacje?

— Żadnych.

— To świetnie. Pogadam z Lucky, czy mogłabyś przyjechać tu i spędzić lato z nami w Malibu. Wynajęliśmy właśnie cudowny dom. Co ty na to?

Brigitte była w siódmym niebie. Lennie Golden i Lucky Santangelo byli jedynymi osobami, na których jej zależało. Lennie, jej były ojczym a teraz mąż Lucky, która kiedyś była żoną jej dziadka. Co za pogmatwane pokrewieństwo! Przy rodzinie Stanislopoulosów, genealogia Onassissów była prosta jak drut.

— Z przyjemnością — odpowiedziała bez wahania.

— To świetnie. Lucky musi tylko postarać się przekonać twoją babkę, żeby pozwoliła ci wyjechać na kilka tygodni.

— Boże! Charlotty nie trzeba do niczego przekonywać. Wystarczy, jeśli jej o tym powiecie. Pozbędzie się mnie z radością.

— No, no, nie bądź niegrzeczna — drażnił ją Lennie.

— Kiedy to prawda!

— A potem, gdy skończę film, może wyskoczmy razem do Europy.

— Cudownie!

— Szkoda, że nie masz ochoty.

— No, co ty! Zrobiłabym wszystko, żeby pojechać. — Nie musisz. To już prawie załatwione.

— Nie mogę się doczekać!

— To dobrze.

— Nie jesteś w pracy? Przecież w Los Angeles jest chyba teraz południe.

— A ty? — odpowiedział pytaniem.

— Jest piąta trzydzieści. A ja jestem wolna.

— To idź się zabawić.

— Nie mogę. Nie wolno nam wychodzić w dni powszednie.

— To złam reguły. Naucz się żyć odważnie.

— Nie powinieneś mnie namawiać do tego — powiedziała pamiętając, jak kiedyś złamała zasady i jakie były tego skutki.

— Mówisz serio? Na twoim miejscu nie czekałbym ani chwili.

Nie czekać na co? Nie miała przyjaciół, nikogo, z kim mogłaby pójść i m węgry. A poza tym była inna niż jej matka — nie czuła potrzeby wyrwania się na wolność.

Odkryła już, że płaci się za to wysoką cenę.

— A co z twoim filmem? — spytała, szybko zmieniając temat. Lennie jęknął.

— Nie psuj mi dnia.

— Czy Lucky jest z tobą w Los Angeles?

— Co ty z tymi pytaniami? — Lennie udał zaskoczenie. — Nie masz nic lepszego do roboty, tylko się mnie czepiać?

Uśmiechnęła się do słuchawki.

— Nie wiesz? Przecież żyję po to, żeby cię wkurzać. Śmiejąc się na głos, odparł:

— No to żyj sobie dalej, a ja zadzwonię do ciebie za tydzień, jak będę wiedział coś więcej. Zgoda, ptaszku?

— Zgoda, ty obleśny starcze.

Lennie zawsze wprawiał ją w świetny nastrój, szczególnie kiedy mówił do niej „ptaszku” — był to skrót od „więziennego ptaszka”, jak ją pieszczotliwie nazywał.

Była to ich prywatna gra, mająca oznaczać, że przeszłość się już nie liczy. „Jeśli możesz się z czegoś śmiać — mawiał Lennie — to znaczy, że już ci przeszło”.

I pewnie miał rację, ale to nie znaczyło, że może przestać się pilnować. Była Brigitte Stanislopoulos. Kobieta. Dziedziczką. Na zawsze. Nie ucieknie od tego. Z ciężkim westchnieniem wróciła do swego pokoju — „więziennej celi”, którą dzieliła z trzema innymi dziewczętami. Na biurku piętrzył się stos zadań domowych, a nad jej łóżkiem wisiał plakat Boya George'a w makijażu i z pierścionkami. Lubiała jego muzykę, i to, że zdawał się niczym nie przejmować. Jej typ. Inne dziewczyny wieszały na ścianach zdjęcia facetów w stylu Roba Lowe'a i prawie nagiego Richarda Gere'a. I co z tego? Brigitte nie miała ochoty na romantyczne uniesienia. Na chwilę wróciła myślami do przeszłości. Najpierw pojawiła się twarz Santino Bonnattiego — na zawsze w jej pamięci — zła, szydercza. Potem przypomniał jej się Tim Wealth. Przystojny i młody. Niedoszły słynny aktor, który miał pecha wdać się z nią i z Bobbym w nieczyste interesy. Gazety nigdy nie wywahały związku między zabójstwem młodego aktora i morderstwem Bonnattiego. „I dziękować Bogu” — Brigitte pomyślała i przeszył ją lekki dreszcz. Pokochała Tima, a on próbował ją wykorzystać. Niestety, przypłacił to życiem. Nie jej wina. Ludzie Bonnattiego robili to, co im powiedziano — a powiedziano im, że Tim Wealth był osobą niepożądaną.

„Nie myśl o tym” — skarciła się w duchu. Przez dwa miesiące musiała chodzić do psychiatrów. „Nie myśl o tym” — powiedział jej ostatnio lekarz i była to jedyna dobra rada, jaką od niego otrzymała. Całe to gadanie o tym, że śmierć jej prawdziwego ojca, a potem matki wywołały w niej uczucie porzucenia — jedna wielka bzdura.

Nie była porzucona — była silna. Przeżyła. Brigitte Stanislopoulos nie potrzebowała niczyjej pomocy.

Rozdział siódmy

Bezczyenne oczekiwanie na wywiad nie było ulubionym sposobem Len-niego na spędzanie czasu. Szczególnie, kiedy jego rozmówca wpraszał się na plan filmowy, przyglądając się wszystkiemu, podsłuchując i zapisując stopy notatek. Namówił go na to, wbrew lepszemu rozeznaniu Lenniego, Shorty Rawlings, filmowy specjalista od *public relations*. Miał to być specjalny artykuł dla „People”, czy dla „Us”, Lennie sam już nie pamiętał. Dziennikarka okazała się kobietą o końskiej twarzy i przejawiała niebezpieczne zainteresowanie jego życiem prywatnym — a był to temat, na który Lennie nigdy nie rozmawiał i nie ukrywał tego. Nie żeby jego życie osobiste było tajemnicą. Jako małżonek Olimpii Stanislopoulos, a następnie Lucky Santangelo, nie mógł pozostawać nie zauważony. Ale Lennie był zdania, że nie należy podsycać plotek — lepiej po prostu siedzieć cicho.

Lucky miała obsesję na punkcie unikania prasy. Stanowczo odmawiała wywiadów i tak jak Gino, jej ojciec, wszelkimi sposobami uniemożliwiała reporterom fotografowanie jej. „Nie jestem osobą publiczną — ostrzegła Lenniego jeszcze przed ślubem — i nie zamierzam się nią stać”. Nie jest to łatwe, kiedy się jest żoną filmowego gwiazdora, poprzednim mężem był jeden z najbogatszych ludzi na świecie, a nazwisko własnego ojca nie schodzi z pierwszych stron gazet. A jednak Lucky w jakiś sposób udawało się zachować pewną anonimowość. Lepiej znano nazwisko niż twarz Lucky Santangelo, i niewiele osób wiedziało, jak wygląda.

— A jak się miewa pańska żona? — spytała niedbale reporterka, podążając za jego myślami. — Czy to prawda, że żyjecie w separacji?

Lennie zmroził ją wzrokiem swych zielonych oczu.

— Muszę wracać do pracy — powiedział podnosząc się z fotela. Miał tego dość.

Nie zrażona tym reporterka próbowała pytać dalej.

— Lucky Santangelo to niezwykła kobieta. Czy jest w Los Angeles?

— A czy pani nie mogłaby się ugryźć w język? — spytał ostro Lennie.

— Słucham?

— Uprzedzałem, żeby nie zadawała pani niedyskretnych pytań. Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, pojawił się Shorty Rawlings i Lennie wyszedł bez słowa.

— No cóż... — odezwała się reporterka, czując jak czerwienieje na twarzy. — Czyżbym uraziła jego uczucia?

— Mam nadzieję, że nie — odparł z niepokojem Shorty.

„Ten film skończy się wrzodami na żołądku” — pomyślał. Joey Firello rżnie kogo popadnie, Grudge Freeport zalewa się w trupa, Marisa Birch puszcza się ze wszystkimi, począwszy od swej dublerki, a skończywszy na producencie, a Lennie Golden zachowuje się, jakby miał gdzieś prasę. A to

wszystko działo się pod bokiem wytwórni. Bóg jeden wie, co ich czeka, kiedy pojadą na zdjęcia do Acapulco.

Shorty zmarszczył brwi. Lennie nie był Nicholsonem ani Redfordem, do cholery. Był po prostu zwyczajnym aktorzyzną, któremu udało się zrobić parę kasowych filmów — nie był znowu aż tak sławny.

Shorty Rawlings miał pięćdziesiąt dwa lata, widział jak pojawia się i ginie bez śladu niejedna niedoszła gwiazda. Tylko dobra prasa mogła utrzymać aktora na powierzchni, i lepiej dla Lenniego, żeby to zrozumiał.

Położył ręce na ramionach dziennikarki. Była wysoką kobietą o tłustych włosach i garbatym nosie. Pewnie też niedoszła aktorka — pomyślał — Hollywood roił się od takich kobiet, które w końcu zabierały się do innej pracy.

— Chodź, kochanie — powiedział przydając sobie ważności tonem głosu — postawię ci drinka. „A potem może mi possiesz małego” — dodał w myśli.

Robota w Hollywood miała swoje dobre strony.

— No, co lam, stary? zaczął go Joey Firello, gdy Lennie wracał do przyczepy.

Lennie wzruszył ramionami.

— Jakaś walnięta reporterka.

— Pieprz ją — powiedział Joey, jak zawsze wytworny.

— To ty ją pieprz — odparł Lennie. Joey nie miał nic przeciwko temu.

— Jak wygląda? — spytał.

Lennie nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Joey potrafiłby zerżnąć stół, gdyby zaczął wodzić za nim wzrokiem.

— Idę do domu — powiedział. — Do jutra.

— Do domu? — powtórzył Joey, jakby to słowo było wulgarnym przekleństwem.

— A moja impreza?

— Powiedziałem ci. Nie mogę dzisiaj.

— Tracisz świetną zabawę.

Lennie nie był szczególnym zwolennikiem stylu życia Joeya.

— Twoich świetnych zabaw wystarczy mi już na całe życie, dziękuję — powiedział.

— Nie wiesz, co tracisz!

— W tym rzecz, Joey, że wiem.

Po drodze do samochodu wpadł na Cristi. To rzeczywiście była pierwszorzędną kalifornijską dziewczyną. Jasne włosy, ramiona i nogi opalone na elegancki brąz, lśniące białe zęby. Lennie nie mógł nie zauważyć, że miała nogi do samej szyi.

— Do widzenia, panie Golden — powiedziała uprzejmie.

Panie Golden! Naprawdę był taki stary? Wsiadając do swego ferrari poczuł, że nie tylko tęskni za Lucky — ale po prostu bardzo jej potrzebuje. Obiecała spędzić z nim parę tygodni w Acapulco i nie mógł się tego doczekać.

Czy małżeństwo nie jest po to, żeby być razem? Ostatnie osiemnaście miesięcy spędzili przeważnie z dala od siebie. Zgoda, wiedział od samego początku, że Lucky nie rzuci wszystkiego po to tylko, żeby być z nim. Musiała zajmować się swym miliardowym przedsiębiorstwem, miała syna i ojca, z którymi także chciała spędzać czas. Lennie zawsze uważał, że potrafi sobie z tym poradzić, że to nie będzie mu przeszkadzać. Dopiero ostatnio przekonał się, że nie było to takie proste. Brakowało mu jej i bardziej tradycyjne małżeństwo nie wydawało się wcale takie złe. Cieszył go ten związek, dawał mu poczucie bezpieczeństwa i równowagi. Dzięki niemu czuł, że pierwszy raz w życiu jest ośrodkiem czyjegoś zainteresowania. Po własnej szalonej młodości potrzebował w końcu jakiegoś uspokajającego wpływu. Było jasne, że Olimpia mu go nie da — miał nadzieję znaleźć to w Lucky.

„Może już czas, pomyślał, mieć wspólne dzieci”. Dziecko państwa Golde-nów — z urodą Lucky i z jego poczuciem humoru. Wspominał o tym kilka razy, ale Lucky zawsze szybko zmieniała temat, zanim w ogóle zaczęli o tym mówić.

„Tak, Acapulco będzie właściwym miejscem”. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był tego pewien. Zabawa w meksykańskim słońcu — trzeba ją tylko namówić, a kiedy skończą film, mogą spędzić parę tygodni w Malibu z Brigitte i Bobbym. Potem zrobią sobie długie wakacje i będą się szwędzać po Europie w uroczym nieróbstwie.

Przypomniało mu się, jak pierwszy raz kochał się z Lucky. Co za wspomnienie!

Było to pewnego późnego popołudnia w St. Tropez. Spokojne morze, pusta plaża, balsamiczna pogoda. To była wycieczka! Podniecała go sama myśl o tym.

Z piskiem opon zatrzymał się na światłach i marzył o zimnym prysznicu.

— Cześć! — dziewczyna w białym kabriolecie zatrzymała się obok niego. Miała na sobie purpurową sukienkę i gustowny wisiorek. Zanim zdołał sobie uświadomić, czy ją skądś zna, dziewczyna sama rozwiązała ten problem.

— Uwiewielbiam twoje filmy! — powiedziała niskim, ciepłym głosem. — Jesteś taaaki zabawny i taaaki podniecający!

Gdyby chciał, mógłby ją mieć bez kłopotu. W każdym razie była dość ładna. Ale tamte dni już nie wrócą. Był szczęśliwym małżonkiem cudownej kobiety, która niedługo urodzi mu dziecko. No... prawie.

Rzucając jej przelotny uśmiech bąknął tylko: „Dzięki!” i bez namysłu nacisnął gaz, uciekając dziewczynie szybko i skutecznie.

Rozdział ósmy

Wróciwszy do Nowego Jorku, Lucky podjęła decyzję. Zrobi to. Do diabła, jeśli był to jedyny sposób, żeby zostać właścicielką studia Panther, w takim

razie ona to zrobi! Będzie szpiegować dla Abe'a i dowie się wszystkiego na czym mu zależy. Choć nie miała zamiaru mówić tego Abe'owi, uważała, że to doskonały pomysł. Dzięki niemu przejmie studio znając je na wylot — i jaką to jej da przewagę!

Zaraz po spotkaniu z Abe'em złapała samolot do Nowego Jorku. Morton Sharkey towarzyszył jej w drodze na lotnisko, nie przestając perswadować jak bensenowny był to pomysł, że nie ma szansy na powodzenie, i że najwidoczniej staremu Abe'owi dawała się we znaki skleroza. Irytowało go jej milczenie

— Nie zamierzasz chyba tego zrobić? — spytał wreszcie niepewnie. Posłała mu długi, tajemniczy uśmiech.

— Dam ci znać, Morton.

A teraz była gotowa mu powiedzieć: „Tak, Morton, mam zamiar się na to Oczywiście pan Morton Sharkey będzie wściekły. Prawnicy zawsze przysparzali jej kłopotów, analizując wszystkie prawne aspekty, mnożąc trudności

I co z tego? Lucky Santangelo robi, co chce. A to była świetna okazja żeby przerwać codzienną rutynę. Lucky od dawna czekała na coś takiego Myślała już w jaki sposób zmienić swój wygląd, żeby nikt nie mógł jej rozpoznać. Jako córka Oma, wdowa po Dimitrim Stanislopoulosie i żona Lenniego Goldena spotykała od czasu do czasu swoje zdjęcia w prasie. Co prawda, nieczęsto' I nigdy nie godziła się na współpracę z gazetami - nie było żadnych pozowanych zdjęć, tylko przypadkowe migawki.

Peruka pomoże jej ukryć włosy. Założy okulary. Ubranie w złym guście i unижony stosunek do szefa. To będzie zabawa! Sześć tygodni takiego aktorstwa, a potem Panther będzie należało do niej. Był tylko jeden problem Jak zniknie na sześć tygodni z normalnego życia? Jak wyjaśni to Lenniemu? Przede wszystkim

postanowiła powierzyć tę tajemnicę Ginowi Rodzina Santangelo. Czarnooki Gino i jego szalona córka. Wiele razem przeszli — więcej niż przeciętna familia przez dziesięć pokoleń. Jej miłość do ojca była namiętna i nie słabła z czasem.

Zadzwoiła do niego mówiąc, że musi się z nim natychmiast spotkać w bardzo pilnej sprawie. Zwykle jedli razem obiad kilka razy w miesiącu. Z przykroscia musiała odwołać ich ostatnie spotkanie z powodu wyjazdu do Los Angeles.

— Paige przyjechała — usprawiedliwił się Gino przez telefon — Czy to może poczekać? Lucky nalegała.

— Kiedy mówię, że to pilne, to znaczy że pilne.

— A kiedy ja mówię, że przyjechała Paige to znaczy, że twojemu staruszkowi jest tak dobrze razem z nią.

— Możesz się czuć dobrze później. To nie może czekać

— Jesteś trudną kobietą, Lucky.

— Już to słyszałam. Jeszcze coś nowego?

— Słuchaj, mogę wziąć Paige z sobą? — zaproponował Gino.

— Wykluczone — Lucky była nieugięta.

Nie chciała być zaborcza, ale ostatnią rzeczą, jaka była jej teraz potrzebna, to żeby Paige Wheeler знаła jej sekretny plan. Kto mógł przewidzieć, czy jej nie zdradzi? W końcu była żoną producenta z Hollywood. Jedno nieprzemyślane słowo i cały plan mógł spalić na panewce. Lucky chciała mieć pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Przejęcie studia Panther było dla niej zbyt ważne, żeby mogła pozwolić sobie na jakikolwiek błąd.

Spotkali się w małej włoskiej restauracji w Lexington. Ojciec i córka. Lucky, ciemnowłosa, czarnooka, egzotycznie piękna. Gino wciąż pełen energii i dumy, odbijającej się w jego ruchach i zaprzeczającej podeszłemu wiekowi.

„Ten facet wciąż jeszcze się trzyma, myślała Lucky z podziwem podchodząc do stolika, musiał być kimś niezwykłym w młodości”.

Słyszała dość historii o ojcu z ust wujka Costy, najbliższego i najdroższego przyjaciela ojca. Costa Zennecotto, niegdyś prawnik Gina, przeszedł już na emeryturę i mieszkał jako szacowny dżentelmen w Miami.

Tak... Słuchać, jak Costa opowiada o dawnych czasach to prawdziwa przyjemność, jak Costa mówi, że nie było drugiego takiego jak Gino „Byk”. Co za przyzwisko! Lucky nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

— A ty z czego się cieszysz? — spytał Gino, siedząc przy stoliku i mrugając oczami do kelnerki, która zawsze ich obsługiwała — wielkiej, zgryźliwej kobiety, oszczędzającej cały swój dobry humor dla Gina.

— Rozmyślałam o twojej dramatycznej przeszłości.

— Co ty o niej wiesz, kochanie.

— Bzdura.

— Moja córka, prawdziwa dama.

— Sam takiej chciałeś, nie?

Ich spojrzenia spotkały się, pełne ciepła. Gino przywołał kelnerkę i zamówił ich ulubione czerwone wino i świeży, chrupiący chleb.

— Już gotowe — powiedziała triumfalnie kelnerka.

Gino uszczypnął ją w gruby tyłek, co uszczęśliwiło ją do końca dnia.

— Co za dziewczyna! — powiedział, i zwrócił całą uwagę na Lucky.

— Jak się ma Bobby, a przede wszystkim, kiedy go zobaczę?

Gino uwielbiał swego wnuczka i nie przestawał narzekać, że chłopca wysłano do szkoły w Anglii. — Świetnie — zapewniła Lucky. — Rozmawiam z nim

codziennie. Oczywiście, przesyła ci pozdrowienia. Ciebie kocha najbardziej —

gdybyś nie wiedział. — Lepiej by mu było w Nowym Jorku — gderał Gino. — Jest Amerykaninem, powinien mieszkać tutaj. Czego oni tam uczą, w tych głównianych angielskich szkołach? Nie uważała za stosowne przypominać ojcu, że Bobby był pół krwi Grekiem.

— Maniery! — powiedziała tylko.

— Ha! — Gino parsknął z rozbawienia. — Sam cię posłałem do szkoły w Szwajcarii, żeby cię tam nauczyli manier — i proszę co z ciebie wyrosło!

— No właśnie, co ze mnie wyrosło. Przechlapałam swoje życie, prawda? Kelnerka nalala kroplę wina do kieliszka Gina, który spróbował i pokiwał głową z aprobatą.

— Jesteś prawdziwa Santangelo — powiedział zwracając się z powrotem do córki.

— Masz moje uliczne maniery, klasę twojej matki, a do tego wyglądasz wystrzałowo. Możemy być z ciebie dumni, córeczko, co?

— Dzięki. A mnie nie przypisujesz żadnej zasługi? — spytała Lucky ciepło.

— Wszystko jest w genach, moja mała.

— No, jasne.

Oczy Gina lustrowały restaurację, kiedy pił ulubione wino i wgryzał się w świeżo upieczony chleb.

— A więc, mów, co jest tak ważnego, że musiałem zostawić moją Paige? Ona jest przekonana, że poszedłem puszczać się z inną.

— W twoim wieku? — spytała Lucky, sceptycznie unosząc brwi.

— Słuchaj, mała, wiek nie ma nic do rzeczy. Pamiętaj, co ci mówię. Dla siebie masz zawsze tyle lat, ile chcesz mieć — a ja trzymam się czterdziestu pięciu. *Capisce?*

„Mój ojciec to wyjątkowy człowiek, pomyślała Lucky. Pewnie umrze w łóżku z panienką, i będzie pompował całą drogę do nieba!”

— Znów się z czegoś śmiejesz — zauważył Gino. — O co chodzi? Jesteś w ciąży? W końcu dorobiliście się dzieciaka, tak? To chciałaś mi powiedzieć?

— Nic z tego! — No dobra, nie denerwuj się. Już czas, żeby Bobby miał brata lub siostrę. Tylko pytałem.

— Dlaczego zawsze, kiedy kobieta ma jakiś sekret, każdy mężczyzna jest przekonany, że chodzi o ciążę?

— No to mnie za to zabij. Nie zgadłem, trudno.

Lucky wzięła głębszy oddech i w jednym zdaniu wyznała prawdę.

— Kupuję studio filmowe.

— Kupujesz co?!

— Kupuję studio Panther — Lucky mówiła w podnieceniu. — To, z którym Lennie podpisał kontrakt na trzy filmy — oczy jej płonęły. — Widzisz, prawda jest taka, że Lennie nie może wytrzymać dłużej tego filmu, który teraz kręcą. Chce stamtąd uciec, a ja mogę to załatwić. Nie „uciec”, ale „przejąć kontrolę”. Mieć pełną władzę nad studiem. Czy to nie genialny pomysł? Ja mam swoje studio, a on ma swoją wolność. — Wolnego, mała, i popraw mnie, jeżeli się mylę, ale rozumiem, że zamierzasz kupić studio, ponieważ twojemu mężowi się tam nie całkiem podoba, tak? Dobrze mówię?

— Dokładnie! — Lucky kipiała radością. Czowała jak adrenalina wypełnia jej ciało. Powiedzieć o tym Ginowi — to było coś! Kiedy sama sfinansowała

budowę hotelu Magiriano w Las Vegas, i kiedy ojciec zobaczył ostateczny rezultat jej pracy, czuła, że odniosła prawdziwy triumf. A teraz kupno studia filmowego wydawało się jej czymś jeszcze bardziej ekscytującym.

Gino zaśmiał się ironicznie.

— A co ty do diabła wiesz o robieniu filmów? — spytał.

— A co ty wiedziałeś o prowadzeniu hotelu, kiedy zbudowałeś Mirage w 1902? — Lucky odpowiedziała atakiem na atak.

— To było w 1951, mądralo, a wiedziałem bardzo dużo.

— Na przykład co?

— Na przykład więcej niż ty wiesz o jakimś cholernym przemyśle filmowym.

— Dowiem się tego, czego nie wiem. Zamierzam otoczyć się fachowcami. Jak popatrzysz na tych frajerów, którzy prowadzą większość liczących się studiów, to zobaczysz, że konkurencja jest niewielka. Panther bazuje na eksploatacji tanich numerów i aktorów z przerostem ambicji. A ja chcę to zmienić. Panther znów będzie najlepsze.

Gino wzruszył ramionami, wypił łyk wina i potrząsnął głową.

— Nie ma co, wrodziłaś się we mnie. Ty naprawdę jesteś Santangelo.

Lucky obdarzyła go uśmiechem.

— A czy wątpieś w to choć przez chwilę?

Trzy godziny później opróżnili dwie butelki wina, zjedli górę spaghetti w sosie z małży, spróbowali własnego wypieku ciast i właśnie raczyli się gorącą kawą po irlandzku z whisky.

— Na Boga i cholesterol! — mruzczała radośnie Lucky. — Jesteś absolutnie pewien, że wolno ci to robić w twoim wieku?

Gino mrugnął do niej.

— Mam czterdzieści pięć, nie pamiętasz? Nachyliła się, żeby pocałować go w policzek.

— Bardzo cię kocham, Gino... Tatusiu. — Tylko przy specjalnych okazjach zwracała się do niego w ten sposób.

Ciesząc się jej uczuciem, odparł:

— Z wzajemnością, moja mała. Nigdy w to nie wątpiałaś, prawda? „O tak, wiele razy, chciała odpowiedzieć. Na przykład, kiedy Mama umarła, a ty odsunąłeś się od swoich dzieci. Albo, kiedy zapłaciłeś senatorowi Richmondowi, żeby wydać mnie za jego tępego synalka, gdy miałam szesnaście lat. Albo, kiedy nie chciałeś dopuścić mnie do rodzinnych interesów i traktowałeś mnie, jakby kobieta była gorszym gatunkiem człowieka. I kiedy ożeniłeś się z tą dziwką z Beverly Hills, Susan Martino, i prawie zgodziłeś się zaadoptować jej dorosłe bachory...”

O tak, wiele było złych wspomnień. Ale teraz wszystko mogło się zmienić. Teraz trzymali sztamę. I Lucky wiedziała, że to już na zawsze.

Rozdział dziewiąty

— Strasznie jesteś nerwowy od trzech dni — zauważyła Mary Lou masując stopę Stevena. — Co ci jest, kochanie? Powiesz mi kiedyś, czy mam po prostu chodzić wokół ciebie na palcach i bać się twojego złego humoru?

Steven oderwał wzrok od telewizora.

— O jakim złym humorze mówisz?

Mary Lou puściła jego stopę i wydała ciężkie westchnienie.

— Albo mi powiesz, albo nie. Ale ponieważ najwyraźniej nie chcesz mi powiedzieć, lepiej skończ z tymi zdawkowymi odpowiedziami, przerywanymi długim milczeniem, albo możesz mnie więcej nie zobaczyć — uniosła głos. — Słyszysz mnie, Steven! Nie zo-ba-czysz.

Popatrzył na nią z lekkim rozbawieniem.

— A dokąd byś poszła?

— Dokąd? Ja? Jestem gwiazdą, kochany, mogę pójść, dokąd zechcę. No więc? Steven objął ją leniwie.

— Z takim wielkim brzuchem? Odsunęła się do niego.

- Nie próbuj mnie teraz czarować. Za późno na to. Jego ręce znalazły drogę do jej nabrzmiałych piersi, i tam pozostały. Mary Lou nie poruszyła się. Dobry znak. Może uda mu się jeszcze uniknąć kłótni i pograć w miłosnym szaleństwie. Potrzebował pociechy i uczucia, a nie jakiejś cholernej dyskusji.

— Steven — jej szept nie był ani zgodą, ani odmową.

Delikatnie i z wyczuciem pieścił jej piersi, wyswobodziwszy jedną z koronek nocnej koszuli, i pochyliwszy się nad nią wodził językiem wokół jej sutki.

— Steven Berkeley — westchnęła tracąc oddech — jak ja cię nienawidzę. Ale nie powiedziała już nic więcej. Po trzech latach małżeństwa byli wciąż beznadziejnie w sobie zakochani.

W telewizji komik nadal bawił swoich widzów, ale w domu państwa Berkeley nikt go nie oglądał.

Następnego ranka Mary Lou pierwsza wstała z łóżka. Wzięła prysznic, założyła marynarkę w prążki i usiadła na brzegu łóżka czekając, aż Steven się obudzi. W końcu wrócił do przytomności, przypominając sobie niejasno, że jest sobota, jego ulubiony dzień. Kiedy otworzył oczy, Mary Lou powiedziała stanowczo:

— Czas wstawać, kochasiu. Musimy dokończyć wczorajszą rozmowę. Słowo po słowie wyciągała z niego prawdę, aż wreszcie powiedział jej

0 wszystkim. Co mógł innego zrobić? Mary Lou niełatwo dawała za wygraną, gdy chciała się czegoś dowiedzieć. Opowiedział jej o Deenie Swanson

1 niezwykłym spotkaniu z nią. Potem powiedział o Jerry'ym tym głupcu, który śmiał się z całej sprawy i twierdził, że mają do czynienia z wariatką,

a on nie ma zamiaru zwracać zaliczki wysokości miliona dolarów, nie ma mowy.
— Może to rzeczywiście wariatka — zastanawiała się Mary Lou. — Nikt normalny nie przyznawałby się do zamiaru popełnienia morderstwa. Jestem pewna, że was nabrała.

— Wspaniale! Po prostu wspaniale. Jesteś pewna, że nas nabrała, tak? — odparł sarkastycznie Steven, wyskakując z łóżka. — To wyjaśnia wszystko. Teraz mogę z czystym sumieniem wrócić do pracy — zatrzymał się w drzwiach łazienki. — A o nieszczęsną ofiarę nie będziemy się martwić, zgoda?

— Nie ma żadnej ofiary — zauważyła Mary Lou.

— Na razie — Steven dodał złowieszczo.

— I nie będzie. To go uderzyło.

— Na rany boskie. Mary Lou! Tobie się wydaje, że wszystko wiesz. Zatrzasnął drzwi łazienki i popatrzył na swoje odbicie w lustrze. „Jesteś zadowolony? — odezwało się jego sumienie. — Zradziłeś tajemnicę swojej klientki i zraniłeś uczucia własnej żony. Za jednym zamachem. I co teraz wymyślisz mądrego?”

Zanim skończył się myć, Mary Lou wyszła z domu zostawiwszy krótką informację. Soboty zawsze spędzali razem, robiąc zakupy i chodząc do kina, a kiedy w końcu wracali do domu, Mary Lou zajmowała się porządkami, a on mógł wyciągnąć się na kanapie i oglądać sport w telewizji. A teraz, dzięki pani Deenie Swanson, ten dzień był zrujnowany od samego rana.

Miał zamiar zadzwonić do Jerry'ego i powiedzieć mu, gdzie ma sobie wsadzić ten milion. Ale przecież Jerry mógł mieć jednak rację, może powinni zatrzymać te pieniądze i po prostu czekać, może nic się nie stanie. Deena Swanson nie wyglądała na niebezpieczną morderczynię. Była bardzo bogatą kobietą i miała jakiegoś wroga — ale przecież nie posunie się do morderstwa, i to doskonałego. A zresztą, co on albo Jerry mogli zrobić? Rozmowa to rozmowa, a umowa między prawnikiem i jego klientem była święta. Dlaczego więc wygadał wszystko Mary Lou i na dodatek popsuł taki wspaniały dzień? Dlatego, że go to irytowało. Było w tym coś podejrzanego. Czuł się schwytyany w pułapkę. Z drugiej strony, nic nie mógł na to poradzić.

Odruchowo podniósł słuchawkę i wybrał numer Lucky. Nie widział się z nią od kilku tygodni i miał ochotę z nią porozmawiać. Lucky była dla niego kimś specjalnym — przyrodnią siostrą i niezwykłą kobietą, która tak bardzo wzbogacała jego życie, szczególnie od kiedy Carrie, jego matka, umarła we śnie na atak serca. Stevenowi brakowało Carrie. Sama go wychowywała i pomimo ciężkich warunków, szczególnie na początku, udało jej się wpoić mu poczucie pewnych wartości, zapewnić doskonałą edukację i szansę na sukces.

Wiele lat Carrie nie mówiła prawdy o ojcu — twierdziła, że ojciec Stevena umarł, kiedy on był małym chłopcem. Pewnego dnia Steven dowiedział się

prawdy Był synem Gina Santangelo, z którym Carrie spędziła tylko jedna noc, i któremu nigdy nie powiedziała, jaki był tego skutek.

Ta prawda była trudna do przyjęcia również dla Gina, ale w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy udało im się nawiązać w miarę normalny kontakt. Nie byli dla siebie synem i ojcem, ale zachowywali dużą dozę wzajemnego szacunku.

Z Lucky było inaczej. Natychmiast uznała go za przyrodniego brata i obdarzyła ciepłem. A gdy Carrie jeszcze żyła, Lucky i ją uznała za członka rodziny. Właśnie za to Steven bardzo ją kochał. Była wyjątkową kobietą

W mieszkaniu Lucky zgłosiła się automatyczna sekretarka. Steven zostawił wiadomość i zadzwonił do Gina.

— Może zjemy razem lunch? — zaproponował.

— Co się z wami dzieje, dzieciaki? — gderał Gino. — Paige przyjechała czy to nic dla was nie znaczy?

Stevena bardzo uradowało, że Gino nazwał go swoim dzieckiem. Przychodziło im to z trudnością, ale powoli zbliżali się do siebie.

— A jeśli zaproszę was oboje? — zapytał.

— Kiedy Paige jest ze mną, ja nic nie jem — odparł Gino. — Wiesz jak to jest.

— W porządku, przepraszam, że pytałem.

— Nie przepraszaj, zadzwoń w poniedziałek.

Paige Wheeler miała na sobie brązowy, koronkowy pas do pończoch jedwabne pończochy, wysokie szpilki, profilowany biustonosz — i nic więcej! Chociaż miała prawie pięćdziesiąt lat, wciąż była atrakcyjną kobietą ze swoją figurą godną Wenus, bujnymi włosami koloru miedzi, ciepłym głosem i zmysłowym uśmiechem.

Ginowi, który w swym życiu miał więcej kobiet niż większość gwiazdorów rocka, zawsze było jej mało. Stanowiła dla niego doskonałą towarzyszkę starości — inteligentna, bezczelna przyjaciółka, która lubiła Franka Sinatrę uwielbiała seks, i z którą można było porozmawiać nie tylko o ciuchach.

— Kto dzwonił? — spytała Paige, gdy Gino odłożył słuchawkę

— Steven. Chciał zabrać nas na lunch. Powiedziałem mu, że nie ma mowy.

- Dlaczego? - Paradowała przed nim, preżąc nogi w tanecznych figurach.

— A jak ci się zdaje? — spytał Gino, przyciągając ją do siebie. — Czy ktoś ci mówił, że jesteś gorącą kobietą?

Uśmiechnęła się.

— Tak, Gino, ty. Bez przerwy. I kocham cię za to.

Położył rękę w miejscu, gdzie kończyła się jej pończocha i powiedział— Uklęknij i powtórz to.

— Dobrze, skoro nalegasz. Ale pozwól, że ci przypomnę — dama nigdy nie mówi z pełnymi ustami!

Kiedy skończyli, Gino opadł na łóżko czując jak wali mu serce. „Spokojnie, stary — uspokajaj sam siebie. — Nie jesteś znowu taki młody”.

Kiedy rytm jego serca wrócił do normy, Gino pomyślał o Stevenie. Żałował, że zbył go w taki sposób. Sięgnął po telefon i wykręcił jego numer. Nikt nie podnosił słuchawki.

Paige spała twarzą w dół na rozgrzebanym łóżku. Wspaniała kobieta. Przy niej nie nawiedzały go cienie przeszłości.

Wstał i podszedł do szafki. Otworzył kluczem górną szufladę i wyjął stamtąd pudełko od Harry'ego Winstona. W środku znajdował się duży diamentowy pierścień. Poprzednio także kupował Paige prezenty — zwykle na 47 ulicy, gdzie miał znajomości i nie musiał przepłacać. Ale ten pierścionek to co innego. Kupił go w detalu. Jeśli Paige zechce, może go mieć. Był tylko jeden drobny warunek. Jeśli chce go mieć, musi wziąć rozwód z Wheelerem i wyjść za niego. Koniec z wymówkami.

Gino Santangelo czekał już dość długo.

Brigette liczyła dni do wakacji. Piętnastego czerwca będzie wolna na resztę lata. Z jaką ulgą wymknie się z młyna dusznej, nudnej szkoły! Rozmawiała już ze swoją babką o planach wakacyjnych z Lenniem i z Lucky. Charlotte nie miała zastrzeżeń. — Co tylko chcesz, moja droga — powiedziała niejasno, prawdopodobnie uradowana, że się jej pozbędzie.

Siedząc na lekcji angielskiego Brigette wyobrażała sobie, jak wspaniale będzie się bawić. To zupełnie co innego niż ranne pobudki, zadawanie się z gromadą głupich, nieprzyjaznych dziewczyn i wsłuchiwanie się w nużące wykłady nauczycieli na tematy, które wcale jej nie interesowały. Malibu z Lenniem i z Lucky będzie wielkim przeżyciem.

— Stanislopoulos! — przerwał jej marzenia pan Louthe, nauczyciel angielskiego. Był to siwy mężczyzna z wystającymi przednimi zębami i sumiastym wąsem.

— Możesz powtórzyć, o czym właśnie mówiłem? Brigette popatrzyła na niego, jakby właśnie obudzona.

— Co?

W sąsiedniej ławce dwie koleżanki szepnęły do siebie „Co?” i wybuchnęły cichym chichotem.

— Cisza! — rozkazał pan Louthe. — Przyjdź do mnie po lekcji, Stanislopoulos.

Brigette jęknęła w duszy. Spóźni się na trening tenisa — jedyną przyjemność w tej szkole. Pan Louthe był znany ze swych umoralniających wykładów.

Po lekcji podeszła do jego biurka. Pan Louthe przeglądał jakieś papiery i musiała czekać kwadrans, aż skończy. Wreszcie podniósł wzrok zza biurka.

— Stanislopoulos — zaczął. — Będę mówił krótko. „Dzięki Bogu” — pomyślała.

— Jesteś inteligentną dziewczyną — i bardzo ładną.

Tylko nie to! Czy on też czegoś od niej chciał? Od pamiętnego doświadczenia z Santino Bonnattim Brigitte nie zamierzała pozwolić żadnemu mężczyźnie na coś, na co sama nie będzie miała ochoty.

— A także jesteś osobą bardzo samolubną i nietowarzyską. „Stokrotne dzięki!” — pomyślała z goryczą.

— W życiu — ciągnął pan Louthe głębokim głosem — za wszystko trzeba płacić jakąś cenę. I nie mam na myśli pieniędzy. Musisz zrozumieć, młoda damo, że pomimo wszystkich twoich znajomości i twojego bogactwa, nie będziesz szczęśliwa, spędzając dni, tygodnie i miesiące we własnym małym kokonie. Nauka, czynność, lektura, zadawanie się z innymi ludźmi, dawanie z siebie jak najwięcej — to wszystko są doświadczenia wieku dojrzewania. Naucz się dojrzewać, panno Stanislopoulos, a może znajdziesz jakiś sens w życiu. Dziękuję. Możesz odejść — pochylił się nad biurkiem i wrócił do przerwanej pracy.

Brigitte była oszołomiona. Jak on śmie tak do niej mówić! Potrafiła się uczyć — tylko nie była to rzecz, na której specjalnie jej zależało. Umiała być uczynna — ale po co właściwie? A co do zadawania się z innymi — no cóż, to oni nie chcieli zadawać się z nią, czyż nie?

Po drodze do akademika nie przestawała o tym myśleć. Co on w ogóle wiedział o jej życiu? Co go to obchodziło? Kretyn. Stary kretyn. Stary kretyn z głupimi wąsami! Nie wiadomo dlaczego się rozplakała. Potoki łez płynęły z jej oczu, jakby razem z nimi pozbywała się całego bólu, frustracji i krzywd, które nawarstwiały się przez ostatnie lata.

Przyszło jej do głowy, że popłakała się pierwszy raz od śmierci Tima Wealtha i koszmarnych wydarzeń, jakie po niej nastąpiły.

Kiedy łzy wyschły, Brigitte poczuła się lepiej. Zauważyła nagle, że Nona, jej ostatnia współlokatorka, stoi w drzwiach. Boże! Do tego wszystkiego będzie teraz uchodziła za beksę.

— Co się stało? — spytała Nona tonem współczucia. Brigitte przetarła oczy.

— Nic. Zakrztusiłam się.

— Rozumiem — odparła Nona. — Mnie też się to często zdarza. Szczególnie kiedy muszę wysłuchać przemowy pana Louthe.

— Nie było tak źle.

Zauważyła, że robi coś, czego unikała aż do tej chwili — prowadzi rozmowę.

— No dobrze — powiedziała radośnie Nona — uciekam stąd. Mam sprawy w mieście — wzięła swoją torebkę i zawahała się przez moment. — Ty pewnie nie masz ochoty się przejść, co?

Normalnie Brigitte odpowiedziałyby, że nie, i byłoby po wszystkim. Ale tym razem było inaczej. Tym razem po raz pierwszy zaczęła nawiązywać przyjaźń.

— Wręcz przeciwnie. Bardzo chętnie pójde

Odpowiedź zaskoczyła Nonę. Dziewczyny zabijają ją za to, że ciągnie ze sobą to nieszczęsne bogate dziecko — ale nie mogła postąpić inaczej, Brigitte wyglądała na zagubioną i samotną.

— No to chodź — powiedziała ciepło, biorąc ją za ramię. — Nie wiem jak ty, ale dla mnie im szybciej wydostaniemy się z tego więzienia, tym lepiej.

Rozdział dziesiąty

Sytuacja wymagała energicznego działania i Lucky czuła się ogromnie tym podniecona. Przede wszystkim poleciała coneordem do Londynu odwiedzić Bobby'ego. Był nie tylko zdrowy i przystojny, ale i czarujący ze swoim brytyjskim akcentem. Gino by tego nie wytrzymał!

Później poleciała do Los Angeles, żeby spędzić parę dni z Lenniem, zanim wyruszy na spotkanie swojej przygody. Wszystko musiało być przygotowane na czas jej sześciotygodniowej nieobecności.

W ich wynajętym domu w Malibu powitał ją Miko, mały japoński służący.

Powiedział, że spodziewa się pana Goldena w domu o siódmej. Lucky była zadowolona. Nie uprzedziła Lenniego o swej wizycie, uważając, że niespodzianka sprawi im obojgu więcej radości. Teraz miała jeszcze kilka godzin na relaks.

— Słuchaj, Miko — powiedziała wręczając mu zwitek banknotów. — Masz tu pięćset dolarów za natychmiastowe zniknięcie. Wystarczy ci na hotel i wydatki. Nie chcę cię tu widzieć przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Rozumiemy się? Miko przyjął pieniądze z lekkim, kurtuazyjnym ukłonem.

— Już znikam, proszę pani — powiedział doskonałą angielszczyzną. Pozbywszy się Mika, otworzyła okna wychodzące na plażę, ułożyła poduszki na dużych trzcinowych łózkach, włączyła płytę Luthera Vandrossa, po czym zadzwoniła do Trader Vic's i zamówiła ulubioną potrawę Lenniego, indonezyjską pieczeń z jagnięcia, na godzinę dziewiątą wieczorem, a wreszcie zrobiła sobie małego drinka. Kiedy wszystko było gotowe, wzięła długi prysznic, i narzuciła na gołe ciało białe szorty i koszulkę — Lucky rzadko zadawała sobie trud noszenia bielizny, nie wiedziała za bardzo po co. Upięła na głowie swoje ciemne, długie włosy, uszmkowała delikatnie usta i pudrem podkreśliła ostro zarysowane kości policzkowe.

Po trzydziestce Lucky stawała się coraz piękniejsza — ale swoją urodę traktowała od niechcenia. Nie była przewrażliwiona na punkcie własnej osoby.

Plaża wyglądała zachęcająco. Nadchodził zmierzch i kilka osób uprawiało jogging na brzegu oceanu. Dokoła biegały ich psy, a jakiś samotny pływak odważnie zanurzał się w chłodnej wodzie Pacyfiku.

Spędziła w tym domu zaledwie kilka sobót i niedziel, a jednak czuła się w jakiś sposób przywiązana do tego miejsca — było takie spokojne i ciche. Nie słyszało się warkotu samochodów na pobliskiej autostradzie Pacific Coast, tylko kojący rytm fal uderzających o brzeg.

Może powinni kupić ten dom, zastanawiała się. Nie żeby aż tak uwielbiała Kalifornię, ale będąc właścicielką studia Panther, może spędzać tu z Lenniem więcej czasu. Do zrobienia: zadzwonić do pośrednika handlu nieruchomościami i dowiedzieć się, czy ten dom jest na sprzedaż.

Dochodziła siódma. Przygotowała drinki, nalała swój do zimnej szklanki i usiadła przed domem patrząc na plażę.

Luther uspokajał ją swoją *Superstar*.

Oparła się wygodnie, zamknęła oczy i zapadła w niespokojny sen.

Cristi naprawdę próbowała go poderwać w typowo kalifornijski sposób. Przez cały dzień nie ustawała w wysiłkach. Nie narzucała się, ale Lennie więcej niż zdawał sobie sprawę z jej intencji.

— Zabieram mojego kociaka do Spago, chcecie pojechać z nami? — zaproponował Joey, ciesząc się z góry na myśl o możliwościach, które taki wyjazd mógł stworzyć. Dzielił wszystkie kobiety na kociaki i babki. Kociakami określał te apetyczne, a Cristi z pewnością do nich należała.

Lennie powiedział, że nie chce.

— Wolisz jeździć do pustego domu na plaży, zamiast na pizzę z przyjaciółmi? — Joey starał się wyglądać na urażonego, ale Lennie nie dał się nabrać.

Joey Firello był niski i zylasty, z wydatnymi wargami, indiańską twarzą i mnóstwem niespożytkowanej energii. Nie był przystojny w powszechnym rozumieniu tego słowa, a jednak wyglądało na to, że ma powodzenie u kobiet.

— One wszystkie chcą się mną opiekować — mówił z niewinną miną. — Słuchaj, jeśli kiedy któreś odmówię, to już po mnie.

Joey służył Lenniemu pomocą, gdy ten pierwszy raz przyjechał do Los Angeles, właśnie wylany z kabaretu w Las Vegas i splukany do nitki. Joey, który wówczas sam dopiero stawał na nogi, znalazł Lenniemu pracę w legendarnym klubie Foxie na Hollywood Boulevard i zawsze był przy nim, gdy Lennie go potrzebował. Lennie nie zapominał o wdzięczności, więc kiedy jego własna kariera znacznie wyprzedziła karierę Joeya, który w dodatku staczał się w szybkim tempie na skutek zażywania kokainy, Lennie zawsze znajdował przyjacielowi jakąś rolę w każdym ze swoich filmów. Joey powoli wychodził z dołka.

— To co, przyjdiesz na kolację?

— Może pozwolę ci postawić mi pizzę — odparł Lennie, ustępując wreszcie.

W końcu, jego dom w Malibu był pusty, i za towarzysza miał tam jedynie Mika. Do tego był zmęczony ciągłym poprawianiem scenariusza, co i tak do niczego nie prowadziło.

Joey wyglądał na zadowolonego, od tygodni próbował wyciągnąć Lenniego z domu.
— Pojedziemy do mnie, możesz walnąć sobie prysznic, a potem zrobimy taaaką imprezę. Na całą noc!

— Kolację, Joey. To wszystko. Joey przybrał wyraz rozczarowania.

— Kolację, Joey — przedrzeźniał przyjaciela. — Kurde, gdzie się podział ten rozrywkowy facet, którego znałem? Gdzie jest nasza dusza towarzystwa?

— Ożenił się — odparł Lennie.

— No właśnie, ożenił się — ale przecież nie umarł.

Dzwonek obudził Lucky. Wyrwana ze snu, drżała z zimna. Chłodny wiatr hulał po plaży, woda oceanu była czarna, a fale huczały groźnie. Przelotne spojrzenie na zegarek powiedziało jej, że jest dziewiąta. Pobieгла przez nieoświetlone pokoje do drzwi i wpuściła do środka kelnera z Trader Vic's, który przyniósł zamówione danie w zapieczętowanych kartonach. Kazała mu zostawić je w kuchni i odejść.

Już dziewiąta — gdzie więc był Lennie? Miko powiedział, że spodziewa się go o siódmej, a ona jak ostatnia idiotka'nie upewniła się, bo chciała sprawić mu niespodziankę, najwyraźniej nie była aż tak sprytna. Lennie spędzał wieczór poza domem, a ona nie miała pojęcia, gdzie go szukać. „Sama jesteś sobie winna, Santangelo — czyniła sobie wyrzuty. — To cię nauczy spodziewać się tego, co najmniej prawdopodobne”.

Zastanawiała się, czy Abe Panther nie śpi, czy groźna Inga kładła go do łóżka o ósmej? Miała ochotę porozmawiać z tym staruszkim. Lubiała go za to, że był inteligentny i przebiegły.

Morton Sharkey nalegał, aby dwóch psychiatrów i lekarz zbadało niezależnie od siebie Abe'a, zanim Lucky podejmie decyzję.

— A jeśli on umrze? — pytał. — Albo, jeszcze gorzej, jeśli umrze, a rodzina zakwestionuje stan jego umysłu przed śmiercią? Musimy się przed tym zabezpieczyć.

Abe nie robił trudności. Tak jak Lucky, bawiła go ta gra. Wprowadził w tajniki umowy własnego prawnika i wszystkie szczegóły sprawy zostały starannie dopracowane. Teraz ich umowa była niepodważalna. Od poniedziałku Lucky ma stać się inną kobietą. Nie mogła się tego doczekać!

Joey znał wszystkich w restauracji, więc spokojna z początku kolacja zaczęła nieuchronnie przeradzać się w chaos.

— Czas na mnie — oświadczył Lennie o dziesiątej piętnaście. Miał już tego dosyć. Joey zrobił zawiedzioną minę. Otaczały go kobiety wszystkich kształtów, odcieni i rozmiarów.

— Możliwe, że mam talent, ale sam nie dam sobie rady. Nie możesz mnie zostawić, stary.

— No to uważaj — Lennie wstał od stołu.

— Możesz mnie podrzucić do mojego samochodu? — poprosiła Cristi. — Nigdy nie przepadałam za grupowymi przesłuchaniami.

Jak mógł odmówić Miss Kalifornii?

— A nie zostajesz z Joeyem? — spytał nie całkiem szczerze. Popatrzyła na pozostałe siedem dziewcząt, które spijały słowa z ust Joeya.

— Daj spokój, Lennie — mówiąc to odsunęła krzesło od stolika i wstała, nie pozostawiając mu wyboru. Teraz już musiał ją zabrać.

— Pa, Joey! — zupełnie przypadkowo oboje powiedzieli jednocześnie to samo.

Joey podniósł w górę kciuk. Po czterech wódkach i kilku wdechach kokainy (wąchanej ukradkiem, gdyż po kilku okresach odwyku twierdził, że uwolnił się od nałogu) Joey leciał już dalej sam.

Instynktownie Lennie poprowadził Cristi do tylnego wyjścia, za którym znajdował się parking. Zdarzało się, że fani i reporterzy czaili się przy głównym wyjściu, a on nie chciał, żeby go przyłapano. Chociaż sytuacja była całkiem niewinna, nie miał ochoty być fotografowanym z Cristi — a poza tym wolał nie wystawiać wyrozumiałości Lucky na próbę.

Rozsiadłszy się wygodnie na siedzeniu jego ferrari, Cristi westchnęła lekko i... Miss Kalifornii w każdym calu powiedziała po prostu:

— Bardzo chciałabym się z tobą pokochać, Lennie.

Powiedziała to tak rzeczowym tonem, że Lennie z początku nie zrozumiał. Ale kiedy zilustrowała swe słowa, kładąc jedwabistą dłoń na jego kroczu, Lennie nie miał już wątpliwości.

Założywszy gruby sweter i parę wypłowiałych džinsów, Lucky wybrała się na spacer po plaży. Była pusta, wietrzna i ciemna. Lucky trzymała się blisko brzegu, słuchając jak fale uderzają o piasek. Ta samotność odpowiadała jej, przynosiła wspaniałe uczucie spokoju. Brak towarzystwa nigdy jej nie przeszkadzał. Za wyjątkiem brata, Daria, większość dzieciństwa Lucky spędziła samotnie i zdążyła się do tego przyzwyczaić. Zadrzała myśląc o bracie. Kiedyś byli dla siebie wszystkim, dzielili najtajniejsze sekrety — do czasu, kiedy Lucky została wysłana do szkoły w Szwajcarii. A kiedy ją z niej wyrzucono, Gino zmusił ją do ślubu z synem senatora Petera Richmonda, Cravenem. Gino sądził, że powinna być mu za to wdzięczna. Ha! Wdzięczna! Pokazała mu.

Pamiętała pierwszą miłość swego życia — Marca. Przystojny Marco, o ciemnych kręconych włosach, śródziemnomorskich rysach twarzy, i muskularnej budowie ciała. Marco... Kochała go, gdy miała piętnaście lat, a spała z nim, gdy miała dwadzieścia dwa. Najpierw należał do ochrony osobistej Gina, a później został menedżerem kasyna. Kiedy Marco został brutalnie zastrzelony, Lucky trzymała go w ramionach i czuła jak uchodzi z niego życie. Zemsta przyniosła jej zadowolenie. Lucky była przede wszystkim córką Gina Santangelo.

Gino zawsze uważał ją za szalone dziecko. Teraz była dorosłą kobietą i miała wszystko, czego zapagnęła. Włącznie z Lennie. Rozśmieszał ją. Był jej opoką, miał na nią kojący wpływ. Był zabawny, ciepły i kochający. Czuli się bezpieczni, kiedy byli razem. Lennie dał jej więcej siły, niż kiedykolwiek sądziła, że ma, i kochała go za to. Dlatego chciała mu się odwdziaczyć — a co może być lepszym prezentem od studia filmowego?

Wiatr rozwiał jej włosy, które muskały teraz jej twarz.

Czas wracać.

Na ułamek sekundy, instynktowna męska reakcja: „Czemu nie? Przecież nikt się nie dowie”. Ale po chwili Lennie odsunął jej zuchwałą rękę, wrzucił bieg i powiedział: — Dziękuję, ale nie. Nie mam ochoty.

Najwyraźniej Cristi została wzgardzona po raz pierwszy w swym młodym i upojnym życiu. Lennie musiał przyznać, że przyjęła to z godnością.

— Mój samochód stoi u Joeya — powiedziała bez wahania.

Lennie skręcił w Bulwar Zachodzącego Słońca, a następnie w Nichols Canyon. Jechali w milczeniu.

Joey mieszkał w połowie drogi na wzgórzu — duży dom w opłakanym stanie, z przepięknym widokiem i węzami kryjącymi się w krzakach. Kiedy się zatrzymali, Lennie pochylił się i otworzył drzwi.

— Nie przejmuj się mną — powiedział czując, że powinien dać jej do zrozumienia, co naprawdę czuje. — Jestem po prostu szczęśliwym małżonkiem.

Ale Cristi nie była urażona.

— Kto się przejmuje? Jeszcze zmienisz zdanie — odparła, pewna siebie i śliczna, kiedy wysiadła z samochodu i szła do drzwi frontowych domu Joeya. Gdy odwróciła się po raz ostatni, światło na tarasie błyszczało w jej włosach.

Gdyby nie Lucky, wszystko byłoby inaczej...

Nie mógł się doczekać, aż wróci do domu i zadzwoni do Nowego Jorku, do swej pięknej żony.

Lucky zawróciła w stronę domu. Plaża była nadal bezludna. Fale wciąż uderzały o brzeg z tą samą monotonną regularnością. Ze strachem pomyślała o bestiach, czających się w wodzie. Czytała ostatnio, że rekiny podpływają blisko brzegu.

Wiedziała, że nie mogą wyjść z wody i wślizgnąć się na piasek plaży, ale poczuła nagle przejmujące pragnienie znalezienia się z powrotem w bezpiecznym domu.

Ferrari Lenniego wydało zgrzyt, jakiego drogie włoskie samochody nigdy nie powinny wydawać, i zatrzymało się nieodwołalnie pośrodku Bulwaru

Zachodzącego Słońca — naprzeciwko klubu Roxy, gdzie grupki nacpanych, długowłosych fanów czekały na następny koncert heavymetalowy.

— Cholera — mruknął Lennie. Potrzebne mu to było jak kiła.

Wóz policyjny zawrócił i zatrzymał się przed jego ferrari. Wysiadł z niego dziwnie przystojny jak na policjanta mężczyzna w dobrze dopasowanym mundurze. Energicznym krokiem zmierzał w stronę Lenniego. Wielki kutas z wielkim rewolwerem — połączenie nie do przebiccia.

— Mamy mały problem? — zagadał południowym akcentem.

— Nic takiego, wystarczy nowy silnik — odparł Lennie.

— Czy pan nie jest... — gliniarz zawahał się na chwilę, upewniając się, czy nie zawodzi go pamięć — Lennie Golden! — wykrzyknął triumfalnie. — Z pana to dopiero śmiechowy gość!

„Szczęście, to spotkać policjanta, który jest twoim fanem” — pomyślał Lennie. Z reguły bywało odwrotnie i gliniarze potrafili zejść mu za skórę tylko dlatego, że był sławny.

— Musimy cię chyba stąd zabrać, zanim zrobi się zbiegowisko — powiedział policjant stojąc beczynnie, podczas gdy sznur samochodów zatrzymywał się za unieruchomionym wozem i zaczynały trąbić pierwsze klaksony.

— To byłoby bardzo miło z pana 'strony — powiedział Lennie.

— Przyjechałem do Los Angeles dziesięć la temu — ciągnął przyjaźnie gliniarz. — Chciałem zostać aktorem, ale jakoś mi nie wyszło — bawił się rewolwerem w kaburze. — Ale praca gliny też nie jest zła. Czasami czuję się zupełnie jak aktor. Kobiety szaleją za mundurem — uśmiechnął się, zadowolony z siebie. — Kapujesz, nie?

— Jasne — odparł równie przyjaźnie Lennie, pragnąc, żeby ten frajer zrobił w końcu co do niego należy.

— Pewnie za tobą też szaleją — powiedział gliniarz i mrugnął do Lenniego porozumiewawczo. — Rozkosze sławy, co?

Lennie zignorował jego uwagę.

— Mamy zadzwonić po pomoc drogową, czy co? — spytał, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

Policjant przeciągnął serdelkowatym palcem po błyszczącym lakierze ferrari.

— Jak będziecie kiedyś potrzebowali do filmu prawdziwego gliniarza, dzwońcie do Mariana Wolffa.

— Do kogo? — Lennie zmarszczył brwi.

— Marian Wolff. To moje nazwisko. Rozumiesz, moja matka sądziła, że skoro Johnowi Wayne można było dać na imię Marian, to i dla mnie będzie dobre. I wiesz, co ci powiem? Moja stara miała rację. Lubię to imię. Ma charakter. Jak myślisz?

Lennie potrząsnął głową, w myślach przetwarzając całe to zdarzenie na komediowy skecz. On sam nie grał już takich rzeczy, przeszedł przez to dawno temu, ale mógł z tego zrobić niezły kawałek dla Lettermana czy Carsona.

Starszy policjant wysiadł z wozu patrolowego, olbrzym o słoniowym kroku.
— Marian! — wrzasnął tubalnym głosem. — Co się tam, kurwa, dzieje? Chcesz mieć zajebisty korek na całym, kurwa, bulwarze, czy co? Zabieraj stąd to błyszczące włoskie gówno.

— Wally, posłuchaj — oświadczył z dumą pierwszy. — Ten facet to Lennie Golden. Na starym nie zrobiło to większego wrażenia. Splunął z obrzydzeniem na ziemię.

— Marian — powiedział zmęczonym głosem — a kogo to, kurwa, obchodzi?

Lucky przyszło do głowy, że Lennie może ją zdradzać. Nigdy przedtem o tym nie myślała, ponieważ czuła, że ich związek jest w jakiś sposób wyjątkowy, i że żadne z nich nie będzie ryzykować jego zniszczenia. Zazdrość była uczuciem, z którym Lucky nie bardzo potrafiła sobie poradzić. Wiedziała, że Lennie jest atrakcyjnym mężczyzną, a do tego bardzo sławnym i bardzo napalonym — a ona zaniedbywała go przez kilka ostatnich tygodni, bo tak bardzo zaangażowała się w sprawę kupna studia Panther. Nie potrafiła się opędzić od myśli: „A jeśli... A jeśli Lennie jest z inną kobietą...? A jeśli jest więcej niż jedna kobieta...? A jeśli...?”

Dzwonek telefonu przerwał jej rozważania.

— Słucham? — spytała podniesionym głosem.

— Kto mówi?

— To ja pytam, kto mówi!

— Lucky?

— Lennie?

— GDZIE JESTEŚ?! — oboje krzyknęli jednocześnie.

Upłynęła prawie cała godzina, zanim taksówka zatrzymała się na podjeździe. Lucky wybiegła przed dom, rzucając się w ramiona Lenniego, który tulił ją i całował — długi, miłosny pocałunek, który prawie zahipnotyzował taksówkarza.

— Zapłać kierowcy — powiedziała Lucky, wyswobodziwszy się z jego objęć. — Potem chodź do domu, zamknij drzwi, włącz automatyczną sekretarkę i nie rozmawiaj z nikim przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

— Niezły plan — zażartował taksówkarz.

— Do widzenia — powiedział Lennie odprawiając dowcipnisią.

W chwilę potem padli oboje na łóżko, rozkoszując się swym dotykiem i zapachem. Żadnych słów. Najpierw miłość. Natychmiastowe, czyste, podniecające pożądanie opanowało Lenniego, kiedy przypominał sobie jej ciało, jedwabistą skórę, dotyk długich włosów i wilgoć warg.

Lucky zatopila się bez reszty w jego rytmie, oddając się namiętnie jego dłoniom, nogom, całemu ciału. Obejmowała go jak niewolnika swego pożądania.

— Kocham panią — szepnął Lennie, gdy zbliżali się do szczytu.

— I ja cię kocham, mężu — zdołała odpowiedzieć Lucky, zanim zatraciła się w orgazmie trwającym, zdawało się, całą godzinę.

Później, w łóżku, zjedli odgrzaną indonezyjską pieczeń z sosem i chińską fasolką. Jedli palcami z talerzyków, odgryzając kawałki mięsa, maczając je w gęstym sosie, karmiąc się wzajemnie i chichocząc przy tym jak dwoje stukniętych nastolatków.

— Nie zamierzam wstawać z tego łóżka — powiedział szczęśliwy Lennie. — To jest to, proszę pani. To jest to.

— Długo czekaliśmy na tę chwilę — powiedziała cicho Lucky.

— To prawda. Zmarnowaliśmy kupę czasu.

— Nie zmarnowaliśmy, Lennie. Teraz jesteśmy razem, i zostaniemy razem na zawsze. Oboje o tym wiemy, prawda?

Ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją namiętnie. Lucky głaskała jego tors, zsuwając dłoń coraz niżej. Ku jej radości Lennie zareagował natychmiast.

— Nie chciałabym cię poznać, kiedy miałeś dziewiętnaście lat — żartowała. — Założę się, że byłeś najbardziej napalonym facetem w okolicy!

— Nie mów tak. Chciałabyś mnie poznać, kiedy miałem dziewiętnaście lat. To twoje życiowe marzenie, prawda?

— Prawda! — Lucky się roześmiała.

— Kocham cię, piękna pani.

— Tak?

— Tak.

Popatrzyli na siebie.

— Podaj mi sos orzechowy — powiedziała Lucky z tajemniczym uśmiechem. — Mam pewien plan.

— Jaki plan? — Lennie udawał wystraszonego.

— Połóż się i nie zadawaj tyle pytań.

Obudzili się dopiero przed południem, i natychmiast przytulili się do siebie, jakby był to najbardziej naturalny gest na świecie. Na zewnątrz, słońce próbowało przebić się przez zaciągnięte rolety i jakiś pies ujadał bez końca.

Znów się kochali, wolno, leniwie — a kiedy skończyli, Lennie zapytał:

— Co moja ukochana chciałaby dzisiaj robić?

Lucky przeciągnęła się na łóżku i posłała mu czarujący uśmiech.

— Wykąpać się z tobą. Pójść z tobą na spacer po plaży. A potem wrócić jak najszybciej do łóżka.

— Zanoszą się na wspaniały dzień — odpowiedział z uśmiechem. — Tylko może byśmy sobie darowali kąpiel i spacer?

— Nie sądzisz, że potrzebujemy trochę ćwiczeń fizycznych?

— Mam dla ciebie takie ćwiczenia fizyczne, że nawet Jane Fonda ich nie zna!

— Naprawdę?

— Będę twoim osobistym trenerem.

— To świetnie.

Dopiero później zaczęli rozmawiać. Lennie jak zwykle skarżył się na film, a Lucky słuchała go cierpliwie, z radością myśląc, że już wkrótce jej mąż nie będzie musiał się tym martwić.

— Co napiszę nowy dialog, reżyser mówi: „Świetnie Lennie, kapitalny tekst”. A następnego dnia nie chce tego kręcić. Interesuję się każdym szczegółem, staram się im radzić — nie słuchają. Chryste Panie, przecież ja to robię dla nich za darmo — mogliby chyba to wykorzystać, nie?

Lucky potwierdziła skinieniem głowy i zaczęła masować jego kark. Lennie leżał twarzą w dół, pierwszy raz od kilku tygodni szczęśliwy i spokojny. Lucky była jedyną kobietą na świecie, która potrafiła uwolnić go od nerwowego napięcia; tylko przy niej czuł się tak dobrze.

— Musimy pomyśleć, jak cię wyciągnąć z tego kontraktu — powiedziała.

Lennie przyznał się do porażki.

— Miałaś rację, jak zwykle. Muszę pomówić z moim adwokatem.

— Zaczekaj, aż skończysz film. Wtedy będzie czas na kolejny ruch.

— Tak, chyba tak. Jak to się dzieje, że ty masz zawsze rację? Roześmiała się.

— Bo jestem córką Gina, on mnie wszystkiego nauczył.

— I to dobrze!

— Bardzo dobrze. Pamiętaj o tym, mężu. Przysunął się do niej i objął ją.

— A teraz najważniejsze. Kiedy przyjedziesz do Acapulco? Potrzebuję cię tam od zaraz.

A więc nadeszła ta chwila. Lucky wzięła głęboki oddech.

— Lennie, właśnie miałam ci o tym powiedzieć.

— Co? — spytał podejrzliwie.

— Tylko się nie denerwuj — ostrzegła.

— Co? — powtórzył z naciskiem.

Lucky zaczęła swą starannie przygotowaną mowę.

— Dobijamy właśnie duży interes z Japończykami i muszę się tym zająć osobiście. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę wolna za parę tygodni. Wtedy odwiedzę Bobby'ego w Londynie i może zostanie kilka dni w biurze w Nowym Jorku. Potem jestem twoja.

— Żartujesz — powiedział Lennie zrozpaczonym głosem.

— Nie.

— Lucky! — powiedział ostro. — Przecież mi obiecałaś Acapulco.

— Przyjadę tam — skłamała.

— Kiedy?

— Jak tylko będę wolna.

Lennie usiadł na łóżku zdenerwowany.

— Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć.

— Ja też nie jestem tym zachwycona. Ale ci Japończycy mają swoje zwyczaje w interesach — sięgnęła po papierosa. — Jasne, że mogłabym wysłać kogoś z szefów przedsiębiorstwa, ale oni chcą rozmawiać ze mną. To dla nich sprawa honoru. Właściciel ich firmy będzie rozmawiał tylko z właścicielem naszej — a do czasu pełnoletności Bobby'ego i Brigitte, tą osobą jestem ja. To bardzo poważny kontrakt, pracujemy nad nim od roku. Nie mogę ryzykować jego utraty.

Na szczęście Lennie nie wiedział nic o działalności Stanislopoulos Shipping — nigdy nie okazywał zainteresowania, a Lucky nie opowiadała mu o tym. Jej historia brzmiała wiarygodnie. — Cholera! — narzekał Lennie. — Dlaczego musiałem się ożenić z potentatem przemysłowym? Przecież ja cię nigdy nie widzę — zeskoczył z łóżka i poczłapał do łazienki.

— Dlatego, że cię tak podniecam! — krzyknęła w ślad za nim — Nudziłbyś się z kimś innym. Przyznaj to, Lennie.

Prysznic zagłuszył jej słowa. Cholera, Lennie przyjął to gorzej, niż się spodziewała. Zgasiła papierosa i weszła za nim do łazienki, pod prysznic, obejmując go od tyłu.

— Przestań — powiedział ostro, próbując się wyswobodzić.

— To ty przestań — odparła, trzymając go mocno. — To tylko opóźnienie. Przyjadę do ciebie. W końcu ty też nie jedziesz tam na wakacje. Będziesz pracował codziennie, a wiesz, że ja nie cierpię roli kury domowej.

— Miałem inne plany — powiedział sięgając po mydło.

— Jakie inne plany? — zapytała, delikatnie ujmując jego genitalia.

— Słuchaj no, tym razem seks nic ci nie pomoże — ostrzegł ją, odwracając się do niej przodem. Ciepła woda spływała strumieniami po ich nagich ciałach.

— Jakie inne plany? — powtórzyła Lucky, klękając przed nim.

— Przestań — spróbował ją odepchnąć, ale bez skutku. Możesz mnie torturować, ile chcesz, i tak ci nie powiem.

Lucky polizła jego twardniejący członek.

— Mów! — nalegała. — Mów, jakie miałeś plany, albo znajdziesz się w poważnych opałach!

— Nic... z tego — jęknął.

Pod wpływem delikatnych pieszczot języka Lucky, Lennie zmienił zdanie. Zaczął ocierać się o jej usta.

Teraz ona odsunęła się od niego.

— Mów — powtórzyła. — Mów, albo będziesz cierpiał. Oboje czuli rosnące podniecenie. Kryzys minął.

Lennie chwycił ją gwałtownie za włosy i przycisnął do siebie jej głowę. Lucky uwolniła się z uchwytu i wyskoczyła spod prysznic.

— Jezu! Jak możesz tak mnie męczyć! — powiedział przez zaciśnięte zęby i rzucił się za nią.

Dopadł ją jednym skokiem. Upadli razem na posadzkę łazienki, nadzy, mokrzy i roześmiani.

— Mam cię! — krzyknął radośnie, rozkładając jej ramiona i przyciskając sobą do podłogi.

A kiedy wszedł w nią wreszcie, słowa znalazły się same, zaskakując i jego, i ją.

— Chcę... mieć... z tobą... nasze dziecko... I... nie chcę... żadnych... wymówek.

Zgoda, Lucky? Zgoda?

Rozdział jedenasty

Pod kierownictwem Mickeya Stolliego, studio Panther bardzo się zmieniło, od kiedy kierował nim Abe Panther. Swego czasu było to jedno z wielkich starych studiów filmowych, którego produkcje wyróżniały się stylem i dobrym smakiem — ale Mickey Stolli zajął się tym, aby studio szło z duchem czasu. Lubił powtarzać na każdym zebraniu zarządu:

— Mamy do cholery lata osiemdziesiąte, nie? Dajmy tym nie mytym kretynom to, co naprawdę chcą oglądać.

Tym, co Mickey chciał pokazywać publiczności, była nieokiełznana przemoc, uzupełniona lawiną nagich tyłków i cycków. Nie subtelność, lecz pornografia. Dziewczęta były bezustannie rozbierane, szantażowane, ranione, gwałcone i mordowane. Oczywiście, na taśmie filmowej. On i jego chętny zespół scenarzystów pozwalali sobie na tyle, na ile mogli. Nie były to filmy pełne pierwszorzędných gwiazd, ale przynosiły krociowe zyski na całym świecie — wszystkie. Zdjęcia były tanie, produkcja łatwa, a reklama prawie darmowa.

Wspaniała Ameryka! Na ekranie mogli upadlać kobiety na każdy wyobrażalny sposób, i o ile seks nie był przedstawiony zbyt obrazowo, nawet morderstwo mogło im ujść ma sucho — dosłownie.

Studio Panther zaczęło specjalizować się w tych tanich produkcjach zaspokajających apetyt widzów na przemoc, dzięki Mickeyowi Stolliemu, któremu nade wszystko był miły widok kasy pełnej pieniędzy. Ale mimo swej władzy, nawet Mickey musiał się zabezpieczać, powstrzymywać własne zapędy i zmuszać swego szwagra, Bena Harrisona, do trzymania gęby na kłódkę. Ben nie przestawał narzekać na denne filmy Mickeya. Dlatego, oprócz tych tanich dziełek, studio Panther podpisywało kontrakty ze znanymi aktorami, płacąc im więcej niż ktokolwiek inny i zapewniając lepsze warunki, na przykład udział w produkcji i własne biura na planie.

Co roku Panther wypuszczało trzy czy cztery prawdziwe hity. Jednym z nich był *Macho Man*, w którym główne role grali Lennie Golden, Joey Firello i Marisz Birch. Był także film *Duma*, dramat miłosny o czarującym oszuście i sprytniej ulicznicy, którego główną atrakcją stanowili: Venus Maria — najnowsza rewelacja kinowych ekranów — i jej partner, a także współreżyser — Cooper Turner. Zanosilo się na to, że oba filmy będą dużymi przebojami.

W postprodukcji mieli już najnowszy film z Johnnym Romano, komedię sytuacyjną *Matkożerca*.

Abigaile Stolli nalegała, aby Mickey angażował do swych filmów wielkie gwiazdy. Dzięki temu jej życie towarzyskie było o wiele ciekawsze.

Szczerze mówiąc, Mickeya niewiele to obchodziło. Gwiazdy sprawiały tylko kłopot, bezustannie opóźniając zdjęcia i oczekując wyższych gaż i większego szacunku, niż zasługiwały. Uważał, że nie mają za grosz samokrytyki.

Mickey stanowczo wolał swoje tanie numery — prosta i szybka praca gwarantowała maksimum zysków. Ale oczywiście musiał liczyć się z Abigaile - w końcu była wnuczką Abe'a Panthera, i tylko dzięki niej zaszedł tak daleko.

A właściwie dokąd?

Znajdował się w przestronnym, klimatyzowanym biurze, większym niż dom, w którym się wychował. Miał czterdzieści osiem lat i sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Był łysy i nie nosił peruki. Miał ciemną, nie znikającą opaleniznę i lśniące białe zęby, których doskonały stan rekompensował łysinę. Dzięki codziennej grze w tenisa utrzymywał świetną kondycję, i tylko gdy był zdenerwowany, w jego ostrym głosie dawał się słyszeć akcent rodem z nowojorskiego Bronxu.

Mickey mieszkał w Hollywood od trzydziestu lat. Przyjechał tu po raz pierwszy mając osiemnaście lat i nadzieję na karierę aktorską. Porzucił ją ostatecznie osiemnaście lat temu, kiedy ożenił się z Abigaile i został współpracownikiem Abe'a. Dziesięć lat temu, gdy Abe'a odwieziono do szpitala po wylewie krwi do mózgu, Mickey zaczął samodzielnie zarządzać studiem.

Mickey Stolli był szczęśliwy. Miał żonę, trzynastoletnią córkę Tabithę (nikt nie wiedział o nieślubnym synu, który urodził mu się tuż przed jego małżeństwem z Abigaile), murzyńską kochankę, dwa domy (w Bel Air i w Trancas), trzy samochody (rolls-royce'a, porsche'a i jeepa) oraz studio filmowe. Czego więcej mógłby pragnąć mężczyzna?

Olive, jego osobista sekretarka z Anglii, weszła właśnie do biura. Była zgrabną, czterdziestoletnią kobietą.

— Dzień dobry, panie Stolli — przywitała go energicznie.

Mickey chrząknął. W poniedziałkowe ranki Olive zawsze przynosiła mu tajny raport o działalności studia w poprzednim tygodniu. I tym razem wręczyła mu go jak zwykle, a Mickey nie zastanawiał się nigdy, ile pracy

musiała wykonać Olive przez weekend, żeby przygotować raport na ósmą rano w poniedziałek.

Mickey przekartkował szybko dokument, dopisując na marginesach kilka notatek. Kiedy skończył, oddał raport sekretarce, polecając przepisać go i uzupełnić jego dopiskami. Później należało dołączyć dokument do akt, znajdujących się w kasie pancernej w jego biurze.

— Sok — rzucił Mickey. — Z marchwi.

Olive pospieszyła do przyległej, lśniącej czystością kuchni i przygotowała świeży sok z marchwi dla szefa. Mickey Stollie był piekielnie wrażliwy na punkcie zdrowia i czystości. Tylko równie jak on wymagającej Olive pozwalał przygotowywać dla siebie ulubione soki z warzyw i owoców.

Kiedy Olive zajęta była przy sokowirówce. Mickey zadzwonił do domu swego szefa do spraw produkcji, Forda Werne'a. Poinformował go, że chce spotkać się z nim osobiście przed zwyczajnym cotygodniowym zebraniem szefów wszystkich departamentów studia. Ford zgodził się, choć nie był szczęśliwy, zmuszony do wyjścia z domu w Palisades godzinę wcześniej niż zwykle.

Popijając sok z marchwi, Mickey zagłębił się w listę gwiazd, z którymi studio Panther miało podpisane kontrakty. Była imponująca. Zawierała sześć nazwisk, sześć wielkich gwiazd ekranu. A Mickey trzymał je wszystkie w garści.

Swego czasu Virginia Venus Maria Sierra była jedynie wychudzonym amerykańskim dzieckiem włoskiego pochodzenia i mieszkała w Brooklynie ze swym owdowiałym ojcem i czterema starszymi braćmi. Opiekując się nimi pracowała jak współczesny Kopciuszek: gotowała, sprzątała, zmywała i prasowała. Cokolwiek było do zrobienia, należało do niej.

Virginia Venus Maria Sierra była sumienną dziewczyną. Całą młodość poświęcała swej męskiej rodzinie, co uważano za rzecz najzupełniej naturalną. Zdaniem jej ojca i braci, była tylko kobietą i usługiwanie im należało do jej obowiązków. Nic więc dziwnego, że wprowadziła ich w niebywałe zdumienie, kiedy pewnego dnia uciekła z domu z Ronem Machio, chłopakiem z sąsiedztwa, długowłosym homoseksualistą, który zarabiał na życie jako tancerz na Broadwayu.

— Co za cholerną dziwkę sobie wychowałem! — wrzeszczał ojciec, nie hamując wściekłości.

— Zatłuczemy tego śmierdzącego pedała! — wtórowali mu synowie.

Ale Virginia Venus Maria Sierra była niegłupią dziewczyną. Dowiedziawszy się o zamiarach braci, wyjechała z Ronem z Nowego Jorku i autostopem przejechali cały kraj, aż dotarli do ziemi obiecanej — do Kalifornii — a w końcu, po wielu przygodach, do samego Hollywood.

Hollywood... Nirwana. Raj na ziemi. Drzewa palmowe, słońce — i studia filmowe. Virginia Venus Maria Sierra i Ron zaznali wreszcie spokoju i wiedzieli, że są w niebie. Przeznaczenie było tuż-tuż, trzeba było tylko wyciągnąć rękę.

Tak naprawdę, musieli zrobić dużo więcej. Bardzo powoli wychodzili z dołka, Ron jako choreograf, a Venus Maria (bo takie przybrała imię) jako początkująca aktorka, a także tancerka i piosenkarka w undergroundowych klubach. Między krótkimi angażami chwytali się rozmaitych zajęć. Ron bywał kelnerem, posłańcem i szoferem, a Venus Maria pracowała w supermarkecie, w banku, a na koniec jako modelka pozowała do aktów na kursie malarstwa.

— Przypuszczam, że musisz się kulić ze wstydu, kiedy ci wszyscy obcy ludzie gapią się na ciebie? — pytał Ron.

— Ani trochę. To mnie upaja — odpowiedziała, zawsze pewna siebie Venus Maria, potrząsając grzywą świeżo ufarbowanych platynowych loków i wydymając lśniące od szminki wargi. — Uwielbiam patrzeć, jak ślinią się na mój widok. To mnie strasznie podnieca.

Ron Machio zrozumiał wtedy, że Virginia Venus Maria Sierra zostanie niedługo gwiazdą pierwszej wielkości.

I rzeczywiście tak się stało, choć dopiero po kilku latach. Venus Marię odkrył w końcu pewien drobny producent muzyczny, który często odwiedzał te same nocne kluby, co Ron. Długimi namowami przekonał go, żeby zgodził się nagrać płytę z jej piosenkami, do której ona i Ron nakręcili skandalizujący, erotyczny wideoklip.

Venus Maria opracowała styl i charakterystycję, a Ron zajął się choreografią.

Udało się — jej kariera była błyskawiczna, bo zanim minęło sześć tygodni, płyta zajęła pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedających się albumów, a Venus Maria była sławna.

Teraz, trzy lata później, mając lat dwadzieścia pięć, była już supergwiazdą, obiektem kultu, bożyszczem mas.

Venus Maria była na szczycie.

Na zawsze owładnięty atmosferą lat siedemdziesiątych, nie ruszając się nigdzie bez skreta, Charlie Dollar był wiecznie naćpany. W niczym nie przypominał młodzieżowego idola. Miał pięćdziesiąt lat, dużą nadwagę i postępującą łysinę. A jednak gdy Charlie Dollar uśmiechał się, słońce świeciło jaśniej, a wszystkie kobiety w pobliżu czuły nagłe swędzenie — bo Charlie miał w sobie coś dziko, narkotycznie czarującego, coś, czemu nie mogli się oprzeć mężczyźni ani kobiety.

Film z Charliem gwarantował kasowy sukces, dzięki dowcipnym kalamburom i oryginalnej, inteligentnej grze. Charlie potrafił przybrać jakąś rolę, a następnie nagiąć ją tak, aż pasowała jak ulał do jego własnego charakteru. Niektórzy powiadali, że Charlie Dollar jest geniuszem. Inni, że po prostu stary Charlie wygłupia się na ekranie dla wszystkich, którzy chcą go oglądać.

Nikt jednak nie znał prawdy. Charlie wpadł, można powiedzieć, na scenę jako zniszczony życiem trzydziestopięciolatek w rockandrollowym filmie, w którym grał rolę stukniętego menażera zespołu heavymetalowego. Po tym jednym, wspaniałym, zwariowanym występie, Charlie nie oglądał się za siebie, i nigdy nie chciał.

Charlie Dollar — bohater naćpanej Ameryki. Cieszył się swoją sławą, a przecież udawał, że jej nienawidzi. W ten sposób życie było prostsze. W końcu trzeba wyglądać na faceta z zasadami.

Susie Rush utorowała sobie drogę do kariery poprzez telewizję. Obdarzona słodką, naturalną urodą z neurotycznym odcieniem, umiejętnie wykorzystując rolę w dwóch popularnych serialach, została liczącą się aktorką komediową. Była kobietą niezwykle ambitną, pełną energii, która nie pozwalała wchodzić sobie w drogę. Twierdziła, że ma trzydzieści dwa lata, choć w rzeczywistości dobijała już czterdziestki — fakt, który zaczynał ją przerażać.

Susie zajmowała się akcjami dobroczynnymi, ekologią i reinkarnacją. Była przekonana, że żyła już w kilku poprzednich wcieleniach i nie wstydziła się mówić o tym.

Publiczność nie miała za co jej krytykować. Ci, którzy z nią pracowali, nazywali ją pierwszą kurwą na planie i nie znosili jej. W studiu mówiono o niej: dupa do wynajęcia. Na ekranie Susie była słodka jak miód, subtelna i uroczo bezbronna. Poza nim była tyranem. Jej mąż, biedak, dawno temu zrezygnował z wszelkich roszczeń do swej męskości i żył pokornie w jej cieniu. I nawet mu to odpowiadało. Jego kariera aktorska nie powiodła się — na co innego mógł więc liczyć?

Susie Rush znano jako narzeczoną Ameryki. Biedna Ameryka.

Johnny Romano był latynosem. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i był szczupły, ale dość rozwinięty fizycznie, by móc z dumą prezentować twarde mięśnie. Miał grube, zmysłowe usta, szelmowski uśmiech i głęboko osadzone, brązowe oczy, których wzrok bywał szydery, wyzywający, ale nade wszystko lubieżny. Kobiety szalały za nim.

Miał dwadzieścia osiem lat. Grał już główne role w trzech wyjątkowo popularnych filmach: *Hollywood Dick*, *Kochanek* i *Hollywood Dick 2*. Te przeboje kasowe zrobiły z niego cenny nabytek dla studia, a także uczyniły go niezwykle sławnym. A gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, Johnny Romano podróżował we wszechobecnej asyście dwóch agresywnych sekretarek — jednej białej i jednej Murzynki, dwóch groźnych ochroniarzy (których głównym zadaniem było wynajdowanie Johnny'emu dziewcząt), wiecznie potakującego wujka, i wreszcie najlepszego przyjaciela, dublera i stręczyciela, potrafiącego zjednać mu względy każdej młodej damy, którą Johnny sobie upatrzył.

Jedna słodka, dojrzała kobieta należała do codziennej rutyny Johnny'ego. Zdając sobie doskonale sprawę z groźby AIDS, Johnny Romano zabezpieczał się dwiema prezerwatywami i nonszalanckim stylem bycia. W końcu, jemu nie może się to przytrafić, prawda? Był przecież gwiazdorem, na Boga — i nie był pedałem. Prezerwatywy to tylko gest kurtuazji, ukłon w stronę dobrego Stwórcy.

Tak, Johnny Romano był odpowiedzialnym człowiekiem, który uwielbiał seks. Co w tym złego? Ciężko pracował na przywilej rżnięcia każdej panienki, której zapragnął.

A pragnął właśnie Venus Marii. Niestety, bez wzajemności. Niesłychane! Śmieszne! Żadna kobieta nie miała prawa odmówić Johnny'emu Romano. Jasne, Venus Maria miała swoją pozycję, wiodła prym wśród młodych gwiazd ekranu. Madonna i Kim Basinger zostawały daleko w tyle. To prawda, że wszyscy o niej marzyli. Ale odmówić Johnny'emu Romano? Niewiarygodne!

Ta kobieta musiała mieć źle w głowie!

Na koniec, był też Cooper Turner — przystojny, tajemniczy, cierpiący na bezsenność. Mieszkał w luksusowym apartamencie w Wilshire i choć zagrał w niewielu filmach, był znany jako jeden z najbardziej liczących się aktorów. Cooper nie wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat. Odznaczał się chłopięcą urodą, był szatynem o świdrujących, lodowato niebieskich oczach i cieszył się doskonałym zdrowiem.

Cooper odmawiał wszelkich wywiadów. Jego życie prywatne pozostawało takim istotnie, chociaż zawsze towarzyszyła mu jedna wybranka — zwykle zapierająca dech piękność, albo niezwykle utalentowana aktorka. Ulubionym zajęciem Coopera było odkrywanie nowych talentów, a o jego wyczynach miłosnych opowiadano legendy.

Pomimo swego przywiązania do kobiet, Cooper nigdy się nie ożenił, chociaż kilkakrotnie był blisko. Zdecydowanie preferował życie wiecznego kawalera — nie był facetem, który ciągnie każdą wybrankę do ołtarza.

Brukowe gazety zajmowały się właśnie z ożywieniem plotkami na temat jego domniemanego romansu z Venus Marią. Cooper reżyserował i był jej partnerem w filmie *Duma* — dość, aby mówiono o nich w całym Hollywood. Najświeższe plotki donosiły o publicznej kłótni na planie i sposobie, w jaki doszło do pojednania.

Według gazety „Truth and Fact”, jednego z najbardziej ordynarnych brukowców w Kalifornii, Venus Maria rzekomo obłaskawiła Coopera robiąc mu minetę na oczach wszystkich. Dość, żeby uśmierzyć każdą męską wściekłość.

Cooper nie zamierzał potwierdzić ani zaprzeczać tej skandalicznej plotce. Lubił pozostawać w tajemniczym cieniu.

Ze studiem Panther związany był także kontraktem na trzy filmy, z których pierwszy właśnie kręcono, Lennie Golden — ulubieniec Tabithy.

— Chcę się z nim spotkać, tatusiu. Wszystkie moje koleżanki go uwielbiają. Jaki on jest? Czy się ze mną kiedyś ożeni? — nie dawała ojcu spokoju.

Mickey nie mógł zrozumieć uroku, jaki roztaczał Lennie. Jego zdaniem Lennie Golden był zwykłym komediantem, któremu akurat się powiodło: typowy syndrom Billy'ego Crystala i Robina Williama. Ale skoro był aż tak

sławny, Mickey podpisał z nim kontrakt. Zrobił na tym dobry interes — a jeśli Mickey w czymkolwiek był najlepszy, to w robieniu dobrych interesów.

Sześć supergwiazd. I wszystkie należały do niego, do Mickeya Stolliego.

Przywiązał je wszystkie do swego studia najlepszymi umowami w Hollywood. Były jego — bez dwóch zdań.

Studio Panther. Mickey Stolli. Para numer jeden! Jego szwagier, Ben Harrison, właściwie się nie liczył. Jak tylko stary Abe Panther pożegna się z tym światem, Mickey Stolli zamierza wykupić udział Bena - czy tamten będzie chciał go sprzedać, czy nie.

Studio Panther. Mickey Stolli. Zwycięska para. I biada każdemu, kto zechce mu przeszkodzić.

Rozdział dwunasty

Studio Panther było jednym z ostatnich wielkich studiów Hollywood. Od czasu, kiedy zostało zbudowane czterdzieści pięć lat temu, wprowadzono tylko niewielkie modyfikacje. Dumą Mickeya był nowy jak spod igły, sześciopiętrowy biurowiec, lśniący stalą i chromem — uważał go za architektoniczny dowód swej potęgi.

Znajdowały się w nim oczywiście jego własne biura, a także biuro Forda Werne'a, szefa produkcji, oraz biura dyrektorów do spraw marketingu, dystrybucji i współpracy z zagranicą. Jednym słowem — cały zespół Mickeya Stolliego — jego „zespół A”, jak lubił mówić. Czasami A oznaczało Asów, a czasem Aroganckich Analfabetów. Zależało to w równym stopniu od nastroju Mickeya, co od wyników pracy „zespołu”.

Z tyłu, schowane za reprezentacyjnym biurowcem Mickeya, znajdowały się starsze budynki — studia zdjęciowe i biura wielkości króliczych nor. A daleko za nimi, na tyłach studia, stał najstarszy budynek, mieszczący biura administracji. Nazywano go Alcatraz, ponieważ był tak samo smętny i przygnębiający, i wyglądem rzeczywiście przypominał więzienie. Alcatraz był wciśnięty pomiędzy dwa największe studia dźwięku masywne wieże, które zasłaniały całe światło dzienne. Budynek ten przeznaczony był do rozbiórki, i w nim też znajdowało się biuro Hermana Stone'a. Herman Stone był wiernym pracownikiem Abe'a Panthera. Jego sekretarkę, Sheilę, wysłano tymczasem na sześciotygodniowy urlop. Gdyby ktoś pytał, co i tak było mało prawdopodobne, odpowiadano, że Sheila pojechała opiekować się jakimś krewnym, który właśnie ciężko zachorował, i że Lucky (która przybrała teraz imię Luce), jej siostrzenica, miała ją przez ten czas zastępować.

W poniedziałek, punktualnie o dziesiątej, Lucky zjawiała się przy bramie studia Panther. Miała na sobie długą nieforemną sukienkę, obszerną wełnianą

kamizelkę i buty na płaskiej podeszwie. Włosy ukryła pod niegustowną, brązową peruką z długą grzywką, a na dodatek mrużyła bezustannie oczy pod grubymi szklami okularów.

Przyjechała pożyczonym od Sheili samochodem prosto z mieszkania sekretarki Abe'a — były to dwa smętne pokoje w zachodniej dzielnicy Hollywood. Przebrała się tam opuściwszy wcześniej rano Lenniego, który był przekonany, że żona wybiera się w interesach do Nowego Jorku i do Japonii.

Lennie całował ją na pożegnanie długo i namiętnie.

— Nie zapomnij, co mi obiecałaś, kochanie — prosił.

Jak mogła zapomnieć? Obiecała mu dziecko, ale nie powiedziała, kiedy. Za parę lat — być może. W tej chwili musiała myśleć o studiu.

Znaleźć się w studiu Panther było marzeniem każdego historyka Hollywood.

Potężne łuki bram wyrzeźbiono w kamieniu, ozdabiając je żelaznymi poręczami w stylu art deco, a na szczycie głównej bramy pyszniła się gotowa do skoku pantera z czarnego granitu. Metro-Goldwyn-Mayer mieli swego lwa — ale studio Panther miało symbol prawdziwej siły.

Lucky poczuła dreszcz radości, zatrzymując skromnego chevroleta Sheili przy bramie wjazdowej i przedstawiając się strażnikowi. Pewnego dnia to wszystko będzie należeć do niej; to bardzo podniecająca myśl.

Strażnik był nieuprzejmy. Dłuższą chwilę wypytywał ją obcesowo, a w końcu wskazał jej niechętnie drogę na parking.

— No cóż, kolego, wiemy co z tobą będzie za sześć tygodni — mruknęła pod nosem Lucky, dwukrotnie objechawszy studio dokoła. Zgubiła się na tej dużej przestrzeni. Zatrzymała samochód na ulicy, która wyglądała na główną, i podeszła do kobiety w kwiecistej sukience pytając o parking przed biurem Hermana Stone'a.

— A czy to nie jest wóz Sheili? — zdziwiła się tamta. Mówiła z silnym brytyjskim akcentem. — Tak — Lucky odparła bez wahania. — W jej rodzinie ktoś zachorował i Sheila pojechała zaopiekować się tą osobą. Jestem Luce, jej siostrzenica. Mam ją zastępować przez kilka tygodni.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — powiedziała kobieta w sukni w kwiaty, wyglądając na zainteresowaną.

— Myślę, że nie.

— To dobrze — kobieta wskazała jej drogę, po czym weszła do pobliskiego budynku.

Lucky zostawiła samochód na parkingu i okazało się, że do biura trzeba iść spory kawałek pieszo. Zdawało się, że sekretarkom nie pozwalano parkować samochodów w pobliżu wozów ich przelożonych.

No no... Lepiej zacznij robić notatki, Santangelo.

Mijając szybkim krokiem grupkę półnagich robotników, Lucky nie mogła nie zauważyć, że żaden z nich nawet na nią nie spojrział. Po raz pierwszy nikt

nie wołał za nią: „Chodź no tu, maleńka! Dasz się? Jeeezu, jak ją bym cię chętnie przeleciał!”

Lucky była zadowolona. Jej przebranie okazało się skuteczniejsze, niż sądziła. Bez problemu przeobraziła się w nieciekawą, pozbawioną gustu kobiecinę. Nawet Lennie by jej nie poznał, gdyby się spotkali. Nie było to zresztą prawdopodobne, bo Lennie wyjeżdżał tego dnia na zdjęcia do Acapulco i miał wrócić dopiero za sześć tygodni. Plan Lucky był bez zarzutu.

Przypieszyła kroku myśląc, że oto zaczyna się jej przygoda.

Herman Stone był nerwowym wrakiem. Wprowadził Lucky do swego ciemnego pokoiku wymachując ramionami i mamrocząc coś pod nosem. Posadził ją na krzesło naprzeciwko swego biurka.

— Spóźniła się pani — gderał.

— Musiałam iść pieszo kawał drogi — poskarżyła się. — Dlaczego nie mogę parkować przed budynkiem?

— Parking tylko dla dyrekcji — wyjaśnił.

— Akurat — szepnęła do siebie.

— Słucham?

Herman Stone wiedział o ich sekretnym planie i Lucky zastanawiała się, czy będzie potrafił wytrwać te sześć tygodni. Drobnny, zasuszony mężczyzna, wyglądał starzej od Abe'a i prawie trząśł się ze strachu w swym wyświechtanym niebieskim garniturze. Lucky miała ochotę dać mu kieliszek brandy i powiedzieć, żeby wziął się w garść. Zamiast tego, rozsiadła się wygodnie i powiedziała wolno, spokojnie:

— Panie Stone, potrzebuję od pana tylko informacji. Wszystkiego, co pan wie o każdym pracowniku studia. A kiedy już zaznajomię się z graczami, może pan powierzyć mi resztę rozgrywki. Zgoda?

Herman dyszał ciężko, sapał krótko, urywanie, jakby zaraz miało zabraknąć mu powietrza.

— Proszę się nie martwić — ciągnęła przekonująco Lucky. — To wszystko nie będzie takie trudne. Pańskie zadanie jest całkiem bezpieczne, więc proszę się uspokoić, OK? Herman starał się odetchnąć głębiej.

— Według życzenia pana Panthera — powiedział gorzko, przyglądając się jej rozpaczliwym wzrokiem.

— Tak — Lucky kiwnęła głową. Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że to zadanie może być trudniejsze, niż sobie wyobrażała.

Czas mijał wolno, gdy Herman powtarzał jej wszystko, co Lucky wiedziała już wcześniej na temat dyrektorów studia. Numerem jeden był Mickey Stolli, tuż za nim plasował się Ford Werne, szef produkcji, a dalej Teddy T. Lauden, szef sprzedaży i reklamy. Zev Lorenzo, dyrektor wydziału telewizyjnego, i trzech starszych wiceprezydentów — Buck Graham od marketingu, Eddie Kane od dystrybucji i Grant Wendell od produkcji.

To byli najważniejsi gracze, ale wśród innych wpływowych postaci znajdowało się jeszcze kilku producentów mających długoterminowe kontrakty ze studiem — spośród nich najbardziej liczyli się Frankie Lombardo i Arnie Blackwood.

Było też, oczywiście, sześć gwiazd Mickeya Stolliego.

— Proszę pana, mnie interesują brudy — naciskała Lucky. — To, co pan mi powiedział, można znaleźć w kartotekach kadr.

— Jakie brudy? — spytał obojętnie Herman, bawiąc się oprawką rogowych okularów. — Powiedziałem pani wszystko, co wiem.

Nieźłego szpiega znalazł sobie Abe Panther. Herman był albo za stary, albo stanowczo niedoinformowany. Prawdopodobnie jedno i drugie po trochu. Lucky zrozumiała, że sama będzie musiała się zorientować, kto robi co i dla kogo.

— Na czym polega pańska codzienna praca? — spytała.

Siedzieli w jego biurze od dwóch godzin, a telefon nie zadzwonił jeszcze ani razu.

— Przeglądałam dokumenty.

— Jakie?

— Kontrakty, transakcje.

— Na przykład czyje?

— Różne.

— Ale dziś nie ma pan żadnych?

— Z reguły przysyłają je pod koniec tygodnia.

— Mogę w takim razie zobaczyć te z ubiegłego tygodnia?

— Jeśli pani chce.

Herman Stone był stary i zmęczony. To jasne, że widział niebezpieczeństwo zagrażające jego wygodnemu, uporządkowanemu życiu. Lucky mogła zrozumieć jego niechęć, ale nie mogła jej tolerować. Musiała znaleźć chociaż jeden nieczysty interes.

Dokumenty Hermana okazały się stosem kopii codziennych, rutynowych transakcji. Nie miały żadnego znaczenia.

Lucky zdecydowała, że czas zabrać się do pracy na poważnie.

— Proszę zadzwonić do Mickeya Stolliego i poinformować go, że chcę dostać do wglądu kosztorys *Matkożercy*, *Dumy* i *Macho Mana* — oznajmiła krótko.

— Dlaczego miałbym to zrobić? — protestował Herman, nerwowo mrugając oczami.

— Ponieważ jest pan odpowiedzialny za pilnowanie interesów Abe'a Panthera w tym studiu, i ma pan prawo wglądu do wszystkich dokumentów. Proszę mu powiedzieć, że przyśle pan po nie swoją sekretarkę. Rozumie pan?

Herman Stone zbladł i z najwyższą niechęcią wypełnił polecenie.

Spacer na drugi koniec studia nie należał do przyjemności, szczególnie w samo południe. Lucky była porządnie zmęczona, zanim dotarła do biurowca Mickeya Stolliego. Ubranie lepiło się do jej ciała, a ciężka peruka

tylko utrudniała sprawę. Lucky była zrana potem i czuła, jak okulary bez przerwy zsuwają się jej z nosa. Ta przebieranka była stanowczo mniej przyjemna niż kolacja z Alem Pacino.

— O — powiedziała Olive, kobieta z brytyjskim akcentem w kwiecistej sukience, która wskazała jej rano drogę na parking — to znowu pani.

— Obawiam się, że tak — Lucky starała się być uprzejma. — Pan Stone przysłał mi po jakieś dokumenty.

— Ach, tak — Olive wyglądała na lekko podnieconą — pan Stolli przekaże je panu Stone'owi za kilka dni.

„Dlaczego?” — chciała spytać Lucky. „Czemu nie teraz?” Zamiast tego westchnęła tylko ciężko.

— Proszę mi nie mówić, że zrobiłam taki kawał drogi na próżno. Olive przybrała współczujący wyraz twarzy.

— Strasznie dziś gorąco, prawda? Lucky spytała, czy może się napić wody.

— Oczywiście — powiedziała szybko Olive, jednocześnie zerkając w stronę drzwi do sanktuarium Mickeya Stolliego, jakby powinna najpierw uzyskać jego zezwolenie.

Lucky podeszła do fontanny z wodą pitną i piła powoli, rozglądając się jednocześnie po otoczeniu. Biuro było pomalowane na jasnobeżowy kolor, a na podłodze leżał gustowny dywan. Za szerokim oknem rozpościerał się typowy krajobraz Hollywood. Duża różnica, w porównaniu z ponurym biurem Hermana Stone'a. Ściany udekorowane były fotografiami w ramkach, przedstawiającymi Mickeya Stolliego w towarzystwie różnych słynnych artystów i polityków.

Nagle do pokoju weszła jakaś kobieta, zatrzymała się przy drzwiach i po dramatycznej pauzie spytała:

— Olive, moja droga, czy on jest? Olive skoczyła na równe nogi.

— Och, panna Rush. Pan Stolli czeka na panią.

— Oczywiście, że mnie oczekuje! — dźwięczący, udawany śmiech.

Susie Rush była drobna i szczupła, z bujnymi żółtymi włosami zakręconymi zrećnie w niewielkie loki. Miała jasnoniebieskie oczy, porcelanową karnację i wąskie wargi. Była prawie śliczna, a z pewnością niezwykle drażliwa. Nie wyglądała na gwiazdę filmową. Przypominała raczej dziewczynę z sąsiedztwa niż Marylin Monroe. Olive zadzwoniła do szefa, który nie kazał czekać pannie Rush ani chwili. Otworzył na oścież drzwi swego biura, rozpostarł ramiona i krzyknął:

— Susie, kotku! Proszę, wejdź.

Susie, jego kotek, rzuciła mu się w objęcia i przytuliła się. Lucky zdawało się, że Susie mruczy mu do ucha. Wreszcie oboje, wciąż przytuleni, weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi.

Olive zaczerwieniła się lekko. Czyżby nie pochwałała zachowania szefa? Lucky nie była pewna.

— Czy to nie była Susie Rush? — spytała beztrąsko.

— Nie wolno nikogo prosić o autograf — uprzedziła surowo Olive. — To reguła naszego studia.

— Nie miałam takiego zamiaru — Lucky nie potrafiła powstrzymać się od odpowiedzi.

Olive nie zwróciła uwagi na jej słowa, zajmując się stosem papierów, którymi zarzucone było jej biurko. Stanowczo nie była zadowolona z obecności Susie Rush w biurze szefa. — Gdzie można zjeść lunch? — spytała Lucky tak uprzejmie, jak tylko potrafiła, mając nadzieję pozyskać Olive dla siebie.

— W kantynie — odparła Olive, nie podnosząc wzroku.

— Może zjadłybyśmy razem — zaryzykowała Lucky.

— Ja rzadko jem lunch — powiedziała szorstko Olive. — Kantyna jest w połowie drogi stąd do pani biura. Proszę pozdrowić ode mnie ciotkę.

Było to krótkie i jednoznaczne polecenie odejścia.

A więc... Angielka Olive darzyła uczuciem samego szefa, który najwyraźniej lizał tyłek Susie Rush — jeśli nie inną część jej anatomii. Baaardzo interesujące! A Mickey Stolli nie chciał przekazać panu Stone informacji o budżecie trzech najważniejszych filmów. To jeszcze ciekawsze.

Oczywiście nie były to wielkie odkrycia, ale dobre na początek. Przynajmniej obejrzała sobie pierwszego z „łotrów”. Mickey Stolli, opalony na brąz twardziel, z oczami kobry i fałszywym, śnieżnobiałym uśmiechem.

Na zewnątrz lśniącego budynku znajdowała się przyjemna alejka, ocieniona rzędem drzew. Po obu jej stronach rosły kwiaty, a na środku tryskała fontanna. Lucky usiadła na pobliskiej ławce, z której mogła wygodnie obserwować wchodzących i wychodzących z biurowca ludzi. Kilka sekretarek. Kilku mężczyzn wyglądających na dyrektorów w typowych dla kalifornijskiej mody letnich garniturach. Jakaś wysoka kobieta w marynarce w stylu Donny Karan, mocno ściśniętej paskiem. W końcu pojawiła się sama Susie Rush, kryjąc oczy pod okularami słonecznymi w białych oprawkach. Susie czekała chwilę na schodach, aż zatrzymała się przed nią długa, czekoladowa limuzyna. Dziewczyna znikła w jej wnętrzu i samochód odjechał. Pięć minut później wyszedł z budynku Mickey Stolli w towarzystwie dwu mężczyzn. Cała trójka podążała różnym krokiem, prowadząc ożywioną rozmowę. Lucky szła ich śladem do samej kantyny, gdzie wprowadzono ich do prywatnej jadalni. Znalazła sobie dwuosobowy stolik w zatłoczonej głównej sali restauracyjnej. Teraz, gdy wyglądała na zwykłą sekretarkę-popychadło, Lucky zdawało się, że jest niewidzialna dla otoczenia. Zdawało się, że nikt nie zwracał na nią uwagi. „W ten sposób szybko można się nabawić kompleksu niższości” — pomyślała Lucky. Na szczęście wiedziała, że gdyby tylko zdjęła przebranie, sytuacja uległaby natychmiastowej zmianie. Jej wygląd stanowił potężny atut. Luce i Lucky — dwie różne kobiety, zamieszkujące różne światy.

„W co ja się wpakowałam? — myślała. Któregoś dnia stracę cierpliwość, zedrę z siebie ten idiotyczny strój i ucieknę do mojego prawdziwego życia. Jak ja wytrzymam te cholerne sześć tygodni? Wytrzymam, bo to próba”.

— Zajęła pani mój stolik.

Mężczyzna w okularach. Drobny, chudy. Mówił podniesionym głosem. Lucky przyjrzała mu się. Wyglądał na około pięćdziesiąt lat.

— Nie zauważyłam, że stolik jest zarezerwowany — powiedziała chłodno.

Mężczyzna był wyraźnie zirytowany.

— Wszyscy wiedzą, że to jest mój stolik — powiedział.

— W takim razie proszę usiąść, jest przecież wolne krzesło — rozsądnie zaproponowała Lucky.

Zawahał się, ale widząc, że nie ma innego wyjścia, wyciągnął z kieszeni chusteczkę, stał kurz z pustego krzesła i usiadł. Jego piwne, rozbiegane oczy pod okularami w drucianych oprawkach zerkały na wszystkie strony, omijając tylko Lucky.

Do stolika podeszła pulchna kelnerka.

— To co zwykle, Harry? — spytała żywo, poprawiając na nosie okulary.

— Tak, Myrtle, dziękuję — odparł mężczyzna, pocierając palcem plamkę na jasnej kracie obrusa.

Myrtle zwróciła się do Lucky, trzymając w gotowości notes.

— No, moja droga? Wybrałaś już coś?

— Mogę spróbować sałatkę Susie Rush?

— Jasne, wszyscy już jej spróbowali — Myrtle uśmieła się z własnego dowcipu. — A do picia?

— Świeży sok pomarańczowy.

— Z puszki czy mrożony? Nie ma innego.

— W takim razie napiję się wody.

Myrtle obrzuciła wzrokiem ją, a potem Harry'ego.

— Jesteście dobraną parą. Ostatni ludzie z gestem. Dziś nikt nie wydaje tyle na jedzenie! — Bardzo przyjazna — zauważyła Lucky, kiedy Myrtle poszła zrealizować zamówienie. — To nie jest najlepsza kelnerka — przyznał Harry. — Najlepsza jest Leona. Ona nigdy by nie pozwoliła, żeby ktoś zajął mój stolik. Niestety jest teraz w szpitalu, leczy swoje żylaki. Mam nadzieję, że niedługo wróci.

„Dziwny jakiś” — pomyślała Lucky i powiedziała lekceważącym tonem:

— Nie mogę się tego doczekać. Mężczyzna przyjrzał się jej uważnie.

— Słucham? — powiedział.

„Nie bądź za sprytna, Santangelo. Zachowuj się tak, jak wyglądasz”.

— Pan tu pracuje? — spytała uprzejmie.

Harry zastanowił się chwilę nad jej pytaniem, zanim odpowiedział.

— Pracuję w studiu Panther od trzydziestu trzech lat — oznajmił w końcu. — Tutaj jest mój dom.

— Pański dom?

— Spędzam tu więcej czasu niż w rodzinnym domu. Nawet moja żona rozwiodła się ze mną z tego powodu.

— Naprawdę? — Lucky starała się okazać zainteresowanie. — A czym się pan zajmuje?

Gdyby Harry stał, wyprężyłby się w tej chwili jak żołnierz na warcie. Ale ponieważ siedział przy stoliku, wyprostował się tylko i oświadczył z dumą:

— Jestem głównym operatorem.

— To bardzo ciekawe!

— Pracowałem dla samego pana Abe'a Panthera, kiedy tu był — ciągnął z godnością Harry. — Wtedy to było zupełnie inne studio, mogę panią zapewnić — nagle zdał sobie sprawę, że to zdanie mogło zabrzmieć jak skarga, i zamilkł, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

— Założę się, że tęskni pan do starych dobrych lat, co?

Harry znalazł na obrusie nową plamkę i zaczął ją pocierać energicznie.

— Wszystko musi się zmieniać, ja to rozumiem — powiedział obojętnym głosem.

— Pani jest gościem, czy pracuje u nas?

— Właściwie, jedno i drugie. Jestem Luce, siostrzenica Sheili Harvey, zna pan pewnie Sheilę, sekretarkę pana Stone'a? No więc, ona jest na urlopie chorobowym, i ja ją w pewnym sensie zastępuję.

— Sheila nie ma żadnej siostrzenicy — powiedział Harry, mrugając gwałtownie oczami. „Sukinsyn!”

— Patrzy pan na nią — odrzekła bez wahania Lucky.

— Sheila ma jedną siostrę, ale bezdzietną. Poza nią nie ma żadnych innych krewnych — powiedział Harry, poprawiając na nosie okulary. — Uważam za swój obowiązek wiedzieć takie rzeczy o ludziach. „O co mu właściwie chodzi?”

— Pewnie Sheila nic o mnie nie mówiła — odparła spokojnie. Harry potrząsnął głową, jakby nadal jej nie wierzył, ale nie zadawał więcej pytań. Milczał teraz jak zakłęty. Myrtle przyniosła dwie szklanki wody, postawiła je na stoliku i wskazała na wchodzącego energicznym krokiem do prywatnej jadalni Johnny'ego Romano, w asyście swej nadskakującej obstawy.

— To dopiero prawdziwy mężczyzna, nie? I taaaki seksowny! — zwierzyła się Lucky, dając jej jednocześnie kuksańca w bok. — Powiem ci coś, moja droga. Chętnie bym go odwiedziła którejs nocy w jego namiocie, a ty?

— Gdzie jest moja ryba? — spytał Harry z rozdrażnieniem.

— Jeszcze pływa — odparła Myrtle i zaśmiewając się wróciła do kuchni. Godzinę później Lucky znów siedziała przed biurkiem Hermana Stone'a.

— Dlaczego Mickey nie chce przysłać panu informacji o budżecie? Herman stukał palcami w ciężki szklany przycisk do papierów.

— Nie mam pojęcia — przyznał. Lucky zapaliła papierosa.

— Będzie pan musiał na niego naciskać.

Hermanowi nie podobał się ton jej głosu, ale nie powiedział nic.

— Aha, przy okazji, kto to jest, ten operator... Harry, czy jakoś tak? Herman zastanowił się i spytał?

— Harry Browning?

— Chyba tak — Lucky wypuściła wąską strużkę dymu. — Taki kościsty, koło pięćdziesiątki, zresztą może mieć dużo więcej. Taki mały pedant.

Herman zakaszłał na dowód, że przeszkadza mu dym.

— Tak, to Harry Browning. Jest jednym z najstarszych pracowników studia.

Dlaczego pani pyta?

— Bo kiedy mu się przedstawiłam, pospieszył mnie poinformować, że Sheila nie ma żadnej siostrzenicy.

Harry chrząknął nerwowo.

— Harry'emu się zdaje, że wszystko wie. Niech pani nie zwraca na niego uwagi, to stary dziwak.

— Cholera, Herman, jeśli Harry wie wszystko, to może właśnie on może mi coś powiedzieć o Mickeyu Stollim. Jak sądzisz?

— Nie wiem właściwie, czego chciałaby się pani dowiedzieć — oznajmił zimno, urażony nie tylko paleniem przez Lucky papierosa, ale i jej sposobem wyrażania się.

— Wszystkiego, czego pan się nie dowiedział do tej pory — odparła rzeczowo. Za sześć tygodni będzie musiała kazać facetowi patrzeć na gwiazdy. Jego dni jako członka zarządu studia stanowczo były już policzone.

— No dobra, Herman, powiem ci, co masz zrobić. Zadzwoń do Henry'ego Jak-mu-tam. Jeśli będzie cię o to pytał, zapewnij go, że naprawdę jestem siostrzenicą Sheili. Powiedz, że dopiero co wróciłam do Ameryki, czy coś w tym rodzaju. A jak już będziesz z nim rozmawiał, powiedz, że chciałabym obejrzeć taśmy z *Macho Man*. Chcę zobaczyć, jak to wygląda.

— Ale...

Lucky zgasiła papierosa. Niezdrowy nałóg, którego będzie musiała się pozbyć.

— Nie próbuj nawet protestować, Herman. Masz tu w końcu jakąś władzę, więc zrób z niej użytek. Nie zapominaj, że jesteś pełnomocnikiem Abe'a Panthera. Czas, żebyś spróbował dokopać komuś, bo jak nie, to ja się nie oprę tej pokusie.

Usta Hermana drżały nerwowo.

— Dobra, idę już. Jestem zgrzana i zmęczona. Ale jutro zaczynamy od nowa. Do zobaczenia.

Samochód Sheili zepsuł się na środku Hollywood Boulevard. Lucky wysiadła, kopnęła go ze złością, boleśnie uderzając się przy tym w nogę, i pokuśtykała do kina porno, przed którym samochód zdecydował się zatrzymać na dłuższy postój.

— Mogę skorzystać z telefonu? — spytała blond kasjerkę.

— Na ulicy — odparła kasjerka, żując gumę.

— Nie macie tu telefonu?

— Prywatny.

Lucky zdjęła obrzydliwe okulary i przygwoździła blondynę spojrzeniem czarnych oczu.

— A za dychę będzie publiczny? Kasjerka nie wahała się ani chwili.

— Dawaj.

Lucky pomachała w powietrzu dziesięciodolarowym banknotem. Kobieta chwyciła go, wepchnęła za nakrapiany dekolt i wyciągnęła spod biurka brudny, biały telefon. Jakiś klient, kupujący bilet na właśnie wyświetlany film, *Gorące pożądanie*, przysunął się blisko Lucky, która wybierała numer.

— Pójdiesz ze mną? zaproponował sugestywnie. — Kupię ci bilet, chcesz, ślicznotko?

Lucky uśmiechnęła się chłodno.

— Weź oba bilety. Zwiń je w rulonik i wsadź sobie w swój głupi tyłek, dobra, śliczny?

Facet złapał bilet i zniknął.

Lucky powiedziała do słuchawki, płacząco prosząc o pomoc:

— Boogie? Przyjedź po mnie. Szkoła się skończyła i mam już dość.

Rozdział trzynasty

— Gdzie jest Lucky? — spytał niecierpliwie Steven. — Od dwóch dni próbuję się z nią skontaktować i jakoś nikt nie umie powiedzieć uczciwie, gdzie ona jest.

— W Japonii — skłamał Gino bez mrugnięcia okiem. — Wiesz, że ona lubi załatwiać najważniejsze interesy osobiście. A podobno tym razem to coś naprawdę poważnego.

Siedzieli obok siebie w małej restauracji. Podłoga pokryta była trocinami, a na ścianach wisiały fotografie słynnych bokserów, opatrzone ich autografami.

Im więcej czasu Gino spędzał ze Stevenem, tym bardziej odpowiadało mu jego towarzystwo. Steven, tak jak on, nie lubił mówić po próżnicy. Dzieliło ich co prawda odmienne poczucie moralności, ale to nie przeszkadzało w rozwoju ich przyjaźni.

Kiedy Gino dowiedział się o istnieniu Stevena, przeżył silny wstrząs. Szokiem była dla niego nie tylko wiadomość, że ma syna, ale że jego syn jest Murzynem.

Lucky była uradowana.

— Zawsze chciałam mieć drugiego brata — powiedziała. — A teraz mam brata — Murzyna! Dzięki ci, Gino. Ty dopiero potrafisz robić niespodzianki. Jesteś w tym najlepszy, naprawdę!

Gino szukał usilnie w pamięci wspomnienia nocy spędzonej z matką Stevena, Carrie - aż w końcu sobie przypomniał. Kilka godzin rozkoszy, a czterdzieści pięć lat później — syn.

Dowiedział się o tym dwa lata temu i dotąd nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. Steven zaaranżował spotkanie Gina i Carrie jeszcze przed śmiercią matki. Okazała się elegancką kobietą pod sześćdziesiątkę, zupełnie niepodobną do nastolatki, z którą się kiedyś kochał. Nawet po tylu latach, oboje dobrze się ze sobą czuli.

Gino pogodził się z faktem, że choć Steven nigdy nie zastąpi mu Daria — syna, który padł ofiarą morderstwa popełnionego przez rodzinę Bonnattich — dobrze było przecież mieć go przy sobie. A była też Mary Lou, jego śliczna i utalentowana żona, która przyrządzała najlepsze włoskie potrawy po tej stronie Atlantyku.

— Po co chcesz się widzieć z Lucky? — zapytał Gino.

— To nic ważnego. Ale lubię czasem z nią porozmawiać. Zwykle sama do mnie dzwoni.

— Możliwe, że będę z nią rozmawiał za kilka dni. Mam jej coś przekazać? Steven potrząsnął głową.

— To może poczekać. A kiedy myślisz, że wróci?

— Za tydzień. Może później — Gino zaatakował swój stek. — A teraz powiedz mi, co z twoją żoną? Kiedy będzie rodzić? Jest w dobrym nastroju?

— To nie takie proste — Steven skrzywił się. Gino pokiwał głową.

— Kiedy moja Maria była w ciąży z Lucky, potrafiła doprowadzać mnie do szaleństwa! Ciągłe coś było nie tak, nie potrafiłem jej dogodzić. A przecież byłem wtedy młody i silny!

— Gino, ty zawsze będziesz młody i silny — powiedział z uczuciem Steven. — A przy okazji, czy już nie czas, żebyś przekazał potomstwu tajemnicę twego życia erotycznego? Bo to, co słyszę, jest wprost niewiarygodne!

— Posłuchaj mojej rady — odparł Gino z powagą. — Erekcja czyni cię młodym, nie odwrotnie — i dlatego ja nie zamierzam się nigdy zestarzeć!

Mary Lou leżała już w łóżku kiedy Steven wrócił do domu. Oparta o stos poduszek oglądała telewizję i pochłaniała czekoladki z pudełka, jedną za drugą.

— Co robisz? — spytał Steven.

— Oglądam tego cudownego Tony'ego Danę i świetnie się bawię — odpowiedziała, rozwijając następną czekoladkę. — A co słyhać u Gina? Pozdrowiłeś go ode mnie?

— Oczywiście. Przykro mu było, że nie mogłaś przyjść. Ale powiedziałem mu, że gdybyś wyszła z domu, wystraszyłabyś wszystkie kobiety i konie w okolicy! On to rozumie.

Mary Lou wyciągnęła spod pleców poduszkę i rzuciła nią w Stevena.

— Nie wyglądam aż tak źle!

— Wyglądasz cudownie, dziecinko.

— Dziecinko? — powtórzyła za nim, uśmiechając się. — Gino cię tego nauczył?

Podchodząc do łóżka Steven rozluźnił krawat.

— Gino nauczył mnie, że tajemnica wiecznej młodości polega na wiecznej erekcji.

Co ty na to?

— Steven! Zaczynasz mówić jak Jerry!

— Chcesz poczuć, co dla ciebie mam? Mary Lou zachichotała.

— Lubię, kiedy jesteś lubieżny. To takie niepodobne do ciebie.

— Kto tu jest lubieżny? Ja tylko chcę cię zachęcić.

— Spróbuj lodów orzechowych z polewą czekoladową — w tej chwili to mnie najbardziej podnieca. Przepraszam cię, kochany. Wynagrodzę ci to w dzień, kiedy wyjdę ze szpitala.

— Dobrze, dobrze.

Steven pomaszerował do łazienki, zrzucając po drodze ubranie.

— Wiesz, prawie powiedziałem Ginowi o Deenie Swanson — krzyknął zza drzwi.

— Mam nadzieję, że tego nie zrobiłeś — odparła z wyrzutem Mary Lou.

— Nie. Ugryzłem się w język.

— To dobrze. Jesteś prawnikiem, Steven. Masz obowiązek dochować tajemnicy swoich klientów. Pamiętasz?

— Tak, proszę pani.

Czasem Mary Lou czuła się od niego o dwadzieścia lat starsza, choć było odwrotnie. Wiedziała, że Steven przejmuje się tą sprawą, ale dlaczego nie mógł traktować tego na luzie, jak Jerry? Przecież nie było to nic takiego. Jakaś cholernie bogata babka chciała popisać się forszą i zapłacić za przywilej.

Steven musi się nauczyć pogody życia. Kiedy urodzi się dziecko, ona go tego nauczy. O, jak ona go nauczy!

Paige Wheeler nie odmówiła Ginowi, ale i nie wyraziła zgody.

— Najwyższy czas, twoje dzieciaki są już dorosłe — powiedział jej. — A ja mam dość tej zabawy w kotka i myszkę.

Paige oglądała duży diamentowy pierścień, który Gino jej podarował. Przymierzyła go i podziwiała, jak lśni na jej palcu. Wreszcie powiedziała:

— Nie mogę mieszkać w Nowym Jorku.

— To nic. Zamieszkamy tam, gdzie będziesz chciała. Tokio, Taiti — wszystko jedno.

Odłożyła pierścioneł do pudełeczka i niechętnie oddała go Ginowi.

— Daj mi czas do namysłu.

— Ile płacę za pierścionek? — zażartował Gino.

— Zostaw depozyt na moim koncie — odpowiedziała żartem.

Od tej rozmowy upłynęły dwa tygodnie, a Paige nie odezwała się słowem. Gino próbował udawać, że jest mu to obojętne, ale nie potrafił. Starość nie osłabiła siły jego uczuć. Możliwe, że miał siedemdziesiąt ileś, ale przecież jeszcze żył. To prawda, że czasem coś go bolało tu czy tam, ale narzekanie nigdy nie było w jego stylu.

Przeżył wspaniałe lata. O tak, to była jedna wielka przygoda. I na Boga, nie żałował niczego. Gino Santangelo potrafił wykorzystać każdą minutę życia. A teraz pragnął tylko usatkwować się u boku Paige i żyć długo w błogim spokoju.

Lucky zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru. Tak, była wspaniałą córką swego ojca. Gotowa na wszystko. Patrząc na nią, widział w niej całego siebie.

— W co ja się wpakowałam? — jęczała do słuchawki. — Niczego się jeszcze nie dowiedziałam. Chcę, żeby się coś działo!

Rozmawiali dłuższą chwilę. Lucky opowiedziała mu o Olive, angielskiej sekretarce Mickeya Stolliego, o operatorze Harrym i o Hermanie Bez Jaj, jak nazywała Stone'a.

— Powinnaś się zaprzyjaźnić z tym operatorem — doradzał Gino. — On wie więcej, niż przypuszczasz.

— Jak to?

— Bo pewnie kręci się tam wszędzie, co? Siedzi w tej swojej ciemnej klitce i nikt go nie widzi — za to on widzi wszystko. Założę się.

— Możliwe, że masz rację — odpowiedziała z namysłem Lucky.

— Na pewno mam, mała. Kiedy chodziłem z tą aktorką — Marabelle Blue — ona zawsze starała się zdobyć względy płótek, bo dzięki temu wiedziała, co szykują grube ryby. *Capisce?*

— *Capisce.*

Zastanawiał się teraz, jak upłynął jej drugi dzień pracy. Może poleci do Kalifornii, żeby przekonać się na własne oczy? A może tak naprawdę woli pojechać do Los Angeles, żeby zobaczyć się z Paige?

Wszystko jedo. Wypad na Zachodnie Wybrzeże to w sumie niezły pomysł.

Codzienna rutyna zaczynała już go nużyć. Nic w tym złego, że chciał zaskoczyć Paige na jej własnym terenie.

Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do biura podróży. Gino nigdy nie potrafił siedzieć beczynn timer.

— No i jak, udało ci się?

— Co?

Joey nachylił się i powiedział mu do ucha:

— Czy ci się udało z Cristi. Z Panną Nogi-do-szyi.

— Nie wygłupiaj się, Joey.

- Ja mówię poważnie.
- Daj spokój. Pojechałem do domu, do żony.
- Przecież Lucky tu nie ma.
- Przyleciała do mnie na weekend.
- Tak?
- Tak.
- To szkoda.
- Bo co?
- Cristi to niezła sztuka.

Lennie wydał głębokie westchnienie.

— Wyjaśnijmy sobie jedno, stary. Nie interesują mnie żadne sztuki. Jestem żonaty i cieszę się z tego. Czy ten fakt dotrze w końcu do twojego tak zwanego mózgu? Joey wzruszył ramionami.

— Czego krowa nie wie, byk jej nie powie. Lennie potrząsnął głową w zdumieniu.

— Ty nie masz w ogóle pojęcia, co to znaczy być z jedną kobietą, co? Joey udawał przerażonego.

— Nawet mi o tym nie mów. To dla mnie zbyt straszne.

Lecieli prywatnym samolotem studia Panther na zdjęcia do Aca-pulco. Atrakcyjne stewardessy podawały napoje, podczas gdy Marisa Birch koncentrowała na sobie uwagę producenta i jej aktualnego chłopaka, Neda Magnusa. Grudge Freeport i Shorty Rawlins także przypatrywali się jej z podziwem. Wszyscy trzej mężczyźni pozostawali pod jej urokiem.

— Jak już mówimy o strasznych rzeczach, to może powiesz się na tamtą amazonkę? — Lennie wskazał mu wzrokiem Marisę. — Tymi cyckami mogłaby zgnieść nawet Schwarzeneggera.

— Może powinienem spróbować — zamyślił się Joey.

— Może nie miałbyś szansy. Ona daje się tylko za rolę, a ta rola akurat nie należy do ciebie, Romeo.

— Jak zobaczy, to zechce — przechwalał się Joey. — Wszystkie chcą. Joey Senior jest zawsze górą! Lennie westchnął.

— Masz jakiś inny temat do rozmowy?

— Nie sądzę — odparł Joey wzruszając ramionami.

Na lotnisku w Acapulco czekali na nich reporterzy, a w hotelu było ich jeszcze więcej. Lennie ich nienawidził. Kiedyś cieszyła go popularność, teraz po prostu jej nie znosił. Nie bawiło go uśmiechanie się do fotografii i przy-milanie się do dziennikarzy. Pomyślał, że przy następnym kontrakcie musi zrobić zastrzeżenie o nieinformowaniu prasy.

O co im wszystkim właściwie chodziło? Czasem myślał, że powinien mieć gdzieś całą tę sławę. Jeśli nawet *Macho Man* szedł mu jak po grudzie, to co, do cholery? To w końcu tylko film.

Marisa Birch uwielbiała być w centrum uwagi. Z radością oddawała się fotografom. Oddawała im swe oczy, zęby, włosy. Oddawała im swój czterdziestocalowy silikonowy biust ledwo przykry ty jedwabnym staniczkiem, oddawała im swe sztywne sutki, skupiające na sobie uwagę wszystkich. Z boku przyglądał się jej lubieżnie Ned Magnus. Pan Producent. Pan Stateczny Małżonek. Pan Pierdoła. Lennie poznał kiedyś jego żonę Annę, konserwatywną, niedożywioną osobkę o zaciśniętych wargach, zwariowaną na punkcie akcji dobroczynnych. Z wdzięcznością pomyślał o Lucky. Nie wyobrażał sobie, że mógłby być z kimś innym. Lucky była najwspanialsza, była wszystkim, czego potrzebował. Niedługo zajdzie w ciążę i urodzi mu dziecko. Wtedy staną się prawdziwą rodziną. Lennie podjął już decyzję. Kiedy skończy film, weźmie rok urlopu. Odpocznie i nie będzie ruszał się na krok od Lucky. A jeśli studio wytoczy mu proces, to niech tam. Zasługiwał na to, żeby spędzić wreszcie trochę czasu z własną żoną. Od ślubu oboje bez przerwy pracowali i Lennie zaczynał mieć tego dość. Powie jej o tym, jak tylko Lucky przyleci do Acapulco. Przekona ją. Lucky na pewno zrozumie. Cały rok. Żadnych obowiązków. Żadnej pracy. Nic. Tak!

Rozdział czternasty

Deena Swanson i jej mąż, Martin, tworzyli jedno z najbardziej poszukiwanych małżeństw w Nowym Jorku. Posiadali to wszystko, o czym każdy zdawał się marzyć — bogactwo, pozycję, władzę i modny wygląd — a do tego zapraszano ich do wzięcia udziału we wszystkich najważniejszych wydarzeniach i przyjęciach w mieście.

Deena, ze swoją lodowatą aparycją, rudymi włosami upiętymi w charakterystyczny kok, chłodnym wyrazem oczu, ciesząca się sławą dla samej sławy, budziła zazdrość wśród kobiet i pożądanie wśród mężczyzn. Była tak chłodna, że aż gorąca — syndrom Grace Kelly. Zerwać ten kostium chanel, koronkową halkę, jedwabne majteczki i dostać się pod tę maskę oziębłości!

Martin Swanson uchodził powszechnie za szczęśliwca, ponieważ nie ulegało wątpliwości, iż pod atłasową pościelą Deena jest nieokiełznaną tygrysyką, zdolną doprowadzić każdego mężczyznę do miłosnej ekstazy. A i samemu Martinowi było czego pozazdrościć — męski profil, nie znikający z twarzy uśmiech, świetna kondycja i ujmujący czar.

A jednak, gdyby prawda miała ujrzeć światło dzienne, całkiem inna historia wyjrzałaby spod maski sukcesu. Deena kochała swego przystojnego męża i była gotowa spełnić każde jego życzenie. Ale Martin wolal sypiać

z gwiazdkami kina. Jego żona była przecież sławna wyłącznie dzięki niemu i to się nie liczyło. Poza tym, wszyscy i tak wiedzieli, że Deena jest wyłącznie na pokaz. Nie ona projektowała krój dżinsów, nazwany jej imieniem nie ona skomponowała bukiet perfum, na których widniał jej podpis.

Żeniąc się z Deeną, Martin widział w niej obiecujący potencjał. Kilka lat wcześniej Deena przyjechała do Nowego Jorku z rodzinnej Holandii i wkrótce jako projektantka wnętrz została współwłaścicielką świetnie prosperującej tany. Deena była piękna, inteligentna i zdawała się uosabiać wszystko, czego Martin oczekiwał od kandydatki na żonę. Jego własna kariera ruszała właśnie z miejsca dużo szybciej, niż mógł się spodziewać i czas było znaleźć sobie odpowiednią partnerkę. W czasie miodowego miesiąca, który spędzali w willi na Barbados, Deena oświadczyła, że zamierza porzucić swą dotychczasową pracę, jak tylko wrócą do Nowego Jorku.

Martin protestował stanowczo:

— Nie możesz tego zrobić. Jesteś pełnoprawną partnerką, firma cię potrzebuje.

- Właściwie — przyznała wtedy, Deena — jestem raczej pracownikiem. Użyli mojego wizerunku jako partnerki, bo to pomogło rozreklamować firmę. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli odejdę stamtąd, prawda?

Ale Martin miał. Deena okazała się inną kobietą, niż przypuszczał. Dyskretny wywiad doniósł, że nie pochodziła z bogatej holenderskiej rodziny, jej ojciec był właścicielem oberży, a matka tłumaczką w ambasadzie amerykańskiej. Poza tym, Deena była w rzeczywistości sześć lat starsza niż mu powiedziała — czyli o dwa, nie o osiem lat młodsza od niego.

Odkrycie tego wszystkiego nie uczyniło Martina Swansona szczęśliwym. Rozgniewany, zaczął wypytywać narzeczoną, która zupełnie spokojnie potwierdziła te informacje.

— Tak, to prawda. Ale co z tego? Zresztą, jeśli udało mi się oszukać ciebie, tym łatwiej mogę oszukiwać wszystkich innych, dzięki czemu jestem dla ciebie doskonałą żoną. Nie sądzisz?

Miała rację. W publicznej świadomości istniał już wizerunek sławnej Deeny Swanson — po co przejmować się przeszłością?

I tak państwo Swansonowie rozpoczęli swe życie małżeńskie, oboje zdecydowani osiągnąć sukces. Deena dwukrotnie zachodziła w ciążę i dwa razy poroniła. Po drugim razie Martin wziął sobie pierwszą kochankę nagradzaną aktorkę teatralną z wystającą dolną wargą, o nienasyconym apetycie na seks. Liczyło się to, że była sławna, niezmiernie utalentowana a jej osiągnięcia niezwykle go ekscytowały. Po aktorce przyszła kolej na primabalerinę, a potem na pisarkę — zmysłową blondynkę której erotyczne powieści zdobywały najwyższe pozycje na listach bestsellerów. Następnymi kochankami Martina Swansona były: kierowca samochodów wyścigowych i pewna wyjątkowo uzdolniona pani adwokat.

Deena przyzwyczaiła się w końcu do wybryków męża. Nie była nimi zachwycona, ale co mogła na to poradzić? Rozwód nie wchodził w grę. Była żoną Martina Z. Swansona i niech nikt o tym nie zapomina — a przede wszystkim jej błędzący mąż. Kiedy Deena postanowiła wyciągnąć konkretne zyski ze swojej popularności, Martin nie był zadowolony. Nie zmienił zdania nawet, gdy zobaczył, jakie dochody płyną z wyrobów noszących jej imię.

— Pieniądze to nie talent — powiedział tylko, nieporuszony.

— Tak, ale pieniądze to wszystko, co sam masz — odparła z triumfem w głosie.

— Prawda jest taka, że mnie bliżej do talentu, niż kiedykolwiek będzie tobie.

— Jeżeli sądzisz, że śpiąc z różnymi dziwkami zbliżasz się do prawdziwego talentu, to się grubo mylisz.

Martin odpowiedział ze swym irytującym uśmiechem samozadowolenia:

— Spróbuj sama. Przekonasz się.

Deena spróbowała. Miała romans z przystojnym murzyńskim wokalistą soulowym. Nagi, był najwspanialszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Nie mógł jednak zastąpić jej Martina, więc chociaż kochanek dawał jej fizyczne zadowolenie, rozstała się z nim po jakimś czasie.

Kiedy Martin dowiedział się o jej przygodzie, nie ukrywał wściekłości.

— Jeśli chcesz nadal być moją żoną, nie rób tego nigdy więcej — ostrzegł ją. —

Jestem twoim mężem, Deena, rozumiesz? Mężem. I nie pozwolę robić z siebie

idioty. — A ja jestem twoją żoną — Deena patrzyła mu prosto w oczy. — Uważasz, że ja mam znieść twoją niewierność bez słowa, tak? Zrobiłam tylko to, co ty sam robisz bez przerwy. Widzisz w tym coś złego?

— To co innego, ty jesteś kobietą. Powtarzam, żadnych romansów.

— Co mam zrobić? Ty już wcale ze mną nie sypiasz — Deena była bliska płaczu. — Nie zamierzam zostać zakonnica.

W końcu poszli na kompromis — co niedziela Martin obiecał spełniać swój małżeński obowiązek, a Deena przyrzekła pozostać mu wierna.

Deena próbowała zwabić go do swego łóżka wszystkimi kobiecymi sztuczkami, jakie знаła. Nie żeby Martin był doskonałym kochankiem. Nigdy nie przejmował się zbyt grą wstępną — chyba, że sam miał na nią ochotę. W łóżku był szybki, rzeczowy i mało romantyczny. Deena pocieszała się myślą, że mąż przynajmniej znów z nią sypia — to było najważniejsze.

Choć Deena nie mogła darzyć kochanek Martina sympatią, miała dla nich coś w rodzaju współczucia. Każdy, kto choć trochę znał jej męża, wiedział, że dla niego najważniejsza jest zawsze praca. Cechowało go nienasycone pożądanie pieniędzy i władzy, a do tego lubił widzieć swoje nazwisko na pierwszych stronach gazet finansowych.

Przez ostatnie kilka lat nazwisko Swanson było wszędzie: stadion sportowy Swansona, sieć domów handlowych Swansona, wydawnictwo Swan-

sona — i, jakby tego było mało, w biurach projektantów powstawała właśnie nowa luksusowa limuzyna, mająca nosić nazwę Swanson.

Tak, Martin uwielbiał widzieć swe nazwisko w druku, ale wyłącznie wtedy, gdy prezentowano go w dobrym świetle. Nie cierpiał skandali i plotek, które niezmiennie wprowadzały go w stan wstydliwego zakłopotania. Kiedy jedna z gazet napomknęła o jego kontaktach pozamałżeńskich, Martin był wściekły — a ponieważ dziennikarze nie mogli niczego mu udowodnić, natychmiast oskarżył ich o zniesławienie.

W końcu prasa nauczyła się zostawiać Martina Swansona w spokoju, chyba, że można było napisać o nim coś przychylnego, albo udowodnić mu niewierność. Już niedługo, przekonywała samą siebie Deena, Martin zmęczy się tymi romansami i znów będzie należał do niej. Koniec utalentowanych kurewek, koniec supergwiazd. Nie mogła się tego doczekać.

Wtem na horyzoncie pojawiła się Dziwka — i Deena poczuła, że jej prawie doskonale szczęście jest poważnie zagrożone. Z początku sądziła, że jak wszystkie poprzednie romanse Martina, tak i ten będzie jedynie przelotną przygodą. Zwykle wystarczał miesiąc czy dwa, żeby wybić Martinowi z głowy jego nowe odkrycie. Ale tym razem było inaczej. Zanosilo się, że nowa kochanka Martina zostanie przy nim na dłużej i Deena widziała w tym duże ryzyko dla ich małżeństwa. Wymyślała mnóstwo sposobów na pozbycie się intruza. Zapłacić jej, żeby zostawiła Martina w spokoju. Nic z tego — Dziwka sama zarabiała wielkie pieniądze i nie potrzebowała premii od nikogo. Zagrozić jej przemocą. Też nic z tego, bo w takim wypadku zwróci się tylko pod opiekę Martina. Zabić ją. Niełatwe — ale jeśli zacznie poważnie zagrażać jej związkowi z Martinem — to może być jedyne rozwiązanie. Deena obmyślała je przez wiele miesięcy. Z początku najlepszym pomysłem wydawało się wynajęcie płatnego mordercy. Byli tacy ludzie, a Deena wiedziała, kto ze znajomych mógłby ułatwić jej z nimi kontakt. Ale ryzyko takiego rozwiązania było ogromne. I skąd pewność, że pogmatwany trop śladów i poszlak nie zaprowadzi policji prosto do jej drzwi? Poza tym, naraziłaby się na wieczny szantaż, a nie mogła przecież ryzykować swej pozycji. Odpowiedź była tylko jedna. Jeśli chce usunąć Dziwkę, musi to zrobić sama.

Kiedy wyciągnęła ten ostateczny wniosek, poczuła się nagle bezpieczna. Pozostały jednak trzy poważne pytania: *Jak? Gdzie? Kiedy?*

Jak było łatwe. Jeszcze w Holandii, jako dziecko, zawsze była blisko swego ojca, którego życiową pasją było łowiectwo i wędkarstwo. Nauczył córkę obu tych rzeczy, a ona była pojętna. I bardzo dobrze. Deena potrafiła posługiwać się bronią. Nic prostszego jak pozbyć się Dziwki za pomocą jednej kuli wycelowanej w głowę. *Gdzie* było osobnym problemem do rozwiązania, od którego wiele mogło zależeć. *Kiedy* było wyłącznie w gestii Martina — bo gdyby przestał widywać się ze swoją nową kochanką, powyższe przestałoby być aktualne.

Niestety, Deena nie miała na to wielkiej nadziei. Instynkt podpowiadał jej, że w końcu Martin zażąda rozwodu — i w dniu, w którym to nastąpi, jej plan musi być gotowy.

Była już ubezpieczona. Biuro adwokackie Jerry'ego Myersona było jednym z najlepszych, ale naprawdę wybrała je ze względu na Stevena Berkeleya, który cieszył się opinią najlepszego adwokata w Nowym Jorku. Miała więc gotowy plan, gdyby została zmuszona do działania. Oczywiście, nie miała zamiaru dać się złapać — ale wszystko może się zdarzyć — Deena wołała być przygotowana na każdą ewentualność.

Wiedziała tylko jedną rzecz z całą pewnością. Nikt nie odbierze jej Martina. Absolutnie nikt.

Rozdział piętnasty

Od pewnego czasu Harry Browning miał ochotę zaprosić gdzieś Olive Watson, angielską sekretarkę Mickeya Stolliego, czy, jak wołała mówić o sobie — jego osobistą asystentkę. Zaprosić ją nie tyle na randkę, co na wspólny towarzyski wieczór — choć oczywiście zamierzał zapłacić za nią, gdyby mieli wybrać się do restauracji. Myślał o tym od ośmiu miesięcy — od czasu, kiedy Olive złożyła mu życzenia urodzinowe, co tak bardzo go ucieszyło. Harry był zdania, że w tych sprawach nie należy się spieszyć, więc jakież było jego rozczarowanie, gdy Olive oświadczyła — chłodno i rzeczowo — że jest zaręczona.

— Zaręczona? — powtórzył Harry obojętnym tonem. Rozmawiali przez telefon ustalając godziny, w których Mickey Stołli będzie potrzebował sali projekcyjnej.

— Tak — potwierdziła radośnie Olive. — Mój narzeczony zadzwonił wczoraj z Anglii, żeby mi się oświadczyć. Zrobił mi wielką niespodziankę.

Dla Harry'ego niespodzianka była nie mniejsza, bo zawsze wydawało mu się, że Olive będzie wolna, kiedy on zechce zrobić pierwszy krok. I nagle taka przykrość. Harry był zirytowany. Tyle godzin zmarnował myśląc o Olive tylko po to, żeby teraz dowiedzieć się, że ktoś go ubiegł.

Kiedy więc Lucky Santangelo, którą Harry znalazł wyłącznie jako Luce, trzeci dzień z rzędu usiadła przy jego stoliku w kantynie, Harry wypalił bez namysłu:

— Czy chciałabyś umówić się ze mną na któryś wieczór?

Lucky przyjrzała się małemu mężczyźnie w okularach, od którego jak dotąd nie dowiedziała się jeszcze niczego, wbrew przekonaniu Gina, że Harry

Browning jest w posiadaniu wszystkich tajemnic studia Panther. Czy on naprawdę sobie wyobrażał, że Lucky zechce pójść z nim na randkę? W takim razie jej charakteryzacja naprawdę musi być rewelacyjna!

— Gdzie? — spytała ostrożnie, nie chcąc go urazić.

Harry nie spodziewał się takiego pytania. Oczekiwał odpowiedzi „tak” lub „nie” — ale nie „gdzie?”

— Nie wiem — wyznał.

— Być może — powiedziała Lucky, zostawiając mu nadzieję.

Harry popatrzył na nią. Stanowczo nie była to Olive. W sumie wyglądała raczej dziwnie — ubrana bez gustu, włosy w nieładzie i te grube okulary, ale też, gdyby była bardziej atrakcyjna, nie ośmieliliby się jej zapraszać, nawet myśleć o tym. Harry znał swoje możliwości. Kiedyś spotykał się z uroczą rudowłosą statystką, ale ten romans skończył się nieprzyjemnie, gdy dziewczyna zrobiła mu publiczną awanturę. Wrzeszczała na niego, nie hamując wściekłości:

— Jak nie potrafisz skontaktować mnie z Mickeyem Stollim, to po jaką cholere ja się w ogóle z tobą umawiam, ty kretynie?

Ten przykry i upokarzający wypadek miał miejsce pięć lat temu. Harry nigdy go nie zapomniał. Zawsze był ostrożny z kobietami. Większość pracujących w studiu sekretarek i innych dziewczyn prowadziło się, jak to określał, lekko. Ubierały się wyzywająco i spały z byle kim. Cztery razy Harry'emu zdarzyło się nakryć takie pary w pustych salach projekcyjnych. Za każdym razem pozbywał się ich, ostrzegając złowieszczo: — Pan Stolli będzie tu za pięć minut.

Z podrzędnymi aktorami mógł sobie na to pozwolić. Prawdziwym gwiazdom uchodziło wszystko. Robiły co chciały.

Gino Santangelo miał rację. Niewiele rzeczy umknęło uwadze Harry'ego przez lata pracy. Ze swej kabiny projekcyjnej przyglądał się mocarzom przemysłu filmowego, reżyserom, producentom i aktorom, którzy zdawali się zapominać o jego milczącej obecności i zachowywali się całkiem swobodnie w ciemnościach sali kinowej.

Harry myślał czasem, że kiedyś napisze o tym książkę. To przyjemne marzenie nadawało powagi jego tajemnicom, tym bardziej, że nigdy nie opowiadał nikomu o swoich spostrzeżeniach.

Lucky wzięła głębszy oddech. Jak na razie niczego się nie dowiedziała. Gdyby spotkała się z Harrym poza studiem, może naprawdę mógłby jej o czymś powiedzieć. Warto było spróbować.

Pochyliła się nad swoim stekiem z frytkami i spojrzała na niego przyjaźnie.

— Właściwie... Robię dziś na kolację placek z ryby. Może odwiedzisz mnie w mieszkaniu Sheili? Wiem, że lubisz ryby.

Jasne, że wiedziała. Od trzech dni z rzędu nie jadł nic innego. Harry rozważył propozycję. Było coś dziwnego w tej kobiecie, to prawda. Z drugiej strony, wieczór spędzony z dala od telewizora i jego

trzech kotów był kuszącą propozycją. No i ten placek z ryby — jego ulubiony...

— Zgoda — powiedział zdecydowanym tonem.

— To świetnie — odparła Lucky, myśląc jednocześnie: „Co ja właściwie robię najlepszego?” — W takim razie, o pół do ósmej?

Harry wyglądał na prawie zachwyconego.

— Zgoda — powtórzył, mrugając gwałtownie oczami.

Nie był zbyt gadatliwy. Lucky zmusiła się do uśmiechu. Skąd do cholery weźmie teraz placek z ryby? Dlaczego nie zaproponowała pizzy, lasanii, albo czegoś podobnego?

Okulary zsunęły się jej na czubek nosa i Lucky poprawiła je niecierpliwym gestem.

— Do zobaczenia, Harry — powiedziała, odchodząc od stolika. — Będę na ciebie czekać.

Herman Stone był przerażony.

— Spotykanie się z kimkolwiek poza studiem jest bardzo niebezpieczne — powiedział.

Lucky cynicznie uniosła brew.

— Niebezpieczne, Herman? Ja nie tropię handlarzy narkotyków. Ja tylko próbuję się dowiedzieć, co tu się naprawdę dzieje.

— Oszukujesz go. To uczciwy człowiek.

Lucky poczuła narastającą złość. Herman Stone był takim nadętym półgłówkiem!

— Nie zamierzam się z nim pieprzyć — powiedziała chłodno. — Muszę go tylko pociągnąć za język.

Herman wstał, czerwony na twarzy.

— Nie zamierzam brać udziału w tym głupstwie. Natychmiast dzwonię do Abe'a. Ty mówisz jak...

— Mężczyzna? — pospieszyła z pomocą Lucky.

Herman usiadł. Podniósł długopis i bębnił nim nerwowo po biurku. Miał za sobą dziesięć lat spokojnego życia. Dwie godziny w biurze, cztery na polu golfowym. Żadnych stresów, żadnych kłopotów. Żadnych przemądrzałych, wygadanych kobiet.

— Zadzwoń do Abe'a, jeśli chcesz — powiedziała Lucky. — Ale pamiętaj, że niedługo będziesz pracował dla mnie.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda, że Lucky pośle go na emeryturę, jak tylko przejmie studio. Zresztą Herman nie pracowałby dla niej, nawet gdyby potroiła jego zarobki.

— Rób, jak chcesz — bąknął.

— Baaardzo pani dziękuję. Jest pan naprawdę wspaniałomyślny.

— Sherry?

— Nie piję — odparł Harry Browning.

— Nigdy? Zawahał się.

— Tylko w wyjątkowych okazjach.

Lucky nalała szklaneczkę sherry i podała mu.

— To jest wyjątkowa okazja — powiedziała stanowczo.

„Chyba że masz na myśli zareczyny Olive” — pomyślał smętnie Harry, sącząc wiśniowy płyn. Zasłużył sobie na tego drinka.

Lucky stwierdziła, że małe mieszkanko Sheili Hervey było najbardziej przygnębiającym miejscem, w jakim kiedykolwiek przebywała. Ściany były pomalowane na wyjątkowo smutny kasztanowy kolor, a meble stanowiły mieszaninę ciężkiego dębu i taniego nowoczesnego plastiku — wszystkie stanowczo za duże na tak małą przestrzeń. Grube aksamitne zasłony dopełniały klaustrofobicznego efektu. Archaiczny gramofon oferował dla rozrywki wyłącznie płyty Julio Iglesiasa. Lucky miała dość.

Podczas gdy Julio smęcił coś niezrozumiale łamaną angielszczyzną, Harry Browning przełknął jedną po drugiej dwie szklaneczki sherry i czekał cierpliwie na obiecany placek z ryby.

Boogie dostarczył go piętnaście minut przed czasem.

— Teraz wiem, że potrafisz wszystko — gratulowała mu Lucky. — Lepiej, żeby był smaczny. Boogie wzruszył tylko ramionami w zniecierpliwieniu. Podobnie jak Herman Stone, choć z innych powodów, nie pochwalał przygód szefowej. Ale przynajmniej praca dla Lucky nigdy nie była nudna.

— Sam to upiekłeś, Boog? — spytała Lucky z tajemniczym uśmiechem.

— Najlepsza restauracja w Los Angeles. Dostaniesz rachunek — odparł lakonicznie Boogie. — Zadzwoń, to przyjadę po ciebie, jak będziesz chciała wrócić do domu.

Lucky chciała wrócić do domu już w chwili, kiedy Harry Browning pojawił się w drzwiach. Ale posunęła się już tak daleko, że nie mogła teraz zrezygnować nie usłyszawszy, co ma do powiedzenia.

Gdzieś tam prawdziwe życie toczyło się własnym torem, podczas gdy ona zabawiała się w teatrzyk w towarzystwie małego mięczaka imieniem Harry Browning, który i tak pewnie nie wiedział tego, co ona chciała wiedzieć.

Cholera! Na dokładkę musiała jeść ten obrzydliwy placek z ryby, którego nie cierpiała. Co za wieczór! W końcu Harry Browning zaczął mówić. Niczym dziwka, która opowiada, jak trafiła do zawodu, Harry wyrzucił z siebie wszystko.

Przez dwie godziny Lucky niańczyła go, karmiła i prawiała komplementy, pojąc go świetnym białym winem, w które zaopatrzył ją Boogie, a kiedy wino się skończyło, brandy. Wreszcie przyszedł czas wypłaty.

Po pierwszym łyku courvoisiera mały, spokojny Harry Browning rozgadał się nie do poznania. Lucky nie wierzyła własnym uszom — może jednak opłaci się ten wysiłek.

— Za czasów Abe'a to było porządne studio — powiedział Harry gwałtownie i z dumą. — Pan Panther był prawdziwym szefem. Ludzie go szanowali.

— A Mickeya Stolliego nie szanują? — szepnęła Lucky.

- Jego? - Harry splunął z obrzydzeniem. — On ma gdzieś filmy. Jego obchodzi tylko forsa.

— Przynajmniej jest uczciwy. Dogłąda interesów Abe a Panthera, prawda? — spytała niewinnie Lucky.

— Mickey Stolli dogłąda tylko własnych interesów.

— Skąd ty to wiesz?

— Ja dużo widzę — powiedział Harry, sięgając po butelkę brandy. — Dużo słyszę.

— Na przykład co?

Jak przez mgłę dotarło do Harry'ego, że chyba za dużo mówi. No to *co!* Czuł się tak dobrze z tą kobietą, którą fascynowało każde jego słowo. Od dawna nie udało mu się zaimponować kobiecie. Może tym razem tak jej zaimponuje, że...

— Wiesz, kto to jest Lionel Fricke?

— Ten ważny agent? — spytała Lucky, starając się pokazać, jak wielkie to nazwisko robi na niej wrażenie.

— Tak, to ten. . Obraz Lucky rozpląwał mu się przed oczami. Nie była tak ładna jak Olive,

ale gdyby tylko zdjęła te obrzydliwe okulary...

— No i co z tym Lionelem Fricke'em? — naciskała Lucky.

Harry zastanawiał się, jak daleko może się posunąć. Pociągnął duży łyk brandy i położył rękę na jej kolanie.

— Widziałem ich razem... Lionela Fricke'a i Mickeya Stolliego. Robią biznes na Johnnym Romano. Ostry biznes.

— Tak? — Lucky pochyliła się nad nim z błyszczącymi oczami.

— Pięć milionów dolców za Johnny'ego Romano — tylko że on nie zobaczy tych pieniędzy. Lionel Fricke sprzedaje Johnny'ego studiu Panther za cztery miliony. Potem sprzedaje scenariusz jakiejś lipnej firmie za sto tysięcy. Miesiąc później kupuje go od tej firmy za milion.

— A Lionel i Mickey odejmują te sto od miliona, a resztę dzielą na pot i wkładają do kieszeni, tak? Harry potwierdził.

— Podśluhałem ich. Na pewno się nie mylę.

— Na pewno nie — odparła rzeczowo Lucky, zdejmując z kolana jego rękę — Powiedz — spytała od niechcienia — kto jeszcze kradnie?

— Wszyscy. Eddie Kane, Ford Werne, większość producentów. Mają swoje sposoby.

— Założę się, że masz rację — powiedziała Lucky, dolewając mu brandy.

Nagle Harry usiadł wyprostowany.

— Dlaczego to cię tak interesuje? — spytał podejrzliwie.

— A kogo by nie interesowało? Tyle w życiu widziałeś. Powinieneś napisać książkę.

Harry'emu to pochlebiało. Lucky, ta dziwaczna kobieta, odkryła jego sekretne marzenie. Kiwnął głową.

— Może... któregoś dnia — sięgnął po szklanę i pociągnął zdrowy łyk. — Mógłbym ci opowiedzieć o narkotykach, o seksie... O tym, co robią z kobietami.

— A co robią, Harry?

— Wykorzystują je dla seksu. Używają je.

— Kto je używa?

— Wszyscy — powiedział złowieszczo Harry. — Obiecują dziewczynom role, jeśli zgodzą się na pewne obrzydliwe akty.

— Skąd to wiesz?

— Bo robią to w sali kinowej. Przy mnie.

— Ty pewnie widziałeś wszystko!

Harry mówił bełkocząc dalej, wyrzucając z siebie narzekania na tandetną jakość filmów i podłą administrację studia. Szczególnie nie znosił Arniego Blackwooda i Frankiego Lombardo. Ci dwaj producenci uchodzili według niego za największych lubieżników jego sali projekcyjnej. W końcu nie był w stanie dłużej mówić.

— Dobrze się czujesz, Harry? — spytała z niepokojem Lucky.

— Nie za dobrze.

Pomagając mu wstać, powiedziała:

— Czas chyba sprowadzić dla ciebie taksówkę. W tym stanie nie możesz prowadzić.

— Siedzą w mojej sali, a ja widzę wszystko — powtarzał. — Niektórzy ludzie nie mają za grosz wstydu.

Obejmując go ramieniem, zaprowadziła Harry'ego do drzwi.

— Narkotyki — bełkotał — narkotyki i seks. Tylko to im w głowie — czknął głośno. — Nie czuję się za dobrze.

— Porozmawiamy jeszcze kiedyś?

— Zobaczymy — wyjąkał czkając i zatoczył się.

Lucky zdołała wyprowadzić go na zewnątrz. Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i posadziła go w niej. Nie chciała, żeby stracił przytomność w jej mieszkaniu — musiałaby wtedy zostać przy nim całą noc, a na to akurat nie miała najmniejszej ochoty.

Jak na pierwszy raz Harry Browning powiedział sporo. Niezły początek.

Rozdział szesnasty

Dwa tygodnie i koniec szkoły! Brigitte liczyła już dni. Co prawda dwa tygodnie temu liczyła sekundy. Teraz czuła się dużo lepiej, miała przyjaciółkę — a to wielka różnica.

Jej nowa koleżanka, Nona Webster, była śmieszną, pełną energii córką nowojorskiego wydawcy i jego żony, projektantki mody. Miała długie, naturalnie rude włosy, nieco skośne oczy i ładną, piegowatą twarz. Była szczupła i dość wysoka. Tak jak Brigitte wiele już przeżyła i kiedy zaczęły rozmawiać, okazało się, że mają dużo wspólnego. Nona mieszkała przedtem w Europie, spotykała wielu sławnych ludzi, sypiała ze starszym od niej o dziesięć lat mężczyzną i próbowała nawet zażywać kokainę.

Brigitte zwierzyła się jej ze swej trudnej przeszłości, nie pomijając porwania i śmierci matki na skutek przedawkowania narkotyków. Zgodnie stwierdziły, że narkotyki to niedobrego; sprowadzają tylko ból i nieszczęście.

— Jesteśmy kosmicznymi bliźniaczkami — stwierdziła z radością Nona, kiedy okazało się, że ich urodziny przypadają w tym samym miesiącu. — To dziwne, że nigdy wcześniej nie rozmawiałyśmy. Nie próbowałam się z tobą zaprzyjaźnić, bo wszystkie dziewczyny twierdziły, że jesteś nieznośną snobką. A zresztą — powiedz sama — nie nawiązujesz łatwo przyjaźni, prawda?

— Prawda — przyznała Brigitte. — To niełatwe w mojej sytuacji — wyglądała na zakłopotaną. — Wiesz, ta cała forsa i tak dalej.

— Boże! Jak ja bym chciała odziedziczyć taką fortunę! — powiedziała z zazdrością Nona. — Przecież twoja rodzina też jest bogata — zauważyła Brigitte.

— Ale w porównaniu z tobą jesteśmy biedakami! W dodatku moi rodzice nie myślą o przekazaniu spadku dzieciom. Wydają wszystko, co zarobią. To niesprawiedliwe. Mój brat jest wściekły. Straszy, że zabije ich oboje, zanim zdążą wszystko przehulać! Brigitte zachichotała.

— Ile lat ma twój brat?

— Dwadzieścia trzy i jest stanowczo zbyt przystojny, nie wyjdzie mu to na dobre. Interesują go tylko bogate starsze kobiety i ich forsa, w tej kolejności. Usiłuję go chronić, ale to przegrana sprawa, wierz mi.

Brigitte była zaintrygowana.

— Chronić go? Przed czym?

— Alkohol, narkotyki, kobiety. Ten facet źle skończy, ale i tak go kocham.

— Chciałabym mieć brata — westchnęła melancholijnie Brigitte.

— Podzielę się z tobą moim, jeśli pomożesz mi go uratować — zaproponowała Nona.

— Jak mogę to zrobić?

— Wyjdź za niego. Takie bogactwo na pewno go uszczęśliwi.

Roześmiały się obie.

Inne dziewczęta nie zmieniły stosunku do Brigitte. — Nie zwracaj na nie uwagi, one ci zazdroszczą — powiedziała kiedyś Nona, gdy wybierały się na spacer do miasta.

— Dlaczego? — spytała Brigitte.

Nie mogła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł jej czegoś zazdrościć.

— Bo jesteś ładna i masz duże cycki — żartowała Nona. — To niezłe połączenie. Ten komplement sprawił Brigitte przyjemność, ale obie wiedziały, że chodzi o coś innego — mianowicie o pieniądze. Bogactwo oddzieliło ją od świata nieprzeniknioną barierą.

— Jakie masz plany na wakacje? — spytała Nona, gdy szły wiejską ścieżką w stronę przystanku autobusowego.

Muszę spędzić trochę czasu z babką. Potem jadę do Kalifornii do mojego byłego ojczyma i jego żony. Wynajmują dom w Malibu A ty"

— Mamy willę w Montauk — powiedziała Nona kopiąc kamyk na ścieżce. — Straszliwa nuda. Malibu — to jest coś!

— Słuchaj, mam świetny pomysł. Mogłabyś pojechać ze mną" — zaproponowała bez namysłu Brigitte. ^- Lennie i Lucky nie będą mieli nic przeciwko temu, to wspaniali ludzie, naprawdę.

— Lennie, jak Lennie Golden? — spytała Nona unosząc brwi. — Lucky jak Lucky Santangelo?

— Teraz już Lucky Golden — poprawiła Brigitte.

— O rany! To co innego. Brigitte roześmiała się.

— No więc?

- Jakże mogłabym odrzucić propozycję poznania prawdziwej gwiazdy Hollywood? Lennie Golden jest cudowny.

— Jest w porządku — uśmiechnęła się Brigitte. Nona wyglądała na zadowoloną.

— To chyba dobry pomysł. Ale najpierw musisz przyjechać do nas Poznam cię z Paulem, moim bratem. Spodoba ci się! Może nawet za niego wyjdiesz. Zrobisz to dla mnie? Miałabym z nim spokój do końca życia

Brigitte podjęła żart.

— Jasne, czemu nie? Wszystko dla przyjaciółki. Roześmiały się obie.

— Jutro zadzwonię do Lenniego — obiecała Brigitte.

I pierwszy raz od dawna poczuła, że może patrzeć w przyszłość z nadzieją.

— Lennie, jesteś taki lodowaty. Dlaczego traktujesz mnie tak obojętnie"

Wyrządziłam ci jakąś przykrość?

Marisa tuliła się do niego całym ciałem, a nie była drobną kobietą. Długie nogi i ramiona, obfite piersi, duże wargi i nadgorliwy język, który wślizgiwał się w jego usta za każdym razem, gdy całowali się przed kamerą.

Sceny miłosne były najgorsze, szczególnie gdy nie lubiło się partnerki — a między Lennie Goldenem i Marisą Birch stał istny mur. Lennie nie miał szacunku dla tego, co jak uważał reprezentowała sobą Marisa — fałszywa maska sukcesu i tak zwany splendor Hollywood. W jego opinii była zresztą nędzną aktorką. Pomijając już fakt, że sypiając z Nede Magnusem znajdowała czas na erotyczne kontakty ze swoją dublerką, Hyldą — kolejną amazonką z dużym biustem.

Ekipa filmowa była w siódmym niebie. Marisa miała na sobie jedynie cieliste figi i leżała z Lennie w pościeli. Uwielbiała wprost popisywać się przed kolegami i denerwowało ją tylko, że Lennie pozostawał na nią obojętny. Marisa zdążyła się przyzwyczać do tego, że każdy mężczyzna ślini się na jej widok. Traciła poczucie bezpieczeństwa, gdy mężczyzna nie reagował na jej aż nazbyt oczywiste wdzięki. — Mamy do zagrania scenę — tłumaczył cierpliwie Lennie, starając się nie zwracać uwagi na pierś zbliżającą się niebezpiecznie do jego twarzy. — To się nazywa aktorstwo. Jesteś aktorką, pamiętasz?

Znajdowali się na planie filmowym w sypialni eleganckiej willi, wzniesionej spektakularnie na krawędzi skały.

— Kochany, w łóżku nigdy nie jestem aktorką — wyznała Marisa odganiając charakteryzatorkę, która próbowała okrywać jej nagość między ujęciami.

— Dobra, kręcimy od nowa — oznajmił Grudge Freeport podchodząc do swoich gwiazd. — Lennie, to ma ci sprawiać przyjemność. Leżysz z nagą laską w łóżku, na rany boskie! — odwrócił się i wypluł grudek tytoniu na żółty talerzyk podsunięty mu przez usłużną asystentkę.

— Nie nazywaj mnie laską — obrazila się Marisa. — Mów na mnie „gwiazda” — przeciągnęła się leniwie i zauważyła Nade'a Magnusa, który właśnie pojawił się na planie.

— Cześć, najdroższy! — pomachała mu ręką i posłała kilka całusów. Ned wyglądał na zadowolonego.

— Czy żona najdroższego wie o tobie? — spytał Lennie.

Marisa uśmiechnęła się. Miała duże, lśniące białą zęby. Groźne dla mężczyzn.

— Żony zawsze dowiadują się na końcu — powiedziała słodko. — A jeśli to żona się zabawia, wtedy mąż dowiaduje się ostatni. Nie wiedziałeś o tym? —

przeciągnęła się jeszcze raz, kolejny pokaz dla ekipy. — A właśnie, Lennie, gdzie jest twoja żona? Słyszałam, że miała do nas przyjechać? Czyżby zmieniła plany?

— Kamera! — wrzasnął Grudge Freeport.

Gino Santangelo wprowadził się do hotelu Beverly Wilshire i zadzwonił do Paige.

— Pani Wheeler, nie ma jej — odpowiedziała pokojówka. — Życzy pan sobie pana?

Nie. Nie życzył sobie pana. Odłożył słuchawkę.

Hotel Beverly Wilshire sprowadzał mnóstwo przyjemnych wspomnień.

Popołudniowe randki z Paige. Szampan i seks, na zmianę. Długie, odurzające godziny miłości.

Gino uśmiechnął się i dotknął palcem blizny na policzku — pamiątki młodych lat.

Ech! Gdyby Paige знаła go wtedy, nie wahałaby się ani przez chwilę. Gino Byk — nie bez kozery nosił to przezwisko.

Gino Santangelo — który jako pierwszy chłopak w okolicy odkrył sekret sprawiania rozkoszy kobietom...

Był napalonym dwudziestodwulatkiem, gdy poznał tę niezwykłą kobietę,

Klementynę Duke, żonę podstarzałego senatora. To była dama! Wzięła go prosto z ulicy i zrobiła z niego człowieka. Nauczyła go jak się ubierać, co pić, jak prowadzić uprzejmą rozmowę. A przede wszystkim nauczyła go, jak się kochać. Pozwalał sobą kierować, bo tego właśnie chciał się nauczyć. W życiu najważniejszy był sukces — a Klementyna i jej mąż pomogli mu osiągnąć po kolei każdy wymarzony cel.

Teraz, po tylu latach, pamiętał jeszcze podniecający dotyk jej jedwabnej bielizny, gładkość jej szczupłych, białych ud i piżmowy zapach włosów.

Wiele kobiet było w jego życiu, ale pamiętał zaledwie kilka. Jego pierwszą ukochaną była Eleonora, która wreszcie okazała się podłą dziwką. Z kolei Cindy, jego pierwsza żona — w końcu i ona zwróciła się przeciwko niemu. Bee, z którą prawie się ożenił. Dalej, Carrie — kochanka jednej nocy, matka jego syna, Stevena. I wreszcie jego druga żona, Maria, największa miłość jego życia. Niewinna i piękna matka dwojga jego dzieci. Myśl o Marii i jej tragicznej śmierci była prawie nie do zniesienia. Radził sobie bez niej, ale w głębi duszy zawsze przejmował go głęboki smutek.

Po Marii przewinęły się niezliczone inne kobiety. Krótki romans z Mara-belle Blue, gwiazdą filmową, był lekarstwem na samotność. W Izraelu opiekowała się nim wdowa Rosaline. W końcu ożenił się trzeci raz — z Susan Martino, prawdziwą żoną Hollywood.

Jedyne, co można było powiedzieć o niej dobrego, to że poznała go z Paige.

Właściwie nawet przyłapał je razem, jak zabawiały się ze sobą w łóżku. Paige nigdy nie udzieliła żadnych wyjaśnień, choć wtedy już ich romans trwał od jakiegoś czasu.

Gino zrozumiał, że Paige jest obdarzona nienasyconym apetytem na seks. Nie przeszkadzało mu to — rozumiał ją doskonale.

A teraz pragnął mieć ją za żonę — im wcześniej tym lepiej. Chwycił słuchawkę i ponownie wykręcił numer. Tym razem odebrał Ryder Wheeler.

— Jest tam Paige? — spytał Gino, czując, że ma już dość ukrywania się. Jeśli ona nie chce porozmawiać szczerze z mężem, on zrobi to za nią.

— A kto chce z nią mówić? — padło pytanie.

— Ja, Ryder. Gino Santangelo. Pamiętasz mnie?

Rozdział siedemnasty

Lucky Santangelo umiała rozkazywać ludziom — przez lata nabrała odpowiedniego doświadczenia. Najpierw hotele w Las Vegas, potem imperium przemysłowe Dimitriego, którym zarządzała z nieugiętą pewnością siebie, niezależna od kierownictwa i zawsze polegająca na instynkcie, jaki rzadko ją zawodził. Teraz jednak musiała siedzieć spokojnie w zapuszczonym kącie studia Panther i przyglądać się biernie wszystkiemu bez wpływu na bieg wydarzeń — doprowadzało ją to do szaleństwa.

Pomoc Hermana nie zdawała się na wiele, tak był niekompetentny. Nic dziwnego, że Mickeyowi Stolliemu nie przeszkadzała obecność szpiega Abe'a — dobrze wiedział, że Herman nie jest w stanie mu zaszkodzić.

Lucky zleciła Hermanowi, by wy dostał od Mickeya kopie kosztorysów trzech największych filmów, nad którymi studio właśnie pracowało. I jak dotąd Herman ich nie otrzymał. Prosiła go, by zorganizował projekcję taśm z *Macho Mana*, ale nie zrobił nawet tego. Kierownictwo studia wykreśliło się pod pierwszym lepszym pretekstem, a Herman uwierzył.

Herman Niedojda.

Rozpoczynając w poniedziałkowy ranek drugi tydzień swej nowej pracy, Lucky postanowiła, że tym razem będzie inaczej.

Od czasu wspólnej kolacji z Harrym Browningiem prawie nie rozmawiali ze sobą. Wszystko, co mogła z niego wydobyć, to ledwo dosłyszalne, zakłopotane „dzień dobry”. Harry zmienił swoją godzinę lunchu i umykał, gdy tylko Lucky zbliżała się do niego.

Tymczasem Lucky postanowiła rozpracować Olive. Pogratulowała jej zaręczyn obdarowując butelką średniej jakości szampana. Wpadała jak tylko mogła często, żeby spytać, czy kopie kosztorysów dla pana Stone'a są już gotowe. Zostawała dłużej plotkując z Olive na nieważne tematy.

Z czasem Olive przekonała się do niej.

— Jesteś inna niż wszystkie sekretarki tutaj — powiedziała kiedyś. — Je interesują tylko faceci, forsa i kosmetyki.

Obie były tym rozbawione.

— A co ciebie interesuje? — spytała Lucky, próbując zdobyć zaufanie Olive.

— Pan Stolli powiedział, że jestem najlepszą osobistą asystentką, jaką kiedykolwiek miał, i jestem z tego dumna. My, Angielki, poświęcamy się naszej pracy, wiesz.

— Długo dla niego pracujesz?

— Pięć lat — odparła dumnie Olive. — Pan Stolli mnie docenia. Podarował mi na gwiazdkę samochód.

— Samochód? To wspaniale!

— Tak. Pan Stolli jest dobrym szefem.

Ale Lucky nie zdołała dowiedzieć się niczego na temat charakteru Mickeya Stolliego, Olive była małomówna i absolutnie lojalna — wyjątkowo irytująca cecha angielskiego wychowania. Lucky miała ciekawy, choć raczej męczący weekend. W piątek wieczorem wyleciała do Londynu, gdzie znalazła się w sobotnie południe. Resztę dnia i całą niedzielę spędziła z synem, Bobbym. Później lot concordem do Nowego Jorku, a stamtąd szybkie połączenie lotnicze do Los Angeles.

Bardzo potrzebowała tej przerwy, a i Bobby ucieszył się widząc matkę. Pływali łodzią w Hyde Parku, jedli hamburgery w Hard Rock Cafe, zwiedzali stoiska z zabawkami u Harrodsa i poszli razem do kina.

Bobby był cudownym dzieckiem. Miał sześć i pół roku, a wyglądał jak mały Gino. Te same czarne oczy i włosy, ten sam energiczny krok, ta sama ciekawość świata.

— Tęsknię za tobą, mamusiu — powiedział, tuż przed odjazdem Lucky.

— Będziemy razem przez całe wakacje — obiecała, tuląc syna do siebie. —

Przyjedziesz do Kalifornii i będziemy mieszkać wszyscy razem w dużym domu na plaży. Ty, Lennie, Brigitte i ja. Dobrze? Odpowiada ci to?

Przytaknął poważnie, a Lucky zostawiła go pod opieką niani i dwóch stałych ochroniarzy. Było to smutne, że Bobby musiał znajdować się nieustannie pod tak ścisłym nadzorem, ale od czasu jego porwania Lucky nie chciała więcej ryzykować. W końcu nie było aż tak źle. Bobby'emu podobało się w szkole i lubił też Cee Cee, swoją śliczną jamajską nianię, która opiekowała się nim od małego.

Wróciwszy do Los Angeles Lucky poczuła przyływ energii. W niedzielę wieczorem zadzwoniła do Lenniego do Acapulco, żeby nie wzbudzać podejrzeń męża. — Jak idą interesy? — spytał Lennie.

— Powoli. Wiesz, jacy są Japończycy.

— Dobrze się bawisz?

— Bez ciebie? Żartujesz.

— Ten film mnie wkurza.

— Mówiłeś to już siedem tysięcy razy.

— To przygotuj się na siedem tysięcy pierwszy raz.

— Kocham cię, Lennie — powiedziała pełnym tęsknoty głosem.

— Udowodnij to.

— Jak?

— Chrzań interesy i przyjedź do mnie.

— Rozumiesz słowo „cierpliwość“?

— Próbuję.

— Próbuj.

Kiedy już Lennie dowie się, że Lucky kupiła dla niego to studio, zrozumie, że warto było czekać. Dopiero będzie mu wstyd za tę niecierpliwość!

A teraz był poniedziałek rano, Herman gapił się na nią, a ona gotowa była wziąć się do dzieła.

— Pan Panther chce z tobą rozmawiać — oznajmił Herman, gdy stanęła w drzwiach jego biura.

— Tak? W jakiej sprawie?

— Nie wiem — Herman wiercił się na krześle.

Dzień był wyjątkowo upalny. Lucky z obrzydzeniem poprawiła perukę. Dwa dni wolności odzwyczyły ją od charakteryzacji. Opadła na krzesło i zadzwoniła do Abe'a.

Inga odebrała telefon, pytając chłodnym, nieprzyjaznym tonem:

— Kto mówi?

— Lucky Santangelo.

— Zobaczę, czy pan Panther jest wolny.

— Dzwonił do mnie, Inga. Jestem pewna, że będzie wolny.

— Zobaczę. Hetera!

Po krótkim . oczekiwaniu Lucky usłyszała głos Abe'a — rozgadany, podniecony.

— Co się dzieje, Lucky? Co robisz? Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

Zapomniałaś, że mamy być w kontakcie?

— Mówiliśmy o sześciu tygodniach, Abe. Nie wiedziałam, że życzy pan sobie regularnych raportów.

— Nie mogę się doczekać twojej relacji! Musisz mi wszystko opowiedzieć!

— Jak dotąd niewiele jest do przekazania.

— Przyjdź dzisiaj na kolację. O szóstej.

— Tylko pan, ja i Inga?

— Tak, tak — zapewnił niecierpliwie.

— Nie mogę przepuścić takiej okazji — zauważyła sarkastycznie Lucky. Jak tylko odłożyła słuchawkę, Herman zapytał z niepokojem, czego chciał Abe.

— Mojego ciała — odparła krótko Lucky.

Jej poczucie humoru nie trafiło jednak do Hermana. Patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu. Lucky zapaliła papierosa.

— Przysłali już ten kosztorys? Zaprzeczył ruchem głowy.

— Zadzwoni natychmiast do Mickeya Stolliego i zapowiedz mu osobiście, że ma ci go dostarczyć jeszcze dzisiaj, bo jak nie...

— To co? — spytał Herman, dysząc.

— Dobre pytanie — przez chwilę ssała ołówkę w zamyśleniu. — Bo jak nie, to poczujesz się zmuszony poinformować Abe'a Panthera, że odmawia współpracy, i że w związku z tym Abe powinien przysłać kogoś młodszego na twoje stanowisko. To go powinno przekonać.

Herman poluźnił krawat.

— Strasznie dziś gorąco — skrzywił się.

— Im bardziej będziesz narzekał, tym będzie ci goręcej — powiedziała Lucky, drapiąc się w perukę. — Dzwonimy, Herman. Jesteś gotowy?

Potwierdził bez przekonania.

Telefon odebrała Olive, która poinformowała Lucky, że pan Stolli ma w tej chwili ważną konferencję i nie należy mu przeszkadzać.

— Pan Stone chce pomówić z nim o tych kopiach kosztorysu, o które prosił tydzień temu. Przypominałam ci o tym, Olive. Kiedy możemy się ich spodziewać?

— Jeszcze nie przyszły? Zdawało mi się, że już zostały wysłane — Olive była zdziwiona.

— Jeszcze ich nie ma.

— Ojej.

— Mogę po nie wpaść — zaofiarowała się Lucky.

— Zapytam o to pana Stolliego, jak tylko skończy się konferencja. Później do ciebie zadzwonię.

Lucky odłożyła słuchawkę.

— Widzę, że traktują cię tu z królewskim lekceważeniem. Albo, jak mawiał mój ojciec, mają cię w dupie.

Herman skurczył się w sobie.

— Ale ja się tym zajmę — oświadczyła z powagą Lucky. Zerwała się na równe nogi, nagle przepełniona energią.

— Jeszcze dziś te dokumenty znajdą się w naszym posiadaniu. Siedź spokojnie Herman i zaufaj mi. Na razie. W głównym biurowcu studia wrzała codzienna praca. Ludzie wchodzili i wychodzili. Dyrektorzy w ciasnych dżinsach i rozpiętych koszulach. Złote łańcuszki, tony lakieru do włosów. Tenisowa opalenizna wysportowanych ciał. To jeśli chodzi o mężczyzn. Kobiety natomiast należały do dwóch kategorii — biznes i przyjemność. Te pierwsze cechowały się eleganckimi marynarkami, jedwabnymi koszulami i profesjonalnym wyrazem twarzy. Te drugie, poświęcające się przyjemnościom życia, pozwalały sobie na głębokie dekolty i minispódniczki, pod którymi nie widać było odciskającej się linii majteczek. Czasem trudno było się zorientować, kto czym się zajmował. Jedna z sekretarek, dość konserwatywnie ubrana, była uderzająco piękna — można by przysiąc, że jest filmową gwiazdą. Z kolei pewien mężczyzna w kosztownym garniturze, ze złotym łańcuszkiem i sygnetem pracował jako goniec przy dostarczaniu poczty. Natomiast dwaj najpotężniejsi producenci, specjaliści od erotycznych horrorów, przynoszących milionowe zyski, a więc od ulubionych filmów Mickeya Stolliego, przypominali wyglądem włóczęgów z ulicy. Wchodzili właśnie do budynku — Lucky rozpoznała ich dzięki fotografii, którą widziała niedawno w piśmie „Variety”.

Frankie Lombardo i Arnie Blackwood byli kolegami. Arnie był wysoki i chudy, z przetłuszczonymi włosami związanymi w kitkę i w lustrzanych

okularach, zakrywających jego wodniste oczy. Frankie był nieuczesanym szatynem o dziko rosnącej brodzie, małych oczach, krzaczastych brwiach i olbrzymim brzuchu. Nazywano ich Lubieżnymi Kawalerami i większość kobiet pracujących w studiu wołała schodzić im z drogi. Wyrażenie „męskie świnie” w pewnym stopniu oddawało ich charakter.

Lucky obserwowała ich z odległości, podążając za nimi do biura Mickeya Stolliego, gdzie zatrzymała ich Olive.

— Proszę łaskawie usiąść, panowie — powiedziała chłodno. — Pan Stolli zaraz panów poprosi.

— Co za akcent! — wykrzyknął Frankie siadając na rogu biurka, zrzucając przy tym oprawioną w ramkę fotografię narzeczonego Olive.

— Babka z klasą. A co za dupcia! — przyłączył się Arnie. — Też chcę, żeby taka flegmatyczna kobitka zajmowała się moją brudną robotą. Co ty na to, Frankie?

— Arnie żąda, Arnie dostaje — obiecał Frankie i w tej chwili zauważył Lucky stojącą w drzwiach.

— Czołem, ślicznotko! — zawołał głośno, arogancko. — Nie przyszło ci kiedyś do głowy, żeby zmienić fryzjera?

Arnie wybuchnął śmiechem.

— Mnie to wygląda na perukę. To nadaje całkiem nowe znaczenie słowu „głowa”, nie uważasz? Frankie śmiał się do rozpuku.

Lucky ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś, co wgniotłoby tych durniów w ziemię. Przypomniała sobie, co Harry Browning mówił o ich skandalicznych manierach w sali kinowej.

Olive wstała zza biurka. Na bladej cerze jej policzków pojawiły się rumieńce.

— Pan Stolli może już panów przyjąć — oznajmiła cicho. — Proszę wejść. Frankie zeskoczył z biurka i skierował się do drzwi pokoju Mickeya,

a Arnie podążył tuż za nim. Przez otwarte drzwi Lucky zauważyła Mickeya

Stolliego, który rozmawiał przez telefon, rozparty w ogromnym skórzanym fotelu.

Machnął ręką na przywitanie obu producentów, a w chwilę potem Arnie zatrzasnął drzwi kopniakiem swego kowbojskiego, dawno nie czyszczonego buta.

Olive spojrzała na Lucky.

— Przepraszam za nich — powiedziała, wyraźnie zakłopotana. — Nie mieli na myśli nic złego. To para dużych, niegrzecznych uczniów.

Lucky z trudnością powstrzymywała się od komentarza. Słyszała o Ar-niem i Frankiem od Lenniego.

— Dwa wielkie zera — mówił. — Latają po studiu w koszulkach z napisem „Pożre każdą cipę, chyba że ona pożre mnie”.

— Czarujący mężczyźni — zauważyła Lucky.

— Ujmijmy to tak: za skarby świata nie zgodziłbym się dla nich pracować. Ned Magnus wygląda przy nich na faceta z klasą — śmiał się Lennie.

Olive stała wpatrzona w Lucky, oczekując odpowiedzi.

— Zdenerwowałaś się, prawda? Niepotrzebnie. Masz bardzo ładną fryzurę — zapewniła.

„Och, Olive, Olive... Nie gadaj bzdur. Ta peruka jest obrzydliwa, Arnie powiedział to, co widział”.

— Wszystko w porządku — powiedziała Lucky cicho, starając się wyglądać na urażoną.

— Zjesz ze mną lunch? — spytała wesoło Olive. — Punktualnie o pierwszej. Ja stawiam. — Mówiłaś, że nie jadasz lunchu.

— Nie codziennie, oczywiście. Ale też nie codziennie się zaręczam! Uczcijmy ten dzień, zgoda? Lucky przystała na to, rezygnując z dopytywania się o koszty filmów. Jeśli nie wspomni o nich teraz, będzie miała wymówkę, żeby odwiedzić Olive następnego dnia. Umówiły się na spotkanie w bufecie i Lucky wyszła.

Na zewnątrz zauważyła wysoką, charakterystycznie wyglądającą kobietę, którą widziała w tym samym miejscu przed tygodniem. W zeszły poniedziałek miała na sobie strój z kolekcji Dony Karan — tym razem był to Yves Saint Laurent, coś szczególnego w jej wyglądzie nie dawał Lucky spokoju. Posłuszna swemu przeczuciu, Lucky odwróciła się i podążyła za nią z powrotem do biurowca. Nieznajoma szła szybkim krokiem, zdecydowanie zmierzając do celu. Wysokie obcasy stuknęły o marmurową posadzkę hallu, zatrzymując się przed drzwiami z wizytówką EDDIE KANE, PIERWSZY WICEDYREKTOR D/S DYSTRYBUCJI. Kobieta otworzyła te drzwi i znikła w środku.

Lucky odczekała kilka chwil, zanim weszła za nią. Dwie sekretarki zabawiały się rozmową o Tomie Selleck. Jedna z nich podniosła wzrok na Lucky. Miała paznokcie pomalowane na krwawoczerwony kolor i takie same, uszmiłkowane wargi.

— Czym mogę służyć? — zapytała obcesowo.

— Zdaje się, że pomyliłam drzwi. Szukam biura pana Stolliego.

— Piętro wyżej — powiedziały Krwawe Paznokcie, po czym dodały wspaniałomyślnie — może pani skorzystać z windy.

W tejże chwili z prywatnego biura Eddiego Kane'a wyszła nieznajoma. Z bliska jej twarz wydawała się wyrzeźbiona w granicie i upiększona nieskazitelnym makijażem. Wzrok jej oczu był twardy i nieustępliwy. Lucky rozpoznała to spojrzenie — widziała je nieraz w twarzach dziwek, szulerów i handlarzy narkotyków. W Las Vegas roiło się od ekskluzywnych kurew; Lucky widywała je od dziecka i nauczyła się je rozpoznawać. Podziękowała sekretarce za informację i wyszła w ślad za nieznajomą.

Do budynku wchodził właśnie Johnny Romano. Kroczył dumnie, z lekkim kołysaniem lędźwi, najpierw kutas, a potem reszta ciała razem z obstawą. Kobieta nie spojrzała nawet w jego stronę. Szybkim krokiem podeszła do szarego cadillaka Seville, wsiadła zatrzaszczając drzwi i odjechała.

Czuając się jak detektyw na tropie, Lucky zapamiętała numer rejestracyjny wozu, po czym wróciła spieszenie do biura Eddiego.

Krwawe Paznokcie rozmawiały z kimś przez telefon, podczas gdy druga sekretarka, urodziwa Murzynka, przeglądała egzemplarz pisma „Rolling Stone”.

— Przepraszam — powiedziała Lucky. Ta pokora i przesadna grzeczność zaczynały już wychodzić jej bokiem, a cholerna peruka działała jej na nerwy, szczególnie w taki gorący, wilgotny poniedziałkowy ranek.

Murzynka opuściła magazyn i rzuciła od niechcenia:

— Tak?

— Ta kobieta, która tu przed chwilą była, czy ona pracuje w studiu?

— Nie. A dlaczego?

— Widziałam, jak ktoś uszkodził jej samochód i pomyślałam, że trzeba jej o tym powiedzieć.

Krwawe Paznokcie oderwały się od słuchawki i spytały koleżanki:

— O co chodzi, Brenda? Brenda wzruszyła ramionami.

— Jakiś wypadek samochodowy, czy coś takiego.

— Muszę się skontaktować z tą kobietą, która tu przed chwilą była — oświadczyła zdecydowanie Lucky. — Ma pani numer jej telefonu?

Teraz Paznokcie wzruszyły ramionami.

— Nie wiem. Może Eddie ma.

— Pan Kane — poprawiła Brenda, karcąc koleżankę wzrokiem. Kobieta o krwawych paznokciach wyduła wargi.

— Nienawidzę mówić o kimkolwiek Pan jakiś — odparła. — To upokarzające. Jakbyśmy my były niższym gatunkiem ludzi. Będę mówiła na niego Eddie, bo tak mi się podoba.

— Jak chcesz. Ja tylko przypominam ci, co on powiedział.

— Tak, że mnie wyrzuci, jeśli się jeszcze raz zapomnę? — drwiły Paznokcie. — Jasne. Facet ma szczęście, że w ogóle jakieś sekretarki chcą dla niego pracować, przy tych jego obrzydliwych łapach, które wszędzie wtyka. W tym biurze pochylić się to poważne ryzyko!

Brenda nie mogła powstrzymać chichotu. Nagle przypomniały sobie o obecności Lucky. — Wydaje mi się, że nazywa się Smith — powiedziały Paznokcie, szalenie profesjonalnym tonem. — Zaraz sprawdzę, powinnam gdzieś mieć jej wizytówkę.

— Jeśli nie uda się pani z nią skontaktować, będzie tu w następny poniedziałek — wtrąciła usłużnie Brenda. — Przychodzi co tydzień opiekować się rybkami pana Kane. — Czym, przepraszam?

— Rybkami tropikalnymi. Pan Kane ma akwarium w swoim biurze.

— Naprawdę? I co właściwie ona z nimi robi?

— Kto wie? — ziewnęła Brnenda. — Pewnie je karmi. On ma małego bzika na punkcie rybek. Kiedy pewnego razu nie przyszła, pan Kane

dostał świra. Wrzeszczał i miotał się po całym biurze jak Stallone w ataku szału.
— Świetnie, Brenda — powiedziała z podziwem koleżanka. — Powinnaś pisać scenariusze.

Brenda zachichotała i wróciła do przerwanej lektury. Bardziej niż rybki pana Kane'a interesowało ją, czy David Lee Roth jest naturalnym czy farbowanym blondynem.
— O, proszę — powiedziały Krwawe Paznokcie — „J. Smith, Rybki Tropikalne”.
Zapisała numer telefonu na kartce i podała ją Lucky.

— Pani tu pracuje?

— Jestem tymczasową asystentką pana Stone'a.

— A kto to jest?

— Jeden z dyrektorów.

— Od czego?

— Pracował tu za czasów pana Panthera.

— Ach tak? — Paznokcie były znudzone tą rozmową.

Lucky umknęła im w końcu. „Rybki tropikalne, akurat!” — myślała, wracając spacerem do biura Hermana Stone'a.

Dzień zaczął się więc interesująco. Poznała Lubieżnych Kawalerów w akcji, zdobyła współczucie Olive, i spotkała kobietę, która — jeśli Lucky mogła wierzyć przeczuciu — dostarczała Eddiemu Kane'owi narkotyki.

Nieźle. Całkiem nieźle.

Teraz czekał ją jeszcze lunch w towarzystwie Olive, a potem kolacja z Abe'em i Iną. Co jeszcze mogło się wydarzyć jednego dnia?

Rozdział osiemnasty

Abigaile Stolli wydawała przyjęcie, a w każdym razie przygotowywała się do tego. Przemierzała pokoje willi w Bel Air doglądając wszystkich najdrobniejszych szczegółów, a towarzyszyły jej w tym dwie hiszpańskie pokojówki, Consuela i Firella.

Abigaile była niską kobietą o brązowych włosach sięgających jej do ramion i zadartym nosie. Nie była piękna, ale też jako wnuczka Abe'a Panthera nie musiała być. Abigaile należała do prawdziwej arystokracji Hollywood. W wieku czterdziestu lat utrzymywała drobną, dziewczęcą figurę (dzięki Jane Fondzie), gładką cerę (dzięki Aidzie Thibiant) i poczucie zdrowej rywalizacji ze wszystkimi innymi hollywoodzkimi żonami w mieście. Kiedy Abigaile zabierała się do czegoś, musiała być w tym najlepsza. Starła się wydawać najlepsze przyjęcia, najlepsze obiady na cele dobroczynne i naj-

lepsze intymne kolacje. Jedzenie było zawsze wspaniałe, obsługa bez zarzutu, ale jej największym sekretem była umiejętność dobierania odpowiedniego zestawu gości. Dzisiejszy wieczór był tego najlepszym przykładem. Zwykła kolacja dla dwunastu osób, a skład wprost niezwykły. Jeden murzyński polityk — mężczyzna. Jedna słynna feministka — kobieta. Legendarny wokalista rockowy z egzotyczną żoną, wziętą modelką — dodatkowy plus. Dwie gwiazdy filmowe — Cooper Turner i Venus Maria. Młody obiecujący reżyser i jego dziewczyna. Towarzystwa dopełniali rozgadany, świeżo wybrany dyrektor studia Orpheus, Zeppo White, i jego lekko katatoniczna żona, Ida.

Zeppo (były agent, jeden z najlepszych w swoim fachu) oraz Ida (tak zwana producentka, która nigdy niczego nie wyprodukowała) stanowili konieczny element każdego przyjęcia. Zeppo, ze swoimi manierami snoba i kwaśnymi uwagami. Ida, modna i szykowna, źródło najświeższych skandalicznych plotek. Abigaile zawsze starała się umieszczać ich na liście gości. Ich obecność była jak polisa przeciwko nudzie.

Abigaile była szczególnie zadowolona, że Cooper Turner przyjął zaproszenie. Znany był z tego, że nigdy nie pokazuje się w towarzystwie, więc pochlebiała sobie, że udało się jej go namówić. Venus Maria także była pożądanym, a trudno osiągalnym gościem.

Abigaile z satysfakcją myślała, że ten wieczór będzie długo wspominać. Sama zadzwoniła do George'a Christy'ego, żeby przedstawić mu listę zaproszonych. Niech miasto czyta — i zazdrości.

— A to co? — Abigaile spostrzegła kieliszek do wina z lekko wyszczerbioną nóżką. Pokazała go swym dwu pokojówkom, patrząc na nie surowym wzrokiem. Słowa były zbędne.

— Bardzo przepraszam, madame — pospieszyła Consuela, przyjmując winę na siebie i biorąc kieliszek z ręki chlebobawczyni. — Zajmę się tym, madame.

— Tak, i może przy okazji dowiesz się, kto za to odpowiada — powiedziała rozgniewana Abigaile. — Te kieliszki kosztowały ponad sto pięćdziesiąt dolarów sztuka. Ktoś powinien za to zapłacić. A tym kimś nie będę ja.

Consuela i Firella wymieniły spojrzenia. Sto pięćdziesiąt dolarów! Za jeden kieliszek! Amerykanki z pewnością nie były przy zdrowych zmysłach.

Abigaile dokończyła inspekcję bez dalszych niespodzianek, po czym pojechała swym kremowym mercedesem do salonu piękności. Pędząc Bulwarem Zachodzącego Słońca, połączyła się przez radiotelefon z Mickeyem w studiu Panther.

— Idę właśnie na lunch — powiedział zniecierpliwiony Stoll. — O co chodzi?

— Miałeś przysłać z biura trzy tuziny szampana Cristal. Dlaczego jeszcze ich nie ma?

Proszę, oto jest szefem jednego z największych studiów filmowych, a własna żona traktuje go, jakby był sprzedawcą w sklepie monopolowym. Cudowne!

— Pomów o tym z Olive — uciął.

— Nie, to ty z nią pomów — Abigaile nie dawała za wygraną.

Wśród większości hollywoodzkich małżeństw rodzinie przewodzili mężowie, podczas gdy ich żony tańczyły na palcach wokół ich delikatnych ja. Natomiast w domu państwa Stollich władza należała do Abigaile. Była wnuczką Abe'a Panthera i niech nikt o tym nie śmie zapomnieć — a już przede wszystkim Mickey.

— A jak będziesz z nią rozmawiał, każ jej upewnić się, czy Cooper Turner i Venus Maria na pewno się zjawią. Nie chcę żadnych niespodzianek w trakcie przyjęcia.

— Dobrze, dobrze — potakiwał niecierpliwie Mickey, po czym dodał z sarkazmem:

— Czy coś jeszcze? Może mam odebrać twoją bieliznę z pralni, albo kupić owoce na rynku?

— Do zobaczenia, mój drogi — ton głosu Abigaile mówił więcej niż tysiąc słów. Zatrzymała się przed eleganckim salonem piękności Ivana i szybko weszła do środka.

Abigaile Stolli wydaje jedną ze swych słynnych intymnych kolacji. Nie ma czasu do stracenia.

Rozdział dziewiętnasty

Olive Watson opowiadała z przejęciem o swym narzeczonym — specjaliście od komputerów. Poznała go rok temu, podczas swych corocznych wakacji w Anglii — i od tamtej pory pisywali do siebie listy.

— Jak długo z nim byłaś? — interesowała się Lucky.

— Dziesięć dni — powiedziała Olive. — To był szalony romans. „Przypuszczam”

— pomyślała Lucky. Miała wielką ochotę zapytać, czy spali ze sobą, ale skryta Olive z pewnością uchyliłaby się od odpowiedzi. Zamiast tego, Lucky zagadnęła:

— Jak ma na imię?

— George — Olive wyglądała na zakochaną. — Jest ode mnie starszy. I niezwykle przystojny.

— O ile starszy? — zaryzykowała Lucky. Olive wyduła wargi.

— Pięćdziesiąt coś.

— Nic w tym złego — zapewniła ją Lucky, myśląc o swym małżeństwie z Dimitnem Stamslopoulosem, który był po sześćdziesiątce, gdy ona miała dwadzieścia kilka lat.

— Jesteś bardzo wyrozumiała — stwierdziła Olive, nakładając sobie sałatkę. Po krótkim wahaniu dodała:

— Nie obraż się, ale twoją fryzurę naprawdę można poprawić. Chętnie zabiorę cię do mojego fryzjera. To znaczy, jeśli będziesz chciała — dokończyła pospiesznie, bojąc się urazić Lucky.

— Nie trzeba, jestem z niej zadowolona — odparła czym prędzej Lucky dotykając odruchowo swej ohydnej peruki.

— Aha. Nie chcę przez to powiedzieć, że twoje włosy są nieładne. Są bardzo ładne, naprawdę — skłamała Olive, najwyraźniej zbita z tropu.

Po raz pierwszy Lucky poczuła się jak oszustka. Olive naprawdę starała się jej pomóc i Lucky pomyślała, że jest wobec niej nieuczciwa.

Nieważne, zdecydowała po chwili. Kiedy przejmie studio wynagrodzi Olive wysoką podwyżką i awansem. Zasługiwała na to po tylu latach pracy u Mickeya Stolliego.¹

Zmieniając niewygodny temat, Lucky spytała:

— Kiedy zamierzacie się pobrać?

— George chce jak najszybciej — powiedziała Olive nieco zmartwiona myśląc o trudnościach, jakie stały na przeszkodzie. — Powiedziałam mu że to niemożliwe w tej chwili. Musimy omówić tyle spraw, a ja nie chcę porzucać tej pracy. Nie jestem pewna, czy George będzie miał ochotę przenieść się do Kalifornii.

— Nie zapytałaś go o to?

— Zapytam — odparła Olive. — W przyszłym tygodniu George przyjeżdża na dwa dni do Bostonu w sprawach służbowych. Wtedy moglibyśmy porozmawiać o wszystkim — westchnęła. — George chciałby, żeby do niego przyjechała. A to, niestety, jest niemożliwe.

Lucky wyczuła okazję.

— Dlaczego?

— Bo pan Stolli nie poradzi sobie beze mnie. On jest bardzo wymagający wszystko musi być zrobione dokładnie tak, jak on sobie życzy.

— Naprawdę? I nie chce dać ci urlopu⁹

— Nie.

— A nie zgodzi się, żeby ktoś cię zastąpił?

— To wykluczone.

— A ja?

— Ty?

Byłoby to trudne, ale Lucky wiedziała, że sobie poradzi.

— Tak, ja. Mogłabym cię zastąpić na te kilka dni. Powiesz mi, co jest do zrobienia i obiecuję, że nikt nie będzie się na mnie skarżył.

— Przecież pracujesz u pana Stone'a.

— Bierz urlop w przyszłym tygodniu. Poza tym u niego i tak me mam nic do roboty. To strasznie nudne, i tak miałam zamiar rzucić tę pracę Olive zamilkła na chwilę. Propozycja była kusząca. Luce wydawała się dość kompetentna, co do tego nie miała wątpliwości.

— Muszę spytać pana Stolliego — powiedziała bez przekonania. — _ t o w końcu od niego zależy. I jak mówię, to bardzo wymagający człowiek, o żelaznych przyzwyczajeniach.

— Dobrze — powiedziała Lucky, pragnąc by Olive podchwyciła jej pomysł. — Rozumiem.

— Zapytam go — zdecydowała Olive. — Dla mnie to bardzo ważna sprawa i okazja, by ustalić wszystko co trzeba.

— Jasne — powiedziała Lucky.

— Dam ci znać, czy się zgodził — dodała Olive.

Lucky zleciła Boogiemu, aby odnalazł cadillaka znajomej Eddiego Kane a od rybek Był zarejestrowany na nazwisko Kathleen Le Paul. Pani J. Smith natomiast nie udało się zidentyfikować. Cóż, nie trzeba było geniuszu, żeby na to wpaść. Kazała Boogiemu dowiedzieć się czegoś o pani Le Paul i dostarczyć jej informacje najszybciej jak można. — Nie ma sprawy — zapewnił ją Boogie.

Herman chciał wiedzieć natychmiast, co się dzieje. Klimatyzacja w jego biurze nie działała i robiło mu się gorąco z wielu powodów. Był czerwony na twarzy i wyglądał na zmęczonego. Lucky mu współczuła.

— Pojedziesz na wakacje — powiedziała stanowczo.

— Co takiego? — zdziwił się.

— Wakacje. Potrzebujesz odpoczynku. Tydzień w Palm Sprmgs dobrze ci zrobi Muszę być wolna, żeby móc zastąpić Olive. Zgoda?

Herman nie zamierzał dyskutować. Z ulgą pomyślał, że oderwie się od tych wszystkich problemów. — Kiedy mam wyjechać? — spytał rzeczowo.

— Zostań do czwartku. Może uda nam się obejrzyć te taśmy, o które prosiłeś — Lucky podniosła słuchawkę telefonu. — Właśnie zamierzam się o to upomnieć.

Sala projekcyjna była elegancko wykończona zieloną skórą. Podłogę wyściełano grubymi dywanami, a na ścianach wisiały fotosy wszystkich największych gwiazd studia. Była tam Venus Maria w czarnej skórze, z wyrazem szyderstwa na twarzy. Zbliżenie przystojnego Coopera Turnera. Susie Rush bezczelna i wstydliva, ukryta pod różową parasolką. Charhe Dollar z nieodłącznym uśmiechem maniaka. Johnny Romano w otoczeniu dziewcząt w spódniczkach mini. Krótka ostrzyżona Marisa Birch ze swym imponującym biustem Wreszcie Lennie Golden, swobodny i radosny, z długimi włosami koloru brudnoblond, przenikliwymi zielonymi oczyma i cynicznym uśmiechem.

Lucky stała dłuższą chwilę przed jego fotografią. Wyglądał wspaniale. Jak zawsze. Straszliwie za nim tęskniła.

Harry Browning wyszedł ze swej kabiny, żeby osobiście powitać Hermana Stone'a. Ignorując Lucky wymienił z Hermanem uścisk dłoni i powiedział:

— Bardzo mi miło znów pana widzieć, panie Stone. Dawno pan tutaj nie gościł.

— Co jest do obejrzenia? — spytał szorstko Herman, poinstruowany przez Lucky, jak ma się zachowywać.

— Mam ostatnie fragmenty *Macho Mana*. I próbny montaż *Matkożercy*.

— Wystarczy — powiedział Herman, przeciskając się do ostatniego rzędu foteli, gdzie znajdował się telefon, przez który można było wydawać polecenia operatorowi. Obok stała niewielka lodówka z napojami chłodzącymi.

— Co chciałby pan zobaczyć najpierw? — spytał Harry.

— To, co macie z *Macho Mana* — powiedziała Lucky i dodała szybko: — Pan Stone chciałby najpierw obejrzeć *Macho Mana*.

— Zgadza się — poparł ją Herman, pierwszy raz poprawnie odgrywając swoją rolę.

— Oczywiście — powiedział Harry, unikając wzroku Lucky.

Kiedy Lucky ujrzała Lenniego na ekranie, jej serce napełniło się dumą. Był nie tylko inteligentny i dowcipny, ale do tego taki męski! Lennie Golden — jej mąż.

Pierwsza scena była krótkim wprowadzeniem Lenniego i Joeya Firello. Był to kawałek dobrej roboty — szybki, sprawny dialog. Lucky rozpoznała ulepszenia, jakie Lennie wprowadził do tekstu. I czemu Lennie tak narzekał? Ta scena prezentowała się znakomicie. Później ekran zdominowała swoją obecnością Marisa Birch i Lucky wiedziała już, co się Lenniemu nie podobało. Marisa miała imponujące ciało, ale za grosz talentu. Zachowywała się jak gigantyczna lalka. Jej scena w łóżku z Lenniem zakrawała na żart. Tym razem reżyser, Grudge Freeport, wyraźnie przesadził. Olbrzymie piersi Marisy były jedynym obiektem zainteresowania kamerzysty — wielkie, sprężyste balony, dość duże, żeby być niebezpieczne. Lennie nie był zadowolony ze swej sytuacji i było to po nim widać. Nie wyczuwało się między nimi tej energii, która łączy aktorów. W sumie efekt był dość żaloszny.

Oglądając pięć taśm, które Grudge kazał wywołać, Lucky odczuwała wstyd. Nic dziwnego, że Lennie nie cierpiał tego filmu to, co Lucky widziała, było gorsze, niż przypuszczała. Wiedziała dokładnie co robi, kiedy przejmie studio. Zatrzyma produkcję filmu, zwolni reżysera — a także Marisę, zostawi to, co najlepsze, a resztę nakręci od nowa w innej obsadzie. Warto to zrobić, nieważne, jakim kosztem. Może Lennie mógłby reżyserować? Wspaniały pomysł! To zawsze było jego marzeniem.

Ta zabawa w studio to będzie dopiero coś! Lucky nie czuła tak silnego podniecenia, odkąd zbudowała swe dwa hotele, Magiriano i Santangelo. Uwielbiała rozwiązywać trudne zadania, a to było największe wyzwanie jej życia!

— Co za filmy oni teraz robią? — narzekał Herman, wyraźnie zmartwiony. — Przecież to czysta pornografia.

— Kiedy ostatni raz widziałeś jakiś film nakręcony w tym studiu? - spytała Lucky. Herman nie odpowiedział.

„Pewnie nie oglądał żadnego filmu od czasu *Przeminęło z wiatrem* - -pomyślała Lucky. Biedny stary Herman. Przeżyje szok, jeśli zobaczy kiedyś, jak wygląda prawdziwe życie”.

Na ekranie pojawił się *Matkożerca*. Pierwsze ujęcie: szorstki, ubrany w skórzaną kurtkę Johnny Romano, idący ulicą w strugach ulewnego deszczu i po staremu kołyszący lędźwiami. Nagle jakiś mężczyzna staje mu na drodze.

— Czego chcesz, skurwysynu? — pyta Johnny Romano.

— Tego, co mi się należy, kulasie — pada odpowiedź.

— Pocałuj się w dupę, bo ode mnie możesz dostać tylko po ryju, ty cwelu.

— Co powiedziałeś, chuju łysy?

— Że jesteś pierdolonym cwelem, ty w dupę jebany.

— Tak?

— A lak, kurwa.

Zbliżenie na twarz Johnny'ego Romano. Jego oczy wypełniają cały ekran. Głębokie, piwne oczy, wyrażające całą osobowość postaci. Oczy, które zwiastują wściekłość i niebezpieczeństwo. Oczy, które niosą śmierć.

Kamera oddala się i pokazuje, jak drugi aktor sięga po rewolwer. Johnny wybija mu go kopniakiem, wyszarpuje z kieszeni własny i zabija tamtego jednym strzałem. Z głośników wybucha głośna muzyka rap a na ekranie pojawiają się napisy.

— To potworne! — Herman z trudem chwycił oddech.

— Witamy w latach osiemdziesiątych —- powiedziała sucho Lucky.

Rozdział dwudziesty

Salon piękności Ivana był niezrównanym źródłem najświeższych plotek. Każdy wiedział coś, o czym nikt i n n y jeszcze nie słyszał. Zawołaniem wojennym było „Powie ci pod warunkiem, że nikomu nie powtórzysz!”

Oczywiście wszyscy mówili i wszyscy powtarzali.

Sensacyjna plotka o Venus Marii i Cooperze Turnerze wciąż krążyła wśród pań z towarzystwa, ale była coraz bardziej pikantna. Podobno nie tylko Cooper, ale połowa ekipy filmowej została wyróżniona w ten szczególny sposób.

— Bzdura! ucięła Abigaile, kiedy szczupła Murzynka opowiedziała jej tę historię przy myciu włosów.

— To prawda, Abigaile — zapewniała poważnie dziewczyna.

— Proszę łaskawie zwracać się do mnie per pani Stolli — powiedziała z wyższością Abigaile. — I pamiętaj, moja droga, że mój mąż jest dyrektorem studia Panther, w którym według ciebie to zdarzenie miało miejsce. Mogę cię podać do sądu za rozpowszechnianie złośliwych i nieprawdziwych plotek.

Z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, dziewczyna osuszyła włosy Abigaile ręcznikiem i umknęła na zaplecze.

Abigaile poskarżyła się Saxonowi, właścicielowi salonu, który przyszedł ułożyć jej fryzurę. Saxon jednak nie płaszczył się przed klientkami. Był wysoki silnie umięśniony, miał długie do ramion blond włosy, posturę ciężarowca i wygląd wokalisty heavymetalowego. W wieku trzydziestu lat był najpopularniejszym fryzjerem w mieście, choć przyjechał z Nowego Jorku i otworzył swój salon zaledwie przed dziesięcioma miesiącami.

— Nie marudź. Abby, wiesz, że tego nie cierpię powiedział Saxon niskim, szorstkim głosem. Nikt nie wiedział na pewno, czy Saxon nie był czasem pedałem — i nikt nie śmiał zapytać.

— Ja nie marudzę — odparła zirytowana Abigaile. — I chyba nie wymagam za dużo, jeśli chcę, żeby twój tymczasowy personel zwracał się do mnie z szacunkiem. Dla nich jestem panią Stolli. P a n i ą.

— Dobrze, moja droga — bąknął Saxon nie okazując wielkiego szacunku

— Dziękuję.

Rzuciła wzrokiem na jego krocze. Saxon nosił najciaśniejsze dżinsy jakie kiedykolwiek założył na siebie mężczyzna.

Zauważył, że Abigaile mu się przygląda, a ona szybko odwróciła wzrok

— A więc, jak p a n i Stolli życzy sobie być dzisiaj uczesana? — spytał odgarniając z czoła grzywę jasnych włosów.

— Postaraj się — powiedziała Abigaile.

— Zawsze się staram, moja droga, zawsze.

Boogie był czarodziejem, gdy chodziło o zdobywanie informacji. Kiedy Lucky wróciła z sali kinowej, czekała już na nią wiadomość. Boogie prosił o telefon Herman siedział skurczony za swoim biurkiem. Wyszedł na dwadzieścia minut przed końcem projekcji, mrużąc coś pod nosem.

Lucky z pewnością nie była pruderyjna i sprzeciwiała się jakimkolwiek formom cenzury, ale *Matkożerca* ranił uczucia wszystkich widzów. Co drugim słowem dialogu był „skurwysyn”, na ekranie królowała bezlitosna i najczęściej bezcelowa przemoc, a kobiety dzieliły się na dwie tylko kategorie- dziwki i tępe ofiary zbrodni.

Autorem scenariusza, współproducentem i odtwórcą głównej roli był Johnny Romano. „Nieżyły film z przesłaniem sobie wymyślił, nie ma co” — myślała Lucky.

— Czy Abe orientuje się, jakiego rodzaju filmy kręcone są w studiu? — spytała.

Herman wzruszył beznadziejnie ramionami.

— Film z Johnnym Romano zarabia wielkie pieniądze — odparł.
— Dzwonka, która bierze tysiąc za noc też, ale to nie znaczy, że musisz ją rznąć, nie? Herman odsunął krzesło od biurka i wstał.
— Idę stąd — oświadczył krótko.
„I nie wracaj — chciała powiedzieć mu Lucky. — Zostań w domu, Herman. Hoduj swoje róże i graj w golfa. Dom jest miejscem dla ciebie”.
— Nie zapomnij, że w przyszłym tygodniu jedziesz na urlop — - przypomniała mu Lucky. Pokiwał głową i przybity wyszedł z biura. Zmęczony, stary człowiek, wciągnięty na siłę w wir terażniejszości.
Przez chwilę Lucky prawie mu współczuła. W końcu pomyślała jednak: „Co mnie to obchodzi. Abe płaci mu niezłą pensyjkę za to, żeby siedział na tyłku i nie robił nic. Mógłby przynajmniej raz czy dwa zainteresować się jakością filmów”.
Boogie natychmiast odebrał telefon.
— O co chodzi? — spytała Lucky. — Czy to coś pilnego?
— Jak zwykle miałaś rację — powiedział z podziwem Boogie. — Powinnaś obstawiać konie na wyścigach.
— Mów — powiedziała niecierpliwie Lucky, zapalając papierosa.
— Kathleen Le Paul — mówił Boogie — alias Cathy Paulson, alias Candy Ganini. Trzydzieści cztery lata. Zaczynała jako striptizerka w wieku szesnastu lat. Wyszła za mąż za kryminalistę, zarabiała jako prostytutka, w końcu zajęła się szmuglem narkotyków. Przewoziła je przez granicę dla każdego, kto dobrze płacił. Aresztowana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku za przemyt narkotyków. Wcisnęła sobie do cipki trzy torebki z kokainą.
— Jak miło!
— Odsiedziała wyrok, wyszła, wzięła ślub z drobnym agentem reklamowym. Po urodzeniu dziecka wróciła do biznesu. W tej chwili jest dziewczyną Umberta Castelliego, kolumbijskiego króla narkotyków, który zaopatruje cały amerykański show biznes. Mają do niej zaufanie. Ubiera się elegancko.
— Zauważyłam.
— Co jeszcze chcesz wiedzieć?
— Jakiego koloru nosi majtki?
— Niebieskie. We wtorki różowe.
— Jaaakiś ty dowcipny!
— A przy okazji, twój ojciec jest w mieście.
— Gino? W Los Angeles? — Lucky była zaskoczona.
— W hotelu Wilshire. Chce, żebyś zjadła z nim dzisiaj kolację.
— Dzisiaj nie mogę. Boog. Zaprosił mnie Abe Panther. Zadzwoń do Gina i powiedz, że jutro się z nim skontaktuję. Aha, i sprawdź tego Eddiego Kane'a, szefa dystrybucji. Chcę wiedzieć o nim wszystko. — Załatwione.
Lucky pomyślała o Bobbym i zatęskniła nagle za synem.

- Dzwoniłeś do Londynu? — spytała.

— Bobby czuje się świetnie.

— A moje biuro? Bez problemów.

Lucky westchnęła.

— Nie tęsknią tam pewnie za mną, co?

— Zawsze za tobą tęsknią. Lucky. — Dzięki ci, Boog.

Odłożyła słuchawkę i zastanowiła się nad tą ostatnią informacją. A więc Eddie Kane był narkomanem. Kto poza nim? Kokaina to kosztowny nałóg. Ciekawe, w jakie jeszcze afery wplątany jest Eddie Kane?

W jadalni dyrekcji studia Susie Rush położyła swą delikatną białą dłoń na mniej delikatnej, owłosionej pięści Mickeya Stollicgo i powiedziała:

— Następnym razem zjemy lunch u mnie, dobrze?

Zatrzepotała długimi rzesami. Mickeya nie zachwycił tego rodzaju flirt. Ta panienka podchodziła go z różnych stron od kilku tygodni, a on wciąż nie wiedział, jak się jej pozbyć. Była największą i najbardziej upierdliwą gwiazdą w studiu Panther. Nie miał na nią ochoty. Problem jednak leżał w tym, jak wyjść z tego z twarzą. Z każdym mijającym dniem pani Rush coraz jaśniej komunikowała swe intencje. Susie, moja droga — powiedział przełknąwszy ślinę — gdybym choć raz zjadł lunch u ciebie, byłoby po wszystkim.

— Co masz na myśli, Mickeyu? — spytała, dziewczęco niewinna, wiedząc doskonale, co Mickey ma na myśli.

— To, że nie wytrzymałbym i rzuciłbym się na twoje śliczne ciało, a to nie byłoby w porządku, prawda?

Susie zachichotała.

— Dlaczego nie? — spytała, przechylając głowę kokieteryjnie na bok. Mickey me mógł nie zauważyć najdelikatniejszych zmarszczek pod jej błękitnymi oczyma i dwóch głębszych, pomiędzy brwiami. Kobieta była nie pierwszej młodości. A swoją drogą, to zadziwiające, co potrafi zrobić dobry kamerzysta przy odpowiednim oświetleniu!

— Ja mam żonę, a ty męża, Susie, musisz o tym pamiętać — powiedział Mickey, starając się nadać swemu głosowi brzmienie szczerości.

Susie pogłaskała delikatnie jego zaciśniętą pięść.

— Jesteś zdenerwowany, Mickeyu. Rozluźnij się, to tylko ja. Posuwała się już za daleko. Mickey zdecydował, że najwyższy czas wrócić do zawodowego tonu.

— Ja naprawdę mam żonę. Susie - powtórzył. Żeby nie sprawić jej przykrości, dodał:

— Gdybym był kawalerem, to kto wie... Poklepała jego rękę i cofnęła dłoń.

— Wiesz co, Mickeyu?

— Co?

— Mimo twojej paskudnej reputacji, jesteś dobrym i lojalnym mężczyzną — uraczyła go słodkim uśmiechem.

Mickey Stollie słyszał o sobie różne rzeczy, ale że jest „dobry i lojalny” jeszcze nigdy. Miał wielką nadzieję, że nikt ich nie podsłuchuje. Te słowa mogły zaprzepaścić jego reputację!

— Pomówmy o scenariuszu — powiedział stanowczo, zmieniając temat.

- O którym?

— *Promień słońca*.

— Nie chcę grać w *Promieniu słońca* — powiedziała Susie, robiąc się nieznośna. — Gdybyś kiedykolwiek mnie słuchał, to byś wiedział, że nie mam zamiaru grać w tym filmie — przerwała dla efektu i dodała — chcę dostać główną rolę w *Granacie*.

Mickey roześmiał się. Błąd.

— Co cię tak śmieszy?

Mickey szybko przywołał się do porządku.

— Nic takiego. W *Granacie* gra Venus Maria.

— Nie podpisała jeszcze kontraktu.

— Ale podpisze.

Wzrok Susie stał się twardy.

— Chcę dostać tę rolę, Mickeyu. Będę bardzo nieszczęśliwa, jeśli jej nie dostanę.

Mickey starał się mówić swym najbardziej niedbałym tonem.

— Daj spokój, kochanie. O czym ty w ogóle mówisz? *Granat* nie jest dla ciebie, nie pasuje do twojego image. Publiczność nie zaakceptowałaby ciebie w tej roli. Jesteś Susie Rush, narzeczoną Ameryki. Musisz się trzymać swojego stylu. W tej chwili jesteś królową kinowych kas.

Nie była to całkiem prawda. Jej ostatni film przyniósł rozczarowanie, zarabiając tylko sześćdziesiąt milionów, zamiast przekroczyć magiczną granicę stu, co zwykle udawało się jej poprzednim filmom.

— Potrzebuję zmiany rytmu — powiedziała Susie, uosobienie profesjonalizmu.

„Dziesięć minut temu trzymała mnie za rękę” — pomyślał z goryczą Mickey,

rozumiejąc teraz dopiero, co było prawdziwym celem Susie. Nie jego samego

chciała, ale roli w jego filmie. Wydał zmęczone westchnienie. Wszystkie aktorki

były takie same — złe czy dobre — ściągały koronkowe majtki za obietnicę dobrej

roli. Każdy wiedział, że *Granat* jest specjalnym projektem. Scenariusz do filmu

powstał w oparciu o jego pomysł. Mickey miał osobiście nadzorować produkcję

tego filmu. *Granat* — prawdziwa, szokująca historia hollywoodzkiego uosobienia

seksu. Widział już plakaty na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Z Venus Marią w roli

głównej ten film był skazany na sukces. Venus Maria, ostatnia rewelacja

amerykańskiego kina, miała fascynującą osobowość kameleona i świeży,

nieskrywany erotyzm, który działał na wszystkich bez wyjątku. Małe dziewczęta

naśladowały jej styl ubierania. Większe powtarzały

jej zachowania — jak pokazanie języka ważnemu producentowi podczas przeglądu filmów. Wszyscy mężczyźni — od szesnastu do sześćdziesięciu lat — byli podatni na zmysłowe gorąco, które z niej emanowało. To właśnie Venus Maria była teraz kobietą chwili.

— A więc? — Susie czekała na odpowiedź.

— To nie jest film dla ciebie — powtórzył Mickey. - Jestem gotowa zrobić zdjęcia próbne — nalegała. Mickey potrząsnął głową.

Susie przyjrzała mu się. Piekło jest mniej groźne od wzgardzonej aktorki.- Ja zgadzam się na zdjęcia próbne, a ty mi odmawiasz?!

— Kochanie, nie chciałbym, żebyś musiała przez to przechodzić. Venus Maria jest gotowa do tej roli. To już załatwione.

— Ona jest za tania, za płytka.

Mickey był dość inteligentny, żeby nie komentować, kiedy jedna kobieta wyraża się niepocholebnie o innej. Nauczyło go tego współzycie z Abigaile. W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Susie westchnęła na znak, jak bardzo jest zawiedziona, i zagrała swą atutową kartą. Zeppo White chce, żebym przeczytała jakiś scenariusz dla studia Orpheus. Nie chciałabym być nielojalna, ale mogę chyba rzucić na to okiem. Co o tym myślisz? „Myślę, że jesteś kurwą i szantażystką”.

— Rób, na co masz ochotę, Susie. Ale chciałbym, żebyś pomyślała poważnie o *Promieniu słońca*.

Fałszywy uśmiech.

— Dziękuję, najdroższy, wiedziałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Olive dzwoniła do Lucky trzy razy tego popołudnia. Pierwszy raz, żeby podziękować za cierpliwe wysłuchanie jej kłopotów przy lunchu. Drugi raz, żeby powiedzieć, że podjęła ostateczną decyzję, i że zamierza spytać Mickey a, czy Luce mogłaby zastąpić ją na czas jej wizyty u narzeczonego w Bostonie. Dzwoniąc po raz trzeci wydawała się zniechęcona.

— Pan Stolli jest w podłym nastroju — powiedziała. — Nie mam odwagi z nim rozmawiać, dopóki się nie uspokoi.

— Co mu się stało? — spytała z zainteresowaniem Lucky.

— To przez Susie Rush — Olive ściszyła głos. — Odmawia pracy w filmie, do którego miała być zaangażowana. — Olive mówiła już szeptem. — I straszy, że porzuci Panther dla studia Orpheus.

— Naprawdę?

— Tak. Pan Stolli jest bardzo zdenerwowany. Nikomu ani słowa o tym, Luce.

— Jakże bym śmiała.

— Muszę kończyć. Mam jeszcze wysłać szampana dla jego żony.

— Nie może zamówić w sklepie? Olive prychnęła pogardliwie.
— Trzy tuziny butelek. Jak dostaje ze studia, nie musi za nie płacić. Kolejna drobna afera.
— Naprawdę?
— Ojej — zmartwiła się Olive. — Nie powinnam ci o tym mówić.
— Nie przejmuj się. Komu mogłabym powiedzieć?
— Dziękuję ci, Luce. Jesteś dobrą przyjaciółką, i tyle masz dla mnie cierpliwości. Może jutro też zjemy razem lunch?
— Chętnie ----- przystała Lucky.

Zaraz po ostatnim telefonie Olive Lucky wyszła ze studia. Mały pokoik Hermana był nieznośnie duszny i nie mogła już się doczekać, kiedy zrzuci to przebrzydłe ubranie, ciśnie w kąt perukę i okulary, i stanie się znowu sobą.

Na parkingu czaił się Harry Browning. Szpiegował ją.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Virginia Venus Maria Sierra patrzyła na swe odbicie w lustrzanej ścianie małej, pomalowanej na biało sali gimnastycznej, przylegającej do równie białej sypialni w jej domu w Hollywood Hills. Trenowała właśnie na Precor Stairmasterze — groźnie wyglądającej maszynie, symulującej wspinaczkę po schodach. Ubrana w niebieski dres, z platynowymi włosami ściągniętymi opaską, ćwiczyła wytrwale.

Z głośników stereo zmyślnie ukrytych w suficie płynęła muzyka — ostatnia płyta „Eurythmics”. Ale chociaż Venus Maria uwielbiała Annie Lennox, nie słuchała jej tym razem — miała ważniejsze sprawy na głowie.

Na przykład Ron.

Na przykład Emilio — jeden z jej braci. Na przykład Cooper Turner.

I to głupie party u państwa Stollich, na które zgodziła się tak bezmyślnie.

Boże! Jak ona nienawidzi hollywoodzkich przyjęć. Były takie pretensjonalne. A do tego będzie musiała być miła dla państwa Stollich — a szczególnie dla Mickeya, Wielkiego Wezyra.

Ona i Ron ochrzcili Mickeya Stolliego Wielkim Wezyrem zaraz po pierwszym spotkaniu z nim. Był idealnym modelem typowego dyrektora studia. Tej roli nie można było lepiej obsadzić. Miał wygląd wezyra, głos wezyra, i także idiotyczne, czarujące maniery.

Przypuszczała, że ten czar będzie trwał tylko tak długo, jak ona zachowa swą pozycję w filmie.

Venus Maria była niegłupią kobietą, miała dość sprytu i oleju w głowie. Pilnowała nawet własnych interesów finansowych, i żaden wygadany menażer nic mógł jej powiedzieć „ja tylko wezmę dla siebie dwadzieścia procent twoich dochodów”. Wiedziała, co dzieje się z każdym zarobionym przez nią dolarem, i tylko ona miała prawo podpisywać własne czeki, tak samo zresztą jak Ron. Od początku ona i Ron weszli w spółkę. Nazwali ją Maro Productions i mieli po pięćdziesiąt procent udziałów. Wtedy wyglądało to na doskonały pomysł. Dwoje najlepszych przyjaciół, związanych wspólnymi interesami. Ale teraz Ron miał nowego wścibskiego kochanka. Ken — bo tak miał na imię — działał Venus Marii na nerwy. Nie, żeby była zazdrosna. Bóg jeden wie, ilu kochanków miał Ron od czasu, kiedy trzy lata temu przyjechali razem do Hollywood. Ten jednak był wyjątkowo uciążliwy. Przystojny - jeśli komuś podoba się wyraz twarzy w stylu „mam w tyłku gorący pogrzebac”, przemądrzały męski szowinista. Za jego plecami mówiła o nim Ken Doli *. Miał dwadzieścia osiem lat, a zachowywał się, jakby skończył pięćdziesiąt. Ron był zakochany. Ron kupował swojemu Kenowi garnitury, swetry, obrazy, rzeźby i męską biżuterię — a na dokładkę, mercedesa. Tak, prawdziwego, cholernego mercedesa! Nawet Venus Maria nie miała mercedesa. Ze złości coraz silniej pracowała nogami. Postanowiła, że najwyższy czas uwolnić się od partnera — ale mimo iż wiedziała, że to jedyna rozsądna rzecz, jaka została do zrobienia, myślała o tym z przykrością. Ron był dla niej jak bliska rodzina, jak jej duchowy brat. Kochała go. Próbowała zasięgnąć rady Coopera Turnera. — Nie wahaj się -- mówił jej. — To i tak niezbyt wygodny układ. On zarabia kupę forsy, nie zostawiasz go przecież na pastwę losu. Prawda. Ron odnosił duże sukcesy jako choreograf i był poszukiwany, odkąd opracował układy taneczne do *Ognistego Tańca*, wielkiego erotycznego przeboju kin. Powierzano mu opracowanie choreograficzne najlepszych filmów wideo — pracował także nad wszystkimi filmami Venus Marii. Tak więc nie był bez grosza. Miał dość swoich pieniędzy i miał prawo wydawać je na Kena, jeśli tak mu się podobało. Dopóki kupował swemu kochankowi prezenty za własne pieniądze, Venus Maria nie miała o co mieć pretensji. Teraz trzeba mu było tylko o tym powiedzieć. Następny problem. Emilio, jej brat, przyjechał nagle - bez zaproszenia i bez zapowiedzi. — Przyjechałem do Hollywood, żeby zostać gwiazdą, tak jak ty, siostruniu — powiedział. Siostruniu, myślałby kto! Czy to ten sam Emilio, który krzyczał i wyładowywał na niej swoją złość? Brat, który bił ją po twarzy, kiedy jego koszula

* **Ken Doli** — dosł. **Ken Laleczka** aluzja do **Kena**, „towarzysza” lalki **Barbie** (przyp. *ttiun.*).

była nie dość elegancko wyprasowana? Ten sam Emilio, który nazywał ją „szczurzą gębą” w obecności przyjaciół, i nieraz powtarzał jej, że jest najbrzydszą i najgłupszą główniarą, jaką w życiu widział?

Tak, to ten sam Emilio. Trzydziestoletni i o wiele za gruby żeby zostać kimkolwiek innym niż nieudacznikiem, którym zawsze był.

— Odwal się ode mnie — powiedziała mu. — Zjeżdżaj do domu. Nie mogę ci pomóc.

Wepchnął się na siłę do jej mieszkania, zlustrował je, usiadł przed telewizorem i zapowiedział:

— Zostanę u ciebie tylko parę dni, aż znajdę jakąś robotę, siostruniu. Na to akurat nie miał dużej szansy. Minęło pięć tygodni, a on wciąż wysiadywał przed jej telewizorem, bez najmniejszego zamiaru wyniesienia się. Kolejny problem, z którym będzie musiała sobie poradzić.

Venus Maria przede wszystkim nie cierpiała konfrontacji. Nie potrafiła się z nikim kłócić. Od kiedy była małą dziewczynką, wolała uciec, niż zmierzyć się z trudnościami. Była to słabość, którą starała się przezwyciężyć.

Na szczęście praca nad filmem z Cooperem szła dobrze. Podobała się sobie na ekranie, wyglądała lepiej niż w obu poprzednich filmach. Kurs gry aktorskiej, który wzięła, wydatnie jej pomógł, a i kondycja jej wysportowanego ciała była teraz dużo lepsza. Znaleźć się na ekranie obok Coopera Turnera — to było wyzwanie. Choć nie mówiła mu o tym, bo Turner był bardzo wrażliwy na punkcie swego wieku — pamiętała jeszcze, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Venus Maria miała wtedy około jedenastu lat, a jej matka jeszcze żyła. Matka uwielbiała Coopera Turnera i zabrała ją kiedyś do kina na jeden z jego wczesnych filmów.

Venus uważała, że jest bardzo seksowny. Tamtej nocy, pod pościelą, bawiła się sama ze sobą w doktora.

Cooperowi podobałoby się to zakończenie, ale nie zamierzała dawać mu tego rodzaju satysfakcji.

Cooper był ostatnio zbyt apodyktyczny, żeby mogło mu to wyjść na dobre. Uważał, że wie wszystko o aktorstwie, a przecież Venus Maria czuła instynktownie, jak powinna zagrać i tego przekonania nie mógł zmienić nikt, nawet Cooper Turner.

— Musisz grać łagodniej — radził jej. — Twój styl za bardzo rzuca się w oczy. Maluj się delikatniej. Powinnaś mieć ciemniejsze włosy. Jesteś za bardzo pewna siebie.

Miała dość oleju w głowie, żeby go nie słuchać. Wiedziała, że dobrze gra swoją rolę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem — z jej planem — sukces tego filmu będzie wyłącznie jej zasługą.

Cooperowi to nie odpowiadało. Często kłócili się ze sobą. Venus Maria była dość mądra jak na swój wiek, żeby móc go zrozumieć. Był starzejącym się idolem, który bał się starości. Miał czterdzieści pięć lat, był dwadzieścia lat

starszy od niej, i na ekranie widać było tę różnicę wieku. Świadomie, czy półświadomie, usiłował osłabić jej wpływ na film.

Niestety. Ona doskonale wiedziała, jakiego obrazu Venus Marii oczekują jej fani — i nie zamierzała ich rozczarować. Na pewno nie na tym etapie swej kariery.

Zeskoczyła z maszyny treningowej, zrzuciła z siebie przeпоcone ubranie i przez dobre dziesięć minut stała pod lodowatym prysznicem. Zimna woda nawilżała jej skórę, w którą wcierała później balsam Clarins, uważnie pokrywając nim każdy centymetr swego cennego ciała. Kiedy to robiła, drzwi do jej prywatnej łazienki otworzyły się z trzaskiem i do środka wszedł Emilio.

Venus Maria stała nago, z jedną nogą na stołku, cierpliwie wcierając w udo balsam. — - O rany! Przepraszam wykrzyknął Emilio, pożerając oczami siostrę. Venus Maria nie poruszyła się. Nie chciała dać mu satysfakcji okazując zawstydzenie i rzucając się po ręcznik. Zamiast tego, przygwoździła go morderczym wzrokiem.

— Spierdalaj — powiedziała zimno.

Zastanawiał się nad dowcipną odpowiedzią, ale zrezygnował. Obejrzał sobie jeszcze raz jej futerko, piersi i wszystko inne, co mógł dojrzeć od drzwi i powoli wycofał się z łazienki.

Venus Maria z trudem hamowała złość. Tego było już za wiele. Emilio musi się wynieść.

Kiedyś, dawno temu, jeden z jej braci wsunął się po pijanemu do jej łóżka w miłosnym nastroju. Kopnęła go w jądra tak, że przez kilka najbliższych dni chodził skulony. Tydzień później uciekła z domu z Ronem, jej zbawcą. Bez niego nie zdobyłaby się na odwagę, żeby przejechać autostopem cały kraj aż do Hollywood. Wiele mu zawdzięczała.

Po wyjściu Emilia zatrzasnęła drzwi do łazienki i zamknęła je na klucz. Czerwona z gniewu stwierdziła, że pięć tygodni to dość długo. Emilio musi odejść, ona nie zamierza już dłużej go znosić.

Zadzwoił telefon. Venus Maria szybko podniosła słuchawkę. Emilio miał zwyczaj odbierać telefony, zanim ona albo jej pokojówka zdążyły zareagować. Pewnego razu usłyszała, jak Emilio rozmawia z jej agentem:

— Cześć, jestem Emilio, brat Venus.

Pauza, pewnie jej agent odpowiadał coś uprzejmego. I znów Emilio:

— Tak, jasne że jestem przystojny. No pewnie że mam talent. Panie, ja mam więcej talentu niż ona w tej swojej...

Wyrwała słuchawkę z jego tłustej pięści i syknęła:

— Jak śmiesz odbierać telefony do mnie! Nie powstrzymało go to.

— Halo, kto mówi? — spytała, starając się zmienić brzmienie głosu.

— Cześć, mała. Tu Johnny. Co masz taki dziwny głos? I próbuj tu go oszukać!

Dlaczego pozwalała mu na te telefony? Johnny Romano był utrapieniem. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że Venus Maria nie miała ochoty umówić się z nim na randkę.

— Johnny, zadzwonię do ciebie później. Rozmawiam właśnie z drugiego telefonu — skłamała.

— Nie wykręcaj się, mała. Skończ tamtą rozmowę. Ja do ciebie zadzwonię. Osobiście.

— Rozmawiam z Michaeliem Jacksonem — Venus Maria szepnęła z przejęciem.

— Z Michaeliem? A co u niego słyhać? — w głosie Johnny'ego zabrzmiała nuta szacunku.

— Dowiem się i oddzwonię do ciebie.

— Kiedy?

— Niedługo.

— Jak niedługo?

— Wcześniej niż ci się zdaje.

— Słuchaj, mała. Ty i ja... musimy się lepiej poznać.

— Poznamy się.

— Kiedy?

— Do widzenia, Johnny.

Nie okazała radości z powodu jego telefonu i wiedziała, że to Johnny'ego irytuje. Ale dlaczego właściwie miałyby ją okazywać? Johnny Romano jest nie dla niej. To ogier z rozplodowej stajni, który rżnie wszystko, co się rusza. Bardzo chciała, żeby on to zrozumiał i dał jej święty spokój. W Hollywood było stanowczo za wielu facetów takich jak on — Johnny wyróżniał się tylko tym, że był z nich wszystkich najślawniejszy.

Nadchodził czas, żeby przygotować się na party u państwa Stollich. Umalowała powieki, nałożyła alabastrowy makijaż na twarz i warstwę czerwonej szminki na usta. Upięła piatynowoblond włosy i poszła do osobnej garderoby zorientować się w jej zawartości. Sekretarka Abigaile Stolli powiedziała: „Krawaty dla mężczyzn i śliczności dla pań”. Co to miało, u diabła, znaczyć?

Wybrała szarą marynarkę w wąskie prążki — prosty, męski styl. Pod nią założyła bluzkę, która ledwo okrywała jej piersi. Na nogi wciągnęła białe pończochy i czarne, sznurowane buciki. Z uwagą wybierała biżuterię, decydując się w końcu na srebrne kolczyki, każdy z trzema diamencikami, i osiem srebrnych i złotych bransoletek na obu nadgarstkach. Styl Venus Marii — doskonały i kompletny.

Gwiazda była gotowa na spotkanie ze światem.

Rozdział dwudziesty drugi

Droga do domu Abe'a Panthera kryła się w gęstym cieniu. Lucky nie bała się ciemności, ale starego Abe'a stać było chyba na parę latarni?

Postanowiła nie brać ze sobą Boogie'go — i tak musiałby czekać na nią cały wieczór w samochodzie. Prosto ze studia pojechała do swego wynajętego mieszkania, mijając po drodze przygnębiający apartament Sheili Harvey, gdzie Boogie zainstalował zdalnie sterowaną automatyczną sekretarkę — tak, że gdyby ktoś do niej dzwonił ze studia, na przykład Olive albo Harry Browning, Lucky wiedziałaby o tym.

Przyjechawszy do domu zrzuciła znieawidzoną perukę i ciężkie okulary, pozbyła się obrzydliwego stroju i zanurkowała w orzeźwiającej wodzie basenu.

Przepełnęła basen wzdłuż dwadzieścia razy i był już najwyższy czas wybierać się na kolację do starego, dobrego Abe'a. Nie zdąży nawet zatelefonować do Gina.

Drzwi domu przy Miller Drive otworzyła Inga — silnie zbudowana Inga z kwaśną miną.

— Dobry wieczór — powiedziała przyjaźnie Lucky.

W odpowiedzi Inga skinęła tylko głową i odeszła, najwyraźniej polecając Lucky, aby poszła za nią. Abe czekał w jadalni, siedząc na końcu stylowego dębowego stołu.

— Spóźniłaś się — upomniał ją, wyraźnie zniecierpliwiony czekaniem.

— Nie wiedziałam, że mamy mało czasu — zauważyła Lucky. Skurczone palce nerwowo bębniły po stole.

— Zawsze zaczynam kolację o szóstej. Lucky zerknęła na zegarek.

— Jest dopiero dwanaście po.

— Czyli że czekam tu na ciebie od dwunastu minut.

— Rozchmurz się, Abe — powiedziała Lucky, próbując go udobruchać. — Kolacja zjedzona dwanaście minut później jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Szczerze mówiąc, napiłabym się czegoś.

— A co pijesz?

— Jacka Danielsa. A ty? Abe'owi podobały się jej maniery.

— To na co mam ochotę.

— A na co masz ochotę dziś wieczór?

— Na to co ty. Dwa razy Jack Daniels, z lodem! Pronto! Pronto! Inga, przyjąwszy polecenie, wybiegła z jadalni bez słowa.

— Kiedyś miałem cały dom służby — powiedział Abe. — To było straszne! Nie mogłem się spokojnie wysrać, żeby ktoś nie poczuł.

Lucky roześmiała się z ulgą. Przyszło jej do głowy, że zbyt poważnie traktuje całe to przedsięwzięcie. Najwyższy czas się odprężyć i uspokoić. Przynajmniej na tę jedną noc.

Wiesz, Gino, mój ojciec, jest w mieście. Chciałabym go tu kiedyś przyprowadzić powiedziała zastanawiając się, czy ci dwaj mężczyźni potrafiliby się zaprzyjaźnić. Po co? - rzucił Abe. - Znamy się z nim, czy jak?

— Być może. Gino zbudował jeden z pierwszych hoteli w Las Vegas. Mirage. Pamiętam ten hotel — gderał Abe. — Wyrzuciłem w błoto dziesięć kawałków w tym jego cholernym kasynie. Wtedy to była kupa forsy. Dzisiaj za dziesięć tysięcy dolców nie można nic kupić.

— Przecież i tak nic nie kupujesz, nie wychodzisz nawet z domu.

— A po co? — zapytał gorzko. Myślisz, że oszalałem? Wiem, co się w dzisiejszych czasach wyprawia na ulicach. Myślisz, że chcę, by mnie napadli albo zastrzelili? Dziękuję bardzo, to nie dla mnie.

Inga wróciła, niosąc tacę ze szklaneczkami burbona. Z trzaskiem postawiła je na stole. Abe chrząknął.

— Inga nie lubi, kiedy piję powiedział, pociągając duży łyk. -Uważa, że jestem na to za stary. Myśli, że stary pierdziel może się od tego przekreślić. Prawda. Inga?

— I tak robisz, co chcesz — odparta Inga, wyraźnie nie w humorze. — Nie mogę cię powstrzymać.

— I nie próbuj — ostrzegł Abe, grożąc jej kościstym palcem. Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje - powiedziała wesoło Lucky. — Mój ojciec tak mawia. Postanowił zatrzymać się na czterdziestu pięciu, a ma już siedemdziesiąt dziewięć, chociaż nie wygląda na tyle. To niesamowity człowiek.

Siedemdziesiąt dziewięć to jeszcze nie starość — oponował Abe. — Po siedemdziesiątce kierowałem jeszcze studium. — W tym momencie zorientował się, że Inga wciąż przy nim stoi i zamachał na nią ptasimi ramionami:

— No, już! Przynieś jedzenie. Jestem głodny jak dinozaur i chcę dostać wreszcie moją kolację. Pospiesz się, kobieto!

Inga wyszła powtórnie, posłuszna zachciankom Abe'a.

— Słuchaj... Co ona myśli o naszej umowie? — spytała Lucky. Abe wzruszył ramionami.

— A co mnie to obchodzi?

— Powinno — nalegała Lucky. — Inga jest z tobą od dawna. Opiekuje się tobą. Jest ci potrzebna, prawda? Nie widzę nikogo innego, kto mógłby prowadzić twój dom.

— Zatrudnię dwóch ogrodników, człowieka do czyszczenia basenu i dwie pokojówki — oświadczył z dumą Abe. - Inga siedzi na tym tłustym szwedzkim dupsku i nawet palcem nic kiwnie. Powinna chodzić przede mną na klęczkach za takie życie.

— Na pewno Lucky zmierzała do konkluzji. — Ale czy można jej zaufać? To znaczy, nie możemy pozwolić, żeby mnie zdradziła. Zauważyłeś pewnie, że nie jest do mnie przychylnie nastawiona.

Abe roześmiał się.

Inga robi to, co dla niej dobre — zakaszłał. — To cwana kobieta. Przemyślała sprawę i wie, że będzie lepiej dla niej, jeśli sprzedam studio, zanim umrę, bo w ten sposób przypadnie jej w udziale niezła sumka pieniędzy. Jeżeli nic sprzedam studia przed śmiercią, będzie musiała użerać się z obiema moimi wnuczkami. Będą ją ciągać po sądach do końca życia. Dlaczego?

Bo są chciwe. To cecha rodzinna. Chcą mieć wszystko, co ja zostawię, i nie dzielić się z nikim.

Ale i tak to one odziedziczą twoje pieniądze. Przekrzywił głowę na bok, stary spryciarz z głową pełną dolarów.

Może tak a może nie. Mogę jeszcze przeprowadzić się na Bora Bora i zapisać wszystko na przytułek dla bezdomnych kotów.

- Wtedy naprawdę będziesz musiał się z nimi użerać.

Nie ja. dziecko. Ja będę wtedy dwa metry pod ziemią. Mnie to już me będzie obchodzić — bębnił palcami po stole. — Dobra, bierzmy się do interesów. Mów wszystko, czego się dowiedziałaś. Chcę znać każdy szczegół.

Mickcy Stolli szykował się do wcześniejszego opuszczenia studia.

— Jeśli moja żona zadzwoni, powiedz jej, że mam ważną konferencję i nie mogę podejść do telefonu — pouczył Olive. — Ona nie może wiedzieć, że już wyszedłem. Dobrze, panie Stolli.

Mickey nie był w dobrym nastroju i czuł, że powinien go sobie poprawić, zanim wróci do domu na perfekcyjne party swej żony. Boże, jak on nienawidził jej przyjęć! Fałszywe uśmiechy. Nadmiar jedzenia. I wszyscy goście równie znudzeni jak on, chociaż nie pokazujący tego po sobie. Dlaczego ona mu to robiła? Tylko po to, żeby zobaczyć później swoje nazwisko w kolumnie George'a Christy'ego? Też coś. Cały tydzień pracował w studiu jak niewolnik i chyba zasłużył na trochę relaksu po robocie? Cooper Turner będzie go męczył o nowy film. Venus Maria tak samo. Oboje nigdy nie przestawali narzekać, jak nie na to, to na coś innego.

Gwiazdy. Wszyscy aktorzy są tacy sami. Każda rola za drobna. Każda gaża niesprawiedliwa. Zawsze za mało zbliżeń, i za rzadkie.

Zeppo White też będzie chciał omówić interesy. Cholerny snob i parweniusz.

Wydaje się mu, że prowadzi studio. Nawet na gońca jest za głupi! Mickey tęsknił do czasów, kiedy szefem studia Orpheus był Howard Soloman. Howard miał swoje odchyły, szczególnie kiedy zażywał kokę, ale to był prawdziwy fachowiec. Howard wiedział, o co w tym biznesie chodzi. Mianowicie o zarabianie pieniędzy, a nie o wydawanie idiotycznych przyjęć.

Właśnie wychodził, gdy dopadł go Eddie Kane.

— Muszę z tobą pogadać, Mickeyu — powiedział zaambarasowanym tonem, czepiając się jego ramienia. — To pilne.

— Nie teraz — odparł Mickey, uwalniając się z uścisku. Nie lubił, żeby go dotykano, chyba że sam to robił.

— W takim razie kiedy? — nalegał Eddie. Był atrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce o piaskowych włosach, przejrzystych niebieskich oczach i z pre-dylekcją do wygniecionych, sportowych ubrań. Zaczynał karierę jako cudowne dziecko, a teraz niewinność, z której był sławny, ustąpiła miejsca wyrazowi zamyślanej dojrzałości.

Eddie i Mickey znali się od dawna, prawie dwadzieścia pięć lat. Przez jakiś czas Mickey był jego agentem i w końcu zaprzepaścił jego obiecującą karierę. Kiedy Eddie porzucił aktorstwo — a raczej kiedy aktorstwo jego porzuciło — Mickey znalazł mu pracę w swojej agencji. Ale dla Eddiego było to zbyt przyziemne zajęcie szybko mu się znudziło i wyjechał na Hawaje, gdzie został szefem produkcji w prywatnej stacji telewizyjnej. Nie brakowało tam dobrych narkotyków, ale w końcu to właśnie one wpędziły go w kłopoty i Eddie znów musiał porzucić pracę. Wrócił do Los Angeles i tu Mickey znowu mu pomógł. Użył swoich wpływów i wkręcił go na dobre stanowisko w studiu Panther. W miarę jak Mickey piał się w górę, ciągnął ze sobą Eddiego. Mickey rozumiał mądrość otaczania się ludźmi mającymi wobec niego dług wdzięczności. Teraz Eddie'emu Kane'owi powodziło się doskonale. Miał poważane stanowisko, piękną żonę, dom na plaży w Malibu wart dwa miliony dolarów — i nałóg, którego nie potrafił się pozbyć: zażywał kokainę.

— Pomów z Olive, ona cię ze mną umówi — powiedział Mickey wychodząc.

— Ale jutro? — upewniał się niecierpliwie Eddie. — Bo naprawdę musimy pogadać. To cholernie ważne, Mickeyu. — Załatw to z Olive.

Mickey wyszedł z budynku i podbiegł do samochodu. Jeśli chciał, mógł mieć samochód z szoferem gotowy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale czasami potrzebował też prywatności — to był właśnie t a k i dzień. Nie pragnął natomiast, żeby Eddie Kane wkurzał go swym marudzeniem. Eddie był jak dana komuś wysoka pożyczka, która w każdej chwili mogła okazać się równie wysokim długiem. Narkomani nie byli bezpieczni. Mickey nieraz myślał, że lepiej byłoby się go pozbyć. Marzenie. Eddie za dużo wiedział. Zapamiętał sobie, żeby zadzwonić do Leslie, żony Eddiego i porozmawiać z nią na temat wysłania Eddiego na odwyk. W ostatnich dniach wyglądał na nieustannie naćpanego, a to nie pomagało w interesach. Za kierownicą swego porsche'a Mickey czuł pełne panowanie nad sytuacją. Wóz był wyposażony w sprzęt stereo, odtwarzacz kompaktowy, telefon i schowaną w bagażniku apteczkę na wypadek trzęsienia ziemi.

Mickey często myślał o trzęsieniach ziemi. Wyobrażał sobie przeróżne scenariusze wydarzeń. Jego ulubionym był ten, w którym Abigaile robiła właśnie drobne sprawunki, kupując sobie następną portmonetkę za pięć tysięcy dolców, kiedy nadciągnęło silne trzęsienie — i biedna Abby została pogrzebana żywcem wśród stosów eleganckich akcesoriów i uduszona unikal-

nym futrem z soboli za jedyne dwa tysiące dolarów. Na szczęście, w jego marzeniach, wszystkie poważne wstrząsy omijały z daleka jego studio i oba domy. Tabitcie ani jego samochodom nie groziło niebezpieczeństwo — tylko Abby się dostało.

Oczywiście wyprawił wspaniały pogrzeb. Mowę pożegnalną wygłosiłby Abe Panther, ale wskutek trzęsienia ziemi stary dziadyga przeżyłby szok i prędko wykorkował. Wtedy Mickey stałby się wreszcie wolnym człowiekiem, a studio Panther przeszło legalnie na jego własność. Oczywiście Primrose i Ben Harrison przyjechaliby do Los Angeles, żeby zażądać części swego udziału w spadku, ale most na autostradzie załamałby się pod limuzyną i oboje zginęliby w przepaści. To było marzenie. Najpiękniejsze ze wszystkich!

Mickey pomachał do strażnika wyjeżdżając przez szeroko otwartą bramę. Strażnik zasalutował. Wszyscy kochali go w studiu, był ich kłosem — ich władcą! Nazywał się Mickey Stolli i każdy pragnął znaleźć się na jego miejscu.

Wszystko było na swoim miejscu porcelanowe serwisy, szkło, obrusy z delikatnego lnu i srebrne sztuce. Abigaile, ubrana w zamiatającą podłogę jedwabną suknię, krzątała się po swym odwiecznym królestwie, po raz kolejny sprawdzając wszystkie szczegóły. Gromada służby czekała w najwyższej gotowości. Jej stały skład — angielski lokaj Jeffries i jego żona, gospodyni. Jacko młody Australijczyk, który mył samochody i był szoferem Tabithy, dziś pomagał Jeffriesowi. Wreszcie Consuela i Firella, dwie hiszpańskie pokojowki.

Na ten wieczór Abigaile najęła dodatkowo trzech służących, dwóch barmanów, kucharza z dwójką pomocników i drugiego kucharza, specjalistę od deserów.

W sumie czternaście osób służby miało dogadzać dwunastce gości. Abigaile lubiła robić wszystko jak trzeba. W końcu należała do hollywoodzkiej arystokracji. Była wnuczką Abe'a Panthera i oczekiwano od niej określonego stylu. Jej matka, dawno już nieżyjąca — zginęła razem z ojcem w wypadku na jachcie — była niezrównaną panią domu. Kiedy Abigaile i Primrose były jeszcze małymi dziewczynkami, pozwalano im czasem rzucić okiem na jakieś wyjątkowo ekstrawaganckie przyjęcia w ich domu. Dziadek Abe zawsze brał w nich udział, otoczony gromadą filmowych gwiazd, często prowadzący pod ramię dwie olśniewające piękności.

Abigaile czuła zawsze respekt graniczący z lękiem w stosunku do swego dziadka. Dopiero po jego pierwszym ataku była w stanie w ogóle z nim przestawać. Ostatnio odwiedzała go tak rzadko, jak to było możliwe i potajemnie życzyła sobie, żeby Abe odszedł w spokoju — wtedy nareszcie ona znajdzie się w centrum zainteresowania. Nie cierpiała Ingi, a Inga jej. Prawie nie odzywały się do siebie, gdy Abigaile odwiedzała Abe'a, przywożąc ze sobą jego trzynastoletnią, nad wiek rozwiniętą prawnuczkę Tabithę. Abigaile z trudnością mogła namowie

Tabithę, aby towarzyszyła jej w czasie odwiedzin u dziadka, ale z reguły udawało się jej przekupić córkę, bo nie miała zamiaru jeździć tam sama.

— Dlaczego zawsze muszę z tobą tam jeździć? — narzekała Tabitha.

— Bo pewnego dnia staniesz się bardzo bogatą małą dziewczynką. Powinnaś wiedzieć, skąd to bogactwo płynie.

— Tatuś ma dużo pieniędzy, mogę dostać od niego.

„Twój tata nie potrafiłby się wysrać przy księżycu, gdyby nie twój dziadek” — chciała odpowiedzieć Abigaile, ale zawsze powstrzymywała się w porę.

— Czy jest pani zadowolona, pani Stolli?

Jeffries szedł tuż za nią, stary głupiec. To, że był Anglikiem miało swoje zalety, ale czyniło go także nieznośnie wścibskim. To samo dotyczyło jego żony. Abigaile przypuszczała, że kiedy nadarzy się okazja, sprzedadzą wszystkie jej tajemnice jakiejś brukowej gazecie, i to bez cienia wstydu.

Nie, żeby znali wiele jej tajemnic.

Przecież nie ma żadnych.

No... może kilka.

— Nie, Jeffries — powiedziała ostro, zauważywszy zwiędłą gałązkę w pysznym klombie orchidei. Wyciągnęła ją, ten kamień obraży, rozsypując ziemię na kosztowny chiński dywan.

— Co to znaczy? — spytała tonem prokuratora. Jeffries czekał na tę chwilę.

— Jeśli pani sobie przypomina, pani Stolli, wydała pani polecenie, że nikomu ze służby nie wolno dotykać roślin domowych i klombów.

— Dlaczego miałabym coś takiego powiedzieć? Krótka chwila triumfu.

— Dlatego, pani Stolli, że, jak pani powiedziała, tylko ogrodnik ma prawo się nimi opiekować.

— Tak powiedziałam?

— Tak, pani Stolli.

— W takim razie gdzie jest ogrodnik?

— Przychodzi tylko w piątki.

Boże! Służba! A szczególnie angielska.

— Dziękuję, Jeffries. Tymczasem każ komuś to sprzątnąć, zanim pan Stolli wróci do domu.

„Jeśli wróci do domu” — dodała w myśli. Mickey miał zwyczaj spóźniać się na własne przyjęcia.

Doprowadzało to Abigaile do wściekłości.

Mickey Stolli miał na sobie skarpetki — jasnoszary włoski jedwab — i nic więcej.

Nie lubił swoich stóp — uważał, że wyglądają nieładnie i nikomu nie pozwalał ich oglądać.

Mimo, iż na głowie pozostało mu niewiele włosów, całe jego ciało pokryte było kępami czarnego owłosienia.

— Jesteś cudowny — pochlebiała mu Warner, jego murzyńska kochanka. Była wysoka i szczupła, z dużymi sutkami na wspaniałych piersiach. Miała krótko przystrzyżone, czarne włosy.

Ujeżdżała go, kołysząc się na jego nabrzmałym członku jakby na popołudniowej przejażdżce konno.

— Jesteś cudowny — powtórzyła, coraz bardziej podniecona.

Nikt przedtem nie powiedział Mickeyowi Stolliemu, że jest cudowny. Tylko Warner — jego kochanka od osiemnastu miesięcy. Była policjantką. Pewnego dnia zatrzymała go za drobne wykroczenie — a skończyło się to tak, jak w snach pełnych erotycznych fantazji.

Mickey lubił Warner za to, że była inna niż wszystkie kobiety, jakie znał. Kiedy przespali się pierwszy raz nie miała pojęcia, kim jest ani co robi. Nie miało to dla niej znaczenia.

Mickey czuł, że decydujący moment nadejdzie już za chwilę. Wydał przeciągłe westchnienie. Warner napięła odpowiednie mięśnie dając mu największą rozkosz. Poczł orgazm jak eksplozję wstrząsającą całym ciałem, od palców u nóg do czubka głowy, która — myślał — wybuchnie kiedyś, jeśli Warner nie przestanie robić tego, co zdaje się tak bardzo lubi. Z nim. Tylko z nim. Mickey Stoll był jedynym mężczyzną w życiu erotycznym Warner Franklin. Mówiła mu to nie raz i wierzył jej. — To było wspaniałe — powiedziała, zsuwając się z niego. — Robisz się coraz lepszy. Jesteś najcudowniejszym kochankiem na świecie.

Tylko od Warner słyshał takie słowa. Wiedziała, jak sprawić, by poczuł, że może wdrapać się gołymi rękoma na Empire State Building i zeskoczyć bez szwanku z wierzchołka na ziemię.

Warner Franklin miała trzydzieści pięć lat i nie była specjalnie ładna. Mieszkała sama w niedużym mieszkaniu w zachodnim Hollywood, dzieląc je z chudym kundlem — i ku uldze Mickeya nie miała ambicji, by zostać aktorką.

Nie chciała jego pieniędzy. Nie potrzebowała jego przysług. Odmówiła, gdy chciał jej dać w prezencie białego mercedesa i domek w Wilshire. Wszystko, co od niego przyjęła, to kolorowy telewizor z potężnych rozmiarów ekranem i magnetowid — i to wyłącznie dlatego, że nałogowo oglądała powtórki *Posterunku przy HM Street*.

— Muszę mieć co robić, kiedy nie pracuję, a ciebie tu nie ma — wyjaśniła. Myślał, że mógłby ją pokochać. Ale ta myśl, drzemiąca głęboko w jego duszy, wydała mu się tak niepokojąca, że nie odważył się poświęcić jej więcej uwagi.

— Abby wydaje dzisiaj jedno ze swoich ulubionych przyjęć — powiedział, wydając zadowolone ziewnięcie.

— Wiem, jak je uwielbiasz — powiedziała z ironią Warner. — Nie przejmuj się, kochanie, i tak jesteś najbardziej inteligentnym mężczyzną w każdym towarzystwie.

Wychodził z jej mieszkania czując się, jakby nagle miał dwa metry wzrostu. Był najwspanialszym, najcudowniejszym kochankiem i najbardziej inteligentnym facetem na całym tym cholernym świecie!

„Mam cię w dupie, Abby. W życiu mi czegoś takiego nie powiedziałaś”.

Lucky patrzyła z podziwem, jak Abe spożywa swoją kolację. Zabierał się do jedzenia jak wygłodzony zwierzak, rzadko używając widelca czy noża, jeśli wystarczyły palce. Jak na osiemdziesięcioośmiolatka miał wilczy apetyt.

Inga nie jadła. Nie siedziała z Abe'em i Lucky. Niemniej była zawsze w pobliżu na tyle blisko, by móc podsłuchać rozmowę przy stole.

Lucky była ciekawa, czy Abe rozmawia o tych sprawach z Inga. Właściwie, jaki naprawdę był ich związek? Niosła gwiazda i były szef studia. Czy mieli wiele wspólnych tematów?

Poszukując informacji na temat Abe'a, Lucky natknęła się na sporo fotografii Ingi. Wiele spośród nich zrobiono na planie filmowym, inne były przypadkowymi ujęciami z życia prywatnego Abe'a i Ingi.

Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Abe miał zaledwie sześćdziesiąt trzy lata, a Inga dwadzieścia kilka, była śliczną dziewczyną o delikatnej cerze, dużych zielonych oczach, gibkim ciele i czarującym uśmiechu.

„Co dzieje się z ludźmi? — zastanawiała się Lucky. — Dlaczego niektórzy, jak Gino i Abe, są urodzonymi zwycięzcami, którzy potrafią wszystko przetrwać a inni, jak Inga, brzydą i starzeją się w swojej smętnej skorupie?”

Przekazała Abe'owi wszystko, czego się dotychczas dowiedziała. Poczł się rozczarowany. Chciał wiedzieć więcej, Lucky również.

Parę drobnych afer nie stanowiło rewelacji. Mickey kupował szampana na własne przyjęcie na koszt studia. No to co? A Eddie Kane był prawdopodobnie kokainistą? Co z tego? Natomiast to, że Mickey ubijał brudne interesy z agentem Lionelem Fricke'em — ta informacja mogła okazać się rewelacją.

Ile razy Mickey próbował lej sztuczki? Trzeba to sprawdzić.

— Podoba ci się la m, dziecko? - spytał Abe. Lubisz pracę w filmie?

— Zdaje się, że niedługo ją pokocham uczciwie odpowiedziała Lucky. Kiedy będę nad t y m wszystkim panować.

Abe chrząknął. Podobały mu się kobiety, które wiedzą, czego chcą.

Rozdział dwudziesty trzeci

Cooper Turner znał się na kobietach. Miał zarówno najlepsze, jak i najgorsze doświadczenia, a także wszystkie pośrednie. Dorastając w Ardmore, małym mieście pod Filadelfią, Cooper rozpoczął swoje eksperymenty

z dziewczynami w wieku trzynastu lat. Nie dla niego wycięte z pism kolorowe fotografie roznegliżowanych pań. O, nie — on szukał autentycznych przeżyć. Dziewczęta, dziewczęta, dziewczęta!

— Powinieneś zostać ginekologiem — żartowała jego siostra, gdy miał dziewiętnaście lat. — Albo przynajmniej każ sobie płacić za to, co robisz. Gdyby nie został aktorem, byłaby z niego świetna męska prostytutka — ale taka, która świadczy usługi wyłącznie kobietom.

Kiedy skończył dwadzieścia lat, przeniósł się do Nowego Jorku. Zamieszkał w Greenwich Village i przesiadywał w Actor's Studio, podczas gdy jego koledzy zarabiali pieniądze na stacjach benzynowych lub jako kelnerzy, czekając na wielki przełom w karierze. Cooper nigdy nie musiał tego robić. Gorący posiłek i przytulne łóżko zawsze czekały, że Cooper zwróci na nie uwagę — nie wspominając o kobietach. Po przyjeździe do Hollywood, już w pierwszym tygodniu poznał piękną młodzieńką aktorkę i wkrótce zamieszkał u niej jako jej kochanek. Ten związek zaowocował jego zdjęciami w gazetach, a one z kolei znajomością z pewną agentką, która załatwiła mu niewielką, ale pierwszoplanową rolę w jakimś tanim filmie dla młodzieży. Mając dwadzieścia cztery lata stał się przedmiotem westchnień damskiej części widowni. Przez lata jego kariera rozwijała się nieustannie, a jej kulminacyjnym punktem była nominacja do Oscara — Cooper miał wtedy trzydzieści dwa lata. Nie otrzymał jej jednak i przyjął porażkę z goryczą. Zaczął unikać prasy i wszelkiej popularności. Coraz rzadziej pojawiał się też w filmach. Ale im Cooper był mniej osiągalny, tym bardziej stawał się atrakcyjny. Prywatne, spokojne życie okazało się niemożliwe. Kobiety pojawiały się i znikały, chociaż niektóre zostawały na dłużej i usiłowały skłonić go do małżeństwa. Cooper chciał nawet mieć dzieci, ale zdecydował, że cena za to — życie z jedną tylko kobietą — była zbyt wysoka. I nagle pojawiła się Venus Maria, stawiając jego świat na głowie. Z nią wszystko było możliwe. Młoda i niewiarygodnie podniecająca. W jej oczach widać było doświadczenie, jej usta były stworzone do pocałunków. Była zdecydowana i inteligentna. Miała ciało do tanga, a umysł bankiera. Zmysłowa, intrygująca, a ponad wszystko — pełna życiowej energii. Miała przy tym jedną wadę. Wbrew temu, co powszechnie uważano za pewnik, i wbrew plotkom powtarzanym przez brukowe gazety, Cooper Turner nie sypiał z Venus Marią. Nawet historia słynnej minety była nieprawdziwa, chociaż słyszał ją już od wielu ludzi, w tym od Mickeya Stolliego, który, śmiejąc się, dał mu kuksańca w bok i powiedział: — Cieszy mnie, kiedy moje gwiazdy dobrze się ze sobą bawią. Dobry nastrój na planie to podstawa.

Prawda zaś była taka, że Venus Maria sypiała z jednym z najlepszych przyjaciół Coopera Turnera. Z żonatym mężczyzną. Bardzo żonatym. Cooper natomiast pełnił rolę zasłony dymnej dla ich związku. On, Cooper Turner!

Dobry żart.

Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Był już ubrany na party u państwa Stolllich: ciemnoniebieski garnitur, biała koszula i luźno zawiązany jedwabny krawat. Dobrze skrojony garnitur był najlepszą przynętą na kobiety. One uwielbiają mężczyzn, którym mogą zniszczyć ubranie.

Przeciągnął ręką po ciemnych włosach. Tu i tam pojawiały się już pasemka siwizny, ale nie było to nic, czego utalentowany fryzjer nie umiałby ukryć. Oczy Coopera były nadal intensywnie błękitne, a cera pokryta lekką opalenizną. Cooper wiedział, że dobrze wygląda. Nie był już dwudziestolatkiem, ale wciąż był zabójczo przystojny. Venus Naria nie ma pojęcia, co traci.

Rozdział dwudziesty czwarty

Steven Berkeley zdecydował, że musi złożyć wizytę Deenie Swanson. Nie uprzedził o tym Jerry'ego, nie zwierzył się nawet Mary Lou. Zatelefonował do Deeny i powiedział jej, że muszą się spotkać. Z początku stanowczo odmówiła, potem jednak zmieniła zdanie i zaprosiła go do siebie na dziesiątą rano następnego dnia. Zjawił się tam punktualnie. Przyjęła go w jasnozielonym kostiumie, sportowych butach i opasce ściągającej jej jasnorude włosy. Wyglądała na szczupłą i atrakcyjną — i wcale nie po sportowemu. Podała mu delikatną dłoń. Steven uścisnął ją.

Wiotkie palce. Zero charakteru.

— Zaniepokoiło mnie nasze poprzednie spotkanie — oświadczył, przechodząc od razu do sedna sprawy.

Uniosła cienką linię brwi.

— Dlaczego?

— Rozmawiamy o morderstwie.

— O przeżyciu, panie Berkeley.

— O morderstwie, pani Swanson. Zaplotła dłonie i spuściła wzrok.

— Całe życie broni pan ludzi w sądzie. Jaka to różnica, jeśli jest pan na to z góry przygotowany?

Dziwne rozumowanie. Coś niezwykłego było w tej kobiecie.

— Pani raczy żartować? — spytał.

— Czy byłby pan szczęśliwy, gdybym powiedziała, że nie mówiłam wtedy poważnie?

— A nie mówiła pani?

Uniosła na niego wzrok. Martwe niebieskie oczy, blada twarz.

— Zamierzam napisać książkę, panie Berkeley. Potrzebna mi była czyjaś autentyczna reakcja. Przykro mi, jeśli to pana zaniepokoiło.

— A więc nie zamierza pani nikogo zabić? Gardłowy śmiech.

— Czy wyglądam na kobietę, która planowałaby coś takiego?

— Dobrze, a ten milion dolarów, który przelała pani na konto naszej kancelarii?

— To, oczywiście, zamknięty rozdział. Spodziewam się zwrotu tej sumy. Rzecz jasna, otrzymają panowie odpowiednie wynagrodzenie za poświęcony mi czas. Steven był zły.

— Pani zabawa nie jest śmieszna, pani Swanson. Nie jestem królikiem doświadczalnym.

Wstał, szykując się do wyjścia.

Deena patrzyła, jak odchodzi. Prawnik z zasadami — niespotykana kombinacja. Nic dziwnego, że był takim dobrym adwokatem. Odczekała kilka minut i podniosła słuchawkę telefonu.

— Jerry?

— A kóżby inny?

Jak to rozsądnie ze strony Jerry'ego Mycrsona, że ma bezpośrednią linię.

— Powiedziałam mu to, co radziłeś.

— I uwierzył?

— Chyba tak.

— Przykro mi z tego powodu, pani Swanson. Kłopot ze Stevenem polega na tym, że ma sumienie.

— A ty nie masz?

— Przede wszystkim stosuję się do jednej tylko zasady.

— To znaczy?

— Klient jest zawsze najważniejszy.

— Miło mi to słyszeć — zamilkła na chwilę, po czym dodała: — A tak przy okazji, gdyby coś jednak miało się stać...

— Steven będzie panią bronił.

— Czy mogę na to liczyć... Jerry?

— Całkowicie.

Jerry Myerson odłożył słuchawkę swej prywatnej linii i pomyślał o tym, co właśnie zrobił. Zamienił parę słów z ekscentryczną babką i zaoszczędził dla firmy milion dolarów. Nieźle jak na jeden poranek.

Tego wieczora Steven zabawiał Mary Lou opowiadaniem o swej wizycie u Deeny Swanson.

Mary Lou zajęta była oglądaniem filmu z Tedem Dansonem i zjadała lody na patyku. Była zadowolona z życia i z tygodnia na tydzień robiła się coraz większa.

— Kiedy ty wreszcie nauczysz się mnie słuchać, Stevenie Berkeleyu — wyrzucała mu. — Od razu ci powiedziałam, że ta kobieta was nabiera. A ty się tyle o to martwiłeś. I po co?

Steven czuł ulgę, ale jednak...

— No tak — powiedział, nie przekonany do końca.

— Powiedziałeś Jerry'emu?

— Jasne.

— I co on na to?

— Wkurzył się, że ten milion nam przepadnie. Znasz Jerry'ego.

— Pewnie, kto go nie zna — powiedziała Mary Lou liżąc loda. — Musi być bardzo zawiedziony.

Steven skierował się do sypialni.

— Jestem głodny powiedział, mając nadzieję, że Mary Lou zaofiaruje się zrobić mu coś do jedzenia.

— To dobry znak - odpowiedziała, nie zauważając aluzji. Postanowił wyrazić się wprost.

— Zrobisz mi kanapkę?

— Kochanie — powiedziała cierpliwie — dwie godziny temu zjedliśmy kolację.

Pochłonęłaś stek z frytkami. Ciasto. Lody. A kanapkę mogę ci zrobić, kiedy urodzę dziecko.

— Muszę lecieć na Wybrzeże na, kilka dni — z tymi słowami Martin Swanson wszedł do sypialni. Deena popatrzyła na męża. Pan Przystojny, jeśli się toleruje podbródek świadczący o braku silnej woli i wodniste oczy. Pan Nowy Jork, jeśli się może przełknąć czarujące samouwielbienie. Pan Niewierny, kłamca, oszust i skurwysyn. Ale jej skurwysyn i ona go kocha. Nie zamierza go stracić.

Deena uśmiechnęła się. Miała bardzo ładne zęby, wszystkie własne.

— Może pojechałabym z tobą — zaproponowała.

— To nie ma sensu — odparł Martin, chłodny i opanowany. — Muszę odbyć kilka spotkań w sprawie przejęcia tego studia, o którym ci wspominałem.

A tak, studio. Martin chciał kierować studiem filmowym, żeby robić filmy ze swoją kurewką w roli głównej.

Martin myślał, że Deena o niczym nie wie. Uważała, że tak jest lepiej. Trzymać go w nieświadomości. Omamić uprzejmością.

— Kiedy jedziesz?

— Chcę lecieć jutro.

— I na pewno nie chcesz wziąć mnie ze sobą?

— Wytrzymam.

Jasne, że wytrzyma, z twardym kutasem i tą dziwką leżącą obok z rozchylonymi nogami. — Połowa pań domu w Nowym Jorku wpadnie w panikę. Jutro wieczorem mieliśmy iść do opery. W czwartek lunch z merem. Przyjęcie u Glorii. Kolacja u Diany. Martin nie był tym zainteresowany.

— Możesz iść sama. One cię kochają.

„Ciebie bardziej — pomyślała. — Z iloma z nich już spałeś? Tylko z najślawniejszymi, czy pieniądze i pozycja też się liczą?”

— Pewnie pójdę, jeśli będę miała ochotę.

Podszedł do niej i pocałował ją. Nie był to nawet pocałunek, ale raczej dziobnięcie — lekkie, nieczułe dziobnięcie w policzek na do widzenia. — Wyjeżdżam wcześniej rano.

Deena wyprostowała się i jednym płynnym ruchem rozpięła zamek sukni. Pod nią miała czarny pas do pończoch, jedwabne pończochy i skąpy biustonosz.

Martin odsunął się o krok.

Deena pamiętała ich pierwsze wspólne dni. Wtedy zawsze potrafiła go podniecić.

— Nic będzie cię w niedzielę — zauważyła rzeczowo, zbliżając się do męża.

Rozdział dwudziesty piąty

Rozmowy przy kolacji przebiegały w miłej atmosferze. Abigaile popatrzyła na swoich gości — wszyscy chyba dobrze się bawili. Murzyński polityk zatopiony był w dyskusji ze słynną feministką. Młody reżyser skoncentrował się na Venus Marii, a jego dziewczyna cieszyła się uwagą Coopera Turnera. Ida White szczebiotała coś swym nawiedzonym szeptem do uszu rockowego muzyka i jego żony, a Zeppo i Mickey rozmawiali w skupieniu.

Abigaile odetchnęła głębiej. Nareszcie może się odprężyć.

— Ty pizdo!

Zakazane słowo, wypowiedziane głośno i z jadowitą złością. Przy stole zapadła cisza.

— Jak mnie nazwałeś, czarny kutasie? — wrzasnęła feministka, wyraźnie czymś rozwścieczona.

— Nazwałem cię pizdą, bo nią jesteś — odciął się czarny polityk. Było jasne, że żadne z nich nie przejmuje się obecnością innych gości, nie mówiąc już o gospodarzach.

Widząc zbliżającą się katastrofę i Mickeya, siedzącego z otwartymi ze zdumienia ustami, Abigaile skoczyła na równe nogi.

— No, już dobrze - miała nadzieję, że jej ton jest dość przyjazny — uspokójmy się wszyscy.

— Odpierdol się pan! feministka z hałasem odsunęła krzesło od stołu. Miała alabastrową skórę, proste włosy według mody lat sześćdziesiątych i bezpośrednie spojrzenie. Skończyła pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na o dziesięć mniej.

— Dość mam tego śmierdzącego, kłamliwego, zadufanego przygłupa! Mickey zmusił się do zareagowania na te słowa.

— Mona — powiedział, ujmując ramię feministki — jeśli masz jakiś problem, to może porozmawiamy o tym w drugim pokoju.

Mona Sykes zmroziła go spojrzeniem.

— Problem, Mickeyu? — spytała z sarkazmem w głosie. — Dlaczego to niby ja miałabym mieć problem? Uwielbiam wprost, kiedy takie męskie gówno nazywa mnie pizdą - powiedziała pod adresem murzyńskiego polityka, Andrew J. Burnleya. Andrew J. nie przyjął jej uwagi spokojnie. On także wstał. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, pseudoafrykańską fryzurę, okrągłą twarz z dużymi oczyma i miły, ciepły głos. Miał pięćdziesiąt dwa lata, żonę i pięcioro dzieci, które mieszkały w Chicago i nigdy nie towarzyszyły mu w jego częstych wyjazdach do Los Angeles. — Wy, dziewczyny, jesteście wszystkie takie same, kochanie. Jak nikt was nie rżnie, to dostajecie kompletnego świra.

Tego było za wiele. Mona chwyciła szklaneczkę pełną czerwonego wina i szurnęła ją po stole w jego stronę. Szklanka spadła na podłogę z włoskiego marmuru i rozbiła się, a większość rozlanego wina wylądowało na sukni Idy White, która siedziała spokojnie, lekko zamroczone alkoholem, zajmując się sobą i czekając, aż mąż zabierze ją do domu.

Z kolei Zeppo skoczył w obronie żony.

— Nie potraficie zachowywać się jak na ludzi przystało? — krzyknął, wymachując krótkimi ramionami. Skierował ten wyrzut w stronę Burnleya, który z miejsca odebrał to jako aluzję do jego koloru skóry i krzyknął, ruszając w stronę drzwi:

— Nie będę słuchać tych bzdur!

— Ja też nie — syknęła Mona i podążyła za nim.

I nim ktokolwiek zdążył powiedzieć jeszcze słowo, oboje znaleźli się za drzwiami.

— Co za chamstwo! — powiedziała wyniośle Abigaile. — Nigdy ich nie lubiłam! Venus Maria czuła się, jakby oglądała bardzo szybki mecz tenisa. To zdarzenie była zabawniejsze od całej reszty wieczoru, chociaż młody reżyser, który zabawiał ją rozmową, był całkiem przystojny i Venus chętnie go słuchała — inaczej niż gospodarza, Mickeya Stolliego, który zanudzał ją na śmierć.

— O co im poszło? — dopytywał się muzyk, podczas gdy Firella i Consuela starały się osuszyć suknię Idy White.

— To jakiś prymityw! nie przestawał komentować Zeppo. — Kiedyś do Hollywood przyjeżdżali ludzie, którzy wiedzieli co to dobre maniery i umieli bawić towarzystwo.

Była to typowa uwaga Zeppy White'a, której Abigaile nie zamierzała puścić mimo uszu. Irytował ją ten snob.

— Dziadek mówił mi, że zaczynałeś karierę jako uliczny sprzedawca ryb na Brooklynie — powiedziała słodkim głosem. — Czy to prawda? Uważam,

że to fascynujące, Zeppo. Musisz nam o tym opowiedzieć, jestem pewna, że wszystkim to zainteresuje!

Zeppo posłał jej mordercze spojrzenie. Miał dar ciekawego opowiadania na każdy temat, jeśli tylko nie musiał mówić o swych skromnych początkach, o których najchętniej wolałby zapomnieć.

Cooper Turner rozładował sytuację.

— Ci dwoje są już teraz w łóżku, wiecie? — oświadczył ze skinieniem głowy i lekkim uśmiechem.

— Co takiego? — Abigaile i muzyk rockowy odezwali się jednocześnie.

— Naprawdę? — spytała zaintrygowana Venus Maria. Pomyślała, że Cooper pewnie ma rację. On już się na tym znał. — Kto? — spytał Mickey.

— Andrew J. i Mona — odparł uśmiechnięty Cooper. Nie bądź śmieszny! — zaprotestowała Abigaile.

— Abby, czy ja mógłbym cię nabierać? — drażnił ją Cooper. — Oni się kochają, to przecież jasne.

Nagle wszyscy zaczęli rozmawiać. Kolacja u Abigaile jednak się udała.

Lucky wolno jechała do domu a raczej do wynajętej kryjówki, gdzie Boogie był jedynym jej towarzyszem. Tęskniła do Lenniego. Tęskniła za Bobbym. Tęskniła do normalnego życia.

Nagle przypomniała sobie, że przecież Gino jest w mieście. Nie było za późno, żeby do niego zadzwonić. Może przyjedzie do niej? Lucky nie mogła ryzykować, że ktoś ją zauważy i pozna, a później doniesie Lenniemu, że jego żona zabawia się w Los Angeles. Szkoda. Miała wielką ochotę pójść do klubu

1 posłuchać dobrej muzyki soulowej, którą uwielbiała.

A może pójść w przebraniu? Nie, za nic w świecie nie założy tego potwornego stroju, jeśli nie będzie musiała. Kiedy upłynie sześć tygodni, spali go z rozkoszą!

Dom, który wynajął dla niej Boogie, położony był dyskretnie na końcu Doheny Drive. Był tam wygodny garaż, z którego przechodziło się bezpośrednio do domu.

Skręcając w lewo na podjazd do garażu Lucky miała wrażenie, że jakiś samochód za nią zwalnia. Pewnie dlatego, że skręcała. Chyba, że Abe kazał komuś ją śledzić. Ale po co miałyby to robić? Czy to nie obsesja na jego punkcie? „Za dużo czytasz Eda McBaina” — pomyślała Lucky i uśmiechnęła się do siebie.

Boogie przeglądał w kuchni katalogi samochodowe.

— Zrób coś dla mnie, Boog. Podjedź do Tower Records i kup mi jakieś płyty, bo dostaję tu świra z samotności.

Boogie wstał, wysoki i chudy.

— Jasne, nie ma sprawy. Co konkretnie chcesz?

— Mam ochotę na Luthera, Bobby'ego Womacka, Teddy'ego P. i Mar-vina i Isaaca. Boogie zrozumiał, o co jej chodzi.

— Billie Holiday nie, prawda?

— Tylko z Lenniem - odparła Lucky ze smutnym uśmiechem. Kiedy Boogie wyszedł. Lucky podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Gina.

W jego apartamencie nikt nie odpowiadał. Nie zostawiła wiadomości.

Przed wynajętym domem Lucky siedział w swoim samochodzie Harry Browning — i czekał, nic nie wiedząc właściwie na co. Prawdę mówiąc, w ogóle nie bardzo wiedział, co tam robi. Cokolwiek to było, czuł, jak dreszcz emocji przeszywa jego drobne ciało. Od wielu lat nie doświadczył tego uczucia.

Przez cały wieczór śledził Luce. Pod wpływem impulsu pojechał za nią, gdy opuściła studio. Zawsze wydawało mu się, że jest w niej coś dziwnego, i zawsze chciał dowiedzieć się o niej więcej. Czy tylko on zauważył, że Luce nosi perukę? W dodatku, kiedy oglądała film, zdjęła okulary i nie założyła innych. Do tego jej ubranie, niedbałe do przesady. Wisiało na niej, jakby coś pod nim ukrywała. I kto w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku ubiera się w taki sposób? Tym bardziej w jej wieku, bo przecież była młodą, a jeśli się dobrze przyjrzeć, także i ładną kobietą.

Przesiadując od trzydziestu trzech lat w swojej kabinie i oglądając wszystkie filmy, jakie studio Panther w tym czasie nakręciło, Harry Browning wiele się nauczył o urodzie kobiet.

A ta podejrzana historia z Sheilą Harvey. Luce twierdziła, że jest jej siostrzenicą — ale jedyną żyjącą jeszcze krewną Sheili jest jej bezdzietna siostra. Mówiła mu o tym nie raz, gdy chciała, żeby zaprosił ją na randkę. Od tamtej pory upłynęło co prawda wiele lat, ale Harry Browning nie zapomniał. Miał świetną pamięć.

Gdyby Luce dała mu spokój, pewnie by się nią tak nie interesował. Ale nie.

Zaprosiła go na kolację, na którą poszedł z czystej ciekawości — i nic więcej nie pamiętał. Następnego dnia obudził się w swoim łóżku z wysuszonymi ustami, rozbolełą głową i pragnieniem odpłacenia tej kobiecie, która skusiła go do alkoholu. Harry Browning nie pił od dziewiętnastu lat, ale mimo to pozostał alkoholikiem. To choroba, z której nie można się wyleczyć. I teraz pomyślał, że chętnie by się czegoś napił. Zimnego piwa albo szklaneczkę wina, albo nawet szkockiej. Kusząca myśl, ale Harry był zdecydowany nigdy więcej nie ulec tej pokusie. Nigdy.

Szpiegowanie Luce przyniosło nadspodziewane rezultaty. Najpierw jechał za nią do jej domu — tego, przed którym właśnie stał. A kiedy zobaczył jej samochód, pojechał za nią do rezydencji Abe'a Panthera na Miller Drive. Wiedział, że Abe tam mieszka, bo spędził wiele nocy w jego prywatnej sali kinowej. To także miało miejsce wiele lat temu, ale Harry był pewien, że Abe nadal tam mieszka. Wiedział to, bo co roku wysyłał Abe'owi pocztówkę świąteczną, podpisaną: „Harry Browning — pański wierny pracownik”.

I rzeczywiście był wierny, bo to przecież sam Abe uchronił go przed natychmiastowym zwolnieniem z pracy, kiedy pewnego dnia przyszedł do studia pijany.

— Idź do Anonimowych Alkoholików, Harry — poradził mu Abe. — Weź parę tygodni wolnego i wróc wyleczony.

Harry Browning nigdy nie zapomni tej dobroci Abe'a Panthera.

Cierpliwie czekał przed bramą dwie godziny, aż w końcu Luce wyszła. Kiedy jej samochód ruszył, Harry'emu udało się zobaczyć ją na krótką chwilę. Była to z pewnością ta sama kobieta, a jednak wyglądała zupełnie inaczej. Znikły okulary i peruka, a jej szarawe włosy były teraz czarne i lśniące jak węgiel.

To wszystko, co widział.

Pojechał za nią z powrotem do domu, a teraz czekał — cierpliwie, bo Harry Browning był cierpliwym człowiekiem — wiedząc, że coś się zaczyna. Tylko co? Cooper Turner odwiózł Venus Marię do domu. Śmiali się przez całą drogę. Venus Maria: — Widziałeś minę Abby, kiedy Andrew J. powiedział to słowo na „p”?

Cooper: — A widziałaś Idę, jak Mona oblała ją winem?

Venus Maria: — Myślałam, że dostanie orgazmu!

Cooper: — Pierwszy raz od dwudziestu lat!

Venus Maria: — Od trzydziestu!

Cooper: — Od czterdziestu!

Venus Maria: — Od pięćdziesięciu!

Cooper: — Od stu lat!

Venus Maria: — A Zeppo, kiedy Abby przypomniała mu te ryby na Brooklynie?

Cooper: — Zrobił się cały czerwony. Venus Maria: — Pąsowy! Cooper: — Fioletowy!

Cooper śmiał się tak bardzo, że musiał zatrzymać swego czarnego mercedesa.

Siedzieli w samochodzie sami: żadnych gapiów, dziennikarzy, żadnej ekipy filmowej ani znajomych. Było w niej coś, co go pociągało, choć instynktownie wiedział, że zostanie odrzucony.

Pochylił się i pocałował ją, a ona odpowiedziała na pocałunek. Czuł jej delikatne, wilgotne wargi i cudowny język, który na moment wsunął się w jego usta, żeby się zaraz cofnąć, jakby Venus Maria dopiero po chwili zorientowała się, co robi.

— Cooper! — skarciła go spojrzeniem, zła, że się na chwilę zapomniała.

— Co mogę na to poradzić? — powiedział, czując natychmiastową erekcję mimo tego, że Venus Maria odsunęła się od niego.

— Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

— Wszyscy myślą, że śpimy ze sobą — przekonywał ją.

— Martin tak nie myśli.

No tak, Martin. Po jakie licho w ogóle przedstawił ją Martinowi Swansonowi?

Rozdział dwudziesty szósty

W środę Olive zadzwoniła do Lucky i powiedziała:

— A więc dostałaś tę pracę!

— To fantastycznie! — krzyknęła Lucky. — Zgodził się na twój wyjazd?

— Oczywiście! — w głosie Olive słychać było radość. — Przyjdź po lunchu do mojego biura, to przedstawię cię panu Stolliemu. Potem zapoznam cię z jego planem dnia. Pamiętaj, że jest bardzo wymagający.

— Co mu powiedziałaś o mnie?

— Ze jesteś dyskretnym, odpowiedzialnym i obowiązkowym pracownikiem. Dałam mu na to swoje słowo, więc nie spraw mi zawodu, Luce.

— Na pewno nie, Olive.

— Jesteś absolutnie pewna, że pan Stone nie będzie miał nic przeciwko temu? — spytała Olive mając nadzieję, że nie popełnia omyłki.

— Tak. Od jutra bierze urlop — zapewniła ją Lucky.

— To świetnie. Jutro spędzisz dzień ze mną i będziesz patrzeć, jak pracuję, a sama zaczniesz od piątku, jeśli to ci odpowiada.

— Odpowiada mi jak najbardziej.

Tak rzeczywiście było. Kiedy znajdzie się w samym sercu biura Mickeya Stolliego, będzie mogła nareszcie dowiedzieć się wszystkiego, czego chce.

— Od jutra masz wolne, Herman. Właśnie dostałam awans. Herman Stone był pod wrażeniem, ale przede wszystkim czuł ulgę. Teraz

będzie mógł spokojnie grać w golfa i zapomnieć na jakiś czas o studiu Panther.

— Dam ci znać telefonicznie, kiedy masz wrócić. A tymczasem, może byś kazał pomalować swoje biuro. Te zacieki są obrzydliwe.

Ty to zrób. Jesteś moją sekretarką. Pokaz męskiej dumy. Starej i zmęczonej, ale to zawsze coś.

— Dobrze - powiedziała. — I każę zainstalować nową klimatyzację. Pracujesz tu jak w średniowieczu. Widziałeś kiedyś biuro Mickeya Stolliego?

— Nie — Herman potrząsnął głową.

— To dobrze, bo byś się zesrał na sam widok. To jeden pałac. Herman zauważył, że przywyka do sposobu wyrażania się Lucky i denerwowało go to.

Olive powitała Lucky bardzo podekscytowana.

— Będziesz używać mojego biurka. Pokażę ci, jak działa centralka telefoniczna, a potem omówimy osobiste wymagania pana Stolliego.

„Osobiste wymagania? Mineta co godzinę, czy dwie blondynki na śniadanie?” — Lucky uśmiechnęła się mimo woli.

Olive zrozumiała to jako entuzjazm Luce dla nowej pracy.

— Tylko nie bądź dla niego zbyt dobra — pouczyła Lucky, grożąc jej palcem. — Pamiętaj, że wracam za kilka dni!

Pierwsze spotkanie z Mickeyem Stollim było interesujące. Siedział za biurkiem, król swego państwa, łysy, opalony i niegrzeczny.

Olive z dumą wprowadziła Lucky do jego królestwa. - To jest Luce — powiedziała tonem pełnym szacunku — asystentka, o której panu mówiłam.

Mickey przeglądał jakieś dokumenty. Nie podniósł nawet głowy, machnął tylko ręką w powietrzu i bąknął:

— Dobrze, dobrze.

Lucky zauważyła kępę czarnych włosów wyrastającą z wierzchu jego dłoni. Gdyby dało się przenieść ją na jego czaszkę, mogłaby dać początek gęstej czuprynie.

— Rozpocznie pracę od piątku — powiedziała Olive.

Zadzwoił telefon na jego prywatnej linii i Mickey podniósł słuchawkę.

— Idźcie już stąd — powiedział, zakrywając dłonią mikrofon.

— Dziękuję, panie Stolli — Olive prawie dygnęła.

Idźcie stąd, a ona mu dziękuje i jeszcze się kłania? Coś tu jest nie tak. Olive z pewnością przydałby się krótki kurs szacunku dla samej siebie.

— Pan Stolli ma czasem bardzo dużo pracy — wyjaśniła Olive. — Przyzwyczaisz się do jego nastrojów, on nie ma nic złego na myśli.

Tego wieczoru Lucky zjadła kolację z Ginem. W pełnym przebraniu zjawiała się w jego hotelu.

— Jesteś niesamowita, Lucky — powiedział Gino, śmiejąc się na jej widok. — Powinnaś była zostać aktorką.

— Rozpoznałbyś mnie?

— Jestem twoim ojcem.

— To nie jest odpowiedź.

Lucky opadła na krzesło. Ściągnęła perukę i rzuciła ją w drugi koniec pokoju. Gino przyjrzał się jej uważnie.

— Zdaje się, że muszę powiedzieć „nie”. Lucky roześmiała się.

— Jest coś pociągającego w takiej zmianie tożsamości. Byłabym pewnie dobrym szpiegiem.

— Jesteś świetna we wszystkim, do czego się zabierzesz.

— Dzięki — powiedziała Lucky, zadowolona z komplementu.

Zamówili kolację do pokoju — soczysty stek, tłuczone ziemniaki i kukurydza w kolbach. Rozmawiali przy jedzeniu. Gino opowiedział jej o swym spotkaniu z mężem Paige.

— Wchodzę do mieszkania, witam się z nim — i wyobraź sobie, okazuje się, że facet wie wszystko o mnie i Paige.

Lucky słuchała go z ciekawością.

— Naprawdę? Czy to znaczy, że będę drużbą?

— To nic nie znaczy, mała. Jej stary mówi, że Paige może robić, co chce. Jeśli poprosi o rozwód, to on się zgodzi. Jest tylko jeden kłopot.

— Jaki?

— Nigdy nie poprosiła.

— No to niedobrze.

— Potem Paige wróciła do domu, i mało nie zemdląła na mój widok. Ja i Ryder gadaliśmy już jak starzy kumple. Jej się to nie spodobało.

— I co dalej?

— Ryder powiedział, żebym został na obiedzie. Powiedziałem, że nie. Paige była wkurzona, więc się zmyłem. Od tamtej pory ani słowa od żadnego z nich. Jutro wracam do Nowego Jorku. Muszę zacząć chodzić na randki.

— Na randki? Gino, daj spokój! Wiem, że masz wyjątkowe zdrowie, ale masz też siedemdziesiąt dziewięć lat!

— A wyglądam na tyle?

— Nie.

— A zachowuję się?

— No... nie — przyznała Lucky.

— No to w czym problem, mała? Chcę wreszcie mieć żonę. Uśmiechnęli się do siebie. Lucky i jej staruszek — dobrana para.

Leslie Kane wyglądała zbyt ładnie i świeżo jak na eks-dziwkę, ale tym właśnie była. Miała długie, kręcone rude włosy, sięgające poniżej białych ramion, szeroko rozstawione oczy, zadarty nos i pełne, zmysłowe wargi. Była wysoka i zgrabna, miała okrągłe piersi, wąską talię i nogi do samej ziemi.

Pobrali się z Eddiem rok temu, a przedtem Leslie była przez jedenaście miesięcy prostytutką.

Leslie szalała na punkcie Eddiego, a on na punkcie Leslie. Spotkali się w myjni samochodowej na bulwarze Santa Monica i zanim jeszcze ich samochody były umyte do czysta, oboje wiedzieli, że to miłość.

Leslie powiedziała Eddiemu, że jest sekretarką, co było po części prawdą, bo od tego zawodu zaczynała, a niektórzy z jej klientów lubili, by się przebierała za sekretarkę, choć skóra albo stroje uczennic były znacznie bardziej popularne.

Eddie powiedział jej, że jest dyrektorem do spraw dystrybucji w studiu Panther, a Leslie, która nie miała ambicji zostania aktorką, pomyślała: „Tak, to ktoś dla mnie”.

Tak narodziła się ich miłość.

Eddie przestał spotykać się z pewną znaną aktorką telewizyjną, która nie przyjęła tego z radością.

Pobrali się w Marina Del Rey na jachcie przyjaciela.

Cieszyli się tym małżeństwem, formalny związek odpowiadał im obojgu — było to coś nowego. Eddie zawsze miał reputację podrywacza — lubił kobiety, a one jego. Pracując w przemyśle filmowym przekonał się, że nigdy nie brak nowych talentów. A jednak kiedy poznał Leslie, stracił ochotę na dalsze podboje. Nie tylko była piękna, ale także rewelacyjna w łóżku.

— Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? — spytał kiedyś podejrzliwie.

— Z artykułów w „Cosmopolitan” — odpowiedziała, a on jej uwierzył. Leslie nigdy nie była ulicznicą. Przyjechała do Los Angeles mając osiemnaście lat i znalazła pracę w jednym ze sklepów z elegancką odzieżą na Rodeo Drive, gdzie spotkała ją pewna Madame Loretta i wynajęła dla niej apartament. Madame Loretta było niską, zgarbioną kobietą, która wiele lat temu przyjechała do Ameryki z rodzinnej Czechosłowacji. Specjalizowała się w odkrywaniu pięknych, młodych i świeżych dziewcząt, które kontaktowała z hollywoodzkimi aktorami i menażerami, korzystającymi z jej usług. Dzięki niej dziewczęta czuły się ważne i zawsze bardzo piękne, a dzięki nim z kolei wszyscy klienci byli zadowoleni. Leslie nie stanowiła wyjątku.

Kiedy Leslie uprzedziła Madame Lorette, że wychodzi za męża, starsza pani podzieliła jej szczęście. Zaprosiła Leslie na herbatę do swego domu i przekazała jej część swego doświadczenia.

— Są trzy sposoby, żeby utrzymać przy sobie mężczyznę — powiedziała. — Trzy złote reguły, które musisz zapamiętać. Reguła pierwsza: znajdź coś w swoim mężu, co uważasz, że jest najlepsze na świecie, i często mu o tym mów. To mogą być jego oczy, jego włosy, tyłek, wszystko jedno. Cokolwiek to jest — on musi wiedzieć, że to w nim uwielbiasz. Reguła druga — kiedy będziecie w łóżku, powiedz mu, że jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałaś. I trzecia — cokolwiek powie, zawsze podziwiaj jego wiedzę. Patrz na niego z szacunkiem i zapewnij, że nikt przed nim nie powiedział czegoś równie mądrego — Madame Loretta pokiwała głową. — Te trzy reguły nigdy cię nie zawiodą.

Leslie posłuchała i zapamiętała jej słowa. Wiedziała, jak sprawiać mężczyźnie przyjemność na wiele sposobów, a Eddie był podatny na jej urok.

Leslie była więc szczęśliwa, ale jednego się obawiała: że pewnego dnia Eddie spotka przypadkiem któregoś z jej byłych klientów i tajemnica jej przeszłości wyjdzie na jaw. Wiedziała, że Eddie nigdy nie pogodziłby się z tą prawdą — i ta myśl ją przerażała. Na przyjęciach jej szeroko otwarte oczy przeszukiwały pokoje, w restauracjach bez przerwy obserwowała wchodzących mężczyzn. Ilu miała klientów w ciągu tych jedenastu miesięcy? Nie mogła tego pamiętać.

Leslie wiedziała, że jej mąż jest kokainistą i postanowiła nie zwracać na to uwagi. Jeśli odrobina białego proszku sprawiała, że dobrze się czuł, to dlaczego miała czynić mu o to wyrzuty? Pewnego razu spróbowała tego sama — i nie odpowiadało jej to uczucie przyjemnej obojętności — było zbyt niebezpieczne. Nękana wspomnieniem przeszłości, nie mogła pozwolić sobie na uśpienie czujności. Ostatnio Eddie stał się nerwowy i niespokojny, krzyczał na nią z byle powodu. Wstawał o czwartej nad ranem i spacerował po mieszkaniu, a do swej porannej szklaneczki soku pomarańczowego dolewał teraz dwa kieliszki wódki. Leslie nie mogła się tym nie martwić. Może Eddie dowiedział się wszystkiego i lada dzień powie jej, że między nimi wszystko skończone? Co wtedy zrobi? Co może zrobić? Nie chciała wracać do zawodu. Nie mogła wrócić na Florydę do domu rodziców, bo wyjeżdżając zabrała tysiąc dolarów należących do ojczyma. Gdyby Eddie zażądał rozwodu, jej życie stanie w martwym punkcie.

— Kochanie, czy coś cię martwi? — spytała go pewnego dnia, dotykając jego karku i gładząc jego długie włosy.

Wiedziała, że sprawia mu tym przyjemność.

— Nic takiego, kotku — odparł, po czym wstał z miejsca i zaczął spacerować nerwowo po pokoju. — Nic takiego — wystarczy milion dolców i trochę współpracy ze strony Mickeya Stolliego.

O siódmej trzydzięci rano w piątek Lucky zaczęła nową pracę jako asystentka Mickeya Stolliego. Wiedziała, że szef zjawia się w biurze punktualnie za piętnaście ósma i chciała czekać tam już na niego.

W powietrzu unosił się słaby zapach Olive. Świeża angielska woda toaletowa, pastylki miętowe i mała azalia w doniczce. Siadając przy biurku Olive, Lucky nabrała głęboko powietrza w płuca. Była gotowa na każde zadanie, jakie ją czeka — każde. Ale nie na to, że pierwszy telefon, jaki odbierze, będzie od Lenniego.

Natychmiast rozpoznała głos męża.

— Olive — powiedział nerwowo — połącz mnie z panem Stollim. Natychmiast, to bardzo pilne.

Lennie! I „to pilne!” Lucky wpadła w panikę — co nie zdarzało się jej prawie nigdy — i odłożyła słuchawkę. W tejże chwili do biura wszedł Mickey Stolli w przeproconym tenisowym stroju.

— Przyjdź do mnie za dziesięć minut — rzucił jej i zatrzęsął drzwiami do swego prywatnego królestwa.

Nie namyślając się, zadzwoniła do niego i powiedziała:

— Dzwoni Lennie Golden. Mówi, że to coś pilnego.

Opatrzność była po jej stronie. Gdy tylko Mickey odburknął w odpowiedzi „Połącz go!”, telefon znów zadzwonił i Lucky natychmiast połączyła go z biurem Mickeya, mając nadzieję, że to Lennie dzwoni drugi raz.

Tego jednego nie wzięła pod uwagę. Mogła zmienić wygląd, ale nie pomyślała o głosie. Na szczęście Lennie nie skorzystał z prywatnej linii, więc Lucky mogła podsłuchać ich rozmowę ze swego telefonu.

— Dość mam tego gówna, Mickeyu. Albo Grudge odejdzie, albo ja — mówił zdenerwowany Lennie. — To jakiś cholerny amator.

— Ten facet robi w filmie dłużej niż ty i ja — Mickey stwierdził fakt.

— Może właśnie to mu przeszkadza. Wydaje mu się, że wszystko wie. Może i wiedział, ale dwadzieścia lat temu. Czasy się zmieniają, a on tego nie przyjmuje do wiadomości.

Uspokajający głos Mickeya:

— Nie przejmuj się, postaram się to załatwić.

— Mam gdzieś twoje obietnice. Jak nic się nie zmieni, to do widzenia.

— Nie straszysz mnie chyba, prawda?

— Załóż się o biżuterię swojej żony, że tak.

— Nie chcę przypominać ci o czymś, co się nazywa kontraktem.

— Wiesz, co ci powiem — powiedział Lennie tonem rozsądnego człowieka — weź swój kontrakt, przekreśl go przez maszynkę, zmieszaj z kupą cementu i wsadź sobie w tyłek. I tak zostanie jeszcze miejsce na porządnego człowieka — po czym rzucił słuchawką.

Trzasnęły drzwi. Mickey wybiegł z biura czerwony z wściekłości.

— Daj mi kontrakt Lenniego Goldeny! — krzyczał. — Koniec z tymi pierdolniętymi aktorami! — rzucił jej klucz i pokazał odpowiednią szafkę.

— Tak, panie Stolli.

Lucky mówiła tonem cichym i uległym, przypuszczając, że tego właśnie Mickey spodziewa się od podwładnych.

— I nigdy nie łącz mnie rano z żadnymi w dupę jebanymi aktorami, rozumiesz?

Cień jego dzieciństwa na Brooklynie. Spokojnie, Lucky, nie nazywaj go ordynarnym skurwielem, będziesz miała na to czas, kiedy przejmiesz studio.

— Tak, panie Stolli.

— I skontaktuj się z Eddiem Kane'em. Odwołaj nasze spotkanie o dziesiątej.

— Podać mu jakąś wymówkę?

— Mam go w dupie. To ja jestem szefem tego studia, kurwa. Żadnych wymówek — zapamiętaj sobie.

— Tak, panie Stolli.

Pomaszerował z powrotem do biura i zatrzasnął za sobą drzwi. Najwyraźniej praca u Mickeya nie będzie nudna.

Znalazła odpowiednią szafkę, otworzyła ją — i zagłębiła się w dokumentach.

Rozdział dwudziesty siódmy

Martin Z. Swanson posiadał prywatny odrzutowiec, nazwany skromnie Swanson, którym leciał właśnie z Nowego Jorku na Zachodnie Wybrzeże. Na pokładzie oprócz niego znajdowało się siedem osób załogi — i nikt więcej.

Dwie stewardessy pilnowały, by niczego mu nie brakowało. Obie były bardzo ładne, jedna ciemnowłosa, druga ruda. Miały po dwadzieścia pięć lat, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i sześćdziesiąt dwa kilo wagi. Miały na sobie identyczne, firmowe mundurki, składające się z krótkiej białej spódnicy i ciemnobłękitnej koszulki z białym napisem SWANSON na piersiach. Obwód w biuście każdej z dziewcząt wynosił dziewięćdziesiąt centymetrów. Martin bardzo dbał o szczegóły. Stewardessy zwracały się do niego „panie Swanson” a z ich twarzy nie znikał pogodny uśmiech. Ładne zęby także należały do wymagań Martina.

Martin Swanson nigdy nie spoufalał się z pracującymi dla niego dziewczętami, nawet jeśli były bardzo atrakcyjne. Właściwie prawie ich nie zauważał. Zatrudniał je w określonym celu — a mianowicie dla utrzymania określonego wizerunku własnej osoby. Często natomiast gościł u siebie swoich partnerów w interesach — a jeśli mieli oni ochotę zabawiać się z jego pracownicami, było to ich przywilejem.

Od pracujących u niego ludzi Martin wymagał trzech rzeczy: lojalności, inteligencji i przyzwoitego wyglądu. Każdy, kto nie potrafił spełnić tych warunków, był natychmiast zwalniany.

Z drugiej strony hojne wynagrodzenie czekało tych, którzy wypełniali obowiązki tak, jak życzył sobie Martin Swanson.

Martin miał czterdzieści pięć lat i uważał swą karierę za w miarę ustatkowaną. Skromne początki zaprowadziły go do osiągnięć, o których nie marzył. Uważano go powszechnie za charyzmatycznego, pełnego energii i uporu biznesmena, który potrafił zrealizować każde swe marzenie. Martin miał potężnych i sławnych przyjaciół w dyplomacji, show biznesie, sporcie i wśród śmietanki towarzyskiej. Nie potrzebował starać się o niczyje względy. Miał także piękną żonę, której inteligencja nie ustępowała najwyraźniej urodzie.

Ale jeszcze cztery miesiące temu Martin nie wiedział, czym jest wielka miłość. — Szklaneczkę wody mineralnej, panie Swanson? — zachęcała go rudowłosa stewardessa.

Skinął głową i w kilka sekund pojawiła się przed nim na stoliku kryształowa szklanka. Czysta woda mineralna Evian, plasterek cytryny i dwie kostki lodu. Dokładnie tak jak lubił.

— Czy chciałby pan już coś zjeść, panie Swanson? — spytała druga dziewczyna.

Martin zauważył ciemną plamkę na jej ciasnej białej spódnicy i wpatrywał się w nią tak długo, aż musiała spojrzeć.

— Ojej! — krzyknęła, zawstydzona.

Nie cierpiał kobiet, które używają takich słów jak „ojej”. Sprawiały na nim wrażenie, jakby przestały się rozwijać umysłowo ukończywszy podstawówkę.

— Zrób z tym coś — powiedział sucho.

— Oczywiście, proszę pana.

To Deena zaprojektowała ich mundurki.

— Niech będą nowoczesne, seksowne, ale nie prowokacyjne — pouczył ją. Deena wiedziała dokładnie, jak go zadowolić.

Deena. Jego żona. Kobieta ze stali. W sumie byli do siebie bardzo podobni, gdy chodziło o osiągnięcie tego, co upragnione. Kiedy ją poznał, miał wrażenie, że patrzy w lustro i widzi kobiece wcielenie samego siebie. Zdecydowana, gotowa mierzyć się z przeciwnościami losu — kobieta, która wiedziała, czego chce i była w stanie zrobić wszystko, żeby dopiąć swego.

Deena. Bardzo ją polubił. Ożenił się z nią. Kiedy dowiedział się, że go okłamała — że była starsza niż przypuszczał i miała inne pochodzenie, niż twierdziła — coś się w nim załamało. Martin nie lubił być okłamywany.

To było wygodne małżeństwo dla nich obojga. Z zewnątrz wydawało się, że państwo Swanson osiągnęli wszystko, czego człowiek może pragnąć. Prawda jednak była taka, że Martin harował osiemnaście godzin dziennie, a Deena nie ustępowała mu pracowitością. Być może pomogłaby obecność dzieci, ale Deena dwa razy poroniła, po czym oświadczyła, że kolejna próba zajścia w ciążę może skończyć się dla niej tragicznie. Zostało to zresztą uniemożliwione chirurgicznie. I choć w przepływie szlachetności Martin zapewnił ją, że to nie ma znaczenia, był przecież rozczarowany. Bardzo pragnął mieć syna, na własny obraz i podobieństwo, którego mógłby wychowywać i kształtować. Martin Z. Swanson, junior. Chłopak, którego mógłby uczyć gry w piłkę i zawłościami świata biznesu.

Kto będzie nosił po nim jego nazwisko?

Kto odziedziczy jego fortunę?

Deena zawiodła go.

Seks nie był dla Martina szczególnie ważny w życiu. Miał siedemnaście lat, kiedy przeżył pierwsze miłosne doświadczenia — była to czterdziestotrzyletnia, znudzona prostytutka, która kazała mu się spieszyć. Kosztowało go to dziesięć dolarów i dużo więcej za leczenie trypra.

Nauczyło go to przynajmniej jednego — za to co się dostaje, trzeba płacić.

Drugie doświadczenie przeżył w apartamencie pewnej ekskluzywnej dziwki na Park Avenue, która liczyła sobie pięćset dolarów za noc. Wydał na to wszystkie pieniądze, jakie otrzymał w prezencie gwiazdkowym tylko po to, żeby rozczarować się jak i za pierwszym razem.

Później spotykał się z wieloma młodymi damami, które nie żądały od niego pieniędzy. Nie można powiedzieć, żeby był pierwszym jebaką w kole-dżu, ale radził sobie nieźle.

Po studiach najważniejsza była praca. Później przyszła Deena. Poronienia. Później kochanki.

Martina nie interesowało zwykle cielesne piękno. Poszukiwał tylko kobiet, które osiągnęły coś w życiu.

To polowanie podniecało go najbardziej. Jego ulubioną grą było znajdowanie odpowiedniej kobiety i czekanie, ile czasu potrzeba, zanim będzie mógł pójść z nią do łóżka. Czasem trwało to nawet miesiąc albo dwa. Dowiedział się, że każda miała swoją cenę. A także, że było go na to stać.

Wtem nieoczekiwanie pojawiła się Venus Maria i w końcu, mając czterdzieści pięć lat, Martin Z. Swanson odkrył miłość, palące pożądanie i prawdziwy smak życia.

Pochłonęło go to bez reszty.

Oparł się wygodnie w fotelu i przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie.

Venus Maria.

Martin Z. Swanson.

Wulkan na moment przed wybuchem.

— Cześć! — powiedziała uśmiechając się Venus Maria. Drobne, białe ząbki i prowokacyjny uśmiech.

— Jestem wielbicielem pani talentu — odpowiedział w czarującym stylu Swansona, puszczając do niej oko.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

— Jesteś nadętym hipokrytą. Założę się, że nie widziałeś żadnego z moich filmów.

— To nieprawda.

— W takim razie powiedz.

— Co konkretnie?

— Gdzie mnie widziałeś? Zastanowił się.

— Na okładce „TimeV

— To nic nie znaczy. To tylko reklama.

— Wiem o tym.

— A więc?

— Jesteś piosenkarką.

— No no, co za błyskotliwość!

— I aktorką.

— Ale nie widziałeś mnie w żadnym filmie, prawda? Wzruszył ramionami.

— Złapałaś mnie.

— Widzisz, miałam rację. Jesteś nadętym hipokrytą — powtórzyła, ciągle się uśmiechając.

Martin nie przywykł, by nazywano go hipokrytą — a szczególnie, żeby powiedziała to młoda dziewczyna — wszystko jedno, sławna czy nie — o platynowych włosach, prowokacyjnym spojrzeniu i ubrana w najbardziej niezwykły strój, jaki widział. Wyglądała jak jakaś wędrowna cyganka, obsypana srebrną biżuterią, w pstrej spódnicy i głęboko wydekoltowanej bluzce.

Było to w Nowym Jorku, na przyjęciu u państwa Websterów. Effie Webster była awangardową projektantką mody, a Yul, jej mąż, był wydawcą. Oboje znani byli z dziwnego kręgu przyjaciół, jakimi się otaczali, a także z pociągu do narkotyków. Chociaż Deena była ich dobrą przyjaciółką, Martin przyjął zaproszenie na to party tylko dlatego, że zorganizowano je na cześć jego starego przyjaciela i byłego współlokatora w studenckim mieszkaniu, Coopera Turnera. Deena cierpiała na migrenę i została w domu. Jej pierwszy błąd.

— A teraz, skoro już wiemy, że jesteś hipokrytą — ciągnęła Venus Maria, najwyraźniej bawiąc się całą sytuacją, częstując się podanym przez kelnera ciasteczkiem i wsuwając je między niepokojące pełne, rubinowo lśniące wargi — co wobec tego zrobimy?

To „my” zwróciło jego uwagę. Ostatnio zerwał znajomość ze swoją ostatnią kochanką, feministką i prawniczką, która stała się stanowczo zbyt wymagająca, był więc gotów na kolejną miłosną przygodę. Ale ta dziewczyna była inna — zbyt młoda, zbyt odważna, zbyt nieobliczalna. Coś go ostrzegało, żeby trzymał się z daleka.

— Wiesz, kim jestem? — zapytał ją całkowicie pewien, że ona wie.

— Nie — odparła nonszalancko. — Ale przyznaję, że gdzieś cię widziałam. Jesteś politykiem? Senatorem, czy kimś takim? — Nazywam się Martin Swanson — powiedział takim tonem, jakim mówi się „To jest Empire State Building”, albo „To jest wieża Eiffla”. Venus Maria przekrzywiła głowę. Zauważył, że jej kolczyki są nie do pary. — Nic mi to nie mówi — stwierdziła. — Podpowiedz mi.

Teraz zaczynała go już irytować ta dziwnie wyglądająca istota. Zbyt ciemne brwi nie pasowały do jej włosów, a jej wzrok krył w sobie coś jak głębokie doświadczenie, stanowczo kontrastujące z niewinnością jej twarzy.

— Przeczytaj „Time” ze stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego — powiedział zniecierpliwiony. — Nie tylko ty byłaś na okładce.

Wtedy podszedł do nich Cooper Turner — zabójczo przystojny Cooper we własnej osobie. Cooper, który pewnie rznął bez przerwy swoją słynną przez piętnaście minut laleczkę, choćby dla podtrzymania reputacji.

— Widzę, że poznałeś już Venus — powiedział z uśmiechem. — Czy zdążyła cię już obrazić? — Nie jestem pewien — odparł Martin.

— Pilnujcie swoich jajek, panowie. Pewnego dnia mogą się wam przydać — powiedziała ze śmiechem Venus Maria machając im na pożegnanie. — Zostawiam was samych. Miło mi było pana poznać, panie...

— Martin.

— Mam pamięć do dupy, ale dupę, której nikt nie zapomina! Zostawiła ich z tym zdaniem, idąc pewnym krokiem przez salon, pociągając za sobą zaintrygowane spojrzenia.

— Chciałbym się o tym przekonać — westchnął smutno Cooper. — Młoda Venus specjalizuje się w tym, co kiedyś nazwaliśmy drażnieniem kutasa. Pamiętasz? W starych dobrych latach sześćdziesiątych.

— Chcesz powiedzieć, że nie przespałeś się z nią? — spytał zdziwiony Martin.

— Nie do wiary, co? — powiedział Cooper z gorzkim uśmiechem. — W końcu dostałem kosza. Roześmiała się w głos, kiedy to zaproponowałem. Czy my się nie starzejemy, Martin? — ostatnie zdanie Cooper wypowiedział tonem kogoś, kto wie, że nigdy nie będzie za stary dla żadnej kobiety.

Przez resztę wieczoru Martin uważnie przyglądał się Venus Marii. Przenosiła się z miejsca na miejsce jak ciekawski ptaszek, nigdzie nie zostając na dłużej — platynowe włosy i czerwone wargi, i delikatny zapach perfum znaczący jej drogę. W pewnej chwili ich oczy spotkały się — tylko raz. Wpatrzyła się w niego jak kotka, zmuszając go, by pierwszy odwrócił wzrok. Jeszcze jedno jej małe zwycięstwo. Martin był zaintrygowany.

Następnego dnia kazał sobie przysłać notatki prasowe na jej temat. Sekretarka zarzuciła go lawiną wycinków z gazet i czasopism. Venus Maria była bardziej sławna, niż sądził.

Później zamówił jej kasety wideo i dwa filmy, które nakręciła. Na ekranie prezentowała się jako energiczna osoba. Podniecająca syrena ze sprytem ulicznego cwaniaka. Potrafiła tańczyć, śpiewać, a nawet dobrze grać.

Pod wieczór Martina przepełniało już pożądanie. Sprawdził, że Venus Maria zatrzymała się w hotelu Chelsea i przesłał jej trzy tuziny srebrnych róż z karteczką, na której napisał: „JA TEŻ — MARTIN SWANSON”.

Nie całkiem prawda. Martin nie był rewelacyjnym kochankiem, ale też nie tym przyciągał do siebie kobiety.

Nie otrzymał odpowiedzi ani podziękowania za kwiaty. Zastanawiał się, czy je w ogóle dostała, bo następnego dnia wróciła do Los Angeles.

Venus Maria. Nie zamknięty rozdział.

Martin nie lubił nie dokończonych spraw.

Sześć tygodni później Deena postanowiła wziąć udział w przyjęciu organizowanym na cele dobroczynne w Los Angeles. Miała wielką ochotę pojawić się tam w swym nowym naszyjniku z szafirów i diamentów, który dyskretnie podkreślał jej jasne oczy i białą cerę. — Jedźmy więc powiedział Martin, czym zaskoczył Deenę, która wiedziała, jak bardzo jej mąż nienawidzi Los Angeles.

Musiał mieć wtedy przeczucie. Venus Maria pojawiła się na tym przyjęciu, wyróżniając się wśród wieczorowych sukni swoim kostiumem z czarnej skóry.

Włosy miała ufarbowane na czarno, co dużo lepiej pasowało do jej ciemnych brwi, a wargi pokrywała jaskrawa, purpurowa szminka. Pod czarną motocyklową kurtką miała nieco delikatniejszy, skórzany biustonosz bez ramiączek, nabijany srebrnymi ćwiekami. Jej piersi były kremowobiałym zaproszeniem do reszty, ukrytej pod skórzanym kostiumem.

— Boże! Zwróciłeś uwagę na tę całą Venus Marię? Coś potwornego, widziałeś ją?
— spytała Deena.

A czy mógłby jej nie zauważyć? Nie.

I tym razem nie zamierzał stracić jej z oczu.

Cooper Turner nie miał szczególnej ochoty dzielić się z Martinem jej numerem telefonu.

— Ona nie jest dla ciebie, Martin — ostrzegał. — Ta dziewczyna tańczy już zupełnie inny taniec, stary. Najlepiej zapomnij o niej.

— Boisz się konkurencji? — spytał Martin.

— Próbuję cię tylko ostrzec. Venus jest inna niż wszystkie dziewczyny. Załóżmy nawet, że ci się z nią uda — a zaręczam ci, że to niemożliwe — Venus nie będzie siedziała grzecznie w domu, podczas gdy ty będziesz latał do Deeny i z powrotem. Daj sobie z nią spokój, stary. To twarde dziecko.

— Dasz mi ten numer, czy mam prosić kogoś innego? Dostał i zadzwonił, przygotowany na wszystko. — Zabrałam moje róże do Los Angeles — powiedziała od niechcienia. — Aha, i kazałam znaleźć ten „Time”. Nie podobałeś mi się na zdjęciu, wyszedłeś na zadowolonego z siebie przygłupa. Ja sama zajmuję się fotografią. Chciałbyś pozować przed moim obiektywem?

Pod pierwszym lepszym pretekstem zostawił Deenę samą w hotelu, a sam pospieszył do rezydencji Venus Marii w Hollywood Hills.

Podawała mu filiżankę ziołowej herbaty i dotknęła jego twarzy długimi, jedwabistymi palcami. — Nie pójdę z tobą do łóżka, dopóki cię dobrze nie poznam — powiedziała cicho. — To może potrwać parę lat, dobrze?

Źle.

Potrwało pięć tygodni. W tym czasie Martin parę razy przyjeżdżał na Zachodnie Wybrzeże, a ona dwa razy odwiedziła Nowy Jork.

Zdarzyło się to w końcu w domu przyjaciela w Big Sur, na ogromnym małżeńskim łóżu w pokoju z cudownym widokiem na ocean.

I Martin Z. Swanson — potentat, człowiek z towarzystwa, miliarder, światowiec, czterdziestopięcioletni mężczyzna — w końcu dowiedział się, co znaczy miłość, seks i pożądanie.

Było to niezwykle odkrycie.

Przyjechawszy do Los Angeles, Martin po pierwsze zadzwonił do Venus Marii z telefonu w swojej limuzynie. Była na planie filmowym, ale udało mu się z nią połączyć, używając im tylko znanego nazwiska-pseudonimu — pan

Whacko *. Głupio się czuł używając tego nazwiska, ale Venus uparła się przy nim.
— Tylko takie kretyńskie nazwisko może podzielać — twierdziła.

I prawdopodobnie miała rację. A więc Martin przedstawiał się od tej pory jako pan Whacko.

— O której mam przyjść? — zapytał.

— Nie możesz. Mój brat jest u mnie.

— Zdawało mi się, że miałaś się go pozbyć.

— Bo to prawda, ale to nie takie proste. Nie jest moim marzeniem, żeby poleciał zaraz do „National enquirer'a” z sekretami mojej sypialni.

— i tak to zrobi.

— Tak uważasz?

— Wiem.

— Wynajmę dla niego mieszkanie.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Stęskniłem się za tobą.

— To dobrze.

— A ty?

— Co?

— Wiesz co. Tęsknisz za mną?

— Martin, kiedy tu jesteś, to dobrze. Kiedy jesteś w domu, to twoje osobiste życie. Tęsknota to negatywna energia. Nie mam na nią czasu.

Naprawdę potrafiła być irytująca. Czy nie potrafiła zrozumieć, ile go kosztowało przyznanie, że za nią tęsknił? Nikt przed nią nie słyszał tego z ust Martina

Swansona, a na niej nie robiło to najmniejszego wrażenia.

— Przyjechałem tu, żeby omówić przejście studia — powiedział, mając nadzieję, że to jej zaimponuje. — Mówiłeś już o tym poprzednio.

— Tamten interes przepadł.

— I co teraz?

— Nowe negocjacje.

— Muszę kończyć, wrzeszczą już na mnie.

— Każ im poczekać.

— Zaskakujesz mnie, Martin. Jestem w pracy.

— Pozbądź się brata, chcę do ciebie przyjść.

— Spróbuję.

— Nie próbuj, tylko zrób to.

— Później.

Później weźmie ją w ramiona, to młode, gibkie ciało, pulsujące energią, która go pochłania, podnieca go jak nic i nikt przedtem.

* **Whacko** — (ang.) świr.

A teraz do pracy. Tym razem Martin Z. Swanson miał zamiar doprowadzić interes do końca i zostać właścicielem studia, a kiedy czegoś chciał, zawsze to osiągał.

Rozdział dwudziesty ósmy

Lucky zapaliła papierosa. Kiedyś, dawno temu, przyrzekła sobie rzucić palenie. Niemożliwe. Zbyt głęboko tkwiło to w jej charakterze. A poza tym, sama czynność palenia sprawiała jej przyjemność. Zapalanie papierosa, wdychanie dymu i obserwowanie, jak rozpływa się leniwie w powietrzu.

Boogie nie palił. Boogie zajadał otręby pszenne, płatki owsiane i brązowy ryż. Odkrył zdrową żywność i patrzył na Lucky z wyrzutem, gdy popijała mocną, czarną i z pewnością nie pozbawioną kofeiny kawę, po obiedzie złożonym z dużego, soczystego steku.

Był sobotni poranek i masa rzeczy do zrobienia. Tym razem nie miała czasu na wyjazd do Londynu — może tylko na dzień w Acapulco, gdyby nie to, że miała być przecież w Japonii. Samotność dawała się jej we znaki. Brakowało jej Lenniego. Zadzwoiła do niego po krótkim wahaniu. Pamiętając ton jego głosu, kiedy dzień wcześniej rozmawiał z Mickeyem Stollim, Lucky nie sądziła, że Lennie będzie w szczególności dobrym nastroju. Nie pomyliła się.

— Gdzie jesteś? — zapytał przede wszystkim, wojowniczym tonem.

— Ciągle w tym samym miejscu. Kłaniam się wszystkim i popijam herbatę — odpowiedziała spokojnie.

Lennie był coraz bardziej poirytowany.

— Zdajesz sobie sprawę, jacy ostatni idioci u ciebie pracują?

— Wszyscy mamy ten sam problem, nie sądzisz?

— Daj spokój, Lucky, ja się nie wygłupiam. Ci ludzie w twoim biurze są albo niedoinformowani, albo to kompletni debile.

Z kim on rozmawiał?

— Dlaczego tak mówisz? — spytała z niepokojem. Nie był to najlepszy moment na wpadkę.

— Bo od dwudziestu czterech godzin próbuję dowiedzieć się, gdzie jesteś. Zdobyć numer telefonu, adres, cokolwiek. „My nic nie wiemy, panie Golden” — mówią mi. Jakbym był jakimś przybłądą.

Upłynęły tylko dwa tygodnie, a tu już takie niebezpieczeństwo.

— Oni nie wiedzą, gdzie jestem, Lennie odparła cicho. — Ja sama nie wiem. Pan Tagasaki to wspaniały ale dziwny człowiek i prowadzi interesy w dość niekonwencjonalny sposób.

Lenniemu wcale się to nie spodobało.

— O czym ty mówisz, do cholery?

— To trudno wyjaśnić — pospieszyła z odpowiedzią. — To taka nasza umowa. On ma lekkiego bzika. Niedługo stąd wyjeżdżam.

Lennie nie dał mydlić sobie oczu.

— Czy ty mnie zdradzasz z tym japońskim chujem? — spytał oskarżyciel-skim tonem.

— Nie bądź śmieszny.

— Nie, Lucky, to ty jesteś śmieszna.

Teraz jej ta rozmowa zaczęła działać na nerwy.

— Lennie, jestem tu w interesach. Czy ja wtrącam się do twoich spraw?

— Bez przerwy.

Boże! Nie chciała, żeby ta rozmowa zamieniła się w otwartą kłótnię.

— Zrozum mnie, Lennie. Proszę cię. Ten jeden jedyny raz.

— Właśnie, że nie rozumiem. Chcę, żebyś zaraz tu przyjechała. Jego podejrzliwość zdenerwowała ją. — Lennie — powiedziała ostrożnie — robię zawsze to, co chcę.

— No to rób tak dalej, kotku, to niedługo będziesz robić to sama. K o t k u !

Naprawdę musiał być wkurzony.

— Ten interes jest dla mnie bardzo ważny. Lennie, pozwól mi załatwić to na mój sposób, a potem będę należeć do ciebie. Nie ruszymy się z miejsca przez całe lato. Będziemy budować zamki z piasku na plaży w Malibu — jej głos złagodniał znowu.

— Zgoda, kochany?

Lennie także trochę się uspokoił.

— Miałem dla ciebie niespodziankę na ten weekend. Tylko przyjeżdż. To znaczy, jeśli uważasz, że masz dokąd. — A co z filmem?

— Mam go w dupie. Powiedziałem Mickeyowi Stolliemu, że jeśli nie zwolni Grudge'a, to ja odchodzę.

— Już niedługo będę miała dla ciebie dużą niespodziankę, Lennie.

— Jaka? — Tylko bądź cierpliwy. Lennie nie zamierzał się poddać.

— Od jak dawna jestem już cierpliwy? Jaki jest twój numer?

— Nie mam numeru. — To skąd dzwonicz, z ulicy?

— Z hotelu.

Lennie był ostatecznie wyprowadzony z równowagi.

— Nie wiem, o co i z kim grasz, Lucky, ale zrób coś dla siebie i dla mnie i przyjeżdż tu. Potrzebuję cię.

— Będę z tobą wcześniej, niż myślisz.

Nie była to idealna rozmowa telefoniczna. Jak długo Lennie będzie dawał wiarę jej wymówkom?

Następnie zadzwoniła do Bobby'ego do Londynu. Widział właśnie w kinie film z Jamesem Bondem i koniecznie musiał opowiedzieć jej całą akcję.

Słuchała syna cierpliwie, po czym powiedziała mu, że go kocha i rozłączyła się.

„Pieprzysz własne życie, Santangelo. Tylko chwilowo”.

Wróciwszy w poniedziałek rano do studia, Lucky wiedziała wiele więcej, niż kiedy opuszczała je w piątek wynosząc teczkę pełną dokumentów z biura Mickeya. Przez weekend miała dość czasu na zapoznanie się z nimi. Wyglądało na to, że Mickey zgarniał forszę na wszystkie strony. A szef wydziału finansów musiał o wszystkim wiedzieć. Niezła zmowa.

Mickey wpadł do biura spóźniony, strzelając palcami.

— Połącz mnie z Zeppo White'em. Odwołaj moje spotkanie o dziewiątej z Eddiem Kane'em. Powiedz Teddy'emu Laudenowi, żeby został po zebraniu, muszę z nim pomówić. I podaj mi szklankę soku grejpfrutowego. Tylko się pośpiesz.

Niewiarygodny facet. A gdzie „dzień dobry” i jakaś zwykła uprzejmość? Weszła za nim do jego prywatnego biura. Mickey ściągnął tenisową koszulkę, odkrywając niezmiernie owłosiony tors. Lucky pomyślała, że zanim zdejmie spodenki, jej już tu nie będzie.

Pomaszerował do swej łazienki i wysikał się głośno, nie zamknąwszy drzwi, dyktując jej jednocześnie krótki fax do Grudge'a Freeporta. Pisał:

„Niezadowoleni aktorzy są upierdliwi. Kiedy ktoś jest upierdliwy, ja jestem też niezadowolony. Gwiazdy są niezastąpione. Ty nie. Bądź dla nich miły, żeby byli zadowoleni”. Następnie podyktował Lucky fax podobnej treści do Neda Magnusa, producenta filmu Lenniego. Lucky dopisała od siebie:

„Okaz Lenniemu Goldenowi całkowite poparcie. Wprowadź wszelkie zmiany, jakich zażąda”.

Następnie Mickey wziął prysznic, a Lucky pośpieszyła wykonać telefony, jakich sobie życzył.

Wyszedł z łazienki domagając się swego soku.

Lucky skoczyła do kuchni pełnej chromu i nierdzewnej stali, przekroiła grejpfruta na połowę, prawie odcinając sobie w pośpiechu palec, i wrzuciła go do sokowirówki.

Dostała prawie ataku śmiechu. To było szaleństwo! Po jaką cholere w ogóle to robi? Dla przygody. Dla studia. Dla Lenniego.

Eddie Kane był ostatnio nerwowy. Miał ważny interes do omówienia z Mickeyem, a ten sukinsyn nie raczył nawet z nim porozmawiać.

Palił skręta w męskiej toalecie na kilka minut przed porannym poniedziałkowym zebraniem wszystkich szefów studia. Odrobina koki byłaby o niebo

lepsza, ale nie miał już nic, a Kathleen Le Paul przychodziła ze swą cotygodniową dostawą dopiero po południu. Skręć trochę go uspokoił, ale tylko na chwilę. Cholera! Był na granicy nerwowej wytrzymałości. Koniecznie musi usiąść spokojnie z Mickcyem i pogadać o interesach.

Patrząc na swe odbicie w lustrze zauważył, że ma nerwowy tik. Prawie niezauważalny co prawda, ale jednak.

Przecież nikt mu się nie przygląda, na rany boskie.

Eddie „Nerwus” Kane. Był cudowne dziecko. Znany ze swoich manier rodem z *Miami Vice*.

Oto czym się zajmował: filmy porno. Rozprowadzanie ich. Ukrywanie ich wśród innych, legalnych produktów studia. Zbieranie przyzwoitej kupki banknotów. Zgarnianie jej do kieszeni.

Patrzył na swe odbicie przez dłuższą chwilę. Kto ma taką drugą żonę jak jego Leslie? Jest ładniejsza i bardziej seksowna od każdej aktorki w studiu.

Co by dał, żeby ujrzeć ją zanurzoną po uda w diamentach! Zaslugiwała na to. Po uda w diamentach i z nagą pupą. To byłby widok!

— Dzień dobry, Leslie.

Zev Lorenzo, dyrektor utworzonego niedawno wydziału telewizyjnego, zaskoczył go w toalecie. Zev był eleganckim mężczyzną pod pięćdziesiątkę, z cienkim wąsikiem, przerzedzonymi włosami i szczupłą sylwetką. Gdyby ktoś go o to zapytał, Eddie powiedziałby, że Zev jest jedynym dyrektorem w tym studiu, który nie pracuje w ten czy inny sposób dla siebie.

— Cześć, Zev.

Tamten skinął głową w odpowiedzi i stanął przed pisuarem.

„Pedał tajniak” — przemknęło Eddiemu przez myśl. Ktoś mu mówił, że Zev jest pedałem, ale nie ujawnia się z tym — chociaż dlaczego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku ktoś miałby ukrywać swój homoseksualizm, nie mieściło się Eddiemu w głowie.

Jak leci? — bąknął, przeciągając ręką po swych długich włosach.

— Pierwszorzędnie — odparł Zev.

Lubił używać takich słów jak niezrównany, wiodący i naczelny. Eddie nigdy nie słyszał przekleństwa w ustach Zeva, nawet zwykłego kurwa.

— To dobrze, to bardzo dobrze — powiedział Eddie. — Słuchaj, musisz kiedyś mnie odwiedzić. Poznasz moją żonę.

— Słyszałem, że jest szokująco piękna — Zev zapiął rozporek i wyszedł, nie myjąc nawet rąk.

Eddie znów poczuł swój tik. Czuł się potwornie, wyglądał tak samo. Wystraszył biednego Zeva.

— Czy mam pójść z panem na zebranie, panie Stolli? — spytała Lucky.

— Ta, ta. Rób notatki. Zapisuj wszystko. Umiesz stenografować, co? Potwierdziła.

— Co się stało z twoimi włosami?

— Właściwie...

— Nieważne. Idź za mną i nie otwieraj buzi.

Szli do sali konferencyjnej. Lucky trzy kroki za Mickeyem, jak posłuszna gejsza.

Sami chłopcy na zebraniu. Żadnych dziewcząt. Wstyd. Takie jest Hollywood.

Dyskretnie zajęła swoje miejsce z tyłu z notesem w pogotowiu. Stenografia była jedyną pożyteczną rzeczą, jakiej nauczono ją w szkole w Szwajcarii. Rozejrzała się, rozpoznając najważniejszych graczy, porównując ich twarze z fotografiami w błyszczących corocznych raportach finansowych studia Panther.

Ford Werne, dyrektor wydziału produkcji. Morderczo przystojny w garniturze od Armaniego i ciemnych okularach za jakieś pięćset dolarów. Miał około pięćdziesięciu lat, ale prezentował się znakomicie.

Teddy T. Luden, szef wydziału finansów, był jego dokładnym przeciwieństwem. Drobnny, przeciętny, nieciekawny.

Zev Lorenzo, człowiek, który prowadził dział telewizyjny. Czarujący i bez skazy.

Eddie Kane, dyrektor dystrybucji. Mister Cpun. Wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. Powiedzieć, że był niechlujny, byłoby niedopowiedzeniem. Na swój sposób przystojny, wyglądał na faceta w poważnych opałach.

Zostało jeszcze tylko dwóch starszych członków rady:

Grant Wendell junior, wiceprezes działu produkcji zagranicznej — młody, o bystrym spojrzeniu, w luźnych spodniach i koszuli.

Buck Graham — reklama. Nieco otyły, jowialny mężczyzna z rumianymi policzkami i uśmiechem mówiącym „jestem tu dla waszej przyjemności”.

Średnia wieku — około czterdziestu lat.

Dlatego właśnie wśród dyrektorów nie było kobiet. Ci faceci nie mieli matek-feministek. Co oni wiedzieli o życiu?

Lucky uśmiechnęła się do siebie. W brzydkiej peruce i okularach, ukryta pod grubym ubraniem, była praktycznie niewidzialna dla tej grupy przypuszczalnych męskich szowinistów.

Pojawiły się dwie kobiety, gotowe podać kawę i herbatę. Jedną z nich była Brenda, murzyńska sekretarka Eddiego Kane'a. Ubrała się na tę okazję w sukienkę z różowej skóry, która kończyła się mniej więcej w połowie ud. Jej długie nogi były obciągnięte okropnymi siatkowymi pończochami — pasującymi bardziej na roboczy strój ulicznicy niż na oficjalne zebranie dyrekcji studia — i czerwone, potwornie wysokie szpilki.

Brenda rozmawiała z mężczyznami, zwracając się do wszystkich po imieniu, nalewając im herbatę. Złote paznokcie wokół rączki dzbanka z kawą.

Druga dziewczyna była blondynką z końskim ogonem, także w spódniczce mini. Wyglądało na to, że należy do Granta Wendella.

Mężczyźni wyraźnie ignorowali obecność kobiet, choć Lucky zauważyła jak Eddie wsuwa rękę pod krótką spódniczkę sekretarki Granta gdy przechodziła obok jego fotela.

— No dobra dziewczęta, wynoście się już — powiedział Mickey Stolli kroi szarmu.

— To nie knajpa.

Brenda rzuciła Lucky zazdrosne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć " „A co ty tu jeszcze robisz?" Najwyraźniej Lucky przypadło w udziale zadanie Które uszczęśliwiłoby każdą tutejszą sekretarkę.

Zebranie się zaczęło.

Mickey miał umysł jak karabin maszynowy, wyrzucał z siebie dziesiątki pytań, mówił szybko. Chciał wiedzieć o wszystkim, co działo się przez ostatni tydzień w studiu i na całym świecie, jeśli tylko dotyczyło to studia Panther

Lord Werne poprawił ciemne okulary i powiedział o scenariuszu za milion dolarów, który jego zdaniem studio powinno zakupić

Grant Wendell przedstawił propozycję podpisania długoterminowego kontraktu z Madonną albo z Cher.

Zev Lorenzo chwalił się dużą popularnością swoich ostatnich dwóch programów telewizyjnych i stwierdził, że prowadzi negocjacje w sprawie produkcji filmu telewizyjnego na podstawie powieści Normana Mailera. – Zrobimy z tego miniserial – cos w stylu Pogody dla Bogaczy- powiedział.

— To za ciężkie — zaproponował Mickey. Nam potrzeba czegoś pikantnego. A skoro już o tym mowa - musimy dostać wyłączność na tę siedemnastoletnią gwiazdkę porno, która właśnie przedstawia się na normalne filmy. Ona jest naturalna.

— Naturalnie jaka, Mickeyu? — zapytał Buck Graham z knajpianym chrząknięciem.

— Widziałem ją w *Pod szkłem* - wtrącił Teddy Lauden, ożywiając się nagle. — Miała wtedy szesnaście lat. Co za ciało!

— Ciało nieważne, ale czy ona potrafi grać? — pytał Grant

— A kogo to obchodzi? - powiedział Mickey. — Ona zarobi dla nas kupę torsy. Młoda i świeża lalka, nic innego tak nie przyciąga widowni Cooper daje jej parę linijek w swoim filmie.

„Ach, być wśród prawdziwych mężczyzn — pomyślała Lucky — Co za przemile towarzystwo". Eddie Kane przyparł ją do muru po zebraniu. Zachowywał się jak chodząca bomba zegarowa. — Hej, proszę pani! Ty!

— Mam na imię Luce.

— Dobra, Luce. Musisz coś dla mnie zrobić

— Tak?

— Przestań odwoływać moje spotkania z Mickeyem. Muszę z nim pogadać. Dzisiaj. Pilna sprawa.

Lucky zauważyła jego tik. Fascynujące!

— To nie ja odwołuję te spotkania, panie Kane. Pan Stolli tak postanawia. Ja tylko wykonuję jego polecenia.

Cholera! Zaczyna już mówić jak Olive!

— Jasne. No to jak ci każe odwołać następne, zapomnij o tym. To ja przyjdę.

Kapujesz, nie?

— Dlaczego miałabym to zrobić, panie Kane?

— Jeszcze zrozumiesz. To jedyny sposób na Mickeya. On wszystkich tak traktuje.

Olive sama ci powie. Kiedy ona wraca?

— Jutro.

— Muszę zobaczyć się z nim dzisiaj. Załatw to.

— Postaram się.

— Dobra dziewczyna.

— Mam na imię Luce.

— Zmieniłbym je na twoim miejscu.

Wróciwszy do biura Lucky znalazła stertę wiadomości. Wydawało się, że każdy ma jakiś interes do Mickeya Stolliego.

Przejrzała jego rozkład spotkań. Nie było ani jednej wolnej rubryki przez cały najbliższy miesiąc. Olive odnotowała swoim schludnym pismem wszystkie szczegóły. Lucky zapukała do jego drzwi, poczekała na charakterystyczne „Ta!” i weszła. — Pan Kane chciałby ustalić godzinę spotkania — powiedziała profesjonalnym tonem.

— Nie mogę patrzeć na tego bęcwała.

— Na kiedy mam przełożyć spotkanie? Pan Kane mówi, że to bardzo pilne.

— Sranie jest pilne. Eddie może poczekać.

— Jest pan pewien?

— Nie marudź. Kto jeszcze?

— Ma pan lunch z Frankiem Lombardo i Arniem Blackwoodem, a potem o trzeciej spotkanie z Martinem Swansonem w hotelu Beverly Hills.

— Odwołaj lunch. Muszę gdzieś pójść.

— Czy wolno mi spytać dokąd?

— Nie.

— Dziękuję, panie Stolli.

Zaalarmowany przez Lucky, Boogie był na miejscu, gdy Mickey wychodził ze studia. Jechał w ślad za nim do skromnego bloku mieszkalnego w West Hollywood. Tam patrzył, jak Mickey parkuje swego porsche'a w podziemnym garażu, w miejscu zarezerwowanym dla mieszkania numer cztery.

Sprawdzając listę lokatorów przy wejściu, Boogie stwierdził, że mieszkanie numer cztery należy do Warnera Franklina.

Czyżby Mickey Stolli miał chłopaka?

Najwyraźniej tak.

Boogie zadzwonił do Lucky z wozu i przekazał jej tę informację

— Jesteś pewien.

— Na to wygląda.

— Poczekaj tam. Może wyjdą razem.

— Wątpię. Nie będą przecież pokazywać się publicznie, co?

— Kto wie. Mickey nic jest najsprytniejszym gościem na świecie.

— Postaram się czegoś dowiedzieć.

— Nikt nie robi tego lepiej od ciebie.

Zachęcony pochwałą, Boogie rzeczywiście dowiedział się sporo. Listonosz ciekawska sąsiadka i znudzone dziecko leżące w łóżku z powodu grypy' powiedzieli mu dość.

Fakty. Warner Franklin. Kobieta. Murzynka. Policjantka.

Boogie czuł pismo nosem.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Martin Swanson dysponował armią prawników. On dzwonił, oni przybiegali na wezwanie.

Jego prawnicy dysponowali armią znajomości. Wystarczyło ich słowo, że Martin Swanson był zainteresowany przejęciem jednego z głównych studiów filmowych, zeby wszystkie drogi do celu stanęły otworem.

Martin zbadał każdą z możliwych opcji, wczytując się w tajne raporty o działalności takich studiów jak United Artists, Fox i tak dalej żeby dojść do wniosku, że dla jego potrzeb najbardziej nadają się studia Orpheus i Panther.

Studio Orpheus było gotowe do zmiany właściciela. Studio Panther natomiast, wciąż pozostające prywatną własnością tajemniczego Abe'a Panthera, także wydawało się dostępne, jeśli tylko cena byłaby możliwa do przyjęcia. Tak w każdym razie twierdzili prawnicy Martina Swansona

— Jesh chcę przejąć studio Panther, to z kim mam rozmawiać — zanytał Martin.

- Z Mickeyem Stollim - padła odpowiedź.

Martin natychmiast kazał swoim ludziom zdobyć wszelkie dostępne informacje o Mickeyu Stollim. Okazało się, że choć był prezesem i głównym dyrektorem studia, nie miał jednak prawa decydować o jego ewentualnej sprzedaży bez zgody Abe'a Panthera.

Zaciekawiło to Martina bo odkąd Mickey Stollim został jego szefem studio zaczęło przynosić poważne zyski. Mickey musiał znać się na swojej robocie.

Martin rozważał pomysł przejęcia dużego studia filmowego na długo, zanim Venus Maria pojawiła się w jego życiu. Hollywood zawsze go pociągał. Przemysł filmowy jako potencjalne źródło zysków był nieodpartą przynętą — pieniądze kręciły się tam jak na karuzeli.

Studio Orpheus za to miało kłopoty finansowe. Jego właścicielem było przedsiębiorstwo zajmujące się głównie produkcją podzespołów do samolotów pasażerskich i od ostatnich trzech lat studio przynosiło straty. Od czasu, kiedy prezesem został były agent, Zeppo White, sprawy miały się jeszcze gorzej.

W tej chwili w produkcji znajdowało się tam pięć filmów. Cztery z nich przekroczyły już planowe koszty o ponad milion dolarów każdy i rokowały niewielkie nadzieje na zysk, gdyby nie miał zdarzyć się jakiś cud.

Martin Swanson nie wierzył w cuda. Mógł kupić studio Orpheus. Za przyzwoitą cenę. Być może mógł również kupić studio Panther. Tego nie wiedział na pewno. Wiedział jednak, że z pewnością może kupić Mickeya Stolliego. Gdyby jednak został właścicielem studia Orpheus, mógłby zaproponować Mickeyowi poprowadzenie go. Praca Stolliego najwyraźniej przynosiła znakomite wyniki. Mickey nie miał pojęcia, czego Martin Swanson może od niego chcieć. Słyszał plotki, że Martin ma zamiar kupić jakieś studio — ale w takim razie musiał przecież wiedzieć to, co wiedzą wszyscy w Hollywood — że on, Mickey Stollie, jest tylko najemnym pracownikiem i z równym powodzeniem może próbować sprzedać nie swoje studio, co nauczyć się latać.

Wkurzało to Mickeya. Wkurzało go na tyle, że dwa razy każdego roku rozpętywał wściekłą kłótnię z Abigaile, która zdawała się niczego nie rozumieć. Patrzyła na niego z góry jak matka, która nakryła syna na masturbacji ze zdjęciem nagiego Hitlera w rękę.

— Mój dziadek był dla ciebie bardzo dobry — mówiła zwykle. — A kiedy jego już nie będzie, dostaniemy to, na co sobie zapracowaliśmy.

— Dlaczego musimy czekać? — argumentował Mickey. — Czy prawnicy nie mogliby wkroczyć do akcji i stwierdzić, że jest niepoczytalny?

Abigaile nie chciała nawet o tym słyszeć. Doskonale wiedziała, że jej dziadek spisał bardzo skomplikowany i nienaruszalny testament — a jakiegokolwiek próby ingerencji w jego wolę spowodowałyby wyłącznie niepotrzebne kłopoty.

Wiedziała także, że Abe Panther, mimo swego wieku, był daleki od niepoczytalności. Przeciwnie --- sprawność jego umysłu nie ustępowała w niczym sprawności umysłu samego Mickeya, który powinien dziękować swemu losowi, że Abe nie zdecydował się powrócić do kierowania studiem, ale pozwalał mu na zarządzanie nim według własnego uznania.

Oczywiście istniały pewne ograniczenia finansowe, nałożone przez prawników Abe'a. Ograniczenia te również doprowadzały Mickeya do białej gorączki.

Stwierdzano tam między innymi, że roczne zarobki Mickeya

Stolliego nie mogą przekroczyć miliona dolarów. Milion wydawał się dużą sumą, ale gdy Mickey myślał, że pierwszy lepszy aktor dostaje pięć albo sześć milionów za film, plus procent z zysku, jeżeli film okaże się kasowym przebojem — wtedy milion rocznie przestawał go zadowalać.

Abigaile miała własny fundusz trustowy odziedziczony po rodzicach, a on, Mickey Stolli, musiał ograniczyć się do nędznego miliona — a raczej do tego, co z niego zostało po odciążeniu podatków. Nie mógł o tym spokojnie myśleć.

A jednak myślał o tym bez przerwy — choć z reguły nie wtedy, gdy kochał się z Warner. Ale dziś było wyjątkowo gorąco, jakaś mucha brzęczała gdzieś pod sufitem, a Warner właśnie powiedziała mu, że awansowano ją na starszą policjantkę (to miał być awans?) — i w ogóle nie był w nastroju na ich zwykle tak podniecające miłosne zabawy.

- Co ci jest, kochanie? — spytała Warner.

Leżał na niej, okazując całkowity brak pożądania. Nie było to coś, co mógłby skutecznie ukryć.

— Jakaś mucha tu lata — powiedział zrezygnowany.

— Mucha? — zdziwiła się.

— Może osa — to lepiej zabrzmiało.

Warner, która wychowała się w domu, gdzie widok szcurów był na porządku dziennym, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Boisz się, że cię użądli w tyłek? — zakpiła, nie kryjąc rozbawienia.

Tego było Mickeyowi za wiele. Zsunął się z niej, usiadł na łóżku i zaczął wciągać spodnie.

— Przestań! — powiedziała Warner. Nie przestawał się ubierać.

Warner usiadła na łóżku obok niego.

— Przestań, albo będę zmuszona cię aresztować i założyć ci kajdanki. W tym momencie jego członek ożył i zaczął domagać się swobody. Mickey spuścił spodnie.

Warner sięgnęła po kajdanki. Wrócili do przerwanej zajęcia.

Klub Polo Lounge był doskonałym miejscem do spotkań. O trzeciej po południu było tu w miarę pusto. Położenie dyskretne, a sala przyjemnie klimatyzowana.

Martin Z. Swanson i Mickey Stolli nie spotkali się nigdy wcześniej, choć słyszeli o sobie. Wymienili uścisk dłoni.

— Mogliśmy umówić się w moim hotelu — powiedział Martin.

— Albo w studiu — dodał Mickey.

— Tu jest lepiej — zgodzili się obaj.

Mickey Stolli czuł się jak ściągnięty z dziewczyny. Dosłownie. Martin zastanawiał się, kiedy będzie mógł zobaczyć Venus Marię.

— Pomówmy o biznesie — powiedział.

— O show biznesie — poprawił Mickey z tajemniczym uśmiechem.

— Od dzisiaj nie będziesz tu mieszkał — powiedziała Venus Maria tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Wynajęłam ci mieszkanie na Fountain Avenue. Jest tam basen, telewizor i służba domowa. Ładnie umeblowane. Będę płacić za nie przez pół roku, a potem musisz radzić sobie sam. Jestem pewna, że nie zginiesz.

Jej brat Emilio patrzył na nią. Mieli te same oczy, duże, ciemne, głębokie. I chyba tylko one świadczyły o ich podobieństwie.

— Dlaczego? — spytał urażony Emilio.

— Dlatego, że... potrzebuję spokoju.

— Przecież jesteśmy rodziną — powiedział Emilio, patrząc na nią z wyrzutem, jakby bardzo go zawiodła. Venus nie zamierzała jednak się poddać.

— Dlatego właśnie zamierzam płacić za twoje mieszkanie. Westchnienie — ciężkie i głębokie,

— No to sobie pójdę — powiedział niechętnie. Jakby miał jakiś wybór.

— Dobrze — powiedziała Venus Maria.

— Kiedy będę gotowy — dodał Emilio.

Przeginał pałę. Wkurzał ją. Ale ona także miała silny charakter i nie pozwalała mu na to.

— Idziesz dzisiaj. Masz godzinę na wyprowadzenie się stąd. W przeciwnym razie odwołuję moją propozycję i możesz spać pod mostem, jeśli o mnie chodzi.

— *Puttana!* — szepnął.

— Co? — Venus zmrużyła oczy,

— A dasz mi samochód?

Wolała nie zwracać uwagi na obrazę.

— Możesz wziąć półciężarówkę — powiedziała zmęczonym głosem. Znowu Emilio poczuł się dotknięty. Dlaczego ma jeździć denną, powolną półciężarówką, kiedy jego siostra wozi się limuzynami i porsche'ami? Nie tak być powinno, ale też, zdaje się, nie mogło być inaczej. Venus Maria mówiła poważnie. Odwrócił się i powłócząc nogami poszedł pakować rzeczy.

Venus Maria poczuła lekki dreszczyk zwycięstwa — drobnego, ale przyjemnego.

Wysłała pokojówkę po świeże kwiaty, a sama zamknęła się w garderobie wybierając idealny strój na spotkanie z Martinem.

Martin lubił ją w bieli, powiedział jej kiedyś. Ona wolała kolor czarny. Wydawał się jej bardziej wyrafinowany i lubieżny. W czerni czuła się bardziej seksowna. A może biel na wierzchu, a czerń pod spodem? A może nic pod spodem?

Martin nie był najlepszym kochankiem na świecie. Był wstydlivy, szybki, nie dbał o prawdziwą zmysłową rozkosz.

Venus Maria uczyła go. Powoli.

Bardzo, bardzo powoli...

Miała dwadzieścia pięć lat i dotychczas tylko czterech kochanków — Martin był tym czwartym. Dziennikarze nie posiadaliby się ze zdumienia, gdyby wiedzieli, że Venus Maria miała w życiu zaledwie czterech mężczyzn. Była w końcu symbolem kobiety wyzwolonej, wysoką kapłanką erotyzmu. We wszystkim, co robiła przed kamerą pulsowała czysta zmysłowość. Publicznie dotykała intymnych miejsc swego ciała. I nawet mimo złowieszczygo cienia AIDS powinna była doświadczyć więcej niż ledwie czterech mężczyzn.

Kochanek numer jeden: Manuel. Utajony demon. Czarne włosy, czarne oczy, ciemnooliwkowa skóra. Kutas, za którego można by umrzeć — i giętkie ciało tancerza.

Poznała go w tydzień po przyjeździe do Los Angeles, a on odebrał jej dziewictwo z siłą i namiętnością zapierającą dech w piersiach. Kochali się codziennie przez trzy miesiące, a potem rzucił ją dla jakiegoś kalifornijskiego podlotka.

Kiedy stała się sławna, Manuel próbował do niej wrócić. Nic z tego.

Kochanek numer dwa: Ryan. Wulkan zmysłów. Potargane blond włosy, oczy pokojowego pieska i opalona cera. Kutas, za którego można by umrzeć i najwspanialszy tyłek, jaki w życiu widziała. Towarzyszył jej w drodze do kariery, po czym zostawił ją, gdy zakochał się w brodatym menażerze grupy rockowej. Zostali przyjaciółmi.

Kochanek numer trzy: Innes. Utajony demon i wulkan zmysłów. Śmiertelna kombinacja.

Byli ze sobą przez ponad rok, aż jej kariera zaczęła zagrażać ich związkowi.

Manuel, Ryan i Innes mieli wszyscy po dwadzieścia kilka lat. Martin miał czterdzieści pięć. Mógłby być ich ojcem. Mógłby być jej ojcem.

Kochała go.

Nie wiedziała dlaczego.

Wybrała białą, dziewiczą sukienkę, pełną zakładek i koronek, uzupełniła ją ciasnym, krótkim, brokatowym żakietem, siedemnastoma srebrnymi bransoletkami, długimi kolczykami — nie od pary — i butami do jazdy na łyżwach. Następnie zadzwoniła do hotelu, zostawiając wiadomość dla Martina. Państwo Whacko będą w domu o szóstej.

Mickey wrócił do domu w radosnym nastroju. Trzynastoletnia Tabitha powitała go ze łzami w oczach. — Mamusia mówi, że nie mogą jechać do Las Vegas z Lulu i jej tatą. Dlaczego?

Tabitha miała proste brązowe włosy, rozwijającą się dopiero figurę i przeraźliwy aparat na zębach. Nie ulegało wątpliwości, że nie wyrosnie z niej seksbomba.

— Skoro mama tak mówi... — zaczął.

— Ale ja chcę, tatusiu! — płakała Tabitha. — Porozmawiaj z mamą. Tylko ty możesz ją przekonać. Jesteś taki mądry!

Co u licha, czyżby brała lekcje od Warner?

— Spróbuję — obiecał, nie okazując wiele entuzjazmu. Tabitha rzuciła mu się na szyję.

Jakby przeczuwając znowu w rodzinie, Abigaile pojawiła się właśnie w drzwiach.

— Widziałeś się dzisiaj z Martinem Swansonem? — spytała wyraźnie niezadowolona, ignorując córkę, która za plecami matki dawała niecierpliwe znaki Mickeyowi, żeby się za nią wstawił.

Czy już nic nie mogło pozostać tajemnicą? Poczta pantoflowa Beverly Hills działa z szybkością błyskawicy — chyba że to ta nowa dziewczyna (jak jej tam — Lucy? Luce? — jakieś takie strasznie głupie imię) ma za długi język. Olive była dość domyślna, żeby wiedzieć, że jeśli Mickey chce, aby jego żona o czymś wiedziała, sam jej o tym mówi.

— Kto ci to powiedział? — spytał, odruchowo przybierając obronną postawę.

— Tatusiu! — przypominała o sobie Tabitha.

— Czy to ważne kto? — atakowała Abigaile. — Ważne, że nie raczyłeś mi powiedzieć o tym, że spotykasz się z Martinem Swansonem. Mogłabym wydać dla nich przyjęcie.

Tak, jeszcze jedna intymna kolacyjka na pięćdziesiąt osób.

— Po co? Nawet ich nie znasz.

— Oczywiście, że znam — zaprzeczyła urażona Abigaile. — Wielokrotnie spotykałam Deenę Swanson.

— Deena tym razem nie przyjechała.

— Tatusiu, Las Vegas! — przerwała znów Tabitha, podskakując niecierpliwie w miejscu.

— A... dlaczego Tabitha nie może pojechać do Vegas?

Abigaile zmroziła go spojrzeniem. Bezbłędnie potrafiła pomiatać mężczyznami.

Unosząc brew powiedziała władcym tonem:

— Nie mówisz chyba poważnie.

— Jak najbardziej poważnie. Tabitha chce jechać do Las Vegas z Lulu i jej ojcem. Nie widzę w tym nic złego.

— Zdajesz sobie sprawę, kim jest ojciec Lulu?

— To... wokalista, prawda?

— W zespole rockowym! — Abigaile wypowiedziała to słowo, jakby chciała splunąć. — I nie takim znowu znanym, chyba że wśród anonimowych alkoholików i na odwyku. Moja córka nie będzie nigdzie jeździć z taką rodziną.

Moja córka. Dla Abigaile zawsze coś było moje. Czasem Mickeyowi zdawało się, że Abigaile stara się udowodnić wszem i wobec, że on w ogóle nie istnieje. Klótnia ta nie umniejszała jego radości, ale postanowił zachować jej powód dla siebie.

Do diabła z Abby. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, sama wkrótce zobaczy, na co go stać.

Rozdział trzydziesty

Olive Watson złamała nogę. Dla Lucky oznaczało to wyjątkowo pomyślny zbieg okoliczności. Czowała się niezręcznie z powodu zadowolenia na wieść o przykrym wypadku Olive, chociaż okazała jej dużo współczucia w rozmowie telefonicznej. Mickey nie był zachwycony. Wezwał Lucky do swego biura, wrzeszcząc na nią, jakby to była jej wina.

— Poradzimy sobie jakoś, panie Stolli — powiedziała spokojnie Lucky, idealna sekretarka.

— Ty sobie poradzisz — krzyczał. — Moje życie to i tak jedno wielkie szambo! „Absolutnie się zgadzam” — pomyślała Lucky.

Po chwili przyszedł na umówione spotkanie Eddie Kane. Mickey próbował odwołać je po raz kolejny, ale Lucky powiedziała mu, że nie była w stanie skontaktować się z panem Kane.

Na widok Eddiego Lucky pomyślała, że facet powinien się chociaż raz wyspać.

Eddie puścił do Lucky oko, szepnął jej: „Jesteś dobrą dziewczyną”; poklepał ją po tyłku i wszedł do jaskini Mickeya Stolliego.

Lucky usiadła przy swoim biurku i włączyła interkom, żeby słyszeć, o czym rozmawiają.

— O co chodzi, Eddie? Ostrzegałem cię, że ten biznes to twoja sprawa, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego — w głosie Mickeya słychać było zmęczenie.

— No tak — powiedział Eddie — ale nie przypuszczałem, że paru tych krzywonosych idiotów będzie chciało dostać więcej, niż im się należy.

— O czym ty mówisz?

— To proste. Bierzemy od nich pornusy, wyprowadzamy je z kraju razem z normalnymi produkcjami studia i dzielimy się zyskiem. Cała filozofia. Oni mają czyste pieniądze, a my robimy niezły interes bez wielkiego zachodu.

— A więc?

— Oni twierdzą, że podział nie jest uczciwy.

— A nie jest? — spytał złowieszczo Mickey.

W głosie Eddiego słychać było kłamstwo — czysto i wyraźnie.

— Mickey, czy ja próbowałbym orznąć tych chłopaków?

— Ty byś orznął nagą żebraczkę, gdybyś miał z czego.

Słyszac kroki, Lucky wyłączyła interkom i zabrała się do przeglądania sterty listów.

— Ciężko pracujesz, malutka?

Lubieżni kawalerowie! Gdyby stanowili duet wokalny, Eddie Kane mógłby z powodzeniem do nich dołączyć.

— Panie Lombardo, panie Blackwood — powiedziała uprzejmie Lucky, wczuwając się w rolę Olive. — W czym mogę panom służyć?

Arnie pochylił się nad biurkiem i zanim Lucky zorientowała się, co robi, zdjął jej z nosa grube okulary.

— Masz śliczne oczęta, kochanie. Spraw sobie szkła kontaktowe. Lucky usiłowała odebrać mu okulary. Machał jej nimi przed nosem, tak, że nie mogła ich dosięgnąć.

— Panie Blackwood, ja nic nie widzę — powiedziała surowo.

— I to mnie najbardziej podnieca! — zakpił Frankie.

— Tak, tym lepiej dla ciebie, że nie widzi twojego półcalowego siu-siaka! — powiedział Arnie.

Ta uwaga sprawiła, że obaj wybuchnęli śmiechem. Lucky skorzystała z okazji, żeby odzyskać okulary. Natychmiast założyła je z powrotem. Co za para prymitywnych idiotów!

— Co robi szef? — spytał Frankie, pokazując na drzwi Mickeya Stolliego.

— Pan Stolli rozmawia z panem Kane'em.

— No to ucieszy się z odsieczy — powiedział Arnie, nie przestając zanosić się od śmiechu.

— Nie można...

Zanim skończyła, obydwoj szli już do Mickeya. Lucky szybko zadzwoniła do niego.

— Panie Stolli. Bardzo przepraszam, ale nie chcieli mnie słuchać. Mówiłam, że...

— Ta, ta. Zamów dla nas kawę.

— I ciasto bananowe! — wrzasnął w tle Frankie. „Żebyś miał jeszcze grubszy tyłek

— pomyślała Lucky. Chłopcy przyszli na zebranie.

Niech sobie jedzą".

Słoneczne Acapulco potrafiło być nudne. Codziennie to samo — błękitne niebo, upał i pocztówkowy krajobraz.

Dwoje przyjaciół przyjechało w odwiedziny do Lenniego — Jess i Matt Traynor.

Jess była najstarszą przyjaciółką Lenniego. Znali się od dzieciństwa, gdy mieszkali w Las Vegas i chodzili do tej samej szkoły. Od tamtej pory pozostawali w bliskim kontakcie.

Jess miała niewiele ponad półtora metra wzrostu i była śliczną kobietą. Duże oczy, ognistorude włosy, piegi i rewelacyjne ciało.

Matt, jej drugi mąż (pierwszy był narkomanem i porzucił ją) był od niej o trzydzieści lat starszy i miał ponad sześćdziesiątkę. Nie wyglądał jednak na tyle, ze swą elegancką aparycją i siwymi włosami.

Lennie cieszył się z gości. Ile wieczorów można było spędzić w towarzystwie Joeya Firello? Jego nieustanny pościg za kobiecymi kształtami męczył już Lenniego.

Samotne wieczory były jeszcze mniej zabawne, a Lennie nie miał zamiaru zaprzyjaźniać się z Grudge'em, Marisą czy Nedom — komicznym triem, jak o nich mówił. Towarzystwo Jessy i Matta było radosną odmianą. Przybyli uzbrojeni w fotografie swych szesnastomiesięcznych bliźniaków — chłopca i dziewczynki.

— Twój chrześniacy — powiedziała z dumą Jess. — Kiedy wreszcie będziesz miał własne? No tak, po Jess należało się spodziewać czegoś podobnego. Tak jak Gino, nie grzeszyła subtelnnością. — Wtedy, kiedy Lucky znajdzie czas, żeby upchnąć mnie gdzieś między swoimi interesami — odparł sucho.

— Co przez to rozumiesz?

— Jest zajęta.

— Teraz wiesz, co znaczy małżeństwo z pracującą kobietą.

— Zdążyłem się przekonać.

Jess rzuciła pracę na kilka miesięcy przed urodzeniem dzieci. Była kiedyś osobistym menażerem Lenniego. To właśnie dzięki niej jego kariera ruszyła z miejsca. Lennie był jej dłużnikiem. Przeszli w życiu długą drogę razem.

— Brakuje mi ciebie, małpi ryjku — powiedział smutno.

— Nie nazywaj mnie tak! — krzyknęła na wspomnienie znienawidzonego przezwiska z czasów szkolnych.

— Dlaczego?

— Bo wiesz, że tego nie cierpię.

— Ale pasuje do ciebie.

— Pierdol się!

— Chciałbym.

— Bardzo śmieszne!

Lennie usiadł przed nią na fotelu i spojrzał jej prosto w oczy.

— No to co, wrócisz do pracy ze mną? Gdybyś była moim menażerem, nie siedziałbym teraz po uszy w takim gównianym filmie jak ten.

— Wróć. Po rozwodzie z Mattem. — To znaczy kiedy?

— Nigdy! — roześmiała się. — Jestem bardzo szczęśliwa!

— To dobrze, że chociaż ty jesteś — zauważył smętnie. Jess usiadła na oparciu jego fotela i powiedziała:

— Być może jestem mało rozgarnięta, ale czy nie wyczuwam w twoim głosie niezadowolenia?

— Żartujesz? Dlaczego miałbym być niezadowolony? Gram w filmie, którego nienawidzę. Siedzę w tym Meksyku jak w więzieniu. Moja żona prawdopodobnie oddaje się jakiemuś żółtkowi, żeby mogła umieścić kolejny milion czy cztery na swoim koncie. Lepiej już nie może być, Jess. Opowiedz mi raczej o swoim życiu. Jess gładziła jego włosy.

— Och, mój Lennie. Chcesz, żebym porozmawiała z Lucky?

— Jeśli potrafisz ją znaleźć.

— Daj mi numer telefonu.

— Dałbym ci, gdybym go miał - w głosie Lenniego brzmiało zniechęcenie.

— Gdzie ona jest?

— A kto to może do cholery wiedzieć?

Jess nie zadawała więcej pytań. Z Lenniem nic należało przeciągać struny. Jakiś czas potem powiedziała do męża:

— Nie pracowałam nigdy w poradni małżeńskiej, ale tym razem muszę chyba coś zrobić. Lennie jest na krawędzi załamania nerwowego.

— Nie wtrącaj się — - ostrzegął Matt, ale co on mógł o tym wiedzieć?

Mickey spędzał tydzień w biegu, wymagając od Lucky, by dotrzymywała mu kroku. Nieustannie chodził na zebrania i na projekcje filmów, a w przerwach zatrzymywał się w biurze na prysznic, szklankę świeżego soku, albo po prostu żeby ulżyć sobie krzykiem i wyładować wściekłość.

Czasami Lucky towarzyszyła mu na projekcjach filmów, które były jego „chlebem i wodą”, jak mówił. Mickey kazał jej wtedy zapisywać wszystko, co mówi, oglądając film. Jego komentarze były najczęściej w stylu: „Nieźle cycki”, „Ta ma za tłustą dupę”, „Za stara na takie rzeczy”, albo „Dajcie zbliżenie jej twarzy, kiedy on ją zarzyna”.

Bardzo rzadko miał coś do powiedzenia o mężczyznach na ekranie, którym jakoś zawsze udało się pozostać w kompletnym stroju, mimo krwi i seksu, w których się nurzali.

Lucky odkryła różnicę między tak zwaną „twardą” a „miękką”, delikatniejszą odmianą hollywoodzkiej pornografii. W tej pierwszej mężczyźni także się rozbierali. W drugiej — o ile chodziło o kobiety — wszystko było dozwolone.

Aktorki bez przerwy zrzucały z siebie ubranie, symulowały orgazm, albo miały podrzynane gardła. Dobra filmowa robota — i na dodatek zdrowa porcja gwałtu.

W sumie było to raczej żalodne i Lucky nie miała zamiaru pozwolić na kontynuację tego stylu, kiedy przejmie studio. Trzy tanie filmidła, które właśnie były w produkcji, stanowiły dzieło panów Blackwooda i Lombardo. „To by się zgadzało”

— pomyślała Lucky.

Przeoglądając książki finansowe, do których miała teraz w biurze Mickeya Stolliego swobodny dostęp, zauważyła, że te najtańsze filmy przynosiły studiu największe zyski. Z reguły za granicą — gdzie święciły triumfy popularności,

zarówno w kinach, jak i na wideo i w telewizji kablowej. Tanie filmy trzymały studio na powierzchni. Drogie filmy z wielkimi gwiazdami także zarabiały na siebie — ale nie zawsze.

Każdy głupi rozumie, że przemysł filmowy to ruletka. Czasem się wygra, czasem straci wszystko. Trzymając się tych tanich produkcji, Mickey zwiększał szansę wygranej.

Lucky stwierdziła, że leży przed nią kolejne wyzwanie: jak robić filmy bez poniżania kobiet. No cóż... Może dla odmiany zacząć poniżać mężczyzn? Nie taki zły pomysł.

Wracała do domu wyczerpana. Boogie czekał już na nią z mocnym drinkiem. Lucky zamawiała pizzę albo coś z chińskiej kuchni, robiła parę notatek z kolejnego dnia i natychmiast zasypiała.

Dwa razy dzwoniła do Lenniego, który przyjmował ją coraz chłodniej. W końcu poinformował ją zdenerwowanym głosem, że nie życzy sobie jej telefonu, dopóki nie powie mu, gdzie dokładnie jest.

Doskonale. Skoro sam tego chciał. Kiedy dowie się prawdy, będzie mu bardzo przykro.

Sposobem Grudge'a Freeporta na zrobienie komuś przyjemności było przestać pierdzić w towarzystwie. Poza tym drobnym ustępstwem na rzecz ludzkiej godności, nadal robił swoje.

Lennie wytrzymał jeszcze tydzień. Jess i Matt uspokajali go, jak tylko mogli. Ale kiedy wyjechali, Lennie wybuchł.

— Wiesz, co ci powiem, Grudge? Jesteś zawszonym, tępym, pijanym chamem — a ja się stąd wynoszę — krzyknął kiedyś po tym, jak Grudge schrzanił kolejną scenę. Grudge przyjął to jak stary wyga.

— Odpieprz się — powiedział z dumą. — Wy, aktorzy, nie powinniście się byli ruszać od cycka mamusi. Lennie nie zastanawiał się nad konsekwencjami.

Spakował rzeczy i wrócił pierwszym samolotem do Los Angeles, spędził dwa dni w domu w Malibu, po czym poleciał do Nowego Jorku. Nie pojawił się jednak w mieszkaniu, które wynajmował razem z Lucky. Znikł. Lucky wiedziała o tym, ponieważ Mickey Stolli wściekał się codziennie szukając go.

— Wycisnę ostatni grosz z tego skurwysyna. Ostatni! Nie ujdzie mu to na sucho. Mam całą ekipę i aktorów, którzy siedzą na tyłku w Acapulco i trzepią kapucyna. To dużo kosztuje, a ten pierdolnięty skurwiel mi za to zapłaci. Rany boskie, jak on mi zapłaci!

Lucky otrzymała niewdzięczne zadanie odnalezienia Lenniego Goldeny.

Wyćwiczyła nowe brzmienie głosu i posłusznie zadzwoniła do jego agenta i menażera. Dowiedziała się od sekretarek, że nikt nie ma pojęcia, gdzie go szukać.

— A jego żona? — wrzeszczał Mickey. — Przecież ma jakąś bogatą babę z ojcem gangsterem!

A więc do tego już doszło. Bogata baba z ojcem gangsterem. Nie: Lucky Santangelo, profesjonalistka w interesach. Nie: Lucky Santangelo, żona i matka. „Jakaś bogata baba z ojcem gangsterem”.

— Nie wiem, panie Stolli — powiedziała, starając się zachować spokój.

— To znajdź ją i powiedz, że podamy go do sądu.

Nieco później, tego samego dnia, Lucky miała przyjemność poinformować Mickeya, że owszem, znalazła żonę Lenniego Goldenego.

— No i? — spytał.

— Nie mogę tego powtórzyć panie Stolli.

— Co powiedziała?

— No więc... że...

— No gadaj, na rany boskie!

— Kazała panu powtórzyć, że jest pan żalonym kretyńcem z jajami z włóczki i bez serca.

Mickey wpadł w szal.

— Co za bzdury wygadujesz?!

— Przepraszam, panie Stolli. Mickey złożył solenne przyrzeczenie.

— Tak długo, jak ja tu zostanę — powiedział — Lennie Golden nie dostanie pracy w tym cholernym studiu.

— 1 bardzo dobrze — zgodziła się ze współczuciem Lucky.

Tej nocy Boogie zainstalował skomplikowany system podsłuchowy w biurze Mickeya Stolliego. Lucky chciała wiedzieć dokładnie, co się u niego dzieje.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Venus Maria miała twarde uda dzięki codziennym ćwiczeniom na maszynie treningowej. Jej brzuch był płaski i jędrny, a ramiona lekko umięśnione, odkąd regularnie ćwiczyła z ciężarkami. Ponadto każdego dnia uprawiała jogging i przepływała pięćdziesiąt razy basen. Traktowała swoje ciało jak doskonale nastrojony instrument, nigdy nie lekceważąc codziennej gimnastyki.

Martin Swanson uwielbiał każdy lśniący cal jej ciała. Kochając się z nią miał wrażenie, że seks nie może być już lepszy — a jednak był, za każdym razem, kiedy szedł z nią do łóżka.

Venus Maria nauczyła się wiele od Manuela, Ryana i Innes. Zawsze starała się wiedzieć, co ich najbardziej podniecało. Ryan lubił wspólne prysznice. Manuel, żeby nacierała mu jądra pewnym kosztownym, aromatycznym olejkiem. Innes uwielbiał być przywiązywany do łóżka delikatnymi jedwab-

nymi szalami. Sztuczka polegała na tym, mówił jej, żeby ich nigdy nie zerwać. Venus Maria szybko zrozumiała, co miał na myśli. Rozkoszna udręka znoszenia jedwabnych więzów była niesamowicie podniecającą torturą. Zachowała to doświadczenie dla Martina, czekając na właściwy moment.

Wieczorem, na dzień przed jego powrotem do Nowego Jorku, Venus Maria zabrała go na wycieczkę do nieba i z powrotem. Najpierw posilali się suszi i szampanem. Później figlowali razem w wannie pod otwartym niebem, ze spektakularnym widokiem na całe Hollywood. W końcu zaprowadziła go do sypialni, zerwała okrywający jego biodra ręcznik i kazała mu położyć się nago na jej łożu z baldachimem, podczas gdy ona przywiązała go najcieńszymi szalami z jedwabiu. Owinęła je delikatnie wokół jego nadgarstków i kostek, przywiązując końce do nóg łóżka. — Co ty robisz? — spytał, próbując protestować.

— Spokojnie — uśmiechnęła się. — Połóż się i przypomnij sobie swoją najbardziej podniecającą fantazję. — Ja nie miewam fantazji.

— Szkoda.

Usiadła na chwilę i podziwiała swoją robotę. Martin był całkowicie bezbronny, o ile nie będzie próbował zerwać jedwabiu. Już teraz zdradzał oznaki podniecenia.

Venus Maria uśmiechnęła się. To było niezwykle! Martin Swanson, wcielenie nowojorskiego bogactwa, sukcesu i władzy — zdany na jej łaskę.

— To taka gra — oświadczyła. — Wyzwanie dla ciebie. Jeśli zerwiesz więzy, przegrywasz. A jeśli będziesz grzeczny, pobawimy się całą noc.

Zrozumiał, o co jej chodzi.

— Jaka jest kara?

— Dziesięć tysięcy za jeden zerwany szal.

— Wysoka stawka.

— Nie stać cię? Zaśmiał się.

— A ciebie?

— Ja tylko prowadzę tę grę. Nie muszę się zakładać.

— Wręcz przeciwnie. Daj mi jakiś określony czas. Jeśli, powiedzmy przez godzinę, będę leżał spokojnie, wygrywam i ty płacisz.

— Dwie godziny i zgoda.

— Półtorej.

— Nie negocjujemy ceny domu, Martin.

Jego podniecenie rosło. Targowanie się było najwidoczniej następnym z jego ulubionych sportów.

— Godzina i trzy kwadransy — powiedział.

— Zgoda — odparła. No to do widzenia.

— Do widzenia komu?

— Tobie. Wrócę, jak będę miała ochotę.

— Żartujesz sobie?

— Ani trochę.

— Daj spokój, Venus. Co to za gra?

— To zakład, powiedziałam ci. Zobaczymy, jak długo wytrzymasz, Martin — powiedziała i wyszła z sypialni.

I mów tu o władzy kobiet! Mała Virginia Venus Maria Sierra z Brooklynu i Martin Swanson, chodzący Nowy Jork — związany i zdany na jej łaskę.

Z tajemniczym uśmiechem Venus Maria przypomniała sobie dzień, w którym zobaczyła go pierwszy raz. Dziesięć lat temu. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Miała wtedy piętnaście lat.

Czasami Virginia Venus Maria Sierra miała okazję wymknąć się z domu. Nie zdarzało się to często, bo przy czterech braciach i wymagającym ojcu zawsze miała mnóstwo pracy. Oczywiście, chodziła codziennie do szkoły, ale tego nie można było nazwać rozrywką. Ron, jej sąsiad i powiernik, zawsze namawiał ją, by towarzyszyła mu w jego wypadach na Broadway i Times Square.

Ron był o kilka lat starszy. Uważała, że jest fascynujący i niesłychanie odważny. Był wysoki, chudy i dowcipny, zupełnie inny niż jej tędzy bracia, odgrywający silnych mężczyzn i zajęci wyłącznie łajdaczeniem się z dziewczynami z sąsiedztwa. Venus podejrzewała zawsze, że i na nią mieliby ochotę, gdyby tylko pojawił się chociaż cień okazji. Nie dała im go.

Kiedy tylko mogła, wybierała się z Ronem na spacer po Nowym Jorku. Czasem czatowali przy tylnych drzwiach teatrów na Broadwayu, czekając, aż zaczną wychodzić gwiazdy. Ron nosił przy sobie książeczkę na autografy i ją także namówił, żeby miała swoją. Ciekawie było przekonać się, które z gwiazd zatrzymają się, żeby dać im swój podpis, a które przemkną obok, nie zwracając uwagi, wsiaią do lśniących limuzyn i znikną w ciemnościach nocy.

— Cudownie tu, prawda? — mówił uśmiechając się Ron. A Virginia Venus Maria kiwała tylko potakująco głową.

— Zostanę kiedyś tancerzem — zwierzył jej się Ron.

— Jak się tego nauczysz? — spytała. — Kto za ciebie zapłaci? Ron stwierdził, że pójdzie na egzamin do szkoły aktorskiej.

— Jak ty to wszystko robisz? — spytała ciekawie.

— Talent — odparł.

Pewnego sobotniego popołudnia przechadzając się Park Avenue, zauważyli tłum ludzi zebrany pod kościołem.

— Ślub! — krzyknął podekscytowany Ron. — Uwielbiam ceremonie ślubne, a ty? Virginia Venus Maria kiwnęła radośnie głową.

— Panny młode są zawsze takie śliczne! — entuzjasmował się Ron. Virginia Venus Maria znów kiwnęła tylko głową myśląc, że ona nigdy nie wygląda ślicznie. Miała proste, brązowe włosy i ładną buzię, ale nie było w niej nic specjalnego, co ją zasmucało.

Przyłączyli się do tłumu gości pod kościołem, patrzyli i czekali. A kiedy państwo młodzi wyszli na zewnątrz, Virginia Venus Maria ujrzała pierwszy raz w życiu Martina Z. Swansona.

Stała nieruchomo i przyglądała mu się z niemym podziwem. Był niewiarygodnie przystojny, rodem z kolorowych zdjęć w magazynach mody. Miał blond włosy koloru piasku, pełne wargi i uśmiechał się do obiektywów dziennikarzy. Miał jasny garnitur z czerwonym goździkiem w klapie.

Virginia Venus Maria zerknęła na pannę młodą, bladą i szczupłą, rudowłosą panią w kosztownej, koronkowej sukni ślubnej. Razem wyglądali jak królewicz i królowna z bajki, jakby pochodzili nie z tego świata.

— Kim oni są? — spytała Rona.

— To bogaci ludzie — odpowiedział. — Pewnego dnia my też tacy będziemy.

Następnego dnia znalazła w porannej gazecie zdjęcie nowożeńców. Pan młody nazywał się Martin Swanson. Potentat. Miliarder. Ożeniony z Deeną Akveld, Holenderką, panną z dobrego towarzystwa.

Z niewiadomego dla samej siebie powodu Virginia Venus Maria wycięła to zdjęcie i schowała je w szafce z bielizną. Fotografia ta uosabiała dla niej świat fantazji — a jednocześnie świat, do którego pragnęła kiedyś należeć. Bo dlaczego nie? Virginia Venus Maria była ambitną dziewczyną.

Obraz Martina Swansona towarzyszył jej przez lata. Czytała o nim, interesowała się jego działalnością, oglądała go w telewizji i czytała wszelkie plotki na jego temat. Aż w końcu pewnego dnia poznała go osobiście.

Oczywiście wtedy była już Venus Marią — TĄ Venus Marią, znaną całemu światu — i udawała, że nie ma pojęcia, kim jest Martin Swanson. Przedstawił go jej Cooper Turner. Sam Cooper Turner.

Martin posłał jej ten fałszywie uprzejmy uśmiešek i wdał się w obrzydliwy flirt. Rozglądała się, czy nie ma w pobliżu jego żony, ale wyglądało na to, że chłodna i piękna Deena wzięła tego dnia wolny wieczór.

Kiedy następnego dnia Martin przesłał jej bukiet kwiatów, Venus Maria była w siódmym niebie — a tym bardziej, gdy za kilka tygodni pojawił się w Los Angeles. Przez ten czas dowiedziała się o nim jeszcze więcej, zasypując Coopera Turnera pytaniami.

Coopera to bawiło.

— Podkochujesz się w nim, czy co? — spytał, unosząc podejrzliwie brew.

— Dlaczego? Miałbyś coś przeciwko temu?

— Nie wiem — odparł. — Miałem nadzieję, że to ja będę panem twego serca.

Roześmiała się.

Cooper, ty jesteś panem każdego serca!

A ty myślisz, że Martin jest dziewczicą?

Po prostu myślę, że jest... fascynujący. Cooper przyjrzał się jej uważnie.

— Właściwie mogę ci przecież powiedzieć. Martin ma mnóstwo przyjaciółek. Mnóstwo utalentowanych i pięknych przyjaciółek. Ale zawsze wraca do Deeny. To absolutnie pewne. Deena nie zniknie z jego życia.

— Tylko tak długo, jak on tego nie zechce — zauważyła Venus Maria.

— Jesteś widzę bardzo uparta, co?

— Nikt nigdy nie powiedział, że jestem nieśmiała.

Telefon od Martina nie zaskoczył jej. Zaprosiła go do siebie do domu. Przyjechał w ciągu godziny.

— Nie pójdę z tobą do łóżka, dopóki cię nie poznam — ostrzegła go. — A to może potrwać parę lat. Zgoda?

— A mnie się wydaje, że znam cię już teraz — powiedział. — Przeczytałem wszystkie notatki w prasie, jakie udało mi się znaleźć. Dlaczego nie przeczytasz wycinków na mój temat? W ten sposób oszczędzilibyśmy sporo czaru.

— Zależy ci na oszczędzaniu czasu?

— Zależy mi na tym, żeby być z kobietą taką jak ty.

Pięć tygodni później skonsumowali związek. W tym czasie Martin przyjeżdżał na wybrzeże trzy razy, a ona dwukrotnie była w Nowym Jorku.

Ich flirt był szalenie podniecający, oczekiwanie nieomal rozkoszniejsze niż spełnienie. Ale i ono nie było złe. Venus Maria zaaranżowała długi weekend w domu przyjaciół w Big Sur. Postarała się, żeby to był pamiętny weekend.

Aromatyczne świece, najlepszy szampan, łożo z baldachimem i wyuzdany, pozbawiony zahamowań seks.

Ich romans trwał już kilka miesięcy i Venus Maria pragnęła teraz czegoś więcej. Musiała tylko czekać, aż Martin opuści żonę, weźmie rozwód i będzie gotów, aby się z nią ożenić.

Venus Maria posiadała tajemniczy dar wczuwania się w fantazje innych ludzi — stąd ogromny sukces jej filmów wideo. To, co zakazane, ubierała w kostium rozrywki. Potrafiła zagrać każdą rolę — od małej, zagubionej dziewczynki, do zachłannej, zmysłowej superkobiety. Jej siła była równie przekonująca co jej delikatność. Mogła pomiatać mężczyznami i tulić ich z równą pewnością siebie. Mogła — jeśli chciała — dopasować swoją grę do fantazji każdego mężczyzny. Ale Martin Swanson powiedział, że nie ma fantazji. Gównno... prawda.

Martin Swanson był mężczyzną i musiał mieć swoje fantazje. A Venus Maria domyśliła się, co może go najbardziej podniecić. Dwie dziewczyny razem.

Ale Venus Maria nie miała zamiaru być żadną z nich. Nie interesował jej seks grupowy. Lubiła, żeby jej doświadczenia erotyczne pozostawały w intymnym świecie wrażeń między dwiema osobami prywatne, osobiste, i niesamowicie zmysłowe.

Martin potrzebował, żeby nim dobrze potrząsnąć. Był zbyt nienaturalny, zawsze bardziej zajęty następnym interesem do zrobienia niż własną przyjemnością — chociaż Venus Maria musiała przyznać, że w pewnym stopniu udało się jej go wyluzować.

Późno w nocy, leżąc sama w łóżku, zastanawiała się, czy Deena Swanson odnosi korzyści z nowych doświadczeń męża. Martin przysięgał, że nie sypia ze swoją żoną, ale był mężczyzną, a wszyscy mężczyźni kłamią, gdy w grę wchodzi seks. Szczególnie żonaci.

Venus Maria kochała Martina. Nie wiedziała, dlaczego. Ale wiedziała, że musi go mieć. Nie chodziło o jego pieniądze, bo miała dość własnych. Nie o to, że był przystojny — bo choć atrakcyjny, nie był najbardziej szalowym z mężczyzn. Nie chodziło też o jego charakter, bo nawet gdy starał się być czarujący, wielu potrafiło być miłszymi od niego.

„Miłość to bzdura” — pomyślała gorzko Venus Maria, i pospieszyła spotkać Rona, który przyprowadził do jej domu dwie ekskluzywne prostytutki dostarczone przez zaprzyjaźnioną z nim Madame Lorette. (Ron miał wielu dziwacznych przyjaciół — a tym razem jedna z nich na coś się przydała.)

Dziewczęta nie wyglądały na dziwki. Jedna z nich przypominała raczej tancerkę — bo tak właśnie była i charakteryzowana. Druga była niską dziewczyną o orientalnej urodzie z włosami sięgającymi niżej pupy. Ron uśmiechnął się — uwielbiał intrygi. — Poznaj Tai i Cytrynkę.

— Cytrynkę? — Venus Maria uniosła brew.

— To ja! — pisnęła tancerka. — Naprawdę tak mam na imię. Kocham twoje płyty! To właśnie kłopot ludzi sławnych. Wszyscy wiedzą, czym się zajmujesz.

Starając się zachować chłodną obojętność, Venus Maria powiedziała dziewczętom, co mają robić i dodała, jakby się tłumacząc — przyjaciel ma dzisiaj urodziny.

Rozumiecie, taki specjalny prezent.

— Specjalny jak cholera! — wtrącił Ron z ironicznym uśmiechem.

— Zamknij się! — syknęła Venus Maria.

Dziewczyny były profesjonalistkami. Wiedziały dokładnie, czego się od nich oczekuje. Rozebrawszy się do jedwabnej bielizny, wyciągnęły z torby ogromnej wielkości wibrator i flakon z aromatycznym olejkiem i weszły do sypialni, w której na łóżku leżał Martin Swanson. Venus Maria obliczyła, że jest sam od około dwudziestu minut. Dość, żeby zaczęło mu się robić gorąco. Podbiegła do specjalnie zainstalowanego lustra, przez które mogła obserwować, co dzieje się w sypialni.

— Mogę popatrzeć? — zapytał Ron, idąc za nią.

— Nie, nie możesz — odparła stanowczo. — Czekaj tam i zabierz dziewczyny, kiedy będę gotowa.

— Niedobra!

— Od kiedy to lubisz podglądać dziewczyny?

— Ależ one mnie nie obchodzą. Ale na niego chętnie bym popatrzył!

— Ron! Zachowuj się!

Martin wciąż leżał związany, gdy dziewczyny weszły do sypialni. Zdecydowany nie przegrać zakładu, leżał bez ruchu.

Tai i Cytrynka nie zwracając na niego uwagi zajęły się sobą. Najpierw wymieniły pocałunek, a potem zetknęły się piersiami, delikatnie ocierając jedwab o jedwab. Z zapartym tchem Venus Maria patrzyła, jak na ten widok Martinowi twardnieje członek.

Tai rozpięła biustonosz Cytrynki i obnażyła duże, jędrne piersi blondwłosej piękności. Martin jęknął. Tai przytknęła usta do ciemnej sutki. Martin jęknął głośniej. Cytrynka zsunęła majteczki. Skóra na jej ogolonym wzgórku łonowym była niezwykle biała. Długie włosy Tai zamiatały podłogę, gdy przyklękała, żeby pocałować ją między udami. Cytrynka posłusznie rozchyliła nogi.

— O, Boże, Venus! — wykrztusił Martin, rozpaczliwie starając się leżeć bez ruchu.

Tai odsunęła się od Cytrynki i rozpięła biustonosz, po czym zdjęła majteczki. Jej czarne futerko było gęste i lśniące — tym lepszy był efekt, gdy spletały się z nim blond włosy Cytrynki.

Venus Maria widziała, że Martin nie wytrzyma tego dłużej. Jego członek sterczał wyprostowany i twardy, a jednak nie zerwał więzów.

Tai wzięła flakonik z olejkiem i nasmarowała nim piersi swoje i Cytrynki. Z kolei Cytrynka sięgnęła po vibrator, uruchomiła go i wsunęła między uda Tai.

Martin osiągnął orgazm i oblał się własnym nasieniem.

— Cholera! — mamrotał. — Jasna cholera!

Czas kończyć zabawę. Venus Maria weszła do sypialni i wygoniła dziewczęta.

Zabrały rekwizyty i znikły.

— Hmm... — Venus Maria wpatrywała się hipnotycznym wzrokiem w swego więźnia. — Niegrzeczny z ciebie chłopiec. Popatrz, jak się pobrudziłeś.

— Chodź do mnie! — poprosił błagalnym tonem.

— Poczekaj — rozkazała.

— Chodź tu! - nalegał.

Powoli, Venus Maria weszła do łazienki i wróciła z puszystym białym ręcznikiem, którym wytarła Martina.

— Podobało ci się?

— Jesteś niewiarygodna!

— Staram się sprawić ci przyjemność.

— Chcę się z tobą kochać.

— Nic nowego.

— Chcę...

— Co?

— Spędzać z tobą więcej czasu.

— To miłe. A twoja żona?

— Jest w Nowym Jorku.

— Wiem.

— Chodź tu, Venus. Odwiąż mnie. Koniec zakładu.

Spojrzała na zegarek Cartiera, który Martin dał jej ostatnim razem w prezencie.

— Masz jeszcze trzydzieści pięć minut.

— Poddaję się.

— To zapłać.

— Nie ma mowy.

— W takim razie... Leż spokojnie i bądź cicho. Zakład to zakład i...

— Wiem, co to jest zakład.

Miała na sobie dzinsy i biały podkoszulek. Stała w nogach łóżka i rozebrała się powoli. Pod spodem nosiła koronkowe, rozcięte w kroku majteczki i skąpy skórzany biustonosz. Bielizna stworzona, by podniecać.

Przeciągając się leniwie, posłała mu prowokujący uśmiech.

— Pójdę chyba zobaczyć się z Cooperem — powiedziała.

W jednej chwili Martin zerwał jedwabne szale i rzucił się na nią, lubieżnie i gwałtownie, jak przystało na nowojorskiego magnata.

— Zmieniłaś się — powiedział.

— Ty też — szepnęła. — Ty też.

Rozdział trzydziesty drugi

Harry Browning zastanawiał się dłuższy czas, co powinien zrobić w sprawie Luce. Przez parę tygodni nie dawało mu to spokoju, aż w końcu postanowił ponownie wejść z nią w kontakt. Nie mógł nie zauważyć jej awansu. Nagle, ta dziwna kobieta, która wkroczyła do studia jako siostrzenica Sheili Harvey, otrzymała posadę osobistej sekretarki Mickey a Stoliego. Gdzie się podziewała Olive? Powtarzano plotki, że złamała nogę i że przez pewien czas nie może wrócić do pracy.

Zadziwiający zbieg okoliczności.

Począł, aż pewnego razu Luce siedziała sama w stołówce podczas lunchu. Wtedy zdecydował się do niej podejść.

Spojrzała na niego.

— Cześć, Harry.

Bez zaproszenia usiadł przy jej stoliku.

— Co pani wyprawia? — wypalił z groźną miną.

Spojrzała mu prosto w oczy. Jeszcze dwa tygodnie i cała ta zabawa się skończy.

— Słucham? — spytała spokojnie.

Zdjął okulary, wyczyścił je serwetką i założył z powrotem.

— Co pani tu właściwie robi? — powtórzył podniecony. — Wiem, że coś się tu dzieje.

Lucky nie traciła zimnej krwi.

— Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

— Ja nie jestem taki głupi — mówił teraz szybko. — Zwabiła mnie pani do swojego mieszkania, upiła mnie i próbowała wyciągnąć ze mnie różne informacje.

Tego Lucky się nie spodziewała. Nie wiedziała, jak ma się zachować.

— Naprawdę pana nie rozumiem — powiedziała w końcu. — Nigdzie pana nie zwabiłam. Chciał pan się ze mną umówić, więc zaprosiłam pana na kolację. Nie moja wina, że za dużo pan wypił.

Harry zmrużył oczy pod drucianymi okularami. Nie był zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Oczekiwał, że Luce będzie zdenerwowana, a tymczasem ona nie traciła spokoju. Zdecydowany przejść do sedna sprawy, naciskał na nią dalej:

— Ja wiem, do czego pani zmierza.

— Skoro pan wie — odparła chłodno — to w jakim celu pan pyta? To ostudziło na moment jego zapał. Nie podobała mu się jej reakcja. Nie lubił jej. A tym bardziej miał jej za złe, że przez nią znów sięgnął do butelki.

— Czy Mickey Stolli wie, kim pani jest? — zapytał nerwowo.

— Kim ja jestem? — powtórzyła za nim, patrząc mu w twarz.

— Kim pani jest — nalegał. — Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć? Czy mam osobiście spytać pana Stolliego?

— O co konkretnie chciałby pan go spytać?

— Czy orientuje się, kto pani za jedna. Wiem, że pani nosi perukę. I że nie potrzebuje pani okularów. Wiem także, że poprzedniego wieczoru była pani u Abe'a Panthera.

— W takim razie może niech pan spyta pana Panthera, w czym rzecz. Harry zamilkł. Zauważywszy plamkę na białym obrusie, zaczął pocierać ją energicznie serwetką.

Lucky wzięła głęboki oddech.

— Po czyjej stronie jesteś, Harry? — spytała spokojnym głosem.

— Nie rozumiem? — odparł podejrzliwie.

— Wiesz doskonale, jakiego rodzaju filmy wypuszcza to studio. Wiesz także, jak było kiedyś.

— Było wspaniale — powiedział z wahaniem. Lucky przyznała mu rację.

— Znów może tak być, Harry. Musisz mi tylko zaufać. Harry oburzył się na te słowa.

— Jak mogę ufać komuś, kto upił mnie do nieprzytomności?

— Nie wiedziałam, że masz ten... problem. Harry aż podskoczył z wrażenia.

— Pan Panther ci powiedział?!

Nigdy nie wymienił cię z nazwiska. Nie była pewna, czy Harry jej wierzy, ale nie miała ochoty siedzieć z nim dłużej, żeby się o tym przekonać. Wstała od stolika.

— Harry — powiedziała — zrobisz mi wielką przysługę, jeżeli nikomu nie będziesz o tym mówił.

— Zrobię, jak będę chciał.

— Za dwa tygodnie — powiedziała wolno, z naciskiem — wszystko się wyjaśni.

— Zrobię, jak będę chciał — powtórzył. A pani niech lepiej uważa. Obserwuję panią.

Wracając w pośpiechu do biura myślała o swoim zadaniu. Kolejny tydzień, coraz bliżej do końca przebieranki. I czego się właściwie dowiedziała? Ze prawie wszyscy kradną. Natknęła się na mnóstwo drobnych i większych afer. I że mężczyźni w przemyśle filmowym używali kobiet jak martwych przedmiotów do zabawy.

Kiedy przejmie studio, Mickey Stolli wylatuje jako pierwszy, a z nim cała reszta jego wesołych koleżków. Jej prawnik, Morton Sharkey, przygotowywał już listę odpowiednich kandydatów na ich miejsca.

— Przyjmijmy kilka kobiet na stanowiska dyrektorów — zaproponowała. Morton zgodził się. Miał już pewne propozycje, choć wśród kobiet nie było wielkiego wyboru.

Tymczasem Lennie wciąż figurował na liście zaginionych. Nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd mógł się udać. Lucky wiedziała, dlaczego to robi. Lennie miał dziecinny zwyczaj odpłacania pięknym za nadobne. Ponieważ ona zrobiła to jemu, on postanowił zemścić się w ten sam sposób.

Nie mogła go nawet winić, bo w odwrotnej sytuacji ona zachowałaby się pewnie tak samo.

Rozmowa z Harrym Browningiem była niepokojąca. Co właściwie mógł wiedzieć? Może powinna była zostać i dłużej z nim porozmawiać. Ale ucieczka wydała się wtedy najszybszym sposobem uwolnienia się od tego problemu.

Wróciła do biura pięć minut przed Mickeyem. Stolli wcześniej niż zwykle skończył lunch i zamknął się w swojej norze uprzedzając, że jeśli przyjdzie Leslie Kane, będzie musiała poczekać.

— A gdyby dzwonił Eddie — dodał — nie mów mu, że jego żona tu jest. Z podsłuchanej rozmowy Mickeya z Eddiem Lucky domyślała się, że zamieszani byli w jakieś nieczyste interesy z mafią. Poleciała Boogiemu dowiedzieć się szczegółów, i wkrótce okazało się, że Eddie Kane ma układy z Carlosem Bonnattim.

Dziwny i jakże nieprzyjemny zbieg okoliczności. Carlos, wredny brat Santina i syn Enzia. Bonnatti i Santangelo byli odwiecznymi wrogami — jeszcze od czasów Las Vegas. Teraz, po śmierci Santina i Enzia, to Carlos kontrolował rodzinne imperium handlu narkotykami i pornografią.

Jakie to niesamowite, myślała Lucky, że rodzina Bonnattich pozostała związana z jej życiem. Niezmiernie by jej ulżyło, gdyby nie musiała nigdy więcej w życiu słyszeć jego nazwiska.

Z wiadomości, które zdobył Boogie, wynikało, że Eddie Kane zgodził się rozprowadzać dostarczane przez Bonnattiego filmy w Europie, ukryte wśród zwykłych, legalnych produktów studia. Jeśli Lucky dobrze rozumiała Mickeya, chciał jak najszybciej wykręcić się z tej umowy — i słusznie, bo Lucky wiedziała dobrze, że kombinować z Bonnattimi to poważny błąd.

Leslie Kane zjawiała się punktualnie o trzeciej. Powitała Lucky przyjaznym uśmiechem i powiedziała:

— Przyszłam zobaczyć się z panem Stollim. Nazywam się Kane. Jestem umówiona. Lucky była zaskoczona. Nie przypuszczała, że żona Eddiego jest taka młoda i piękna.

— Pan Stolli czeka na panią powiedziała. — Proszę usiąść, powiem mu, że pani przyszła.

Leslie usiadła, wzięła do ręki egzemplarz magazynu „People” i zaczęła go przeglądać. Po chwili odłożyła go i spytała:

— Nie przyszłam za wcześnie, prawda? Lucky spojrzała na zegarek.

— Przyszła pani punktualnie, jest dokładnie trzecia.

— To dobrze — odparła z wdzięcznością Leslie.

Mickey kazał czekać na siebie całe dwadzieścia pięć minut. Nie podszedł nawet do drzwi, żeby ją powitać. Lucky zauważyła, że zdobywał się na ten gest uprzejmości tylko wobec swoich największych gwiazd. Kiedy tylko Leslie weszła do jego biura, Lucky założyła miniaturowe słuchawki, włączyła magnetofon przysłuchując się uważnie każdemu słowu.

— Proszę siadać — powiedział Mickey pokazując krzesło. Leslie usiadła naprzeciw niego, pełna napiętej uwagi.

— Chciał pan się ze mną widzieć, panie Stolli? Chrząknął i zaczął grzebać w papierach zalegających biurko.

— Proszę mi mówić Mickey.

Leslie, wielkooka piękność, popatrzyła na niego uważnie.

— Dziękuję.

Mickey zastanawiał się, gdzie też Eddie znalazł sobie taką ślicznotkę z Iowa. Miała prawie siano we włosach.

— No, kochana — powiedział — wpadliśmy w tarapaty.

— Co się stało, panie Stolli? — spytała z przejęciem. — To znaczy... Mickey u. Boże! Dowiedział się skądś o jej przeszłości!

— Twój mąż jest kretyńcem — powiedział bez ogródek Mickey. — Próbowałem mu pomóc. Bóg jeden wie, jak próbowałem. Przez cała lata znajdowałem mu robotę, a on spieprzył sprawę dokumentnie. Pomagałem mu,

a on jak mi się odwdzieczył? Wpakował się w interes, za który ja nie biorę żadnej odpowiedzialności.

Leslie spuściła wzrok. Miała długie, wywinięte rzęsy.

— Przykro mi - szepnęła, czując wielką ulgę, że nie chodzi o nią.

— To nie twoja wina powiedział Mickey, zastanawiając się, jaka Leslie jest w łóżku.

— To dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać? — spytała marszcząc brwi. Mickey gryzł koniec pióra.

— Dlatego, że Eddie ma duży kłopot. A tym razem ja nie mogę mu pomóc.

— Jaki kłopot? — spytała, trzepocząc oszalałymi rzęsami.

— Milion dolców.

Leslie poczuła, że robi jej się słabo. Nie sądziła, że Eddie mówi serio, kiedy parę tygodni temu na jej pytanie, czy coś jest nie w porządku, odparł: „Nic takiego, wystarczy milion dolców i trochę współpracy ze strony Mickeya Stolliego”.

— Co ja mogę zrobić?

— Zmusz Eddiego, żeby pogrzebał w kieszeniach i wykombinował tę forszę — powiedział twardo Mickey. — Bo w przeciwnym razie wyląduje na dnie zatoki w betonowych butach.

— Panie Stolli... Mickeyu... Eddie mówił mi o tym jakiś czas temu. Myślałam, że żartuje.

— Jak się robi interesy, trzeba się liczyć z konsekwencjami. Eddie zrobił interes.

Wciągnął w to mnie. A potem oszukał i mnie, i swoich klientów, a teraz musi za to zapłacić. Mówi mi, że nie ma tej forsy. Co w takim razie z nią zrobił, Leslie, wydał na ciebie?

Wyprostowała się na krześle.

— Nie, z pewnością nie.

— To dobrze, bo będzie mu potrzebna. Jeśli on myśli, że i tym razem za niego zapłacę, to nic z tego. Albo zapłaci sam, albo będzie z nim naprawdę źle.

Mickey wziął do ręki scenariusz i zaczął przerzucać kartki.

— To wszystko — powiedział krótko. Spotkanie zakończone.

Leslie wstała, kierując się do wyjścia.

— Zrobię, co będę mogła — wyjąkała. Miała nogi, które mogłyby zadusić żyrafę!

— Lepiej się postaraj — rzucił Mickey złowieszczo.

— Na pewno.

— Aha — dodał Mickey — i zrób coś jeszcze dla tego półgłówka. Zmusz go, żeby poszedł na odwyk. Facet przechłapie całe życie. Mam nadzieję, że ciebie w to nie wciągnął.

— Ja nie dotykam nawet narkotyków — oburzyła się Leslie.

— I nie próbuj. Leslie wybiegła z biura.

Lucky patrzyła w ślad za nią. Mickey Stolli był podłym sukinsynem. Czy taka młoda dziewczyna jak Leslie może wyplątać Eddiego z kłopotów, w które się wpakował?

Wkrótce potem Mickey także opuścił biuro.

— Wychodzę — powiedział już przy drzwiach.

Lucky nie próbowała nawet pytać dokąd. Kiedy chciał, żeby wiedziała, mówił jej sam. Przypuszczała wobec tego, że Mickey ma zamiar znów odwiedzić Warner.

— O której można się spodziewać pana z powrotem, panie Stolli? — zapytała uprzejmie.

Ta potulność idealnej sekretarki zaczynała jej wychodzić bokiem.

— Jak wrócę, to będę.

— A pańskie popołudniowe spotkania?

— Odwołaj je. „Boże, co za palant”.

— Dobrze, panie Stolli.

Zadziwiające było, że ludzie mieli ochotę w ogóle wchodzić z nim w jakiegokolwiek układy. Mickey dbał tylko o siebie.

Dwadzieścia minut po jego wyjściu, w biurze zjawiła się Venus Maria. Miała na sobie wystrzępione džinsy, zbyt obszerną koszulkę, trampki i baseballową czapkę z emblematem drużyny Lakersów.

Z początku Lucky wzięła ją za nastolatkę.

— Słucham panią?

— Muszę zobaczyć się z Mickeyem, na pięć minut. Małe pięć minut, żebym mogła powiedzieć mu, co o nim myślę — a potem już znikam.

Lucky rozpoznała jej głos.

— Przykro mi, ale wyszedł z biura.

— A ja naprawdę muszę z nim mówić.

— Czy mogę mu coś przekazać?

Venus Maria rzuciła na biurko Lucky kopię scenariusza.

— Tak. Powiedz panu S., że ten tekst jest do bani. Obiecał mi rolę silnej kobiety, a oczywiście jak zwykle podtyka mi słodką idiotkę. Ani mi się śni w tym grać.

Lucky wzięła do ręki tak skrytykowany scenariusz. Był to *Granat*, ostatni i ulubiony projekt Mickeya.

— Z przyjemnością mu to powtórzę — powiedziała. Venus Maria usiadła na krześle.

— To nie twoja wina. Jezu, kiedy ci idioci wreszcie się czegoś nauczą?

Oto kobieta o bratniej duszy.

— Czy nie zamierza pani grać w tym filmie ze względu na to, jak jest napisany? — ośmieliła się spytać.

— Jasne, że tak — odparła z pewnością siebie Venus Maria. — Ja gram tylko w tym, w co wierzę.

— I bardzo słusznie — pochwaliła Lucky, zapominając się na chwilę. Venus Maria spojrzała na nią uważnie.

— Miło mi, że się zgadzasz. My, dziewczyny, musimy trzymać się razem, co?

— Najwyższy czas, żeby ktoś wreszcie powiedział tym... producentom, co o nich myśli.

— Uważaj, żeby twój szef tego nie słyszał. Venus Maria się rozejrzała.

— A gdzie jest ten angielski anioł?

— Olive jest na zwolnieniu. Złamała nogę. Venus Maria powstrzymała wybuch śmiechu.

— Co, Mickey ją wykopał z biura?

Nie chcąc się zdradzić, Lucky powstrzymała się od odpowiedzi, rozumiejąc jednocześnie, że z tą kobietą będzie się mogła dogadać bez przeszkód. Venus Maria wstała, ziewnęła i przeciągnęła się.

— Dobra, to ja wracam. Jeśli odważy się ze mną rozmawiać, to mu powiedz, że jestem na planie. Niech zadzwoni do mojej garderoby albo do domu, później. Powiedz mu tylko, że to nie jest scenariusz, który uzgodniliśmy. Bohaterka jest ofiarą losu, a ta mała nie będzie grać ofiar.

Lucky była zadowolona. Venus Marię czeka wielka kariera w studiu Panther. Już ona o to zadba.

Rozdział trzydziesty trzeci

Eddie chodził niespokojnie po mieszkaniu, kiedy Leslie wróciła do domu. Od trzech dni nie pokazywał się w studiu. Miał wychudzoną twarz, podkrążone oczy i stary zarost na policzkach.

— Gdzie byłaś? spytał ją ostro.

Leslie nie była pewna, czy powinna mówić mężowi, że Mickey Stolli wzywał ją do siebie. Postanowiła jednak, że uczciwość będzie najlepszym sposobem na rozwiązanie sprawy.

— Byłam u Mickcya Stolliego. W Eddiego jakby piorun strzelił.

— Po jaką cholere do niego chodziłaś?!

— Dlatego, że mnie o to prosił — wyjaśniła cierpliwie.

— A gdyby cię poprosił, żebyś mu dała dupy, to też byś się zgodziła, tak?

Weszła do kuchni.

— Bądź rozsądny, Eddie.

— Tylko nie mów do mnie jak do szczeniaka, dobra? Spotykasz się z Mickeyem i nawet nie raczysz mi o tym powiedzieć. Potem wracasz i udajesz, że nic się nie stało. Co ty do licha wyprawiasz, Leslie?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Mamy kłopoty. Prawda, Eddie?

— Kłopoty? — parsknął śmiechem. — Jakie znowu kłopoty, kotku? Zaczęła nalewać wody do czajnika.

— Mickey mówi, że mamy kłopot. Że jesteś komuś winien dużo pieniędzy. Eddie chodził po pokoju tam i z powrotem.

— Ach tak, on twierdzi, że to ja jestem winien forszę? Posłuchaj, co ci powiem, mała. To studio jest winne pieniądze. Oni są odpowiedzialni. Mickeya to dotyczy tak samo jak mnie — i nie wykręci się z tego.

— Mickey mówi, że jesteś dłużny milion dolarów.

— Po jaką cholere ciebie w to wciąga, jestem ciekaw.

— Może sądzi, że będę mogła pomóc. Eddie zaśmiał się głucho.

— Pomóc? Ty? Z kogo on robi jaja? Leslie była urażona.

— A może naprawdę mogę — broniła się.

— Daj spokój, kochanie, mówimy o milionie dolarów, nie o dziesięciu centach. Nie bądź głupia.

— Co w takim razie zrobisz? Eddie potrząsnął głową.

— Jeszcze nie wiem. Ale cokolwiek zrobię, jest to taki sam interes Mickeya jak mój. Panther może zapłacić bez mrugnięcia okiem — niby dlaczego ja mam ponosić wszystkie konsekwencje?

— Eddie — powiedziała z wahaniem Leslie — Mickey mówi, że masz problem z narkotykami. Powiedział, że powinnam ci jakoś pomóc.

Tego było już Eddiemu za wiele.

— Co on sobie, kurwa, wyobraża? Mój problem, moja sprawa. Dobra, zażywam czasami trochę koki, no i co z tego?

— Częściej niż czasami.

— Słuchaj no, kto ty jesteś — Matka Teresa?

— Ja tylko chcę ci pomóc.

— Powiem, ci, jak możesz mi pomóc, kochanie. Najlepiej zamknij gębę na kłódkę i zostaw mnie w spokoju, dobra?

Leslie kiwnęła głową.

— Dobrze.

Warner nie było w domu i Mickey nie posiadał się ze zdumienia. Jak to, przyjechał specjalnie do niej, a ona gdzieś wyszła? Umówili się telefonicznie poprzedniego dnia, a Warner nigdy nie zrywała randek. Dzwonił do drzwi, aż zaczął je kopać z wściekłości. W końcu zrezygnował, zszedł do podziemnego garażu, wsiadł do swego porsche'a i zapuścił silnik.

Mickey Stollu lubił uprawiać seks regularnie. Warner zadowalała go, ale musiała być w domu, kiedy jej potrzebował.

Siedząc już w wozie zadzwonił do Forda Warne'a. Ford nie raz powtarzał, że nie wierzy w romanse i woli płacić za profesjonalne usługi. Mickey śmiał mu się w twarz.

— Stary, ja mam płacić za dupę? W tym mieście? W Los Angeles dupy są za darmo! Ford odpowiadał mu z rozsądnym spokojem:

— Jak płacisz, Mickeyu, to dokładnie wiesz za co. Taka panna nie będzie prosiła cię o rolę. Nie będzie chciała, żebyś się z nią ożenił, albo żebyś zabierał ją na Hawaje i kupował sukienki. Będzie robić to, co ty chcesz. To idealny układ. Miłość bez poczucia winy — i podana dokładnie tak, jak ty sobie tego życzysz.

Mickey wyobrażał sobie meksykańską dziwkę na rogu ulicy, w spódnicy ze sztucznej skóry, różowej bluzce i szpilkach na dziesięć cali. Ford, jakby zgadując jego myśli, mówił:

— I powiem ci coś jeszcze, stary. Dziewczyny, z którymi ja sypiam, są o niebo piękniejsze od każdej twojej, przelotnej kochanki.

— A gdzie je można znaleźć? — zainteresował się Mickey.

— To jest w tym wszystkim najlepsze. Nie ja je znajduję, tylko Loretta.

— A kim jest Loretta?

— To najlepsza burdelmama w tym mieście. Sama wybiera dziewczyny. Żadna nie pracuje u niej dłużej niż kilka miesięcy i powtarzam ci, że są wspaniałe.

Wyglądało to na świetny pomysł dla tych, którzy lubią takie rzeczy. Odkąd Ford powiedział mu o tym, Mickey słyszał nazwisko Madame Loretty od paru innych znajomych. Nigdy jednak nie interesował się tym poważnie, bo miał przecież swoją Warner. Dzisiaj jednak potrzebował rozrywki — i to natychmiast.

Kiedy Ford podniósł słuchawkę, Mickey poprosił go o numer Madame Loretty. Ford zaśmiał się cicho.

— Widzę, że powoli się przekonujesz, co?

Mickey mówił niemal szeptem, choć był sam w wozie i nikt nie mógł go usłyszeć.

— Czy ona jest dyskretna?

— Ona nadaje temu słowu zupełnie nowe znaczenie. Zadzwoń do niej i powiem, że jedziesz.

— Dzięki — powiedział Mickey.

Nie lubił prosić nikogo o przysługę, ale tym razem nie miał wyboru. Madame Loretta powitała go jak nadopiekuńcza matka. Była lekko otyłą kobietą o rumianej cerze i ciepłym uśmiechu.

— Witam, witam — mówiła uprzejmie, prowadząc go do dużego salonu z widokiem na miasto. — Czy chciałby się pan czegoś napić? Kawy, herbaty, albo drinka?

— Domyśla się pani, w jakim celu przyszedłem — Mickey wolał nie tracić czasu.

Loretta uśmiechnęła się ciepło.

— Oczywiście. I nie będzie pan rozczarowany. Proszę mi powiedzieć, jakie są pańskie upodobania?

Mickey chrząknął.

— Czy ma pani jakieś czarne dziewczęta?

— Mam śliczną czarnulkę dla pana. Skończyła niedawno studia. Jest bardzo czysta, dobrze pracuje. Na pewno będzie pan zadowolony.

— Czy mógłbym ją zobaczyć?

Madame Loretty nie można było niczym zaskoczyć.

— Proszę zaczekać chwileczkę — powiedziała i wyszła z salonu. Mickey patrzył przez okna. Jakie to byłoby proste, gdyby mógł kochać się z własną żoną. Ale z Abigaile wymagało to za wiele zachodu, za długo trzeba było z nią gadać, zanim można było w ogóle zacząć myśleć o pójściu do łóżka. A kiedy już do tego doszło, Abigaile nie potrafiła go zadowolić. Madame Loretta wróciła i uśmiechnęła się zachęcająco.

— Yvette za chwilę tu będzie.

— Chciałbym ją najpierw zobaczyć — powiedział Mickey. — Zanim się zdecyduję. Madame Loretta pokiwała głową z doświadczeniem.

— Zapewniam pana, że będzie pan zadowolony. Ja się nigdy nie mylę.

Co wieczór Lucky zastanawiała się nad zawikłaną siecią układów istniejących w studiu Panther. Wiedziała już o aferze z dystrybucją pornografii. Mickey najwyraźniej zamierzał wywinąć się od odpowiedzialności i zrzucić cały ciężar na Eddiego. Uważał, że skoro Eddie ich w to wpakował, do niego teraz należy znalezienie wyjścia z sytuacji.

Jasne też było, że Eddie Kane kradł, ile wlezie — i że Mickey nie zamierzał za niego zapłacić.

Kolejny problem to sprawa Harry'ego Browninga. Co zamierza zrobić? Czy zdradzi ją, zanim wszystko będzie gotowe? Lucky musi po prostu czekać.

Boogie wynajął sekretarkę, która co noc przychodziła do ich domu i przepisywała na maszynie nagrane na taśmę rozmowy Mickeya Stolliego. Powstawała z tego całkiem zajmująca lektura.

Praca od dziewiątej do piątej była wyczerpująca. Bezustanne płaszczenie się przed Mickeyem niezmiernie przygnębiało Lucky. Nie była przyzwyczajona do służenia nikomu i ta rola zupełnie jej nie odpowiadała. Dodatkowo martwiło ją to, że nie wiedziała, gdzie jest Lennie. Boogie starał się trafić na jego ślad. W Londynie. Bobby płakał do słuchawki.

— Mamusiu, kiedy do mnie przyjedziesz? Tak długo cię nie widziałem. Gdzie jesteś? — pytał.

— Nie martw się, kochanie, niedługo wszyscy będziemy razem — zapewniała syna, czując wyrzuty sumienia.

Przypomniało jej się też, że odkąd zaczęła się cała ta przygoda, nie zadzwoniła do Brigitte. Natychmiast wykręciła numer jej szkoły.

Sekretarka powiadomiła ją, że szkoła jest zamknięta na okres letni, i że Brigitte wróciła do Nowego Jorku, do swej babki.

— Wolność — szepnęła do siebie Lucky — muszę odzyskać moją wolność.

Rozdział trzydziesty czwarty

Nona Webster miała zwariowaną rodzinę. Brigitte nigdy przedtem nie spotkała podobnych ludzi. Effie Webster wyglądała niesamowicie. Nie wyższa niż metr sześćdziesiąt, chuda, miała rude włosy o bardziej jaskrawym odcieniu niż Nona, w przedziwny sposób upięte na głowie z wielką, błyszczącą, zieloną spinką z przodu. Jej makijaż był agresywny, a ubranie odzwierciedlało duszę, która nigdy nie ulegała modom i ogólnie przyjętym zwyczajom.

Z drugiej strony, Yul Webster, jej mąż, wyglądał bardzo poprawnie. Wysoki i imponujący, nosił garnitury z Saville Row, jedwabne koszule, ręcznie robione buty — i tylko jego kolekcja krawatów, którą Effie projektowała specjalnie dla niego, zdradzała podobieństwo do przedziwnych gustów jego żony. Yul pysznił się krawatami z ręcznie malowanymi portretami nagich kobiet, ptaków w locie, lądujących samolotów — wszystkiego, co pojawiło się w fantazji Effie — i nosił je z dumą.

— Moi rodzice są trochę dziwacznicy — uprzedzała przyjaciółkę Nona przed wyjazdem do Nowego Jorku, i było to w najlepszym razie określeniem bardzo delikatnym.

Ale chociaż byli dziwacznicy, odznaczali się też ciepłem i gościnnością. Przyjęli w swoim domu Brigitte, jakby była ich rodzoną córką.

— Oni zażywają narkotyki — wyznała zakłopotana tym Nona. — Nauczyłam się nie zwracać na to uwagi. Właściwie, oni tylko czasem biorą trochę koki, tak dla rozrywki, albo palą trawkę. Wiesz, jak to jest, zostało im to z lat sześćdziesiątych. Najlepiej udawaj, że tego nie zauważasz, a jeśli ci zaproponują, to nie przyjmuj. Brigitte rozumiała.

— Ja też przez to przesłam, kiedy miałam czternaście lat — wyjaśniła. Nona przytaknęła:

— Następnym zbieg okoliczności, bo ja tak samo.

— Karma.

— Dokładnie — Nona ujęła rękę przyjaciółki. — Wiesz, tak mi z tobą dobrze. Jesteśmy takie podobne do siebie.

— Podobne, ale inne.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Nowojorskie mieszkanie państwa Websterów sprawiało wrażenie wielkiej kolorowej plamy. W pokoju ustawiono intrygujący zestaw nowoczesnych mebli. Ściany pomalowane były na czarno, a na nich wisiały obrazy współczesnych malarzy, które same w sobie sprawiały niesamowite wrażenie.

Co tydzień rodzice Nony wydawali wielkie przyjęcia, na których zjawiały się tłumy pięknych i utalentowanych ludzi.

— Parę miesięcy temu była u nas Venus Maria — powiedziała Nona. — Uważam, że jest najlepsza z nich wszystkich. Nie mogłam oderwać od niej oczu przez cały wieczór!

— Naprawdę? — Brigitte to zaimponowało.

— Tak. Uwielbiam spotykać takich ciekawych ludzi, a ty?

— Gdzie jest twój brat? — zainteresowała się Brigitte.

— Poczekaj, wkrótce się pojawi. Przychodzi zawsze, kiedy potrzebuje pieniędzy — powiedziała sentencjonalnie Nona. — To potrafi robić najlepiej — wyciągać od wszystkich pieniądze.

— Jak ma na imię?

— Paul — powiedziała Nona. — Moi rodzice musieli mieć wyjątkowo normalny dzień, kiedy dali mu to imię.

Brigitte zauważyła fotografię na pianinie i przyjrzała się jej z uwagą.

— To on?

— Przystojny, co? — spytała Nona.

— Niezły — skłamała Brigitte. Naprawdę uważała, że wyglądał wspaniale.

— Co robi?

— Jest artystą. Tylko, że nie odnosi żadnych sukcesów. Maluje wiel-gachne portrety nagich ludzi. Tylko się nie zgadzaj, jeśli poprosi cię, żebyś mu pozowała?

— No co ty, myślisz, że bym się zgodziła?

— Spędzimy wspaniałe lato — westchnęła radośnie Nona. — Mam takie przecucie, a ty?

Brigitte kiwnęła głową.

Deena Swanson i Effie Webster były dobrymi przyjaciółkami. Na pozór nie pasowały do siebie, ale były dobraną parą. Przyjaźniły się od dawna — odkąd Deena po raz pierwszy przyjechała do Ameryki. Poznały się, gdy Effie odwiedziła salon meblowy, w którym Deena pracowała.

Kiedy Deena zaczęła spotykać się z Martinem Swansonem, Effie natychmiast poradziła jej, żeby zastanowiła się poważnie nad możliwością małżeństwa.

— Ten facet podąża prosto na szczyt — zapewniała ją — i uważam, że powinnaś iść tam razem z nim.

Deeny nie trzeba było długo przekonywać. Martin okazał się niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Nie ulegało wątpliwości, że czeka go znakomita kariera.

Martin i Yul za to niezbyt dobrze się czuli w swoim towarzystwie Yul uważał Martina za nudziarza.

- Jego poczucie Ja jest większe od Empire State Building — powtarzała Effie. Kiedy Martin zaczął zdradzać żonę, Effie była pierwszą osobą, do której Deena zwróciła się o radę.

— Co ja mam zrobić? — pytała zrozpaczona.

— Nie przejmuj się tym — poradziła jej Effie. — Większość mężczyzn tak postępuje — to przez tę ich cholerną chuć! Jak nie dasz po sobie poznać, że cię to boli, w końcu znudzi się i wróci do ciebie. Kochanka to tylko kochanka a żonę się ma na całe życie. Na samą myśl o alimentach pędem wróci w twoje objęcia.

— A ty i Yul?

— Nie obchodzi mnie to — odparła krótko Effie — dopóki wraca do domu.

— Ale zaczęłoby, gdyby zagrażało twojemu małżeństwu.

— Nic nie jest w stanie zagrozić mojemu małżeństwu — powiedziała stanowczo Effie.

Effie Webster bardzo kochała swą jedyną córkę. Zabierała często Nonę i Brigitte do Saksa, a potem do Trump Tower, gdzie dotąd robiły zakupy aż me mogły już nieść więcej toreb.

Effie kupowała córce wszystko, o co poprosiła.

— Mówiłam ci — Nona szeptała do ucha Brigitte — wydają wszystko co zarobią. Moi rodzice są stuknięci!

Po zakupach Effie zabierała dziewczęta do rosyjskiej herbaciarni gdzie kiedyś w porze' lunchu zauważyły Rudolpha Nureyeva i Paula Newmana

— Co właściwie robisz, kiedy mieszkasz tu z babką? — pytała Nona zajadając smakowite bliny.

Brigitte skrzywiła się.

— Charlotte jest potwornie nudna. Nigdy mnie nigdzie nie zabiera

— Opowiedz mi o twojej matce. Jaka ona była?

- No cóż — odparła powoli Brigitte, zastanawiając się nad pytaniem przyjaciółki — była dość fajna. Przynajmniej ciągle coś robiłyśmy razem Zawsze lataliśmy do Grecji, do dziadka, albo na pokazy mody do Paryża Podróżowaliśmy po całym świecie, to było fascynujące.

— Musi ci jej brakować — powiedziała ze współczuciem Nona kładąc rękę na ramieniu Brigitte.

— To prawda — Brigitte skinęła głową ze smutkiem, po raz pierwszy czując, że naprawdę bardzo brakuje jej Olimpi.

Paul, brat Nony, zjawił się w niedzielę — w brudnych dżinsach ubłoconych butach kowbojskich i wystrzępionej kurtce motocyklowej z czarnej skóry Był szczupły i zamiast charakterystycznych w rodzinie Websterów rudych włosów, miał długie i czarne, związane w wąską kitkę. Oczy krył ood ciemnymi okularami.

Nona przywitała brata z radością.

— Przeszedłem po pieniądze — oświadczył.

— Nic nowego — westchnęła Nona. — A nie uważasz, że należy mi się choćby zwykle „dzień dobry”? Pocałunek? Cokolwiek?

— Masz dla mnie forszę, to się z tobą przywitam.

— Dzięki! To naprawdę miło wiedzieć, jak bardzo kocha cię twój rodzony brat. Paul opadł na krzesło, zdjął ciemne okulary i przyjrzał się Brigitte.

— Kto to? — zapytał.

— Pierwsza dziewczyna, której nie będziesz mógł się oprzeć — odparła Nona.

— Za młoda — powiedział Paul.

— Aha — Nona potrząsnęła głową. Poczekaaj, aż się dowiesz, co takiego ona ma, czego ty potrzebujesz.

— Za młoda — powtórzył Paul.

Brigitte nie wiedziała dobrze, czy bawi ją ta rozmowa. Za kogo się ten przygłup uważa?

— To Brigitte, moja najlepsza przyjaciółka — powiedziała Nona, przedstawiając ją w końcu.

— Cześć, Brigitte — powiedział od niechcenia Paul.

— Stanislopoulos — dodała Nona.

— Ta Stanislopoulos? — upewnił się Paul, nagle żywo zainteresowany.

— Zgadłeś — potwierdziła z triumfem Nona.

Paul przyglądał się Brigitte coraz intensywniej, aż w końcu powiedział:

— Mam zaszczyt prosić cię o rękę. Brigitte podjęła jego grę.

— Bardzo mi przykro, ale zdecydowałeś się za późno. Jesteś dla mnie za stary.

Nona roześmiała się ubawiona.

— I nie dasz mi żadnej szansy? — błagał Paul.

— Mówiłam ci, nie? — wtrąciła Nona. — Ten nicpoń dba tylko o forszę. Ma chyba kasę sklepową zamiast serca.

— A jest na świecie coś innego? — zapytał filozoficznie Paul, nie spuszczać oka z Brigitte.

Effie weszła do pokoju, odziana od stóp do głowy w jaskrawy pomarańcz.

— Wyglądasz jak szpak w szoku, mamó — zauważył Paul. — Coś ty na siebie włożyła?

Effie uśmiechnęła się tylko. Najwyraźniej państwo Websterowie byli przyzwyczajeni do zachowania Paula i nie zwracali uwagi na jego arogancję.

— To nie jest najlepszy sposób proszenia o pieniądze — powiedziała, grożąc synowi palcem. — Nieładnie, nieładnie.

— Dlaczego wszystkim się tu zdaje, że przyszedłem po pieniądze? — skarżył się Paul.

— Bo to prawda — powiedziała Nona.

Przyglądając się tej rodzinnej scenie Brigitte stwierdziła, że choć Paul Webster był wyjątkowo źle wychowany, to nigdy przecież nie widziała bardziej przystojnego mężczyzny.

Ale Brigitte wiedziała, co to znaczy. Niebezpieczeństwo, fascynacja — a wtedy jeszcze gorsze niebezpieczeństwo.

Wiedziała, że musi trzymać się z daleka.

Przychodzi w życiu taki moment, kiedy trzeba uciec i schować się przed światem — i to właśnie zdarzyło się Lenniemu. Wynajął pokój na poddaszu w Village i zaszył się w nim. Dopóki miał swoją kawę instant, butelkę szkockiej i dość żółtego papieru listowego, był szczęśliwy.

Ucieczka od tego przekłętogo filmu była najlepszą decyzją, jaką w życiu podjął.

Lennie Golden nie przywykł do kompromisów. Chciał pracować twórczo, a życie gwiazdora stwarzało czasem sytuację, która tłamsiła w nim artystycznego ducha.

Nie wspominając o wyjeździe Lucky do Japonii.

Przeżył syndrom „gwiazdy w dennym filmie” i nadszedł czas, żeby wrócić do pracy.

Przyszło mu do głowy, że jeśli chce zagrać w dobrym Umie, powinien usiąść i sam go napisać. Dlatego właśnie przede wszystkim potrzebował samotności. Zdawał

sobie doskonale sprawę że jego agent i menażer muszą go usilnie poszukiwać. Ale

nie miał ochoty żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Dlatego też zatarł za sobą

wszystkie ślady Raz tylko wyciągnął z konta większą sumę, i od tamtej pory nie

wypisywał żadnych czeków. Jediną osobą, z którą się skontaktował, była

— Posłuchaj — powiedział jej — muszę być sam przez jakiś czas. Jeżeli Lucky

zadzwoń, powiedz jej, że rozmawiałaś ze mną i że czuję się dobrze — nic więcej.

Jess powiedziała, że oboje bawią się jak dzieci i że powinni wydorosnąć

— Nie robię tego z zemsty — bronił się Lennie. — Kiedy Lucky wróci spotkam się z nią. Ale w tej chwili ona nie chce się ze mną skontaktować, więc me będą jej

zmuszał. To nie jest żadna zabawa.

— Przestań, Lennie — odparła zde gustowana Jess. — Zachowujecie się gorzej niż para złośliwych dzieciaków.

— Wszystko jedno — powiedział Lennie kończąc rozmowę. — Zadzwońię do ciebie za tydzień.

Samotność mu pomagała. Miał dzięki niej wolność, której tak bardzo potrzebował.

Od wczesnego rana do późnej nocy siedział przy dużym stole pod oknem i pisał.

Pisanie dobrze mu robiło. Likwidowało wielomiesięczne napięcie Kiedy me pisał,

myślał często o Lucky i starał się zrozumieć co naprawdę się z nimi działo. Lucky

pracowała w Nowym Jorku. On w Los Angeles. Widywali się w krótkich przerwach

w pracy

No tak oczywiście. Seks z Lucky był cudowny. Czemu nie? Ale to przecież nie

wszystko. Lennie potrzebował czegoś więcej.

Był coraz bardziej przekonany, że powinni dać sobie wzajemnie rok wolnego. I że jeśli tego nie zrobią, to ich małżeństwo rozpadnie się prędzej czy później. Nie tak miało być.

W miarę pisania zauważył, że jego scenariusz przeradza się w autentyczną historię ich związku.

Nie znał jeszcze zakończenia. Miał tylko nadzieję, że będzie szczęśliwe.

Rozdział trzydziesty piąty

Kiedy Martin Swanson wrócił do Nowego Jorku, Deena powitała go jak wierna i kochająca żona, choć obawiała się najgorszego. Takie obawy dręczyły ją zresztą zawsze, kiedy wyjeżdżał. Czy Martin powie jej tym razem, że ich małżeństwo jest skończone?

— Jak było w Los Angeles? — spytała, gdy tylko Martin wszedł do sypialni.

— Gorąco — odparł rozwiązując krawat.

— A interesy? Będziemy mieli to studio?

Używanie formy „my” było ważnym elementem jej strategii, którą świadomie stosowała. Nie zamierzała ułatwiać mu zadania. Jeśli zechce rozwodu, będzie musiał sam jej o tym powiedzieć.

— Negocjacje przedłużają się — powiedział. — Ale wygląda na to, że Orpheus będzie nasze.

— Zdaje się, że bardziej interesowało cię Panther? Martin usiadł na brzegu łóżka.

— Rozmawiałem z Mickeyem Stollim. Wydaje się, że on sam nie może o niczym decydować. Studio pozostaje własnością Abe'a Panthera, a on najwyraźniej nie zamierza go sprzedawać. Ale Mickey obiecał, że namówi żonę, by pogadała ze starym. To córka Abe'a.

— Jaki jest ten Mickey Stolli? — spytała Deena, przybierając rolę zaangażowanej żony.

— Typowy gość z Hollywood — powiedział Martin, powstrzymując ziewnięcie — z głową pełną pomysłów. Zrobił z tego studia maszynkę do zarabiania pieniędzy. Kręca masę filmów, o których nikt nigdy nie słyszał.

— Jakie na przykład?

— Wiesz, jakie — odpowiedział niechętnie. — Same gołe baby.

— To ciekawe — odparła Deena, myśląc: „Ta twoja panienska doskonale się do nich nadaje”. — Z kim jeszcze się spotykałeś?

— Z tymi co zwykle.

Deena wyobrażała sobie, że Dziwka musi już wywierać na niego nacisk. A jednak Martin niczego nie dawał po sobie poznać.

— Websterowie wydają w przyszłym tygodniu przyjęcie na twoją cześć — powiedziała.

— Dlaczego? — spytał zrzucając marynarkę.

— Z okazji twoich urodzin — wyjaśniła. — Zapomniałeś? Rzeczywiście, Martin zapomniał. Miał na głowie tyle spraw, że wołał nie pamiętać o tym, iż znów jest o rok starszy. Wstał z łóżka i podszedł do lustra, żeby przyjrzeć się swemu odbiciu.

— Nie wyglądam chyba źle jak na czterdzieści sześć lat — powiedział, oczekując komplementu.

— Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną, Martin — powiedziała Deena, podchodząc do niego. Zawsze uwielbiał pochlebstwa.

Odwrócił się i pocałował ją lekko w policzek.

— Muszę wykonać kilka telefonów — powiedział. — Będę w pracowni. Zostawił Deenę w sypialni i zszedł na dół. Było jasne, że Deena niczego się nie domyśla. Najwyraźniej nie zauważyła tej ostatniej zdrady. Zastanawiał się, w jaki sposób ruszy sprawę rozwodu, jeśli kiedyś do tego dojdzie. Venus Maria uprzedziła go, że jeżeli chce z nią być, będzie musiał być z nią na stałe. W przeciwnym razie rozstanie się z nim.

Martin jeszcze nie podjął decyzji. Ale myślał o tym.

— Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery.

Osobisty trener Venus Marii był potworem. Zmuszał ją do nieludzkiego wysiłku.

— Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery.

Pot oblewał całe jej ciało, a on nie pozwalał jej przestać. Wymagał od niej wykonywania najcięższych ćwiczeń. Ramiona, nogi, pośladki, brzuch — każda część ciała musiała otrzymać swoją porcję wysiłku.

— Już dość! — krzyknęła tracąc oddech.

- Bedziesz miała dość, kiedy ja powiem — odparł trener. Był młody, umięśniony i energiczny, entuzjastycznie nastawiony do życia. Gdyby nie związek z Martinem, Venus Maria mogłaby zaryzykować romans z nim.

W końcu pozwolił jej przerwać.

— Jeszcze będziesz mi dziękować w środku trasy koncertowej — powiedział.

— Dzięki — odparła ciężko dysząc.

Kiedy trener wyszedł, wskoczyła natychmiast pod prysznic. Myjąc włosy patrzyła, jak woda spływa po jej ciele. Po jej silnym, jędrnym ciele. Po słynnym ciele Venus Marii, które podniecało tak wielu mężczyzn.

Poprzedniego wieczoru Martin odleciał do Nowego Jorku. Wiedziała, że połknął przynętę. Teraz musi tylko ściągnąć go do siebie.

Ron odwiedził ją w porze lunchu. Jej menażer zajął się rozdzieleniem ich interesów finansowych, co Ron przyjął dość spokojnie. Teraz mógł kupić swemu chłopakowi w prezencie całe Rodeo Drive, a jej już to nie interesowało.

— A gdzie twój Ken Laleczka? — spytała złośliwie. — Miałam niezbite wrażenie, że nie zostawiał cię samego ani na chwilę.

— No no, nie marudź — odparł Ron, kierując się prosto do kuchni. — Czy Pan Wielki Wezyr wrócił do Nowego Jorku?

— Tak — odparła, tańcząc za jego plecami i nucąc melodię swej ostatniej piosenki.

— Dobrze się bawiliśmy, kiedy tu był? — spytał Ron, wyjmując z lodówki półmisek z sałatką z tuńczyka.

— Wspaniale — odparła Venus Maria, sięgając po sałatę i pomidory, podczas gdy Ron zajął się krojeniem chleba.

Razem zaczęli szykować kanapki z tuńczykiem, przybrane listkami sałaty oraz plasterkami pomidora i avocado.

— To jest to! — powiedział Ron, krojąc z wprawą pomidora. — Powinniśmy częściej to robić. Uwielbiam zachowywać się jak normalny człowiek!

Venus Maria zgodziła się z nim.

— Wysłałam moją pokojówkę na rynek. Chciałam ci podziękować za to, że mi wczoraj pomogłeś.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Ron. — Bawiłem się każdą minutą tego przedstawienia. Aha, przecież mam dla ciebie plotkę o najnowszym skandalu!

— Jaka? — zapytała, wkładając do ust listek sałaty.

— Twój szef.

— Ja nie mam szefa.

— A mówi ci coś nazwisko Mickey Stolli? Roześmiała się.

— Nie uważam go za swego szefa.

— Wszystko jedno, moja droga. Pan Stolli zjawiał się wczoraj osobiście u jednej z moich dobrych przyjaciółek. Napalony jak kot w marcu.

— U kogo?

— A jak ci się zdaje?

Venus Maria prawie się udławiła kęsem kanapki.

— Chyba nie u Loretty? — wykrztusiła.

— Właśnie że u niej. A wiesz, jakie ma upodobania?

— No powiedz!

— Panie o ciemnej skórze.

— Daj spokój Ron, żartujesz sobie ze mnie.

— Jakże bym śmiał z ciebie żartować!

Venus Maria uśmiechnęła się. Uwielbiała plotki, o ile jej nie dotyczyły.

— Skąd to wiesz? — spytała.

— Madame Loretta mówi mi o wszystkim — odparł z dumą Ron. — Jestem jej przyjacielem i powiernikiem.

— Widocznie nie wie o twoim długim języku — dokuczała mu Venus Maria.

— Hmm... Kto tu ma długi język?

— Abigaile obdarłaby go ze skóry, gdyby się o tym dowiedziała.

— Możesz sobie wyobrazić, jaka Abigaile jest w łóżku? — zastanawiał się Ron. — Kupa śmiechu. Nic dziwnego, że biedny facet szuka rozrywki gdzie indziej. Nie mówiąc już o tym, gdzie szuka minety — Ron wziął z lodówki puszkę seven-up. — A przy okazji, widziałas się z Emiliem, odkąd go wyrzuciłaś z domu?

— Nie — Venus Maria zmarszczyła brwi. — A powinnam?

— Nie był zachwycony tym, co zrobiłaś. Mam przeczucie, że wkrótce przeczytamy w prasie o twoich sekretach.

Venus nie chciała, żeby przypominano jej o bracie. Był dorosły i potrafił sobie radzić. Nie zamierzała brać za niego odpowiedzialności.

— Nie zaczynaj znowu — jęknęła. — Emilio nie zrobiłby mi tego. Płacę za jego dom, na miłość boską.

— No cóż, za odpowiednie wynagrodzenie Emilio jest chyba w stanie zrobić wszystko.

— A co takiego mógłby im powiedzieć, czego Wielki Niemyty sam by wcześniej nie wiedział?

— O Wielkim Wezyrze.

— On nic nie wie o Martinie.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie. W każdym razie, nie drzę na myśl o tym, co Emilio ma o mnie do powiedzenia. To tępak. Przegrany facet.

— Emilio jest twoim bratem, moja droga. Nie mów tak o nim.

— Ale jest przegrany, i dobrze o tym wiesz.

— Czy twój nowojorski przyjaciel dał się złapać? — spytał Ron, unosząc brew. Uśmiechnęła się.

— Martin jest wyjątkowym mężczyzną i nasz związek jest także wyjątkowy.

— No tak — zgodził się Ron. — I dzięki Bogu, że gazety nic o tym nie wiedzą, ani Emilio. Inaczej miałybyś niezły pasztet.

— Byłam bardzo ostrożna, kiedy Emilio tu mieszkał — zapewniła go. — On o niczym nie wie.

Ron pokiwał głową z uznaniem.

— I staraj się, żeby tak zostało.

Emilio Sierra i jeden z dziennikarzy gazety „Truth and Fact” spotkali się w Café Roma na Canon Drive. Emilio wystroił się na tę okazję. Miał na sobie biały garnitur, kremową koszulę i kilka łańcuszków, ze sztucznego złota na szyi. Wilgotne od brylantyny włosy zaczesał do tyłu. Niestety, jego piętnasto-kilowa nadwaga psuła cały efekt.

Dennis Walla, australijski reporter siedział przy stoliku w kącie popijając piwo. Był roslym mężczyzną pod czterdziestkę, także z widoczną nadwagą, przekrwionymi oczyma i czerwoną twarzą.

Emilio stanął w drzwiach restauracji i poszukał wzrokiem dziennikarza. Dennis zauważył go pierwszy i pomachał mu egzemplarzem swojej gazety. Emilio podszedł do jego stolika.

— Cześć, kolego — powiedział Dennis z silnym australijskim akcentem. Emilio usiadł.

— „Truth and Fact”? — spytał.

— Zgadza się — odparł Dennis, myśląc, że ten gość to naprawdę jakiś palant, skoro musi o to pytać. — A ty jesteś Emilio Sierra?

Piwnie oczy Emilia rozglądały się badawczo po sali. Zauważył dwie atrakcyjne dziewczyny. Były elegancko ubrane i najwyraźniej w trakcie robienia zakupów. Dennis widział, że Emilio im się przygląda.

— Chętnie byś zajął tym dwóm pod spódniczkę, co? Emilio oblizał wargi.

— Mam dla was niezłą historię — oświadczył.

— Po to tu jesteśmy, kolego — powiedział radośnie Dennis, pociągając łyk piwa i przyglądając się Emiliowi. — Nie jesteś podobny do siostry, co?

— Jest pewne rodzinne podobieństwo — powiedział z dumą Emilio, prawie wdzięcząc się do Dennisa.

— Jesteś w dobrych stosunkach z siostrą? — dopytywał się tamten.

— Oczywiście, że tak — oburzył się Emilio. Nie spodziewał się takiego przesłuchania. — Dlaczego mielibyśmy nie być.

— Nie wkurzaj się, kolego. Zdaje się, że chcesz nam sprzedać jakieś jej tajemnice, tak? — Chcę zarobić forszę — poprawił go Emilio, jakby to wszystko usprawiedliwiało. — Wszyscy tego chcemy — powiedział sentencjonalnie Dennis. Jedna z dziewczyn, którym Emilio się przyglądał, wychodziła właśnie z restauracji. Emilio gwizdnął głośno, gdy przechodziła obok ich stolika.

— Te kobiety z Beverly Hills — mruknął pod nosem.

— Znam ten ból, kolego — zgodził się Dennis. — Przy nich człowiek robi się gorętszy od hamburgera.

Do sali weszło dwóch motocyklistów. W jednym z nich Emilio rozpoznał popularnego aktora albo przynajmniej tak mu się wydawało. Pomyślał, że musi kupić sobie taki strój, dobrze będzie w nim wyglądał. No i powinien zrzucić parę kilo — ale kto ma na to czas? I kogo stać na taki wysiłek? Venus Maria miała osobistego trenera — stać ją było na taki luksus. Poza tym, jej ciało było inwestycją. Pracowała nim. W pewnym sensie, pomyślał, nie różniła się tak bardzo od pierwszej lepszej dziwki. Też zarabiała seksem.

Nic w tym złego, myślał, że chce sprzedać jej sekrety. Dlaczego nie? Był w końcu jej bratem, a ona potraktowała go jak trędowatego. Wyrzuciła go z domu. Załatwiła mu jakieś ciasne mieszkanko, podczas gdy sama żyła w luksusie. I kazała mu jeździć ciężarówką! A powinien siedzieć w najnowszym modelu porsche'a, a przynajmniej ferrari. Jako jej brat musi zachować pewien standard życia. Ludzie tego oczekują.

— No dobra — powiedział w końcu Dennis, odchylając się w krześle. Piwo odbiło mu się głośno.

— Co takiego chcesz mi powiedzieć o twojej siostrze, czego jeszcze bym nie wiedział?

Emilio rozejrzał się. Nie podobał mu się ten gadatliwy facet. Za głośno mówił. Czy nie mógłby być bardziej dyskretny i zachowywać się ciszej? Emilio pochylił się nad stolikiem.

— To nie jest dobre miejsce.

— Słuchaj, nie będziemy dłużej gadać, jeżeli mi nie powiesz w końcu czegoś konkretnego — powiedział głośno Dennis. — Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę jesteś jej bratem? Masz jakiś dowód?

Emilio spodziewał się tego pytania. Pokazał Dennisowi swoje prawo jazdy.

— No dobra, nazywasz się Sierra. I niby co z tego?

Emilio jeszcze raz sięgnął do kieszeni i wyciągnął zdjęcie zrobione na Brooklynie, na którym widniał razem z Venus Marią. Dawne czasy. Podsunął je Dennisowi pod nos.

— Widzisz?

Dennis popatrzył na zdjęcie, a potem na Emilia.

— Dobra, wierzę ci.

— Jeśli powiem wam to, co wiem, to ile mi zapłacicie?

Dennis westchnął. Zawsze chodziło tylko o forszę. Był przyzwyczajony do rozmów z krewnymi wielkich gwiazd. Wszyscy uważali się za oszukanych. Ten tutaj był taki sam, ale dostanie to, co mu się należy, jeśli będzie miał do powiedzenia coś, co da się sprzedać.

— To zależy od tego, co powiesz — odparł Dennis.

— Ona sypia z żonatym mężczyzną — wyrzucił z siebie Emilio. — Ile to jest warte?

— Z kim? — spytał Dennis.

— Gruba ryba — powiedział Emilio zniżając głos. — Cholernie gruba ryba. Jak ci powiem, to się zesikasz w gacie. Nigdy nie mieliście takiego nakładu, jak będziecie mieli, kiedy to pójdzie.

— No to świetnie — powiedział Dennis, dłubiąc w zębach zapalką. Emilio podniecał się coraz bardziej.

— Lepiej niż świetnie — obiecał.

— A więc, kto to jest? Emilio wycofał się.

— Nie podam wam nazwiska, dopóki nie ustalimy ceny i nie dostanę czeku.

— Odwrotnie — powiedział Dennis. — Nie ma nazwiska, nie ma forsy. Emilio jęknął. — Podrzucić nam coś interesującego, to dostaniesz co ci się należy. Ale cokolwiek masz do powiedzenia, musisz umieć udowodnić. Rozumiesz, co to znaczy? Emilio spojrzał na niego.

— Uważasz mnie za idiotę, czy co?

Tak, Dennis chciał odpowiedzieć, ale milczał. Pachniało mu to niezłą historią. Dziennikarze „Truth and Fact” uwielbiali dobre historie o super-gwiazdach i żonatych mężczyznach. Historie na pierwsze strony, z ogromnymi nagłówkami. Skandal. O to toczyła się gra. Nikt nie robił lepszego interesu na skandalu niż „Truth and Fact”.

Rozdział trzydziesty szósty

Lucky zadzwoniła do Abe'a i opowiedziała mu o swej rozmowie z Harrym Brownningiem i jego podejrzeniach. Abe nie odpowiadał przez chwilę, po czym powiedział:

— Jasne, pamiętam go. Ten facet to pijak. Musisz na niego uważać.

— Dzięki. Ale co mam teraz zrobić? Nie chcemy chyba, żeby wygadał się przed końcem tygodnia, prawda?

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz go wyrzucić, co?

— Zamierzam zwolnić mnóstwo osób. Jego jak na razie nie ma na mojej liście.

— To dobrze. Zostaw to mnie, mała. Załatwię to z nim.

— Dziękuję.

— Muszę już iść. Moja córka składa mi kurtuazyjną wizytę.

Lucky wiedziała, jaki był jej cel. Przysłuchując się rozmowom Mickeya Stolliego odkryła, po co spotykał się z Martinem Swansonem. Ten nowojorski potentat miał zamiar kupić studio filmowe — i z rozmowy Mickeya z Fordem Werne'em wynikało, że między innymi rozpatrywał możliwość zakupu studia Panther.

— Pogadam z Abigaile, żeby namówiła starego. Może zgodzi się sprzedać studio — mówił Mickey. — Nie powie mu, ile chcą nam zapłacić. Zaproponuje mu, żebym to ja dobił targu. W ten sposób będę mógł trochę zarobić, zostać tu jako szef. I ty też, Ford. Dobrze nam się współpracuje, nie?

— A jeżeli stary nie będzie chciał sprzedać studia?

— To mam jeszcze jeden plan. Mój klient interesuje się także innym studiem. Jeśli je kupi, przechodzę tam.

— A Panther? Zostawiłbyś nas?

— Stary — powiedział Mickey. — Interes to interes. Odpłacam staremu pięknym za nadobne, a on nie traktuje mnie za dobrze.

— Naprawdę mógłbyś stąd odejść?

— A jak ci się zdaje? Ale tylko, jeśli warunki będą korzystne, Ford. Wszystko się do tego sprowadza.

Im dłużej Lucky go słuchała, tym bardziej była przekonana, że ten człowiek nie miał sumienia. Jego życie składało się z interesów, kochanki i krótkich pobytów w domu — choć ostatnio zdaje się dopisał do tej listy Madame Lorette.

Boogie dowiedział się, że Madame Loretta była najlepszą burdelmama w mieście. Prowadziła ekskluzywny dom schadzek w Hollywood Hills, dostarczając najpiękniejsze dziewczęta bogatym przedsiębiorcom, których stać było na bająnskie sumy, jakich żądała. Najwyraźniej Warner nie wywiązywała się z obowiązków. Mickey był niespokojny.

Olive wróciła do Los Angeles i zdołała dokuśtykać do studia o kulach.

Mickey, pełen współczucia, wyszedł ze swego pokoju i przywitał ją słowami:

— Jak mogłaś mi to zrobić?

— Tak mi przykro, panie Stolli — przepraszała go Olive, jakby to była jej wina.

Całowały go po nogach, gdyby to mogło go udobruchać.

Mickey popatrzył tylko na nią z wyrzutem i wrócił do swego biura.

— Jak twój narzeczony? Wszystko dobrze? — Lucky czuła się w obowiązku zapytać.

Olive zaprzeczyła ze smutkiem.

— Nie byliśmy sobie przeznaczeni — powiedziała zrezygnowana. — Nie powinnam była tam jechać.

— Współczuję ci — powiedziała Lucky, starając się być szczerą.

— Zdarza się — Olive rozejrzała się po biurze, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. — A jak ty sobie radzisz?

— Świetnie — powiedziała ostrożnie Lucky.

— Hmm... — Olive nie była tym zachwycona.

Miała raczej nadzieję, że pod jej nieobecność zapanuje tu potworny bałagan.

— Pan Stolli nie jest łatwym szefem.

— Z przyjemnością stwierdzam, że dobrze mnie wszystkiego nauczyłaś. Wygląda na zadowolonego z mojej pracy.

Olive była coraz bardziej niezadowolona.

— Powinnam być z powrotem za sześć tygodni — oświadczyła ostro. — Kiedy zdejmą mi gips.

— To wspaniale — Lucky próbowała dodać jej ducha. Wszyscy za tobą tęsknią. Olive rozpogodziła się.

— A pan Stone? Czy nie powinnaś wrócić do niego?

— Rozmawiałam o tym z panem Stollim. Uważał, że najlepiej będzie, jeśli tu zostanę. Pan Stone nie ma nic przeciwko temu, na razie przedłużył sobie urlop.

Po chwili Olive opuściła biuro. Później Lucky zauważyła, że jadła lunch w towarzystwie Harry'ego Browninga. Miała nadzieję, że Abe zdążył już z nim porozmawiać i ostrzec go, by trzymał buzię na kłódkę.

Mając przed sobą jeszcze tylko jeden tydzień, Lucky czuła, jakby kończył jej się długi wyrok więzienia. Nie mogła wprost zrozumieć, jak niektórzy ludzie wytrzymywali taką pracę przez całe życie. Dzień po dniu służyli za popychadła ordynarnym, znerwicowanym szefom. Znosili wszelkie upokorzenia od ludzi odwiedzających ich biura. W milczeniu przyjmowali niewybredne dowcipy mężczyzn. A to wszystko spotykało ją, która ucharakteryzowała się na wyjątkową brzydulę. Bóg jeden wie, co musiało spotykać śliczne blond-włose sekretarki w minispódniczkach i w wydekoltowanych bluzkach.

Chociaż... Może to lubiły. Może wmówiono im, że bezczelne dowcipy żonatych facetów są niczym innym, jak tylko komplementem.

Eddie Kane nie pokazywał się w studio od tygodnia. Lucky postanowiła odwiedzić Brendę i Krwawe Paznokcie, jego dwie wierne sekretarki, które miały pieczę nad sprawami biura.

Teraz, kiedy była znana wszystkim jako osobista asystentka Mickeya Stolliego, większość innych sekretarek w budynku wiedziała, kim jest.

Brenda jak zwykle przeglądała czasopisma, a Krwawe Paznokcie prowadziły prywatne rozmowy telefoniczne.

— Czy jest pan Kane? — spytała Lucky. — Nie widzieliśmy go od jakiegoś czasu. Pan Stolli pyta o niego.

— Jest chory — Brenda raczyła udzielić odpowiedzi.

— Na gripę — dodały Paznokcie, przykrywając słuchawkę dłonią. Lucky zastanawiała się, czy to już skutek spotkania z chłopcami Bonnattiego, czy też Eddie po prostu usiłował wziąć się w garść i wydobyć skądś ten milion dolarów. — Może dacie znać do naszego biura, kiedy pan Kane wróci do pracy — powiedziała Lucky-profesjonalistka.

Brenda odłożyła czasopismo. Miała bezczelny wyraz twarzy. — Mogę cię o coś spytać? Krwawe Paznokcie odłożyły słuchawkę i posłały Brendzie ostrzegawcze spojrzenie. — Co takiego? — spytała Lucky.

— Zastanawialiśmy się — powiedziała buńczucznie Brenda.

— Ona się zastanawiała — wtrąciły Paznokcie.

— Bzdura! — Brenda zaprzeczyła stanowczo. — Byłaś tak samo ciekawa jak ja!

— Możemy przejść do sedna? — spytała uprzejmie Lucky.

— Jak to się stało, że pojawiłaś się nagle, nie wiadomo skąd, i od razu dostałaś najlepszą robotę? — Brenda przyglądała się jej badawczo.

A niech tam, pomyślała Lucky, w końcu nic się nie stanie, jeśli jeden raz wypadnie z roli. Pokusa była zbyt wielka, żeby się jej oprzeć.

— Przespałam się z szefem — oświadczyła z nieruchomą twarzą i wyszła. Brenda i jej przyjaciółka zamilkły ze zdumienia.

Abigaile jak zwykle chciała, żeby Tabitha towarzyszyła jej podczas wizyty u dziadka. Tabitha oczywiście protestowała, ale Abigaile nie chciała nawet słuchać.

— Pojedziesz ze mną i zobaczysz, że będzie ci się podobać — oświadczyła stanowczo.

— Pojadę, ale nie będzie mi się podobać — odpowiedziała niezadowolona Tabitha.

— Młoda damo — powiedziała z godnością Abigaile — najwyższy czas, żebyś zaczęła odnosić się do mnie z szacunkiem. Nie podoba mi się twoje zachowanie.

— Proszę cię, mamó — powiedziała z niesmakiem Tabitha. — Nie traktuj mnie jak dziecko. Za późno na to.

Abigaile popatrzyła na córkę. Dopiero trzynaście lat, a już większa mądrała niż jej ojciec.

Inga była równie zadowolona z ich odwiedzin, co one ze swej obecności u Abe'a.

— Wejdźcie — powiedziała wyniośle i zostawiła je same.

Znalazły Abe'a na patio, otoczonego stosami gazet i czasopism i wpatzonego w telewizor.

Abigaile kurtuazyjnie pocałowała dziadka w policzek. Tabitha z równą obojętnością uczyniła to samo.

— I co, jeszcze jeden miesiąc z głowy? — spytał Abe mrużąc oczy od słońca.

— Słucham? — powiedziała Abigaile.

— Następny miesiąc — powtórzył Abe. — Robisz to równo co cztery tygodnie.

Założę się, że Mickey mówi to samo — zarechotał z własnego rubasznego dowcipu.

Tabitha z trudem powstrzymywała uśmiech. Zawsze śmieszyła ją myśl o jej mamie „robiącej to”. W ogóle wyobrażenie jej rodziców uprawiających seks było raczej komiczne.

Abigaile starła chusteczką kurz z krzesła i usiadła na nim.

— Jak się czujesz, dziadku? — zapytała z troską w głosie.

— A co cię to obchodzi? — odparł podejrzliwie Abe.

— Nie bądź niemądry, dziadku. Dlaczego zawsze kpisz sobie ze mnie?

— Bo ja nazywam rzeczy po imieniu.

— Przykro mi, że masz o mnie takie zdanie — powiedziała z godnością Abigaile, wygładzając fałdy swej spódnicy od Adolfa. — Dziadku, chciałabym coś z tobą omówić.

— No to wal — powiedział Abe, robiąc oko do Tabithy, która zachichotała.

— No dobrze — Abigaile mówiła dalej, ignorując jego złośliwości. — Wiadomo, że nie robisz się coraz młodszy.

Abe zakasłał ze śmiechu.

— Nie ma co, moja wnuczka zmądrzała ostatnio. Nie robię się coraz młodszy, coś takiego! Skończyłem osiemdziesiąt osiem lat, a ona dopiero teraz to zauważyła!

Abigaile westchnęła głośno. Nie będzie to łatwa rozmowa. Prosiła, żeby Mickey jej towarzyszył, ale — samolubny jak zwykle — oczywiście odmówił. Konsekwentnie brnęła dalej.

— Co byś powiedział na to, że Mickey ma możliwość sprzedania studia? Tabithcie nie spodobał się ten pomysł.

— Dlaczego chcecie sprzedać studio, przecież ono jest tatusia — powiedziała niezadowolona. — On nie może go oddać. Chcę mieć w nim przyjęcie urodzinowe, kiedy skończę osiemnaście lat.

— Ćśśś — syknęła Abigaile.

— Właśnie, że nie będę cicho — protestowała Tabitha. — Kazałaś mi ze sobą przyjść, to dlaczego mam być teraz cicho?

Abigaile zmroziła córkę spojrzeniem.

— Mogłabyś przestać się wtrącać? — jej głos zagłuszyłby oddział rosyjskiej armii. Abe chrząknął.

— Dlaczego miałbym chcieć sprzedać studio?

— Ponieważ — tłumaczyła spokojnie Abigaile — możemy dostać za nie świetną cenę.

— Co znaczy „my”?

— Ty i Inga — szybko powiedziała Abigaile. — I ja. I, oczywiście, Tabitha.

Abe wstał z krzesła.

— Wielkie mi co — powiedział. — Sto razy mógłbym sprzedać Panther, gdybym tego chciał.

— To czemu tego nie zrobiłeś? — spytała cierpko Abigaile.

— Bo nie chciałem. A gdybym chciał, to już nie byłby twój interes — odparł i wszedł do domu.

Abigaile nie miała ochoty iść za nim. Zawsze czuła respekt przed dziadkiem, a teraz, kiedy był taki stary, nadal czuła się niezręcznie w jego obecności.

— Możemy już iść do domu? — jęknęła Tabitha. Abigaile wstała.

— Tak — wycedziła przez zaciśnięte usta. — Myślę, że to właśnie powinniśmy zrobić.

O czwartej po południu Venus Maria pojawiła się w biurze Mickeya Stolliego.

— Cześć, jak się masz? — powiedziała do Lucky, przechodząc obok jej biurka.

Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, Lucky założyła słuchawki. Venus Maria nie traciła czasu na zbędne uprzejmości. Od raz przeszła do rzeczy.

— Nie cierpię tego scenariusza, Mickeyu — powiedziała. — Nawet nie masz pojęcia, jak ja go nie cierpię i nie ma mowy, żebym w nim zagrała, jeśli nie zostanie całkowicie przerobiony. Opowiada on historię z punktu widzenia

mężczyzny. Obiecałeś mi, że to będzie film o silnej kobiecie. O takiej, która zwycięża. W tej bzdurze ona jest tylko kolejną ofiarą losu. A ja nie będę grała ofiary. — Ależ, moja droga, to świetna rola dla aktorki — powiedział Mickey, przywołując na pomoc cały swój czar. — To rola na Oscara.

— Taką ciemnotę możesz wcisnąć innym tak zwanym aktorkom w tym studiu, ale nie mnie — odparła Venus Maria stanowczo. — Albo każesz przerobić scenariusz, albo ja w tym nie zagram. I jeszcze coś.

„Głupia pizda!”

— Co?

— Mogę się rozebrać przed kamerą tylko pod warunkiem, że mój partner zrobi to samo.

Mickey był tym zdegustowany.

— Zastanów się, moja droga. Kobiety nie lubią oglądać gołych facetów na ekranie. Co je obchodzi jakiś biedak z wywieszonym kutasem.

— I tu się mylisz — stwierdziła Venus Maria. — Kobiety to właśnie chcą widzieć. Mickey wyglądał na obrażonego.

— Może ty chcesz.

— Nie tylko ja. Kobiety lubią oglądać nagich facetów, tak samo jak mężczyźni lubią nagie dziewczyny. A nie mogą ich oglądać tylko dlatego, że to mężczyźni decydują o tym, co się pokazuje w filmach — a mężczyźni boją się konkurencji, więc nie życzą sobie, żebyśmy mogły cokolwiek podpatrzeć. Mówię ci, Mickeyu, nie będę biegała z gołym tyłkiem, jeżeli mój partner będzie ubrany. To moje ostatnie słowo.

— Wymagająca jesteś — jęknął Mickey.

— A tak — przyznała Venus Maria. — I na szczęście jestem w dobrej sytuacji, że mogę stawiać warunki. Rozumiemy się co do tego?

Mickey wstał zza biurka.

— Jak chcesz, to każę przerobić ten scenariusz. O.K.?

— Dobrze. I zanim podpiszę kontrakt, chcę mieć też zgodę mojego partnera i reżysera.

Żądania tego babsztyla doprowadzały go do wściekłości.

— Dobra. Zresztą to już jest w twoim kontrakcie.

— Jeszcze go nie podpisałam.

— Ale to jest w poprzednim.

— To nic nie znaczy, wiesz o tym dobrze. Ma to wszystko być w nowym kontrakcie, rozumiesz? I nie podpiszę go, dopóki nie zobaczę przeróbki. Czy wyrażam się dość jasno?

— Ta, ta, ta.

Venus Maria wyszła, nie mówiąc już nic więcej. Zatrzymała się przy biurku Lucky.

— Powiedz — zapytała — jak możesz pracować u takiego palanta i nie zwariować?

— To nie jest łatwe — Lucky się roześmiała.

Zaraz po wyjściu Venus Marii, Mickey wybiegł z biura, klnąc na czym świat stoi.

— Co ona sobie wyobraża, ta głupia dziwka? Aktorki! Wszystkie są takie same.

Zrobisz z takiej gwiazdę, a jej się zdaje, że to wyłącznie jej zasługa. Gdyby ta idiotka nie miała za sobą całego studia, dobrego reżysera, najlepszego kamerzysty — to by zamiatła podłogi w Safewayu. Aktorki!

Nie lubił aktorek. Nie lubił aktorów. Kogo on w ogóle lubił?

— Idę stąd — oznajmił burkliwie. Lucky nie musiała pytać dokąd.

Dziesięć minut potem Johnny Romano złożył niezapowiedzianą wizytę. Wszedł do biura krokiem atlety, stuprocentowy mężczyzna.

— Cześć, moja piękna. Stary jest u siebie?

Wierna świta Johnny'ego trzymała się dwa kroki za nim.

— Pan Stolli musiał wyjść — odpowiedziała Lucky.

— Szkoda. Chciałem się z nim spotkać. Dzisiaj świętujemy.

— Co pan świętuje, panie Romano? — spytała uprzejmie Lucky.

— Mój film, ślicznotko. W tym tygodniu mamy premierę. Co, ty o niczym nie wiesz? *Matkożerca* zarobi kupę forsy dla tego studia, jak jeszcze żaden film — pochylił się nad jej biurkiem, prawie dotykając swoją przystojną, arogancką twarzą jej twarzy. — Wiesz, co to jest *Matkożerca*, moja piękna?

„Wiem, wiem, idioto” — odpowiedziała mu w myśli. — No jak, wiesz?

Potrząsnęła przecząco głową. Johnny Romano roześmiał się w głos. Jego świta również. Czekali, aż i ona się roześmieje. Lucky patrzyła na niego obojętnie.

— No, moja panno — powiedział Johnny, przysuwając się jeszcze bliżej. —

Rozchmurz się. Jesteś stanowczo za poważna. Praca dla Mickeya to ciężki kawałek chleba, nie? Chcesz mój autograf?

„Na moim tyłku” — pomyślała Lucky.

Nie czekając na odpowiedź, Johnny strzelił palcami. Jeden z jego obstawy podsunął mu podpisane zdjęcie.

— Wiesz co, zrobię ci przyjemność i dopiszę coś osobiście — powiedział, nagle wielkoduszny. — Jak masz na imię, maleńka?

— Luce — wyszeptała.

— Lucy. Dla Lucy. Napiszę: Dla Lucy - powiedział Johnny Romano skrobiąc coś nieczytelnie na fotografii, na której było już wcześniej napisane „Miłość i serce, od Johnny'ego Romano”.

Podał jej zdjęcie szerokim gestem.

— Powiedz staremu, że u niego byłem. I nie bądź taka naburmuszona, słyszysz?

Johnny Romano ci to mówi.

Wielka rzecz, cholera!

Nagle Lucky zrozumiała, co Mickey miał na myśli. Aktorzy! Można ich było znienawidzić. Kiedy ona przejmie to studio, wiele się tu zmieni.

Rozdział trzydziesty siódmy

Telefon obudził Gina o trzeciej nad ranem.

— Będziemy mieć dziecko — mówił zaaferowany Steven. — Możesz przyjechać do szpitala?

Gino zaczął nakładać gorączkowo ubranie.

— Będziemy mieć dziecko — powtórzył uradowany.

— Mary Lou jest już na oddziale położniczym — powiedział Steven. W jego głosie dawało się odczuć napięcie.

— Już tam jadę — zapewnił go Gino.

— Gdzie jest Lucky?

— Spróbuję się z nią skontaktować.

— Powinna tu z nami być. Mary Lou o nią pytała.

Gino nie posiadał się z radości. Denerwowało go, że Bobby musiał mieszkać w Anglii, przez co prawie nie mógł go widywać. A teraz Steven i Mary Lou dają mu następnego wnuka. Była to dla Gina wielka chwila. Szybko narzucił na siebie ubranie i zamówił taksówkę. Po chwili wybiegł z pokoju. Kiedy zjawiał się w szpitalu, Steven przemierzał korytarz w tą i z powrotem. Gino poklepał go po ramieniu.

— Musisz się uspokoić, stary. To się zdarza codziennie.

— Ale nie mnie — odparł Steven.

— Nie powinieneś być teraz przy niej?

— Ona nie chce — Steven wzruszył ramionami. — Kazała mi wyjść.

— Jak to?

— Jest z nią jej matka. Wiesz, jakie są teściowe. To staromodna osoba, nie życzy sobie obecności męża przy córce. Ale to nic. Zresztą, kto naprawdę chciałby na to patrzeć? Mnie to przeraża.

Gino się roześmiał.

— Przeżywałem to dwa razy. Kiedy urodziła się Lucky i Dario. Chciałbym być teraz w twojej skórze, Steven.

Ich oczy spotkały się na moment.

— Skontaktowałeś się z Lucky? — spytał Steven.

— Próbuję. Nie martw się, nie ucieknie nam ciocia.

O ósmej rano Mary Lou urodziła czterokilogramową dziewczynkę. Nadali jej imię Carioca Jade. Wróciwszy do mieszkania, Gino zadzwonił do Lucky.

— O, nie! — krzyknęła do słuchawki. — Miała rodzić dużo później, a ja nie zdążyłam. Czy dobrze się czuje? — Jak najlepiej. Mary Lou przeszła przez to jak weteranka. — Poślę jej kwiaty. Tak mi przykro, że nie mogłam być z wami. Ale wracam już za tydzień.

— Tak sądzisz? Za tydzień przejmujesz studio — wtedy dopiero będziesz uwiązana w Los Angeles.

— Pewnie masz rację, Gino. Ale przynajmniej będę mogła robić, co chcę. Mogę przyjeżdżać do Nowego Jorku na weekendy. Niech tylko studio ruszy z miejsca, wtedy... — zrozumiała nagle, o czym mówi. — O Boże, to może długo potrwać, prawda?

— Tak.

— Lennie mi pomoże. Umrze z radości, kiedy się dowie! Gino nie był tego pewien.

— Gdzie on jest?

— O to będę się martwić za tydzień.

— Jeśli jesteś taka pewna.

— Jestem pewna.

Warner drżała, kiedy Mickey skończył się z nią kochać. Dawało mu to niezwykle poczucie siły — widzieć jak wysoka, czarna policjantka drży, ponieważ on kochał się z nią tak namiętnie.

— Mickeyu, jesteś najlepszym kochankiem, jakiego miałam — przyznała w ekstazie.

Śmieszne, ale dziwka Madame Loretty dwa dni temu powiedziała mu to samo. Żaden mężczyzna nie mógł wymagać lepszego dowodu. Najpierw dziwka, a teraz Warner. Widocznie naprawdę jest świetny w łóżku. Dziwne, że Abigaile nigdy tego nie zauważyła.

Starał się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz kochał się z Abigaile. Miało to coś wspólnego z jej urodzinami i diamentową bransoletką. I nie była to zwyczajna miłość, ale francuska. I trzeba przyznać, że w mieście, które podniosło miłość francuską do rangi sztuki, Abigaile była w tym jedną z najlepszych.

Zastanawiał się, kto ją tego nauczył. Nigdy właściwie nie rozmawiali o swojej przeszłości. Do dzisiaj Abigaile nie miała pojęcia o jego nieślubnym synu, który mieszkał z jego byłą dziewczyną na przedmieściach Chicago.

Abigaile nie byłaby zachwycona, gdyby się o tym dowiedziała.

Mickey nie miał też zamiaru jej mówić — choć, trzeba przyznać, że przez wszystkie lata posyłał swemu synowi co miesiąc hojny czek. Obiecał tamtej dziewczynie, że będzie łożył na dziecko tak długo, jak ona zatrzyma tajemnicę dla siebie. Nigdy nie widział syna. Należał do przeszłości, która była dla niego zamkniętą kartą. Nie zamierzał też wtrącać się w decydowanie o jego przyszłości.

Kiedy Mickey poszedł wziąć prysznic, Warner nadal leżała na łóżku jak ogromna ebonitowa rzeźba.

— Nie mogę się ruszyć — szepnęła. - Jesteś dla mnie za silny. Gdyby zasypywał ją futrami i diamentami, podejrzewałby Warner o nieszczerłość, ale ona nie chciała od niego nic, więc był skłonny jej wierzyć.

Warner nie miała prawdziwego prysznica, a tylko dość ciasną wannę, co wkurzało Mickeya.

— Wiesz co, kochanie — krzyknął do niej. — Muszę zrobić ci nową łazienkę, chcesz czy nie chcesz.

— Nie ma mowy, Mickeyu. Nie pozwolę, żebyś wydawał na mnie takie pieniądze. Weszła do łazienki, całkiem naga. Mickey w życiu nie widział takich piersi. Były jędrne, trójkątne, z ogromnymi, czarnymi sutkami. Tamta Murzynka u Loretty miała mały biust. Ten przywodził mu na myśl dumę afrykańskich plemion.

— Czy twoi rodzice przyjechali z Afryki? — spytał. Warner się roześmiał.

— Nie, ze śródmieścia Los Angeles. A dlaczego?

Wyciągnął rękę, żeby jeszcze raz dotknąć jej piersi przed kąpielą. Pośliznęła się i o mały włos nie złamał nogi. W końcu owinał się krótkim ręcznikiem, wytarł do sucha i wyszedł.

W domu czekała na niego poirytowana Abigaile.

— Dlaczego zawsze ja muszę wykonywać czarną robotę? Westchnął.

— Co się znów stało?

— Rozmawiałam dzisiaj z dziadkiem. Nie jest zainteresowany sprzedażą studia. Dlaczego w ogóle sądziłeś, że będzie? Odpowiada mu tak jak jest i szczerze mówiąc, Mickeyu, nam też powinno to odpowiadać — ponieważ kiedy dziadek umrze, studio jest nasze i możemy zrobić z nim, co będziemy chcieli.

— Tak ty uważasz — odparł sarkastycznie Mickey. Abigaile gotowa była do kłótni.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kto wie, co ten staruch gotów jest zrobić.

— No właśnie. Dlatego muszę z tobą o tym pomówić. Wspominałeś niedawno, że masz zamiar przyjąć pracę w innym studiu. Jeśli to zrobisz, kto pokieruje studiem Panther? A przede wszystkim, kto je odziedziczy?

— Ty je odziedziczysz, co do tego nie ma wątpliwości. Ty i twoja urocza siostrzyczka.

— Wiem o tym, Mickeyu, ale jeśli ktoś inny będzie je prowadził, mogą wyniknąć kłopoty — potrząsnęła głową, podejmując decyzję za ich oboje. — Będziesz musiał odmówić Swansonowi.

— Abigaile, nie mogę odmówić Swansonowi, jeśli on chce mi dać więcej pieniędzy.

— A to czemu? Zarabiasz milion dolarów rocznie plus to wszystko, co uda ci się ukraść po drodze. Jeszcze ci mało?

Spojrzał na nią z obrzydzeniem.

— Dziękuję. To miło mieć żonę, która w każdej chwili chętnie służy poparciem. Co ja bym bez ciebie zrobił, Abigaile.

Przełknęła jego sarkazm bez komentarza.

— To ja dziękuję, Mickeyu. Staram się sprawiać ci przyjemność.

Rozdział trzydziesty ósmy

Effie Webster uwielbiała wydawać przyjęcia. Stanowiły ważny element jej życia. Nie wyobrażała sobie rezygnacji z tej przyjemności. W końcu Effie i Yul Websterowie słynęli właśnie ze swych przyjęć.

Połowa zabawy to dobieranie eklektycznego zestawu gości. Zapraszali wszystkich — od głodujących aktorów i aktorek do największych producentów Broadwayu. No, może nie tych całkiem głodujących.

Effie знаła wszystkich. Zaplanowanie urodzinowego party dla Martina Swansona nie było trudne, bo Martin i Deena także wszystkich znali. Ciężko było tylko zdecydować, kogo nie zapraszać.

Tym razem Effie postanowiła urządzać kostiumowe party. Rozesłała czarne zaproszenia, na których wydrukowano złotymi literami: PRZEBIERZ SIĘ ZA TWOJE ULUBIONE MARZENIE. Co za czarujący sposób na zgłębienie psychiki sławnych i bogatych. „Przebierz się za twoje ulubione marzenie” było zaproszeniem do odkrycia tajemnic duszy — zaproszenie, któremu niewiele osób potrafi się oprzeć.

Effie postanowiła wystąpić w przebraniu królowej Nefretete.

— Wiesz, moja droga — mówiła Deenie przez telefon — zawsze pragnęłam zostać królową, a to jest świetna okazja. A ty za kogo się przebierzesz?

Deena długo się nad tym zastanawiała.

— Zdecydowałam się na Marlenę Dietrich. Tak, jak wyglądała w *Błękitnym aniele*.

— Doskonały pomysł! — krzyknęła Effie żałując, że sama na to nie wpadła. — Z twoimi nogami będziesz sensacyjna! Zdaje się, że o to właśnie chodzi, co?

— Tak — przyznała Deena. — Chyba o to chodzi.

Odłożyła słuchawkę i pomyślała o Martinie. Nie wspomniał ani słowem o rozwodzie. Odkąd wrócił z Los Angeles, poświęcił się wyłącznie pracy, przygotowując stadion sportowy imienia Swansona, na którym chciał zorganizować najbliższe mistrzostwa świata wagi ciężkiej. Interesował się także pracami nad nowym samochodem marki Swanson. Był to jego ulubiony projekt — luksusowy, elegancki i silny samochód, który miał symbolizować wszystko, co kryło się pod nazwiskiem Swansona. Martin planował zorganizować w Detroit wielką kampanię promocyjną tego samochodu.

Deena była pewna, że jej błądzący mąż nie odważy się ryzykować swego dobrego imienia i popularności nowego wozu dla taniej dziwki jak Venus Maria. Starła się wyobrazić sobie, co w niej aż tak pociągało jej męża. Seks, oczywiście. Ale przecież Martin nie był nigdy szczególnie zainteresowany seksem. Deena potrząsnęła głową. Nie mogła tego zrozumieć. Teraz pozostało jej tylko czekać, obserwować i zobaczyć,

co będzie się działo. A jeśli dojdzie do najgorszego, Deena ma już gotowy plan. Brigitte była bardzo podniecona zbliżającym się przyjęciem, ale nie zdradzała się przed Noną, której to nie imponowało. Dla Brigitte to party oznaczało powrót do normalnego świata. Dotychczas była albo zamknięta w szkole jak w więzieniu, albo musiała spędzać czas w towarzystwie Charlotty, która nigdzie jej nie zabierała. A teraz znów była w wielkim mieście, w samym środku tętniącego życia.

— Sama nie wiem, czy powinniśmy iść, czy nie — zastanawiała się Nona. — Słuchaj, a może raczej pójdziemy do kina i darujemy sobie ten wieczór?

— Ja jestem za przyjęciem — pełna entuzjazmu Brigitte umierała z ochoty. — Zobaczysz, to będzie bomba.

— A ja nie przepadam za zwariowanymi imprezami moich rodziców. W końcu jednak Nona przyznała, że akurat to przyjęcie może być zabawne. A wtedy pojawił się następny problem — za kogo się przebrać? Nona myślała o tym głośno.

— Właściwie, to czemu nie? Zrobię sobie taki odjazdowy czarny makijaż. Założę perukę w stylu Janet Jackson, ciasne dżinsy i kurtkę motocyklową. Pożyczę od Paula. On też przychodzi, wiesz?

— Ciekawe, jakie jest jego ulubione marzenie — spytała Brigitte, starając się nie okazywać zbyt wielkiego zainteresowania.

— Pewnie Picasso połączony z forszą Donalda Trumpa — odparła sucho Nona. W końcu jednak postanowiły, że obie przebiorą się za Venus Marię. Nona chichotała:

— Rany, wszystkim oczy wyjdą na wierzch!

— Jesteś pewna, że jej nie będzie? — spytała Brigitte, myśląc, że gdyby Venus Maria miała pojawić się na przyjęciu, wtedy ich pomysł byłby spalony.

— Nigdy nie wiadomo, kto dokładnie pojawi się na imprezie moich starych — powiedziała Nona.

Razem poszły na wielkie zakupy do Village, odwiedzając sklepy, do których Effie nie zajrzałyby nigdy w życiu. Wróciły do domu z mnóstwem niesamowitych strojów — od długich płaszcz wojskowych do marszczonych minispódniczek, skórzanych biustonoszy i króciutkich bluzeczek.

— Ona zawsze wymyśla takie fantastyczne zestawy — powiedziała Nona, przeglądając ostatni wywiad z Venus Marią w nowojorskim piśmie. — Moim zdaniem jest rewelacyjna. To jasne, że nie przejmuję się tym, co ludzie sobie pomyślą.

Brigitte się roześmiała.

— Zupełnie tak jak ty, nie?

— I co w tym złego? Większość kobiet robi tylko to, co mężczyźni uważają, że powinny robić. Ja nie zamierzam tak robić, kiedy będę starsza.

— Co to znaczy starsza?

— Tu jest napisane, że Venus Maria ma dwadzieścia pięć lat. To już całkiem sporo.

— Uważaj, żeby twoja mama tego nie słyszała! — Brigitte roześmiała się znowu.

— Effie zawsze będzie młoda — stwierdziła Nona ze złośliwym uśmiechem. — Nawet kiedy skończy osiemdziesiąt lat. Osiwieje do szczytu i będzie nosić te swoje szalone ubrania. Mama jest naprawdę odjazdowa.

— Powinnaś być szczęśliwa, że ją masz — powiedziała poważnie Brigitte.

— Wiem — zgodziła się Nona. — A właśnie, rozmawiałaś z ojczymem? Kiedy jedziemy do Malibu? Effie chce wiedzieć. Nie, żeby chciała się nas pozbyć, ale planuje mały wypad do Bangkoku i nie chciałyby ciągnąć nas ze sobą.

— Zostawiłam u jego agenta wiadomość, żeby tu do mnie zadzwonił. Słyszałam, że urwał się z filmu i zdaje się nikt nie wie, gdzie teraz jest. Ale na pewno zadzwoni. Lennie nie może mnie zawieść. Obiecał mi to Malibu, a Lennie zawsze dotrzymuje słowa.

— To dobrze — ucieszyła się Nona. — Nie wiem jak ty, aleja nie mogę się już doczekać.

Emilio Sierra i Dennis Walla doszli do porozumienia. Łączyło ich nie tyle zaufanie, co chciwość. Spotykali się kilka razy, kłócąc się bez przerwy o wynagrodzenie dla Emilia, który stanowczo odmówił ujawnienia nazwiska kochanka Venus Marii, dopóki nie ustalą ceny. Dennis z kolei upierał się, że nie może podać ceny, dopóki Emilio nie powie wszystkiego, co wie.

Po pierwszym spotkaniu w Café Roma, umówili się w zapuszczonym lokalu na Pico i tam próbowali dobić targu. Wreszcie zobaczyli się ponownie w biurze gazety „Truth and Fact”.

Emilio żądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Pismo zgodziło się tyle zapłacić pod warunkiem, że informacja okaże się tego warta. Teraz mieli ostatecznie uzgodnić warunki.

— Czołem, kolego — powitał go Dennis, siedząc za biurkiem uginającym się pod stosami papierów i paląc śmierdzące, tanie cygaro. — A więc nadszedł w końcu ten dzień, co?

Emilio, lekko zdenerwowany, pokiwał tylko głową. Nie był pewien, czy powinien tu przychodzić. Pojawienie się w redakcji „Truth and Fact” mogło go zdradzić. Kiedy minął główne wejście, widział jak ludzie patrzą na niego zza swoich maszyn do pisania i czuł się jak zdrajca, ale z drugiej strony, dlaczego miałby z tego zrezygnować, jeśli może mu to dać niezły zarobek?

Dennis przedstawił go swemu koledze, niskiemu Anglikowi o szurzej twarzy z rzadkimi brwiami i opadającym wąsikiem.

— Kto to jest? — spytał podejrzliwie Emilio.

— Będzie naszym świadkiem — wyjaśnił Dennis. — Nie można wręczyć czeku bez świadka. Teraz musisz podać nam fakty, Emilio. Daty, miejsca, nazwiska.

Wszystko.

Emilio kiwnął głową.

— Wiem — powiedział raczej opryskliwie.

Boże, dlaczego to wszystko jest takie trudne. Dlaczego nie może po prostu powiedzieć im, z kim sypia jego siostra, zgarnąć forszę i pójść sobie?

— Siadaj — powiedział Dennis. — Chcesz piwa?

Emilio zaprzeczył. Od tygodnia starał się oszczędzać żołądek — a to znaczyło odstawienie piwa. Ogromne poświęcenie. Ale Emilio chciał być w dobrej formie, kiedy już dostanie te pięćdziesiąt tysięcy. Kupi sobie uczciwy samochód, porządne ubranie i przeprowadzi się do luksusowego apartamentu. Emilio Sierra pnie się wzwyż.

— Dobra, zaczynamy — powiedział Dennis włączając magnetofon.

— Po co to? — zaniepokoił się Emilio.

— Powtarzam ci, musimy mieć dowody — tłumaczył cierpliwie Dennis. — Nie chcemy, żeby podano nas do sądu, prawda?

Emilio myślał o tym.

— Jak mogą was zaskarżyć, jeśli' to wszystko prawda? — spytał.

— Zdziwiłbyś się, jakbym ci powiedział, kto próbuje z nami wygrać. Sinatra, Romano, Reynolds, wszyscy najwięksi. I są głupi, bo nie mają szansy. Tracą tylko forszę. Ale nie zależy nam na tym, żeby ciągal nas po sądach przez parę lat, co?

— Nie — odparł Emilio, zastanawiając się, czy Venus Maria wytoczyłaby im proces.

— No to start — powiedział Dennis zwalniając klawisz pauzy. Emilio poczuł, że robi mu się gorąco. Cienka strużka potu spłynęła mu między łopatkami. Bolał go żołądek. W ogóle czuł się źle.

— No więc tak... — zaczął. ~ - Gdzie jest mój czek?

Dennis wyjął z szuflady czek na pięć tysięcy dolarów. Pomachał nim przed nosem Emilia.

— To na razie, resztę dostaniesz jak twoja historia pójdzie do druku.

Emilio próbował pochwycić czek. Dennis natychmiast odsunął rękę.

— Nie tak prędko. Najpierw musimy mieć to nazwisko. Jeśli będzie coś warte, czek jest twój — a potem następny.

„Jasna cholera — pomyślał Emilio — lepiej mieć to za sobą”.

— Nazwisko jej kochanka brzmi Martin Swanson — wyrzucił z siebie jednym tchem, z radością widząc zaskoczenie i niedowierzanie na twarzach dziennikarzy.

Dennis wydał przeciągłe, niskie gwizdnięcie.

— Martin Swanson! Ten nowojorski bogacz?

— Martin Swanson — powtórzył Anglik. — Niezła historia.

— Niech cię cholera! — krzyknął radośnie Dennis. Jeśli potrafisz to udowodnić, to będziemy ci wdzięczni do końca życia, kolego!

— Jasne, że mogę to udowodnić — przechwalał się Emilio. — Mam nawet ich zdjęcie, razem — zagrał swoją kartą atutową.

— Zdjęcie? — spytał Dennis coraz bardziej podekscytowany. — Nie mówiłeś o żadnych zdjęciach.

Emilio zastanowił się błyskawicznie.

— Jak chcecie zdjęcia, to są osobno.

— Aha — powiedział Dennis. — Zdjęcia osobno?

— Jeśli chcecie — powtórzył Emilio.

— Chcemy — potwierdził Dennis.

Martin Swanson stał pośrodku garderoby i oglądał swoją twarz w powiększającym lusterku. Sięgnął po małe szczypce i wyrwał kilka włosków, które wyrastały mu pod brwiami. Potem cofnął się o krok i obejrzał się cały w dużym lustrze ściennym.

Przebrany był za żołnierza konfederacji. Deena uważała, że to oryginalny kostium, a Martin musiał przyznać, że było mu w nim do twarzy.

Urodziny z reguły wprawiały go w stan przygnębienia, ale tym razem czuł się zadziwiająco dobrze. Wydało mu się nagle, że ma bardzo wielu przyjaciół. Prezenty nadchodziły przez cały dzień, a z nimi naręcza kwiatów, baloniki i urodzinowe telegramy.

Od Deeny dostał w prezencie złotą ramkę na zdjęcie, w której Deena umieściła ich ślubną fotografię. Byli tam razem — Deena i Martin Swan-sonowie przed kościołem, roześmiani i szczęśliwi.

I to było zaledwie dziesięć lat temu? Wydaje się, że upłynęło całe życie. Kiedy ożenił się z Deeną, był gotów się ustatkować. Kto mógł przewidzieć, że spotka kiedyś taką kobietę jak Venus Maria?

Venus zadzwoniła do jego biura wcześniej.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Martin — powiedziała z drugiego końca Stanów Zjednoczonych. — Przykro mi, że nie mogłeś przyjechać, żeby uczcić tę rocznicę razem ze mną.

— Nie mogłem — odpowiedział. — Interesy.

— Nie powinieneś pozwalać, żeby interesy rządziły twoim życiem — pouczała go.

— Jak będziesz tylko pracował i nie zażywał odpoczynku, to staniesz się strasznie nudny. Roześmiał się.

— Nie jestem nudny przy tobie, prawda?

— Już ja się o to staram, kochany.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Venus nie spytała: „Kiedy się zobaczymy?” Nie musiała. Martin wiedział, że ona o tym myśli tak samo jak on. Ich związek osiągnął etap, na którym same obietnice przestały jej wystarczać.

Ale nie było to łatwe. Oczywiście, że mógł rozwieść się z Deeną. Pewnie

będzie go to trochę kosztować, i czeka ich fala krytycznych i złośliwych komentarzy w prasie — ale potem będzie mógł zrobić, co zechce.

No dobrze, byli państwem Swanson, prawie właścicielami Nowego Jorku. Ale Martin Swanson mógł również sam objąć Nowy Jork w posiadanie. Nie potrzebował do tego Deeny.

Decyzja nie należała do łatwych i Martin nie był jeszcze gotów jej podjąć. Przez telefon przyrzekł Venus Marii przylecieć do Los Angeles w następnym tygodniu. Cieszyła go ta myśl. Ta kobieta naprawdę wiedziała, co go najbardziej podnieca. Jej sztuczki i niespodzianki były czymś nowym w życiu Martina. Przez chwilę pozwolił sobie na wspomnienie tamtach dwóch pańienek i jedwabnych szali. To było coś. Venus Maria miała sposoby, żeby utrzymać zainteresowanie mężczyzny. Jeszcze ostatnie spojrzenie i Martin wyszedł z garderoby, zadowolony ze swego wyglądu.

Deena czekała na niego na dole, okryta długim futrem z soboli.

— No to pokaż swoje przebranie — zachęcił ją Martin. Obróciła się dokoła, zrzucając z ramion futro.

— O rany! — Martin był pod wrażeniem; poślubił bardzo piękną kobietę. Deena miała na sobie wspaniałe strój. Jej długie, smukłe nogi okryte były czarnymi pończochami, a cała reszta była doskonałą kopią słynnego kostiumu Marleny Dietrich z *Błękitnego anioła*. Kiedy chciała, Deena potrafiła stać się kobietą o niezwykłej urodzie.

— Jesteś dziś bardzo przystojny, Martin — powiedziała, wygładzając mu włosy z tyłu głowy.

— A ty ~ co ja ci mogę powiedzieć? Udało ci się, wiesz? Effie zzielenieje z zazdrości.

Deena uśmiechnęła się triumfująco.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytała.

— Dlatego, moja droga — powiedział, podając jej ramię — że dziś wieczorem nikt nie spuści z ciebie oka. Ja też nie — dodał po chwili.

Deena czuła swoje zwycięstwo. Uniosła podejrzliwie brew.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Venus Maria miała niewiele wolnego czasu. Różne zajęcia wypełniały jej dzień od rana do wieczora. Jeśli nie była na treningu, miała próbę wideo. Jeśli nie próbę, to nagrywała w studiu piosenki, albo pracowała z dwoma autorami tekstów, uzgadniając swoje propozycje z ich pomysłami. Kilka razy w tygodniu pracowała z Ronem, który nadal przygotowywał dla niej układy choreograficzne. Nie tylko to — wciąż pozostawali najlepszymi przyjaciółmi, pomimo Kena Laleczki.

Były też filmy. Venus Maria starała się czytać wszystkie nadsyłane jej scenariusze. Tylko kiedy zupełnie nie miała czasu, polegała na usługach swojego recenzenta. Była naprawdę zła, że Martin wbrew danej obietnicy nie przyleciał do niej na urodziny. Przyznała się do tego Ronowi, kiedy ćwiczyli pewien taniec w sali prób.

— Czego ty od tego faceta wymagasz? — pytał Ron, jak zawsze prosto z mostu.

— Żeby był ze mną cały czas — odparła.

— Wiesz, że to śmieszne. Martin Swanson mieszka na stałe w Nowym Jorku. Pomyśl, jakie by było wasze wspólne życie. Zdradzałabyś go na prawo i lewo, a on ciebie. Przecież cię znam, Venus.

— Może znasz mnie gorzej, niż ci się zdaje — odpowiedziała oburzona.

— Daj spokój. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Znałem cię zanim... zanim w ogóle miałaś szansę zostać gwiazdą. Znałem cię, kiedy Venus Maria była tylko swędzeniem w twojej cipce.

— Nie zapominaj, Ron — odwdzieczyła mu się — że i ja znałam ciebie, zanim zostałeś królem hollywoodzkich pedałów.

— Zostałem kim?

— Słyszałeś — odparła szorstko.

— Serdeczne dzięki, madame. Zawsze chciałem być królem pedałów.

— I może powiem ci jako pierwsza, że udaje ci się to znakomicie. Ty i Laleczka jesteście na ustach wszystkich chłopców w tym mieście.

Ron był urażony.

— Prosiłem cię milion razy, żebyś nie nazywała go „Laleczką”. Venus Maria przeciągnęła ręką po swych platynowych włosach.

— Ale on nią jest, Ron.

— Słuchaj, kochana. Nie wypowiadaj się o moim kochanku, to ja nie będę się wypowiadał o twoim, zgoda?

Popatrzyli na siebie i powrócili do przerwanej próby.

Ron był wymagającym mistrzem. Kiedy prowadził Venus Marię, jej taniec musiał być opracowany bez zarzutu. I nigdy nie pozwalał, by Venus Maria ćwiczyła z partnerami, dopóki nie opanowała każdego najdrobniejszego ruchu. Była jego ulubioną gwiazdą i pupilką.

Ron był przekonany, że to jemu Venus Maria zawdzięcza całą swoją karierę, a ona wiedziała o tym, choć nie zdradzała się przed nim. Nie przeszkadzało jej to. Jeśli chciał sobie przypisywać zasługę, to czemu nie. Venus Maria wiedziała, że z Ronem czy bez niego, i tak doszłaby do szczytu. Oczywiście, bardzo jej pomógł, szczególnie na początku, ale teraz już nie był jej niezbędny.

Venus Maria nie potrzebowała nikogo. Oprócz Martina.

Effie osobiście witała wszystkich gości. Nie dla niej armia służących, choć było ich w domu pod dostatkiem. Effie uważała, że osobisty kontakt jest niezbędny dla pełnego sukcesu przyjęcia.

Kiedy przyjechali Deena i Martin, Effie czekała na nich w drzwiach.

Deena zrzuciła z ramion futro.

— Dobry Boże! — powiedział Yul, kręcąc się za plecami Effie. — Nigdy nie przypuszczałem, że masz takie wspaniałe nogi!

Deena odpowiedziała mu swoim chłodnym uśmiechem. Tego wieczoru każdy facet musiał być jej, i wiedziała o tym doskonale.

— Wyglądasz bosko, kochana — chwaliła Effie. — I Martin, jaki z ciebie przystojny żołnierz! Powinieneś częściej go nosić, uwielbiam wojskowe mundury.

-- Strasznie głupio się czuję — powiedział swobodnie Martin. Yul, przebrany za jaskiniowca, powiedział:

— Ty głupio się czujesz? Zamień się ze mną na dziesięć minut. Martin roześmiał się i za chwilę zniknął w tłumie gości. Wszyscy

podchodzili złożyć mu życzenia urodzinowe. To był jego wieczór.

Brigette, Nona i Paul obserwowali całe towarzystwo.

— Martin Swanson to zwykły fircyk — orzekła Nona. — Popatrzcie, jak on się rusza. Stary podrywacz!

— No! — powiedział Paul. Przyjrzyjcie się, jakie jego żonka ma nogi!

— Po pierwsze to mężatka, a po drugie o wiele za stara dla ciebie — Nona studziła jego zapal.

— Ale jaka bogata — zauważył Paul.

— Przestań. I tak nie jest bogatsza od Brigitte.

— Wszyscy wiemy, że nie można być bogatszym od Brigitte. A skoro już o tym mowa, jeśli ona jest taka bogata, to dlaczego nie sprawiłyście sobie jakichś porządnych strojów? Wyglądacie jak dwie młodociane dziwki.

Nona zmrużyła oczy.

— Każda z nas jest Venus Marią, nie zauważyłeś?

— Ano nie. Nadal wyglądacie jak dwie kurewki.

— Naprawdę! obraziła się Nona. Ty to potrafisz gadać głupoty!

— Kto z kim przestaje...

— Czy wy zawsze się tak kłóćcie? spytała zaciekawiona Brigitte.

— To nie jest kłótnia — powiedział Paul.

— Oczywiście, że nie! — zgodziła się Nona. — Gdybyś nas widziała, kiedy naprawdę się pokłócimy!

Paul postanowił w ogóle się nic przebierać i przyszedł na przyjęcie w swoim zwykłym czarnym ubraniu. I nikt tego nie zauważył, oprócz jednej Brigitte, która nie mogła oderwać od niego oczu.

Przypomniął jej się moment, kiedy pierwszy raz zobaczyła swojego pierwszego chłopaka, Tima Wealtha. Wydawało się jej, że tyle czasu upłynęło od tamtej pory, a przecież nie minęło więcej niż dwa lata. Tim był wysoki i szczupły, o pociągłej twarzy, miłym uśmiechu i dość długich włosach. Pierwszy raz Brigitte zobaczyła go na otwarciu zbudowanego przez Lucky hotelu — i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Nieco później tego samego wieczoru Tim zaprosił ją do swego pokoju, wręczył dawkę kokainy i kazał jej się rozebrać. Nie miał pojęcia, kim ona jest, a tym bardziej, że nie ma nawet piętnastu lat. A potem kochał się z nią — szybko i namiętnie.

Zrobiło jej się gorąco od tych wspomnień. Zdjęła brokatowy żakiet, pod którym miała skąpy skórzany biustonosz i spódniczkę mini.

Paul przyjrzał jej się uważnie.

— Nieźle — powiedział. — Szkoda tylko, że jesteś jeszcze dzieckiem. „Byłam jeszcze większym dzieckiem, kiedy poznałam Tima Wealtha — pomyślała Brigitte. — Jemu to nie przeszkadzało”.

Paul wodził oczami za uwodzicielsko kształtnymi nogami Deeny Swanson.

— Jezu, jak ona dzisiaj wygląda — powiedział lubieżnie.

— Mogłaby być twoją matką — zauważyła Nona.

— Niezupełnie.

— Prawie — upierała się siostra. Paul wstał.

— Zostawiam was, nimfetki, same. Zaraz do was wrócę.

— Niemożliwe! — powiedziała Nona. — On naprawdę chce poderwać Deenę Swanson. Wyobrażasz sobie? Będzie się przystawiał do najlepszej przyjaciółki mojej mamy!

Brigitte zmusiła się do uśmiechu. Była zazdrosna. Ale nie zamierzała tego po sobie pokazywać, bo zakochanie się oznaczało złamane serce, a to Brigitte знаła aż za dobrze.

— Co słyhać, pani S.?

Deena odwróciła się i spojrzała na szczupłego młodzieńca, który wpatrywał się w nią uporczywie.

— Czy my się znamy? — zapytała chłodno.

Ich oczy się spotkały. Paul miał bardzo bezpośrednie spojrzenie.

— To ja, Paul. Syn Effie. Deena była szczerze zaskoczona.

— O Boże, Paul. Jak ty się zmieniłeś! Od tak dawna cię nie widziałam.

— Rzeczywiście, to już sporo czasu zgodził się. — Podróżowałem trochę po Europie. Z plecakiem. Nie całkiem w pani stylu, prawda?

— Byłeś jeszcze małym chłopcem, kiedy ostatnio... byliśmy razem — powiedziała.

— To brzmi podniecająco, Deena.

Czyżby on ją podrywał? Nie. Niemożliwe. To przecież jeszcze dziecko... chociaż strasznie przystojne.

— Słucham?

— No, wiesz... „Kiedy ostatnio byliśmy razem”, brzmi strasznie podniecająco. Nie sądzisz?

— Paul, czy to ma być flirt? Czarujący uśmiech.

— Mam nadzieję, że tak. Jeśli nie, to znaczy, że zupełnie się na tym nie znam. Deena nie mogła nie odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech.

— Miło cię znów widzieć, mój drogi — powiedziała. — Widzę, że odziedziczyłeś poczucie humoru po matce.

Rozmarzone spojrzenie.

— Nie mów do mnie „mój drogi”. Nie próbuj traktować mnie z góry, Deena.

— Nawet bym o tym nie śniła.

— Nie śniłabyś o czym?

— O traktowaniu ciebie z góry, Paul. Gdzie jest Effie?

— Musi gdzieś tu być. Dlaczego? Chcesz, żeby pomogła ci się mnie pozbyć?

Deena zaprzeczyła ruchem głowy. Paul zmienił ton.

— Boisz się?

Ciebie? Raczej nie, mój drogi — odwróciła się i zostawiła go samego.

— Masz ładne nogi - powiedział do jej pleców.

Uważał, że odniósł zwycięstwo. Zadowolony z siebie wrócił do Nony i Brigitte.

— Ona pożąda mojego ciała — oświadczył. — Musiałem powiedzieć „me”.

— Czyżby? — spytała sarkastycznie Nona. — To miło z twojej strony. Zawsze wiedziałam, że jesteś najgorszym kłamcą na świecie.

— Możesz mi nie wierzyć. Przekonasz się, czy mnie to martwi — Paul odwrócił się od siostry nonszalancko i zainteresował się Brigitte.

— Czy mogłabyś udzielić mi pożyczki? Powiedzmy, z tysiąc? Oddam ci, jak będę sławny i bogaty.

— No proszę! — zakpiła Nona.

— Nie mogę wydawać swoich pieniędzy — wykrztusiła Brigitte. — Wszystkie są zainwestowane.

— A nawet gdyby mogła — wtrąciła Nona — ty byłbyś ostatnią osobą, której Brigitte cokolwiek by pożyczyła. Ja byłabym pierwszą, prawda?

Brigitte nigdy by tego nie przyznała głośno, ale Paul był przystojniejszy nawet od Tima Wealtha.

Emilio podpisał kontrakt. Powinien pewnie zanieść go najpierw do jakiegoś dobrego adwokata, żeby go przejrzał — ale i tak wiedział, co robi. Miał nosa do interesów.

Właśnie wynegocjował dla siebie pięć-

dziesiąt tysięcy dolarów — bez pomocy żadnego przemyślnego prawnika. Teraz zostało tylko opowiedzieć im całą historię o Venus Marii i jej żonatym kochanku. Przede wszystkim otworzył konto w banku. Natychmiast wypłacił pięć tysięcy gotówką i ruszył w miasto, zatrzymując się we wszystkich barach po drodze. Znajomi, których spotykał, byli zaskoczeni.

— Skąd masz tyle forsy, stary? — pytali.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że Emilio do perfekcji doprowadził sztukę posługiwania się nazwiskiem swojej siostry, żeby przysiąść się do stolików i pić na rachunek innych.

— Siostra mi dała — odpowiadał na pytania.

I w pewnym sensie była to prawda. Gdyby nie Venus Maria, na pewno nie miałby teraz pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Na razie co prawda tylko pięć, ale wyrówna rachunek, kiedy tylko jego historia zostanie spisana, a szczegóły sprawdzone.

Kilka koktaili później Emilio zaczął jakąś dziwkę w jednym z barów. Nie wiedział nawet, że to dziwka. Powiedziała, że jest aktorką. W Hollywood wszystkie to mówiły — taki był styl.

Miała długie, tlenione włosy i jeszcze dłuższe, szczupłe nogi. Miała na sobie króciutką czerwoną sukienkę, wyciętą nisko z tyłu, a jeszcze niżej z przodu. Jej strój niewiele zostawiał wyobraźni.

Emilio niczego sobie nie wyobrażał — tym razem po prostu świętował.

Zabrał dziewczynę do wynajętego pokoju i kochał się z nią przez pięć minut.

— Już? — spytała oburzona, kiedy skończył. — Przyszłam tu, żeby się zabawić.

Królik by to lepiej zrobił!

— Przecież ci dogodziłem — mamrotał Emilio pragnąc, żeby się wyniosła.

Dziewczyna zażądała pięćdziesiąt dolarów na taksówkę do domu. Emilia to zdenerwowało.

— Pięćdziesiąt zielonych za taksówkę?

— Kochanie, nie przyszłam tu dla twoich pięknych oczu.

Mrucząc pod nosem przekleństwa, Emilio wcisnął jej dwudziestkę i wypchnął z pokoju. Kiedy poszła, włączył telewizję i onizował się oglądając Glorię Estefan.

To dopiero kobieta. Emilio był przekonany, że Gloria Estefan nie próbowałaby naciągnąć go na pięćdziesiąt dolców. W końcu zasnął. Następnego dnia czekała go kolejna sesja z Dennisem i jego magnetofonem. Historia nabierała kolorów.

Wkrótce pojawi się na pierwszych stronach gazet. Podniecało go to.

Emilio Sierra także będzie sławny.

Rozdział czterdziesty

Eddie Kane odchodził od zmysłów i wydawało mu się, że zaraz kompletnie zwariuje. Nikt nie chciał mu pomóc. Nie było ani jednej osoby, której mógłby zaufać.

Biegał po domu jak opętany. Niech to szlag! Dziesięć dni temu miał wszystko — masę forsy, przepiękną żonę — życie układało się tak pomyślnie! I miał swoje prochy, które uwalniały go od stresów. Jedna niewielka dawka i od razu Eddie widział świat w różowych okularach. Teraz potrzebował więcej, żeby móc chociaż wstać z łóżka.

Wiedział, że zaczynają się problemy, odkąd Mickey przestał z nim rozmawiać. Mickey, na którym polegał przez te wszystkie lata i do którego zawsze mógł zwrócić się o pomoc.

A więc wpadł w niezłe tarapaty. Ale przecież nie stali pod lufami meksykańskiej armii, na rany boskie! Zwykły milion dolarów mógł załatwić całą sprawę. Mickey Stolli i studio Panther powinni ten milion wypłacić. I to szybko.

Ale nie, Mickey zachowywał się jak dziecko i udawał, że nie on ponosi odpowiedzialność. Potrafił tylko gadać bzdury.

Pierwsze telefony były całkiem uprzejme: „Cześć Eddie, słuchaj, jesteś nam winien forszę”. Potem zaczęły się ostrzeżenia: „Lepiej znajdź tę forszę, Eddie, bo pan Bonnatti nie należy do cierpliwych”. A teraz grozili mu: „Twój czas się skończył, Eddie. Pan Bonnatti jest bardzo niezadowolony, że kazałeś mu czekać tak długo”.

Na pozór był to niewinny interes, którego pokusie nie sposób było się oprzeć. Eddie został przedstawiony Carlosowi Bonnattiemu w nowojorskim Le Club. Właściwie, Eddie znał jedną z dziewczyn pracujących dla Bonnat-tiego, Kathleen Le Paul, która zaopatrywała go w kokainę.

Kathleen przedstawiła go Carlosowi i nawiązali rozmowę.

— Studio Panther, tak? — powiedział Carlos. — Ja też robię filmy.

— Naprawdę? — spytał zaskoczony Eddie, myśląc, że nigdy o kimś takim nie słyszał.

— A tak — roześmiał się Carlos. — Ale raczej nie w waszym stylu. Eddiego można by oskarżać o różne rzeczy, ale nie o niedomyślność.

— Gracie, że tak powiem, po drugiej stronie siatki, co? — powiedział.

— Jest w tym forsa — odparł Bonnatti. — Wielka forsa. To Santino, mój brat, rozpoczął ten interes. Kiedy... zmarł, w przykrych okolicznościach, ja wszystko przejąłem. Mam współnika na Zachodnim Wybrzeżu, i swoich ludzi w Nowym Jorku. Mamy tylko problem z dystrybucją za granicą.

I tak się zaczęło. Bonnatti szukał sposobu na sprzedaż swoich filmów porno w Europie. Pewne kraje, jak Hiszpania i Włochy, wprowadziły przepisy uniemożliwiające import pornografii.

Eddie zaproponował idealne rozwiązanie: szmuglować filmy Bonnattiego razem z legalnymi produktami studia Panther. Kto będzie się czepiał transportu filmów z tak potężnego i znanego studia?

Bonnatti dał się łatwo przekonać. Eddie wyczuł dużą forszę i poszedł na całość.

— Chyba mogę ci w tym pomóc — mówił. I tak zawarli tymczasową umowę. Wszystko co Eddie musiał zrobić, to namówić Mickeya. Zanim do niego z tym poszedł, wszystko dokładnie przemyślał. Najpierw założył własną firmę w Liechtensteinie, licząc na to, że będzie mógł przesuwać fundusze, uzyskane na umowie z Bonnattim bez osobistego zaangażowania.

Mickey natychmiast podchwycił pomysł.

— I co, pieniądze bez ryzyka? — upewniał się.

— O to chodzi — potwierdził Eddie. — Dzielimy się z Bonnattim pół na pół, a potem ja z tobą po połowie. Nic prostszego.

Mickey się zgodził.

Do diabła z nim. Przez trzy lata, kiedy wszystko szło gładko, chętnie zgarniał swoją część forsy. A kiedy zaczęły się kłopoty, cała sprawa przestała go interesować. Eddie zastanawiał się, w jaki sposób ludzie Bonnattiego zauważyli, że zabiera więcej forsy, niż mu się należy. W końcu to on wykonywał całą robotę, nawiązywał kontakty za granicą, wynajdywał kanały, którymi przekazywane były pieniądze. Jeśli ktokolwiek ryzykował na tym interesie, to właśnie Eddie. A więc chyba należało mu się coś więcej.

Milion dolarów to było więcej, niż mu się należało, i przyszedł czas wyrównać rachunki. Carlos Bonnatti dowiedział się, że Eddie kradnie i chciał odzyskać swoje pieniądze. Leslie chodziła w ślad za Eddie.

— Jak mogę ci pomóc? — pytała po raz dziesiąty. Eddie nie miał ochoty z nią rozmawiać.

— Najlepiej się zamknij — odpowiadał opryskliwie.

Przyszło mu do głowy, że jedyny sposób na zdobycie tych pieniędzy, to sprzedaż najcenniejszej rzeczy, którą posiadali.

— Musimy wystawić dom na sprzedaż — oświadczył. — Zadzwoń do pośrednika i powiedz, że chcemy gotówki i to natychmiast.

Leslie nie wierzyła własnym uszom, ale zrobiła, co Eddie kazał, chociaż oboje wiedzieli, że pieniądze nie przyjdą dość szybko. Ale czując groźny oddech Bonnattiego na karku, Eddie nie wiedział, co robić.

Od samego rana czuł, że ten dzień nie skończy się dobrze. Był piątek. Ciężka chmura smogu wisiała nad plażą. Eddie czuł się potwornie przygnębiony. Nie wstając z łóżka sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Kathleen Le Paul.

— Przyjdź do mnie do domu — powiedział. — Potrzebuję lekarstw.

— Ja nie składam wizyt domowych — odparła krótko, niezadowolona z jego telefonu.

— Nie ma mnie w biurze — powiedział Eddie czując, że ból zaraz rozsadzi mu czaszkę.

— Zauważyłam. Gdybyś mnie uprzedził, oszczędziłabym sobie drogi.

— Słuchaj, kochanie, mam grypę. O co ci właściwie chodzi? Przyjdź do mnie i przynieś towar.

— Za gotówkę?

— Tak.

— Jesteś mi winien tysiąc pięćset za zeszły tydzień.

— Czeka na ciebie.

Zgodziła się niechętnie i umówili się na południe. Leslie smazyła w kuchni jajecznicę. Od samego zapachu zrobiło mu się niedobrze.

— Robię ci śniadanie — powiedziała.

Eddie pomyślał, że ta uprzejmość nie wyjdzie jej na dobre

— Zdejmij ubranie — zaproponował. Odwróciła się, zaskoczona.

— Co?

— Zdejmij ubranie — powtórzył. — Mogłabyś stać przy kuchni nago⁹

— Eddie, przestań — prosiła.

W jej głosie słyhać było ból, ale on tego nie zauważał.

— Dobra, nieważne.

Wrócił do sypialni i poczuł się jeszcze gorzej. Biedne dziecko, wyżywał się na niej — ale na kim innym mógł?

Pięć minut później Leslie zrobiła mu niespodziankę. Weszła do sypialni mając na sobie jedynie szpilki i biały fartuszek.

Co za ciało! Pierwszy raz od kilku tygodni Eddie poczuł podniecenie

— Hej! — powiedział. — Chodź do tatusia!

— Tego zdaje się chciałeś, co? — spytała wyniośle.

— Żartowałem — powiedział, masując jej piersi. — Ale skoro tu jesteś...

Położył się i pozwolił Leslie zrobić wszystko za niego. Była świetna. Jak na dziewczynę z Iowa, Leslie naprawdę znała się na rzeczy. Później zjadł śniadanie, wychylił parę wódek, wypalił skręta i wybrał się na spacer po plaży. Kiedy wrócił do domu, w swoim pokoju zastał Carlosa Bonnattiego

Błada jak papier Leslie powiedziała tylko:

— Nie wiedziałam, że spodziewasz się gości

Eddie popatrzył na Carlosa. Czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach

— Ja też me — powiedział.

Carlos Bonnatti był silnie zbudowanym mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat, z kręconymi włosami i ciężkimi powiekami. Miał ziemistą cerę i wyraz twarzy próżniaka. — Załatwiałem sprawy w okolicy — powiedział spokojnie. —

Pomyślałem, że wpadnę do ciebie. — Od kiedy to załatwiasz sprawy na plaży? — spytał Eddie.

— Odkąd jesteś mi winien milion dolarów — powiedział Carlos. — I odkąd nie otrzymuję odpowiedzi na moje pytania. Przyszedłem, żeby zobaczyć, co się u ciebie dzieje. Masz mi coś do powiedzenia?

Leslie stała w kącie pokoju, sparaliżowana ze strachu. Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, kiedy czarna limuzyna podwiozła Bonnattiego pod drzwi ich domu, razem z dwoma facetami z obstawy. Kiedy otworzyła drzwi, tamci nie spytali nawet, czy mogą wejść, po prostu wepchnęli się obok niej, a Carlos bąknął: „Przyszedłem zobaczyć się z Eddiem”, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Nie powinieneś tu przychodzić — mamrotał Eddie. — Nie musisz mnie straszyć. Dostaniesz swoją forszę, powiedziałem ci tydzień temu.

— To było tydzień temu — odparł Carlos — a teraz jest teraz. Albo oddasz forszę do poniedziałku, albo wiesz, czego możesz się spodziewać.

— Grozisz mi? — spytał Eddie, udając odważniaka.

— Możesz to nazwać groźbą, jeśli chcesz — odparł uprzejmie Carlos. —

Powinieneś wiedzieć jedno — Carlos Bonnatti nie używa groźb. On po prostu robi to, co obiecuje. Albo dostanę forszę w poniedziałek, albo możesz nie mieć więcej okazji robić z nikim interesów.

Podszedł do drzwi, zatrzymując się obok Leslie. Dotknął jej nagiego ramienia.

— Masz ładną żonę — powiedział. — Bardzo ładną. Po chwili odjechał.

Eddie pobiegł do łazienki i zwymiotował. Kiedy wyszedł, Leslie czekała na jego reakcję. Wpatrywała się w niego swoimi dużymi oczyma, ufna, że Eddie wyjaśni jej, o co w tym wszystkim chodzi.

— Idę do Mickeya — powiedział szybko. — Nie przejmuj się, jeszcze dzisiaj to załatwię.

— Na pewno?

— Na pewno. Obiecuję.

Przytulił ją i zaraz pobiegł do samochodu.

Teraz Leslie chodziła niespokojnie po domu. Nie wiedziała, co począć. Wiedziała tylko, że Eddie ma poważny problem i że musi być jakiś sposób, żeby mu pomóc. Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Madame Loretty. Kiedy Loretta odebrała, Leslie przez łzy opowiedziała jej całą historię.

— Odejdź od niego — poradziła jej Madame Loretta. — Jesteś ciągle młoda i piękna. Jest tylu innych mężczyzn. Wróć do mnie do pracy. Znajdę ci kogoś innego. Leslie nie tego się spodziewała.

— Ale ja nie chcę nikogo innego - protestowała. — Kocham Eddiego.

— Miłość to nic dobrego — ostrzegła ją Loretta. — Zobaczysz, że pójdziesz na dno razem z nim. Nieraz byłam świadkiem takich historii. Zostaw go, Leslie, zanim nie jest za późno.

— Nie — odparła Leslie. — Nie mogłabym od niego odejść. Kocham go.

— W takim razie nie potrafię ci pomóc — powiedziała Madame Loretta i odłożyła słuchawkę.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Eddie rozpedził białego maserati na autostradzie Pacific Coast. Uwielbiał szybką jazdę. Pięć minut później wyprzedził go policjant na motocyklu. Zatrzymali się. Gliniarz był przystojny jak filmowy gwiazdor. Kołysząc się lekko, podszedł do wozu Eddiego.

— Hej, kolego, dokąd się tak spieszysz, co? — powiedział wyciągając notes.

Eddie poczuł, że może się z nim dogadać.

— Mam randkę, nie chcę się spóźnić. Wie pan, jak to jest. Policjant uśmiechnął się. Wiedział.

— Fajny wóz — zauważył, z długopisem gotowym do zanotowania numeru.

— Ciężko na niego pracowałem powiedział Eddie, starając się okazać pokorę.

— Piłeś?

Eddie zaśmiał się gorzko. Wiedział, że wygląda jak zwykły hultaj. Tylko ten samochód świadczył o jego statusie.

— Ja? — powiedział. — Chyba pan żartuje. Policjant kołysał się na obcasach butów.

— Nie żartuję. Pił pan coś?

Eddie zmusił się do przyjaznego uśmiechu.

— Pozwoli pan, że się przedstawię. Eddie Kane. Szef dystrybucji w studiu Panther. A właśnie — nigdy pan nie chciał zostać aktorem?

— Myślałem o tym — odparł policjant. — Kto w tym mieście o tym nie myśli?

— Wie pan co — powiedział Eddie przekonującym tonem — zostawię panu moją wizytówkę. Proszę zadzwonić do mnie do studia. Może będę mógł załatwić panu zdjęcia próbne.

Policjant się roześmiał.

Eddie wyciągnął wizytówkę i wręczył mu ją.

— Ja mówię poważnie. Dlaczego pan się śmieje?

— No cóż, słyszałem o odkryciach nowych talentów, ale to jest naprawdę nie do wiary!

— Ma pan w sobie jakiś urok — powiedział Eddie, stając na wysokości zadania. — I dobrze pan wygląda. Proszę mi pomóc, a ja postaram się pomóc panu. Mogę jechać? Jestem już spóźniony.

To była jedyna dobra rzecz, jaka zdarzyła mu się tego dnia. Policjant schował wizytówkę i pomachał mu na pożegnanie.

Eddie docisnął gaz i nie zwalniał przez całą drogę do studia.

Mickey miał właśnie spotkanie ze scenarzystą, który pracował nad tekstem do jednego z najważniejszych projektów studia. Nagłe wejście Eddiego zaskoczyło Mickeya.

Lucky wpuściła go bez pytania. Był to jej ostatni dzień pracy i nie obchodziło ją, co się stanie.

Pisarz, młody, poważny mężczyzna, zerwał się na równe nogi widząc Eddiego, który z dziesięciodniowym zarostem, w pogniecionym ubraniu i z przekrwionymi oczyma wyglądał na niebezpiecznego szaleńca.

— Dostyc tego dobrego, Mickeyu krzyknął, opierając się na rękach o biurko i patrząc mu prosto w oczy. Carlos Bonnatti przyszedł dzisiaj do mnie do domu. Do mojego domu, rozumiesz, kurwa? Koniec żartów, Mickeyu. Siedzisz w tym tak samo jak ja i nic próbuj się wykręcać. Studio musi mu zapłacić.

Mickey zmrużył oczy. To tak zachowuje się przyjaciel, któremu próbował pomóc?

— Luce! — krzyknął. Bez odpowiedzi.

— Zawołaj strażnika!

— Spróbuj tylko zawołać straż, to dopiero będziesz miał kłopoty — wrzasnął Eddie, chwytając Mickeya za koszulę. — Pójdę do Abe'a Panthera. Powiem mu o wszystkim, co tu się dzieje. Będziesz mógł pożegnać się z tą ciepłą posadką.

Pisarz wycofywał się powoli i ostrożnie w stronę drzwi. Słyszał o wypadkach, kiedy niebezpieczni wariaci rzucali się na ludzi w ataku wściekłości. Czasem bywali nawet uzbrojeni. Wolał nie ryzykować.

— Porozmawiamy innym razem, panie Stolli — powiedział.

— Puść mnie! — rozkazał Mickey.

— Pierdol się — odparł Eddie. Zaczęli się szarpać.

Pisarz wycofał się z biura, zatraskując za sobą drzwi. Lucky spojrzała na niego zza biurka.

— Zadzwoń pani po strażnika? — spytał ją.

— Myślę, że sami jakoś się dogadają oświadczyła słodkim głosem. Kręcąc głową z niedowierzaniem, scenarzysta wybiegł w pośpiechu.

Płacono mu za pisanie, nie za wtrącanie się w bójkę dyrektorów.

Leslie nie zdążyła jeszcze ochłonąć z szoku spowodowanego obojętnością Madame Loretty, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzała

ostrożnie przez judasza. Za drzwiami stała jakaś elegancko ubrana kobieta.

— Słucham? — krzyknęła Leslie. — O co chodzi?

— Gdzie jest Eddie? — spytała tamta poirytowanym tonem.

— Nie ma go w domu.

— Cholera! Umówił się ze mną.

— Jestem jego żoną — powiedziała Leslie, próbując odzyskać pewność siebie. — A pani kim jest?

— Kathleen Le Paul. Niech pani wreszcie otworzy te drzwi! Leslie uchyliła je tylko, nie zdejmując zabezpieczającego łańcuszka.

— Słucham panią? — powiedziała.

— Eddie kazał mi przyjść w południe — powiedziała Kathleen. — Nie przyjechałam tu na darmo. Zostawił dla mnie pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Zapłatę za... dostawę. Mam dla niego paczkę.

— Ile jest pani winien? — spytała Leslie.

— Tysiąc pięćset, w gotówce — odpowiedziała Kathleen, myśląc jednocześnie, że jest już za stara na taką robotę.

Gdyby tylko Umberto Castelli rozwiódł się w końcu ze swoją grubą kolumbijską żoną, ona mogłaby zamieszkać w luksusie, zamiast pracować jak goniec.

— Nie mówił nic o pani ani o żadnych pieniądzech — powiedziała Leslie. Kathleen niecierpliwie przytupywała, stukając obcasem w chodnik.

— Proszę poszukać — zażądała. Może coś dla mnie zostawił.

Leslie zamknęła jej drzwi przed nosem i pobiegła do sypialni. Rzeczywiście, na stoliku leżał stos banknotów.

Leslie zawahała się. Jeśli nie przyjmie przesyłki, Eddie może się wkurzyć. Ale jeśli przyjmie i da tej kobiecie pieniądze, Eddie także może być na nią zły. Wykręciła numer jego biura, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Kathleen Le Paul zaczęła walić w drzwi.

Leslie pospieszyła z powrotem na dół.

— Nie będę tu stała cały dzień — narzekała Kathleen Le Paul. — Ma pani te pieniądze czy nie?

Leslie wzięła głęboki oddech i postanowiła zapłacić. Wróciła do sypialni, odliczyła tysiąc pięćset dolarów i wręczyła je nieznajomej. Kathleen zostawiła paczuszkę i odjechała. Leslie zaniósła paczkę do kuchni, położyła ją na stole i rozcięła nożem. W środku znajdowała się mała przezroczysta torebka napełniona białym proszkiem. Leslie ostrożnie otworzyła ją i wysypała proszek na stół.

Kokaina.

To ona rujnowała ich życie.

To ona pozbawiała ich pieniędzy i zabijała małżeństwo. Leslie wiedziała, co powinna zrobić.

Rozdział czterdziesty drugi

Świadomość, że wreszcie nadszedł ostatni dzień tej katorgi dodawała Lucky skrzydeł. Od dziś znów będzie wolna, a Luce — cicha, posłuszna, pokorna sekretarka przestanie istnieć. Już zaledwie kilka godzin dzieliło Lucky Santangelo od powrotu do jej prawdziwej osobowości. Zwycięzca zabierze wszystko. Było piątkowe południe i dzień pracy zbliżał się do końca. Wiedziała, co zrobi najpierw, kiedy wróci do domu. Przede wszystkim spali tę cholerną perukę i całe obrzydliwe przebranie. Rozbije na kawałki wstrętne okulary. I zatańczy wokół ogniska, śpiewając jak oszalała. Potem złapie pierwszy samolot do Nowego Jorku i spotka się z Lenniem.

Nie mogła się tego doczekać. Długi, wspólny weekend, oto, czego oboje potrzebowali. Bardzo długi weekend, spędzony w łóżku, podczas którego wynagrodzą sobie długą rozłąkę. Weekend, podczas którego Lucky powie mu o niespodziance.

„Drogi mężu, mam dla ciebie prezent. Myślę, że ci się spodoba”.

Oczywiście będą razem kierować studiem. Co za pasjonująca myśl!

A już wkrótce Bobby wróci z Londynu na wakacje. Niania przywiezie go prosto do Kalifornii. A Lennie mówił, że Brigitte także zamierza do nich dołączyć. To będzie najwspanialsze lato jej życia. Spotkanie całej rodziny. Może nawet namówi Gina, żeby przyjechał do nich na tydzień czy dwa.

Kiedy Eddie Kane wpadł do biura jak wariat, Lucky nie zwróciła na niego większej uwagi. To był problem Mickeya, nie jej. Zresztą od dzisiaj Mickeya czeka jeszcze więcej problemów. Od poniedziałku będzie szukać nowej pracy.

Taki był plan. Dziś kończy pracę w studiu. O szóstej umówiona była z Abe'em — wtedy, w obecności prawników, podpiszą niezbędne dokumenty. Kiedy to się stanie, studio Panther będzie należało do niej.

W poniedziałek rano Abe będzie miał przyjemność sam ogłosić akt sprzedaży studia, tak jak o to prosił. Zdażył już wysłać pilny telegram do Londynu, do swej wnuczki Primrose i jej męża, Bena Harrisona, wzywając ich na spotkanie.

Abe postanowił odwiedzić studio pierwszy raz od dziesięciu lat.

— Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ich twarze — mówił podniecony. — Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę im ciebie, kochana.

Lucky najzupełniej to odpowiadało, o ile tylko będzie mogła spędzić weekend z Lenniem.

Odgłosy dochodzące z biura Mickeya Stolliego zaczęły przybierać na sile. Lucky zastanawiała się, kto mocniej obrywa. W walce wręcz stawiałaby raczej na Mickeya. Był niższy i starszy od Eddiego, ale miał w sobie prawdziwą siłę. Był jak uliczny zabijaka. Lucky zauważyła to już widząc go po raz pierwszy.

Scenarzysta Mickeya wybiegł z biura w panice. Nagle zabrzączał dzwonek interkomu.

— Wezwij strażnika! — wrzeszczał Mickey. — Natychmiast! Słyszała podniecony głos Eddiego:

— Nie próbuj mnie wyrzucić, bo będziesz tego żałował.

— Ja będę żałował — krzyczał Mickey. — Ja?! Opamiętaj się wreszcie, palancie, i spieprzaj stąd!

Lucky zadzwoniła do bramy wejściowej.

— Proszę przysłać strażnika do biura pana Stolliego — powiedziała.

— Już się robi, proszę pani — padła odpowiedź. — Czy to poważne?

— Zależy, co pan przez to rozumie.

— Jest zagrożenie życia?

— Raczej nie.

Zanim strażnik zdążył nadejść, Eddie wybiegł z biura z zakrwawionym nosem.

A więc Lucky miała rację. W walce zawsze zwycięży zwykły zabijaka. Eddie nie był w najlepszej formie. Za wiele nieprzespanych nocy i za dużo kokainy.

Mickey stanął w drzwiach, zionąc wściekłością.

— Ty głupia pizdo! — wrzasnął. — Jak śmiesz wpuszczać do mnie kogokolwiek bez mojego pozwolenia! Nie masz prawa wpuszczać nikogo, nawet gdybyś miała rzucić się na drzwi, żeby musieli po tobie deptać. Jasne?

— Nie — odparła obojętnie Lucky, starając się zapomnieć o tym, że Mickey nazwał ją „głupią pizdą”.

Nikt nie może tak jej nazwać i żyć dalej spokojnie.

— Co takiego? — ryknął.

— Nie, nie rozumiem, co pan mówi — powiedziała. — Nie zamierzam pozwolić nikomu deptać po sobie. I na pewno nie będę się dla pana narażać.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. Sekretarka — sprzeciwia mu się?

— Chcesz, żebym cię zwolnił? — spytał ze złością, prawie podskakując w miejscu.

Lucky wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno. Jak pan chce.

Mickey nie wierzył własnym uszom. Dotąd Luce stanowiła wzór posłusznej sekretarki. Przyjmowała telefony, odwoływała spotkania, robiła mu kawę, wyciskała sok. Possałaby mu nawet kutasa, gdyby zażądał. I nagle zaczyna mu odszczekiwać. Jezu Chryste!

Wrócił do siebie i zatrzasnął drzwi. Kiedy do cholery wraca Olive?

Lucky zjadła w kantynie swój ostatni lunch jako Luce.

Kiedy skończyła, podeszła do Harry'ego Browninga i powiedziała:

— Pozwoli pan, że się przysiędę?

— Nie — odparł, nie zachwycony jej widokiem.

— Chciałabym coś wyjaśnić — powiedziała. Prześladowało ją poczucie winy.

Gdyby wiedziała, że Harry jest alkoholikiem, nie namawiałaby go do picia tamtego wieczoru.

— Harry — zaczęła.

— Dla ciebie pan Browning — przerwał.

— Pan na pewno wyobraża sobie, że ja prowadzę jakąś dziwną grę.

— Wiem jaką — powiedział. — Całe studio wie, kim jesteś. Lucky uniosła brwi.

— A kim ja jestem? — spytała.

— Jesteś szpiegiem Abe'a Panthera. Przysłał cię, żebyś spała z Mickeyem Stollim. Lucky zaczęła się śmiać.

— Co takiego?

— Sama powiedziałaś sekretarce Eddiego Kane'a, że spałaś z panem Stollim. Całe studio już o tym wie.

Lucky prawie się zakrztusiła na samą myśl o tym.

— Chyba nie mówi pan poważnie. Ja wtedy żartowałam. Harry bębnił palcami po stole.

— Obrzydliwy żart — odparł smętnie.

— Zgadzam się. A w ogóle co to znaczy, że całe studio wie?

— Brenda wszystkim powiedziała. Sekretarkom, gońcom, asystentom — każdemu. I każdy komuś powtórzył.

„Świetnie, nie ma co! Niezła reputacja. Być kochanką Mickeya Stolliego, mężczyzny moich marzeń!”

— I wszyscy też myślą, że jestem szpiegiem Abe'a? — zapytała.

— Nie — odparł krótko Harry. — Tylko ja to wiem. Pewnie dlatego sypiasz z panem Stollim. Pan Panther ci kazał.

Zaczynało ją to denerwować.

— Daj spokój, Harry. Nie jestem żadną kochanką Mickeya Stolliego. W poniedziałek wszystko się wyjaśni.

— Tak? — spojrzał na nią podejrzliwie.

— Tak — kiwnęła głową i wstała od stołu. — Pamiętaj, w poniedziałek rano. Będą się tu dziać ciekawe rzeczy.

O trzeciej zadzwoniła Abigaile Stolli. Miała irytujący głos, wysoki i rozkazujący, jakby wszyscy musieli skakać na każde jej zawołanie. — Kto mówi? — spytała.

— Luce — odparła Lucky. — A z kim mam przyjemność?

— Mówi pani Stolli — powiedziała wyniośle Abigaile. — Ty jesteś tą nową dziewczyną?

— Pracuję tu od kilku tygodni — powiedziała Lucky.

— A kiedy wraca Olive? — zapytała Abigaile, jakby sama rozmowa z Lucky uwłaczała jej.

— Już niedługo.

— Zamówiłaś dla nas samochód?

— Jaki samochód, pani Stolli?

— Naszą limuzynę na dzisiejszą premierę. Jak to, nic nie wiesz?

— Nie wiedziałam, że państwo będą potrzebowali samochodu. Tego było Abigaile za wiele.

— Boże! Czy ja sama muszę o wszystkim pamiętać? Pan Stolli ci nie powiedział? Potrzebujemy limuzynę ze studia. Mojego kierowcę. W samochodzie musi być szampan Cristal i woda mineralna Perrier. Samochód ma być u mnie o pół do siódmej. Nie o szóstej dwadzieścia pięć i nie za dwadzieścia pięć siódma. Załatw to natychmiast.

Lucky pomyślała, że Abigaile i Mickey stanowili dobraną parę. Oboje tak samo czarujący.

— Zajmę się tym, pani Stolli — powiedziała idealna sekretarka.

— Gdzie jest mój mąż? — spytała jeszcze Abigaile.

Przez chwilę Lucky miała ochotę powiedzieć: „Niech pani sprawdzi u Warner. Wie pani, ta czarna policjantka, którą pani mąż rżnie dwa razy w tygodniu od Bóg wie jak dawna”. Powstrzymała się jednak i powiedziała tylko:

— Nie mam pojęcia, proszę pani. Zostawię mu wiadomość, że pani dzwoniła.

— Zrób to — poleciła Abigaile i rzuciła słuchawkę. Lucky rozłączyła się i wykręciła numer.

— Marty — powiedziała — pani Stolli będzie potrzebowała dzisiaj swój samochód. Nie, nie limuzynę — prosiła o jeden z małych sedanów. Ma być pod jej domem za piętnaście siódma. Dziękuję.

Kiedy Mickey wyszedł z biura, Lucky zadzwoniła do Boogiego.

— Zamówiłeś samolot na wieczór?

— Wszystko załatwione.

— I znalazłeś Lenniego?

— Tak.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła, Boogie?

— Miałabyś masę kłopotów.

Lucky uśmiechnęła się do siebie. Przypuszczalnie miał rację.

Rozdział czterdziesty trzeci

— Mickeyu — spytała Warner — spotykasz się z innymi kobietami? Mickey spojrzał na nią zaskoczony.

— Co to za głupie pytanie? Po co miałbym spotykać się z innymi?

— Ja tylko pytam. Chyba mogę? Mickeyowi nie podobał się jej ton.

— Możesz robić, co chcesz, ale to cholernie głupie pytanie — powtórzył.

Warner popatrzyła na niego. Cały dzień był w podłym nastroju. Zazwyczaj tolerowała jego humory i chodziła koło niego na palcach, ale dziś usłyszała w pracy niepokojącą plotkę. Policja miała swego informatora w burdelu w Hollywood Hills. Ten luksusowy dom schadzek prowadziła niejaka Madame Loretta i według nieoficjalnych wiadomości odwiedzało ją wiele wpływowych i znanych postaci Hollywood. Wśród wielu nazwisk wymieniano też Mickeya Stolliego.

Mickey wstał z łóżka. Tym razem seks z Warner nie przyniósł mu spodziewanej satysfakcji. Może nadszedł czas, żeby znaleźć sobie kogoś innego.

— Wkurza mnie, kiedy zadajesz mi takie bezsensowne pytanie — powiedział zdenerwowany. — Wolę już siedzieć w domu z żoną, niż wysłuchiwać tych bzdur. Jak ci się zdaje, po co ja tu przychodzę?

Warner zastanawiała się, czy to nie poczucie winy powodowało tak agresywną reakcję Mickeya. Zaciśnęła jednak zęby i nie powiedziała nic. Poszła do kuchni i wstawiła wodę w czajniku.

— Masz ochotę na kawę? — zawołała.

„Skurwiel!” Jeśli Mickey zabawia się z innymi kobietami, a tym bardziej dziwkami, ona nie zamierza tego znosić. Za nic w świecie.

— Chcesz mnie zabić, czy co? — narzekał Mickey, wchodząc do kuchni. — Wiesz, ile w tym świństwie jest kofeiny? Muszę pilnować diety.

Warner powstrzymała kąśliwą uwagę. Pilnował diety tylko wtedy, kiedy było mu to wygodne. Z kogo on sobie żartuje?

— Pamiętałeś o biletach dla mnie na dzisiaj? — spytała.

— Co? — Mickey poczuł się winny. Warner wyszła z kuchni.

— Obiecałeś mi cztery bilety na dzisiejszą premierę *Matkożercy*, zapomniałeś?

— O, Jezu — bąknął, idąc za nią.

Jasne, że zapomniał, a Warner prosiła go o to już parę miesięcy temu. Johnny Romano był jednym z jej ulubionych aktorów. Cholera! Przecież przyniósł jej zdjęcie Johnny'ego z autografem — czy to mało? Teraz potrzebowała jeszcze biletów na premierę.

Sięgnął po słuchawkę.

— Luce — powiedział, kiedy ta durna sekretarka odebrała telefon. Pierwsza rzecz, jaką zrobi w poniedziałek rano, to wyleje ją na pysk.

Weźmie na razie Brendę z biura Eddiego Kane'a, przynajmniej będzie miał na co popatrzeć.

— Słucham, panie Stolli?

— Załatw mi cztery dodatkowe bilety na dzisiejszą premierę. Miejsca nie muszą być najlepsze. I przyślij je do... — zakrył dłonią słuchawkę i zwrócił się do Warner:

— Słuchaj, nie mogę podać im twojego adresu. Gdzie mam kazać je przysłać?

— Dlaczego nie możesz podać mojego adresu? — spytała wojowniczo Warner.

— Bo to byłoby niebezpieczne — naprawdę zaczął mieć jej dosyć.

— Sama je odbiorę — powiedziała. — I tak muszę wyjść.

Mickey nie chciał nawet myśleć o tym, żeby Warner odbierała bilety osobiście w jego biurze.

— Najlepiej niech zostawią je w kasie kina — powiedział szybko. — Na twoje nazwisko.

— Jeśli to ci odpowiada.

— Zostaw je w kasie na nazwisko Franklin — rzucił do słuchawki i rozłączył się.

— Z kim ty właściwie przychodzisz? Spojrzała na niego.

— Nie martw się, Mickeyu. Nie zbliżę się do ciebie ani twojej żony. Nie podobał mu się sposób, w jaki to powiedziała, ani to, co działo się

z ich związkiem. Zawsze wydawało mu się, że Warner jest inna, że nie będzie stawiać wymagań. Ale wszystkie kobiety okazywały się takie same. Zawsze kończyło się na ciągłych żądaniach i oczekiwaniu na rzeczy, których żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach riie miał zamiaru sam z siebie dawać.

— Dobra, dobra — powiedział ubierając się. — Muszę już iść. Awantura z Eddiem wyprowadziła go z równowagi. Nienawidził takich

scen, nie mówiąc już o bójkach. Bóg jeden wie, co Eddie gotów jest teraz zrobić, nie należał do opanowanych. Gdyby Leslie nie była taką głupią cipą, już dawno załatwiłaby mu kurację odwykową.

Jadąc z powrotem do studia Mickey był zły i niespokojny. W pewnej chwili zawrócił i skierował się w stronę domu Madame Loretty. Zrozumiał wreszcie, że Ford Werne ma rację. „Płać za usługę i o nic się nie martw. Płać i bądź wolny”.

Madame Loretta powitała go ciepło. Żadnych kłótni. Żadnych próśb o bilety. Żadnych pytań.

— Kogo ma pani dla mnie dzisiaj? — spytał, jakby wybierał w sklepie odpowiednią porcję mięsa.

— Mam pewną piękną orientalną dziewczynę — powiedziała kojącym głosem Madame Loretta. — Bardzo miła. Bardzo słodka. Bardzo utalentowana. Spodoba się szanownemu panu.

— O tak — powiedział Mickey, gotów poddać się zabiegom kurtyzany. — Z pewnością.

Eddie zadzwonił do Kathleen Le Paul ze swego samochodu.

— Przepraszam — wybąkał — zapomniałem.

— Nic nie szkodzi — odparła spokojnie Kathleen. — Pańska żona dała mi pieniądze.

Eddie był zaskoczony.

— Naprawdę?

— Zostawiłeś to dla mnie, nie?
— Tak, jasne. Musiałem niespodziewanie pobiec do studia. Kathleen westchnęła głęboko.
— Któregoś dnia będziesz musiał uporządkować swoje życie, Eddie.
— Nie uda mi się. Dzięki tobie.
— Jak to?
— To ty poznałaś mnie z Carlosem Bonnattim. Mam przez niego wiele kłopotów.
— Jakich kłopotów?
— Nie udawaj, że o niczym nie słyszałaś. Całe miasto o tym mówi. Głos Kathleen był bardzo nieprzyjemny.
— Co zrobiłaś, okradłaś go?
— Próbowałem związać koniec z końcem. Tylko tyle — bronił się. — Czy to przestępstwo? Studio zapłaci.
— Eddie, ty nigdy się niczego nie nauczysz, prawda? Z takim facetem jak Carlos nie ma żartów. Jeśli wystawisz go do wiatru, możesz nie doczekać jutra. Jezu Chryste! Eddie nie chciał zostać nieboszczykiem. Może powinien uciec z miasta? Myślał o wyjeździe na Hawaje, kiedyś doskonale się tam bawił. Mnóstwo tanich narkotyków i wspaniałych dziewczyn.
Ale zaraz, jest przecież Leslie. Co z nią zrobi?
Boże, dlaczego wpędził się w taki galimatias?
Dlaczego pozwolił, aby rozpadł się doskonały układ, w jakim żył?
Zadzwoił telefon. Zdumiona Abigaile usłyszała głos siostry.
— O co w tym wszystkim chodzi? — pisnęła Primrose zza oceanu. Abigaile aż zatrzęsała się ze złości. Primrose składała całą winę na jej barki.
Gdzie standardowa wymiana grzeczności? „Jak się masz?“, „Jak dzieci?“ Nie, Primrose od razu wali prosto z mostu, jakby Abigaile musiała jej coś wyjaśniać.
— Nie wiem, o czym mówisz — ucięła.
— O telegramie — odpowiedziała niecierpliwie Primrose.
— Jakim telegramie?
— Na Boga! Nie udawaj, że o niczym nie wiesz. Ben jest wściekły. Abigaile mówiła powoli i spokojnie, żeby siostra dobrze ją zrozumiała.
— Primrose, nie mam pojęcia, o czym mówisz.
— Dostaliśmy dziś telegram od dziadka powiedziała Primrose takim tonem, jakby Abigaile doskonale o tym wiedziała.
— Co jest w tym telegramie?
— Dziadek chce, żebyśmy przyjechali w poniedziałek do studia na ważne spotkanie. Abigaile zmarszczyła brwi. Czy to ma coś wspólnego z jej ostatnią wizytą u starego Abe'a? Czy zamierza poinformować Primrose i Bena, że Mickey próbował bez jego wiedzy sprzedać studio?

Westchnęła.

— Nie mam pojęcia, o co chodzi.

— Jednego jestem pewna — bardzo mi ten przyjazd nie na rękę. Wiesz, że jutro rano musielibyśmy wsiąść do samolotu? Nie mam nawet czasu na spakowanie. I muszę zrobić coś z dziećmi. To okropne.

— Może zatelefonuję do ciebie później? — zaproponowała Abigaile, chcąc zakończyć rozmowę. — Zadzwońię do Mickeya i sprawdzę, czy coś wie.

— Dobrze — powiedziała Primrose.

Abigaile odłożyła słuchawkę. Najprościej byłoby natychmiast zadzwonić do dziadka. Nie miała jednak odwagi. Abe powie na pewno coś niemiłego i obraźliwego, jak to ma w zwyczaju. Pewnie usłyszy: „Odczep się, moja droga, to nie twoja sprawa”.

Wykreśliła numer Mickeya, odebrała jego nowa sekretarka.

— Wrócił? — spytała niecierpliwie.

— Jeszcze nie, pani Stolli.

— Na pewno pani nie wie, gdzie jest? To pilne. Ale uparta, pomyślała Lucky.

— Chyba wiem, dokąd mogłaby pani zadzwonić...

— Proszę podać mi numer — powiedziała Abigaile głosem nie znośącym sprzeciwu.

— Chwileczkę.

Lucky wśliznęła się do biura Mickeya, przejrzała jego prywatny notes i spisała numer Warner.

„Jesteś prawdziwą wiedźmą, Santangelo” — pomyślała.

I co z tego? Facet nazwał ją pizdą. To za karę.

Wróciła do telefonu i podała Abigaile numer do Warner Franklin.

Abigaile zadzwoniła tam, myśląc, że to biuro.

— Czy jest pan Stolli? — zapytała wyniośle, kiedy jakaś kobieta podniosła słuchawkę.

— Kto mówi? — spytała Warner.

— Jestem jego żoną.

— I dzwoni pani do mnie? — dopytywała się Warner.

— Słucham?

— Czy do mnie pani dzwoni? Wszystko tego dnia było jakieś dziwne.

— Nie, nie do pani — powiedziała wojowniczo. — Czyją pani jest sekretarką?

— Wcale nie jestem sekretarką. Nazywam się Warner Franklin. Powiedziała to w taki sposób, jakby spodziewała się, że Abigaile będzie wiedziała, kim jest.

— Jest pani aktorką? — spytała Abigaile, wyczuwając zagrożenie.

— Nie, nie jestem aktorką, jestem policjantką.

— Policjantką?

— Właśnie.

Abigaile była bardzo zmieszana.

Warner zrobiła krótką pauzę, po czym dodała:

— Jestem też kochanką pani męża.

Najwyższy czas, żeby żona Mickeya dowiedziała się o jej istnieniu.

Rozdział czterdziesty czwarty

W piątek po południu do domu Venus Marii dostarczono wystawione na nią akcje IBM wartości dwudziestu tysięcy dolarów. Przyjechała dość wcześnie ze studia i znalazła dużą kopertę przyniesioną przez posłańca. W środku była kartka od Martina. Na górze widniało jego imię, a pod spodem notatka: „Nie mów, że nie wywiązuję się z zakładów”.

Venus Maria uśmiechnęła się. Oczywiście, Martin mógł sobie na to pozwolić, ale miło z jego strony, że pamiętał. W ten sposób sprytnie uregulował sprawę, nie płacąc gotówką.

Jak powinna zareagować? Musi wymyślić coś niezwykłego. Zadzwoiła do Rona, który zawsze miał masę pomysłów. Nie zastała go w domu. Razem z Kenem Laleczką poszli na zakupy do sklepów Freda Seagala. Zapowiedzieli, że nie wrócą szybko.

Cóż. Ron pewnie robi kolejne prezenty swojemu kochankowi. Ten wie, jak wydawać pieniądze.

Zastanawiała się, do kogo jeszcze może zadzwonić. Niestety, nie miała przyjaciółek. Trudno nawiązywała przyjaźnie. Jako młoda, bogata i sławna kobieta miała wszystko, czego pragnęły inne kobiety w Hollywood. Zazdroszczono jej. Pozostawały żony producentów, ale nie miała zamiaru przyjaźnić się z Abigaile Stolli i jej podobnymi. Jedyne, co je interesowało, to przyjęcia na cele charytatywne, nowe suknie i długie obiady, na których plotkowały o wszystkich w mieście. Chciałaby mieć jedną bliską przyjaciółkę, której mogłaby zaufać. Venus Maria wychowała się na Brooklynie, zawsze różniła się od innych dziewcząt. One chodziły do kawiarni, do kina, na koncerty, piły drinki i flirtowały z chłopcami. Venus Maria musiała po szkole szybko lecieć do domu, żeby zająć się gospodarstwem. Opieka nad ojcem i czterema braćmi to ciężkie zajęcie. Czasami czuła się jak nowoczesny Kopciuszek. Żaden z nich tego nie doceniał. Uważali, że tak powinno być.

Wtedy poznała Rona, chłopaka z sąsiedztwa. Pedala z sąsiedztwa, pomyślała z historycznym śmiechem. Dogadali się natychmiast. Dwie bratnie dusze, które odnalazły się na Brooklynie. Ron namówił ją, aby uniezależniła się od rodziny, zabierał ją na dzikie wyprawy na Times Square i na Broadway,

gdzie spędzali długie godziny. Mówili tym samym językiem. Show biznes. Oboje wiedzieli, czego chcą i mieli zamiar to zdobyć. Sława i uznanie. Brooklyn nie mógł im tego dać, więc postanowili wyjechać.

Oboje przygotowywali się na ciężką pracę. Venus Maria potrafiła niezle śpiewać, tańczyć i grać. Czuła w tym wyzwanie, podniecenie. Starła się wszystko robić najlepiej jak umiała i przeważnie jej się udawało. Ron kochał taniec i wypróbowywał fantastyczne układy. Dzięki ciężkiej pracy i wytrwałości oboje szybko zostali docenieni.

Ojciec i trzej bracia Venus Marii nadal mieszkali w tym samym domu na Brooklynie. Chciała kupić im coś lepszego, nie przyjęli. Ojciec jednak wspomniał, że przydałby mu się nowy samochód, bracia przebąkiwali o jakichś pieniądzach. Dwaj byli żonaci; Venus Maria wiedziała, że teraz ich żony wykonują jej robotę. Kupiła ojcu nowego chęwoleta, braciom dała po dziesięć tysięcy dolarów. Nikt jej nie podziękował. Miła rodzina.

Potem Emilio — pojechał za nią do Hollywood, wprowadził się do jej domu, miał pretensje, kiedy kazała mu się wynieść. Odkąd wyjechał, nie usłyszała od niego ani słowa. Nawet: „Dziękuję, to ładnie, że płacisz za mnie czynsz, że mi pożyczasz samochód”. Więc była bogata, ale ciężko zapracowała na swoją pozycję. Nikt nigdy nie dał jej niczego za darmo.

Wzięła kopertę z akcjami i poszła do sypialni. To duży, jasny pokój wychodzący na basen — rzecz konieczna w Hollywood. Po jednej stronie drzwi do łazienki, po drugiej do sali ćwiczeń, wyłożonej lustrami.

Na ścianie wisiało jej olbrzymie zdjęcie zrobione przez Helmuta Newtona. Bardzo interesujące zdjęcie. Siedziała na wysokim stołku barowym, ubrana w cielisty kostium. Nogi podwinęła pod siedzenie, a plecy wygięła. Twarz ujęta była z profilu. Wyglądała zarazem bardzo sexy i niewinnie, wyuzdanie i schludnie. To jej ulubione zdjęcie — zrobione, zanim poznała Martina.

Właśnie uświadomiła sobie, że jej życie dzieli się na dwie części. Przed Martinem i po.

Może lepiej było przedtem. Po co jej mężczyzna, na którego punkcie dostaje bzika? Nacisnęła na ukryty guzik i zdjęcie rozsunęło się, ukazując nieduży sejf. Przekręciła klamkę, wystukała właściwą kombinację cyfr i otworzyła drzwiczki. Trzymała tam paszport, papiery wartościowe, listy od byłych kochanków i zdjęcie jej i Martina. Kiedyś Cooper zrobił to zdjęcie u niej w domu. To ich jedyne wspólne zdjęcie i uwielbiała je. Siedzieli na kanapie w salonie, Martin obejmował ją ramieniem, a ona patrzyła na niego. Bardzo intymne zdjęcie. Każdy, kto by je zobaczył, domyśliłby się, że są kochankami. Właśnie dlatego nie mogła oprawić go w ramkę i postawić na szafce. Zbyt ryzykowne. To jakby powiedzieć światu: „Proszę, mój chłopak”. Nie chciała wyjawiać ich związku, Martin sam musiał podjąć decyzję.

Włączyła automatyczną sekretarkę i usłyszała głos Johnny'ego Romano.

— Cześć, kochanie — mówił — obiecałaś do mnie zadzwonić. Mówi Johnny. Miałaś dać mi znać, czy idziesz ze mną na premierę.

Żałosny jęk supergwiazdy.

Jasne, że Johnny chciałby pojawić się w jej towarzystwie. Niech prasa rozpisuje się o Johnnym Romano i Venus Marii. Jakie zdjęcia! Jaka para! Nie wspominając o aurze sensacji wokół jego filmu.

Po studiu krążyły plotki, że film jest bombowy. Ale to Hollywood — kraina wyolbrzymień. Niezależnie od tego, jaki się okaże, film i tak zarobi fortunę. Johnny Romano mógłby wysikać się na rodeo i tak zarobiłby pieniądze.

Dlaczego w zasadzie do niej dzwonił? Nigdy nie powiedziała, że z nim pójdzie.

Facet najwyraźniej nie zrażał się odmowami. Zawsze do niej dzwonił, a ona zawsze odmawiała. Dlaczego zawracał sobie głowę? Mógł mieć każdą dziewczynę, której zapragnął. Czemu tak bardzo chciał zdobyć ją?

Odłożyła akcje IBM i zamknęła sejf. Potem podeszła do telefonu i wykręciła numer Emilia. Czuła się jakby winna, choć nie wiedziała z jakiego powodu.

Emilio szedł z duchem czasów i kupił sobie automatyczną sekretarkę. „Emilio Sierra wyszedł” brzmiała wiadomość „Ale bardzo chciałby wiedzieć, kto dzwoni, żeby mógł skontaktować się później. Proszę podać numer telefonu”.

Poczekala na sygnał i wyrecytowała:

— Emilio, tu Venus. Sprawdzam, czy wszystko w porządku. Telefon z obowiązku. Nie była mu nic winna, ale jednak...

Skoro już myślała o rodzinie, postanowiła zadzwonić do ojca do Nowego Jorku.

Nigdy nie uznał jej sukcesu. Chętnie przyjmował czeki, które mu co miesiąc wysyłała, ale nigdy nie powiedział ani słowa pochwały. Ku własnemu utrapieniu, nadal czekała na jego uznanie. Wiedziała, że to przegrana sprawa.

Była pewna, że jest w domu, pewnie siedzi przed telewizorem z puszką heinekna, z dużą pizzą i dwiema porcjami frytek.

— Cześć tato, mówi Venus — powiedziała, kiedy podniósł słuchawkę.

— Virginia? — nigdy nie używał jej artystycznego pseudonimu.

— Tak. Jak się masz, tato? Pomyślałam, że zadzwonię.

— Nie mogę narzekać — odpowiedział chłodno. — Po co dzwonicz? Po co dzwoniła? Miał jej numer, ale nigdy z niego nie skorzystał. Z jednym wyjątkiem, kiedy zadzwonił, żeby skrytykować jeden z jej teledysków.

— Wyglądasz jak mała, tania dziwka — oznajmił. — Wiesz, jak się czuję w pracy? Chłopcy się ze mnie śmieją.

Tak było na początku. Kiedy zaczęła przysyłać pieniądze, żarty kolegów już mu nie przeszkadzały.

— Dzwonię, żeby dowiedzieć się, jak się macie. Nic ważnego — powiedziała bez emocji.

Jak zwykle czuła się odrzucona.

— Dobrze — padła krótka odpowiedź. — Przydałyby się jakieś pieniądze. To nic nowego.

— Porozmawiam z moim menażerem — westchnęła. Nie mieli więcej wspólnych tematów.

Gdyby Martin Swanson odszedł od Deeny i ożenił się z nią, ślub wywołałby zamieszanie! Wyobrażała sobie, jak jej ojciec i bracia dopasowaliby się do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej i do gwiazd Hollywood.

Boże, jaka była głodna. Czasami sława bardzo jej zawadzała. Gdyby nie była taka znana, mogłaby wskoczyć do swojego dżipa, pojechać do Freda Seagala, znaleźć Rona i Kena Laleczkę, a potem usiąść z nimi w restauracji i napchać się wspaniałymi kanapkami. Ale zawsze musi wyglądać jak najlepiej, mieć świetny makijaż i fryzurę. Inaczej ludzie by powiedzieli, że Venus Maria nie wygląda tak dobrze jak na wideo czy w filmach. A inni znów przychodziliby po autografy. Zawsze była miła dla wielbicieli, ale szybko przestali ją bawić. Poza tym żyła w strachu przed jakimś maniakiem, który może wyskoczyć znikąd i z okrzykiem „Ty kurwo!” zadźgać ją nożem bez powodu.

Tylko ktoś równie sławny może zrozumieć jej obawy. Na przykład Cooper. Cooper rozumie wszystko. W zasadzie to jedyny człowiek, z którym może porozmawiać. Skończyli kręcić *Ostoję*. Zakończyła swoje sceny. To zabawne, ale w trakcie zdjęć zawsze walczyła z Cooperem. Teraz jej go brakowało.

Koniec zdjęć jest zawsze trudny. Podczas kręcenia wszyscy są jakby wielką rodziną, wszyscy pracują na to samo. Kiedy praca dobiegała końca, nagle rodzina przestaje istnieć i nie ma na kim polegać. To okropne uczucie. Postanowiła zadzwonić do Coopera. Był u siebie w biurze, w studiu.

— Co słyhać? — zapytał radośnie.

— Zastanawiałam się, czy idziesz dziś wieczorem na premierę?

— Straciłaś zmysły? — zaśmiał się. — Nie obejrzałbym *Matkożercy* nawet za pieniądze. Nawet za grubą forszę.

— To może wybierzemy się gdzieś razem? Wydawał się rozbawiony.

— Czy mamy na myśli Spago?

— Jeśli chcesz.

— To znaczy, że zrobią nam wspólne zdjęcie — ostrzegł. — Co Martin na to powie?

— Nie opowiadam mu o wszystkim, co robię — odpowiedziała broniąc się.

— Cieszę się, że to słyszę. Zjemy w Spago i zabawimy się trochę. Była zadowolona, ale nie chciała, żeby ją źle zrozumiał.

— Cooper, muszę z kimś porozmawiać. Nie dzwonię, żebyś mnie podrywał.

— Kiedy cię podrywałem? — zapytał oburzony.

— No wiesz...

— Kochanie — zapewnił ją — nie martw się. Zjemy spokojnie kolację, pogadamy. Zawiozę cię do domu, zostawię pod drzwiami, potem pojedę do siebie i wypcham się. Czy to ci odpowiada?

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Nie wierzę, że nadejdzie dzień, w którym się wypchasz.

— Nie bądź taka pewna. AIDS czyha na każdym rogu, już mnie te rzeczy nie interesują.

Nie wierzyła w ani jedno słowo.

— Oj, Cooper, proszę cię! Rozmawiasz z Venus! Roześmiał się serdecznie.

— Masz rację. Nie kupujesz moich kłamstw, prawda?

— Nie.

— O której mam po ciebie przyjechać?

— O ósmej.

— Czekał na mnie.

Zadowolona odłożyła słuchawkę. Wieczór z Cooperem. To przyjaciel. Był także przyjacielem Martina, co znaczyło, że jeśli będzie chciała, może całą noc rozmawiać o Martinie.

I właśnie to zamierzała robić.

Rozdział czterdziesty piąty

Eddie przesunął ręką po nosie. Czuł zaschniętą krew. Pozwolił, aby Mickey Stolli tak mu dołożył! Cóż za upokorzenie! Kiedy tam szedł, spodziewał się, że do czegoś dojdzie, ale nie podejrzewał takiej gwałtowności. Mickey Stolli to sukinsyn. Maserati zawiózł go do domu w rekordowym tempie. Wpadł rozwścieczony i zdenerwowany.

Leslie czekała na niego.

— Martwiłam się o ciebie — powiedziała jak troskliwa żona. Wiedział, że źle ją traktuje, ale nie mógł nic na to poradzić.

— Gdzie moja porcja? — to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Leslie patrzyła na niego otwarcie i szczerze.

— Zapłaciłam tej kobiecie, która tu przyszła — głos jej drżał. — Nie masz już długów.

— Dobrze, dobrze, ale gdzie to jest?

Nie miał nastroju na słuchanie wykładu. Musiał coś wziąć, i to szybko. Stała przed nim. Jego kochana żona.

— Wyrzuciłam to, Eddie — powiedziała cicho. — Zaczynamy nowe życie.

Przez całą drogę do mieszkania Warner Franklin Abigaile wietrzyła samochód. Kiedy dojechała na miejsce, dwa razy objechała okoliczne ulice, niepewna gdzie zaparkować. Tak przywykła do lokajów parkujących samochody, że nie potrafiła sobie sama poradzić. W końcu zostawiła mercedesa na czerwonej linii, podeszła do drzwi i nacisnęła guzik przy nazwisku Franklin. Nierzeczywisty głos kazał jej przyjść na trzecie piętro. Z bijącym sercem wsiadła do windy. Co ona tu robi? To szaleństwo.

Jedno spojrzenie na Warner i jej serce prawie stanęło. To jest przyjaciółka Mickeya? To jest kobieta, z którą się spotyka? Ta gigantyczne czarna samica? Miała z metr osiemdziesiąt.

Serce Abigaile zaczęło bić szybciej. Czy to niesmaczny żart?

— Wejdz — powiedziała Warner.

Po raz pierwszy widziała żonę Mickeya.

Abigaile była przekonana, że popełniła straszny błąd. Na pewno zaraz zostanie porwana, wepchnięta do bagażnika forda taurusa i wywieziona na jakieś pustkowie. Zadzwoń do Mickeya po okup, a on odmówi zapłaty. Zgwałcą ją, zastrzelą i wyrzucą gdzieś za Mulholland.

— Raczej nie — powiedziała, wycofując się. — To pomyłka.

— Jaka pomyłka? — zapytała Warner górując nad Abigaile.

— Ty i mój mąż. To niemożliwe.

— Moja droga, to bardzo możliwe. Abigaile cofnęła się o dwa kroki.

— Nie.

— Zaufaj mi.

Abigaile nigdy nie ufała ludziom, którzy mówili „zaufaj mi”. Odwróciła się szybko i podbiegła do windy. Naciskając na guzik modliła się, aby winda szybko przyjechała, zanim ktoś ją zaatakuje.

— Powinnyśmy porozmawiać — wołała za nią Warner.

— Nie — powtórzyła Abigaile, powstrzymując łzy. — Nie, nie powinnyśmy.

Weszła do windy i wcisnęła przycisk. Kiedy Mickey się o tym dowie, wpadnie we wściekłość. Wszystko może się stać. W bezpiecznym wnętrzu swojego mercedesa gwałtownie oparła się o kierownicę. Boże! Przynajmniej nic jej nie groziło.

Wzięła kilka głębokich oddechów i przypomniała sobie, że miała wstąpić do salonu kosmetycznego. Wieczorem będzie premiera *Matkożercy*, potem kolacja na cele społeczne. W tej panice zapomniała oddzwonić do Primrose. Zapomniała, że Abe wezwał jej siostrę z mężem na ważne spotkanie na poniedziałek rano. Pojechała prosto do salonu Ivany i poddała się delikatnemu i czułemu dotykowi Saxona.

— Wygląda pani bardzo blado, pani S. — zauważył Saxon, potrząsając swoją jasną czupryną.

Chodził dumnie, wciśnięty w nieprzyzwoicie wąskie białe spodnie.

— Spotkało mnie coś okropnego — wyznała.

Złapał swoje odbicie w lustrze i przyjrzał się sobie.

— Tak?

— Coś koszmarnego.

— Musi pani na siebie uważać, pani S. — powiedział niejasno.

— Wiem.

Naprawdę wyglądała na zmartwioną.

— Czy mam zadzwonić po pani męża, żeby tu przyjechał? — zapytał iprzejmie.

Tego tylko brakowało.

— Nie, nic mi nie jest — zapewniła.

Odsunął się i zmrużył oczy, oglądając ją w lustrze.

— Więc jak chcemy dziś wyglądać?

— Nie obchodzi mnie to. Saxon zabrał się do pracy.

Mickey przyjechał do studia odświeżony po relaksującym spotkaniu z chińską dziwką. Lucky nie mogła doczekać się, żeby przekazać mu dobre wieści.

— Pan Panther wyznaczył spotkanie na dziesiątą w poniedziałek — powiedziała. —

Przyjedzie osobiście i prosi, żeby był pan i pani Stolli. Skontaktował się też z pana szwagrem, Benem Harrisonem i jego żoną. Przylecą z Anglii. Aha, i jakaś panna Franklin dzwoniła dwa razy. Mówiła, że to coś ważnego.

Mickey patrzył na swoją sekretarkę. Ta myszowata kobieta. Ta wiedźma.

— Kurwa! — rzucił, zanim zatrzaskał drzwi do swojego biura. Mickey Stolli nie miał najlepszego dnia.

Rozdział czterdziesty szósty

Fotoreporterzy czatujący przed Spago wpadli w szal radości, kiedy zobaczyli Coopera Turnera i Venus Marię. Na coś takiego czekali. Magiczna para. Zdjęcie mogące przynieść im kilka tysięcy dolarów.

Venus i Cooper nie zgodzili się pozować do zdjęć, ale też nie zasłaniali się zbyt. Trzymając się za ręce zeszli w dół do wejścia, dając fotografom wiele okazji do świetnych ujęć.

Bernard, siedzący przy pierwszym stoliku, powitał ich uściskiem dłoni, a Jannis zaprowadziła ich do stolika przy oknie. Venus natychmiast zamówiła mrożoną margaritę i jedną ze słynnych pizzy Wolfganga — z wędzonym łososiem i topionym serem.

Cooper był bardzo rozbawiony.

— Myślałem że należysz do kobiet o silnej woli. Wiesz, do tych które nigdy nie zjadłyby niczego tuczącego.

— Dziś będę robić to, na co mam ochotę — odpowiedziała beztrąsko. Skinął głową.

— Czy to znaczy że będziemy się kochać? Wybuchnęła śmiechem.

— Cooper! Jesteś najlepszym przyjacielem Martina, więc zachowuj się odpowiednio. Poza tym, obiecałeś mi.

— Wiesz, że żartuję — powiedział, machając do Idy i Zeppo White'ów, którzy jedli kolację z Susie Rush i jej mężem.

— Tak, wiem — uśmiechnęła się.

Cooper miał czterdzieści pięć lat, tyle samo co Martin, a mimo to posiadał pewne cechy młodego chłopaka i to się jej podobało. Mógł być znanym Cooperem Turnerem, ale dla niej był przyjacielem, i to dobrym.

— Czy dobrze znasz żonę Martina? — zapytała, próbując utrzymać obojętny ton.

— Deenę? Znam ją tak długo jak Martin. Poznałem ją, zanim się pobrali.

— Jaka jest?

— Deena to interesująca kobieta.

— W jaki sposób?

— Ma charakter.

— Jak ja?

— Niczyjego charakteru nie da się porównać z twoim. Podano pizzę i Venus Maria zajęła się jedzeniem.

— Czy ona wie o mnie? — zapytała delektując się potrawą.

— Słuchaj, Martin nigdy nie był wiernym mężem. Już ci mówiłem. Wiele pięknych kobiet przewinęło się przez jego życie. Na pewno Deena wie, co się dzieje. Tylko woli to ignorować.

— Nie jestem tylko następną kobietą — powiedziała Venus Maria gorąco.

— Wiem.

— Jesteś tego pewien? Powiedział ci to? — naciskała, popijając koktajl.

— Nie. Ale ty nie mogłabyś być tylko kolejną kobietą w niczym życiu. Jesteś niezwykła.

Przy Cooperze czuła się dobrze.

— Tak uważasz?

— Wiem to — podniósł kieliszek i wzniosł toast. — Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

— Dziękuję ci Cooper. Doceniam, że to mówisz.

Przerwał im kelner, który przyniósł kartę głównych dań. Venus Maria zamówiła kaczkę w sosie śliwkowym, Cooper zamówił stek.

— Przy okazji — powiedział — miałem zamiar ci powiedzieć.

— Co? — zapytała ciekawa.

— Muszę przyznać, że jesteś naprawdę dobra. Wiem, że starałem się umniejszyć twoją rolę, ale naprawdę świetnie ci poszło. Masz w sobie coś, cokolwiek by to było. Była zachwycona jego pochwałami.

— To dlatego, że miałam wspaniałego reżysera.

— Wiesz, jak można polecić faceta, prawda?

— Wiem, jak zrobić wiele rzeczy — odpowiedziała prowokująco. Pokiwał głową z przekonaniem.

— Na pewno. Pochyliła się nad stołem.

— Cooper?

— Co?

— Uważasz, że Martin może zostawić Deenę? Spojrzał na nią zaskoczony.

— Wracamy do tego tematu?

— Przepraszam. Westchnął.

— Chcesz, żeby to zrobił? Miała niepewny wyraz twarzy.

— Czasami wydaje mi się, że chcę tego bardziej niż wszystkich innych rzeczy, kiedy indziej nie jestem pewna.

— Więc lepiej się na coś zdecyduj, ponieważ to co on robi, zależy od ciebie.

Mówił to, co już wiedziała.

— Chyba masz rację.

— Ale powiem ci coś — dodał. — Jeśli on zdecyduje się zostawić Deenę, to nie będzie proste. Ona jest twarda.

Venus Maria wyprostowała się na krześle.

— Ja też.

— Kochanie, przy Deenie jesteś jak miękka bułeczka.

Na drugim końcu miasta Emilio siedział z Dennisem Walią w małym, zagraconym biurze. Wprowadzali ostatnie poprawki do jego historii. Powiedział wszystko, co był w stanie wymyślić. Wszystko, od koloru majtek, w jakich chodziła Venus Maria, do jej wyglądu, kiedy wstawała z łóżka.

Dennis był zadowolony z tej opowieści, ale chciał jeszcze więcej.

— Kiedy pokażesz mi zdjęcie, o którym mówiłeś? - zapytał. — Jest nam potrzebne.

— Zdobę je.

— Myślałem, że już je masz — uciął Dennis.

— Tak, mam. Jest w bezpiecznym miejscu — odpowiedział Emilio, kiwając się na krześle. — Chyba nie sądzisz, że będę trzymał na wierzchu takie cenne zdjęcie, prawda? Ktoś mógłby się włamać do mojego mieszkania. Każdy mógłby je dostać. Poza tym, nie uzgodniliśmy jeszcze ceny.

Dennis wziął puszkę piwa i pociągnął duży łyk.

— Cena zależy od zdjęcia. Jeśli będzie dużo warte, dostaniesz dużo. Emilio podrapał się w głowę.

— Niedługo ci je pokażę — obiecał. Dennis niecierpliwie kołysał się w fotelu.

— Niech to będzie w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli w ogóle mamy je wydrukować.

— Nie martw się, jutro przyniosę — odpowiedział Emilio zastanawiając się, co do cholery obiecywał.

Wiedział, gdzie było zdjęcie, widział je raz, kiedy Venus Maria musiała wyjść z domu w pośpiechu i zapomniała zamknąć sejf. Kiedy u niej mieszkał, często myszkował po domu pod jej nieobecność. Ten dzień był wyjątkowy. Przeszukał sejf i znalazł zdjęcie Venus i Martina Swansona. Powinien był je wtedy zabrać i zrobić kopię. Ale nie przyszło mu to do głowy.

Teraz musiał znów dostać się do jej domu, otworzyć sejf i ukraść zdjęcie.

Emilio nie wyobrażał sobie, jak tego dokona.

Dennis wstał, ziewnął i przeciągnął się.

— To wszystko na dzisiaj, stary. Mam dość — powiedział, zgniatając pustą puszkę i wrzucając ją do kosza.

Emilio skinął głową. Miał przed sobą randkę. To niesłychane, jak zmieniał się stosunek kobiet do niego, kiedy dowiadywały się, że ma pieniądze. Już kupił niezły samochód i trochę nowych ubrań.

Umówił się z ponętną tancerką, która dwa tygodnie temu nawet by na niego nie spojrzała. Teraz mruczała: „Oczywiście Emilio, bardzo chętnie”, kiedy zadzwonił i zaprosił ją na kolację. Miała na imię Rita i była jak beczka prochu. Pół Amerykanka, pół Portorykanka, urzeczywistniała marzenia Emilia. Nieco podobna do Venus Marii, ale tak wyglądała połowa przyszłych gwiazdek w Los Angeles.

Podali sobie ręce.

— Do jutra, stary — powiedział Dennis, poklepując go po ramieniu. — Czekam na twój telefon.

— Dobrze — zgodził się Emilio i wyszedł.

Cooper Turner umiał słuchać. Nawet lepiej od Rona, który zawsze wstawiał niesmaczne komentarze. Rady Coopera były słuszne.

— Rozumiem, przez co przechodzisz — powiedział ze współczuciem. — Zakochałaś się w nim. Nie da się wytłumaczyć, dlaczego zakochujemy się w pewnych ludziach. Ty i Martin stanowicie dziwną parę. Musisz przyznać, że nie macie ze sobą nic wspólnego. Ale kochasz go, rozumiem cię.

Venus Maria potaknęła zadumana.

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego. Cooper wyglądał bardzo poważnie.

— Może szukasz obrazu ojca. On jest dwadzieścia lat od ciebie starszy.

— Ty też, Cooper. A ciebie nie uznałabym za obraz ojca.

Ujął jej rękę.

— A za co byś mnie uznała? Uśmiechnęła się.

— Za bardzo atrakcyjnego mężczyznę, którym mogłabym się zainteresować, gdybym nie miała kogoś innego. Nawet mimo krążących o tobie opinii.

— Jakich opinii? — zapytał niedbale. Zaczęła się śmiać.

— Nie potrafisz tego ukryć, Coop, jesteś niesłychanym babiarzem. Tak długo mieszkasz w tym mieście, że chyba nie ma kobiety po trzydziestce, z którą byś nie spał, włączając w to mężatki.

W jego oczach pojawił się błysk.

— Byłem wtedy młody i nie wiedziałem, co robię.

— A teraz jaki jesteś, stary?

— Chcesz, żebym porozmawiał z Martinem? — zapytał szybko zmieniając temat.

— Żebym się dowiedział, co naprawdę myśli?

Venus potrząsnęła platynowymi lokami.

— Wiem, że ma bzika na moim punkcie. Ale chyba chciałabym wiedzieć, czy widzi dla nas jakąś przyszłość.

— Dobrze, dowiem się.

— Naprawdę?

— Dla ciebie wszystko.

— Ale nie powiesz mu, że o nim rozmawialiśmy, prawda? Możesz to zagrać? — zapytała niecierpliwie.

— Czy mogę?

— No, możesz? — dopytywała się.

— Kochanie, mogę zrobić wszystko, o co mnie poprosisz. Nagle zrobiła się bardzo poważna.

— Ufam ci, Cooper. Spojrzał w jej brązowe oczy.

— I masz rację.

Pojechali do niej do domu. Zastanawiała się, jakie życie byłoby proste, gdyby kochała Coopera. Ale cóż, kochała Martina. Wybrała władcę Nowego Jorku.

— Mogę wejść? — zapytał Cooper, kiedy zajechali pod drzwi.

— Zależy, czego się spodziewasz. Uśmiechnął się kwaśno.

— Filiżanki kawy.

— No to wchodź.

Weszła do domu i włączyła automatyczną sekretarkę. Zapisano się kilka telefonów.

Dwa w interesach, trzeci od Martina.

— Dostałaś swoją wygraną? — pytał. — Zawsze reguluję długi. Czwartą wiadomość zostawił Emilio:

— Cześć siostrzyczko, miło, że zadzwoniłaś. Miałem dużo pracy, zarobi-

łem trochę pieniędzy. Mogę przyjść rano i zostawić to u ciebie w sejfie⁹ Dzięki Nie chcę, żeby to leżało w mieszkaniu. Do zobaczenia.

— Kto to? — zapytał Cooper.

— Mój brat — odpowiedziała. — Nie mam pojęcia, co zrobił, żeby zdobyć jakąś forszę. I po co chce to tu przynieść? Dlaczego nie wynajmie skrytki? — westchnęła.

— Mówię ci, rodzina to coś okropnego

Cooper współczująco skinął głową.

— Wiem, co masz na myśli.

Obserwował ją, jak chodziła po pokoju. Robiło mu się nieprzyjemnie goraco.

— Może brandy? — zapytała. — Nie chce mi się robić kawy Wstał nagle.

— Zmieniłem zdanie. Idę do domu. Muszę zadzwonić gdzieś rano

— Na pewno?

— Jeśli zostanę, mogę się na ciebie rzucić. Więc lepiej wyjdę stąd póki jeszcze jesteście przyjaciółmi. Zgoda?

— Jaki uczciwy — zaśmiała się.

— Raczej niespokojny!

— Przykro mi, nie mogę nic na to poradzić. Spojrzał na nią smutny.

— Wcale nie jest ci przykro.

— Masz rację.

Odprowadziła go do drzwi, stanęła na palcach i pocałowała w policzek

— Dziękuję, Cooper. Byłeś dziś dla mnie cudowny.

Kiedy została sama, pomyślała o Martinie. Gdy się sypia z żonatym tacetem, nie można nawet zadzwonić do niego, jak przyjdzie na to ochota Wciąż niespokojna, otworzyła lodówkę, wyciągnęła pudełko lodów czekoladowych i usadowiła się przed telewizorem. Wkrótce zasnęła.

Najbardziej seksowna supergwiazda w Ameryce spała sama

Rozdział czterdziesty siódmy

Abe Panther właśnie szykował się na spotkanie. W białych spodniach i koszuli w niebieskim swetrze i z czerwoną chustką nonszalancko owiniętą wokół chudej szyi, wyglądał całkiem fertycznie jak na osiemdziesięcioośmio-letniego człowieka.

Lucky przysłała z Mortonem Sharkeyem. Ze studia pojechała szybko do domu, wzięła prysznic, umyła włosy, zrobiła makijaż, a perukę, okulary i ubranie rzuciła w kącie łazienki. Była gotowa na pokaz, jaki zamierzała dać przed powrotem do Nowego Jorku.

Abe uściskał ją na powitanie i szelmowsko zmrużył oczy.

— To jest to, dziewczyno, to jest to! — powiedział głośniejszym głosem niż trzeba.

Też się uśmiechnęła.

— Na pewno, Abe. Wyglądasz świetnie.

— Nie mogę się doczekać poniedziałku — powiedział. — To będzie zabójczy numer!

Pojawiła się Inga. Jak na nią, miała miły wyraz twarzy.

— Dobry wieczór Lucky — przywitała się.

„Dobry wieczór Lucky!” Inga zauważyła jej istnienie! Abe musiał jej dużo naobiecować.

— Więc co, moja panno, jesteś gotowa przejąć studio? — zapytał Abe. — Zaplanowałaś sobie wszystko.

— Powiem ci jedno, Abe. Zamierzam zmienić sposób, w jaki Panther pracuje. Dość już wykorzystywania kobiet. Studio Panther stanie się studiem, w którym każdy będzie miał równe szanse.

Zaśmiał się.

— I uważasz, że w ten sposób zrobisz pieniądze? Podjęła wyzwanie.

— Czasami — zaczęła powoli — trzymanie się zasad jest ważniejsze od pieniędzy. Abe przechylił głowę na bok.

— Wiesz co, moja panno? Chciałbym spotkać twojego ojca. Dobrze cię wychował. Skinęła głową.

— Tak. Umówimy się wszyscy na obiad, kiedy tu przyjedzie.

— Jeśli dożyję.

— Nie opowiadaj. Ty nas wszystkich przeżyjesz.

Prawnicy już czekali. Morton przyprowadził swoich dwóch doradców, obaj adwokaci Abe'a, przypominający wyglądem biznesmenów w trójrzędowych marynarkach, czekali w gotowości.

Z podpisywania ostatecznych dokumentów Abe zrobił niemałą ceremonię. Nakłonił Inge do wystawienia najlepszej zastawy, która pasowała do wyśmienitego szampana.

Tuż przed złożeniem podpisu, wręczył Lucky pudełeczko od Cartiera.

— Mam coś dla ciebie, moja panno — powiedział dumnie. — Chciałem, żebyś miała coś na pamiątkę dzisiejszego dnia.

Lucky była naprawdę wzruszona. Otworzyła pudełeczko. W środku leżała śliczna zapinka w kształcie pantery, a na wieczku napis: „Dla Lucky od Abe'a Panthera. Daj im w kość, dziewczyno!”

Pochyliła się i pocałowała go.

— To bardzo piękne, Abe. Będę nosiła to z dumą. I zadbam o twoje studio — jej czarne oczy błyszczały. — Możesz się założyć.

Abe podpisał papiery i polano szampana.

— Oto koniec pewnej epoki — powiedział wznosząc toast. — Zaczyna się nowa.
— To będzie coś innego — przyznała Lucky. — Złożyłam obietnicę i dotrzymam jej. Studio Panther znów będzie wielkie.

Spojrzeni na siebie. Lucky Santangelo i Abe Panther. Między nimi prawie sześćdziesiąt lat różnicy, ale mogli się doskonale porozumieć.

Godzinę później Boogie odwiózł ją na lotnisko. Była bardziej podniecona, niż się spodziewała. Lucky Santangelo. Właścicielka i przewodnicząca studia Panther. Niech to! Kto by uwierzył? Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy minę Lenniego. I całą jego resztę.

Triumfująco wkroczyła na pokład wynajętego samolotu.

Boogie upewnił się, że bagaże są w luku i dołączył do niej.

Zapadła czysta, piękna noc. Lucky obserwowała z okna, jak odrzutowiec mknął po pasie startowym i wzbijał się w rozgwieżdżone nocne niebo.

Zamówiła szampana u stewarda i wzniosła toast ku morzu światła, które wyglądały jak migoczący dywan pod stopami.

— Za ciebie, Los Angeles — powiedziała. — I za Panthera. Właśnie rozpoczęła się nowa przygoda.

Rozdział czterdziesty ósmy

Biała długa limuzyna przeciskała się przez tłum ludzi do wejścia kina Graumana na bulwarze hollywoodzkim. Droga przez chodnik do drzwi wyłożona była czerwonym dywanem. Po obu jego stronach tłoczyli się dziennikarze i kamerzyści z wielu krajów. Tłum wielbicieli kłębił się na ulicy. Kiedy zauważyli zbliżającą się białą limuzynę, zaczęli wznosić okrzyki: „Johnny! Johnny!” Masa ludzi wrzeszczała: „Niech żyje Johnny! Niech żyje Johnny Romano!”

Ukryty bezpiecznie w limuzynie, Johnny Romano słyszał te pochwalne ryki.

Uśmiechnął się do dziewczyny, z którą przyjechał. Ładna młoda aktorka z dużym biustem i wesołym uśmiechem. Zadzwoił do niej w ostatniej chwili. Zależało mu, żeby była przy nim Venus Maria, ale skoro Venus nie zamierzała zaszczyścić go swoją obecnością, zadowolony się tą. Oprócz nich w samochodzie siedzieli jego dwaj wierni goryle i menażer.

Kiedy limuzyna zatrzymała się, wszyscy siedzieli w środku jeszcze przez parę minut, czekając aż ludzi na chodniku ogarnie prawdziwe podniecenie.

— Co się dzieje? — zapytała aktorka. — Na co czekamy?

— Gra wstępna — odpowiedział Johnny, mrugając porozumiewawczo. Pierwszy wysiadł menażer, za nim goryle, następnie dziewczyna Johnny'ego i na końcu Johnny Romano we własnej osobie.

Histeryczny okrzyk wstrząsnął tłumem.

Johnny powitał swoich fanów królewskim skinieniem ręki, przystanął na kilka sekund przy limuzynie, zanim wszedł na dywan. Goryle obstawili go z obu stron, za

nimi szła dziewczyna, a pochód zamykał menażer. Reporterzy i dziennikarze błagali o chwilę jego czasu.

Ignorował wszystkich, dopóki nie doszedł do *Wieczornej rozrywki*. To jego ulubiony program telewizyjny. Codziennie go oglądał.

Stała tam z mikrofonem w ręku Jeannie Wolf, uśmiechała się przyjaźnie.

— Johnny, czy jesteś zadowolony z filmu? — zapytała.

— Cześć Jeannie, miło cię widzieć. Jak się masz? — zapytał, odgrywając skromnego gwiazdora. — Tak, jestem raczej zadowolony. *Matkożerca* zaskoczy wielu ludzi. Ciężko nad nim pracowałem. Spodoba się moim fanom. I mojej matce. A mój ojciec będzie zachwycony!

Tłum ryczał z zadowolenia. Chcieli, żeby Johnny był świetny. Liczyli na niego. Jeannie uśmiechnęła się uprzejmie.

Johnny głębokim wzrokiem spojrział prosto w kamerę.

— Słuchajcie wszyscy. Idźcie kupić bilety na *Matkożercę*. Będziecie się dobrze bawić. Johnny wam to obiecuje.

— Dziękuję Johnny — powiedziała Jeannie.

— To ja dziękuję, Jeannie — odrzekł Johnny, machając do swoich fanów. Potem wszedł do kina.

Abigaile i Mickey Stolli jechali po bulwarze hollywoodzkim w zwyczajnym, niedużym aucie. Kłócili się przez całą drogę. Przede wszystkim samochód się spóźnił, a kiedy wreszcie przyjechał, Abigaile wpadła w histerię, gdy uświadomiła sobie, że zajędzie na premierę zwykłym samochodem. Całkowicie straciła równowagę, krzyczała na kierowcę, bezrobotnego aktora, który niemal zrezygnował z odwożenia ich.

— Nigdy nie zamawiałam takiego samochodu — wrzeszczała. — Nigdy w życiu nie siedziałam w takim samochodzie. Gdzie jest limuzyna?

— Tak mam w papierach, proszę pani — uprzejmie odpowiadał kierowca. — To jest samochód, który pani zamówiła.

Abigaile przymrużyła oczy. Oczywiście, winiła za to Mickeya.

— Zamorduję tę twoją sekretarkę. To idiotka. I to twoja wina.

— Nie martw się — spokojnie mówił Mickey. — Zwolnię ją w poniedziałek rano.

— Poniedziałek to za późno — rzuciła złowieszczo Abigaile, po czym zwróciła się do kierowcy. — Dlaczego tak późno przyjechałeś?

— Szósta czterdzieści pięć, proszę pani. Na tę godzinę kazano mi przyjechać.

— Spodziewałam się samochodu o szóstej trzydzieści — powiedziała Abigaile przez zaciśnięte zęby. — To po prostu okropne.

Mickey wzruszył ramionami. Miał wystarczająco dużo problemów, nie potrzebował słuchać wrzasków Abigaile.

Chciała, żeby odesłał samochód i sprowadził limuzynę, ale uświadomił jej, że nie ma czasu.

— Zostawię wszystko kierowcy, kiedy będziemy w kinie — zapewnił ją. — Limuzyna nas odbierze po filmie.

W końcu zgodziła się i niechętnie wsiadła do samochodu. Wrażenie, jakie robiła, było dla niej najważniejsze, a to nie zapowiadało się dobrze.

Wcześniej, kiedy Mickey wrócił do domu ze studia, zastanawiali się, dlaczego Abe Panther zwołał spotkanie na poniedziałek rano i nie zawiadomił żadnego z nich.

— Nie rozumiem, co się dzieje — niepokoila się Abigaile. — Dlaczego skontaktował się z Primrose i Benem, a mnie nie powiedział? Widziałam go w tym tygodniu. Bez problemu mógł coś napomknąć.

— Po co w ogóle przyjeżdża do studia? — warknął Mickey. — Dzieje się coś niedobrego.

Abigaile zgodziła się z nim, rozważając, czy to właściwy moment żeby mu powiedzieć o Warner.

W końcu zdecydowała, że nie. Mickey uznałby że zwariowała, jeśli przyzna się, że zadzwoniła i odwiedziła kobietę, która twierdzi, że ma z nim romans.

Mickey nie oddzwonił do Warner. Dlaczego miał to robić? Postanowił rozluźnić ich związek, a fakt, że dwa razy dzwoniła do biura tylko go zdenerwował.

Przyjechali do kina jako ostatni. Ludzie z telewizji już się pakowali. Pozostali tylko maruderzy. Mickey popędzał Abigaile do środka.

— Przepraszam — powiedział elegancki woźny — to zamknięte przedstawienie.

— Wiesz, kim jestem? — pytał wściekły Mickey.

— Przykro mi, ale to zamknięte przedstawienie — powtórzył zdecydowanie woźny.

— Jestem Mickey Stolli, dyrektor studia Panther. Lepiej natychmiast nas wpuść, albo stracisz pracę.

Odźwierny stanął na baczność.

— Oczywiście, proszę pana — powiedział, natychmiast zmieniając ton. Żeby dostać się do swoich miejsc, musieli przeciskać się obok Jonny'ego

Romano, któremu się to nie spodobało.

— Spóźniłeś się — syknął. Jakby Mickey o tym nie wiedział.

W końcu usiedli. Abigaile patrzyła w ekran, ale myślała o czymś innym. Mickey rozsiadł się i próbował skupić uwagę na filmie.

— Ty sukinsynu — wycedził Johnny Romano, pełne zbliżenie, jego przystojna twarz wypełniała ekran.

— Kogo nazywasz sukinsynem? — zapytał aktor grający drugą rolę.

— Nie pierdol mi, dobra? — powiedział groźnie Johnny. — Nie rób tego.

— Słuchaj, sukinsynu, będę pierdolił, komu zechcę — odpowiedział drugi aktor.

Piękne, pomyślała Abigaile. Kolejny film Mickeya — z jaką klasą! Pochyliła się do męża i wyszeptala mu sarkastycznie w ucho:

— Są w tym filmie jakieś normalne słowa? Mickey skrzywił się.

— Ten film ma przynosić pieniądze — odburknął.

Na przyjęciu po przedstawieniu każdy mówił Johnny'emu Romano, jaki był wspaniały, jak kasowy film nakręcił i jak mądrze i odkrywczco go napisano, wyreżyserowano, no i zagrano.

Johnny Romano skromnie przyjmował te pochwały, czasami wzruszył ramionami, kiedy indziej się uśmiechnął.

Prywatnie ludzie zastanawiali się, jak to możliwe, że temu dupkowi uchodzi zrobienie takiej szmiry. I jakim cudem może to zarobić fortunę?

Johnny kręcił się po sali, udzielał wywiadów, pozdrawiał przyjaciół, odgrywał supergwiazdę.

Kilka pierwszych recenzji filmu nie było zbyt pozytywnych. Niektóre nawet go skrytykowały. Johnny się nie przejmował. Wiedział, że może robić, na co ma ochotę, a publiczność to zaakceptuje. To Johnny Romano, kochają go i wezmą wszystko, co raczy im rzucić.

Abigaile i Mickey siedzieli przy stoliku z kilkoma członkami zarządu Panther. Mickey wiedział, że nadciąga coś niedobrego, kiedy Ford Werne pochylił się nad stołem i zapytał:

— O co chodzi z tym spotkaniem w poniedziałek?

— Co? — Mickey udał nieświadomość.

— Dostałem zawiadomienie od Abe'a Panthera — powiedział Ford. — Chyba przyjedzie w poniedziałek do studia. Zwołał zebranie wszystkich członków rady.

— Naprawdę? — Mickey czuł, jak coś przewraca mu się w żołądku. Przebiegły, stary Abe Panther w końcu pojawił się i chciał zrobić coś poważnego. Może wracał, żeby odzyskać kontrolę.

Mickey postanowił zadzwonić do Martina Swansona i dowiedzieć się, jak wygląda ta druga sprawa, bo jeśli Abe Panther wróci, Mickey szybko się wyniesie. Nie pozwoli staruchowi na obniżenie swojej pozycji. Nie pozwoli.

Kiedy się nad tym zastanawiał, podniósł głowę i zobaczył Warner, cały jej metr osiemdziesiąt, ubraną w krótką świecą sukienkę i pochłoniętą pogawędką z Johnnym Romano. Jezu Chryste! Ona naprawdę rozmawiała z Johnnym Romano! Mickey się zakrztusił. Co do cholery robiła tu Warner? Załatwił jej bilety do kina, ale na pewno nie zaproszenie na przyjęcie.

Na pewno ta głupia sekretarka wszystko pokręciła i wysłała jej zaproszenie razem z biletem.

Luce zapowiadała się doskonale, ale okazała się być najgłupszą cipą roku. Nie mógł się doczekać, kiedy ją wywali.

— O Boże! — krzyknęła Abigaile, która zauważyła Warner kilka chwil po mężu.

— To ta koszmarna kobieta.

— Jaka kobieta? — zapytał Mickey, przekonany, że Abigaile nie może znać Warner.

— Tam — syknęła Abigaile, wskazując dokładnie na Warner. — Rozmawia z Johnnym Romano. To ona.

Mickey był zmieszany.

— To pewnie jedna z dziewczyn Johnny'ego Romano — powiedział. — Dlaczego tak się przejmujesz?

— Powinam ci była powiedzieć, co się dziś stało — zaczęła podniecona Abigaile czerwieniejąc na twarzy.

— Co? — Mickey nie miał nastroju na wysłuchiwanie relacji z dnia Abigaile. Zadzwoniłam do ciebie do biura, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteś i powiedzieć ci o Primrose i Benie, no i o telegramie.

Miał niejasne wrażenie, że nie spodoba mu się to, co za chwilę usłyszy.

— I co?

— Twoja sekretarka podała mi numer telefonu. Zadzwoniłam i odebrała ta kobieta.

— Jaka kobieta?

— Ta, która rozmawia z Johnnym.

— Mów, co się stało, Abigaile. Nic nie rozumiem.

— Kobieta podniosła słuchawkę i powiedziała mi, że jest policjantką i że się z tobą spotyka. Możesz w to uwierzyć? W każdym razie nie wiedziałam, co zrobić - Abigaile zawahała się, zanim dokończyła. — Zabijesz mnie, Mickeyu, ale byłam taka zaskoczona, wsiałam do samochodu i pojechałam się z nią zobaczyć. Mieszka w brudnym, małym mieszkaniu. Próbowwała mnie nastraszyć. Jestem pewna, że to jakaś próba porwania. Oczywiście, wyszłam stamtąd tak szybko, jak mogłam.

Mickey podrapał się w głowę.

— Cholera. Nie wierzę własnym uszom. Jakaś kobieta mówi przez telefon, że jest moją przyjaciółką i ty w to wierzysz? I jedziesz do obcego mieszkania? — potrząsnął z niedowierzaniem głową. — Abby, Abby, tym razem posunęłaś się za daleko. Abigaile spuściła oczy.

— Wiem, Mickey. Głupio zrobiłam. Miałam szczęście, że uciekłam. Kiedy Abigaile mówiła, Mickey szybko myślał. Gdy Abigaile zastanowi się nad tym, co zaszło, zda sobie sprawę, że nie jest tak, jak jej się wydaje. Musiał wymyślić jakieś wytłumaczenie, dlaczego ta głupia sekretarka dała jej numer Warner. No i wyjaśnić, kim jest Warner.

— Słuchaj ~— powiedział szybko — nie chciałem cię w to wciągać, ale chyba muszę ci powiedzieć, o co chodzi.

Abigaile przeraziła się.

— O co, Mickeyu?

— Johnny Romano bierze narkotyki.

— O Boże! — krzyknęła Abigaile.

— Kazałem tej... wynajętej policjantce śledzić go i pewnie Lucy wszystko pomyliła i podała ci zły numer. A ta kobieta pewnie myślała, że jesteś jedną z dziewczyn Johnny'ego.

— Dlaczego miała tak myśleć? — zapytała Abigaile. — Przedstawiłam się.

— Nie umiem czytać w myślach — uciał. — Wiem tylko tyle, że nie powinnaś tam chodzić. Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej pozycji?

— Co ta kobieta tu robi? Czy obserwuje Johnny'ego?

— Tak. Właśnie. Jest z wydziału walki z narkotykami. Muszę chronić Johnny'ego.

— Nie wiedziałam, że zajmujesz się takimi rzeczami.

— Kochanie, kiedy prowadzi się studio, trzeba pilnować wszystkiego i wszystkich. Mickey uznał, że zatarł ślady, przynajmniej na razie. Rzucił okiem na Warner. Wciąż rozmawiała z Johnnym Romano i czy mu się zdawało, czy Johnny wyglądał na zainteresowanego?

Przez cały czas, kiedy byli razem, Mickey nigdy nie widział Warner ubranej na przyjęcie. Nie wyglądała źle. Na pewno miała najdłuższe nogi w mieście i mimo że nie była ładna, miała swój styl. Kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że widział ją tylko w mundurze albo nago. Teraz miał przed oczami nową, ekscytującą Warner. Poczul się nagle zazdrosny.

— Kiedy pójdziemy do domu? — szepnęła Abigaile. — Film był koszmar.

Przyjęcie też jest okropne. I nie podoba mi się, że nie wiemy, co się stanie w poniedziałek na spotkaniu. Chodźmy już.

— Masz rację — zgodził się Mickey. — Za pięć minut będę gotowy.

— Dokąd idziesz?

— Muszę polechtać jego dumę. Powiem Johnny'emu, że jest lepszy nawet od jogurtu bananowego. To mi zajmie dwie sekundy.

— Mam pójść z tobą?

— Nie, zostań tu. Jutro wyślesz mu prezent od Cartiera.

Mickey podszedł w momencie, w którym Johnny Romano mówił do Warner:

— Kochanie, masz najdłuższe nogi, jakie w życiu widziałem. Są prawie wzrostu mojej dziewczyny. Założę się, że możesz z nimi robić takie rzeczy, jakie trudno sobie wyobrazić.

Warner, ta olbrzymia, wszystkowiedząca, nieustraszona i twarda glina, gapiała się na Johnny'ego Romano, jakby był bogiem.

— Może spotkamy się później zaproponował Johnny, którego już znudziła aktorka, zajęta lataniem po sali.

Mickey dał do zrozumienia, że słyszy.

— Johnny, mamy następny kasowy film. Gratuluję — udawał entuzjizm.

— Najlepszy — odpowiedział skromnie Johnny.

Mickey cmoknął go w dupę. Wiedział, jak należy to zrobić, kiedy trzeba.

— Nie ma wątpliwości.

Johnny pogłaskał Warner po ramieniu.

— Czy znasz... um... jak ci na imię, kochanie? Warner spojrzała na Mickeya z obrzydzeniem.

Był wściekły. Co takiego zrobił? To wszystko jej wina, rozmawiała przez telefon z Abigaile i zaprosiła ją do siebie do domu. Nie mógł się doczekać, kiedy to wszystko wyjaśni. Ale nie teraz, nie kiedy Abigaile jest blisko i pewnie śledzi każdy jego ruch.

— Warner Franklin — powiedziała, doskonale opanowana.

— Ładne imię, kochanie — powiedział Johnny z uwodzicielskim uśmiechem. — Warner, tak?

Mickey uścisnął jej rękę.

Ścisnęła zbyt mocno, prawie zgruchotała mu kości.

— Kochanie, to jest Mickey Stolli, dyrektor studia — Johnny trącił ją łokciem i mrugnął: — To bardzo ważny facet. Co robisz, kochanie? Jesteś aktorką?

— Nie — Warner uwielbiała szokować. — Jestem gliną. Johnny myślał, że to najzabawniejsza rzecz, jaką słyszał w życiu.

— Gliną? Ty? Kochanie, bardzo bym chciał być przez ciebie aresztowany. Spojrzała triumfująco na Mickeya.

— Może będziesz. Później.

Wściekły Mickey wrócił do Abigaile, złapał ją za rękę i powiedział:

— Idziemy.

Państwo Stolli wyszli — głowa studia i jego żona, księżniczka Hollywood. Kto wie, co przyniesie poniedziałek?

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Była trzecia rano, kiedy Lucky i Boogie w końcu znaleźli się na chodniku przed domem, w którym Lennie wynajmował strych. Rozejrzała się.

— Boże, Boogie, to straszna dziura. Dlaczego nie został w naszym mieszkaniu?

Boogie pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Pewnie myślał, że tu się może skryć.

— I udało mu się — odpowiedziała.

Była trochę zdenerwowana i podniecona. Tropienie Lenniego to przygoda, już czuła, jak wydziela się jej adrenalina. Wzięła głęboki oddech.

— O.K., Boog, pokaż, co potrafisz i włam się do środka tak, żeby nikt się nie zorientował.

— Chcesz zaskoczyć go w łóżku? — zapytał Boogie.

— Tak właśnie zamierzam zrobić.

Boogie nigdy nie komentował, jednak tym razem się nie powstrzymał.

— Jesteś bardzo pewna siebie.

— Tak, dobrze o tym wiesz. Boogie rzucił jej szybkie spojrzenie.

Hmm, myślała. Czy on się naprawdę spodziewał, że zastaną Lenniego z jakąś kobietą? Możliwe, że jej mąż jest tak zwariowany jak ona, ale na pewno nie do tego stopnia. Ich związek polegał na zaufaniu, nie spodziewała się, żeby Lennie mógł to zaufanie zawieść. Nie udawała, że inne kobiety go nie pociągają, ale interesować się kimś, a robić coś to dwie różne rzeczy.

Jego strych znajdował się na ósmym piętrze rozpadającego się budynku. Boogie bez problemów włamał się na klatkę schodową i oboje weszli do holu, gdzie wisiały skrzynki pocztowe. Na skrytce Lenniego widniały litery L.G.

Winda nie wzbudzała zaufania.

— Lepiej chodźmy po schodach — postanowiła Lucky.

— Czujesz się taka mocna? — zapytał Boogie. — To osiem pięter w górę.

— Zadajesz tyle pytań, Boog. Co jest z tobą?

— Nie podoba mi się to — powtórzył uparcie.

Westchnęła. Brakowało jej tylko grymasów Boogiego. Dlaczego nie poddawał się przygodzie i nie bawił się?

— Dlaczego? — zapytała lekko.

— To nie w twoim stylu.

— Mylisz się. To jest dokładnie w moim stylu.

I było. Zniknęła na sześć tygodni, wróciła z hukiem. Co w tym złego?

Wdrapali się na górę, Lucky szybciej niż Boogie. Otworzyli drzwi pożarowe i znaleźli się na piętrze Lenniego. Przed nimi były stalowe drzwi.

Boogie się skrzywił.

— Mogę sforsować wiele przeszkód, ale to wygląda zbyt solidnie.

— To może tylnymi drzwiami? — zaproponowała Lucky. — Tamtędy musi być łatwiej.

— Sam nie wiem — Boogie potrząsnął głową niepewnie. — A jeśli on już tu nie mieszka? Jeśli ktoś się wprowadził i powita nas pistoletem?

— Boisz się? — drażniła go Lucky. — Zawsze uważałam cię za twardziela.

— Chronię twój tyłek — przypomniał jej Boogie.

— Sama się zajmę moim tyłkiem, ty pilnuj swojego.

Tylne drzwi okazały się łatwiejsze do sforsowania. Zajęło to jakieś pięć minut, ale w końcu zamek puścił. — Cśś — Lucky położyła palec na ustach, kiedy wchodzili do małej, ciemnej kuchni. Gdy byli już w środku, odwróciła się i szepnęła Boogiemu:

— Możesz iść, wszystko w porządku.

— Nie zostawię cię tutaj — zaprotestował.

— Nie bój się — wyszeptała. — Poczekaj na dole w samochodzie. Jeśli nie zejdem w ciągu dziesięciu minut, możesz jechać.

— Nie powinienem iść — powtórzył uparcie.

— Wyjdiesz czy nie? — powiedziała niecierpliwie. — Popsujesz niespodziankę. Nie ruszył się.

— Zmykaj — syknęła — albo cię zwolnię. Poszedł niechętnie.

Zamknęła za nim kuchenne drzwi i weszła do dużego pokoju. Na środku zauważyła kręte schody wiodące na galerię. Wyglądało na to, że galeria należała do mieszkania, więc doszła do wniosku, że tam musi być sypialnia. Ściągnęła buty i wspięła się po cichu na górę.

Na środku piętka stało wielkie, okrągłe łóżko, a w nim spał Lennie. Leżał na brzuchu, na wpół przykryty prześcieradłem. Lucky nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przez chwilę stała i patrzyła na niego. Jej mąż! Jej wspaniały mąż! Po cichu zaczęła zdejmować ubranie. Kiedy była naga wczołgała się do łóżka obok niego. Lennie westchnął przez sen i objął ją! Przysunęła się bliżej, oplatając w uścisku jego ciało.

Czuła, jak nieświadomie narasta w nim podniecenie. Uśmiechnęła się, nie wiedząc, czy powinna czuć się obrażona czy zadowolona. Czy podniecił się, bo wiedział, że to ona? Czy po prostu śniło mu się coś wspaniałego?

Nie miało to znaczenia, pragnęła go tak bardzo jak on jej.

— Lennie — szepnęła, drapiąc go po plecach. — Obudź się. Jęknął i powoli otworzył oczy.

— Co do... — zaczął.

— Cśś — położyła mu palec na ustach, próbując go uciszyć.

— Nie wierzę — mamrotał nie do końca obudzony.

— Uwierz, kochanie. To ja. Wróciłam — powiedziała zachwycona. Przekręcił się.

— Jak mnie znalazłaś, do cholery? Zaśmiała się delikatnie.

— Jak myślisz, z kim masz do czynienia, z żoną? Podniósł się na łokciu.

— Jesteś niesamowita, wiesz o tym?

— Uhm.

— Jess powiedziała ci, gdzie mnie szukać, tak? Zawsze wiedziałem, że za dużo mówi.

— Moje źródła są tajemnicą. Jestem tu, to nie wystarczy? Kiedy mówiła, pieściła jego ciało. Usiłował odepchnąć ją, jednak naprawdę nie miał na to ochoty. Wściekał się, ale przegrywał.

— Jezus, Lucky. Co się teraz stanie? Nastąpi następna wspaniała scena miłosna i znikniesz, kiedy się skończy?

— Nie ma mowy — odpowiedziała oburzona. — Nigdy się nie powtarzam. Powinieneś o tym wiedzieć.

— Jedyne co o tobie wiem, to że jesteś zwariowana.

— Ja też o tym wiem. Sześć tygodni z dala od ciebie to wszystko, co mogę znieść. Usiadł, przejechał rękoma po włosach.

— Warto było? Osiągnęłaś, co chciałaś? Objęła go od tyłu.

— Jutro ci wszystko opowiem. Potrząsnął głową.

— Jak się tu dostałaś? Roześmiała się.

— Kiedyś byłam włamywaczem. Nie mówiłam ci?

— Kochanie, jesteś kimś innym, naprawdę. Powinienem być na ciebie wściekły. Drapała go po szyi, wiedziała, że to uwielbia.

— A jesteś, Lennie? Znów potrząsnął głową.

— Co mam zrobić?

— Masz mnie pocałować i kochać się ze mną. Ma nam być niesłychanie dobrze. Przerwała na chwilę, nadal pieszcząc jego szyję.

— Jestem gotowa — szepnęła prowokująco — a ty? Nie walczył z tym. Co mógł zrobić? Kochał ją.

Obrócił ją i położył na plecach, potem pochylił się, by ją pocałować. Powolne, palące pocałunki — jego usta rozpały jej wargi — nadrabiali sześć tygodni tłumionej pasji.

Westchnęła zmysłowo. Czuła się, jakby całowano ją po raz pierwszy. To jakby być na diecie i po kilku miesiącach zjeść pierwszy kawałek czekolady. To jak gorący, letni dzień po burzy. Było im jak wtedy we Francji, kiedy płynęli na tratwie i nikt im nie przeszkadzał.

Całował ją długo i mocno, aż oboje poczuli, że udają się w tajemniczą podróż.

Jego zgłodniałe ręce błędziły po jej ciele, tylko on umiał ją tak dotykać

— Boże — mruknął. — Nadal cię kocham. Wiesz o tym, prawda?

— Myślałaś, że to się skończyło? — spytała, oplatając się wokół niego dotykając go gdzie tylko mogła.

— Nigdy nie wiem, co myśleć, jeśli chodzi o ciebie.

— Musisz nauczyć się mi ufać, Lennie.

Kochali się wolno i spokojnie, nawet bardzo wolno, ich ciała zjednoczyły się, jakby nic innego nie miało znaczenia. I w tym momencie nic się nie liczyło.

Poddała się uniesieniu, cieszyła się na myśl o dzikiej, radosnej uldze. Kiedy ta chwila zbliżała się, szepnęła mu do ucha:

— Chcę mieć orgazm równo z tobą. Chcę, żebyśmy przeszli przez to razem.

— Proszę bardzo. Nie zamierzam niczego robić bez ciebie.

— Kocham cię Lennie — westchnęła szczęśliwa. — Tak bardzo cię kocham.
I stało się. Trwało.

Skończyli wtuleni w siebie, spali tak aż do rana.

Rozdział pięćdziesiąty

Eddie Kane niecierpliwie przemierzał pokój Kathleen Le Paul i myślał: „Moje życie jest spaprane. Nie mam pojęcia, co piwinienem zrobić. Ty nie możesz mi pomóc. Leslie nie może. A Mickeya to nie obchodzi. Przegrałem. I do tego uderzyłem własną żonę”. Otwartą dłońią stuknął się w czoło, wyrażając, że nienawidzi sam siebie. „Nigdy przedtem nie uderzyłem kobiety. Rozumiesz, co mówię? Nigdy nie uderzyłem kobiety, a teraz uderzyłem Leslie, która jest najkochańs/ą osobą na świecie”.

Kathleen nie miała ochoty słuchać przemyśleń Eddiego. Chciała pozbyć się go z domu.

— Skąd wzięłeś mój adres! — zapytała zdenerwowana, w myślach licząc, ile był jej winien.

— Myślisz, że zadawałem się z tobą tyle czasu i nie dowiedziałem się paru rzeczy?

— odparował z tupetem. Chciałem zadzwonić z samochodu, ale nie mogłem się połączyć.

Po twarzy przebiegł mu nagły skurcz.

— Muszę dostać porcję i to natychmiast.

— Eddie — powiedziała cierpliwie Kathleen, mimo że wcale nie miała do niego cierpliwości. — Dziś ci coś dostarczyłam. Warte tysiąc pięćset dolarów, które, nie muszę ci przypominać, jesteś mi winien.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego uderzyłem żonę? Chcesz wiedzieć? — teraz walnął pięścią w otwartą dłoń. — Wyrzuciła towar do cholernego kosza na śmieci.

Problemy innych nudziły Kathleen. Dość miała własnych. To, co robiła Leslie, nie było jej sprawą. Jednak Eddie już zaczął.

— Jak miałem zareagować? Miałem powiedzieć: „Dziękuję, kochanie, że ratujesz moją duszę?” Nie ma mowy. Trzeźwieję wtedy, kiedy sam tego chcę — podszedł do okna i wyjrzał. — Mogę przestać w każdej chwili. Nie chcę byle czego — odwrócił się do niej. — Musisz mi pomóc.

— Jeśli sądzisz, że trzymam dostawy w domu, nie jesteś taki inteligentny, jak myślałam — powiedziała, mając nadzieję, że się go pozbędzie.

Ale nie można się go było pozbyć.

— Kathleen, nie traktuj mnie jak kretyna. Idź do sejfu, czy gdzie to trzymasz i przynieś mi trochę.

— Eddie, nie pochwalam takiego zachowania. Jeśli jeszcze kiedyś przyjdiesz do mnie do domu, wpakuję ci kulkę w tyłek. Zawsze mogę powiedzieć, że się włamałeś.

Teraz on zrobił się zły.

— Dobrze, dobrze, jak sobie chcesz. Dasz mi to czy nie?

— Za gotówkę.

Dziwka zaczynała grać mu na nerwach.

— Zapłaciłem ci dziś rano.

— Miałeś dług. Teraz jesteś mi winien więcej. Nie zapłaciłeś nawet za towar, który zniszczyła twoja żona.

Bardzo się zdziwił.

— Cholera! Mam za to płacić?

— A kto? Ja? — zapytała chłodno.

— O.K., więc jestem ci winien. Nie wkurzaj się.

Stało się jasne, że tylko w jeden sposób można się go pozbyć.

— Zaczekaj tu — rozkazała szorstko. — Niczego nie dotykaj. Kiedy wyszła, przeszukał kieszenie. Znalazł tylko kilka kart kredytowych, prawo jazdy i jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów. To wszystko. Scena z Leslie przypomniała mu się boleśnie.

— Wyrzuciłam to, Eddie — powiedziała. — Zaczniemy nowe życie.

— Co zrobiłaś? — krzyknął, nie wierząc, że ktoś może być taki głupi.

— Wyrzuciłam, Eddie — powtórzyła. — Jesteś uzależniony. Kim ona była, pielęgniarzką?

— Mam nadzieję, że się zgrywasz — powiedział groźnie.

— Nie — powtórzyła, jakby mogła robić, co jej się podoba. Uderzył ją tak nagle, że sam był tym zaskoczony. Jeden siarczysty policzek i Leslie poleciała jak kręgiel. Wtedy nawet nie uważał, że zrobił coś złego. Zaczął przeszukiwać dom, grzebał wszędzie, wyrzucał ubrania z szuflad, naczynia z szafek. Potem wrócił do pokoju, w którym Leslie wciąż leżała na podłodze.

— Powiedz mi, gdzie to jest, do cholery — wrzasnął.

Zanim zaczęła płakać, nad oknem zaczęło puchnąć miejsce, w które trafił sygnetem.

— Wyrzuciłam — jęczała.

— Dziwka! — wrzeszczał. — Wiesz, jak cierpię? Mała porcja pomaga mi przetrwać dzień. Jesteś krwio pijczą dziwką! Chcesz tylko pieniędzy, a teraz, kiedy nic nie mam, doprowadzasz mnie do szału.

— Eddie, próbuję ci pomóc — powiedziała nieszczęśliwa, łzy spływały jej po policzkach. — Jeśli chcesz mi pomagać w ten sposób, wynieś się stąd, zanim wrócę. Wybiegł z domu, wsiadł do maserati i tak znalazł się u Kathleen.

Kiedy wróciła do pokoju, wręczył jej cztery pięćdziesięciodolarowe banknoty.

— To na razie, chyba że wolisz czek.

— Nie biorę czeków — powiedziała lodowato. Wzruszył ramionami.

— O co chodzi? Nie ufasz mi?

— Nikomu nie ufam — odpowiedziała Kathleen Le Paul. — I co mam zrobić z marnymi dwustu dolcami?

Dla niego mogła się nimi wypchać. Potrzebował porcji bardziej niż czegokolwiek innego.

— No, kotku — bałamucił — przecież mam forszę.

Może uda się ją oszukać. Kathleen wyglądała na kobietę, która może to połknąć.

— A co zrobisz z długiem u Bonnattiego? — zapytała ciekawie. Wzięła złotą stołową zapalniczkę i uważnie obejrzała. Ta dziwka musi nieźle zarabiać.

— Wystawiłem dom na sprzedaż. W poniedziałek dostanę pożyczkę z banku. Spłace go, nie martw się, i ciebie też.

Starła się kontrolować narastający gniew.

— Eddie, sprzedaję tylko za gotówkę. To po raz ostatni — podała mu paczuszkę. — Mówię serio.

— Chcesz trochę? Dla towarzystwa? — zaproponował. Zwariował? Nigdy tego nie dotykała.

— Nie. Tylko wynoś się z mojego domu.

W samochodzie wciągnął trochę białego proszku, który miał na dłoni. Kiedy poczuł efekty, natychmiast się uspokoił. Czuł się tak, jakby mógł dokonać wszystkiego.

Leslie była bardzo zdziwiona. Nigdy nawet nie pomyślała, że Eddie mógłby ją uderzyć. To przywołało wszystkie złe wspomnienia. Kiedy była mała, ojczym często ją bił. Kiedy już dorosła, bił ją pierwszy chłopak. Potem uciekła do Kalifornii z tysiącem dolarów swojego ojczyma. Uważała, że się jej należą. Przyrzekła sobie, że coś takiego nigdy się nie powtórzy. A teraz to.

Leslie naprawdę kochała Eddiego. Ale nie będzie jego ofiarą. Jedno uderzenie i nie musiał jej mówić, żeby odeszła. Sama by to zrobiła.

Pobiegła do sypialni i wrzuciła kilka ubrań do walizki. Wsiadła do swojego džipa i pojechała prosto do Madame Loretty.

Kiedy starsza pani ją zobaczyła, natychmiast zaprosiła na górę. Bardzo jej żałowała.

— Mogę tu zostać, dopóki nie wymyślę, co zrobić? — zapytała ponuro Leslie.

Madame Loretta skinęła głową.

— Wrócisz do pracy? Leslie potrząsnęła głową.

— Nie to chcę robić.

— Nie ma pośpiechu — odpowiedziała Madame Loretta. — Porozmawiamy jutro.

Może weźmiesz gorącą kąpiel i się porządnie wyśpisz?

Leslie skinęła głową. Przynajmniej miała gdzie się schronić.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Sobotni rano w Nowym Jorku był świeży i jasny. Słońce wdarło się przez zasłony w mieszkaniu Lenniego i obudziło Lucky. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, potem przypomniała sobie z uśmiechem. Lennie spał obok niej, tam, gdzie było jego miejsce.

Wyczołgała się z łóżka, próbując go nie budzić. Poszła do łazienki i puściła prysznic. Był stary i zardzewiały, woda miała słabe ciśnienie, ale i tak stała pod tym strumieniem i pozwalała ciepłu przywracać się do życia.

Po kąpeli zawinęła się w biały frotowy szlafrok Lenniego. Boso poszła na dół do kuchni i przejrzała zawartość lodówki. Nie znalazła zbyt wiele. Parę jajek, miękkie pomidory, skamieniały bochenek chleba i trochę skwaśniałego mleka. Kiepski wybór na śniadanie.

Gotowanie nie należało do jej mocnych stron, ale mogła przygotować jajecznicę i tosty. Mruknęła do siebie, przeglądając, co miała do dyspozycji. Nie zapowiadało się obiecująco. Po cichu weszła na górę, ubrała się, wzięła torebkę, znalazła klucze do mieszkania na stoliku obok łóżka i wyszła.

Ulice Nowego Jorku jak zwykle tętniły zwariowanym, szybkim życiem. Poznała zapachy, widoki i dźwięki, których brakowało jej przez sześć tygodni w Kalifornii. W pobliskim sklepie kupiła świeże bułeczki, jajka, owoce, masło i mleko. Potem poprosiła starszego pana za ladą, aby podał jej ćwierć kilo szynki w plasterkach. Zadowolona z siebie, pobiegła z powrotem. Lennie wciąż spał — nie mogła mieć o to pretensji. Mieli za sobą cudowną noc.

W kuchni zajęła się robieniem jajecznicy i odgrzewaniem bułeczek. Wycisnęła świeży sok pomarańczowy, przygotowała kawę i ustawiła wszystko na stole.

Kiedy jedzenie było gotowe, zawołała:

— Lennie, znieś tu swój seksowny tyłek, śniadanie! Żadnej odpowiedzi.

Zauważyła wieżę stereo, więc puściła *Isn't She Lovely* Steve Wondera. W końcu Lennie stoczył się po schodach, włosy w nieładzie, spojrzenie zaspane.

— Dzień dobry — powiedziała radośnie.

— Miałem niesamowity sen — wymamrotał. — Kim jesteś?

— Twoją żoną. Pamiętasz?

— Żoną, która gotuje? — zapytał nieprzytomnie, potrząsając głową. — Moja żona nie gotuje.

Podawała mu łyżeczkę z jajecznicą.

— Skosztuj, a się przekonasz. Ożywiony spróbował jajek.

— Cóż, niezłe.

— Niezłe! Cholera! Są świetne! Musisz to przyznać.

— Wróciłaś.

— Tak!

— I nadal jesteś taka stuknięta, co? — powiedział, siadając do stołu. Uśmiechnęła się.

— A chciałbyś, żeby było inaczej?

— Byłoby miło, gdybyś czasami bywała w domu.

— Przestań mi dokuczać! — cofnęła się i zlustrowała go dokładnie. — Niech ci się przyjrzę. Czy to ten sam facet, który nie dawał mi spać wczoraj w nocy?

— Ten sam.

— Hmm...

— Podoba ci się?

— Koszmarny.

— Już go nie ma.

Objęła go ramionami, wiedziała, że ma dla niego niespodziankę, ale nie chciała jej jeszcze zdradzić.

— Naprawdę wróciłam.

— Zauważyłem. Na jak długo tym razem?

— Już nie wyjadę Lennie. Będziemy razem przez całe lato. Słowo Santangelo.

— Słowo honoru — poprawił ją.

— Racja — zaśmiała się. Obejrzał stół.

— Co skłoniło cię do zostania gospodynią roku?

— Myślałam, że możesz być głodny — pochyliła się i pocałowała go w szyję. —

Czy jesteś głodny, Lennie?

— Umieram z głodu!

— Naprawdę?

Pochylił się i jego ręce zostały pod jej koszulką. Odsunęła się.

— Później. Teraz chcę patrzeć, jak jesz.

Jadł jak wygłodniały człowiek, pochłaniał wszystko, co zauważył.

— Doskonale — powiedział z pełnym ustami. — Najlepszy posiłek, jaki mi kiedykolwiek przygotowałaś.

Zaśmiała się.

— Jedyne posiłek, jaki ci przygotowałam.

— Kiedyś zrobiłaś mi zupę.

— Dobrą?

— Zjadliwą.

— Wielkie dzięki! — rozejrzała się po strychu. — Masz tu straszliwy bałagan. Kto się tym zajmuje?

— Nikt.

— Widać. Co robiłeś?

— Coś, co powinienem zrobić już dawno. Pisałem scenariusz. Do filmu, który mógłbym wyreżyserować.

— A więc jesteście teraz reżyserem, tak? — drażniła go.

— Czemu nie? Jeśli Grudge Freeport może, to każdy może.

— Rozmawiasz z właściwą osobą — powiedziała. — Czy zamierzasz w nim też zagrać? Roześmiał się.

— A myślisz, że pozwoliłbym komuś innemu to zrobić? To świetna rola.

— Kiedy mogę przeczytać?

— Jak skończę — przerwał. — Chyba słyszałaś, że porzuciłem film.

— Nie jest to tajemnicą.

— Ostrzegałem wszystkich, że tak się może stać. Pewnie wytoczą mi proces, ale nie martwię się. Musiałem tak zrobić.

Prawie powiedziała mu o Panther, ale na czas ugryzła się w język. To zbyt ważne.

— Nie martw się, nie wytoczą — zapewniła go.

— Skąd wiesz? Słyszałem, że Mickey Stolli jest tak wściekły, aż kipi.

— Posłuchaj, Lennie, wiem na pewno, że nie wytoczą.

— Dlaczego? — zażartował. — Namówiłaś Gina, żeby ich nastraszył? Roześmiała się. — Gino nie robi takich rzeczy.

— Ale mógłby to zorganizować, gdyby chciał, co?

— Gino nigdy nie zastraszał ludzi. Dlaczego zawsze wyobrażasz sobie mojego ojca jako straszego gangstera?

— A nie jest?

— Przemyczał alkohol w czasie prohibicji, potem miał nielegalny bar. Ale po przyjeździe do Vegas został szanowanym obywatelem.

— Jasne.

— Naprawdę. Widziałeś się z nim?

— Z nikim się nie widziałem. Siedziałem tu zaszyty.

— Musimy do niego zadzwonić.

— Później.

Odsunął swoje krzesło od stołu i wstał. Następnie wyciągnął do niej rękę.

— Chodź tu, gospośiu. — Po co?

— Spróbuję cię znokautować. Dobrze?

— Obiecanki.

— Lubisz je, prawda?

Rozdział pięćdziesiąty drugi

W sobotę rano w Los Angeles była mgła. Emilio Sierra zauważył, że Rita została na noc. Jej ubranie znaczyło drogę od salonu do sypialni, a ona sama spała w jego łóżku. Punkt dla Emilia. Był niezły w te klocki!

Trącił ją kilka razy, żeby się obudziła.

— Która godzina? — zapytała, ściskając poduszkę.

— Powiedziałem ci, jest późno. Muszę wyjść. Rita schowała twarz w poduszcze.

— Zostanę tu.

— Nigdzie nie zostaniesz — odpowiedział Emilio, nieco zdenerwowany. — Muszę zamknąć mieszkanie.

— Co ty sobie myślisz, że cię obrabuję? — zapytała oskarżycielskim tonem.

— Nie. Moja matka tu przyjdzie — skłamała. — Lepiej cię odwiozę. Ubrała się, zbierała ciuchy z podłogi, maszerując przed nim nago. Była

niezła, chociaż w ostrym porannym świetle bez makijażu nie wyglądała tak dobrze.

— Chodź — popędzał ją Emilio, zmuszając, by się szybko ubrała. Zrobiła co chciał, przez cały czas narzekając.

Pognał ją do samochodu, odwiózł do domu i pożegnał się szybko.

— Kiedy cię znów zobaczę? — zapytała zniechęcona.

— Niedługo — mruknął. — Zadzwoń.

Nie była zachwycona tą odpowiedzią, ale poszła do drzwi swojego bloku, jakby wcale ją to nie obchodziło.

„Kobiety — myślał Emilio — im gorzej je traktujesz, tym bardziej to lubią”.

Kiedy pozbył się Rity, pojechał prosto do domu Venus Marii. Wiedział, że jeszcze nie wstała, a w weekendy gosposia ma wychodne. Na to właśnie liczył. Jej gosposia była bardzo troskliwa, zawsze go szpiegowała. Kiedy będzie sam z Venus Marią, jego szanse na zdobycie tego, co potrzebuje, znacznie się zwiększą.

Nie dzwonił. Bez kłopotu wszedł tylnym oknem. Po co ma jej przeszkadzać, kiedy śpi? Zrobi siostrzyczce niespodziankę. Venus Maria spała mocno, zwinięta w kłębek przed telewizorem. Na podłodze obok niej leżało puste pudełko po lodach, przykryta była jedynie marynarką. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Emilio przekradł się przez jej pokój do sypialni, prosto do ukrytego sejfu. Wiedział, gdzie znajdzie kod otwierający szafkę. Wygrzebał jej prywatny notatnik, znalazł kod i szybko otworzył sejf. Wyciągnął zdjęcie Venus Marii i Martina Swansona i ukrył je bezpiecznie w kieszeni. Zajęło mu to tylko kilka minut. Poszło o wiele łatwiej, niż myślał. Teraz się wymknie, a ona nawet nie zorientuje się, że tu był. Emilio nie wiedział, że kiedy otwierał okno,

nacisnął guzik alarmowy, połączony bezpośrednio z posterunkiem policji. Kiedy zaczął schodzić na dół, zaskoczyło go wycie syren policyjnych. Wydało mu się, że są tuż przed domem.

Venus Maria obudziła się przerażona.

— Boże! — krzyknęła, kiedy zdała sobie sprawę, że zasnęła przed telewizorem. Policja już dobijała się do drzwi. Niepewnie poszła otworzyć. Dwaj policjanci w mundurach stanęli na baczność. Jeden z nich trzymał rękę na rewolwerze.

— Pani alarm się włączył — powiedział. — Nic pani nie jest? I nagle poznał ją. Szturchnął swojego kolegę.

— Przepraszam, czy pani nie jest? Skinęła głową.

— Tak, to ja. Nie wyglądam najlepiej. Jak to włączył się alarm?

— W pani domu jest jakiś intruz.

Boże! Zwariowany wielbiciel, którego zawsze się obawiała, wreszcie do niej dotarł. Przebiegł ją dreszcz.

— Jestem sama.

— Proszę się nie bać. Wszystko sprawdzimy. Możemy wejść?

— Ależ proszę.

Emilio obserwował wszystko ze schodów, słuchał uważnie. Jak się z tego wyplącze? Zastanawiał się nad kilkoma możliwościami. Mógł zawsze powiedzieć, że tylne drzwi były otwarte, i wszedł do jej sypialni zobaczyć, czy śpi. Venus Maria nie będzie zachwycona, ale co może zrobić? W końcu był jej bratem.

Zanim zdołał cokolwiek zrobić, dwaj policjanci stali na dole schodów z wycelowaną bronią.

— Na podłogę, sukinsynu — krzyknął jeden z nich. — Nawet nie próbuj sięgać po broń.

Dennis Walla skoczył do telefonu.

— Tak? — wy sapał w słuchawkę. — O co chodzi?

— Dennis?

— Kto mówi?

— Dennis, mówi twój partner z Nowego Jorku, Bert. Masz zaniki pamięci, czy co?

Dennis westchnął ze znużenia, poznał twardy akcent Berta Slocombe'a, jednego ze swoich kolegów w Nowym Jorku. Na wszelki wypadek chciał, żeby ktoś obserwował Swansona.

Dennis ziewnął i podrapał się po kroczu.

— Dowiedziałeś się czegoś, stary?

— Tylko tyle, że dużo wychodzą — odpowiedział Bert. — W zasadzie nigdy nie ma ich w domu.

— Tak? Dokąd chodzą?

— Na wszystkie możliwe przyjęcia w mieście, do każdego klubu. Cholernie trudno jest za nimi łązić.

— Czy wyglądają na szczęśliwą, kochającą się parę?

— Widziałeś kiedyś małżeństwo, które publicznie pokazuje, że coś jest nie tak? Stale na sobie wiszą. To aż obrzydliwe.

— Hmm — Dennis sięgnął po papierosa, zapalił i mocno się zaciągnął. — Nie wydaje mi się, żeby był taki zadowolony w poniedziałek.

— Myślisz, że sukinsyn poda nas do sądu?

— Myśl trochę, chłopie. Nikt nie jest głupi. Cztery czy pięć lat prawnicy będą wisieli mu nad głową, a potem wreszcie bitwa w sądzie. Nie. Nie poda nas.

— Tak, ale Martin Swanson to twarda sztuka.

— Nie bój się. Dziś dostanę zdjęcie jego i Venus Marii. Wiele mówiące zdjęcie. Kiedy ukaze się nasza historia, będziemy mieli czym ją podeprzeć.

— O.K. Jestem już wolny?

— Trzymaj się go jeszcze jedną dobę.

— To strata czasu — narzekał Bert.

— Strać go. Za to ci płacą — odparował Dennis.

Zaciągnął się jeszcze raz papierosem, odgasił w przepelnionej popielniczce, odwrócił się na drugi bok i znów zasnął.

O siódmej rano w sobotę Martin Swanson już od dwóch godzin grał w piłkę. Wstał, żeby dać nauczkę swojemu partnerowi. Większość jego przeciwników to jego pracownicy, więc za każdym razem wygrywał.

Po grze wziął prysznic, wytarł się, ubrał i wbiegł na ostatnie piętro biurowca Swanson, skąd widział panoramę miasta. Za wcześnie żeby zadzwonić do Kalifornii do Venus Marii. Zastanawiał się, jak zareagowała na jego prezent. W zasadzie to nie prezent. Przegrał zakład. I to w jaki piękny sposób!

Gertruda, jego osobista sekretarka, powitała go z triumfującym uśmiechem.

Pracowała z nim od jedenastu lat, wiedziała więcej o jego interesach niż ktokolwiek inny.

— Dzień dobry, panie Swanson. Jak się pan czuje? Skinął głową.

— Na pewno będzie pan z tego zadowolony — powiedziała, wręczając mu pi "": faxów. — Tak, panie Swanson, wygląda na to, że przejmujemy studio. Mam zawiadomić pilota i kazać mu przygotować samolot?

Szybko przeczytał pierwszy fax. I drugi. I trzeci. Na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Zrób tak — powiedział. — Wyjeżdżam jutro.

Grupa meksykańskich ogrodników, sprzątająca specjalną maszyną liście przed sypialnią Mickeya, wyrwała go ze snu. Poczul nieprzyjemny zapach gazu. Odwrócił się wściekły, aby obudzić Abigaile, ale jej już nie było w łóżku.

- Cholera — wymamrotał.

Ile razy trzeba jej powtarzać, że nie życzy sobie, aby ogrodnicy robili cokolwiek przy jego domu w niedzielę rano? Sięgnął po zegarek. Już dziesiąta?

Wygrzebał się z wygodnego łóżka, poszedł do łazienki, przejrzał się w lustrze, napełnił umywalkę lodowatą wodą i zanurzył twarz. Zimno szybko go obudziło. Kiedy doszedł do siebie, zadzwonił do Warner.

— W co ty się zabawiasz? — dopytywał się ściszym głosem, na wypadek gdyby Abigaile słyszała.

— Wszystko skończone, Mickey — syknęła Warner, wcale nie zadowolona, że go słyszy.

— Co to znaczy skończone?

— Mam dość.

— Dość czego?

— Twoich humorów, twojej żony i tego, jak mnie wykorzystujesz seksualnie. Poza tym, zakochałam się w jakimś innym.

Prawie się zakrztusił.

— Co zrobiłaś?

— Zakochałam się w kimś innym — powtórzyła tą druzgocącą wiadomością.

— A któż to taki? — zapytał.

— Johnny Romano — odpowiedziała i natychmiast odłożyła słuchawkę.

Leslie Kane obudziła się w Los Angeles i zadrżała, kiedy uświadomiła sobie, gdzie jest i co zrobiła. Uciekła od Eddiego wprost do swojego starego życia. Po namyśle zauważyła, że to nie jest najmądrzejszy ruch, jaki można było zrobić.

Zrozpaczona pomyślała o mężu. Eddie nie był taki zły. Miał swoje problemy, ale któż ich nie miał? A ona zostawiła go właśnie, kiedy najbardziej jej potrzebował.

Jaka z niej żona?

W domu Madame Loretty panowała cisza. Niedzielny poranek i seks na sprzedaż nie szły w parze. Większość mężczyzn bawiła się ze swoimi dziećmi.

Leżała w łóżku i zastanawiała się, co zrobić. Jednego była pewna — musi dać Eddiemu jakąś nauczkę. Niech wie, że nie wolno traktować jej jak śmiecia.

Dwadzieścia cztery godziny powinny wystarczyć. Po dwudziestu czterech godzinach pojedzie do domu.

W Nowym Jorku Deena obudziła się o dziesiątej, zdjęła czarną satynową maseczkę, w której spała i zawołała pokojówkę. Dziewczyna podała jej do łóżka herbatę i przyniosła poranne gazety. Otworzyła je na stronie z plotkami towarzyskimi ciekawa, kto co robił i z kim, i czy nie opuściła jakiegoś przyjęcia. Zadowolona, że nie, zajęła się rubrykami o modzie. Deena nie interesowała się wydarzeniami na świecie ani przestępstwami. To nie dla niej.

Lokaj zadzwonił, że ktoś telefonuje.

— Kto? — zapytała.

— Pan Paul Webster — odpowiedział. Po co dzwonił do niej syn Effie? Podniosła słuchawkę.

— Paul? Mały Paul?

— Czy podnieca cię traktowanie mnie jak dzieciaka? — zapytał. Miły głos, bardzo niski, bardzo seksy. Wbrew sobie poczuła mrowienie.

— Nie sędzę, żeby twoja matka była zadowolona, gdyby wiedziała, że ze mną flirtujesz - powiedziała.

Podjął wyzwanie.

Dlaczego uważasz, że flirtuję?

— Albo tak jest, albo dzwoniisz zapytać o moje zdrowie. Więc o co chodzi, Paul? Jesteś nic do przebicia, Deena. Nie mogła się nie śmiać.

— Paul, w moim wieku mogłabym być twoją... twoją...

— Starszą siostrą? — podpowiedział.

— Coś takiego.

— Mogę zabrać cię na lunch?

„Czemu nie?” pomyślała. Effie miałyby tysiące obiekcji, ale przecież nie musi się o tym dowiedzieć, prawda?

— Dokąd?

— Do parku — powiedział lekko.

Na pewno ma na myśli Tawernę w Polu.

— O której?

— Przyjadę po ciebie w południe — przerwał, czekając na jej odpowiedź.

— Nie jestem pewna...

— O dwunastej — potwierdził. Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się. Od czasów piosenkarza soul nie miała nikogo. Tylko dlatego, że Martin powiedział, że jej nie wypada... Dlaczego ma słuchać Martina, skoro on robi, co mu się podoba? Ale Paul Webster... chłopiec... syn Effie... Deena Swanson, skarciła sama siebie: „Powinnaś się wstydzić”.

Eddie Kane wcale nie spał. Poszedł na przyjęcie do domu na plaży, który dzielili Arnie Blackwood i Frankie Lombardo. Naćpał się za wszystkie czasy. Wąchał tyle kokainy, ile mógł, ponieważ wiedział, że Arnie i Frankie zawsze mieli jej dużo dla przyjaciół i to za darmo. W pewnym momencie poprosił Arnego o pożyczkę. Arnie roześmiał mu się w twarz.

Wokół kręciło się dużo dziewczyn, ale Eddie nie miał ochoty na łóżko. Zdawał sobie sprawę, jak okropnie potraktował Leslie. Zranił ją i nie wiedział, jak zareaguje. Co ma z tym zrobić? Przede wszystkim nie miał pojęcia, gdzie poszła. Po drugie nie wiedział, ile czasu minie, zanim wróci. Gadał o tym, jak spieprzył doskonały związek. Historia jego życia.

W niedzielę rano doszedł do siebie, zauważył, że leży na podłodze w salonie domu Arniego i Frankiego w Trancas, razem z kilkoma innymi lażegami, którzy spędzili tam noc.

Na szczęście na przyjęciu naćpał się dostatecznie, żeby teraz czuć się dobrze. Po wizycie w łazience doszedł do siebie zupełnie. Wyszedł do samochodu. Ukochany dom. Miał nadzieję, że Leslie tam czeka.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

— Nie strzelać! Jestem jej bratem! — pisał Emilio w panice.

— Na ziemię, bo nie będziesz niczym bratem — krzyknął jeden z gliniarzy.

Venus Maria chowała się za ich plecami.

— Proszę się odsunąć — poradził drugi.

Poznała głos Emilia. Cholera! Dlaczego wkradł się do jej mieszkania bez pozwolenia?

Jeden z gliniarzy ostrożnie wszedł po schodach, drugi został na dole i osłaniał go.

Ten pierwszy chwycił Emilia, wykręcił mu ręce i zakuł w kajdanki.

— Robicie duży błąd — groził Emilio. — Powtarzam ci, człowieku, że jestem bratem Venus Marii. Nie jestem włamywaczem.

— Zobaczmy — powiedział policjant. — Wstań.

— Możesz się założyć, że zobaczymy — krzyczał Emilio, nabrawszy pewności siebie. — Podam was do sądu.

— Podasz nas do sądu, tak? — powiedział policjant znużonym głosem. Słyszał to już tyle razy. To typowe dla Beverly Hills. Na dole odprowadzili go do samochodu.

— Każcie jej mnie zidentyfikować! — krzyczał Emilio, znów panikując. — Mówię wam, że jestem jej bratem.

Jeden z gliniarzy wrócił do domu.

— Mogę prosić o autograf? — zapytał. — Dla mojej córeczki. Bardzo się ucieszy.

— Oczywiście — zgodziła się Venus Maria, podpisując kawałek papieru, który jej podał.

— Nie wiem, czy mamy tu obłąkanego fana, czy co, ale facet twierdzi, że jest pani bratem. Ma pani brata?

Skinęła głową.

— Czterech. Sami próżniacy.

— Może spojrzysz pani na niego, zanim go zabierzemy do aresztu i zarejestrujemy?

Przez chwilę zamierzała powiedzieć nie, ale zaraz pomyślała o nagłówkach gazet i zgodziła się niechętnie.

Emilio stał wsparty o samochód, poczucie winy malowało się na jego twarzy.

„Cholera! To on!”

— Przykro mi, panowie — powiedziała. To jest mój brat. Nie mam pojęcia, co robił w moim domu, nie mieszka tu.

Policjanci wymienili spojrzenia.

— Mamy go wypuścić?

Nie miała wyboru. Przymknięcie Emilia za to, że był męczący, nie było najlepszym rozwiązaniem. Niechętnie skinęła głową.

— Chyba tak.

Noc w więzieniu wyszłaby mu na dobre. Odpłaciłaby mu za wszystko, co wycierpiała przez niego jako dziecko. Zdjęli mu kajdanki. Emilio roztarł nadgarstki, patrząc na obu policjantów.

— Będziecie mieli za to sprawę — powiedział, nadymając się. — Możecie być tego pewni.

— Zamknij się i wejdź do środka — przerwała mu Venus Maria. — Dlaczego włamałeś się do mojego domu?

— Włamałem się? — zaprotestował urażony Emilio. — Myślisz, że bym się tu włamywał? Twój własny brat! Przyniosłem te pieniądze, pozwoliłaś mi przechować je u siebie w sejfie. Szukałem cię w sypialni, kiedy przyjechały gliny.

— Jak wszedłeś? — zapytała podejrzliwie.

— Tylnym oknem. Zawsze jest otwarte.

— Włączyłeś ukryty alarm. Przewód idzie wzdłuż tego okna. Próbował udawać skruszonego.

— Wybacz, siostrzyczko, nie chciałem robić takich problemów. Venus Maria popatrzyła bezradnie na policjantów i przeciągnęła ręką po platynowych włosach.

— Przepraszam, że mieliście tyle kłopotów, panowie. To chyba pomyłka.

— Nic nie szkodzi — powiedzieli równocześnie. — Do usług. Ma pani wspaniałe nagrania. I teledyski. Uśmiechnęła się.

— Dzięki. Może zostawicie mi nazwiska, przyślę wam bilety na następny koncert. Policjanci byli bardzo zadowoleni.

Emilio wycofał się do domu. Teraz musiał tylko jakoś stąd wyjść. Nie chciał, żeby Venus otworzyła sejf i zauważyła brak cennego zdjęcia. Trzymał je bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni marynarki. Lepiej szybko się ulotni.

Venus Maria poszła za nim.

— Kiedy następnym razem przyjdiesz do mnie — wycedziła — używaj dzwonka przy frontowych drzwiach. Możesz to dla mnie zrobić?

Skinął głową skruszony.

— Daj mi te pieniądze, które mam schować. I Emilio, następnym razem zadzwoń, zanim przyjdiesz.

Uderzył się w czoło.

— Jaki ze mnie idiota! — krzyknął. — Tak się spieszyłem, że zapomniałem pieniędzy. Zostawiłem je w mieszkaniu. Może lepiej włożę je do banku.

— Może powinieneś — zgodziła się, myśląc, co też knuł. Był gotów do wyjścia.

— Do zobaczenia, siostrzyczko.

Emilio był najbardziej nieszczerzy ze wszystkich jej braci. Nie ufała mu. Teraz wydawało się, że bardzo chce się stąd wydostać. Biegł jak szczur. Może zdenerwowała go policja. Może nie.

Intuicja Venus Marii podpowiadała jej, że Emilio coś planował. Problem w tym, że nie mogła zgadnąć, co to było.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

— Co chcesz dziś robić?

— Nie wiem. Co ty chcesz dziś robić?

— Nie wiem, Marty. A ty, co chcesz robić? Lennie roześmiał się.

— Jesteś za młoda, żeby znać ten film.

— Ty też — powiedziała ciepło, szczęśliwa w towarzystwie swojego męża.

— Nie jestem tak młody jak kiedyś.

— A kto jest?

Żartowali cały czas, szczęśliwi, że są razem w ten upalny, nowojorski dzień. Zjedli śniadanie, kochali się jeszcze raz, a teraz nastał czas podejmowania decyzji.

— Tak naprawdę — postanowiła Lucky — chciałabym odwiedzić Mary Lou i dziecko. Jak ci się to podoba?

— Bardzo by mi się to podobało, gdybym wiedział, że już urodziła. Kim w końcu jestem? Tylko ubogim krewnym.

— Nie. Jesteś bogatym aktorem, który gdyby nie zniknął z pola widzenia, na pewno wszystko by wiedział.

— Oświeć mnie, chłopiec czy dziewczynka?

— Dziewczynka — powiedziała podniecona. — Nie rozmawiałam jeszcze ze Stevenem. Musi być bardzo zaaferowany.

— Zadzwońmy do nich.

— Dobrze. I mam wspaniały pomysł. Podjedziemy do Zabars, nakupimy furę jedzenia i pojedziemy zobaczyć dziecko.

— Czy tylko o tym potrafisz myśleć, o jedzeniu? — zbeształ ją. — Co się z tobą ostatnio dzieje?

— Zbieram siły.

— Do czego?

— To niespodzianka. Westchnął.

— Nie cierpię niespodzianek.

— Ta ci się spodoba.

— Czy wiąże się z podróżą?

— Nie bez ciebie.

— Czy ma coś wspólnego z seksem? Spojrzała na niego zagadkowo.

— Cóż... czy władza jest według ciebie seksy?

— Zależy kto ją ma.

— Zobaczysz odpowiedziała tajemniczo. Potrząsnął głową.

— Jesteś trudnym przypadkiem, dziecino. Zaśmiała się.

— Zaczynasz mówić jak Gino.

— Biedny, stary Gino. Musiał się namęczyć przy twoim wychowaniu.

— Tak, dlatego wydal mnie za mąż w wieku szesnastu lat.

— Naprawdę?

— Tak było. Zostałam doskonałą żoną w Waszyngtonie. Mieszkałam z Cravenem u Richmondów, w gustownym domu, gdzie grałam rolę żonki przy różnych okazjach. I zgadnij, co się dzieje? Peter Richmond kandyduje na prezydenta. Czy to nie dowcip stulecia? — Co się stało z pierwszym mężem?

— Craven spotkał dziewczynę, która lubiła konie. I mogę cię zapewnić, że koń to jedyna rzecz, jaką znajdzie między nogami.

Lennie wybuchnął śmiechem.

— Moja pani, uwielbiam, kiedy świntuszysz.

— Jak myślisz, dlaczego to robię?

— Żeby mnie pobudzić!

— Zgadłeś.

Przyciągnął ją do siebie.

— Chodź tu, żoneczko. Odepchnęła go delikatnie.

— Nie teraz.

— Dlaczego?

— Bo wychodzimy jak normalni ludzie. Nie możemy tu siedzieć przez cały weekend.

— Czemu nie?

— Nie, Lennie — powiedziała stanowczo, próbując się nie poddawać.

Westchnął zawiedziony.

— Dobrze, więc co będziemy robić?

— Odwiedzimy mojego brata. Chyba, że chcesz pracować. To mogę zrozumieć.

— Tak długo byłem tu zamknięty, że już dostaję świra.
— Będę mogła niedługo przeczytać scenariusz? — zapytała niecierpliwie.
— Powiedziałem ci już, jak skończę.
— A kiedy to będzie?
— Zbliżam się do zakończenia.
— Więc mogę przeczytać?
— Zobaczymy.
— Gówno prawda! Przeczytam i już, Lennie!
— To mi się w tobie podoba, jesteś taka powściągliwa. Zadzwoiła do Gina, który bardzo się ucieszył, kiedy ją usłyszał.
— Wróciłaś. Najwyższy czas — powiedział zadowolony.
— Jasne, że tak.
— Wszystko zgodnie z planem?
— Jasne, że tak.
— Powiedziałaś już Lenniemu?
— Jasne, że nie — szybko zmieniła temat. — Może spotkamy się dziś na lunchu. Chciałabym zobaczyć Stevena i Mary Lou. Jest w domu? A jak dziecko?
— Poczekaj, pytaj po kolei. Wszyscy są w domu. To dobry pomysł. Steven tęsknił za tobą.
— Pomyśleliśmy, że kupimy coś na lunch i wpadniemy. Zadzwoń do Stevena i uprzedź go, dobrze?
— Załatwione, dziecinko. Zjazd rodzinny, tak?
— Nie mogę się doczekać, Gino.
Boogie zawiózł ich do Zabars, potem Lucky postanowiła kupić prezenty u Bloomingdalesa, gdzie postawiła na nogi dział z zabawkami, kupując za setki dolarów.
— Co Mary Lou zrobi z tymi wszystkimi rzeczami? — zapytał zirytowany.
— Będzie ich używać.
— Bardzo zabawne. Możemy już stąd iść?
— Chodźmy.
Obładowani pakunkami dotarli do windy, gdzie ktoś rozpoznał Lenniego i otoczył ich spory tłum. Musieli biec, żeby się wyrwać. Śmiejąc się wskoczyli do samochodu.
— Cieszę się, że nadal jesteś gwiazdą — zażartowała Lucky. — Myślałam, że już o tobie zapomniano.
— Tak. Wsiadam, kiedy tłum chce mnie zdeptać u Bloomiego — powiedział niezadowolony.
— Kocham cię — delikatnie pogłaskała go po policzku. — I tęskniłam za tobą bardziej, niż ci się wydaje.

Nic bądź sentymentalna, nie mogę temu stawić czoła. Chichocząc, wytknęła język. Ładny język! — powiedział z podziwem.

Rób tak dalej, a nigdy nie dowiesz się, jaki ładny. Boogie niewzruszony siedział na fotelu kierowcy.

— Dokąd jedziemy? — zapytał.

— Do Stevena — powiedziała Lucky. — Szybko. Odwróciła się do Lenniego.

— Rozmawiałaś z Brigitte?

— Ostatnio nie. Obiecałem, że będzie mogła zostać z nami w Malibu.

— Świetnie. Może wrócimy wszyscy razem w niedzielę wieczorem.

— Po co ten pośpiech?

— Nie chcemy tu siedzieć, prawda? Jest tak gorąco i parno, a dom na plaży stoi pusty.

Wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Ja będę gotów za pięć minut.

— Więc... na co czekamy? Skończysz scenariusz na plaży. Będzie bombowo.

Prawdziwe lato rodzinne.

— Tak, żeby przygotować się na spotkanie z prawnikami — powiedział smutno.

— Powtarzam ci, żebyś się rozluźnił. Nie zaskarżą cię.

— Nie bądź tego pewna, Lucky.

— Mogę się założyć. I wygram.

Steven uścisnął ją i pocałował na powitanie.

— Gdzie się podziewałaś? — zapytał.

— W Japonii — skłamała. — Uczyłam się rzutów. Mogę zobaczyć dziecko? Mary Lou uśmiechnęła się dumnie.

— Chodź, zaprowadzimy cię do jej pokoju.

— Jak jej daliście na imię? — zapytała Lucky.

— Carioca Jade — odpowiedział Steven. Lennie pokiwał głową jak mędrzec.

— Na pewno nikt nie zauważy jej w szkole.

— To piękne imię — zachwyciła się Lucky.

Carioca Jade była słodkim kłębuszkiem, małym, bezbronnym i uroczym. Steven podniósł ją i podał Lucky.

— Powiedz cioci dzień dobry.

— Cioci? — zawołała Lucky. — Czuję się jak stara baba.

— Cóż, nie jesteś już dzieckiem — przypomniał jej Lennie.

— Dziękuję! — przyjrzała się niemowlęciu. — W przyszłym tygodniu odbieram pierwszą emeryturę. Steven, Mary Lou, to dziecko jest cudowne.

Staralem się — powiedział skromnie Steven. Ty się starałeś! — zaproponowała Mary Lou. To nie było łatwe — żartował Steven.

Mary Lou rzuciła w niego poduszką.

— Wynocha stąd!

Niedługo potem przyszedł Gino. Po raz kolejny zapytał Lucky, czy powiedziała Lenniemu o Panther.

— Powiem mu — zapewniła. — Przestań mnie męczyć.

— Kiedy?

— Niedługo. Powiem mu w nocy. Chcę czuć tę chwilę.

— Jesteś pewna, że on lubi niespodzianki? — Nie martw się Gino. Będzie zachwycony.

Przez kilka godzin siedzieli u Stevena, potem poszli. Lucky zwolniła Boogiego na resztę weekendu.

— Co chcesz robić? zapytał Lennie, kiedy szli ulicą trzymając się za ręce.

Lucky się uśmiechnęła.

— Zawsze mnie o to pytasz. Dla mnie ważniejsze jest, co ty chcesz robić.

— To, co cię uszczęśliwi.

— Możemy tak spacerować jak zwykli ludzie, czy znów ktoś nas rozpozna?

— Możemy spacerować jak zwykli ludzie. Będę unikał ich spojrzeń. Zauważyłem, że rozpoznają mnie, kiedy jestem w specyficznym nastroju. Kiedy chcę, żeby mnie rozpoznano, tak jest, a jeśli nie chcę, nikt mnie nie zauważa. To bardzo proste.

— Dobrze, bo chciałabym się trochę przejść — postanowiła. — Może pójdziemy do kina. Kupię popcorn i wszędzie rozsypię. Napiję się takiego okropnego, musującego soku pomarańczowego. Potem chcę iść do domu i kochać się całą noc. Możemy tak zrobić?

— Wiesz co? Właśnie dlatego tak za tobą szaleję. Mamy te same upodobania — wziął głęboki oddech. — Może Woody Allen?

Zgodziła się natychmiast.

Stali po bilety na film Woody'ego Allena. Obejrżeli go, bardzo im się podobał. Rozmawiali o nim całą drogę do domu. Kiedy znaleźli się z powrotem na wynajętym strychu, Lucky spojrzała na męża, zaczęła się śmiać i powiedziała:

— Czekaj chwilę, mamy luksusowy apartament w Nowym Jorku. Co robimy w tej dziurze?

— Tu jest romantycznie — odpowiedział Lennie. — Nikt nie wie, że tu jesteśmy. Nikt nie dzwoni. Cisza. Zostaniemy tu na noc, a rano polecimy do Los Angeles.

— Dobrze.

— Czego chcesz teraz?

Nie mogła przestać się dziwić, jak go bardzo kocha. I jak za nim tęskniła.

— Chcę trochę chińskiego jedzenia, muzyki Marvin'a Gaye'a i seksu. A ty?

— Hinduskie jedzenie, Billie Holliday i seks.

— Skoro nie możemy się zdecydować na jedzenie, musimy to odłożyć.

— Chyba tak. Wzruszyła ramionami.

— Z Marvinem i Billiem też tak zrobimy? On także wzruszył ramionami.

— Cóż... — powiedział powoli — wygląda na to, że nie pozostaje nam nic innego jak tylko...

Dokończyli razem:

— Seks!

Potem, śmiejąc się, padli sobie w objęcia.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Paul Webster wcale nie pomyślał o Tawernie na Polu. Deena, od stóp do głów ubrana w ciuchy Chanel, odkryła to, kiedy po nią przyjechał.

— Jedziemy na piknik — poinformował ją. Władczo podniosła brwi.

— Naprawdę?

— Dlaczego nie? zapytał. — Będzie wspaniale.

Nie chciała mówić mu, że dorosłe kobiety, ubrane u Chanel i mające bogatych mężów, nie jeżdżą na pikniki do parku.

— Nie jestem odpowiednio ubrana — zauważyła.

— Więc przebierz się.

— Nie podoba mi się to powiedziała. Patrzył na nią głębokim wzrokiem.

— Czy denerwujesz się przeze mnie? Roześmiała się rozbawiona.

— Jakim cudem mogłabym denerwować się z twojego powodu? Znam cię od dziecka.

— Idź się przebrać, Deena — powiedział.

Wyglądał na zdecydowanego, więc poddała się. Pobiegnęła na górę, zdjęła kostium od Chanel i założyła komplet Christiana Diora oraz sportowe buty.

Paul czekał w holu. Deena zastanawiała się, co myślał o tym lokaj? A co mógł myśleć? Paul był taki młody, że mógł być jej... młodszym bratem.

Martin bezpiecznie siedział w biurze. W soboty rano zawsze wcześniej wychodził, nie wracał nigdy wcześniej niż o szóstej czy siódmej wieczorem. Tak samo w niedziele. Czasami spędzali weekendy w domu w Connecticut. Wtedy Martin siedział cały dzień przy telefonie lub odbierał faxy. Martin nie potrafił żyć bez pracy. Nie umiał się odprężyć. Czy ta dziwka go odprężała? Czy ta dziwka sprawiała, że zapominał o interesach chociaż na pięć minut?

Deena starała się o tym nie myśleć. To niezdrowe zastanawiać się nad Martinem i Venus Marią. Jeśli nie będzie o tym myślała, może ich związek rozpadnie się, Może Martin znów będzie należał tylko do niej?

A jeśli się nie uda? Jeśli dziwka spróbuje posunąć się dalej?

Deena westchnęła. Miała czasowe rozwiązanie.

Paul ucieszył się na jej widok.

— Wyglądasz bardzo sportowo — powiedział, dokładnie ją lustrując. — Teraz możemy się zabawić.

— Jak się tam dostaniemy? — zapytała, kiedy wyszli na ulicę. Już żałowała, że zgodziła się na tę eskapadę.

Wziął ją za rękę.

— Pójdziemy pieszo. Usunęła dłoń.

— Ja nie chodzę pieszo. Popatrzył na nią pełen zdziwienia.

— Nie chodzisz pieszo? To śmieszne. Wydaje mi się, że twoje nogi potrafią poruszać się jedna za drugą.

— Nie żartuj sobie, Paul. Weźmiemy taksówkę. On jednak nalegał.

— Pójdziemy pieszo.

Deena skryła się za okularami słonecznymi i miała nadzieję, że nie wpadnie na nikogo ze swoich znajomych. Niby nie było nic złego w spacerowaniu po mieście z synem Effie, ale jednak...

Weszła do Central Parku jak do dżungli. Nie pamiętała, kiedy tak wielu ludzi znajdowało się tak blisko niej. Deena żyła w rozrzedzonej atmosferze i źle się czuła otoczona przez tłum. Ale musiała przyznać, że była to jakaś odmiana. A usłużny Paul Webster stanowczo ją intrygował. Poza tym chciała, żeby ktoś jej powiedział, że jest piękna, inteligentna, atrakcyjna. Wszystko to, o czym Martin z reguły zapominał.

— Zgadnij, dokąd poszedł Paul — powiedziała Nona, walcząc z zacia-snymi dżinsami.

— Dokąd? — zainteresowała się Brigitte, nadgryzając jabłko.

— Zabrał starą Deenę Swanson na lunch. Co ty na to?

Brigitte o mało co się nie zakrztusiła. Nie była na to przygotowana. Urażona spytała:

— Dlaczego? — po czym dodała: — Skąd wiesz?

— Ja wiem wszystko — odpowiedziała pewna siebie Nona, która w końcu zapięła ekspres. — Słyszałam, jak rozmawiał z nią przez telefon.

— Czy on ją lubi? — zapytała Brigitte chłodnym tonem.

— A ty go lubisz? — głos Nony nie był wcale chłodny.

— Nie żartuj — odpowiedziała Brigitte, próbując zachować zimną krew.

— Myślę, że go lubisz — powiedziała pewna swego Nona. Zanim Brigitte zdążyła odpowiedzieć, do pokoju weszła Effie.

— Telefon do ciebie, Brigitte. Dzwoni twój ojczym, Lennie Golden. Chętnie byśmy go poznali. Powiedz mu, żeby wpadł na drinka.

Brigitte była zadowolona. Martwiła się, że Lennie o niej zapomniał.

— Co mam mu powiedzieć? — zapytała Nony.

— Powiedz, że może nas zabrać, kiedy chce. Mówiłaś mu, że ja też jadę' Brigitte miała niewyraźną minę.

— Nie powiedziałaś mu! Zrób to teraz.

— Dobrze zgodziła się Brigitte, biegnąc do telefonu.

Lennie wydawał się taki, jak dawniej. Zapewnił, że wycieczka na Malibu jest gotowa i że oczywiście może zabrać przyjaciółkę. Ona i Nona mają przylecieć w przyszłym tygodniu.

Nona była zachwycona.

— Nic mogę się doczekać, aż poznam twojego ojczyma — powiedziała podniecona. C zy jest taki seksowny jak na filmach?

Lennie? Seksowny? Brigitte prawie wybuchnęła śmiechem. Nigdy tak o nim nie myślała, mimo że rzeczywiście był atrakcyjny. Po chwili namysłu dos/ła do wniosku, że chyba był seksowny.

— Chyba za nim nic latasz, co? — drażniła Nonę.

— Nie tak bardzo jak za Tomem Cruise'em — odpowiedziała Nona, biorąc kurtkę. Chodź, pójdziemy na zakupy. Muszę sobie kupić najbardziej skąpe bikini, jakie można znaleźć. Bert Slocombe doszedł do wniosku, że jest najmądrzejszym reporterem w mieście. W zasadzie reporterem-fotografem, gdyż nie ruszał się nigdzie bez sprytnie ukrytego aparatu. Bert słyszał z tego, że zawsze znalazł coś na „sławnych i bogatych”, dlatego zlecono mu śledzenie Swansonów.

Tego ranka zamierzał śledzić Martina Swansona, ale intuicja kazała mu poświęcić czas Dennie. I opłaciło się. Elegancka pani Swanson wyszła z domu zaraz po południu, sportowo ubrana. Towarzyszył jej jakiś młodzik, który bez przerwy rzucał jej lubieżne spojrzenia. Bert poznałby lubieżne spojrzenie z odległości pół kilometra. Szczęśliwy podążył za nimi do parku. Wiedział, że to coś ciekawego, od chwili kiedy wyszła z domu i nie wsiadła do limuzyny.

Deena Swanson idąca pieszo do parku to widok sam w sobie, a dodając tego młodego chłopaka — skandal na pierwsze strony gazet. Wybryki powszechnie znanej mężatki zapewniały dobrą sprzedaż. Szczególnie, jeśli złapano ją z młodszym mężczyzną. Bert zastanawiał się, kim jest ten dzieciak. Wyglądał całkiem nieźle: długie włosy i mały, złoty kolczyk w uchu. Może to muzyk?

Rockandrollowcy byli już wszędzie. Nie, chyba jednak nie. Bert nie kojarzył go, a raczej znał całą tę długowłosą bandę.

Kiedy dotarli do parku, młodzieniec wyjął z torby koc i rozłożył na trawie. Bert pomyślał, że właśnie umiera i idzie do nieba. Widział jak Deena się sprzecza — najwyraźniej nie jest przyzwyczajona do takiego spędzania czasu,

ale w końcu usiadła na trawie. Bert bez kłopotów skrył się za drzewem i zrobił kilka rewelacyjnych zdjęć.

Siedzieli w parku ponad godzinę. Bert miał nadzieję, że chłopak zacznie się do niej dobieierać, ale nie doszło do tego. Gadali tylko i to wszystko.

Żałował, że nie słyszy, o czym mówią. To niewykonalne, nie mógł dać się zauważyć. Kręcił się między drzewami jak podglądacz. Udało mu się zrobić jedno zdjęcie, z którego był bardzo zadowolony. Osa czy inny insekt wplątał się Deenie we włosy, dzieciak pochylił się, żeby to wyjąć. Naiwni czytelnicy nie zastanowią się, co on robi. A wygląda na to, że chce ją namiętnie pocałować. Bert śledził ich z powrotem do domu Deeny i czekał jeszcze przez chwilę. Chłopak pokazał się niemal za chwilę i Bert dyskretnie poszedł za nim. Dobrze będzie nadać chłopakowi jakieś nazwisko.

Zaśmiał się w duchu. To w połączeniu z historią o Venus Marii zapowiada się na bombę. Nie mógł się doczekać, aż przekaże te wiadomości Dennisowi w Los Angeles.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Kiedy Venus Maria pozbyła się Emilia, zadzwoniła do Rona.

— A ty gdzie byłaś wczoraj wieczorem? — zapytał ciekawie. Ron zawsze lubił wszystko wiedzieć.

— U Spago.

— Rozbijałaś się po mieście, tak? Kto był szczęśliwym towarzyszem?

— Cooper.

— Cóż... — powiedział zaintrygowany Ron. — Czy zrobiliście to w końcu? Westchnęła.

— Nie, Ron. Nie zrobiliśmy tego. Cooper jest moim przyjacielem, to wszystko. Po co zadajesz takie pytania?

— Bo cię znam. Nie jesteś najcierpliwszą kobietą, więc jeśli nie dostaniesz Martina, nie będziesz czekała wiecznie.

Kręciła przewodem telefonu.

— Skąd jesteś taki pewien, że nie dostanę Martina?

— On jest nie do zdobycia — powiedział pewnie Ron. — Jest zajęty.

— Mogę dostać każdego mężczyznę, jakiego zapragnę — odpowiedziała Venus Maria pyszałkowato.

— Udowodnij — kusił ją Ron.

Złościło ją, że Ron zawsze starał się ją do czegoś sprowokować.

— Pokażę ci — rzuciła, mając nadzieję, że się zamknie. — Pogadamy później — odwiesiła słuchawkę nie dając mu szansy na dodanie ani jednego słowa.

Za kilka tygodni mieli zacząć próby przed nadchodzącym tournée *Delikatne uwodzenie*. Planowała wystąpić w dwudziestu dwóch miastach: ciężkie zadanie, ale nie mogła się go doczekać. W tym samym czasie wyda album *Delikatne uwodzenie* oraz wypuści teledysk z tytułowym nagraniem. W przyszłym tygodniu ma zdjęcia. Reżyserem będzie znany włoski fotograf, Antonio, jej dobry przyjaciel. Ron wściekał się, ponieważ sam chciał to reżyserować. Usiłowała wyjaśnić mu, że ma ochotę na zmianę, ale Ron dąsał się, mimo iż robił całą choreografię. Miała grać trzy role w teledysku: pięknej, pociągającej kobiety, przystojnego podrywacza i stwora o mieszanych cechach mężczyzny i kobiety. Jak zwykle wzbudzi to krytykę i kontrowersje. I o to jej chodziło. Spodoba się jej wielbicielom, oszaleją na punkcie *Delikatnego uwodzenia*. Da im taką Venus Marię, za jaką naprawdę przepadają.

Wielbiciele podziwiali wszystko, co zrobiła Venus Maria. Była ich królową, księżniczką, była wszystkim, z czym chcieli się identyfikować. Niebezpieczna, z klasą, twarda kobieta nie obawiająca się świata rządzonego przez mężczyzn. Podniecała ją myśl o nadchodzącym tournée. Tylko raz objeżdżała kraj z koncertami, zaraz po wydaniu pierwszej płyty, nie była jeszcze taka popularna. Wtedy brakowało jej doświadczenia, żeby zrozumieć procesy zachodzące między artystą a widownią. Teraz wiedziała, że jej występy będą sensacją, między nią a fanami nastąpi jakaś wymiana energii i siły. Po powrocie z trasy, jeśli scenariusz zostanie zmieniony zgodnie z jej życzeniami, zagra w kolejnym wielkim filmie Mickeya Stolliego *Granat*. O takiej roli marzy każda młoda aktorka w Hollywood. Najpierw teledysk, potem koncerty, a potem film. Cały rok doskonale zaplanowany. Słyszała, że wszystkie bilety zostały już wyprzedane. Może nie powinna martwić się Martinem, dopóki nie wróci. Jednak wiedziała, że jeśli nie scementuje ich związku jakimś zobowiązaniem z jego strony, może nie mieć do czego wracać po tournée. Zadzwonił we właściwej chwili.

— Jutro będę w Los Angeles — poinformował ją, zaprzątnięty interesami. — Zamierzam przejąć jedno ze studiów. Przyjadę po ciebie w południe i pojedziemy na dzień do San Francisco.

Nie lubiła, kiedy był taki pewny siebie.

— A jeśli nie mam czasu? — zapytała.

— A nie masz? — zapytał szorstko. Przez chwilę nic nie mówiła.

— Mam.

— Dlaczego zawsze starasz się robić mi jakieś kłopoty?

— Bo nikt inny tego nie robi. Roześmiał się.

— Wystarczający powód. Dostałaś udziały?

— A, te drobiazgi — powiedziała od niechcienia. — Dołączyłam je do mojej kolekcji.

— To mi się w tobie podoba.

— Co? — przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha.

— Jesteś całkowicie niezależna.

Oczywiście, Martin, ale nie jeśli chodzi o ciebie.

— Wszyscy tacy są — powiedziała chłodno.

— Nie. Na pewno nie.

Ledwie odłożyła słuchawkę, zapragnęła zadzwonić do Rona.

— Musimy odwołać jutrzejszą próbę. Lecę do San Francisco — poinformowała go.

— Z kim?

— Z Martinem.

— Hm... — Głos Rona jak zwykle przepojony był cynizmem. — Pan dzwoni, mała Virginia leci.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Czemu nie?

— Wiesz, jak mnie to denerwuje.

— Tak mi przykro. Jednak niektórzy z nas nadal uważają, że można zwracać się do ciebie jak do zwykłej śmiertelniczki.

Ron musiał być w nastroju do dokuczania.

— Daj spokój — powiedziała groźnie. Zmienił ton, nagle stał się bardzo troskliwy.

— Mam wpaść i pomóc ci wybrać ciuchy na jutro? Musisz wyglądać najlepiej, jak umiesz.

— Poradzę sobie.

— A może dziewczynki Madame Loretty? Mogę załatwić, żeby czekały w hotelu.

Przyprowadzić dziwki! Nie można dopuścić Rona do tej rozgrywki.

— Na dziewczynki dałam się już raz nabrać. Zrozumiano?

— Tak tylko pytam. A co teraz robisz?

Venus złagodniała. Przecież Ron był jej najlepszym przyjacielem.

— Nic. Przyjdź, jeśli masz ochotę.

— Mogę przyprowadzić Kena? — zapytał, wciąż mając nadzieję, że ona i Ken

Laleczka zostaną przyjaciółmi. Jeszcze czego.

- Innym razem, Ron.

- Okropna z ciebie wiedźma.

- Dziękuję. Też cię kocham.

- Baw się dobrze jutro.

- Zamierzam.

Po odłożeniu słuchawki natychmiast zadzwoniła do Coopera. Co robisz dziś wieczorem? — zapytała prosto z mostu.

Głos Coopera brzmiał smutno.

— Mam randkę z siedemnastoletnią byłą królową porno. A co?

— Mogę też przyjść? Teraz był rozbawiony.

— Proponujesz trójkąt?

— Nie! Wcale nie! Chcę tylko pójść gdzieś na kolację. Martin przyjeżdża jutro i nie mam ochoty być sama. Mogę się dołączyć, czy nie?

— Na pewno moja pani będzie zachwycona — powiedział sucho Cooper. —
Idziemy do restauracji meksykańskiej.

— Przyjedziesz po mnie? Westchnął.

— Venus, zrobię dla ciebie wszystko.

— Tylko po mnie przyjedź. To wystarczy.

Martin wcześniej wrócił z biura, ponieważ mieli pójść na przyjęcie. Zamierzał powiedzieć Deenie, że następnego ranka wyjeżdża do Los Angeles, nie chciał więc denerwować jej dodatkowo spóźnieniem.

Deena wydawała się dziwnie niespokojna.

— Rano jadę do Los Angeles — zapowiedział. — Sprawa studia chyba dojdzie do skutku.

Nie wahała się.

— Jadę z tobą.

— Nie - powiedział szybko.

— Dlaczego nie? - zapytała mrużąc oczy.

— To bardzo skomplikowana sprawa. Kiedy jestem taki zajęty, nie mogę podlegać żadnym wpływom zewnętrznym.

Spojrzała na niego.

— To niby ja? Jestem wpływem zewnętrznym? Wydawało mi się, że jestem twoją żoną.

— Wiesz, o co mi chodzi — powiedział.

Poczuła, jakby coś przewracało się jej w żołądku. Czyli o to chodzi. Wracał do Los Angeles szybciej, niż się spodziewała. Ta gadka o przejęciu studia to tylko zasłona dymna. Dziwka kiwnęła palcem i on już leci.

Deena wiedziała, że nadchodził czas wprowadzenia w życie jej wspaniałego planu.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Chwila prawdy wreszcie nadeszła. Lucky była bardzo podniecona. Czekala do późna w nocy. Znow się kochali, zamówili pizzę, a teraz Lennie zasiadł do oglądania programu wieczornego.

- Przyjdiesz tu? — zawołał.

Czesła się w łazience. Ubrana tylko w jedną z olbrzymich koszul Lenniego weszła do sypialni.

— Naprawdę zamierzasz oglądać telewizję? — drażniła go. Leżał wyciągnięty na łóżku.

— Kochanie, nie mam siły na nic innego.

— Niewiele potrzeba, żebyś się wykończył.

— Prawda! — zażartował. — Męcę się, kiedy bez przerwy się Kocham. Zwinęła się obok niego.

— Narzekasz?

— Żartujesz? Chodź tu, żonko.

Pocałował ją, wkładając język w jej usta i wciskając go między zęby. Przebiegł ją dreszcz.

— Nie rób tego, chyba że naprawdę chcesz.

— Chcę, moja pani — powiedział i zaczął badać jej ciało pod koszulą. Natychmiast odpowiedziała na pieszczoty; Lennie za każdym razem potrafił ją pobudzić.

— Myślałam, że jesteś zmęczony.

— Szybko się regeneruję.

— Lennie, przekształcasz się w supermana. Uśmiechnął się leniwie.

— Nie dokuczaj mi, tak strasznie mi cię brakowało.

Odsunęła go delikatnie. Chciała kochać się jeszcze raz, ale najpierw powie mu, co się stało.

— Czas na szampana — powiedziała cicho.

— Dlaczego? Wzięła głęboki wdech.

— Pamiętasz, jak mówiłam ci o niespodziance?

— Tak.

— Już pora.

Patrzył na swoją nieokiełznaną, piękną żonę i nagle przyszło mu to do głowy. Zamierzała powiedzieć mu, że jest w ciąży. To ta niespodzianka. A on będzie najszcześniejszym ojcem pod słońcem.

— Zostaw wszystko — powiedział. — Nie ruszaj się. Przyniosę szampana, zapal świece, zaraz wracam. Potem powiesz mi, co to jest.

— Zwariujesz ze szczęścia — obiecała mu, klękając na łóżku. Nie mógł powstrzymać głupawego uśmiechu.

— Pewnie masz rację. Zawsze masz rację. Też się uśmiechnęła.

— Tak, ja zawsze mam rację.

Zbiegł na dół, złapał butelkę szampana, którą Lucky schowała w lodowce, wziął dwa kieliszki i poleciał na górę.

Lucky siedziała „po turecku” na łóżku. . .

Lennie odkorkował butelkę, nalał złoty płyn do kieliszków i podał jej.

Bardzo poważnie wzniosła toast.

— Lennie Golden — zaczęła, starając się panować nad wzruszeniem — wiem, że to nie są twoje urodziny, ale... mam coś dla ciebie.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

— Czy mówiłem ci kiedyś, jak bardzo cię...

— Cicho! — przerwała mu. — To moja niespodzianka. Usiadł na łóżku.

— Dobrze. Ładuj.

Myślał już o imieniu dla dziecka. Dziewczynkę nazwą Maria, po matce Lucky. A chłopca? Może Lennie junior? Chociaż, dziecku może nie być najlepiej dorastać ze słowem „junior” przyczepionym do imienia. Tak, to kiepski pomysł. A może Nick? Prawdziwe gangsterskie imię. Nick Golden — bardzo dobrze brzmi. Rewelacyjne imię dla rewelacyjnego dzieciaka.

— Lennie — powiedziała cicho Lucky, wążąc każde słowo — kupiłam ci studio Panther.

Spojrzał na nią nieprzytomnie.

— Co?

Powtórzyła tak wolno, jak mogła.

— Powiedziałam, że kupiłam ci studio Panther. Przez chwilę trawił tą niesłychaną wiadomość.

— Co zrobiłaś? — wykrztusił w końcu.

— Ile razy mam ci powtarzać? — zawołała szczęśliwa. — Kupiłam Panther. My je kupiliśmy. Jest nasze, Lennie! Nasze!

— A dziecko? — nie wytrzymał. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Jakie dziecko? Wreszcie dotarło do niego.

— Jezu, mówisz poważnie, prawda?

— Oczywiście, że poważnie. Jak myślisz, gdzie byłam przez ostatnie sześć tygodni? Umówiłam się na kupno studia od starego Abe'a Panthera, ale nie chciał sprzedać, jeśli nie poznam go od środka. Przez sześć tygodni pracowałam tam incognito. Możesz w to uwierzyć? Udawałam Luce, posłuszną małą sekretarkę. I Lennie, posłuchaj, nawet wchodziłam w tyłek Mickeyowi Stolliemu! A raz rozmawiałam z tobą przez telefon.

Był w szoku.

— Rozmawiałaś ze mną przez telefon? — powtórzył zaskoczony.

— Tak — uśmiechnęła się. — Czy to nie wspaniałe? Jesteśmy potentatami filmowymi. Będziemy szefować i nakręcimy doskonałe filmy!

Nie takiej wiadomości oczekiwał, jednak to naprawdę sensacja.

— Mówisz poważnie, prawda? Kupiłaś to cholerne studio.

— Tak — powiedziała podniecona. — Dlatego jutro musimy polecieć do Los Angeles. Zwołałam zebranie na poniedziałek rano i uważam, że też powinieneś przyjść. Będą tam prawnicy i stary Abe Panther. To niezwykle

człowiek. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę twarz Mickeya, kiedy mu powiedzą. No i jego żony, uroczej Abigaile.

— Ile za to zapłaciłaś? — zapytał otwarcie.

— Dużo. Zaufaj mi, dużo. Ale wiesz, że znam się na interesach, a Panther jest wart swojej ceny. Ma ziemię do odsprzedania, ma wspaniałą bibliotekę starych filmów. Do tego doskonały dział telewizyjny. Oczywiście kiedy przestaniemy robić te kretyńskie filmy o dupie, dochody nieco spadną, ale tylko na pewien czas.

Oczy Lucky świeciły z podniecenia.

— Zamierzam robić naprawdę dobre filmy, Lennie. Chcę pokazywać kobiety jako żywych ludzi. Chodzi o to, że, no wiesz, co oglądamy na ekranach? Kobiety jako wytwory męskiej wyobraźni. Faceci, którzy robią filmy to kupa durniów, i wydaje mi się, że wszyscy nienawidzą kobiet. Albo wymyślą jakąś potworę, która goni ich i obcina im głowy, albo kaza kobietom rozbierać się, a młodzi chłopcy podglądają przez dziury w ścianach. Kino powinno wychwalać rodzaj ludzki, a tymczasem degraduje go.

Wstał i pokręcił głową.

— Lucky nie wiesz nic o robieniu filmów.

— Nie trzeba być żadnym pieprzonym geniuszem, żeby zmontować film — stwierdziła. — Widziałeś facetów, którzy tym kierują? W każdym razie - rozkręciła się - pogadajmy o tym, co możemy zrobić z twoim filmem. Przejrzałam sprawozdania i uważam, że są tam wspaniałe kawałki. Można zostawić Marisę jak jest, zmienić nieco obsadę, nakręcić kilka nowych ujęć ty trochę zmienisz, można wziąć nowego reżysera i coś z tego zrobić. Możemy uratować ten film, jeśli przejmiesz nad nim kontrolę — przerwała żeby nabrać tchu. — A może sam chciałbyś to reżyserować? Czy to me jest świetny pomysł?

— Pracowałam dla ciebie?

Nie dostrzegła napięcia w jego głosie.

— Lennie, czy ty mnie słuchasz? Kupiłam to studio dla nas. Będziemy je prowadzić razem.

Niezdecydowanie przeciągnął ręką po włosach.

— Wzięłaś moje pieniądze?

— Nie mam twoich pieniędzy, wiesz o tym — odpowiedziała cierpliwie. — Wzięłam swoje pieniądze.

— Pieniądze, które odziedziczyłaś po Dimitrim? Co go obchodzi, czyimi pieniędzmi płaciła? — Dobra, miałam bogatego męża, odziedziczyłam część fortuny Stanislopoulosów. Ale teraz to moja forsa i mogę ją wydawać, jak mi się podoba. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

— Więc nie byłaś w Japonii?

Czy Lennie celowo się tak zachowywał?

— Nie byłam.

— Wyjaśnijmy to. Ty odgrywałaś sekretarkę w Los Angeles, a ja smażyłem sobie dupę w Acapulco. Tak?

— Dbam o naszą przyszłość — poprawiła go. Chcesz być gwiazdorem, musisz mieć kontrolę. To jedyne sposoby.

— Ty będziesz miała kontrolę Lucky. Ja będę pracował dla ciebie. Zdenerwowała się.

— Przestaniesz wreszcie to powtarzać? Ile razy mam ci mówić? To nasze studio. Nasze. Lennie, zacznę się czuć jak płyta, która się zacięła.

— Nie mogłaś chociaż wspomnieć, że masz taki zamiar? Sięgnęła po papierosa.

— To by popsuło niespodziankę.

— Wiesz, co myślałem, Lucky?

— Nie, co?

— Myślałem, że powiesz mi, że będziemy mieli dziecko. Popatrzyła na niego. Nie spodziewała się takiej reakcji, czuła się urażona, więc powiedziała:

— Tak mi przykro. Pewnie byłbyś szczęśliwszy, gdybym bosa i w ciąży siedziała w kuchni.

— Czy to coś tak strasznego? — zapytał rozgniewany. Wyskoczyła z łóżka.

— Nie mogę w to uwierzyć. Siedziałam w tym studiu udając przez sześć tygodni głupią sekretarkę, robiłam to dla nas. Teraz ci o tym mówię, wydaje mi się, że powinieneś być zachwycony, i co słyszę? Ty, cholera, zaczynasz zrzędzić.

Popatrzył na nią.

— Zrzędzić? Ja zrzędzę, tak? Okłamujesz mnie bezczelnie przez sześć tygodni, potem włamujesz się do mojego mieszkania, kochamy się non stop całą dobę i łaskawie informujesz mnie o tym. A ja zrzędzę. Wydaje ci się, że cały świat musi się obracać wokół ciebie, Lucky?

Nie rozumiała jego podejścia.

— Co takiego strasznego zrobiłam? — dopytywała się. — Powiedz mi.

— Zrobiłaś to beze mnie — wyjaśnił. — Powinniśmy to omówić. Nie podoba mi się, kiedy jestem pomijany.

— A ja nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić. Nie jestem dzieckiem, Lennie.

— Ale czasami zachowujesz się, jakbyś była.

— Odpieprz się! — wybuchnęła. — Gdyby sytuacja była odwrotna, spodziewałbyś się, że będę skakała z radości.

— A skakałabyś?

— Tak.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, potem powiedział: — Wiesz, jak się czuję? Zaciągnęła się.

— Jak?

— Jak utrzymanek. To jakbyś sobie powiedziała „Biedny Lennie, źle mu jest w studio, więc mu je kupię”. Czuję się jak śmieć.

— To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam — powiedziała ostro.

— Ale tak się czuję.

— Jesteś niesprawiedliwy.

— Tak? Nie widzisz, co zrobiłaś?

— Widzę i to bardzo dobrze. Nie jestem w ciąży, więc wkurzyłeś się. O to ci chodzi, prawda?

Nie odpowiedział.

Zgasiła papierowa i poszła do łazienki. Z radosnego podniecenia wpadła we frustrujący gniew. Mężczyźni! Udają, że lubią kobiety z jajami, a kiedy spotykają taką kobietę, nie umieją sobie z nią poradzić. Myślała, że ten jest inny, ale chyba się myliła.

Szybko narzuciła jakieś ubranie i wyszła.

— Wychodzę — rzuciła szorstko. — Nie ma potrzeby przekształcać tego w większą kłótnię, niż ta do której doprowadziliśmy.

Zdenerwował się jeszcze bardziej.

— Co ty opowiadasz? Idziesz na spacer?

— Nie chcę już dziś na ciebie patrzeć. Teraz on wybuchnął.

— Ty nie chcesz na mnie patrzeć? Lucky, wyjdiesz stąd i możesz nie wracać!

Gdyby wzrok mógł zabijać, Lennie już by nie żył.

— Straszysz mnie?

— Nie możesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia? — wrzasnął. Czy zawsze musi być, jak ty chcesz?

Poczuła łzy pod powiekami więc szybko się odwróciła.

— Sam to powiedziałaś, Lennie. Nie jestem kurą domową. Nigdy nie byłam i nie udawałam. Nie mam nic przeciwko dziecku, ale teraz jest tyle do zrobienia!

— To może lepiej zrób to sama — powiedział gorzko.

Nie mogła uwierzyć, jak źle to wypadło. Myślała, że to będą najwspanialsze chwile dla nich obojga, a tymczasem były najgorsze. Może miał rację, może nie powinni być razem. W zasadzie, co ich łączyło? Poczucie humoru, seks, chińskie jedzenie, spacer po plaży — to nie wystarczało.

Podniosła słuchawkę i zamówiła taksówkę.

— Jadę do naszego mieszkania — powiedziała. — Musimy dać sobie trochę wolnego. Przemyśl to, Lennie. I pamiętaj, zrobiłam to dla ciebie. Nie zrobiłabym tego tylko dla własnego zadowolenia. Nie mógł patrzeć na nią.

— Nie można mnie kupić, Lucky — powiedział krótko. — Nie mam etykietki z ceną.

— Nie miałam takiego zamiaru. Jutro lecę do Los Angeles. Jeśli zachcesz polecieć, będę zachwycona. Daj mi znać.

Skierowała się do drzwi, miała nadzieję, że ją zatrzyma, chciała, żeby powiedział, że to żarty, że wszystko jest w porządku i że jest szczęśliwy. Nie powiedział nic takiego.

Na ulicy podeszła do niej naćpana nastolatka, oczy wielkie jak spodki, długie matowe włosy.

— Ma pani parę dolców na zbyciu? — zapytała. Lucky dała jej pięćdziesiąt.

— Kup sobie życie. Odstaw narkotyki i uporządkuj wszystko.

— A co jeszcze jest w życiu? — zapytała obojętnie dziewczyna odchodząc.

Podjechała taksówka Lucky. Kierowca, Portorykańczyk, gadał do siebie pod nosem. Otworzyła drzwi i wsiadła. Wyrzała przez okno i zobaczyła światło w mieszkaniu Lenniego. Nawet nie zszedł za nią na dół.

— Do widzenia — szepnęła. — Nie pisz i nie dzwoń. Poradzę sobie bez ciebie.

— Dokąd? — zainteresował się kierowca.

— Proszę po prostu jechać — poleciła tępo. — 1 jak pan będzie jechał, proszę nas nie zabić.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Dowody dostarczone przez Emilia Sierę zadowolily Dennisa Walię. Zdjęcie Venus Marii i Martina Swansona warte było swojej ceny. Seks i intymność. Dwoje obejmujących się ludzi. Dobrze na pierwszą stronę.

Dennis pogratulował Emiliowi.

— Naprawdę udało ci się, stary — powiedział, klepiąc go po ramieniu. Emilio był zadowolony. Postanowił wyjechać na tydzień na Hawaje i wziąć ze sobą swoją nową miłość, gorącą Ritę. W łóżku zachowywała się jak dzika kotka, do tego całkiem ładna. Najlepiej zrobi, jeśli wyjedzie z miasta, zanim rozpęta się burza. A tak będzie, kiedy „Truth and Fact” ukaże się w kioskach. Venus Maria wybuchnie.

Trudno. Nie potrzebował już małej siostry. Będzie znany i szybko zostanie sławnym aktorem. Zadzwoń do jakiegoś poważnego agenta czy producenta i powie: „Tu Emilio Sierra”. Każdy odpowie: „Emilio, wspaniale że dzwonisz, przyjacielu, koniecznie wpadnij”.

Tak, niedługo tak będzie. Nadeszła pora, aby go odkryto.

Wkrótce po tym, jak Dennis dostał od Emilia zdjęcie, zadzwonił Bert Slocombe z Nowego Jorku.

— Wstrzymaj pierwszą stronę — ogłosił triumfująco Bert. — Możemy zrobić cholernie dobry numer.

— Co się stało? — spytał Dennis.

— Siadaj i słuchaj.

Kiedy Dennis usłyszał, co Bert miał do powiedzenia, nie wahał się ani chwili nad pierwszą stroną. To wydanie „Truth and Fact” sprzeda się w mgnieniu oka. A Dennis Walla zamierzał na tym skorzystać.

Warner zbyt długo była z Mickeyem, żeby teraz pozwolił jej tak po prostu odejść. Fakt, że regularnie odwiedzał Madame Lorette nie miał z nimi nic wspólnego. Warner nie mogła z nim zerwać. Tylko on może decydować, kiedy kończy romans. W sobotę rano rozegrał męczący pojedynek w tenisa z jednym z reżyserów, nie został na lunchu w klubie, ale pojechał prosto do domu Warner. Nie zastał jej. Wypompowany wrócił do domu. Abigaile też nie było.

— Gdzie pani Stolli? — zapytał Consuelę.

— Wyszła na zakupy, proszę pana — odpowiedziała Consuela, przybierając taką minę, jakby nie podobała się jej zakupowa mania Abigaile.

Na zakupy, pomyślał Mickey. Na pewno nie na rynek. Dla Abigaile zakupy oznaczały Saksa i Neimana Marcusa, może jeszcze wycieczkę po Rodeo Drive. Pojawiła się jego córka, Tabitha.

— Tato, dostanę porsche na szesnaste urodziny?

Dlaczego za każdym razem, kiedy widział Tabithę, czegoś od niego chciała?

— Porozmawiamy o tym, kiedy skończysz te szesnaście lat — powiedział tak spokojnie, jak mógł.

— Dlaczego nie możemy teraz porozmawiać? — nudziła. — Nie możesz mi obiecać?

Dziewczynka bardzo przypominała matkę. Była nieustępliwa.

— Nie pora na to — powiedział cierpliwie.

— Mama powiedziała, że mogę dostać. Zaufaj Abigaile.

— Tak powiedziała?

— Tak — wyznała triumfująco Tabitha. — Obiecała mi, jeśli będę miała dobre stopnie, i nie złapie mnie z trawką ani z chłopakiem w łóżku, wtedy dostanę porsche. Więc postanowiłam rzucić palenie.

Patrzył na swoją trzynastoletnią córkę.

— Palisz?

— Wszyscy w szkole palą — odpowiedziała asekurancko. Zastanawiał się, co jeszcze robiła. Powoli stawała się rozwiniętą dziewczyną. Zbyt rozwiniętą jak na swój wiek.

— Zobaczmy — powiedział niejasno, zmęczony konwersacją z córką. Miał inne problemy na głowie.

— Jakiś pan do ciebie dzwonił — oznajmiła Tabitha. — Pytał o nasz adres.

Mickey zainteresował się natychmiast.

— Jak to pytał o nasz adres?

— A co, to tajemnica państwowa, czy co?

— Nie lubię, kiedy ludzie znają nasz adres domowy, Tabitho. Wiesz o tym — skarcił ją surowo.

— Jakbym o tym nie wiedziała, tato — odparowała sprytnie. — Jakbyś mi nigdy nie mówił.

— Tak, mówiłem.

— Nigdy niczego nie zrobię, jak należy. Może ucieknę — dodała, wybiegając z pokoju.

„Ha! pomyślał Mickey. Spróbuj, nie mam nic przeciwko temu”.

W sobotę miał wypoczywać, tymczasem tylko się denerwował. W jego wieku to bardzo źle. Nie był wcale stary, miał doskonałą kondycję, a waleczność w łóżku jedynie poprawiała się z wiekiem.

Mimo tego stresi go wykańczały. A skoro w poniedziałek rano miał się spotkać z Abc'em Pantherem i ze swoim szwagrem, dojdą następne powody do zdenerwowania.

W drugiej części miasta, w Hancock Park, w domu Johnny'ego Romano, Warner miała wrażenie, że umarła i przeniosła się do nieba gwiazd filmowych. Warner Franklin, policjantka, zabawiająca się z Johnnym Romano. To doprawdy za wiele! Zadzwoił do niej zaraz po jej rozmowie z Mickeyem.

— Przyjeżdż tu, kochanie gruchał. — Poczytamy sobie moje recenzje. I właśnie to zrobili. Gdyby chociaż te recenzje były dobre. Ale były koszarne. Johnny nie wygląda! na zmartwionego. Nonszalancko wzruszył ramionami. — Co z tego, kochanie powiedział. Publiczność mnie kocha, należę do nich. A oni nie przywiązują wagi do tego, co mają do powiedzenia sztywni krytycy. Myślisz, że oni wiedzą, co się dzieje na świecie? Nie, kotku. Johnny wie, co się tu dzieje. Johnny daje ludziom właśnie to, co chcą zobaczyć.

Czuła się nieco zbита z tropu, kiedy Johnny mówił o sobie w trzeciej osobie, ale Warner szybko się przyzwyczaiła. Nie była jednak pewna, czy miała rację z tym filmem. W końcu widziała wczoraj *Malkożercę*. Johnny na pewno był wysoki, pełen seksu i przystojny, jednak nie był dobrym aktorem. Miał w sobie wszystko, co chciała widzieć w mężczyźnie, ale przy tym był tylko samcem i film bardzo to podkreślał. Świta Romano kręciła się po domu. Ochrona, menażerowie, agenci, przyjaciele, lizusy. A on wybrał jej towarzystwo. Bardzo jej to schlebiało.

— Chodź, kochanie, zostanmy na chwilę sami — zaproponował w końcu. Schronili się do sypialni, gdzie wreszcie znaleźli spokój. Pod względem seksualnym, Johnny to gigant. Mickey Stolli jest przy nim zerem. Młodszy mężczyzna stanowił duże odkrycie. Warner zapomniała, jak żywy i zabawny może być seks. Z Mickeyem seks nie był zabawny. On nigdy nie odprężał się do końca. Podchodził do seksu jak do ciężkiej rozgrywki tenisa — musi

dobrze się spisać, albo spotka go kara. Seks z Johnnym Romano to cos zupełnie innego. Dużo się śmiał i bez przerwy nucił jej w ucho: „kochanie, kochanie" Mógł ją nazywać, jak mu się podobało. Był jej ulubionym aktorem i oto spełniły się jej marzenia Chuda Warner Franklin z Watts po raz drugi kocha się z Johnnym Romano. Cudowne Hollywood! Johnny leżał na plecach na łóżku, pobudzony i gotow.

— Naprawdę jesteś policjantką, kochanie? — zapytał, bezmyślnie pocierając stojącego penisa.

— Naprawdę — potwierdziła, podziwiając każdy centymetr jego ciała.

— Więc kochanie, aresztuj to - wycedził, podsuwając jej swoją męskość.

Weszła na niego, gdyż najwyraźniej lubił w ten sposób. Potem zabrała go do nieba. Kiedy skończyli, zaczęła się ubierać, gotowa pójść do pracy.

— Wróć szybko, kochanie - mruknął Johnny, zanim zasnął. Oczywiście. Może być tego pewien.

Cooper sam przyjechał po Venus Marię.

— Gdzie twoja siedemnastoletnia była gwiazda porno? — zapytała rozglądając się.

Wzruszył ramionami.

— Ty mi wystarczysz.

— Jeśli znów pokażemy się sami na kolacji, ludzie zaczną plotkować.

Przyjrzał jej się uważnie.

— Martwi cię to? Potrząsnęła głową.

— Nie. Przyzwyczyłam się. A ciebie to martwi?

— Ani trochę. Nie chciał mówić, że miał do czynienia z prasą o wiele dłużej niż ona.

— Chodźmy — postanowiła. — Umieram z głodu.

Po drodze do restauracji powiedziała mu, że Martin przylatuje i że planują spędzić dzień w San Francisco.

— Mam świetny pomysł. Może pojedziesz z nami? - zaproponowała.

Cooper wybuchnął śmiechem.

— Tak To by się spodobało Martinowi. Będzie zachwycony.

— Ja cię zapraszam - nalegała. - Jesteś jednym z najlepszych przyjaciół Martina.

Dlaczego nie miałbyś jechać? Będzie bardzo fajnie. Jeśli ktoś nas zobaczy czy coś, ludzie pomyślą, że to my ze sobą romansujemy. Nie przeszkadza ci to, prawda?

— Gdyby tak było w rzeczywistości — powiedział zadumany. W jej brązowych oczach dostrzegł jakieś wyzwanie.

— No, Cooper, żyj z dreszczykiem.

— Co powie Martin?

— Powie, co mu każe.

— Pani Wszechmocna.

Żebyś wiedział. Będzie świetnie, no i będziesz miał okazję porozmawiać z Martinem. Wiesz, jak mi na tym zależy. Skinął głową.

— Jeśli chcesz, pojedę. Uśmiechnęła się i ujęła go za rękę.

— Jesteś taki kochany.

Późnym sobotnim popołudniem Mickey, znudzony i zniechęcony, postanowił nie czekać dłużej na powrót Abigaile ani na telefon Warner. Zadzwoił do Madame Loretty i poinformował ją, że niedługo przyjedzie i chce, żeby czekała na niego mała Chinka.

Kiedy zajechał, dyskretnie zaprowadzono go do prywatnej sypialni. Tai, piękna skośnooka dziewczyna, którą już kiedyś miał, powitała go nieśmiałym uśmiechem, długie czarne włosy spływały jej na plecy.

— Jak mogę pana zadowolić? — spytała pełna szacunku.

Nie ma nic lepszego od posłusznej kobiety. Rozpiął spodnie i rzucił się na łóżko.

— Weź w usta.

Co mu się podoba w burdelach to fakt, że można od razu przejść do rzeczy. Żadnych kwiatów, czułych słówek, tylko działanie. Marzenie każdego faceta.

Tai skinęła głową i sięgnęła po buteleczkę z wonnymi olejkami.

Mickey rozluźnił się, a ona zaczęła delikatnie masować mu genitalia, małe paluszki dokonywały cudów.

Zapomnieć o wszystkim. Poddać się chwili. Odprężyć się. Zamknął oczy. Kiedy poczuł koniuszek jej sprawnego języka, nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy.

Przyjemność opanowała go całego.

Nieszczęśliwie dla Mickeya, właśnie w chwili kiedy wpadał w uniesienie, drzwi otworzyły się z hukiem i Warner wraz z innym policjantem wtargnęli do pokoju.

— Dobra, stary, załóż spodnie. To nalot, jesteśmy z policji — wyrecytował gliniarz.

— Mickey? — krzyknęła zdumiona Warner.

Wzwód Mickeya skurczył się jak przedziurawiony balonik.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

— O co chodzi, do cholery? — dopytywał się Carlos Bonnatti.

— Jak to, Wielki C? — zapytał Link, jego goryl i prawa ręka.

— No, co jest grane? — powtórzył apatycznie Carlos.

Link wzruszył ramionami. Był to wysoki facet o pociągłej twarzy, przez którą przebiegała długa blizna. Zmrużył wąskie oczy.

— Sam rozmawiałeś z Eddiem Kane'em — przypomniał.

— Wiem — powiedział niecierpliwie Carlos. — I wiem też, że nie ma forsy. Ten bubek ją wywąchał. Cała moja pieprzona forsa zniknęła w jego pieprzonym nosie. Link wystąpił ze świetną propozycją.

— Mam mu połamać nogi?

— Gdyby połamane kulosy zwróciły mi forszę, chętnie bym na to poszedł. Ale pomyślmy rozsądnie. Chuj nie ma forsy. Muszę więc pójść do studia. Do Panther. Mickey Stolli. Umów mnie.

Link skinął głową.

— Zrobione. A kiedy?

— Na poniedziałek — zdecydował zamyślony Carlos. — Załatw to. Podszedł do okna apartamentu w Century City, zawsze się tu zatrzymywał, kiedy był w Los Angeles. Poparzył na ulicę. Lubił przyjeżdżać do Los Angeles. Może powinien więcej czasu spędzać na wybrzeżu. Wyjechać z Nowego Jorku, pełnego brudu, przestępczości i bezdomnych snujących się po ulicach.

Teraz, kiedy był wolny, nie wydawało mu się to złym pomysłem. Po dziesięciu latach małżeństwa odeszła od niego żona. Jej strata. Głupia krowa uciekła z jakimś dekoratorem wewnątrz.

Postanowił dać jej niezłą nauczkę. Po paru miesiącach wróci na kolanach, będzie go błagać o to, co straciła. A wtedy on z przyjemnością zatrzasknie jej drzwi przed nosem.

Na szczęście nie mieli dzieci. Carlos zawsze chciał syna, ale żona nigdy mu go nie urodziła. Nie lubił ludzi, którzy nie robią tego, co do nich należy. Nie lubił Eddiego Kane'a. Nikt nie może okraść Carlosa Bonnattiego i wykręcić się sianem.

Rozdział sześćdziesiąty

— Muszę zadzwonić — powiedział Mickey zapinając spodnie.

— Powiedziałem ci, chłopie, zadzwonisz z posterunku — policjant był nieubłagany. Warner stała z tyłu i patrzyła na niego z obrzydzeniem. Kręciła głową, jakby był najgorszym z najgorszych.

— Wiesz, kim jestem? — nalegał Mickey, próbując przekonać gliniarza. Wiedział, że Warner mu nie pomoże.

— Tak, wiemy, kim jesteś — rzuciła ostro Warner, odpowiadając za nich oboje. — Kolejnym kutasem.

Kazali mu zejść na dół, razem z innymi. Madame Loretta starała się załagodzić sytuację przekonując klientów i dziewczęta, że wszystko będzie w porządku. Wokół niej zgromadziły się porozbierane dziewczyny. Mickeyowi wydawało się, że widział między nimi Leslie Kane, ale wiedział, że musi się mylić.

Mickey był w szoku. Nie mógł pozwolić sobie na aresztowanie w burdelu ani na pobyt w więzieniu, jak pospolity przestępca. To musi być jakiś kiepski dowcip. — Kto tym kieruje? — zapytał, rozglądając się za przełożonym. Policjanci byli wszędzie, zarówno mundurowi jak w cywilu, jednak nikt nie wyglądał na szefa.

Warner jeszcze raz spojrzała na niego z obrzydzeniem.

— Zrób sam sobie przysługę i zamknij się — powiedziała jadowitym głosem. Panie Stolli.

Popatrzył na nią.

— Dlaczego nie wyciągniesz mnie z tego śmierdzącego gówna?

— Sam się w nie wpakowałeś, więc sam się ratuj — odcięła ostro, dodając pod nosem Dupku.

Gdyby wzrok mógł zabijać, dawno by nie żył.

Czy z tą kobietą sypiał od ponad roku? To kobieta, która stale powtarzała mu, jaki jest wspianały? To, co było między nimi, na pewno się skończyło.

W końcu wygoniono wszystkich przed budynek i wepchnięto do wozu policyjnego. Mickey ukrył twarz w dłoniach i skulił się przy oknie. Zastanawiał się, czy może ich zaskarżyć. Bardzo by chciał. Zaskarży sukinsynów o zakłócanie spokoju. Kiedy dojechali do aresztu, dziennikarze i fotoreporterzy już czekali, aby ich powitać. Cudownie! Pieprzony cyrk! Jak to mogło się mu przytrafić? Zastanawiał się, co powie Abigaile i wiedział, że już jest martwy.

Zamknięta w policyjnej suce, Leslie Kane przeklinała niesprawiedliwość świata. Na próżno usiłowała wyjaśnić glinom, że spędziła tam noc jako gość.

— W porządku, kochanie mówili, nic zwracając uwagi na jej przysięgi niewinności. Wepchnęli ją do samochodu razem z innymi.

Serce biło jej jak dzwon. Kiedy Lddie się dowie, na pewno zainteresuje się tym i odkryje jej przeszłość.

Jaki wstyd! Eddie dowie się, że poślubił prostytutkę.

Próbowała się uspokoić. Nic jest aż tak źle. W końcu ona wyszła za narkomana.

Może nadszedł czas, aby oboje odkryli karty.

Zauważyła Mickeya Stolliego. Mickey Stolli, szef studia Panther, pierwszy obywatel Hollywood. Żonaty z Abigaile, hollywoodzką księżniczką. Co on tu robi? Mężczyźni! Kiedy pracowała, zawsze zaskakiwały ją typy, które przychodziły się zabawić. Dlaczego dziwiła się z powodu Mickeya Stolliego? Był taki jak inni.

Mężczyźni odwiedzali dziwki z dwóch powodów: żeby pogadać i kochać się. Rozmowa zawsze była pierwsza.

Odwróciła się, mając nadzieję, że jej nie widział.

Primrose i Ben Harrisonowie zameldowali się w hotelu w Beverly Hills zaraz po przylocie z Londynu. Abigaile uważała, że powinna zaprosić ich na kolację w sobotę wieczorem.

— Jesteśmy zmęczeni — ostrzegła ją przez telefon Primrose, jednak zgodziła się przyjść.

Abigaile nie była zadowolona. Lokaj Jeffries i jego żona zwykle mieli wolne soboty. Teraz zdała sobie sprawę, że musi ich znaleźć i sprowadzić do domu. Nie będą zachwyceni, ale ona też nie jest.

— Gdzie pan Stolli? — zapytała Consuelę.

Wcześniej kazała kucharzowi przygotować pieczonego kurczaka z brokułami i świeżą kukurydzą w kolbach.

Consuela wzruszyła ramionami. Dlaczego wydawało im się, że wie, dokąd każdy chodzi?

— Nie wiem, proszę pani — odpowiedziała bezmyślnie. — Pan Stolli wyjść. Pani na zakupy.

— Wiem, wiem — powiedziała poirytowana Abigaile. — Ja na zakupy, ale już wróciłam. Czy pan Stolli zostawił wiadomość?

— Nie — Consuela potrząsnęła głową zastanawiając się, dlaczego nie ma wolnych weekendów, jak większość służących na Beverly Hills.

Po znalezieniu Jeffriesa, Abigaile szukała Tabithy. Otworzyła drzwi od jej pokoju i natychmiast ogłuszyła ją straszna muzyka Van Halena, lecąca z magnetofonu.

— Tabitho! — zawołała, próbując przekrzyknąć sprzęt.

Tabitha leżała na łóżku pośród stosu pism dla nastolatków, nie słyszała jej. Zajęta była rozmawianiem przez różowy telefon.

— Tabitho! — wrzasnęła zła Abigaile, przechodząc przez pokój i wyłączając magnetofon.

Tabitha aż podskoczyła, jakby została śmiertelnie raniona.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Bo chcę z tobą porozmawiać — powiedziała Abigaile. Ty chyba nie słyszysz własnych myśli. Jak możesz rozmawiać przy takim hałasie? Popsujesz sobie słuch.

— Nie bądź staroświecka Tabitha wymamrotała coś do słuchawki i skończyła rozmowę. — Czy tatuś ci już powiedział? Na szesnaste urodziny dostanę porsche.

— Nie wygłupiaj się — parsknęła Abigaile.

— Naprawdę. Obiecał mi.

— Gdzie jest twój ojciec.

— Nie wiem.

— Nie powiedział, dokąd idzie?

— Nie.

Wyduszenie jakichś informacji od córki to jak zmuszanie papieża do seksu. Abigaile wyszła z pokoju. Nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, a Van Halen wybuchnął ze zdwojoną siłą.

Na posterunku, po wielu awanturach, Mickey wreszcie mógł zatelefonować.

Zadzwoił do Forda Werne'a. Niestety, nie zastał go w domu.

Leslie wykorzystała przysługującą jej rozmowę na telefon do domku na plaży, w nadziei, że znajdzie tam Eddiego. I był.

— Eddie — zawołała zadowolona.

— Kochanie! Gdzie jesteś? Tak się cieszę, że dzwonicz, chcę, żebyś wróciła do domu. Tak mi przykro, tak mi przykro. Nigdy już cię nie uderzę. Nie wiem, co mi się stało.

— Mam kłopoty — szepnęła.

— Powiedz tylko, gdzie jesteś, a zaraz cię zabiorę.

— Jestem w pace, Eddie. Aresztowano mnie. Musisz zapłacić za mnie kaucję.

— Za co cię aresztowano?

— To nieważne. Tylko mnie stąd zabierz.

— Już jadę.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Abigaile i Primrose przywitały się nieszczerym uściskiem. Primrose była wyższa od siostry, miała złote włosy i błękitne oczy. Jej mąż, Ben Harrison, to mężczyzna silnie zbudowany, młodo wyglądający jak na swoje pięćdziesiąt lat, lekko siwiejący i o surowym spojrzeniu. Okazywał Primrose dużo szacunku.

— Gdzie Mickey? — zapytał.

— Niedługo przyjdzie — odpowiedział wesoło Abigaile. — Jest na spotkaniu.

— Musimy porozmawiać — zauważył Ben. — Nie mam pojęcia, o co może chodzić. Wiem jedno, nie podoba mi się, że wezwano nas w ostatniej chwili. Czy ktoś rozmawiał z Abe'em?

— Widziałam go tydzień temu — powiedziała Abigaile. — Nic jednak nie mówił. Próbowalam dodzwonić się do niego, ale Inga nie łączy, gdyż podobno nie można mu przeszkadzać.

— Nie można mu przeszkadzać? — powtórzył Ben, marszcząc czoło. — Co to za wymówka?

— Dowiemy się w poniedziałek rano — odpowiedziała Abigaile, zastanawiając się, gdzie się podziewa Mickey.

Prawie kończyli kolację, kiedy Mickey się wreszcie pojawił. Abigaile słyszała, jak wkrada się do domu i próbuje przemknąć niepostrzeżenie przed jadalnią.

— Przepraszam na chwilę — powiedziała uśmiechając się słodko do Bena i Primrose.

Wybiegła do przedpokoju.

— Mickey! Gdzie ty do cholery byłeś? Wyglądał koszmarnie.

— Miałem wypadek — skłamał.

— Wypadek? Czy samochód jest cały?

Czy samochód jest cały? Typowe dla Abigaile.

— Tak — powiedział gorzko. — Samochód jest cały. Ja nie żyję, ale samochód cały.

— Przyszli Primrose i Ben — syknęła, nie zwracając uwagi na jego sarkazm. —

Pospiesz się i jeżdź do nas. Nie zamierzam sama ich zabawiać.

— Daj mi spokój - protestował. — O mało nie umarłem.

— Mickey — powiedziała ostrzegawczym tonem. Co ją to obchodziło?

— Dobrze, dobrze, za pięć minut.

Poszedł na górę. Boże! To coś strasznego. Aresztowany, kiedy chińska kurwa ssała mu fiuta! Czy nie ma już nic świętego? Na szczęście Madame Loretta nie straciła głowy i skontaktowała się ze swoim adwokatem. Facet błyskawicznie przyjechał i wszystkich wykupił.

Teraz Mickey miał się stawić w sądzie.

Gdyby Abigaile dowiedziała się, że chadza do burdelu...

Powrót na plażę wydawał się dłuższy niż zwykle. Eddie najpierw nic nie mówił, jedną ręką trzymał kierownicę, drugą bębnił w deskę rozdzielczą. W końcu zapytał:

— Co robiłaś w burdelu, Leslie?

— Poznałam Madame Lorette, kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Los Angeles

— wyjaśniła Leslie, opowiadając zmyśloną historię. — Wydawała mi się miłą kobietą. Pomogła mi. Bywałam u niej na herbacie.

— Na herbacie?! — wrzasnął Eddie. — Co ona według ciebie prowadzi, herbaciarnię? — przerwał na chwilę, żeby nabrać tchu. — Ona ma burdel, Leslie.

Spałaś tam wczoraj. Co tu się dzieje? Jak ona ci pomagała?

Leslie patrzyła prosto przed siebie.

— Mogę to wyjaśnić. Maserati mknął autostradą.

— Fakty mówią same za siebie, tak? - powiedział wściekły Eddie.

— Ile razy mam ci powtarzać? Tylko spałam tam. Sama. Nie miałam dokąd pójść. Eddie podrapał się po głowie.

— Boże! — rzucił sarkastycznie. — Nie mam pojęcia, dlaczego jestem taki podejrzliwy. Może ty wiesz?

— Czy będę miała sprawę w sądzie? — zapytała niecierpliwie.

— Nie — odpowiedział. — Zajmę się tym.

— Możesz?

— Jeśli mówię, że się zajmę, to się zajmę.

— Dziękuję Eddie — mówiła prawie szeptem.

Samochód leciał jak burza. Delikatnie mówiąc, Eddie prowadził niezbyt spokojnie. Pytał dalej.

— Jak to możliwe, że nigdy nie powiedziałaś mi o Madame Loretcie?

— Nie pytałeś — odpowiedziała cicho. Spojrzał w lusterko wsteczne.

— A więc mam pytać, tak? Leslie, kochanie, nie przyjaźnisz się czasem z burdelmama? Czy o to mam pytać, co?

Oczy jej wypełniły się łzami. Nie zrobiła nic złego. Tylko tam spała. Przede wszystkim to jego wina. To niesprawiedliwe.

— Eddie, proszę. Nie wściekaj się na mnie. Jestem bardzo zmęczona — prosiła.

— Jesteś zmęczona! — krzyknął, rozzłoszczony jej postawą. — A ja nie, do kurwy nędzy? Ten łobuz Bonnatti wisi nade mną. Nie potrzebuję więcej problemów. Westchnęła.

— Jakim cudem znalazłeś się w takich tarapatach? Jeśli ty i Mickey jesteście partnerami, niech zapłaci studio.

— Mickey nie ma z tym nic wspólnego — mruknął. — Mieliśmy umowę i chyba za dużo zgarnąłem dla siebie. Myślałem, że nikt nie zauważy, niestety zauważyli. Ulżyło jej, że przestali rozmawiać o Madame Loretcie.

— Mówimy o milionie dolarów, Eddie.

— Wiem, wiem. Miałem trochę długów. Spójrzmy prawdzie w oczy — kokaina nie jest tania.

— Przede wszystkim — powiedziała stanowczo — powinieneś zapomnieć o tym długu i pójść do poradni odwykowej. Pomogę ci, Eddie. Będę przy tobie.

— Chyba nie rozumiesz — powiedział zniecierpliwiony. — Carlos Bonnatti może o wiele więcej, niż kopnąć mnie w tyłek, jeśli nie zapłacę.

— To śmieszne — zatkało ją. — Takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach gangsterskich.

— Kochanie — powiedział sucho — witam w rzeczywistości.

Mickey zasiadł do rodzinnej kolacji z głową pełną wirujących myśli. Musiał zająć się tyloma sprawami, a tymczasem miał siedzieć i znosić to pieprzenie uprzejmości. Tematem rozmowy był Abe Panther. Po co zwołał zebranie na poniedziałek? Mickey wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Zarabiamy pieniądze, studio dobrze się trzyma. Stary powinien siedzieć w domu i się cieszyć. Nie potrzebujemy, żeby się wtrącał.

Ben Harrison nie zgadzał się z tą opinią.

— Wiesz, Mickeyu ----- powiedział po namyśle — może Abe nic jest zadowolony z filmów, jakie studio robi. Muszę ci powiedzieć, że widziałem *Matkoiercę* i jest koszmarny. Nie chciałbym, żeby moja matka oglądała taki film, nawet moja siostra.

— Wszyscy inni będą się nim zachwycać — bronił się Mickey. — O taki film chodzi publiczności.

— Nie wiem — Ben pokręcił z powątpiewaniem głową.- Na początku zrobi duże pieniądze, ale szybko przestanie. Ludzie nie będą go sobie polecać.

— Johnny Romano to wielka gwiazda — przypomniał Mickey. Publiczność za nim szaleje.

— Sam za sobą szaleje — odpowiedział Ben. — Tego jestem pewien. Czy ktoś go kontrolował? Czy ktoś starał się utrzymać go w ryzach? zniżył głos. — Wiesz, ile razy powiedział „skurwysyn”? Nie wspominając o innych aktorach.

Primrose i tak go usłyszała.

— Ben! — upomniała męża. — Proszę żebyś nie używał takiego słownictwa.

Mickey zmarszczył brwi. Primrose dopiero od kilku lat mieszka w Anglii, a już zachowuje się jak królowa matka. Do pokoju wszedł Jeffries, ich lokaj.

— Telefon do pana, panie Stolli — powiedział, spoglądając znad długiego, chudego nosa.

— Kto dzwoni? — zapytał nieuprzejmie Mickey. — Jem kolację.

— Mówi, że to ważne. Jakiś pan Bonnatti.

— Bonnatti?

— Tak, proszę pana.

To stanowczo nie był udany dzień.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Venus Maria siedziała w prywatnym samolocie Swansona i przypominała sobie, jak jako chuda mała dziewczynka stała na Piątej Alei i z daleka obserwowała ślub Martina Swansona i Dceny Akvclid. To naprawdę nieprawdopodobne. Teraz siedziała obok Coopera Turnera, sławnego aktora, i obok Martina Swansona, bilionera. Obaj byli pod jej urokiem.

Venus Maria się uśmiechała. To jest coś. Chciała, żeby Ron to widział. Podobałoby mu się.

Martin pochylił się i zapytał:

— Dlaczego zaprosiłaś Coopera? Po co on nam?

— Cooper jest twoim najlepszym przyjacielem — odpowiedziała niewinni — Myślałam, że się ucieszysz.

— Nie jestem zachwycony — powiedział zirytowany. — Romantyczna wyprawa do San Francisco może nie udać się we trójkę.

Zaśmiała się lekko. Czyżby był zazdrosny?

— Nie bądź głupi. Cooper nie sprawi nam kłopotu. Znajdzie sobie jakieś zajęcie.

— Pójdzie sobie i zostawi nas samych, tak? — zapytał sarkastycznie Martin.

— Nie — odpowiedziała stanowczo. — Wszyscy w trójkę będziemy się świetnie bawić.

Pocałowała go w policzek, liżąc go po uchu, dając mu przedsmak tego, co ma nastąpić później.

— Pójdę się odświeżyć — dodała wstając.

Idąc wzdłuż pokładu mrugnęła do Coopera. Nadszedł czas, żeby poważnie porozmawiał z Martinem i dowiedział się, jakie ma zamiary.

Samolot Swansona był bardzo luksusowy. Urządzony jak zachwycające mieszkanie, miał salon, wygodną, nieco kosmiczną kuchnię, wspaniałą sypialnię i dwie marmurowe łazienki.

Zamknęła się w sypialni i skoczyła na okrągłe łóżko. „To wspaniałe — myślała. Może pożyczę mi go na tournée”. Zbyt ryzykowne. Nadal musieli trzymać ich związek w tajemnicy.

W San Francisco czekała limuzyna, która zawiozła ich do apartamentu w hotelu Fairmont. Odświeżyli się, Martin wyszedł na krótkie spotkanie w interesach, a Venus Maria i Cooper zostali, zamówili butelkę szampana.

— 1 co? - spytała ciekawa. — Rozmawiałeś z nim? Co ci powiedział? Cooper nie od razu odpowiedział. Uważał, że Martin nie odważy się

opuścić Deeny. Był zadowolony ze związku z Venus — kto by nie był — ale nie chciał zepsuć doskonałego małżeństwa. Deena oznaczała stabilizację. Była jego żoną i razem osiągnęli pewną pozycję społeczną, której Martin nie zamierzał porzucić. Ale Venus nie chciała słyszeć jego opinii.

— Znasz Martina, jest bardzo małomówny. Była zawiedziona.

— Chcesz powiedzieć, że nic z niego nie wyciągnąłeś?

— Uważa, że jesteś wspaniała.

— Tak?

— Tak.

— To wszystko?

— Jeszcze to, że się z nim zgadzam.

Roześmiała się, wcale nie brała tego poważnie.

— Na pewno!

Potem zjedli we trójkę obiad wywołując niemałą sensację.

— Widzisz szepnęła Venus Maria do Martina — bardzo dobrze, że Cooper jest z nami. Wszyscy pomyślą, że stanowimy parę. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby widziano nas samych w San Francisco?

— Miałaś rację — zgodził się. Przeszła do sedna sprawy.

— Tylko w jednym wypadku możemy pokazywać się razem, jeśli rozejdziesz się z żoną.

Nie po raz pierwszy wspomniała o tym. Nie odpowiedział.

Wieczorem pojechali nad zatokę i wypili kawę w małej, zatłoczonej kawiarence.

Kobiety pojawiały się nie wiadomo skąd, robiąc dużo hałasu w nadziei, że zostaną zauważone. Cooper Turner i Martin Swanson w tym samym miejscu i czasie to pokusa nie do odrzucenia. Mężczyźni uważnie przyglądali się Venus Marii.

Podobnie kobiety. Dzięki Martinowi i Cooperowi znajdowała się w centrum uwagi.

— Nie czujesz się, jakby ktoś chciał cię przelecieć? drażniła Venus Coopera z figlarnym błyskiem w oku.

— W dzisiejszych czasach dać się przelecieć to niebezpieczna sprawa — odpowiedział zupełnie poważnie. — Trzeba znać przynajmniej siedem ostatnich lat seksualnego życia partnera. To zabiera sporo czasu i energii. Nie tak jak dawniej. Jestem zbyt zmęczony.

Martin spojrzał zaskoczony.

— Nigdy nie myślałem, że usłyszę coś takiego od ciebie. Venus Maria potrząsnęła platynowymi lokami.

— On zawsze tak mówi. Nie zwracaj uwagi. Cooper roześmiał się.

— Oszczędzam się.

— Dla kogo? — zapytała ciekawie.

— Dam ci znać, kiedy ją spotkam.

Spojrzał jej w oczy. Odwróciła wzrok. Później wsiedli do samolotu Martina i wrócili do Los Angeles.

— Chcesz zostać u mnie? — zapytała Martina.

— Bardzo chcę u ciebie zostać — usłyszała. — Nie przyleciałem tu dla świeżego powietrza. — Teraz tylko my dwoje - obiecała.

— Żadnych numerów?

Wydawało jej się, czy był nieco zawiedziony?

— Nie, Martin. Tylko my.

W limuzynie pożegnali się z Cooperem.

— Zadzwoń do ciebie jutro — powiedziała.

Cooper natychmiast wczuł się w rolę najlepszego przyjaciela.

— Do jutra — powiedział.

Dobranoc — pocałowała go w policzek. Potem została sama z Martinem. Dennis Walla oglądał ostatnie wydanie „Truth and Fact”,*. Właśnie w tej chwili rozwożono je po całym kraju. Strona tytułowa była najmocniejsza ze wszystkich dotychczasowych. Bładły przy niej tytuły w „Enquirer” czy „Star”. Przed wszystkim uwagę zwracały czerwone nagłówki: „Martin Swanson — bilioner kochankiem! Wenus Maria i Cooper Turner. Spadkobierczyni i żona.” Napisy otaczały fotografie. Na środku zdjęcie Venus Marii i Martina Swansona. Po lewo ujęcie przedstawiające Venus wchodzącą do Spago z Cooperem Turnerem. Poniżej jeszcze jedna fotografia Venus i Coopera. Na dwóch mniejszych zdjęciach byli Deena Swanson i Paul Webster w Central Parku, oraz Paul idący ulicą obok Brigitte Stanislopoulos.

Dennis był zachwycony. Nie spodziewał się, że to okaże się tak ważną historią. Na początku słuchał wynurzeń Emilia o Venus Marii. Potem zdecydował tę część zostawić na wydanie w następnym tygodniu. Ten dzień poświęci powikłaniom sercowym głównych bohaterów. Wspaniała okładka!

Bert Slocombe naprawdę złapał pana Boga za nogi, kiedy zauważył Deenę z młodym człowiekiem. Ucieszył Dennisa jeszcze bardziej, kiedy sfotografował ulubienca Deeny z Brigitte Stanislopoulos, spadkobierczynią morskiej fortuny. Co za para! Pozostałe napisy głosiły: „Wenus Maria kochanką bilionera. Załamana żona Deena spotyka się z młodzikami. Czy Cooper wie, że jest oszukiwany?”

Dennis Walla rzucił gazetę na stolik. Był bardzo zadowolony. Wszyscy wydawcy w mieście będą się do niego dobijać.

Dennis Walla stanie się najbardziej wziętym dziennikarzem świata.

Bez atlasowej pościeli i bez dwóch skośnookich pańienek, które by go podniecały, seks z Martinem wydawał się jakby prozaiczny. Za bardzo się spieszył.

Ku zmartwieniu Venus Marii, o grze wstępnej zapomniał zupełnie, oferował jej tylko systematyczne pukanie. Seks na czas. Przez dwadzieścia pięć sekund dotykać biustu, przenieść ręce niżej, rozsunąć nogi i do roboty.

Venus Maria była zawiedziona. W taki sposób nie lubiła się kochać. Siły witalne też go opuściły. Po kilku minutach wszystko się skończyło.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała zdenerwowana; nie odczuła żadnej satysfakcji.

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że coś jest nie tak.

— Nie jesteś zadowolona? — zapytał. Skrzywiła się.

— Nie, nie jestem zbyt zadowolona. Było tak szybko Martin nie przejął się za bardzo.

— A czego się spodziewałaś? — ziewnął. — Mam wrażenie, że siedziałem w samolocie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Nie jestem supermanem. „Powtórz to!” — pomyślała gorzko.

Venus Mana nienawidziła kiepskiego seksu. Czowała się wtedy brudna i wykorzystana. Seks powinien być długi, rozluźniający i satysfakcjonujący. Kiepski seks przypominał jej zachowanie braci przy dziewczynach z sąsiedztwa.

Przychodziły później do starego domu na Brooklynie i narzekały na to, jak je traktowano. To oczywiste, że dla jej braci kobiety były stworzone do gotowania, sprzątanía, pieprzenia i milczenia. Czarujące potwory.

Obserwując ich Venus Maria postanowiła stać się silną kobietą, zdolną do wszystkiego. I udało się jej. Naprawdę się udało. Teraz, kiedy została symbolem seksu, jej bracia musieli dostawać białej gorączki.

Wyskoczyła z łóżka i poszła do łazienki. Trzasnęła drzwiami. Cholerny Martin. Czy spodziewał się jedwabiów i dziwek za każdym razem, kiedy mieli to robić?

Pomyślała, że Cooper nie potrzebuje sztucznych podnieć. Na pewno był mistrzem w tym sporcie. Ale miał czas na zdobycie doświadczenia, prawda? Pan Casanova, Don Juan Hollywood. Nie miała zamiaru iść z nim do łóżka. O, nie! Nie chciała być do nich porównywana. Przecież miał najpiękniejsze kobiety świata. Kobiety Coopera Turnera! Venus Maria nie miała zamiaru dołączyć do tej galerii.

Kiedy wróciła do sypialni, Martin już spał. Leżał na boku i głośno chrapał.

Może była niesprawiedliwa. Miał za sobą długą podróż i musiał być wykończony.

Wsunęła się na miejsce obok niego i zamknęła oczy. Jednak dopiero po czterdziestu pięciu minutach udało jej się zasnąć.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

Lucky poleciała do Los Angeles z Boogiem. Lennie nie zadzwonił, ona zaś była zbyt dumna, żeby zatelefonować pierwsza. Jeśli w taki sposób chciał wszystko skończyć — niech tak będzie.

Spójrz prawdzie w oczy — powiedziała sobie. Kupiła to studio dla niego, ale wcale go to nie obchodziło. Odczuł to jako cios dla jego dumy czy coś w tym stylu.

Dlaczego, do cholery, nie mógł się po prostu cieszyć?

Kiedy wróciła do mieszkania w Nowym Jorku, zadzwoniła do Gina i powiedziała mu o reakcji Lenniego.

— Próbowałem cię ostrzec, córeczko - westchnął. — Wydawało mi się, że właśnie w taki sposób to przyjmie.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo to normalna męska reakcja. Możesz kupić mu sweter, krawat, ale studio...
Jezu, co mam ci powiedzieć?

— Jego podejście jest bardzo staroświeckie. Nie zamierzam tego tolerować —
uparła się. — Bardzo jestem podniecona z powodu Panther. On też powinien być.

— Co zamierzasz zrobić, dziecino?

— Zostawię Lenniego w Nowym Jorku, aż przejdą mu dąsy.

— Wspaniałe rozwiązanie.

— A co innego mam zrobić?

— Może spróbuj to odkręcić? — zaproponował.

— Za późno. Teraz jego ruch.

Prawda była taka, że czuła się zraniona i sfrustrowana zachowaniem Lenniego. On przede wszystkim powinien ją rozumieć. Nigdy nie udawała doskonałej żony, gotowej siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Od początku wiedział, że jest kobietą, która walczy. Dlatego się w niej zakochał.

Teraz przyjął postawę: „Ty — kobieta, ja — mężczyzna”. To tak jakby mówił: „Zajdź w ciążę, albo między nami koniec”. Mieli Bobbiego i Brigitte. Czy to na razie nie wystarczy? Do diabła z Lenniem Goldenem. Miała przed sobą całe życie. Prosto z lotniska Boogie zawiózł ją do domu w Malibu. Miko powitał ją uprzejmym ukłonem.

Dobrze, że pani wróciła, madame.

Dobrze, że wróciła. Czuła się silna. Niezwyciężona. Gotowa zdobyć wszystko. W niedzielę wieczorem przyjechał Morton Sharkey i siedzieli nad sprawą studia. Miała tyle planów: musi zatrudnić nowych ludzi, podjąć wiele decyzji, kto ma zostać, a kogo się pozbyć.

Później, kiedy Morton wyszedł, poszła na molo i patrzyła na morze. Wszystko będzie dobrze, Santangelo, obiecała sobie wdychając ostre, nocne powietrze. Całe życie musiała radzić sobie sama, udowadniać, że potrafi. Studio Panther niczym się nie różniło. Pokaże wszystkim. Jeśli Lennie nie chce do niej dołączyć, zrobi to sama. Lucky Santangelo zawsze sobie radzi. Nikt i nic jej nie powstrzyma. Abe Panther postanowił, że powinni przyjechać do studia razem, więc w poniedziałek rano Lucky stawiała się w jego domu w Miller Drive razem z Mortonem Sharkeyem.

Abe powitał ją szerokim uśmiechem.

— Dzień dobry, mała. Jesteśmy gotowi do boju?

— Ja zawsze jestem gotowa — odpowiedziała, potwierdzając jego przypuszczenia. Wyglądała niezwykle pięknie z tą masą błyszczących włosów, oliwkową skórą i z ciemnymi, dramatycznymi oczami.

Założyła kremowy, skórzany kostium od Claude'a Montany, buty na bardzo wysokich obcasach, diamentowe kolczyki i duży pierścionek z diamentem. Uosobienie kobiety interesu, z klasą i pełnej seksu.

Jakże różniła się od tej małej flądry Luce! I o to jej chodziło.

Abe wydawał się w dobrym humorze, podobnie Inga. Obiecał, że zabierze ją na spotkanie, więc ubrała się odpowiednio.

Lucky zastanawiała się, co stary chciał zrobić z tyloma pieniędzmi. Pewnie będzie na nich siedział, dopóki nie spadnie.

— Spotykamy się w biurze Mickeya? — zapytała.

— Nie, w sali konferencyjnej — zdecydował Abe. — Chcę tam być, zanim zjawią się inni.

— Mickey zwykle przychodzi wcześniej — przypomniała Lucky.

— Może nie dzisiaj — odpowiedział Abe ze złowieszczym uśmiechem. — Masz mała, przeczytaj to sobie.

Podał jej egzemplarz „Los Angeles Times”. Na dole pierwszej strony zdjęcie Mickeya, wyprowadzanego z policyjnej suki. Podpis mówił: „Dyrektor studia aresztowany w hollywoodzkim domu uciech”.

— Mój Boże! — krzyknęła. Dziś oberwie ze wszystkich stron. Myślisz, że się pokaże?

— Oczywiście — Abe nie miał wątpliwości.

Ruszyli konwojem: Lucky i Abe w pierwszym samochodzie, Inga jechała za nimi z Mortonem Sharkeyem i prawnikiem Abe'a. Lucky czuła, jak podniecenie Abe'a wzrasta z każdą chwilą. Kiedy zbliżali się do bramy studia, wszystko w nim kipiało.

— To jakby powrót do domu, mała — powiedział zacierając ręce. — Nie rozumiem, dlaczego opuściłem to miejsce.

— A dlaczego to zrobiłeś? — zapytała ciekawie. Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wchodziliśmy w nowe czasy. Nie podobało mi się to, co działo się w filmie. Publiczność chciała oglądać rzeczy, których nie chciałem pokazywać.

Potrafiła to zrozumieć. Abe pochodził z innej epoki. Z uprzejmiejszych, delikatniejszych czasów.

— Jak się czujesz wracając tu? Kręcił głową z zadowolenia.

— Cholernie dobrze!

W sali konferencyjnej nerwowe sekretarki biegały z kąta w kąt.

— Dzień dobry, panie Panther.

— Witamy, panie Panther.

— Czy coś panu podać, panie Panther?

Abe zasiadł na honorowym miejscu i wskazał Lucky miejsce po swojej prawej stronie.

Usiadła. Mimo, że studio oficjalnie należało do niej, nie chciała psuć mu lej chwili.

Dokładnie o dziesiątej wszedł Mickey Stoll. Za nim Abigaile, Primrose i Ben. Abe pomachał im.

— Siadajcie wszyscy. Czujcie się jak w domu.

Mickey rozejrzał się po pokoju. Zauważył Lucky, ale nie poznał jej.

— Dziadku, wyglądasz świetnie — powiedziała Primrose i pospieszyła go pocałować.

— Dlaczego nigdy nie napiszesz ani nie zadzwonisz? — zapytał Abe, zgrzytając sztuczną szczęką.

Primrose westchnęła, jakby nie miał prawa zadawać takiego pytania.

— Wszyscy jesteśmy tacy zajęci, dziadku. Masz pozdrowienia od dzieci.

— Siadajcie — ostro rozkazał Mickey.

Nie chciał, żeby Primrose podlizywała się staremu. Kiedy zajęli miejsca, Abe od razu przeszedł do sprawy.

— Nie było mnie tu dziesięć lat — powiedział. — I pozwoliłem wam robić, co wam się żywnie podoba. Teraz zmieniłem zdanie. Sprzedałem studio.

Zaległa martwa cisza. Cztery zszokowane twarze. Mickey pierwszy otrzeźwiał.

— Co zrobiłeś? — spytał z niedowierzaniem.

— Sprzedałem studio — powtórzył Abe, chichocząc złośliwie. — Jest moje, wolno mi, nie?

— Dziadku, nie możesz tego zrobić bez porozumienia z nami — zaprotestowała Abigaile.

Rumieniec oblał jej twarz.

Oczywiście, że nie — zgodziła się Primrose.

Dziewczęta, mogę zrobić to, co mi się podoba. Jestem już dość stary i brzydki.

Mówisz, że sprzedałeś studio, tak? — powiedział ostro Mickey. Właśnie zażartował Abe. Ten człowiek rozumie po angielsku. Włączył się Ben.

— Komu je sprzedałeś?

— Panie i panowie Abe cedził słowa. Chcę, żebyście poznali nową właścicielkę studia Panther odwróci! się do Lucky. — Przedstawiam wam Lucky Santangelo. Znowu nastąpiła długa cisza. I znów Mickey przemówił pierwszy.

— Co to ma być? Dowcip?

— Nie możesz tego zrobić, dziadku — pisnęła Abigaile. Morton Sharkey wstał.

— Pani Santangelo przejmie studio od dzisiaj — poinformował. — W przyszłości proszę zwracać się do niej.

— Jeśli myślisz, że zostanę, żeby kierowała mną jakaś głupia dupa, mylisz się wybuchnął Mickey. Wynoszę się stąd.

„To dobrze” — pomyślała Lucky.

— Czekać chwilę — przerwał Ben.

Wiedział, kim jest Lucky Santangelo. Doskonale wiedział, jaką ma reputację.

Przejęła morskie imperium, kiedy zmarł Dimitri Stanislopoulos i dziś, pod jej

zarządem, przedsiębiorstwo było w lepszym stanie niż kiedykolwiek przedtem. Lucky Santangelo wiedziała, co robi.

— Musimy przedyskutować tę niespodziewaną zmianę.

— Kto ma pieniądze? — zapytała wściekła Abigaile, tracąc kontrolę nad sobą. — To nasze pieniądze.

— Dziadku — zaczęła Primrose, głos rozsądku. — Musimy usiąść i porozmawiać prywatnie. Nie przy tych ludziach.

— Czuję się, jakbym był na własnym pogrzebie — zaśmiał się Abe, delektując się każdą minutą. — Co? Wydaje się wam, że już nie żyję? Z moimi pieniędzmi mogę zrobić, co mi się podoba. To nie wasze pieniądze. To moje pieniądze.

W końcu przemówiła Lucky.

— Panowie, dziś w południe będzie spotkanie wszystkich szefów działów. W tej sali.

— Co ty wiesz o robieniu filmów? — zapytał nieuprzejmie Mickey, odwracając się do niej.

— Powiedzmy, że tyle samo co ty — odpowiedziała chłodno. Rozpoznał coś w jej głosie. Czy już kiedyś się spotkali? Lucky Santangelo, Lucky Santangelo... Chryste! Czy to nie ta baba z ojcem gangsterem? Czy to nie żona Lenniego Goldeny?

Oczywiście! Teraz wszystko jest jasne. Jej mąż obraził się na studio, więc ta krowa mu je kupiła, żeby był zadowolony. Skurwysyn!

Nie mógł patrzeć na Abigaile. Jego droga żona nie rozmawiała z nim ze względu na to aresztowanie, które pokazali na pierwszej stronie „Timesa”. Kiedy Abigaile to zobaczyła, wpadła w histerię.

— Wynoś się z tego domu — krzyczała. — Precz z mojego życia! Obedrę cię z każdego grosza, jaki masz. Jak możesz tak ośmieszać mnie i Tabithę? To największe upokorzenie, jakie przeżyłam.

— To pomyłka — tłumaczył mętnie. — Byłem tam z reżyserem. Facet robi nowy film. Powiedziałem mu, że scena, którą chce nagrać, nie wyjdzie. Zabrał mnie tam, żeby mi pokazać, że się uda. To interesy, Abby.

— Mickeyu Stolli, okłamałeś mnie po raz ostatni — krzyczała Abigaile mrużąc oczy. — Spotkamy się z moim dziadkiem i będziemy zachowywać się jak ludzie. A potem spakujesz swoje rzeczy i wyniesiesz się z mojego domu. Koniec z nami.

Zastanawiał się, co myślała teraz. Abigaile nie będzie go dalej ignorowała po tak szokujących wieściach. Rzucił jej nonszalanckie spojrzenie. Była załamana.

Spojrzał na Bena i Primrose. Ben miał pianę na ustach a Primrose wyglądała, jakby miała się rozplakać.

Abe cieszył się każdą chwilą zamieszania, jakie spowodował. Przebiegły stary bubek.

Mickey wstał. Nie musiał tego oglądać. On doprowadził Panther do dzisiejszej pozycji - mógł dostać pracę wszędzie.

- Rezygnuję — powiedział ostro. Znajdź sobie innego konia.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

Venus Maria spała nago. Kiedy była małą dziewczynką, przeczytała artykuł o Marylm Monroe. „Co pani nosi w łóżku, pani Monroe? Chanel numer pięć”. Venus Maria nie miała na sobie nic poza ulubionymi perfumami, Poison, i delikatnym tatuażem przedstawiającym dwa białe gołąbki na wewnętrznej stronie lewego uda. Pamiątka dwudniowej wizyty w Bangkoku.

Obudziła się wcześnie, przeciągnęła się ospale i wyciągnęła rękę do Martina. Nie było go. Wyskoczyła z łóżka i sprawdziła w łazience. Żadnej kartki. Nic.

Na co on sobie pozwalał? Myślał, że ma do czynienia z jakąś pierwszą lepszą panią, którą może odwiedzić, kiedy jest w mieście, przelecieć i zostawić? O, nie. Venus Maria zasługiwała na coś lepszego. Cholera! Martin Swanson dostanie nauczkę.

Przemyślała wszystko pod zimnym prysznicem. Martin Swanson... Martin Swanson... Skąd ta obsesja? Co się z nią działo, na miłość boską? W końcu to tylko kolejny facet.

Po kąpieli zawinęła się we frotowy szlafrok i energicznie potrząsnęła wilgotnymi włosami. Dziś miała próbę nagrania teledysku. Uwielbiała dni, kiedy nic miała nic więcej do zrobienia jak tylko jedną próbę. Nie musiała wtedy zawracać sobie głowy makijażem ani przyjmować pozy Venus Marii. Mogła być sobą, związać włosy w koński ogon, ubrać się w dres i nie denerwować się.

Ron kazał jej ciężko pracować, ale umiał być przy tym zabawny. Już dawno zdecydowała, że w głębi serca będzie jak Cyganka. Praca jest dla niej wszystkim, uznanie to dodatkowa nagroda. Postanowiła, że Martin Swanson nie zepsuje jej dnia. Ma go gdzieś.

Na dole Hanna, jej gosposia, podała jej jak zwykle szklankę świeżego soku pomarańczowego i półmisek pełen plasterków bananów, pomarańczy, jabłek i melonów posypanych otrębami.

-- Dzień dobry — powiedziała Venus, czuła się zaskakująco dobrze mimo kiepskiego seksu i ucieczki Martina. — Jak minął ci weekend?

Hanna nie powiedziała jej, że dwa dni wolnego spędziła na różnych domowych pracach w swoim dwupokojowym mieszkanku w centrum miasta. Miała czworo dzieci i męża, życie nie było proste.

Dobrze, panno Venus — odpowiedziała zmywając naczynia.

Po soku i owocach Venus Maria zabrała się za dwa kawałki tostów posmarowane grubo angielską marmoladą.

Właśnie jadła drugi kawałek, kiedy przyjechał Ron. Uśmiechnęła się, zadowolona z wizyty.

— Co tu robisz? Czy nie mieliśmy spotkać się za godzinę na próbie? Przyniósł gazetę, którą rozłożył na stole.

— Myślałem, że powinnaś to usłyszeć ode mnie — powiedział dramatycznie. Ron zawsze lubił przesadę.

— Co mam usłyszeć? — zapytała wesoło. Podniósł głos.

— To znaczy, że nikt ci nie powiedział? Nie widziałaś tego?

— O czym mówisz?

Jak zwykle dodawał dużą oprawę do małego dania.

— Pamiętasz, że ostrzegałem cię przez Emiliem, kiedy go wyrzuciłaś. Miała przykre wrażenie, że nie spodoba się jej to, co usłyszysz.

— I co? — spytała powoli.

Ron wziął jednego tosta i ugryzł kawałek.

— Nigdy mu nie ulałem.

— Aha — powiedziała. Myślisz, że ja mu ufałam? W sobotę włamał się do mnie do domu.

— Tak? Ciekawe, czego szukał? Spójrz na to — podał jej egzemplarz „Truth and Fact”.

Pomachał jej gazetą przed nosem.

Patrzyła przerażona. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie jej i Martina. Jej zdjęcie, to na którym siedzą razem na kanapie, Cooper ich fotografował. --- Nie! — zawołała.

— Tak! — powiedział Ron. — Na pewno wpadł, żeby ukraść to zdjęcie, (idzie je trzymałaś?

Podskoczyła.

— W sejfie. Westchnął.

— Chodźmy sprawdzić.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobił — powiedziała wściekła. — Płacę za jego mieszkanie, pozwoliłam mu siedzieć tu miesiącami! Ron, o Boże! Patrz: „W przyszłym miesiącu brat Venus Marii opowie wszystko!” Co to znaczy „wszystko”, do diabła?

— Kiedy jest się sławnym, nie można się nawet spokojnie wysrać — trafnie zauważył Ron.

Venus poszła na górę, Ron podążył za nią. Podeszła do sejfu, otworzyła i zaczęła szukać zdjęcia. Nie znalazła.

— Ukradł je! — wrzasnęła. — Ten przebrzydły, obmierzły gówniarz.

— Nie powstrzymuj się — zachęcał ją Ron.

- Boże — lamentowała. — Co piszą w tej historyjce? Martin będzie miał sporo kłopotów. Jezu!

— Możę to me takie straszne — powiedział Ron, próbując ją uspokoić — Irzynajmniej Deena dowie się o twoim istnieniu. Nie będziesz musiała udawać, że mc się me dzieje, kiedy będziesz z Martinem.

Venus Maria wyrwała mu z ręki pismo i zaczęła czytać.

„Telefony i ciche wizyty bilionera Martina Swansona u wspaniałej supergwiazdy Venus Marii popychają jego żonę Deenę w ramiona młodego faula Webstera, syna najlepszej przyjaciółki Deeny, znanej projektantki wnętrz, Effie Webster. Seksbomba Venus Maria może wiele nauczyć bilionera Martina Swansona przynajmniej w dziedzinie zdobywania szczytów. Załamana Deena zaczęła spotykać się z Paulem, kiedy dowiedziała się o fascynacji jej męża — piosenkarce Venus Marii. To ostatni wysiłek, jaki podejmuje Deena w celu odzyskania męża. W tym czasie Martin Swanson zasypuje Venus Marię prezentami. Jak mówi ich bliski znajomy, Martin Swanson poznał Venus Marię na nowojorskim przyjęciu kilka miesięcy temu. Po drugim przypadkowym spotkaniu w Los Angeles, nie mogli się sobie oprzeć. Wszyscy bliscy przyjaciele Venus Marii powtarzali Swansonowi: „Lubi cię, podobasz się jej” Iydzien później, para spotkała się w położonym na uboczu Big Sur Według innego znajomego, Martin powiedział Venus, że nie jest szczęśliwy w małżeństwie. «Od samego początku — wyznaje ich przyjaciel — Venus Maria i Martin Swanson stanowili dobraną parę. Martin uważa ją za niezwykle zmysłową, podczas gdy Venus Maria podziwia jego władzę i bogactwo»” Venus wściekła odrzuciła gazetę.

— Skąd wzięli te wszystkie bzdury? — krzyknęła.

Zadzwoń do Emilia — zaproponował Ron. — To oczywiste, że on na tym zarobił. Przybrała srogą minę.

Jak ludzie mogą tak postępować? Gdyby powiedział mi, że tak bardzo potrzebuje pieniędzy, dałabym mu je. Czy on nie ma dumy?

— Emilio? Dumy? — zdziwił się Ron marszcząc brwi. Była wkurzona.

— Podaj mi telefon.

Ron podał jej aparat i wykręciła numer do Emilia. Zgłosiła się automatyczna sekretarka.

— Pieprz się! — wrzasnęła do słuchawki i odłożyła ją z hukiem

— Dalej, to ci ulży — zauważył Ron. Venus znów wzięła gazetę.

— Spójrz na ten kawałek. Cooper będzie zachwycony. Odczytała głośno urywek artykułu:

— „Kiedy Venus Maria bawi się w domu z Martinem Swansonem Cooper Turner uważa się za jej jedyne kochanka”. Możesz w to uwierzyć” Zadzwoń do adwokata.

— Co on może poradzić?

— Zaskarży ich.

— Jakim sposobem? Większość z tego to prawda. O tym nie pomyślała.

— Lepiej ostrzegę Martina.

— Gdzie on jest?

— Wyszedł wcześniej. Ma tu jakiś interes do załatwienia. Przejmuje kontrolę nad studiem.

— Tak po prostu? Bogaci są inni od nas.

— Ron, zrób coś dla mnie. Zadzwoń do jego biura w Nowym Jorku i dowiedz się, gdzie go mogę znaleźć.

— Jak myślisz, co powie? Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie jest przyzwyczajony do takiego rozgłosu. Ja przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Tylko w tym roku byłam lesbijką i kobietą o trzech piersiach. Zawsze ktoś opublikuje takie gówno.

— Nie oszukuj się, moja droga — powiedział łagodnie Ron. — Martin powinien być zachwycony.

Martin Swanson siedział na zebraniu zarządu, kiedy weszła sekretarka i powiedziała mu na ucho:

— Panie Swanson, pana asystentka z Nowego Jorku chce pilnie z panem rozmawiać.

Martin nie wiedział, jaki powód może być dość ważny, aby przerywać mu spotkanie.

— Przepraszam, panowie — powiedział wstając. Wyszedł z sali, za nim sekretarka.

— Przepraszam, że panu przeszkodziłam, ale pana asystentka bardzo nalegała, musi z panem rozmawiać natychmiast.

— Nie przejmuj się — machnął ręką i podniósł słuchawkę. — O co chodzi, Gertrudo? — spytał szorstko.

— Panie Swanson, Venus Maria chce z panem rozmawiać. Mówi, że to bardzo ważne i że koniecznie musi rozmawiać natychmiast.

— Dobrze Gertrudo.

— Panie Swanson?

— Tak? Co jeszcze?

— Chyba wiem, o co może chodzić.

— Powiesz mi? Czy chcesz utrzymać to w tajemnicy? — powiedział ironicznie, tracił cierpliwość.

Gertruda przeszła do sedna sprawy.

— Jest takie pismo „Truth and Fact”. Coś podobnego do „Enquirer”.

— I co?

— Na okładce dzisiejszego wydania jest historyjka o panu i Venus Marii. Jestem przekonana, że to kłamstwa zawahała się, ale ciągnęła. — Panie Swanson, to nie jest przyjemna historia. Pani Swanson nie będzie zadowolona.

Martin odwrócił się do sekretarki.

Czy na dole jest kiosk z gazetami? - Tak — skinęła głową. — Bądź dobrą dziewczyną, zbiegnij na dół i kup mi „Truth and Fact”.

— Proszę bardzo, panie Swanson.

Odłożył słuchawkę i natychmiast zadzwonił do Venus Marii.

— Widziałaś „Truth and Fact” — zapytał.

— Właśnie to przeczytałam — odpowiedziała.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć? Co tam mają? San Francisco? Czy Cooper jest na tym zdjęciu?

— Jest o wiele gorzej, Martin. Pamiętasz to zdjęcie, które kiedyś zrobił nam Cooper? Leżało u mnie w sejfie. Podejrzewam, że to mój brat je ukradł i sprzedał temu szmatławcowi.

— Twój brat?

— Emilio. Mieszkał kiedyś ze mną. To łajza.

— Więc mówisz, że wydrukowali nasze wspólne zdjęcie?

— Tak. Jest raczej intymne. Siedzimy objęci na kanapie.

— Nie zniszczyłaś go? Miała za złe jego ton.

— Oczywiście, że nie. Trzymałam je w sejfie. Wydawało mi się, że to bezpieczne miejsce.

— Chryste! — krzyknął wyobrażając sobie reakcję Deeny.

— Nie wkurzaj się na mnie, to nie moja wina.

— A czyja to wina? — zapytał chłodno.

— Nie wiem i prawdę mówiąc, nie interesuje mnie.

Trzasnęła słuchawką. Najwyższy czas, żeby Martin zaczął traktować ją z szacunkiem.

— Jakież kłopoty w krainie bogatych i sławnych? — zainteresował się Ron udając, że rozmowa wcale go nie bawiła.

— Chodźmy na próbę — powiedziała. — Skończyłam z tym egoistycznym dupkiem.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

Wiadomości rozchodziły się z prędkością światła. W końcu to Hollywood, stolica plotek, insynuacji i skandali. Już wszyscy mówili o aresztowaniu Mickeya Stolliego u Madame Loretty. Wspaniały kawałek na rozpoczęcie dnia. Wiadomość, że Lucky Santangelo kupiła studio Panther, mając pełne poparcie Abe'a Panthera, rozeszła się jeszcze, zanim wyszli z sali konferencyj-

nej. Krążyła od ucha do ucha, rozdzwoniły się telefony. Całe Hollywood huczało od tej nowiny.

W Panther wszyscy mówili o aresztowaniu Mickeya Stolliego. Ford Werne nie mógł tego zrozumieć. Podstawowa zasada, to nie dać się przyłapać z prostytutką. Sprawa Mickeya mogła zaszkodzić wielu ludziom. Ten poniedziałkowy rano stanowczo nie był zwyczajny.

Kiedy Arnie Blackwood i Frankie Lombardo skończyli śmiać się z nieszczęścia Mickeya, usłyszeli o zakupie studia przez Lucky Santangelo i o zebraniu rady, wyznaczonym na dwunastą. Natychmiast zadzwonili do Eddiego Kane'a.

Eddie podniósł słuchawkę.

— Słucham.

— Nie przychodzisz już do studia? — spytał Arnie. Eddie nie miał ochoty być teraz niespokojny.

— Tylko kiedy mi to odpowiada.

- Więc chyba nie wiesz, co się dzieje — powiedział Frankie w drugiej słuchawce.

— Macie mi coś do powiedzenia? - spytał niecierpliwie Eddie. Wiedział, że Arnie i Frankie nigdy by nie zadzwonili, żeby pogadać

o zdrowiu. Może mieli pretensję, że zużył za dużo koki na przyjęciu. Niech to, ma ich w dupie. Nie powinni urządzać przyjęć, jeśli ich na to nie stać.

— Tak — potwierdził Arnie, wolno cedząc słowa. — Jakaś bogata dupa z Nowego Jorku przyszła razem z Abe'em i kupiła to pieprzone studio.

— Co? — Eddie nie wiedział, czy się nie przesłyszał.

— Tak, stary Abe sprzedał studio za plecami Mickeya. Nie wiedziałeś?

— Myślisz, że siedziałbym tu, gdybym wiedział? spytał zdenerwowany Eddie. — Miałem ostatnio trochę problemów.

— Przywieź tu swoją ociężałą dupę — zażądał Frankie. — O dwunastej jest spotkanie wszystkich członków zarządu. Potrzebujemy tam naszego człowieka. Myśli kotłowały się w głowie Eddiego. Zastanawiał się, czy Mickey wiedział o tym wcześniej. Może dlatego był taki chłodny i nieprzystępny. Jezu! Tak, Arnie i Frankie mieli rację, powinien tam być. — Już jadę — powiedział.

Leslie kręciła się po kuchni. Wyglądała ślicznie. Do tej pory nie wiedział, co robiła w burdelu. Później musi to wyjaśnić.

- Muszę jechać do studia, kochanie — poinformował ją, jakby właśnie zaczynał się następny zwykły dzień.

Wyglądała na niemile zaskoczoną.

— Nie, Eddie. Myślałam że znajdziemy jakiegoś lekarza i pogadamy o kuracji odwykowej dla ciebie. Musisz tam jechać?

— Tak — powiedział Eddie z charakterystycznym tikiem. — Przykro mi z powodu tego lekarza. Pójdziemy w przyszłym tygodniu. Dobrze, kochanie?

Wcale nie dobrze, ale Leslie nie powiedziała ani słowa.

Lucky miała przewagę. Znała wszystkich graczy, podczas gdy oni nic o niej nie wiedzieli.

Punktualnie o dwunastej wszyscy wmaszerowali do sali konferencyjnej.

Abe wyszedł, za nim Inga, potem Abigailc, Primrose i Ben — oboje żalili się na swój los. Ona jeszcze o nich usłyszy.

Grupie członków zarządu przewodził Ford Werne, jak zwykle wyglądający jak model z pierwszej strony drogich magazynów, ubrany w nowy garnitur od Armaniego, na nosie miał okulary słoneczne za co najmniej pięćset dolarów. To atrakcyjny mężczyzna, jeśli komuś się ten typ podoba.

Zaraz za Fordem wszedł Zev Lorenzo, skierował się prosto do Lucky i wyciągnął do niej rękę.

— Witam na pokładzie — powiedział przyjaźnie.

Następny wszedł Grant Wendell młodszy, wiceprzewodniczący Worldwide Production. Zupełnie nie pasował do towarzystwa w szerokich spodniach i czapeczce baseballowej. Zamachał ręką pod jej adresem.

— Cześć.

Lucky zastanawiała się, czy Mickey wystąpi po raz ostatni, czy też wystarczy mu ta rezygnacja. Musi być w szoku. To dobrze. Mickey zasługiwał na mały szok.

Teddy T. Lauden szybko wszedł do sali. Chudy, pedantyczny człowiek, stale spoglądający na zegarek.

— Dzień dobry, pani Santangelo — powiedział. Był zwolennikiem bardziej formalnych stosunków.

Miło panią poznać. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem. Musiałem pójść na inne spotkanie. Niestety, nie miałem czasu go odwołać. Chyba pani rozumie, że to duże zaskoczenie dla nas wszystkich. Lucky skinęła głową.

Tak, rozumiem - powiedziała cicho. — Na pewno.

Może pani tak mówić - zgodził się Ford Werne, zdejmując okulary i natychmiast zakładając je z powrotem.

— Właśnie tak mówię, panie Werne.

Wyraźnie był zaskoczony, że go znała, przecież się nie przedstawił.

— Gdzie Mickey? — zapytała.

— Nie dołączy do nas — powiedział Morlon Sharkey siedzący za Lucky. Rozejrzała się i stwierdziła, że nie ma tylko Bucka Grahama i Eddiego Kane'a.

— Czy panowie Graham i Kane przyjadą? Grant Wendell wzruszył ramionami.

— Rozmawiałem rano z Eddiem. Jest w drodze. A Buck jest na innym spotkaniu, z którego usiłuje się wyrwać.

Lucky była opanowana i chłodna.

— Damy im jeszcze dziesięć minut, dobrze? - powiedziała uprzejmie.

— Doskonale — Ford znów założył drogie okulary i wstał. — Muszę zadzwonić.

Proszę mi wybaczyć.

— Co za zbieranina! — szepnęła Lucky do Mortona.

— Wszyscy chcą utrzymać się na stolikach — odpowiedział cicho. — Chyba że dostaną lepszą propozycję.

I — Wiem, co się dzieje w tym mieście — odrzekła. — Tak samo jest w każdym innym biznesie. Jeśli znajdziesz coś lepszego, oczywiście musisz to wziąć. Jeśli nie, trzymaj się tego, co masz. Takie są zasady.

— Nie wydaje mi się, żeby którykolwiek z nich był zadowolony z faktu pracowania dla kobiety.

— Chyba nie. Wiem, że w Hollywood kobiety raczej nie mają dużo do powiedzenia. Ford pewnie właśnie szuka innej pracy. Zgadza się?

Morton przyznał jej rację.

— Nie zdziwiłbym się.

Do sali wpadł Buck Graham, czerwony z pośpiechu. Buck zajmował się marketingiem. Umiał wszystko sprowadzić do wspólnego mianownika. Niezależnie od treści filmu, Buck reklamował go jak pornos. Dla niego Ameryka była jednym wielkim wzwodem.

Przy ostatnim filmie Susie Rush posłużył się fotomontażem: twarz Susie i ciało innej kobiety o bardzo bujnych kształtach. Aktorka wpadła we wściekłość, zagroziła, że poda studio do sądu, jeśli plakat natychmiast nie zostanie wycofany. Buck poddał się, ale bardzo niechętnie.

W końcu wpadł Eddie Kane, komitet był w komplecie.

Eddie wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Nieogolona twarz przemawiała na jego niekorzyść, oczy nabiegłe krwią i bardziej nieobecne niż zwykle.

— Gdzie Mickey? — zapytał na wstępie.

— Nie ma go tu — powiedział Buck kręcąc głową. Eddie odwrócił się do niego.

— Przyjdzie?

— Widziałeś porannego „Timesa”? — spytał Grant. — Gdybyś widział, wiedziałbyś, że nic może go tu być. — Co się stało?

— Złapali go w burdelu.

Zanim Eddie zdążył się dowiedzieć więcej, wrócił Ford i Lucky przeszła do interesów. — Panowie — zaczęła wstając — chyba wszyscy już słyszeliście.

Nazywam się Lucky Santangelo i jestem nową właścicielką studia Panther — przerwała i przeczekwała, aż ucichną szmery. — Jestem też nowa w przemyśle filmowym. Ale wiem, czego chcę. Chcę robić dobre filmy. Filmy, z których Panther będzie dumne. Chętnie dowiem się, co waszym zdaniem zostało zaniedbane w ciągu ostatnich lat — znów przerwała. Przynajmniej słuchali. Kiedy przejęła firmę Stanislopoulosa, miesiącami walczyła o uwagę facetów z zarządu.

— Proszę mi zaufać, Panther wypuszczał śmieci, ale te czasy się skończyły. Poprowadzę studio do wielkich osiągnięć — rozejrzała się po sali, oczy jej błyszczały.

— Panowie — powiedziała z mocą — możecie się o to założyć.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

Deena Swanson nie lubiła ćwiczyć. Nie należała do zwariowanych mieszkanek Kalifornii, którym wydawało się że godzina aerobiku i dwie godziny ćwiczeń Jane Fondy to coś ciekawego. Nie, Deena nienawidziła tych rzeczy. Jednak taka była moda, a nikt nigdy nie oskarżył Deeny, że nie nadażala za modą. Więc w końcu, jak wszystkie szykowne damy z Nowego Jorku, zatrudniła osobistego trenera, który przychodzi! do niej do domu. Miał na imię Sven i na szczęście nie mówił za dobrze po angielsku. Odpowiadało to jej, ponieważ nie zależało jej na rozmowie.

Sven umiał wykorzystać te piętnaście minut tortur. Trzy razy w tygodniu jej dzień zaczynał się spotkaniem z nim. Po jego wyjściu, zwykle zatapiała się w wannie na jakieś piętnaście minut, potem ubierała się i wychodziła do biura na godzinkę przed lunchem.

Lunch to najważniejsza część dnia Deeny. Ubierała się na lunch, dobierała biżuterię. Makijaż, paznokcie i fryzura zawsze musiały być w doskonałym stanie. Deena wiedziała, że zadbanie jest najlepszą bronią kobiety.

Większość przyjaciółek Deeny pracowało dla swoich mężów. To nowa moda w mieście. Wyrażały swoje opinie na temat stylu, materiałów, perfum, kosmetyków, w zamian za co dostawały dyrektorskie pensje. Wszystkie jednak znajdowały czas na lunch.

Deena należała do tej niewielkiej grupy nowojorskich kobiet, które nosiły ubrania od najlepszych krawców, miały prawdziwą biżuterię i futra, które zakładały, jeśli były pewne, że nie spadnie na nie puszka farby z rusztowania.

Tego dnia Deena umówiła się na lunch w Le Cirque. Zawsze w poniedziałki spotykała się tam z Effie.

Deena ubrała się w jasno zielony kostium od Adolfa, założyła buty Chanel i wzięła torebkę. Do tego dodała klipsy i naszyjnik Bulgari oraz wielki diamentowy pierścionek, подарowany jej na Gwiazdkę przez Martina.

Przed ich domem na Piątej Alei czekał samochód, aby zawieźć ją do biura Swansona, gdzie urzędowała. Budynek był nowoczesną, wysoką wieżą — perła dzisiejszej architektury.

Uwielbiała swoje biuro. Effie urządziła je w pastelowych kolorach, jak spokojną przystań z dala od domowego zgiełku.

Deena była dumna z faktu, że jej ubrania i kosmetyki dobrze się sprzedawały. Kiedy przejęła ten interes, otoczyła się najlepszymi specjalistami, jakich można znaleźć. Martin był jej doradcą. Ale to jej nazwisko widniało na produktach. Deena Swanson. Kupowano jej nazwisko.

Jedna z sekretarek na powitanie powiedziała jej, że Effie Webster zadzwoniła i odwołała lunch.

— Dlaczego? — spytała zawiedziona Deena. Sekretarka wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, pani Swanson.

— Połącz mnie z nią - zażądała Deena, zupełnie zbита z tropu Odkąd pamięta, zawsze chodziły z Effie na lunch w poniedziałek.

— Pani Webster nie ma w biurze — poinformowała ją sekretarka. — Spróbuj zadzwonić do domu — rozkazała Deena.

— Już to zrobiłam. Zgłasza się automat — powiedziała dziewczyna. Deena zmarszczyła czoło. Czyżby Effie była chora?

Usiadła przy pięknym, drewnianym biurku i przeliczyła doskonale zatem-perowane ołówki. Czekają na nią urzędowo wyglądające pismo. Na przeciwko stało oprawione w srebrną ramkę zdjęcie jej i Martina. W zasadzie Deena nie miała nic do roboty w biurze, wszystkim zajmowali się odpowiedni ludzie.

Zadzwoniła do Martina do Kalifornii. Nie zastała go. Potem zatelefonowała do przyjaciółki, rudowłosej projektantki bardzo drogich pasków i innej galanterii.

— Lunch, kochana? — spytała.

— Czy w poniedziałki nie spotykasz się z Effie? - odpowiedziała przyjaciółka.

— Effie jest chora — wyjaśniła Deena.

— Aha, czyli mam wystąpić w jej zastępstwie.

— Jeśli zechcesz. O pierwszej w Le Cirque?

— Czemu nie? — zgodziła się przyjaciółka.

Umówiły się. Deena odłożyła słuchawkę.

— Poślij pani Webster kwiaty — poprosiła sekretarkę. Za jakieś sto dolarów. I zadbaj, żeby to był ładny bukiet.

— Nie mogę się doczekać, aż się stąd wyrwę — szepnęła Nona. - Matka jest wściekła. Ostrzegalam Paula.

Brigette też nie była zachwycona. Od jakiegoś czasu przestała ubierać się w powyciągane dzinsy i dało to rezultat: z ukrytej kamery zrobiono zdjęcie jej i Paula. Nawet niezłe, jednak nad nim umieszczono fotografię Paula całującego panią Swanson. Obrzydliwe! Effie Websler bardzo się przejęła. Jej syn w kompromitującej sytuacji z jej najlepszą przyjaciółką! To nie do pomyślenia. Natychmiast wezwała do siebie Paula.

— Co to jest? — zapytała, rzucając w niego „Truth and Fact”.

A, to — powiedział od niechcenia, jakby to nie miało znaczenia. — Zaprosiłem Deenę na lunch, nic wielkiego.

— Nie wyglądacie, jakbyście jedli lunch — zauważyła rozsierdzona Effie. — Prawie na niej leżysz.

— 1 co? — spytał Paul. - Co w tym złego? To kobieta, a ja jestem mężczyzną.

— Jesteś dzieckiem — krzyknęła Effie. — Jak śmiesz zabierać na lunch moją przyjaciółkę?! Deena ma męża.

— Powiedziałem ci już, jedliśmy, nie pieprzyliśmy się — ostro odciął się Paul - 1 pozwól, że ci przypomnę, mam prawie dwadzieścia cztery lata. Nie jestem dzieckiem.

Effie nie przyjęła tego za dobrą monetę.

— Przystań prosić nas o pieniądze i wynoś się stąd — syknęła. — Jak możesz tak do mnie mówić!

Paul ociężale wyszedł z pokoju.

Nona złapała go przy drzwiach wyjściowych.

— Dokąd idziesz? — zapytała.

— Nie muszę znosić takiego gadania. Traktuje mnie, jakbym był nikim. Nawet tu nie mieszkam. Nie muszę się nikomu tłumaczyć.

— Przystań prosić ją o pieniądze i może da ci spokój — powiedziała Nona bardzo trafnie.

— Odczep się. Nie masz pojęcia, o co tu chodzi.

— Mam. Próbujesz przelecieć jej najlepszą przyjaciółkę. Nic dziwnego, że jest taka wkurzona.

— Mogę robić, co mi się podoba.

— Skoro tu jesteś, chcesz zobaczyć się z Brigitte?

— To dzieciak. Przystań ją na mnie napuszczać.

Brigitte dosłyszała te słowa. Coś przewróciło jej się w żołądku. Dlaczego w ogóle poznała tego głupiego brata Nony? Nona starała się załagodzić sytuację.

— Nie zwracaj na Paula uwagi — powiedziała od niechcienia, kiedy jej brat wyszedł.

— To bałwan. Jak wszyscy mężczyźni. To może być nasze nowe hasło: „Wszyscy mężczyźni to świny”. Mam rację?

Brigitte nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Masz rację.

— Wydostańmy się stąd — postanowiła Nona. — Zadzwoń do Lenniego i spytaj, czy możemy jutro polecieć do Malibu.

Deena siedziała przy biurku i zastanawiała się, co ma robić, kiedy sekretarka poinformowała ją, że dzwoni Adam Bobo Grant.

Deena lubiła rozmowy z Adamem Bobo Grantem. Był zabawny, wesoły, bardzo bogaty, a poza tym był głównym redaktorem plotkarskiej kroniki towarzyskiej w Nowym Jorku. Podniosła słuchawkę.

— Bobo, kochanie! Co mogę dla ciebie zrobić?

— Na początek mów do mnie Adam, to bardziej męskie, nie sądzisz?

— Ależ mój drogi — protestowała Deena — wszyscy mówią do ciebie Bobo.

— Nie w czasie pracy, Deena.

— Więc dzwonicz w interesach?

— Chcę, żebyś potwierdziła pewną wiadomość.

— Co mam potwierdzić, kochany?

— Tę historię.

— Jaką historię?

Bobo zamilkł na chwilę, ssąc srebrną skuwkę pióra od Cartiera.

— Widziałaś to, prawda? — zapytał w końcu.

Deena nie chciała wypaść na niedoinformowaną. Przeleciała w myślach wszystkie gazety, które widziała dziś rano. Nie pamiętała niczego ciekawego.

— Pomóż mi, Bobo... Adamie, a powiem ci, co chcesz.

Adam Bobo Grant doszedł szybko do wniosku, że Deena Swanson nie miała pojęcia, o czym mówił. Nie widziała „Truth and Fact”. Nikt nie odważył się jej tego pokazać.

Podjął szybką decyzję.

— Czy jesteś z kimś umówiona na lunch, Deena?

Lunch z Adamem Bobo Grantem to lepsza propozycja niż lunch z inną kobietą.

— Nie, właściwie nie — powiedziała Deena, odwołując w myślach poprzednie spotkanie.

— Spotkajmy się wcześniej — zaproponował. — Wyznacz jakieś miejsce. Może za pół godziny?

— Doskonale — zgodziła się. — Mam zatrzymać stolik w Le Cirque?

— Może wolisz Mortimera?

Zastanowiła się, gdzie woli być widziana z Bobo i doszła do wniosku, że Le Cirque jest lepszym miejscem.

— W poniedziałek? Raczej nie.

— A więc w Le Cirque.

Deena była bardzo zadowolona. Usłyszy najświeższe plotki. To, o czym nie mógł napisać, bo było zbyt skandaliczne lub wysokokowe. Prawdziwe brudy.

Zadzwoiła na sekretarkę.

— Odwołaj moje pierwsze spotkanie — powiedziała chłodno. — Zjem lunch z Adamem Bobo Grantem.

Kiedy Adam Bobo Grant odłożył słuchawkę po rozmowie z Deeną, zapytał jednego ze swoich ludzi:

— Zlokalizowałeś Martina Swansona?

— Jest w Los Angeles. W tej chwili siedzi na spotkaniu w studiu Orpheus. Chodzą plotki, że ma je przejąć.

— A Venus Maria? — spytał Bobo.

— Rozmawiałem z jej rzecznikiem. Jest na próbie *Delikatnego uwodzenia*.

Adam Bobo Grant skinął głową ze zrozumieniem.

— Zamów rozmowy z obojgiem. Zostaw moje nazwisko i numer domowy.

Powiedz, że proszę, żeby oddzwonili najszybciej, jak mogą. I uprzedź Macka, żeby zostawił dla mnie miejsce na pierwszej stronie. O ile znam się na ludziach, będziemy mieli wyłączność na sprawę Swanson — Venus Maria.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

Kiedy Lucky Santangelo przewodniczyła zebraniu rady nadzorczej studia Panther, Mickey Stoli! spotkał się z Carlosem Bonnattim w jego apartamencie w Century City.

Mickey z chęcią posłuchałby, co ta głupia cipa miała do powiedzenia Co Lucky Santangelo wiedziała o robieniu filmów? Kompletnie nic

Dzisiejsza wiadomość zupełnie go zaskoczyła. Spodziewał się, że Abe Panther wraca, aby oznajmić swój powrót do pracy. Ale nie. Przebiegły stary pryk sprzedał to cholerne studio!

A twarz Abigaile! Widok jej tak zaskoczonej wart jest nawet studia

Kredy wyszli ze spotkania, Mickey rzucił krótko:

-- Muszę iść na kolejne spotkanie.

— Mamy parę rzeczy do omówienia — protestował Ben, wciskając swój długi nos, gdzie nie potrzeba.

— To niemożliwe — odpowiedział Mickey z nieukrywaną satysfakcją

— I moja rezygnacja jest chyba przedwczesna — ciągnął Ben

— Ale podnosi mnie na duchu.

Abigaile spojrzała na niego ze zdziwieniem. Pewnie był niezadowolony że aresztowano go z dziwką, i teraz, w najważniejszym momencie ich życia odwracał się na pięcie.

Natychmiast musimy skonsultować to z prawnikami -- powiedziała poważnie, szukając poparcia u Bena. — Prawda, Ben?

Ben i Primrose zgodzali się. Mickey wzruszył ramionami.

— Przykro mi - powiedział, chociaż nie była to prawda. Abigaile ciągle gapiała się na niego. Ben wziął ją za rękę.

— Na pewno Mickey się z nami zgodzi, później - starał się ją pocieszyć. Głos Abigaile stał się bardzo, niemal chorobliwie, wysoki.

— Później to za późno krzyknęła. Mickeyu, dlaczego mi to robisz? Abigaile Stoli, królowa pokolenia „ja”. Mickey miał to gdzieś. Przez osiemnaście lat nie robi! nic innego, tylko zastanawiał się, co pomyśli Abby. Czas z tym skończyć.

Kiedy się ich pozbył, zatrzymał się w biurze. Nie było Olivii ani Luce. Gdzie ta głupia sekretarka? Chciał ją wylać, zanim zabierze się za cokolwiek innego.

Biuro było dziwnie opustoszałe. Podniósł słuchawkę, aby zadzwonić do Warner i powiedzieć jej, co o niej myśli. Potem znienić zdanie i położył słuchawkę. Załatwił już sprawę Warner. Obiecał sobie, że nigdy się z nią nie skontaktuje.

Już zadzwonił do prawnika, który zapewnił go, że znajdzie się sposób, aby nie musiał występować w sądzie.

Carlos Bonnatti zatelefonował do niego do domu i zażądał spotkania. Mickey raczej nie skakał, jak mu kazano, ale znał życie na tyle dobrze, że

wiedział, iż skoro Carlos Bonnatti dzwoni, należy się stawić. Eddie Kane naprawdę spieprzył. Teraz Mickey musi to naprawić. Jak zwykle.

Jadąc do Century City, doszedł do ciekawego wniosku. Może ten milion dolarów to problem studia Panther...

Lucky Santangelo może go odziedziczyć.

Spróbował dodzwonić się z samochodu do Eddiego. Leslie nieszczęśliwym głosem poinformowała go, że Eddiego nie ma. Przez chwilę Mickey miał szaloną ochotę zapytać, czy to nie ją widział u Madame Loretty, ale zastanowił się przez chwilę i zrezygnował.

Carlos Bonnatti powitał go lisim uśmiechem i galaretowatym uściskiem dłoni. Miał niski, przytłumiony głos. Niebezpieczny głos.

— Pan Stoll — zaczął. — Jak miło, że pan przyszedł. Chyba czas, żebyśmy porozmawiali. Nie wydaje mi się, że bym mógł dojść do porozumienia z pana współpracownikiem, panem Kane'em, więc dobrze, że możemy pogadać.

Mickey doszedł do wniosku, że oprawa Bonnattiego odpowiada jego legendzie. Apartament w złym guście, dwaj goryle kręcący się po holu. Gdzie nieodłączna blondyna?

— Ma pan rację, panie Bonnatti — - powiedział uprzejmie. — Jak mogę panu pomóc?

— Mam pewien problem — powiedział Carlos zacierając ręce. — Może pan o tym słyszał. Prowadzi pan duże studio, może więc pan nie słyszał.

— Na czym polega ten problem? — zapytał Mickey, chociaż doskonale wiedział, o co chodzi.

Brylantyna na włosach Carlosa błyszczała w świetle. Jego przylepiony do twarzy uśmiech wydawał się jakiś lisi.

— Cóż, umówiliśmy się na pewien interes. Żaden kontrakt, ale słowo to słowo — powiedział swoim niskim, niebezpiecznym głosem. — Współpracowałem z pana kolegę, Eddiem Kane'em. Nasz produkt wkładano w wasz produkt. Wysyłano to do Europy i przychodziły pieniądze. Przez jakiś cza wszystko szło gładko — przerwał. Mickey patrzył na niego. Carlos miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur, czarną jedwabną koszulę i biały krawat. Nowojorczyka można poznać i na sto mil. Zawsze przesadzą z ubraniem, kiedy są w Kalifornii.

— Więc — ciągnął Carlos — najpierw pieniądze płynęły bez przeszkód, a potem sumy, jakie otrzymywaliśmy, zaczęły się zmniejszać. Wiedziałem, że coś jest nie tak — podniósł ręce, jakby się poddawał. Ale co mam zrobić? Panther to poważna instytucja, zaufałem wam. — Chyba rozumiem — powiedział Mickey. Nie dostał pan wszystkich pieniędzy, których się pan spodziewał.

— Powiedzmy, że mam niedobór miliona dolców - potwierdził Carlos, kiwając do siebie głową. — Tak, i kto ma tę forszę? To jest pytanie. Poważne pytanie.

— Chce pan wiedzieć, w czyjej kieszeni zniknęła? — spytał Mickey.

— Nie będę wskazywał palcem — Carlos wygładził kołnierzyk jedwabnej koszuli.

— Ale nazwisko Eddiego Kanea jakoś przychodzi mi do głowy.

— A on nie płaci. Tak?

— Nie ma mowy, żeby taki łachudra jak Eddie oddał mi milion dolarów — krótka przerwa. — Więc, Mickey... chyba rozumiesz mój problem.

Mickey rozumiał aż za dobrze.

— Chciałbyś, żeby studio Panther pokryło te straty — powiedział to jak twierdzenie, nie jak pytanie.

— Właśnie. Jeśli widzisz możliwość, jak to zrobić, oszczędzisz panu Kane*owi wielu kłopotów. Możesz ściągać mu to z pensji przez najbliższe dwadzieścia albo trzydzieści lat.

— Da się zrobić — zgodził się Mickey.

Carlos był wyraźnie zaskoczony tą chęcią do współpracy.

— Jak to zorganizujemy? Słowo już mi nie wystarczy. Chciałbym dostać jakiś papier mówiący, że Panther jest winien mojej firmie milion dolarów. Możemy napisać, że za usługi. ,

Mickey skinął głową.

— Dobry pomysł. Proszę zadzwonić do prawników. Mogę to podpisać w imieniu studia. Ale mam jeden warunek — data musi być wcześniejsza. I muszę podpisać papiery dzisiaj.

Zgoda — powiedział Carlos. — Mój prawnik się tym zajmie. Żadnych pytań.

Uścisnęli sobie dłonie — Carlos Bonnatti i Mickey Stolli.

Proszę wrócić kolo drugiej, wszystko będzie przygotowane — poprosił Carlos.

Przerwał i spojrzał badawczo na Mickeya.

— Jest pan bardzo uprzejmym człowiekiem, panie Stolli. Bardzo rozsądnym człowiekiem. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował...

Mickey skromnie skinął głową.

— Dziękuję.

Kiedy Mickey wyszedł, Carlos przeszedł się po mieszkaniu analizując sytuację.

Czasami żałował, że nie było już jego ojca. Enzo Bonnatti zawsze wiedział, o co chodzi. Potrafił natychmiast ocenić zdarzenie i wyjaśnić wszystkie przyczyny.

Sanlino, brat Carlosa, to głupek. Interesowały go tylko dupy. Zajmował się tym, czym powinien — pornografią i narkotykami.

Carlos wiedział, że jest mądrzejszy od Santina. Cholera, każdy był mądrzejszy od Santina. Ale chętnie pogadałby z Enziem.

Mickey Stolli zgodził się zbyt łatwo, wcale nie protestował, nie walczył. Coś było nie tak, a Carlos nie wiedział co. Ale skoro dokumenty zostały podpisane, a on ma dostać pieniądze, nie bardzo się tym przejmował.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

Siedząc w prywatnym biurze w studiu Orpheus, Martin Swanson czytał o sobie jak o kimś obcym. Wzrokiem przebiegał po stronach taniego pisma. Nie mógł uwierzyć w niektóre rzeczy, jakie wydrukowano: „Bilioner Martin Swanson! Wspaniała supergwiazda Venus Maria! Piękna żona Deena!”

A wszystko jakoby z ust najlepszych przyjaciół i bliskich znajomych.

Martin od dawna umiał kontrolować prasę, więc ta bezczelność naprawdę go zaskoczyła. Miał się nad czym zastanawiać. Co powie Deena? Wścieknie się, kiedy zobaczy zdjęcie jego i Venus. Jak on to wyjaśni? Zdjęcia nie zrobiono na przyjęciu czy w restauracji. Najwyraźniej było zrobione na czyjejs kanapie. Na szczęście nie byli nago. Nie przyłapano ich w łóżku. Ale wystarczy spojrzeć na tę fotografię, żeby się zorientować, że ze sobą sypiają. Kiedy myślał o tych zdjęciach, przypomniał sobie o Deenie i synu Effie. Co Deena robiła w parku z Paulem Websterem? Martin nie uważał, żeby ten młodzik mógł być dla niego zagrożeniem, ale przez to Deena wyglądała głupio — jakby była zdesperowana.

Czytał dalej:

„Seksowna supergwiazda Venus Maria może niejednego nauczyć bilionera Swansona, jeśli chodzi o zdobywanie szczytów”.

Tak? Skąd to wiedzieli? I kto w ogóle był właścicielem tego taniego brukowca?

Zamówił rozmowę z sekretarką w Nowym Jorku i kazał jej się dowiedzieć.

— Czy pani Swanson dzwoniła? — zapytał.

— Wydaje mi się, że jest u siebie w biurze — odpowiedziała Gertruda.

— Czy ktoś jej to pokazał? Gertruda wydawała się skrepowana.

— Nie mam pojęcia, panie Swanson.

— Jeśli będzie chciała ze mną rozmawiać, powiedz, że mam bez przerwy spotkania i że nie możesz się ze mną skontaktować.

— Proszę bardzo.

Teraz, kiedy wszyscy wiedzieli o jego romansie z Venus Marią, musiał być bardzo ostrożny. Czy to warte? Czy chciał nadal się z nią widywać?

W tym tygodniu była bardzo denerwująca. Ciągnęła tego Coopera do San Francisco, potem narzekała na jego możliwości seksualne. Niech to! Raz robiła numer z dziwkami, kiedy indziej oczekiwała, że wykaże się niespotykanymi zdolnościami, podczas gdy on był zmęczony i miał masę spraw na głowie. Żona przynajmniej rozumie takie rzeczy.

Z drugiej strony, Venus Maria jest niezwykła. Wszyscy jej pragną. Cooper za nią lata, to widać. A on ją ma. Martin Swanson bilioner kochankiem. Bilioner ogierem! Nie mógł powstrzymać uśmiechu. W zasadzie to było śmieszne. Ale przestanie być śmieszne, kiedy będzie musiał tłumaczyć się z tego zdjęcia przed Deeną.

Zadzwoiła jedna z sekretarek.

Panie Swanson — pou icdziała — pan White pyta, kiedy wróci pan na spotkanie. Już idę — powiedział składając gazetę. Nie zamierza przejmować się jakimś drugorzędym brukowcem. Naśle na nich swoich prawników. Wykończy ich. Złamię ich tak, jak tylko Martin Swanson potrafi.

Wrócił do sali. Miał przejąć studio Orpheus. To o wiele ważniejsze zadanie. Na biurku Coopera Turnera leżały obok siebie „Los Angeles Times” z historią aresztowania Mickeya Stolliego i „Truth and Fact”.

Cooper najpierw przeczytał o Mickeyu. Zabawne. To musiała być bardzo śmieszna scena — aresztowanie Mickeya. Stolli z dziwką. Cooper znał Madame Lorette. Nie jako klient, ale kiedyś spotykał się z aktorką, która miała grać prostytutkę, sprawdzali jak to ma wyglądać. Ford Werne zaaranżował spotkanie, więc Cooper i jego pani spędzili wiele miłych wieczorów u Madame Loretty. Pili herbatę i słuchali jej opowieści.

Cooper zastanawiał się, jak Venus Maria zareaguje na „Truth and Fact”. Jedno jest pewne — jej romans z Martinem stanie się sprawą publiczną.

Może właśnie tego chciała. Martin będzie musiał podjąć decyzję.

Cooper bardzo sceptycznie podszedł do wiadomości o Deenie i młodym chłopaku. Nie spodoba się to Martinowi. To cios dla jego dumy.

Ale to nie jego zmartwienie. Zadzwoił do kwiaciarni i posłał Venus Marii dwa tuziny czerwonych róż. Tylko tyle mógł zrobić.

Zauważyła, że wszyscy na próbie czytali już tę głupią gazetę. Venus Maria widziała ich ukradkowe spojrzenia, słyszała gdzieś nerwowe chichoty.

Cóż, jeśli nie możesz tego zwalczyć, udawaj że cię to bawi. To jej nowa filozofia.

Energicznie poświęciła się torturom, jakie przygotował dla niej Ron.

Ken Laleczka przyszedł koło południa, wyszorowany i wypucowany, wysoki, o ujmującej twarzy. Ubrany był w koszulkę bez rękawów i obcisłe niebieskie dżinsy podkreślające duże genitalia — jego najatrakcyjniejszą część ciała. Chciała zapytać Rona: „Co ty w nim widzisz?” Ale kiedy przyjrzała się jego dżinsom, wiedziała doskonale, co w nim ciekawego.

— Może pójdziemy razem na lunch zaproponował Ron, dochodząc do wniosku, że jego najlepsza przyjaciółka i jego kochanek powinni się wreszcie zaprzyjaźnić. — Możesz chociaż spróbować być miłą dla Kena. W końcu to ja załatwiłem sprawę z Martinem.

Ron ledwie znał Martina. Ale zgodziła się, żeby mu sprawić przyjemność.

— Zarezerwowałem dla nas stolik w Ivim — Ron najwyraźniej bardzo się ucieszył. Venus Maria się skrzywiła.

— Czy to nie zbyt uczęszczane miejsce? Szczególnie dzisiaj...

— Dostaniemy stół w ostatniej sali. Wejdziemy i wyjdziemy, zanim ktokolwiek zorientuje się, że tam jesteś.

O wpół do pierwszej Ken Laleczka zawiózł ich swoim lśniącym mercedesem do restauracji. Venus Maria skryła twarz za dużymi okularami słonecznymi i wcisnęła się na tylne siedzenie.

— Pewnie śmierzę jak wielbłąd - zauważyła. — Ty także, Ron. — Ja się do was nie zaliczam — powiedział sztywno Ken.

Lunch okazał się bardzo nudny. Ron zmienił się w rozkochanego głupka. Ken był pewny siebie, wiedział wszystko najlepiej. Próbował powiedzieć jej wszystko.

Kiedy wyszli z restauracji, żałowała, że zgodziła się na ten wypad.

Kiedy wrócili do studia, zastali przed wejściem grupę podnieconych dziennikarzy. Zaczęli robić zdjęcia, jak tylko nadjechał samochód.

— Skąd oni się wzięli? — westchnęła Venus Maria, błyskawicznie wyskakując z auta.

- Dziś będziesz atrakcją pierwszych stron wszystkich gazet, kochana. Bardzo im na tobie zależy — wyjaśnił Ron, pchając się za nią, całkiem zadowolony z pozowania. Ken był zachwycony, że mógł zwrócić uwagę na siebie.

— Nie martw się, ochronię cię — powiedział, uśmiechając się do aparatów fotograficznych.

Wspaniały Ken Laleczka. Głupi Ken Laleczka.

— Chcesz coś skomentować, Venus?

— Co masz do powiedzenia o Martinie Swansonie?

— Czy to prawda?

— Kochasz go?

— Czy Martin zostawi żonę?

Nie zwracała uwagi na pytania reporterów. Skryta za okularami, precyzyjnie się do wejścia do studia.

I Rozdział sześćdziesiąty dziewięć

Lennie rozmyślał przez cały weekend. Rozmawiał z Jess i dowiedział się, że jest kretynem.

— Zawsze bierzesz stronę Lucky — narzekał. — To ja jestem twoim przyjacielem. Co się dzieje, do cholery?

— Słuchaj, Lennie. Ożeniłeś się z niezwykłą kobietą, przestań z nią walczyć.

Przestań walczyć, nieźle! Co Jess mogła wiedzieć? Jej nie ośmieszano przed całym światem.

Boże, biedny Lennie. Jest nieszczęśliwy, kupię mu studio. Ma to w dupie.
A jednak... już tęsknił do Lucky. Nawet wytężona praca nad scenariuszem nie dawała mu ukojenia.

Zadzwoił do Brigitte i spotkał się z nią na lunchu w Serendrpity.

— Wspaniale wyglądasz, mała — powiedział, całując ją w oba policzki. — Szkoła dobrze ci robi.

— Szkoła wcale mi dobrze nie robi — zaprotestowała. — Nienawidzę jej. Nie mogę się doczekać końca.

— Przecież masz przerwę — powiedział mierzwiąc jej włosy.

— Tylko na lato — westchnęła. — Muszę tam wrócić, tak?

— Jeśli chcesz, żeby coś z ciebie wyrosło.

— A potem uniwerek?

— Tak. . .

— Dlaczego, Lennie? Przecież nie potrzebuję mieć zawodu, ani nic takiego.

Przecież odziedziczę całą fortunę.

— Chcesz być taka, jak twoja matka? — spytał smutno. — Chcesz wyjść za mąż i puszczać forszę? Co to za życie? Powinnaś pomyśleć o przyszłości.

— Wiem — zgodziła się niechętnie.

Usiedli przy stoliku w kacie. Brigitte zamówiła bardzo długiego hot-doga i czekoladę na ciepło.

— Nie masz apetytu? — spytał z uśmiechem.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę, Lennie. Nie mogę się doczekać Malibu. Tak, cóż... — spojrzał w kartę. — Muszę ci coś powiedzieć.

Patrzyła na niego wyczekująco. Nic chciał jej zawieść.

Więc... nie wszystko układa się tak, jak sobie planowaliśmy.

— O co chodzi? - zapytała zmartwiona.

— Lucky i ja... mieliśmy trochę problemów i nie do końca je rozwiązaliśmy. Nie jestem pewien, czy spędzimy razem lato.

— O, nie wykrzyknęła Brigitte. Ty i Lucky tak do siebie pasujecie. Nie kłóćcie się, proszę. Proszę.

— Gdyby życie było takie proste wziął ją za rękę. — Słuchaj, obiecałem ci wakacje. Weź swoją przyjaciółkę i pojedziemy na południe Francji, albo do Hiszpanii, czy do Grecji — gdziekolwiek. Razem nam się uda.

— Ale ja tak chciałam być z tobą i z Lucky — powiedziała Brigitte smutno. — I z Bobbym. Naprawdę tęsknię do Bobby'ego. Nie widziałam go od wieków.

Lennie zignorował blondynkę przy sąsiednim stoliku, która postanowiła go poderwać. Sięgnął do kieszeni po papierosa.

— Cóż, życie jest ciężkie, prawda?

— Mogę zadzwonić do Lucky? spytała Brigitte, gapiąc się na obrus.

Zastanawiała się, dlaczego zawsze coś musiało się popsuć.

— Jeśli znajdzie dla ciebie czas — odpowiedział Lennie. — Jest zajęta, kupuje studio.

— Studio filmowe?

— Tak. Przeczytasz o tym w gazetach. Kupiła studio Panther — zaciągnął się. — Moja żona jest potentatem. Nie wystarczy jej prowadzenie największego przedsiębiorstwa okrętowego świata, teraz chce mieć Hollywood.

— Dlatego jesteś wściekły? — domyśliła się Brigitte.

— To długa historia. Jeśli chce to robić... Szkoda tylko, że mnie o tym nie uprzedziła. Jak sądzisz, gdzie była przez ostatnie sześć tygodni, kiedy myśleliśmy, że jest w Japonii?

— Gdzie?

— W Hollywood, udawała sekretarkę. Działała z ukrycia. Oczy Brigitte rozszerzyły się.

— Naprawdę? To fascynujące.

— Tak, jeśli nie ma się innych obowiązków. Ale Lucky to moja żona. Chciałbym widywać ją od czasu do czasu. Chciałbym, żeby była przy mnie — zgasił papierosa po dwóch pociągnięciach. — Cholera. Dlaczego cię tym zanudzam?

— Może jestem dobrym słuchaczem? Roześmiał się.

— Tak, jesteś. Zmieńmy temat. Co u ciebie słychać?

— Nic — powiedziała mgliście. — Właściwie miałam zamiar zapytać, czy możemy polecieć do Los Angeles jutro albo pojutrze. Matka Nony jest cholernie wściekła. Jest takie głupie pismo, i dali tam zdjęcie Nony brata, Paula z Deeną Swanson. To żona tego bilionera?

— Tak.

— W każdym razie sfotografowano Paula z nią, a Deena jest najlepszą przyjaciółką Effie — to matka Paula. Więc, jak Nona mówi, musimy się stamtąd wyrwać. Ale skoro ty nie jedziesz do Los Angeles, to my chyba też nie możemy.

Wyglądała tak smutno, że Lennie postanowił ją rozweselić.

— Powiem ci coś — zaczął. — Zjemy lunch, pogadamy, a potem pójdziemy do biura podróży i zaplanujemy wycieczkę. Jak ci się podoba? Ty, ja, i twoja koleżanka, jak jej na imię?

— Nona.

— Dobrze. Tak zrobimy.

— A Lucky i Bobby? Lennie potrząsnął głową.

- Innym razem, może w przyszłym życiu.

Rozdział siedemdziesiąty

Kiedy Deena wyszła z biura, czekało na nią stado fotoreporterów. Z reguły spotykała ich, kiedy szli z Martinem na jakąś galę. Mimo wszystko uśmiechnęła się i wsiadła do swojej limuzyny.

W Le Cirque właściciel, Sirio Maccioni, powitał ją jak zwykle wylewnie.

Zaprowadził ją do stolika, przy którym czekał Adam Bobo Grant.

— Kochana!

— Kochany!

Hollywoodzkie cmok-cmok w nowojorskiej wersji.

— Jak zwykle wyglądasz wspaniale — powiedział Bobo. — Bardzo ci do twarzy w zielonym.

Deena się uśmiechnęła.

— Dziękuję, mój drogi. Martin też tak uważa.

— Naprawdę? — spytał Bobo, machając przyjaźnie do ludzi przy sąsiednich stolikach. — A jak się miewa wielki człowiek?

— Dobrze — powiedziała Deena. — Niedługo będziemy mieli dla ciebie bardzo ciekawą historię.

Bobo się zdziwił.

— Wy? A co to takiego, kochana?

— Martin zabiłby mnie, gdyby wiedział, że ci powiedziałam. Musisz mi obiecać, że nie wydrukujesz niczego, dopóki nie dam ci pozwolenia.

— Do mnie możesz mieć zaufanie — powiedział Bobo swoim szczerym głosem.

— Martin przejmuje studio Orpheus w Hollywood — oznajmiła Deena. — Jak ci się to podoba?

„Żeby mógł obsadzać Venus Marię w filmach, pomyślał Bobo. Czy to powód ich romansu?”

— Bardzo interesujące — powiedział, wodząc wzrokiem po sali i obserwując gości.

— Niezłe, prawda? — uśmiechnęła się Deena, miała takie ładne zęby. — Będziemy musieli więcej czasu spędzać w Los Angeles, ale myślę, że możemy się przy tym dobrze bawić. Nie sądzisz?

Bobo skinął głową. Deena to królowa niedomówień.

— Doskonale bawić, moja droga — przytaknął.

Do stolika podszedł kelner i zamówili drinki. Deena zdecydowała się na martini, Bobo poprosił o wódkę.

— To taka odświeżająca zmiana, kiedy idziesz na lunch z kimś, kto pija mocne alkohole — powiedziała Deena z czarującym uśmiechem. — Kiedy jadam z paniami, nikt nie zamówi niczego poza wodą mineralną. To strasznie nudne. Ja lubię martini przed posiłkiem.

Bobo skinął głową i pochylił się ku niej. Powiedział konfidencyjnym szeptem:

- Deena, opowiedz mi, co się dzieje.

— Jak to co się dzieje, Bobo?

Chyba nic starała się tego przed nim ukryć?

— Z tobą i Martinem. Spojrzała na niego zaskoczona.

— Widziałas „Truth and Fact”, zgadza się? Przysunął się bliżej, ośmielał ją do kłamstwa. Deena nadal nie rozumiała, o co chodzi.

— „Truth and Fact”? Co to takiego? Bobo tracił cierpliwość.

— To jedna z gazet, którą sprzedają w supermarketach.

— Taka jak „Star” albo „Globe”? Uwielbiam „Globe”. Kobieta bez głowy urodziła trojaczki - cudowne. Pokojówka mi to przynosi.

- W takim razie dziwię się, że nie pokazała ci „Truth and Fact”.

Spojrzała na niego nieświadoma niczego.

— Czy jest tam coś, o czym powinnam wiedzieć?

— Tak, Deena — ujął ją za wypielęgnowaną, delikatną rękę.

Na małym palcu miał olbrzymi sygnet z szafirem, otoczonym diamentami. Patrzyła na pierścień i czuła, że usłyszy coś, co jej się nie spodoba.

— Co, Bobo? spytała.

Głos nadal miała opanowany, jednak akcent nieco stwardniał.

— Historyjka o twoim mężu i Venus Marii — poinformował ją Bobo, nie owijając w bawełnę.

Żołądek jej się skręcił, ale udało jej się opanować.

— Tak? — zapytała ostrożnie. — Zawsze ktoś stara się połączyć Martina z jakąś małą gwiazdką. Czy to kolejna z tej serii?

- Zamieścili ich wspólne zdjęcie powiedział Bobo — i podali kilka szczegółów.

— Jakich szczegółów? — zapytała Deena cofając rękę.

— Że spotykają się od kilku miesięcy. Że Martin ma bzika na jej punkcie i że ona go kocha — przerwał, zmieniając taktykę. — Nie podnosiłbym tego tematu Deena, ale nie chcę, żeby napadła na ciebie prasa. Ta gazeta wyszła dziś rano, próbuję cię ochronić — znów przerwał, czekając na jej reakcję.

Zachowała zimną krew, więc ciągnął:

— Chciałbym usłyszeć twoją wersję, podam ją w sposób, który ci odpowiada.

— Nie mam nic do powiedzenia — powiedziała Deena przez zaciśnięte zęby. —

Muszę obejrzeć tę gazetę Bobo. Kiedy to zobaczę, może dostaniesz jakiś komentarz.

Sięgnął po dużą kopertę, którą ze sobą przyniósł i podał jej.

— To jest to, Deena. Idź do toalety, przeczytaj i wróć porozmawiać.

Wziela gazetę i z podniesioną głową poszła do łazienki. Kiedy przeczytała historię, krew odpłynęła jej z policzków. Obejrzała zdjęcie Martina i Venus Marii i wiedziała, że musi działać. Venus Maria podpisała na sobie wyrok śmierci. Deena Swanson o to zadba.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

Po zebraniu zarządu, Lucky postanowiła spotkać się z gwiazdami, które miały podpisane ze studiem kontrakty. W sali konferencyjnej urządziła tymczasowe biuro, dając Mickeyowi Stolliemu kilka dni na wyniesienie się. Pozbawił ją przyjemności wylania go. Szkoda.

Morton Sharkey znalazł doświadczonego asystenta i ściągnął go do Lucky z innego studia. Otis Lindcrest był czarnoskóry, bardzo błyskotliwy, zbliżał się do trzydziestki. Wiedział, co do niego należy, i ciężko pracował. Organizował spotkania i dawał Lucky poczucie komfortu i bezpieczeństwa.

Należało zrobić tyle rzeczy, że nie wiedziała od czego zacząć. Najważniejsze jednak było skorygowanie aktualnych działań studia i zdecydowanie, jaki kierunek ma Panther przyjmując w przyszłości.

Nie wiedziała, komu może ufać. Poznanie ludzi i sprawdzenie ich lojalności zajmie jej trochę czasu.

Zamierzała spotykać się z nimi indywidualnie przez najbliższych kilka tygodni.

Posłała również po kontrakt Lenniego i kazała Mortonowi go unieważnić.

— Wyślij mu list — poinstruowała — mówiący o rozwiązaniu umowy z Panther. Zwalniamy go, chyba że będzie chciał zostać.

— Dlaczego to robisz? — zapytał Morton.

— Nie chcę, żeby myślał iż ma wobec nas jakieś zobowiązania dlatego, że jestem właścicielką studia. Jeśli zdecyduje zostać i pracować tu, świetnie. Ale jeśli nie zechce, może iść gdzie indziej.

— Lucky, to atut studia — przypomniał Morton. — Bardzo mocny.

— To też mój mąż — odpowiedziała stanowczo. — Nie chcę, żeby czuł się skrepowany.

Ludzie zupełnie jej nie znani zaczęli przysyłać kwiaty. Dołączali do nich miłe i zachęcające liściki. Przesyłali je agenci, producenci, menażerowie. Gwiazdy ekranu nie zawracały sobie tym głowy. Gwiazdy nie muszą wysyłać kwiatów — wystarczy, że je dostają.

Otis umiał scharakteryzować wszystkich zawodników. Wiedział bardzo dużo, jak na tak młodego człowieka.

Od jak dawna w tym siedzisz? — spytała ciekawie.

— Zaczynałem jako rzecznik prasowy, pracowałem w kilku wytwórniach, byłem nawet przy produkcji. Od pięciu lat jestem asystentem.

Zapamiętała, że chciałaby zostać producentem. W odpowiednim momencie zajmie się tym. Teraz Otis był nieoceniony.

Nie wychodziła ze studia do dziewiątej. W samochodzie Boogie podał jej „Truth and Fact”.

— Myślałem, że będziesz chciała to przeczytać — powiedział, odwożąc ją do domu. Spojrzała na gazetę, część o Martinie Swansonie i Venus Marii nie bardzo ją interesowała. Zresztą i tak nie wierzyła w to, co piszą w gazetach. Ale kiedy zobaczyła zdjęcie Brigitte, poczuła się zaniepokojona. Po złych doświadczeniach, jakie Brigitte miała z Timem Wealthem, Lucky wiedziała, że dziewczyna jest zbyt młoda i subtelna, aby zadawać się z następnym renegatem. A właśnie tak wyglądał Paul Webster — długie włosy i przenikliwe spojrzenie.

— Przypomnij mi, żebym rano zadzwoniła do Brigitte — poleciła. — Zadzwoń do Londynu i zawiadom Mike'a Baverstocka w British Airways, że Bobby i opiekunka przylatują w piątek. A, i powiedz Otisowi, żeby piątek po południu zorganizował mi wolny. Wyjadę po nich na lotnisko.

Było już dawno po dziesiątej, kiedy dojechali do domu.

— Są jakieś wiadomości dla mnie, Miko? — zapytała z nadzieją w głosie. Miko się uklonił.

— Nie, madame, żadnych.

Widocznie Lennie postanowił nie dzwonić.

Była zbyt zmęczona, żeby jeść, zbyt zmęczona, żeby zrobić cokolwiek. Położyła się do łóżka i natychmiast zasnęła.

Obudziła się odświeżona i zregenerowana, wzięła prysznic, ubrała się i usiadła do śniadania. Nagłówki gazet przynosiły wiele ciekawostek: LUCKY SANTANGELO PRZEJMUJE PANTHER. MARTIN SWANSON KUPIŁ ORPHEUS.

Nie mogła doczekać się, aż przyjedzie do studia. Czekają na nią dużo pracy, ale powoli zaczynała zdawać sobie sprawę, że prowadzenie studia wciąga ją jak narkotyk.

Pierwsze spotkanie wyznaczyła Johnnyemu Romano. Wkroczył do pokoju z zarozumiałą miną, za nim jego świta.

Kiedy tylko wszedł, zauważył coś ważnego: ta kobieta była piękna.

— Możemy porozmawiać sami, panie Romano? — spytała.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochana — wskazał drzwi świcie.

Lucky wstała zza stołu i podeszła uścisnąć rękę.

— Nazywam się Lucky Santangelo — powiedziała. — „Kochanie” nie jest najlepszym zdrobnieniem.

Ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Jesteś bardzo piękną kobietą — powiedział stłumionym głosem. — Witam w moim życiu.

Usunęła rękę.

— To najbardziej oklepane zdanie, jakie słyszałam. Ile razy już go użyłeś?

Roześmiał się.

— Zwykle działało.

— Nie na mnie.

- Dobrze, dobrze. Więc ty jesteś piękną kobietą, a ja, Johnny Romano, chcę cię poderwać. Czy to takie straszne? Postanowiła zignorować tę uwagę.

— Wiesz Johnny, twój lilm miał wielu widzów w ten weekend. — Jasne, kochanie powiedział pewny siebie.

Ale wydaje mi się, że w przyszłym tygodniu widownia zmaleje. Zadarł brodę, pokazując wspaniałą szczękę.

Co mówisz, kochanie? Nic cofnęła się.

Mówię, że *Matkożerca* to szowinistyczna szmira. Twarz Johnny'ego pociemniała. Nikt lak do niego nie mówił.

— Zwariowałaś, kobieto? ryknął. Potrząsnęła głową.

— Nie zwariowałam, daję ci tylko dobre rady.

— Jakie? — spytał arogancko.

— Potrafisz przyjąć krytykę, prawda?

— A myślisz, że nie potrafię? zaperzył się.

— Johnny, jesteś niesłychanie przystojnym facetem. Wszyscy cię kochają. Jesteś macho, przystojny, z seksem. Ale przez ten lilm stracisz dużą część widowni. Dzieci nie mogą tego oglądać, starsi ludzie nic będą chcieli. Nie rozumiem — z jakiegoś głupiego powodu przekształciłeś się w antybohatera. W rezultacie wszyscy nienawidzą postaci, którą grasz. A ile razy powtarza się słowo „matkojebiec”? Ty jesteś autorem scenariusza, Johnny. Chyba masz bogatsze słownictwo.

Spojrzał na nią.

— Ten lilm zarobi dla Panther fortunę, a ty go krytykujesz?

— Mówię, że stać cię na wiele więcej. I chciałabym, żebyś zrobił dla Panther następny film. Ale równie dobrze mogę podrzeć twój kontrakt i dać ci odejść, ponieważ nie pozwolę na zrobienie następnego *Matkożercy*. Jeśli chcesz zrobić trwałą karierę, musisz na to pracować, a nie rozwalać w gruzy. Mówisz swoim widzom: „Pieprzę was. Mogę zrobić, co mi się podoba i ujdzie mi to na sucho”. To już nie działa, Johnny.

— Zwariowałaś — roześmiał się. — Mogę pójść wszędzie, gdzie chcę i dostanę taki kontrakt, jakiego zażądam.

— Więc może to powinieneś zrobić - powiedziała spokojnie.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Czy la klempa straciła rozum?

— Dobrze, moja pani, jeśli taka twoja wola, może tak właśnie zrobię.

— Proszę bardzo — powiedziała prowokująco. — Ale jeśli masz trochę rozumu, posłuchasz mnie. Nie podejmuj pochopnych decyzji. Przemyśl to, spotkamy się w przyszłym tygodniu.

Kiedy Johnny Romano wyszedł z sali, wcale nie czuł się szczęśliwym człowiekiem. Następną w kolejce była Venus Maria.

Blond gwiazda wpadła do biura z grymasem uśmiechu, przylepionym do twarzy.

— To naprawdę wspaniałe — powiedziała podniecona. — Kobieta na czele!

Spełniły się moje najskrytsze marzenia. Jak to zrobiłaś?

Lucky też się uśmiechnęła.

— Pomyślałam, że już najwyższy czas. Zamierzam dać w kość kilku osobom. Jesteś ze mną?

Uśmiech Venus Marii stał się szczery.

— Wybrałaś właściwą osobę.

— Mam nadzieję — powiedziała Lucky. — Potrzebuję poparcia.

— Masz je u mnie — odpowiedziała Venus Maria, rozsiadając się w krześle i wyciągając nogi.

Miała na sobie wąskie dzinsy, koszulkę z napisem „Ratuj świat” i nabijaną kamizelkę. Platynowe włosy upięła na czubku głowy, na nogach miała białe skarpetki i reeboki.

— Pracuję nad nowym wideo — oznajmiła. — To będzie bomba!

— Cieszę się, że jesteś z Panther — powiedziała ciepło Lucky. — Wiem, że chciałabyś zagrać w *Granacie* i wiem też, że nie podoba ci się scenariusz.

— Skąd wiesz?

— Sama mi powiedziałaś. Venus Maria była zaskoczona.

— Ja ci powiedziałam? Czy spotkałyśmy się wcześniej? Lucky sięgnęła po papierosa.

— Tak, spotkałyśmy się. Tylko nie pamiętasz.

— W Nowym Jorku?

— Nie. Tutaj, w studio. Narzekałaś na scenariusz. Teraz przeczytałam to i zgadzam się z tobą. Już go przerabiają. Zanim przyszedłaś, spotkałam się z autorem. Wie, o co nam chodzi.

- Wie? Tak.

Szybko działasz.

- Nie ma sensu siedzieć z założonymi rękami. Wiem, jaki film by ci się spodobał.

Granat powinien mówić coś o kobietach i o tym, jak się je wykorzystuje. Mam rację?

Całkowitą Venus Maria była coraz bardziej zdziwiona. — Nadal nie wiem, gdzie się spotkałyśmy.

Sekretarka Mickeya Stolliego. Co?

Pamiętasz sekretarkę Mickeya Stolliego? Taką w okularach, źle uczesaną i koszmarńie ubraną? Byłaś dla niej taka miła. Venus wyglądała na zmieszaną.

— I co?

— To byłam ja.

Venus Maria podskoczyła na krześle.

— Ty? — zawołała zaskoczona. — Daj spokój. Żartujesz. Ty! Lucky wybuchnęła śmiechem.

— Tak, ja. Przebrałam się.

— Nie!

— Tak!

— Dobrze.

— Nie chciałam kupić studia, w którym nie wiem, co się dzieje, więc pracowałam tu przez sześć tygodni. Chciałam dowiedzieć się kilku rzeczy.

— I udało ci się?

Lucky zaciągnęła się papierosem i uśmiechnęła się.

— Można tak powiedzieć.

— No pewnie!

— Mówię ci to, ponieważ mam wrażenie, że mogę ci zaufać. Ale nie chcę, żeby ludzie wiedzieli. Może sama im powiem. A może nie. Niech się zastanawiają, skąd tyle wiem.

— Cholera! — wykrzyknęła Venus. — To doskonałe. Podoba mi się jak diabli.

— W każdym razie — ciągnęła Lucky — mam taki plan: *Granat* zmienimy, żeby się nam podobał i potem zrobimy wspaniały film. Zastanawiałam się nad reżyserem. Może kobieta?

— Lubię kobiety reżyserów — przyznała Venus. — Ale jak się do tego przyznaję, wszyscy patrzą na mnie, jakbym była zombi.

— Wydaje mi się, że tylko kobieta reżyser może to pociągnąć. Zastanawiałam się nad paroma. Słyszałaś o Montanie Grey?

— Jasne. Napisała i nakręciła doskonały film, *Ludzie z ulicy*. Uważam, że jest świetna, bardzo utalentowana.

— To dobrze. Jutro przyjdzie się ze mną zobaczyć. Moim zdaniem będzie doskonała. Podoba ci się to?

— Podoba? Jestem zachwycona!

— Jeśli spodoba jej się pomysł, zorganizuję spotkanie.

— Kiedy sobie życzysz.

— Chcę też zobaczyć, jak kręca *Dumnego*. O ile wiem, coś stamtąd wycięli.

Spotkam się z Cooperem Turnerem i omówimy to.

Venus Maria skinęła głową.

— Polubisz Coopera, to miły facet. Nie wierz w te brednie, które o nim wypisują. I
— dodała beztrudno — nie wierz w to, co piszą o mnie.

Lucky się zaśmiała.

— O mnie też czasami pisują. Naprawdę, rozumiem to.

— A jak chłopcy przyjęli twój przyjazd? Lucky znów się zaciągnęła.

— Chyba nie są przyzwyczajeni do kobiety, która przychodzi i przejmuje interes.

— Na pewno nie.

Lucky wypuszczała kółeczka dymu.

— Zawsze lubiłam podejmować ryzyko.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

Emilio Sierra zamówił dwuosobowy pokój w modnym hawajskim hotelu. Widok miał być na morze. Jednak okno pokoju, który dostali z Ritą, wychodziło na duży parking. Niezbyt ciekawy widok.

— To nie jest dobry pokój — wrzasnął wściekły Emilio.

— Jest w porządku, kochanie — uspokajała go Rita. — Tam w oddali widać ocean. Głupia kobyła. Dlaczego zawsze wybierał te głupie?

— Nie jest w porządku — wybuchnął. — Zrobię awanturę. Zbiegł na- dół do recepcji i zażądał rozmowy z kierownikiem. Kierownik pojawił się dziesięć minut później. Wysoki, szczupły mężczyzna o miłych manierach i przyklepionym uśmiechu.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał.

— Zamawiałem pokój z widokiem na morze — powiedział Emilio, próbując nie zwracać uwagi na cycatą rudą dziewczynę w szortach i opiętej bluzce, która właśnie przechodziła obok.

— Nie jest pan zadowolony z pokoju? — zapytał kierownik nieco urażony, jakby skarga Emilia była dla niego osobistą przykrością.

Ruda zniknęła z pola widzenia, Emilio mógł się skoncentrować.

— Nie, człowieku. Tam śmierdzi.

— Jestem pewien, że nie, panie...

— Sierra — powiedział Emilio. — S-I-E-R-R-A — przeliterował. — Na pewno słyszał pan o mojej siostrze, Venus Marii.

Kierownik nie wiedział, czy ma mu wierzyć, czy nie, ale i tak był pod wrażeniem.

- Venus Maria? — spytał z właściwym odcieniem szacunku w głosie. — Ta piosenkarka?

— I gwiazda filmowa — przechwalał się Emilio. — Jestem z Los Angeles. Właściwie z Hollywood. Też jestem aktorem.

Kierownik skinął głową. Gościli już ważniejsze osobistości niż brat Venus Marii. Na przykład prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Cóż — zaczął — w tej chwili, panie Sierra, nie mamy nic innego. Ale obiecuję, że jak tylko jakiś pokój się zwolni, zawiadomimy pana.

— To mnie nie satysfakcjonuje — wycedził Emilio.

Uwielbiał mieć pieniądze. Dawało mu to poczucie władzy. Po raz pierwszy w życiu.

— To jedyne, co mogę zrobić — powiedział kierownik mając nadzieję, że ten nieokrzesany facet wyprowadzi się do innego hotelu.

— Proszę dać mi coś innego, albo będę spał w holu — zagroził Emilio. Narzekał tak długo, aż przenieśli go do domku na plaży. Więcej

kosztował, ale Emilio postanowił, że choć raz zabawi się jak bogacz. Skoro ma forszę, może z niej korzystać. Ricie wprawdzie nie podobało się to, ale ona była głupia.

Ledwie rozpakowali swoje rzeczy, Ricie wydawało się, że widzi mysz biegnącą przez pokój.

— O, Boże! — krzyknęła rozhisteryzowana i wskoczyła na łóżko. — Emilio! Emilio! Tu jest mysz!

— Co z tego? — zapytał niezainteresowany. — Nie zje cię.

— Boję się — jęczała. Nie chciała zejść z łóżka.

Emilio pamiętał stare dobre czasy, kiedy mieszkali w Nowym Jorku, Venus Maria była mała i mógł ją rządzić. Też bała się myszy. Pewnego dnia złapali z braćmi trzy myszy i włożyli je do jej łóżka. Kiedy odkryła tę niespodziankę, krzyczała przez godzinę. Ale musiał przyznać, że się zemściła. Dwa dni później ugotowała gulasz z kurczaka. Później okazało się, że to nie kurczak. Ugotowała te cholerne myszy i podała im na obiad.

Rita nie chciała się uspokoić, więc Emilio musiał po raz kolejny iść do kierownika i się poskarżyć. W końcu, pewnie dlatego, aby przestał ujadać, dostał apartament swoich marzeń. Dwa pokoje: luksusowa sypialnia z wibrującym łóżkiem i duży, wygodny salon wychodzący na taras. Wstęga białego piasku oddzielała dom od pięknego, błękitnego oceanu. O to właśnie chodzi, nawet gdyby miał poświęcić rękę i obie nogi.

— Zadowolona? — spytał Rity. Skinęła głową.

Później, kiedy stał na tarasie, rozpięła mu spodnie i pokazała, jak była zadowolona. Czasami warto być ekstrawaganckim.

Następnego ranka wysłał ją do kiosku po „Turth and Fact”. Kiedy mu to przyniosła, przeczytał i wpadł we wściekłość. Gdzie jego historia? Nawet nie opublikowali jego podobizny. Co to za umowa? W złości zadzwonił do Dennisa Walii do Los Angeles.

— Gdzie moja historia? — wrzeszczał do słuchawki. — Miała wyjść w tym tygodniu.

— Będzie w przyszłym tygodniu — powiedział Dennis. — Przeczytaj sobie.
— Powiedziałaś, że w tym tygodniu i wykorzystałeś zdjęcia, które ci dałem — Emilio stracił panowanie nad sobą. — Słuchaj, człowieku, zapłaciłeś mi tylko za jeden tydzień. To oszustwo.

— Poczekaj chwilę, stary — powiedział Dennis.

„Znów to samo — pomyślał. Dlaczego krewni wielkich gwiazd są tak cholernie pazerni?”

— Robisz kupę hałasu o nic. Puścimy historię, kiedy zdecydujemy, że pora. Nie będziesz nam mówił, co mamy robić.

Emilio trzasnął słuchawką. Powrót do Los Angeles to głupi pomysł. Venus Maria była uprzedzona, że jego historyjka się pojawi. Wścieknie się i na pewno każe go znaleźć.

— Co się stało, kochanie? — zapytała Rita, obracając się przed lustrem i podziwiając swoje krótkie, ale zgrabne nogi.

— Nic — nie zamierzał się jej zwierzać. — Chodź tu.

Łóżko wibrowało przez dziesięć minut, zanim wyszli zaznać hawajskiego słońca.

Emilio był bardzo rozczarowany, kiedy stwierdził, że niewiele słońca da się zakosztować. Spod chmur zasłaniających niebo wiał silny, przenikliwy wiatr.

Wybrał dwa miejsca nad basenem. Rita w swoim bikini przykuwała uwagę każdego mężczyzny w promieniu pięćdziesięciu metrów. Emilio był zadowolony. Może wcale nie była taka głupia? Lubił pokazywać się z kobietą, za którą wszyscy się oglądają.

W południe Rita zaproponowała, żeby wrócili do apartamentu.

— Wprawdzie niebo jest zachmurzone — wyjaśniła — ale i tak promienie słoneczne są bardzo silne. Lepiej uważaj.

— Kto, ja? Ja się wspaniale opalam.

— Ja nie — powiedziała podciągając stanik, który właśnie chciał spaść i ukazać sterczący sutek. — Nie przeszkadza ci, że ja się schowam?

Nie przeszkadzało mu. Zajęty był podziwianiem korowodu pięknych, opalonych kobiet w skąpych bikini.

Koło piątej Emilio spiekł się jak frytka.

— Jezu! Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? — wyrzekał, kiedy wrócił do apartamentu.

— Kochanie, mówiłam ci — przypomniła Rita nacierając go kojącą śmietanką.

— Nie rozumiem — skrzywił się, użalając się nad sobą. — Jak mogłem się spiec, skoro chmury zasłaniały niebo?

Na Hawajach to nie ma znaczenia — wyjaśniła. — Promienie słoneczne przenikają przez chmury. Próbowалам ci to wyjaśnić. Byłaś tu już kiedyś? — zapytał podejrzliwie. Raz czy dwa — powiedziała.

Postanowiła nie wspominać mu o ostatniej wyprawie z dwoma karłami i z reżyserem w peruce, który miał bzika na punkcie dyscypliny.

Emilio naprawdę cierpiał. Rita pobiegła do apteki i wróciła ze specjalnymi olejkami. Nie pomagały. Bolało go całą noc. Całą noc jęczał.

Następnego ranka, kiedy obejrzał w lustrze swoje czerwone ciało, postanowił wrócić do Los Angeles.

— Nie zamierzam wydawać takiej kupy forsy, żeby leżeć w łóżku — powiedział. — Wyjeżdżamy stąd.

Rita wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz.

Już wiedziała, że Emilio nadaje się jedynie na krótkie dystanse. Zostanie z nim, póki będzie miał forszę. Ale kto wie, jak długo to potrwa.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

— Jakiś pan Browning do ciebie — powiedział Otis. — Nie jest umówiony, ale chyba ma coś ważnego.

Lucky skinęła głową.

— W porządku. Wprowadź go.

Harry wszedł do pokoju i zatrzymał się. Poczekał, aż sekretarka zamknie za nim drzwi, a potem spojrzał na Lucky z wyrzutem.

— Luce, prawda? Nareszcie! Ktoś ją rozpoznał.

— Jest pan jedynym człowiekiem, który mnie poznał — powiedziała. — Bardzo bystre.

— Myślałem, że pracuje pani dla Abe'a Panthera.

— W pewien sposób pracowałam. Oboje uznaliśmy, że dobrze będzie, jeśli przyjdę tu w przebraniu. Ciekawe ćwiczenie. Dużo się dowiedziałam.

— Nie była pani uczciwa wobec mnie — sztywno zauważył Harry, najwyraźniej niezadowolony z obrotu spraw.

Nie miała zamiaru udzielać dalszych wyjaśnień.

— Chciałabym, żeby został pan w studio, Harry. Zmienimy tu kilka rzeczy.

Chciałabym też, żeby zwracał się pan ze wszystkim bezpośrednio do mnie.

— Dlaczego? — zapytał podejrzliwie.

— Ponieważ pan chce tego, czego ja. Oboje chcemy, żeby Panther znów było dobre.

Koniec z wykorzystywaniem. Koniec z figlami na kanapie z każdą aktorką, która się zgłosi. Zgadza się pan?

Wolno skinął głową.

Niedługo po spotkaniu z Harrym, do pokoju Lucky weszła Susie Rush. Susie zazwyczaj miała do czynienia z mężczyznami. Pojawiła się w koronkach, falbankach i z różową wstążką we włosach. Lucky pomyślała, że wygląda jak lalka z wystawy.

Susie ściągnęła usteczka w dziecinny sposób i powiedziała:

— To niezły szok dla systemu.

— Podać ci coś? — zapytała Lucky, udając miłą i przyjacielską. — Drinka? Kawę? Może herbatę?

— Lepiej wyjaśnienie. Kiedy podpisywałam kontrakt, szefował tu Mickey Stolli. Nie brałam pod uwagę możliwości zmiany.

— Przede wszystkim powinnaś wiedzieć — wyjaśniła spokojnie Lucky — że mimo tego kontraktu, możesz zrobić to, na co masz ochotę. Nie będę tu nikogo zatrzymywać wbrew jego woli.

— Och! — powiedziała Susie. Tego się nie spodziewała.

— Jednak wiem — ciągnęła Lucky — że jesteś jedną z najważniejszych postaci w studiu. Zamierzam przywrócić świetność Panther. I uwielbiam twoje filmy. Robisz rzeczy, które mogą oglądać całe rodziny. Jesteś wspaniałą aktorką.

Susie patrzyła na nią podejrzliwie. Nie przyzwyczała się do komplementów od kobiet. Nie przyzwyczała się też do kobiet, które wyglądały jak Lucky Santangelo i miały władzę.

— Oto czego od ciebie oczekuję — powiedziała Lucky jak kobieta interesu. — Powiedz mi, jaki film chcesz zrobić. Wiem, że pracujesz nad kilkoma pomysłami, więc jeśli któryś ci się podoba, rozważymy produkcję.

— Właściwie — zaczęła Susie — chciałabym zmienić styl. Rozwój mojej kariery przybrał określony tor, ja natomiast chciałabym zagrać także inne role.

— Jakie na przykład? — zapytała Lucky.

— Chcę główną rolę w *Granacie* — wyznała Susie. — Mickey obiecał mi, że ją dostanę.

To niespodzianka.

— Nad *Granatem* pracuje Venus Maria — przypomniała Lucky.

— Tak, Mickey wspominał, że Venus może być zainteresowana. Ale kiedy powiedziałam mu, że mi się podoba scenariusz, natychmiast zgodził się na zdjęcia próbne. Powinnaś wiedzieć, że z reguły nie godzę się na zdjęcia próbne. Wiem, że czuję tę rolę. Jest napisana dla mnie.

— Powiem ci coś — zaproponowała Lucky. — *Granat* dostanie Venus Maria. Ale jeśli masz inny scenariusz, nad którym chcesz pracować, możemy go obejrzeć.

Susie ściągnęła usta w wąską linię.

— Chcę zrobić *Granat* — powiedziała. — Poza tym, zaoferowano mi rolę w innym filmie w Orpheusie.

Lucky uśmiechnęła się uprzejmie. Nie da się szantażować gwiazdom i ich manii wielkości.

— Susie, jeśli tamta rola ci odpowiada, chyba powinnaś ją wziąć. Jak już powiedziałam, nie chcę nikogo zatrzymywać na siłę.

Susie wyszła, niepewna na czym stoi.

Jak na razie idzie nie najgorzej. Cooper Turner jest ostatni na liście dzisiejszych spotkań. Siedział jeszcze w sali produkcyjnej, więc zamiast poprosić go do siebie, postanowiła sama się do niego udać.

Gwiazdy filmowe nie działały na Lucky. Całe życie je obserwowała. Kiedy Gino otwierał hotele w Vegas, przychodzili na otwarcia, przyjęcia, czy na hazard. Kiedy była żoną Cravena, syna senatora Richmonda, sławy kina często spotykała w Waszyngtonie.

Gwiazdy filmowe charakteryzują się delikatnym ego, zawsze o tym wiedziała.

Stykanie się z nimi na takiej stopie jest interesujące, a zarazem pociągające.

Cooper Turner wyglądał lepiej niż na ekranie. Nieco chłopięca, przystojna twarz, zmierzwione włosy i przenikliwe, jasnoniebieskie oczy. Miał czarujący uśmiech, w który natychmiast się uzbroił.

— A więc to jest mój nowy szef, tak?

— Tak — powiedziała podając mu rękę.

Uścisnął ją może zbyt mocno. Oceniał ją swoim przenikliwym spojrzeniem okularów w rogowej oprawce.

— To niespodzianka — powiedział. — Oczekiwałem kobiety-smoka.

— Wygląd nie gra roli — zauważyła.

— Przeciwnie, bardzo dużą — powiedział od niechcenia, zdejmując okulary. —

Piękne kobiety zawsze zwracają na siebie większą uwagę. Nie chcę nic ujmować twojej inteligencji, ale wygląd pomaga. A twój wygląd jest doskonały, kochanie. Nie pozostanie mu dłużna.

— Twój też, kochanie. Zaśmiał się.

— Dotknęta, pani Santangelo?

— Chętnie obejrzę urywki *Dumnego*. Kiedy będę mogła? — zapytała, przechodząc do celu swojej wizyty.

— Może w przyszłym tygodniu?

— Dobrze. Czy to twój reżyserski debiut? Jego oczy bez okularów mogły być zabójcze.

— To znaczy, że nie śledziłaś mojej kariery?

Spojrzała mu w oczy, przeciwstawiając swoje ciemne, santangelowskie spojrzenie.

— Powiedzmy, że twoja kariera nie znajdowała się w centrum mojego świata.

Znów się roześmiał.

— Właściwie zrealizowałem już jedną szmirę, ale to będzie lepsze. Venus Maria ma w nim wystąpić.

— Tak słyszałam.

— Ach, więc plotki już chodzą po studiu. To dobrze.

— Wydaje się, że twój film jest jedynym porządnym obrazem, jaki tu się kręci.

Widziałeś *Matkożercę*?

— Mój czas jest zbyt cenny. I nie wierzę w samobiczowanie się. Teraz z kolei ona musiała się roześmiać.

— Wiem, o co ci chodzi. Możemy spotkać się na lunchu w przyszłym tygodniu?

Musimy omówić wiele rzeczy. Najważniejsza jest reklama *Dumnego*.

— Może dasz się zaprosić na kolację? — zaproponował. Postanowiła zwrócić rozmowę na właściwe tory.

— Znasz mojego męża, Lenniego Goldenę?

— Jesteś żoną Lenniego? — zapytał zdumiony.

— Nie wiedziałeś?

— Śledziłem twoją karierę prawie tak dokładnie, jak ty moją.

— Teraz ja spytam: dotknięty?

Obdarzył ją typowo gwiazdorskim uśmiechem.

— Trochę. A więc lunch. Bardzo chętnie.

Jedyna gwiazda, z którą się nie widziała, to Charlie Dollar. Nie było go jednak w kraju, wracał za kilka tygodni.

— Znajdźcie coś odpowiedniego dla Charliego Dollara. Coś wystrzałowego — powiedziała.

Na ostatnie spotkanie tego dnia przyszli Arnie Blackwood i Frankie Lombardo — Lubieżni Kawalerowie.

Arnie, wysoki i chudy, z tłustymi włosami ściągniętymi w koński ogon. Oczy bez wyrazu chowały się za lustrzankami. Odezwał się pierwszy.

— Gratuluję, kochanie. Pójdzie ci z nami jak po maśle — zapowiedział. Frankie, nieco łysiejący ale za to ze zmierzwioną brodą, dołączył do

kumpla:

— Tak, maleńka. Będziemy pracować razem tak, jakbyśmy całe życie spędzili w jednym łóżku.

— Na szczęście — przerwała mu Lucky — tak nie jest. Obaj ryknęli śmiechem.

— Ma poczucie humoru — stwierdził Arnie.

— Co taka laska jak ty robi w takiej pracy? — zapytał Frankie, opadając na krzesło.

— Pewnie to samo, co tacy przystojni faceci, jak wy — odpowiedziała ironicznie Lucky. — Pozwólcie mi przypomnieć, że to nie jest praca. Ja jestem właścicielką Panther.

Nie spodobało się to Frankiemu.

Arnie podszedł do stołu, przy którym siedziała, położył na nim ręce i pochylił się.

Zamierzasz tu zostać? — zapytał. — Czy to tylko chwilowy kaprys? Jak jest, Lucky? Kupiłaś to studio, żeby wyprzedać ziemię i zarobić, czy co? Zostaję tu — odpowiedziała z lodowatym uśmiechem. — A wy?

— My też zamierzamy tu zostać — zapewnił Arnie, zdejmując lustrzanki i wycierając je w róg koszuli.

Po chwili założył je ponownie.

Frankie przeciągnął ręką po nie uczesanych włosach i pociągnął się za postrzępioną brodę. Obaj wydawali się raczej zaskoczeni.

— Odwołuję oba wasze projekty — oznajmiła Lucky. — Powiem wam otwarcie, nie podobają mi się. Panther nie będzie więcej robiło takich filmów.

— Co chcesz zrobić, kochanie? — zapytał z niedowierzaniem Arnie.

— Czy wyrażam się niejasno? — odpowiedziała, jak zwykle chłodna i opanowana.

— Jeśli potrzebujecie tłumacza, mogę kogoś poprosić.

— Czy my się kiedyś spotkaliśmy? — spytał Frankie wstając.

— Powiedzmy, że kręciłam się po biurze od jakiegoś czasu. Dokładnie wiem, co tu się dzieje.

— Wiesz wszystko, co? — zachnął się Arnie.

— Tak — odpowiedziała próbując nie stracić równowagi. Ci dwaj kretyni zaczęli ją strasznie denerwować.

— Dobrze, kochanie. Damy ci trochę czasu. Nie bierzemy serio tego, co powiedziałas. W tej chwili kręcimy dwa filmy. Następne trzy są przygotowywane. Nasze filmy trzymają studio na powierzchni. Rozumiesz? To nasze filmy zarabiają pieniądze, a inne twoje gwiazdy nakręcają szmiry.

— Prawda — powiedziała spokojnie Lucky. — Ale mówię wam, że system właśnie się zmienił. Nie obchodzi mnie, jakie robicie filmy. Nie podoba mi się, kiedy widzę dziewczyny, z których zdzieracie ubrania albo którym rozwalacie głowy. Gwałty i okaleczenia nie interesują mnie. Czy wyrażam się jasno?

— Obudź się i spójrz realnie — powiedział Arnie z obraźliwym uśmiechem. — Właśnie to dzieje się na świecie. Każdy chce to oglądać.

— Ale jest pewna różnica — zauważyła Lucky. — Ja nie jestem „każdy”. Frankie podrapał się po brodzie. — Każesz nam się wynosić?

— No! — zawołała Lucky. — Zaczynacie mnie rozumieć. To zabawne.

— Ty pieprzona dziwko — powiedział Arnie, który wreszcie zrozumiał. — Nie możesz traktować nas jak gówna. Należymy do największych producentów w Hollywood. Ponadto mamy umowę z Panther.

— Wiecie co, panie Blackwood, panie Lombardo, ja mam to w dupie. W ten sposób Lucky zakończyła swój pierwszy dzień w pracy. Może nie zdobyła zbyt wielu przyjaciół ani nie wpłynęła na zbyt wielu ludzi, ale była zadowolona. Teraz zamierzała zebrać grupę ludzi, którzy mogą razem pracować i tworzyć takie filmy, jakie chciała widzieć. Lucky Santangelo się rozkręcała.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

Natychmiast zaczęło się polowanie na Swansona. Wydawało się, że każda gazeta i program telewizyjny w Ameryce muszą się na ten temat wypowiedzieć. Przewodził im Adam Bobo Grant. Wykorzystał to, co powiedziała Deena, i wydrukował na pierwszych stronach.

„Nigdy nie dam mu rozwodu!”, krzyczały nagłówki. „Kocham mojego męża!”
Możliwe, że rozpętał to Dennis Walla, ale Adam Bobo Grant nadał sprawie prawdziwy rozgłos. Na dużą skalę. Pierwsza strona „The New York Runner” to nie pierwsza strona „Truth and Fact”. Ludzie wierzyli w to, co przeczytali w „The New York Runner”.

Bert Slocombe powiadomił o tym Dennisa Walię w Los Angeles.

Dennis siedział w swym hollywoodzkim biurze i czytał fax z rosnącym zaskoczeniem. Poznawał własne zdania. Adam Bobo Grant, ten kutas, kradł jego wypowiedzi. I on nie mógł na to nic poradzić. Nawet nie przyszło mu do głowy, że powinien się wkurzyć. Natomiast przyszło mu do głowy, że może spróbować na tym zarobić. Podniósł słuchawkę i zamówił rozmowę z Adamem Bobo Grantem.

Sztywny asystent poinformował go, że pan Grant jest nieuchwytny.

— Powiedz mu, że to ważne — nalegał Dennis.

— Przykro mi — powiedział asystent dumny ze swojej pozycji. — Jeśli chce pan zostawić panu Grantowi wiadomość, mogę ją przyjąć.

— Słuchaj — zaczął Dennis jak ktoś ważny, jego australijski akcent słychać było coraz wyraźniej — nie będę dwa razy powtarzał. Idź i powiedz mu, że to ja napisałem o rozwodzie Swansonów w „Truth and Fact”. Ponadto mam wyłączność na opowieść brata Venus Marii. Puszczamy to w przyszłym tygodniu. Pomyślałem, że może być zainteresowany tymi informacjami. Jeśli nie, nie szkodzi. Leć mu to powiedzieć, kolego.

Asystent zostawił go na linii na dobre pięć minut, zanim Adam Bobo Grant, czołowy dziennikarz kroniki towarzyskiej, raczył podejść do telefonu.

— Panie Walla — powiedział.

— Widziałem pana historyjkę — powiadomił go Dennis. — Niezły plagiat.

Adam Bobo Grant poczuł się urażony.

— Słucham?

- Powiedziałem, że niezły plagiat. Ściągnął pan połowę z „Truth and Fact”. To moja historia, ja ją napisałem.

- Zadzwoił pan, żeby się poskarżyć? — zapytał Bobo wzdychając ciężko.

Nie, ale wydaje mi się, że możemy ubić interes. Interes? — zainteresował się Bobo.

No cóż, ma pan coś, co mnie interesuje. A moja następna historyjka jest bardzo pikantna. Całe wydanie w przyszłym tygodniu będzie na ten temat, więc pomyślałem, skoro tak się panu udało ze Swansonami, może zechce pan rzucić okiem na tą historię, zanim się ukaze.

— Za opłatą, oczywiście? — spytał uszczypliwie Bobo.

— Tak, stary. Chyba nie myślisz, że działałam charytatywnie?

Bobo myślał szybko. Jego kolumna była bardzo popularna, ale nie zaszkodzi publikować także na pierwszych stronach.

— Ile? — zapytał cierpko.

— Tyle, ile mnie to kosztowało — odpowiedział Dennis.

„Jasnej pomyślał Adam Bobo Grant. Ale i tak poszedł na ten układ.

— Fotoreporterzy biwakują pod moim dachem — narzekała Venus Maria rozmawiając z Martinem.

— Nie myśl, że nie łążą za mną — pocieszył ją. Czy wydawało jej się, czy był z tego zadowolony?

Od ukazania się „Truth and Fact” rozmawiali kilka razy przez telefon, ale się nie widzieli. Teraz próbowali umówić się na spotkanie.

— A więc mój dom się nie 'nada, twój hotel chyba także nie wchodzi w rachubę

— powiedziała. — Ale mam pomysł. Jeśli uda mi się wymknąć dziennikarzom, postaram się dotrzeć do hotelu Bel Air. Co o tym sądzisz?

Uważał, że to świetny pomysł i postanowił zarezerwować apartament na fałszywe nazwisko, żeby mogli razem spędzić noc.

— Rozmawiałaś z Deeną? — dopytywała się ciekawsko.

— Nie. Nie dzwoniłem do niej.

— Na pewno to widziała.

— Nie zamierzam rozmawiać z nią przez telefon. Omówimy to, kiedy wrócę.

Przejmuję studio, jestem bardzo zajęty.

— No tak. A ja tak sobie leżę i nic nie robię — ucięła urażona. Zrobił się delikatniejszy. — Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zastanowiła się nad ucieczką. To bardzo ekscytujące — musiała okpić te wszystkie hieny.

Zaprosił Rona, który przyjechał natychmiast, gdyż bardzo chciał być w centrum zainteresowania. Przebrali jedną z jej sekretarek w perukę, ciemne okulary i suknię Venus Marii. Kiedy wszystko było gotowe, dziewczyna wybiegła z domu, wskoczyła do samochodu i odjechała z piskiem opon. Fotoreporterzy ruszyli za nią. W tym czasie Venus Maria prześlizgnęła się do samochodu Rona. Chichotali przez całą drogę do hotelu Bel Air. Otulona w długi płaszcz, w ogromnym kapeluszu na głowie i w ciemnych okularach, skierowała się prosto do apartamentu Martina. Już na nią czekał. Gdy weszła, rzucił się na nią jak uczeń. Zaskoczyło ją to.

— Martin! — próbowała go powstrzymać, ale nie zwracał uwagi.

Całował ją szaleńczo i ścisnął przez ubranie. Odrzuciła kapelusz, a platynowe loki opadły na twarz. Zanurzył w nich ręce.

— Boże, tak za tobą tęskniłem — wyszeptał, rozpinając jej płaszcz i wsuwając ręce pod sweter.

Nie wiedziała, że potrafi być taki szalony. Nagłówki w gazetach wyraźnie go odmieniły. Kochali się na podłodze. Tak dzikiego Martina jeszcze nie widziała.

— Proszę! Jesteś dziś bardzo gorący. Co ci się stało? — zartowała, kiedy skończyli.

— Chcesz powiedzieć, że przedtem byłem zimny? Nie powiedziała tego, ale tak właśnie myślała.

— Zadzwoń do mnie przyjaciółka z Nowego Jorku — powiedziała od niechcienia.

— Jesteśmy na pierwszych stronach nowojorskich gazet. Wczoraj wieczorem nawet mówili o nas w telewizji. Dlaczego to robią?

— Jesteś bardzo znaną kobietą.

— Nie chodzi tylko o mnie, Martin. To ty przyciągasz publiczność. Bilioner to, bilioner tamto. Wyrabiasz sobie reputację ogiera!

— Nie wygłupiaj się — powiedział. Ale wcale nie wydawał się zły. Zaczęła zbierać rozrzucone ubrania.

— Wezmę gorącą kąpiel. Zamówimy coś do pokoju? Umieram z głodu.

— Już zamówiłem kawior, steki i lody. Czy to ci odpowiada?

— Co za przygoda! Jesteśmy tu zupełnie sami i nikt nas nie zna. Podniecające, prawda?

— Dla mnie bomba.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

— Zauważyłam.

Nalała gorącej wody do wanny, dodała płynu do kąpieli i zanurzyła się. Do łazienki wszedł Martin, niosąc dwa kieliszki szampana. Przysiadł na brzegu wanny i podał jej jeden. Wyciągnęła się.

— A więc... — powiedziała rozmarzona — co teraz będzie? Skoro Deena wie, sytuacja wygląda zgoła inaczej.

Martin nie dał się wciągnąć w rozmowę.

— Zobaczymy, co powie.

— A co ty powiesz?

— Deena jest moją żoną od dziesięciu lat. Nie mogę tak po prostu spakować się i odejść.

— Czy nie tego chcieliśmy?

— Tak, ale nie w taki sposób. Lepiej, żeby to Deena chciała, abym odszedł. — Jeśli ma trochę dumy, zrobi to.

Skinął głową.

— Martin — powiedziała Venus — podejmiesz jakąś decyzję, prawda? Znow skinął głową

— Bo jeśli nie — dodała — nie zamierzam ciągnąć tego związku. Szczególnie teraz, kiedy wszyscy o nas wiedzą.

Zanurzył rękę w wodzie, dotykając koniuszka jej piersi.

— Chyba nie chcesz mnie straszyć, prawda? Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

— Czy mogłabym to zrobić? Chodź tu, bilionerze-ogierze. Wejdz do mojej wanny. Nie potrafił powstrzymać śmiechu.

— Nie mam dziewiętnastu lat. Usiadła i objęła go ramionami.

— Udawaj — powiedziała. — Zabawmy się w udawanie.

Deena biegła po swoim mieszkaniu w Nowym Jorku wściekła i upokorzona.

Wydawało jej się, że jest opuszczona, co nie było prawdą, gdyż telefon dosłownie się urywał. Dzwonili wszyscy poza Martinem, a ona nie mogła się z nim połączyć.

Kiedy dzwoniła do Kalifornii, różne sekretarki i asystenci mówili jej, że właśnie ma spotkanie i nie można mu przeszkadzać. Spotkania! Na pewno był z tą dziwką.

Deena już wszystko zaplanowała. Dała znać prywatnemu detektywowi w Los Angeles, zatrudniła go już kilka miesięcy temu. Miał dostarczyć jej wszelkich informacji o Venus Marii i o jej posunięciach. Detektyw nie wiedział, z kim ma do czynienia. Umawiała się przez telefon, a on składał raporty do skrytki pocztowej.

Deena dokładnie wiedziała, co ma zrobić. Jednak nie spodziewała się, że romans Martina z Venus Marią przyciągnie tak wiele uwagi. Patrzyła na listę osób, które do niej dzwoniły. Każda mężatka w Nowym Jorku musiała zadzwonić. Wszystkie chciały wiedzieć, „jak to było naprawdę”. Adam Bobo Grant telefonował ze trzy razy. Czy chciał czegoś więcej? Czy nie dostał dosyć?

Wzięła „The New York Runner” i od nowa przeczytała artykuł na pierwszej stronie. To inna gazeta niż „Truth and Fact”. Wszyscy wiedzieli, że „Truth and Fact” to tani brukowiec. „The New York Runner” wzbudzał zaufanie.

Przebiegła wzrokiem stronę tytułową: „Deena Swanson, niesłuchanie piękna w jasnozielonym kostiumie od Adolfo, odmawia rozmowy na temat swojej rywalki, Venus Marii. Jej jedyny komentarz to: «Jestem pewna, że Venus Maria jest utalentowana»”.

I nieco niżej:

„Przez chwilę Deena milczy, patrząc na tłum ludzi w restauracji. Delikatna kobieta. Piękna kobieta. Kobieta, która może stracić męża?”

Przynajmniej Bobo miał na tyle taktu, żeby postawić znak zapytania na końcu. Nie straci męża. Niczego nie straci.

Od pół roku planowała to, co ma nastąpić. Nadeszła chwila spełnienia tego, co nieuniknione.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

Nikt nie potrafił tak działać jak Mickey Stolli. Był najlepszy. Przeszedł nawet własne oczekiwania.

Przede wszystkim przechytrzył Abe'a Panthera i Lucky Santangelo, podpisując umowę obciążającą studio długiem miliona dolarów wobec Carlosa Bonnattiego. Wygląda na legalne. Potem udało mu się przemycić dokument do studia i niepostrzeżenie wsunąć między inne papiery.

Po drugie, dogadał się z Martinem Swansonem i podpisał kontrakt w Orpheusie za dwukrotnie wyższą gażę w porównaniu z tym, co zarabiał w Panther. Do tego udział w zyskach.

Martin Swanson mówił prosto z mostu.

— Interesuje mnie tylko pomnażanie pieniędzy. Możesz ściągnąć do siebie wszystkich, których chcesz. Przemienimy Orpheus w maszynkę do robienia forsy. Kiedy uporządkował sprawy zawodowe, Mickey wrócił do domu, do Abigaile. Kochana, słodka Abigaile. Narzekała, ale nie obchodziło go to. Miał przed sobą nowe życie.

Jedną z dobrych rzeczy w Hollywood to to, że jeśli skądś cię wylali, gdzie indziej dostałeś awans. A złapanie w burdelu to nic poważnego. Nie popełnił żadnego przestępstwa, po prostu ktoś robił mu dobrze. Abigaile całkowicie się załamała, kiedy Abe Panther sprzedał studio. Teraz była niemal gotowa przebaczyć mu tu aresztowanie.

Ale nie całkiem. Kiedy wrócił do domu po spotkaniu z Lucky Santangelo, powitała go zmarnowanym wyglądem. Oprócz tego miała dla niego Bena i Primrose. Czekali wszyscy w bibliotece.

— Musimy usiąść i wszystko omówić — powiedział Abigaile. — Ben zaofiarował, że zajmie się prawnikami.

— Jakimi prawnikami? — Mickey nalał sobie drinka.

W tym momencie był już szczęśliwym człowiekiem. Niedługo będzie wolny.

— Mickeyu — powiedział Ben, a jego pociągła twarz jeszcze się wydłużyła. — Nie możemy pozwolić, żeby to uszło staremu na sucho.

— Wydaje mi się, że nie możemy nic zrobić — odpowiedział Mickey, lejąc obficie szkocką.

— Przeciwnie, możemy — powiedział Ben.

Ben gra poważnego domatora, Mickey jednak wie, że przeleciał cyscatą blondynę, która grała w jednym z filmów Panther w Londynie.

— Co takiego, Ben? — zapytał znużony Mickey.

— Przede wszystkim, Abigaile opowiedziała mi o twoich kłopotach. Nie możesz teraz od niej odejść — powiedział wzniośle Ben, chodząc w tę i z powrotem po pokoju. — Sytuacja jest podbramkowa. Musimy się

zjednoczyć. Już rozmawiałem z moim prawnikiem. Zaproponował, żeby postarać się o zaświadczenie, że Abe jest niepoczytalny.

— Nie da się — powiedział Mickey. — W czym jest niepoczytalny? Chodzi i rozmawia. To Hollywood, na miłość boską. Jest stary. Ale co z tego? Spójrz na George'a Burnsa albo Boba Hope'a.

— Możemy przynajmniej porozmawiać o tym — nalegał Ben.

— O czym porozmawiać? Jeśli moja żona chce, żebym odszedł, to odejdę. Ben położył rękę na ramieniu Mickeya.

— Pomyśl o Tabithcie.

— Słuchaj, ja nie chciałem odejść. Zrozum wreszcie, to Abby mnie wyrzuciła. Pamiętaj o tym.

— A teraz prosi cię, żebyś został.

— Za późno.

— Musimy to jakoś rozwiązać, Mickeyu — powiedziała Abigaile, przybrała typową minę „bez wygłupów”.

— Nie ma czego rozwiązywać — wzruszył ramionami. — Pieprzyłem się, złapali mnie. Teraz ponoszę konsekwencje. Lepiej zobacz się z adwokatem.

— Mickeyu, ty chyba nie rozumiesz — wtrąciła się Primrose stanowczym tonem. — Abe sprzedał studio. Wszystko się zmieniło.

— Nie wtrącaj się, Primrose — ostrzegł ją. — To, co się dzieje między moją żoną a mną nie powinno cię interesować.

— Wszyscy jesteśmy w to zamieszani — Ben zdecydował, że musi dać o sobie znać.

— Nie w moje prywatne sprawy — oznajmił Mickey. — Ja i Abby zdecydujemy, co zrobimy z naszym małżeństwem. To nie wasza sprawa.

Chciał dodać „odpieprzcie się”, ale nie wydawało mu się to na miejscu.

Bez dalszych dyskusji poszedł do swojego pokoju i spakował małą walizkę. Potem wsiadł do porsche'a i pojechał prosto do hotelu Beverly Hills, gdzie zameldował się w jednym z domków.

Mickey Stollie znów w akcji.

Czterdzieści osiem godzin później całe miasto mówiło o nowym kontrakcie Mickeya Stolliego. Wprawdzie jeszcze nie zostało to ogłoszone oficjalnie — umowa nie jest na razie podpisana — ale wszyscy w mieście już wiedzieli.

Eddie znalazł go w studio, kiedy pakował swoje osobiste dokumenty.

— Co się dzieje, Mickeyu? — zapytał podniecony. — Rozmawiałeś z Bonnattim?

— Zająłem się tym — powiedział Mickey. — Zawsze zajmuję się twoimi wpadkami. — Hej! — Eddie nie chciał czuć się winny. — To tylko przypadek.

— Tak. Jeden z przypadków, w które zawsze się zapląciesz.

— Więc... jak sobie poradziłeś? — zapytał Eddie udając spokój.

— Nieważne. Trzymaj dziób zamknięty. To już nie twoja sprawa. Podpisałem dokument, odpowiedzialność spadła na studio.

— Naprawdę? Tak to urządziłeś?
— Zapomnij o tym, Eddie. Dobrze"
— Słyszałem o studiu Orpheus -- Eddie zawahał się, zanim mówił dalej — Może zabierzesz mnie ze sobą? Przynoszę ci szczęście czy nie?
— Zgrywasz się, Eddie?
— Nie, Mickeyu. Szukam pracy.
— Przecież masz pracę.
— Krążą plotki, że Lucky Santangelo robi czyskę — wziął scenariusz, popatrzył na niego niewidzącymi oczyma i odłożył. — Zabierz mnie z sobą, co?
Mickey westchnął. Kiedy Eddie przestanie prosić go o przysługi?
— Zrób ze sobą porządek i zobaczymy, co się da zrobić — powiedział.
— Porządek? — Eddie wyglądał na urażonego. — Nie mam żadnych problemów. Jasne.
— Mówię ci, Eddie, jesteś nałogowcem. Zgłoś się do jakiegoś lekarza od uzależnień i wtedy pogadamy — przerwał. — Słuchaj, czy to nie twoją żonę widziałem u Madame Loretty?
Eddie się zaczerwienił.
— Zwariowałeś?
— A jeśli to była ona, co tam robiła? Teraz naprawdę się zdenerwowałem.
— Kup sobie okulary, Mickeyu.
— A ty się popraw.
— Gównu prawda.
— Panther zejdzie na psy, kiedy odejdę — chwalił się Mickey. — Wszyscy za mną pójdą. Johnny Romano, Arnie i Frankie, Susie.
Eddie spojrzał groźnie.
— Tak, weźmiesz wszystkich, tylko nie mnie. Prawda?
— Powiedziałem ci, wyjdź z tego i jesteś ze mną.
Wyjdź z tego. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Kiedy był naćpany, miał wrażenie, że jest panem świata. Ale kiedy był „w porządku”, czuł, że nie jest wart tego świata. Dlaczego nie mógł dalej żyć, jak mu się podoba? Dlaczego wszyscy go prześladowali?
Zostawił Mickeya i pojechał do domu. Leslie akurat oprowadzała po domu pośredniczkę w handlu nieruchomościami. Spojrzał nieprzyjemnie na obie kobiety. Leslie próbowała go przedstawić.
— Daj spokój — powiedział nieuprzejmie. — Nie sprzedajemy. Pośredniczka była zaskoczona.
— Co pan chce powiedzieć, panie Kane? Wydawało mi się, że jesteśmy już umówieni.
— Nic z tego, kochanie. Postanowiliśmy nie sprzedawać.
— Eddie? — powiedziała Leslie, policzki jej płonęły.

Pośredniczka czuła, jak jej prowizja rozplywa się w powietrzu -**Chyba** powinien pan jeszcze raz przemyśleć tę decyzję, panie Kane — powiedziała zdenerwowana. - Skoro raz się decyduje na sprzedaż domu, pozostawanie w nim nie jest dobrym pomysłem.

— Spływaj — powiedział Eddie.

— Panie Kane...

— Wynocha! Pośredniczka wyszła.

— Co się stało, Eddie? — zapytała Leslie.

— Sprawy się ułożyły. Nie mam długu.

— Tak?

— Tak. Chodź, kochanie, wychodzimy

— Dokąd?

— Zrobię ci niespodziankę.

*

Mickey właśnie opróżniał szuflady w swoim biurku, kiedy weszła Lucky. Podniósł głowę i ich oczy się spotkały. Oparła się o framugę i patrzyła na niego.

— Cóż, panie Stolli — powiedziała — pnie się pan w górę.

— Tak — potwierdził.

Co to ma być, dzień widzeń?

— Cieszę się — powiedziała. — Nie będę musiała pana zwalniać, prawda?

Spojrzał na nią, jakby była kopnięta.

— Zamierzałaś mnie zwolnić?

— Czy to dziwne?

— Tak. Właściwie bardzo.

— Dlaczego?

— Taka laska z Nowego Jorku jak ty nie może mieć pojęcia o przemyśle filmowym. Potrzebujesz mnie.

— Tylko tyle masz do powiedzenia?

— A co mam mówić? Co najmniej dziesięć lat budowałem to studio, a Abe za moimi plecami sprzedaje je tobie. Nie pracowałem dla ciebie, kochanie. Nawet gdybyś była ostatnią samicą w mieście.

Nie ruszyło jej to.

— Naprawdę? Nie śmiałyś się, gdybyś miał pracować na własne konto. Roześmiał się. — Twój mąż ci to naopowiadał? Pozwól, że powiem ci prawdę. Lennie Golden nie jest taki doskonały. Przeczytaj raporty.

— Nie mówiłam o Lenniem.

Do pokoju weszła Brenda, jedna z sekretarek Eddiego Kane'a. Spinała włosy w kok i było jej w tym do twarzy.

— Podarłam te papiery, którymi kazał mi się pan zająć, panie Stolli — powiedziała spoglądając na Lucky.

Musi ją obejrzyć, żeby mogła opowiedzieć dziewczynom, jak wygląda nowa szefowa.

Mickey rzucił jej nieprzyjemne spojrzenie.

— Jakie papiery? — zainteresowała się Lucky.

— Dokumenty osobiste — szybko powiedział Mickey. — Nic ważnego.

— Jeśli to dotyczy studia, wolałabym, żebyś niczego nie darła — powiedziała Lucky.

— Na to już za późno — uśmiechnął się triumfująco Mickey. Pierdoli ją. Niech nie myśli, że ma do czynienia z byle kim.

— Wynoszę się — powiedział, nakazując Brendzie gestem opuścić pokój. Lucky podeszła i usiadła na krześle za jego biurkiem.

Brenda marudziła przy drzwiach, bardzo ciekawa rozmowy.

— A... jak się ma Warner? — zapytała od niechcienia Lucky. Mickey aż podskoczył.

— Co?

— Warner Franklin, ta czarna policjantka, którą odwiedzałeś dwa razy w tygodniu. A twój dzieciak w Chicago? Ten, któremu co miesiąc posyłałeś czek? Czy ożeniłeś się kiedyś z jego matką? Czy to tylko jedna z twoich dziewczyn?

Twarz Mickeya stała się purpurowa. Spojrzał na Lucky i nerwowo machnął ręką w stronę Brendy, nakazując jej odejść. Dziewczyna wyszła. Mickey wpadł we wściekłość.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytał szorstko. Zaczęła mówić głosem typowym dla Luce.

— Pracowałam dla pana, panie Stolli. Podlizywałam się panu, panie Stolli. Był pan takim czarującym szefem. To przyjemność pracować dla pana.

Patrzył na nią, jakby nie dowierzał własnym oczom. To nie była... nie mogła być...

— Tak — skinęła głową, potwierdzając fatalną wiadomość. — Ja byłam Luce. Małą Luce, którą tak pomiatałeś. Zdumiewające, ile może zrobić przebranie.

Rumieniec pogłębił się na jego twarzy, teraz obejmował nawet czoło.

— Ty szpiegująca dziwko. Dlaczego to zrobiłaś?

— Abe i ja pomyśleliśmy, że to zabawne. Wiesz, dowiedzieć się, co porabia jego ulubiony zięć-łajdak. Tak nazywa ciebie i Bena: zięciowie-łajdacy.

— Powiem ci coś — rzucił gniewnie Mickey. — Może jesteś bogatą babą z kupą forsy, ale na tym interesie stracisz wszystko, ponieważ studio upada. Idzie na dno. Zabieram wszystkich ze sobą. Tobie zostaną tylko ochłapy.

Spokojnie wyszła z pokoju, natykając się na Brendę, która udawała, że wcale nie podsłuchuje.

— Brendo, kochanie — powiedziała chłodno — zadzwoń po brygadę dezynfekującą. Chcę, żeby to biuro było czyste, kiedy się wprowadzę.

— Dokąd jedziemy, Eddie? — zapytała po raz szósty Leslie.

— To niespodzianka. Zobaczysz, kochanie — powiedział pochylając się i głaszcząc ją po kolanie. — Odpręż się.

Nie mogła się odprężyć. W ogóle nie mogła. Eddie coś knuł, a ona nie wiedziała, czego się spodziewać.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

Rozmiary nagonki prasowej przeraziły Deenę. Brak wiadomości od Martina zatrwożył ją jeszcze bardziej.

Dni mijały, a jej gniew narastał. W końcu zostawiła Gertrudzie groźną wiadomość.

— Przekaż panu Swansonowi, że jeśli nie zadzwoni do mnie w ciągu najbliższej godziny, powiem Adamowi Bobo Grantowi coś, czego będzie bardzo żałował.

Poskutkowało. Za godzinę Martin zatelefonował.

— Jak miło cię słyszeć — powiedziała chłodno Deena.

— Mój Boże! Nie masz pojęcia, jak tu jest!

— Ja nie mam pojęcia? — spytała Deena lodowatym tonem.

— Usiłuję przejąć studio — powiedział jak gdyby nigdy nic Martin. — Mam różne spotkania przez dwadzieścia sześć godzin na dobę. Za każdym razem, kiedy jestem przy telefonie, pora nie jest odpowiednia, aby do ciebie dzwonić.

— Naprawdę, Martin?

— Poza tym, nie lepiej będzie, jeśli porozmawiamy, kiedy wrócę?

— A kiedy wracasz? Zastanowił się szybko.

— Będę w Nowym Jorku na weekend.

— Jesteśmy zaproszeni na przyjęcie w sobotę. Mogę na tobie polegać? Będzie dobrze, jeśli ludzie zobaczą nas razem. Zgadasz się ze mną?

Zawahał się, nie chciał podejmować tego tematu, ale nie mógł też dłużej jej ignorować.

— Nie jesteś na mnie wściekła, prawda? — zapytał. — To zdjęcie to fotomontaż.

Moi adwokaci już nad tym pracują. Podamy ich do sądu.

— Tak?

— A nie sądzisz, że powinniśmy?

— Jak chcesz, Martin. Sam powiedziałeś, porozmawiamy kiedy wrócisz. Czy

Martin naprawdę myślał, że da się nabrać? Czy uważał, że ona uwierzy, że zdjęcie jest fotomontażem?

Bardzo chciała porozmawiać o tym z Effie, ale niestety Effie nie odbierała telefonu. Najwyraźniej nadal miała pretensję o to zdjęcie z Paulem.

Deena postanowiła wszystko wyjaśnić. Posłała jej liścik, w którym prosiła o rozmowę. Jeśli Effie naprawdę jest jej przyjaciółką, zadzwoni. Paul Webster dzwonił trzy razy. Deena nie oddzwaniała do niego. Dość miała kłopotów. Ostatnim jej zmartwieniem był Adam Bobo Grant. Bardzo ją zasmuciło, że zdradził wszystkie sekrety, które mu powierzyła. Teraz jej wyznania zdobiły pierwszą stronę „The New York Runner”.

Deena Swanson kocha swojego męża i nie porzuci go. „Cokolwiek się stanie — mówi — Martin i ja nie damy wiary tym ohydnych plotkom”.

Wiele mają do omówienia, więc kiedy Martin wróci, muszą się za to wziąć.

Jej plany co do Venus Marii rozwijały się bez przeszkód. Niedługo będzie gotowa, żeby zadziałać.

Abigaile nie darmo była wnuczką Abe'a Panthera. Miała w sobie nieco złośliwości i szybko postanowiła dać nauczkę Mickeyowi Stolliemu. Upokorzył ją i Tabithę.

Ośmieszył je publicznie i nikt poza nią się tym nie przejmował.

Jej przyjaciółki przyjęły wiadomość o złapaniu Mickeya w burdelu jako irytującą, nic więcej.

— Nie zwracaj na to uwagi — radziły. — Większość mężczyzn tak się zabawia. To nie szkodzi, póki nie sprowadzają ich do domu.

Ale Mickey sprowadził to do domu. Nie można bardziej przynieść tego do domu, niż na pierwszej stronie „Los Angeles Times”.

Gdy Primrose i Ben użerali się z adwokatami, ona siedziała i rozmyślała. Szybko wyjaśniło się, dlaczego Mickey nie chce walczyć o odzyskanie studia Panther. Ma nową pracę. Dostał posadę dyrektora studia Orpheus,

Abigaile skrzywiła się. Będzie chłopakiem Martina Swansona, to wszystko. Czy nie zdaje sobie z tego sprawy? Mickey nie ma pojęcia, jak to jest, kiedy pracuje się dla kogoś. Nigdy nie musiał spowiadać się przed Abe'em, ale nie uniknie tego wobec Martina Swansona.

Kiedy tak siedziała i myślała, przyszła jej do głowy sekretarka Mickeya, Luce. Dała jej numer Warner Franklin. Potem pomyślała o Warner Franklin, olbrzymiej czarnej policjantce. Dlaczego Luce dała jej ten numer? I dlaczego Mickey tak kiepsko się tłumaczył? Nic nie rozumiała. Ale jeśli pomyślała o tym wystarczająco długo...

Abigaile wróciła do „Los Angeles Times” i ponownie przeczytała artykuł o Mickeyu. Aresztowano go w towarzystwie skośnookiej pani miłości.

Skośnooka... czarna... Słowa Warner Franklin zaczęły do niej powracać.

— Jestem kochanką twojego męża — powiedziała kobieta przez telefon. Kochanką twojego męża.

Abigaile przetrząsnęła biurko w poszukiwaniu numeru Warner Franklin. Nie znalazła. Ale pamiętała, gdzie baba mieszka.

Abigaile chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Jeśli Mickey zamierzał ją zostawić, nie ujdzie mu to bezkarnie. Będzie musiał zapłacić. Będzie musiał zapłacić!
Abigaile wsiadła do swojego mercedesa i skierowała się do Hollywood.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

Pierwszy tydzień w studio minął Lucky bardzo szybko. Spotkania, spotkania i jeszcze raz spotkania. Musiała podejmować decyzje, jedne filmy zatrzymać, inne kręcić dalej, rozmawiała o dystrybucji, produkcji próbnej, montażu, redagowaniu i o interesach. Nagle Lucky poczuła, że bierze udział w procesie twórczym. Chodziła na spotkania scenarzystów, czytała raporty dzienne, przeglądała fragmenty filmów, decydowała o podziale pieniędzy. W nocy, całkowicie wyczerpana, czytała scenariusze.

— Nie musisz nic robić — powiedział jej Morton Sharkey, sam jednak śmiał się na myśl, że tak może być. — Masz ludzi, którzy zajmą się codziennymi sprawami. Ty masz podejmować tylko ważne decyzje.

Lucky jednak już w to wpadła.

— Muszę trzymać rękę na pulsie — powiedziała pełna entuzjazmu. — To moje decyzje.

W piątek pojechała z Boogiem na lotnisko, odebrać Bobby'ego i Cee Cee, jego jamajską opiekunkę. To bardzo radosna chwila. Syn wypadł z samolotu prosto w jej ramiona.

Bobby miał sześć i pół roku i był wspaniały.

Lucky porwała go i uniosła w górę.

Po chwili chłopiec poczuł się zakłopotany.

— Mamo, postaw mnie, jestem za duży — wrywał się. Zmiażdżyła go pocałunkiem.

— Jesteś mój — zawołała. — Mój! Mój! Mój!

Bobby paplał przez całą drogę, Cee Cee tylko się uśmiechała.

— Gdzie Lennie, mamo? — zapytał synek, kiedy dojechali do domu.

— Pracuje, kochanie. Bobby był dociekliwy.

— Czy przyjedzie niedługo?

— Oczywiście — powiedziała, mimo że do tej pory nie miała od niego żadnej wiadomości.

Bardzo była tym zawiedziona. Miała nadzieję, że do tego czasu Lennie przestanie się złościć i zadzwoni, żeby wszystko naprawić.

— Gdzie Brigitte? — Bobby zadał następne pytanie.

Lucky kilkakrotnie próbowała skontaktować się z Brigitte, ale jej nie zastała.
— Spróbuję teraz — obiecała. — Może ją przekonamy, żeby szybko do nas przyjechała. Chciałbyś?

Bobby bardzo chciał.

Lucky po raz kolejny zadzwoniła do Websterów.

— Tym razem masz szczęście — powiedziała Effie Webster. — Jest tu. Poczekaj chwilę.

Brigitte wydawała się optymistycznie nastawiona.

— Lucky! Tak mi przykro, że się stale mijamy. Co u ciebie słysząc?

— W porządku — odpowiedziała. — Ważniejsze jest, co u ciebie słysząc. Podoba ci się w Nowym Jorku?

— Jest świetnie. Czy jest z tobą Bobby?

— Dlatego dzwonię. Odebrałam go dziś z lotniska i jest bardzo zawiedziony, że cię tu nie ma. Mam nadzieję, że przyjedziesz.

Brigitte się zawahała.

— Nie byłam pewna, czy nadal nas chcesz. Czy „nas” oznaczało ją i Lenniego?

— Oczywiście, że chcę. Lennie powiedział mi, że spędzimy razem lato.

— Tak, wiem — powiedziała niepewnie Brigitte. — Ale mnie powiedział, że... trochę się pokłóciliśmy... więc zmieniliśmy plany.

— Kto zmienił plany?

— W zasadzie Lennie. Zabiera mnie i moją przyjaciółkę na południe Francji.

Lucky poczuła nieprzyjemne mrowienie. Lennie zaplanował wakacje bez powiadomienia jej. Wyjeżdżał bez słowa. Czy tyle znaczył dla niego ich związek? Jezu! Wcale go nie obchodziła!

— Na jak długo jedziecie? Brigitte nie była pewna.

— Lennie powiedział, że na dziesięć dni, albo na dwa tygodnie. Lucky wzięła głęboki oddech. Wplątywanie w to Brigitte nie było uczciwe.

— To wspaniale. Może kiedy wróciecie, przyjedziesz do Malibu?

— Bardzo chętnie — powiedziała wesoło Brigitte. — Mogę zabrać przyjaciółkę?

— Jasne — Lucky przerwała, potem ostrożnie dodała: — Przy okazji, widziałam „Truth and Fact”. Kim jest ten chłopak, z którym zrobiono ci zdjęcie?

— A, Paul. Nikt taki — powiedziała spokojnie Brigitte. — To tylko brat Nony.

Wiesz, że ci głupi reporterzy zawsze za mną łażą, kiedy tylko dowiedzą się, gdzie jestem.

— Tak się tylko zastanawiałam — powiedziała Lucky. — Nie chciałabym, żebyś znów wplątała się w jakieś kłopoty.

— Lucky, byłam dzieckiem, kiedy stało się to z Timem Wealthem. Teraz jestem dorosła.

Nie całkiem.

Mam siedemnaście lat. To dużo. Ty w moim wieku uciekłaś z mamą do Francji. A kilka miesięcy później wyszłaś za męża.

Prawda. Nie mogła zaprzeczyć. Ona i Olimpia. Zupełnie wolne, dopóki Gino i Dimitri nie przyjechali zabrać do domu córek marnotrawnych. Potem wymuszone małżeństwo z Cravenem Richmondem — najbardziej interesującym człowiekiem świata.

— No dobrze, kochanie. Tylko martwię się o ciebie.

— Niepotrzebnie, Lucky. Umiem o sobie zadbać.

— Świetnie. Zadzwoń, kiedy wrócisz.

— Obiecuję.

Lucky odłożyła słuchawkę i poszła poszukać Bobby'ego. Bawił się na plaży. Biegał, pływał, tarmosił psa sąsiadów. Później, zmęczony, zasnął przed telewizorem.

Podniosła go, zniosła do łóżeczka i otuliła kołderką. Potem przeczesła ciemną grzywkę. Wyglądał jak Gino. Oliwkowa skóra, czarne oczy, wywinęte rzęsy — miniaturowy Gino. Boże! Jak go kochała! Pocałowała go i wyszła z pokoju.

W nocy najbardziej odczuwała samotność. Nie mogła znieść myśli, że z Lenniem może być wszystko skończone. To zbyt bolesne. Po chwili poszła do sypialni i zadzwoniła do niego, mimo że obiecywała sobie, iż nigdy tego nie zrobi. To on się obraził. On powinien uczynić pierwszy krok. Ale co z tego?

Podniósł słuchawkę przy trzecim dzwonku.

— Słucham?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Rzadko brakowało jej słów. Po długiej, bolesnej ciszy odłożyła słuchawkę.

Jeśli Lennie naprawdę ją kocha, odnajdzie ją. Przyleci do Kalifornii i wszystko będzie dobrze. Ze smutkiem uświadomiła sobie, że on tego nie zrobi. Wsunęła się pod kołdrę i spała niespokojnie. Sen nie przyszedł łatwo. Tak za Lenniem tęskniła.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

Martin Swanson wrócił do Nowego Jorku. Wyjeżdżał jako znany biznesmen, wracał jako gwiazda telewizji. W magiczny sposób przyciągnął uwagę spragnionej sensacji publiczności. Był dość młody, niesłychanie bogaty. Afera dotyczyła seksu. Czegóż więcej potrzeba na nagłówek prasowy w latach osiemdziesiątych?

Deena przywitała to, jakby nic się nie stało.

— Nie możemy zignorować sytuacji — powiedział, przechodząc do sedna sprawy.

— Musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

— Ty musisz spojrzeć prawdzie w oczy — powiedziała Deena, próbując powstrzymać wybuch wściekłości. — Czy chcesz być z tą... z tą kobietą? Czy Deena chciała powiedzieć, że może być z Venus Marią a jednocześnie utrzymać małżeństwo? Bardzo by mu to odpowiadało. Może nie będzie musiał niczego zmieniać.

— Nie zastanawiałem się nad tym — skłamał, ponieważ poza rzeczami dotyczącymi przejęcia studia nie myślał o niczym innym. — Venus Maria jest niezwykła — dodał ostrożnie.

Deena zmarszczyła brwi.

— Niezwykła? — zachnęła się. — Niezwykła jako tancerka, pisarka czy może prawniczka? Jak niezwykła? Czy wystarczająco, żebyś zrezygnował z połowy swoich pieniędzy?

— O czym ty mówisz?

— Jeśli zastanawiałeś się nad rozwodem, musiałeś brać to pod uwagę.

— Chcesz rozwodu? Czy o to ci chodzi?

— Mówię, że nie lubię być śledzona przez prasę i nie lubię, kiedy gazety piszą o moim życiu osobistym. To przykre i upokarzające. Czuję się głupio.

— Tak, pozwól tylko ci przypomnę, że piszą o nas wszystkie gazety, ponieważ udzielasz wywiadów Adamowi Bobo Grantowi. Dlaczego nie powiesz temu gnojkwowi, żeby się odczepił?

— Bobo okazał się prawdziwym przyjacielem. A do ciebie nie mogłam się nawet dodzwonić. To nie jest w porządku, Martin.

— Wiesz, jaki jestem, kiedy podpisuję kontrakt — powiedział.

— Nie wydawało ci się, że to wystarczająco ważna sprawa, żeby ze mną porozmawiać?

— Deena, już jestem. Czego jeszcze chcesz?

— Chcę, żebyś przestał się z nią widywać.

No! Powiedziała to! Jej słowa zawisły w powietrzu. Po raz pierwszy wspomniała Martinowi cokolwiek o jakiejś kobiecie. Teraz on może zgodzić się i wszystko wróci do normy. Deena wstrzymała oddech. To przełomowa chwila.

— Daj mi czas do namysłu — powiedział Martin, nie patrząc jej w oczy. Deena westchnęła. Jeśli o nią chodzi, Venus Maria już nie żyje.

Dennis Walla miał rację. Kiedy wyznania Emilia Sierry o sławnej siostrze ukazały się w kioskach, „Truth and Fact” pobiła kolejny rekord sprzedaży. Dwa tygodnie pod rząd — nieźle. Gwiazdy sprzyjały Dennisowi. Czytelnicy nigdy nie mieli dość wielkich pieniędzy, władzy i występnego seksu. Uwielbiali takie połączenie.

Dennis Walla codziennie kontaktował się z Adamem Bobo Grantem. Dostarczał mu pewnych informacji, które Bobo wykorzystywał w swojej kronice towarzyskiej.

Dwaj ludzie obserwowali Venus Marię przez całą dobę — fotograf i Bert Slocombe. Donosili o wszystkim, co zrobiła. Nawet nauczyli się rozpoznawać

ją w przebraniu. Czasami nosiła czarną perukę, kiedy indziej ubierała się w ogromny kapelusz i ciemne okulary. Czasem wybiegała z domu bez makijażu i z kitką — miała nadzieję, że jej nie poznają. Niekiedy przebierała się nawet za służącą. To jakby gra, a oni wygrywali. Zwykle po prostu udawała, że ich nie widzi i pędziła do samochodu. Kiedy była bardziej zdenerwowana, potrafiła wykonać jakiś nieprzyzwoity gest. Opanowali jej dom, studio, sale prób. Nie mogła zrobić kroku bez ich wiedzy.

Z Martinem Swansonem sprawa nie była taka prosta. Dennis poświęcił mu dwóch kolejnych reporterów.

Niezależny fotograf zrobił zdjęcie Martina i Venus Marii w hotelu Bel Air. „Truth and Fact” odkupiła je, zamierzali puścić je na stronie tytułowej następnego wydania i podpisać wielkimi literami: „Gniazdko zakochanych odkryte”. „Bilioner i tancerka”.

Po raz trzeci z rzędu odniosą sukces.

Czy Dennis miał jakieś wyrzuty z powodu wtrącania się w cudze życie prywatne? Nie. Wiedział, że robi coś dobrego i nie czuł się winny.

Po powrocie z Hawajów, zadzwonił do niego skomlący Emilio.

— Siostra zostawiła mi wiadomość: mam się odpieprzyć. Jest na mnie wściekła — gderał. — I to zanim pojawiła się moja historia.

— Twoja historia jest już w kioskach — poinformował go Dennis. — Przeczytaj. Pieprzne. Będziesz dumny, bracie.

Wycieczka na Hawaje kosztowała Emilia więcej, niż się spodziewał. Chętnie zarobiłby jeszcze trochę na tym wywiadzie. W końcu Venus Maria nie będzie chciała z nim więcej rozmawiać.

— Mam jeszcze coś dla ciebie — powiedział nie nasyconemu Denni-sowi.

— Tak? Co? — zapytał chciwie Dennis.

— Parę kawałków o Venus Marii, które mi się przypomniały. O przyjaciółkach, z którymi chodziła do szkoły, o pierwszym chłopaku — takie sprawy.

Dennis się zainteresował.

— Masz coś takiego?

— Tak. Ile możesz za to zapłacić?

— Powiedz mi dokładnie, co wiesz, i zobaczymy — zdecydował Dennis.

— Już ci powiedziałem. Przyjaciele ze szkoły, chłopcy — co cię interesuje.

— Opowiedz mi o tym, jak straciła cnotę, a zobaczę, ile to warte. Emilio postanowił wrócić do Nowego Jorku. Pogrzebie trochę i może znajdzie to, o co chodzi Dennisowi.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

Cooper czekał na Lucky przy wejściu do sali kinowej. Ubrany swobodnie, jak zwykle wyglądał dobrze. Pokazywali *Dumnego*, a Lucky chciała to obejrzeć. Przyjrzała się Cooperowi i zastanawiała się, czy będzie kiedyś miała ochotę na przespanie się z jakimś facetem. Przed Lennie robiła, na co miała ochotę. A jeśli ich związek się skończył? Co dalej? Pójść do łóżka z kimś w latach osiemdziesiątych to cienka sprawa. Bardzo niebezpieczna.

— Venus do nas dołączy — powiedział Cooper, biorąc ją za rękę i wprowadzając do środka.

— Miałam nadzieję, że przyjdzie.

— Jak ci idzie? Podoba ci się prowadzenie studia?

— To bardzo absorbujące — powiedziała, siadając w ostatnim rzędzie.

— Słyszałem, że wylałaś Lubieżnych Kawalerów — stwierdził zajmując miejsce obok niej.

— Tak nazywa ich Lennie.

— Wszyscy ich tak nazywają. Wytoczą ci proces? Wzruszyła ramionami.

— Kto wie? Co mnie to obchodzi? Studio dobrze stoi. Powiedziałam, że będę honorować ich kontrakt, ale nie pozwolę nakręcić ani jednego z ich kretyńskich filmów. Jeśli chcą robić takie gówno, mogą się przenieść gdzie indziej.

— Rozumiem — powiedział. — Mądre posunięcie.

— Nie sądzę, żeby wytoczyli mi proces, prawda? Poza tym krążą plotki, że pójdą z Mickeyem.

Uśmiechnął się.

— Aha, Mickey, Arnie i Frankie. Dobrana drużyna. W końcu przybiegła Venus Maria.

— Ci fotoreporterzy doprowadzą mnie do szału! — narzekała. — Koczują pod moim domem jak zgraja Cyganów. Kilku mało co nie przejechałam dziś rano.

Cooper pocałował ją w policzek.

— Może trzeba było.

— No jasne. Już widzę te nagłówki: „Venus Maria — zabójczynią dziennikarzy”.

Lucky podeszła do telefonu i kazała Harry'emu puścić film.

Od chwili, kiedy na ekranie pojawiła się Venus Maria, nie było wątpliwości, że film jest jej. Wyglądała wspaniale, a grała jeszcze lepiej. Nawet Cooper zdawał sobie z tego sprawę, jednak się nie martwił. Dzięki temu wypadł lepiej jako reżyser.

— Boże! Nienawidzę oglądać samej siebie! — zawołała Venus Maria zakrywając oczy. — To takie okropne. Boże! Widzicie, jakie mam wielkie zęby? A włosy — nie cierpię moich włosów.

Cooper wziął ją za rękę i uściskał.

Zamknij się — powiedział stanowczo. — Spójrz wreszcie prawdzie w oczy. Jesteś gwiazdą.

Cooper też nie był zty. Na ekranie prezentował swój urok osobisty oraz umiejętność śmiania się z samego siebie. Występ prawdziwego mistrza.

Kiedy zapalono światła, Lucky powiedziała pewna swego:

— To będzie bomba. Mimo faktu, że powstał za rządów Mickeya Stolliego.

— Miałem niejaki wpływ na ten film — przypomniał Cooper. — Mickey chciał siedemnaście nagich dziewczyn w początkowych scenach, ale nie pozwoliłem na to. Powiedziałem, żeby dał spokój.

— Jak myślicie — spytała niecierpliwie Venus Maria — dobrze wypadłam?

Lucky nie spodziewała się, że Venus Maria może potrzebować tego typu zapewnień. Nie widziała?

— Jesteś bardzo naturalna — zapewniła ją. — Rozjaśniasz ekran. Naprawdę.

— Tak?

— Tak. Zostaniesz wielką gwiazdą. Osobiście zajmę się rozpowszechnianiem tego filmu.

— Dobra — przerwał sucho Cooper. — Bud Graham już szykuje plakat. Naga Amazonka otoczona tuzinem nimf z nagimi gorejącymi biustami.

Wszyscy się roześmiali. Reputacja Buda Grahama wyprzedzała go samego.

Lucky zaproponowała, aby zjedli razem lunch. Poszli do baru Columbia, gdzie pochłonęli tony spaghetti i obgadali wszystkich w studio.

Kiedy wychodzili, napotkali tłum dziennikarzy. Wieści roznosiły się błyskawicznie.

— Jezu! — krzyknęła Venus Maria. — Nie można już nigdzie pójść. Słuchajcie, dajmy im zdjęcie, jakiego nie zapomną. Lucky, weź Coopera za drugą rękę.

Obie objęły Coopera i uśmiechnęły się do kamer. Fotoreporterzy szaleli z radości. Venus Maria zachichotała.

— To da im trochę do myślenia.

— Trudno uwierzyć, jak wiele sensacji wzbudza Martin — stwierdził zdziwiony Cooper. — Z konserwatywnego, nikomu nie znanego nowojorskiego biznesmena przekształcił się w supermana.

— Nie był taki nieznany — wtrąciła Venus Maria.

— Owszem, ale nie był też Warrenem Beattym — poprawił ją Cooper. — Teraz figuruje w każdej gazecie w całym kraju. Walczący Swansonowie. Co w ogóle się z nimi dzieje?

Venus Maria wzruszyła ramionami.

— Myślisz, że wiem? Jedna noc w hotelu w Bel Air nie wyjaśni niczego.

— Jedna noc? — spytał Cooper.

— Był zbyt zajęty przejmowaniem Orpheusa.

— To się zgadza. Najpierw interes.

— W każdym razie jutro wraca do Nowego Jorku. Chyba wszyscy się wtedy dowiemy. Niedługo zacznym zdjęcia do nowego teledysku, najbliższe parę tygodni będę całkowicie pochłonięta. Marton zdecyduje, jak zechce.

Lucky stwierdziła, że coraz bardziej lubi Venus Marię. Dziewczyna ma charakter. Robi co chce i w taki sposób, jak chce. Była podobna do Lucky.

Bobby i opiekunka zamieszkali już w Malibu, jednak Bobby nie przestawał dopytywać się o Lenniego i Brigitte. Żeby go czymś zająć, Lucky posłała po jednego z jego kolegów szkolnych z Anglii.

W końcu Lennie zadzwonił.

— Cześć — powiedziała Lucky wstrzymując oddech.

Miała nadzieję, że powie: „Przepraszam, zachowałem się jak głupek. Już do was jadę, przejdziemy przez wszystko razem”.

— Lucky, co jest z moim kontraktem, do cholery? — zapytał szorstko.

— Myślałam, że będziesz zadowolony — odpowiedziała. — Panther zwalnia cię z wszelkich zobowiązań. Możesz podrzeć ten kontrakt.

Nie był tak zadowolony, jak się spodziewała. — Niesłychane — zauważył.

— Tego chciałeś, prawda?

— Oczywiście.

— Nie musisz się już martwić, że ktoś wytoczy ci proces.

— A więc zamierzałaś wytoczyć mi proces, tak?

— Nie ja, Lennie. Skoro nie ma Mickeya, ja tu siedzę — zawahała się na moment.

— Gdybyś chciał, mógłbyś być tu ze mną.

— Lucky, chyba już to omówiliśmy.

Lennie naprawdę potrafił być nieznośny. Jej głos stwardniał.

— Po co dzwonisz? Żeby podziękować za rozwiązanie kontraktu? Tak?

— Chciałem powiedzieć... Jezu, nie wiem. Co się z nami dzieje? Dał jej szansę i postanowiła to wykorzystać. — Gdybyś przyleciał na weekend, moglibyśmy o tym pomówić. Bardzo tego potrzebujemy, Lennie. Chętnie wysłucham twoich argumentów, jeśli ty zechcesz posłuchać moich. Nastąpiła długa cisza.

— Nie, to nie wypali. Zabieram Brigitte do Francji. Jutro wyjeżdżamy. Lucky nie miała zwyczaju nikogo prosić, ale Lennie wart był poświęcenia.

— Moglibyśmy być tu wszyscy razem. Nie chcesz tego?

— Nie, Lucky — powiedział zdecydowanie, jakby długo o tym myślał. — Nie mogę przylecieć dlatego tylko, że tak ci pasuje.

— Nie rozumiem.

— Ty kierujesz studiem. Jesteś w Los Angeles. Wpiszesz nas jakoś w swój rozkład zajęć. Ale jak będzie następnym razem? Kiedy postanowisz

kupić hotel w Hongkongu albo w Indiach? Mam siedzieć i czekać? Lucky, pamiętaj, że nie należę do ludzi, którzy czekają. Słowa uwięzły jej w gardle.

— Chcesz rozwodu?

— A ty?

— Jeśli nie mamy być razem...

— Słuchaj, jeśli tego chcesz...

— Nie powiedziałam tego.

— Cóż, porozmawiamy później — odłożył słuchawkę.

Nie mogła uwierzyć, że mógł posunąć się aż tak daleko. Najpierw czuła się nieszczęśliwa, potem zła. Czego od niej chciał? Dziecka. Bosa i w ciąży. Prawdziwa żona.

Niech to! Miała coś do zrobienia, a jeśli mu się to nie podobało — jego sprawa.

Zadzwoiła do Mary Lou i spytała, czy nie przyjechaliby ze Stevenem i z dzieckiem na kilka tygodni.

— Świetny pomysł — ucieszyła się Mary Lou. — Najpierw zapytam dzidziusia, potem zmuszę Stevena.

— Jak Carioca Jade?

— Wspaniale!

— Kiedy znów zaczniecie zdjęcia?

— Nie uwierzysz, ale właśnie wszystko odwołano. Zajmę się dzieckiem i poczekam, co się stanie.

— Martwisz się?

— Jasne. Ale Steven się cieszy. Chce, żebym siedziała w domu i zmieniała pieluchy.

— Oczywiście — powiedziała sucho Lucky.

— Steven jest taki tradycyjny — wyjaśniła Mary Lou. — Ale muszę iść na pewne ustępstwa, widzę, że sprawia mu to przyjemność.

Lucky pomyślała o Stevenie. Tęskniła za nim. Doszła do wniosku, że nigdy nie ma dość czasu dla ludzi, na których jej naprawdę zależy.

— Może jak tu przyjedziesz, zagrasz w jakimś filmie. Co o tym sądzisz? Mary Lou się roześmiała.

— W filmie?

— Jesteś gwiazdą telewizji. Czemu nie?

— Dobry pomysł — powiedziała wesoło Mary Lou. — Powiem Steve-nowi. Chyba popełni samobójstwo. On uważa, że nie powinnam wracać do pracy.

— Ci faceci! — powiedziała Lucky.

— Tak — potwierdziła Mary Lou.

Zaraz po tej rozmowie Lucky zadzwoniła do Gina i zaprosiła go. Szybko dał się namówić.

— Czuję się zmęczony, dziecino — powiedział znużonym tonem.

— Rozmawiałaś z Paige? — spytała.

Wiedziała, że Paige zawsze potrafi dodać ojcu energii.

— Nie. Ona wie, co czuję. Jeżeli nie zostawi Rydera, nie chcę się z nią widywać.

— Daj spokój, Gino. Oboje z Paige byliście stałymi gośćmi w różnych hotelach.

Czy fakt, że ona ma męża, robi jakąś różnicę?

— Na starość zaczynam przywiązywać wagę do moralności. Jak ci się to podoba?

— Uwierzę dopiero, kiedy to zobaczę.

— Zobaczysz.

— Oczywiście.

Obiecał, że przyleci jak najszybciej. Nie mogła doczekać się przyjazdu gości. Może kiedy dom wypełni się ludźmi, uda jej się oderwać myśli od Lenniego.

Tymczasem studio pracowało pełną parą. Zdecydowała, że wśród członków rady najwartościowisi są Zev Lorenzo, Ford Werne i Teddy T. Lauden. Wiedziała, że będzie musiała zgodzić się na odejście Eddiego Kane'a. Bud Graham też nie zatańczy, jak ona mu zagra. Nie podjęła jeszcze decyzji co do Granta Wendella.

Lubieżni Kawalerowie na pewno wylecą. Oczywiście, już zagrozili procesem.

— Na jakiej podstawie? — zapytała Lucky. — Macie kontrakt na trzy lata. Wy robicie filmy, a studio za nie płaci, ale najpierw musi je zaakceptować. Słuchajcie, mogę wam płacić, jeśli chcecie tu siedzieć i bawić się ze sobą. Może tak zrobimy? Kazali jej wsadzić sobie kontrakt gdzieś i wyszli. Ben Harrison poprosił o spotkanie. Przyszedł i powiedział, że chciałby zostać i wziąć pracę Mickeya.

— Ja pełnię obowiązki Mickeya — powiadomiła go. Co oni sobie wyobrażali? Że to gra towarzyska?

Postanowiła, że Ben może prowadzić sprawy w Europie, dopóki nie przekona się o jego umiejętnościach. Abe obu nazywał łotrami, ale może mylił się co do Bena. Najważniejsze to wprowadzić studio na właściwą drogę. Koniec z bezsensowną przemocą. Koniec z gołymi cyckami.

Wkrótce po Hollywood krążyły pogłoski, że Panther interesuje się ciekawymi i nowatorskimi pomysłami. Zewsząd napływały scenariusze. Interes się rozwijał, a Hollywood obserwowało i czekało.

Lucky Santangelo prowadzi. I to dobrze.

Rozdział osiemdziesiąty

Będąc tu już po raz drugi, Abigaile wiedziała, gdzie zaparkować. Nie zawracała sobie głowy objeżdżaniem ulicy. Zostawiła samochód na zakazie, podeszła do drzwi i nacisnęła guzik koło tabliczki „Franklin”.

Warner Franklin? — spytała władczo, kiedy zgłosiła się jakaś kobieta.

Kto tam?

— Abigaile Stolli. Chciałabym wejść i pogadać.

Nastąpiła długa cisza, Warner zastanawiała się, co zrobić. W końcu powiedziała:

— Trzecie piętro. Uwaga na windę, drzwi się czasem zacinają.

— Dziękuję — odpowiedziała uprzejmie Abigaile, starając się nie denerwować. Tym razem serce wcale nie biło jej mocno. Zmusiła się do opanowania. Mickey Stolli okłamał ją po raz ostatni.

Kiedy dojechała na trzecie piętro, poszła zdecydowanie w kierunku mieszkania.

Warner otworzyła drzwi i przyjrzała się jej. Abigaile wytrzymała spojrzenie.

— Mogę wejść? — czuła się nieswojo, jednak zdecydowała się być twardą.

— Jesteś pewna, że tym razem nie uciekniesz? — spytała złośliwie Warner. —

Wydaje mi się, że na widok Murzyna robisz w gacie.

— Słucham? — zapytała Abigaile z wyrazem twarzy typowym dla sukki z Beverly Hills.

Nic takiego — Warner była ciekawa, czego chciała żona Mickeya. —

Wejdz.

Abigaile poszła za Warner do pokoju.

— Napijesz się czegoś? — zaproponowała Warner.

Abigaile zauważyła pistolet w kaburze. Leżał jakby nigdy nic na krześle.

— Nie, dziękuję.

— Usiądź — powiedziała Warner.

Abigaile usiadła, złożyła ręce na kolanach pokazując doskonale zrobione paznokcie.

Paznokcie Warner były krótkie i nie pomalowane.

— Powiedziałaś mi coś przedtem — zaczęła Abigaile. — Przez telefon, pamiętasz?

— Nie. Co takiego? — spytała Warner.

Nie była w najlepszym humorze, ponieważ Johnny Romano, nowa miłość jej życia, przestał do niej dzwonić. Warner nie miała zwyczaju pieprzyć się i zmykać do domu. To jej nie odpowiadało.

— Powiedziałaś, że byłaś kochanką mojego męża — ciągnęła Abigaile. — Czy to prawda?

— To była prawda — skorygowała Warner.

— Była? — powtórzyła Abigaile. — Czyli to skończone?

— Czy myślisz, że jeśli znajduję mojego faceta z dziwką, nadal z nim będę? — spytała zdziwiona Warner. — Ty musisz to znieść, ja nie.

— Widzę, że też o tym czytałaś — westchnęła Abigaile.

— Nie, nie czytałam — poprawiła ją Warner. — To ja go aresztowałam. Abigaile miała ochotę zemdleć.

— Jak długo spotykałaś się z Mickeyem?

— Jakieś półtora roku. Abigaile była przerażona.

— Półtora roku!

— Usiądź wygodnie — powiedziała Warner, która doszła do wniosku, że mężczyznom należy się wszystko, na co zasługują. — Jeśli chcesz mogę ci o tym powiedzieć.

Leslie przyzwyczała się do szalonego stylu jazdy Eddiego. Zapięła pasy i miała nadzieję, że przeżyją. To nie sposób prowadzenia przyprawiał ją o dreszcze. To podejrzenia, dokąd mogą jechać. W końcu Eddie zajechał przed dom Madame Loretty. Leslie nie odpięła pasów. Siedziała spokojnie i czekała. Nie odzywał się. Po paru minutach Leslie zapytała cicho:

— Eddie, co my tu robimy?

— Jak to? Przyjechaliśmy na herbatkę. Czy nie po to tu bywałaś? Na herbatkę i pogaduchy.

— Tak, zgadza się. Ale zawsze najpierw dzwoniłam.

— W porządku, kochanie. O ile wiem, Madame Loretta jest bardzo gościnna, zawsze chętnie przyjmuje ludzi. Ucieszy się, kiedy nas zobaczy.

— Eddie — patrzyła na niego badawczo. — Dlaczego mi to robisz?

— Dlaczego co robię, kochanie? Nie rozumiem.

— Rozumiesz doskonale.

— Czy jest tu ktoś, kogo nie masz ochoty widzieć? — zapytał rozglądając się niewinnie. — No, kochanie, wysiadaj. Idziemy z wizytą, tak jak zwykle.

Powoli odpięła pas i wysiadła. Wziął ją za rękę i zaprowadził do drzwi. Pokazała się jedna z pokojówek.

— Czy jest Madame Loretta? — zapytał.

— Kogo mam zapowiedzieć?

— Powiedz... że przyszła Leslie. Powiedz, że Leslie chce wrócić do pracy. Leslie odwróciła się do niego ze łzami w oczach.

— Ty, sukinsynu — powiedziała smutnym głosem. — Kiedy się dowiedziałeś?

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Bo byś nie zrozumiał.

— Dlaczego tak sądzisz? Wiedziałaś, że należało mi powiedzieć. Jestem dziwką, Eddie — tylko tyle. Faceci kochają się ze mną za pieniądze. Myślisz, że bym uciekł, tak? Myślisz, że nie ożeniłbym się z tobą?

— Jesteś podłym sukinsynem.

Jestem uczciwy. A ty kłamiesz. Teraz cię tu zostawiam, kochanie. Tu jest twoje miejsce. Możesz nie wracać do domu.

— Nie możesz tego zrobić — powiedziała.

— Przekonasz się.

— Nie kochasz mnie? — spytała smutno. - Zawsze mówiłeś, że mnie kochasz.

— Kochałem ładną dziewczynę z Iowa. Nie Kocham dziwki, z którą spał każdy facet w mieście — odwrócił się, żeby odejść. — Żegnaj, Leslie. I dziękuję za darmowe noce.

— Czy tak chcesz to rozwiązać, Eddie? Bo jeśli tak, nie oczekuj, że wrócę.

Roześmiał się głośno.

— Kto chce, żebyś wróciła? Musiałbym zwariować, żeby wziąć cię z powrotem. Odszedł i wsiadł do swojego cennego maserati. Naćpany jak zwykle, nie wiedział, co robi.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

— Jakiś facet do ciebie — powiedział Otis. — Mówi, że cię zna i że jesteście starymi przyjaciółmi.

— Jest umówiony? — spytała Lucky.

— Nie. Przyjechał limuzyną z kierowcą, jest z nim dwóch gości. Limuzyna musiała zrobić wrażenie na strażnikach. Nikt go nie zatrzymał.

— Jak się nazywa?

— Carlos Bonnatti — powiedział Otis. — Brzmi z włoska. I wygląda na Włocha. Człowiek we właściwej roli.

— Bonnatti? — zamyśliła się Lucky. — Co Carlos tu robi?

— A więc znasz go. Wprowadzić go?

Carlos Bonnatti. Nazwisko z przeszłości. Santangelo i Bonnatti, jakie to stare. Tyle lat...

— Tak. Wprowadź go.

Carlos miał w sobie typową dla Bonnattich zarozumiałość i charakterystyczne złowieszcze oczy. Kiedy wszedł do jej gabinetu, Lucky poczuła, jakby znalazła się w środku maszyny czasu. Nagle wróciły do niej wszystkie złe wspomnienia. Morderstwo jej matki... moment, w którym zwróciła się do Enzia po pomoc w budowie hotelu...

Enzio, ojciec Carlosa, jej ojciec chrestny. Człowiek tak zły, że tylko w jeden sposób można było sobie z nim poradzić. Carlosa znała całe życie, jednak nie znała go wcale. Czy był podobny do swojego brata-sadysty, Santina? Czy może wrodził się w prawdziwie złego Enzia?

Nie wiedziała. Nie chciała wiedzieć. Jakie to miało znaczenie? Obaj nie żyli, najlepsze rozwiązanie.

— Proszę, proszę — Carlos wkroczył do biura jak właściciel. — Mała Lucky Santangelo, znów się spotykamy.

Nie zamierzała być uprzejma.

— Czego chcesz? — rzuciła. Skrzywił się w uśmiechu.

— Miłe powitanie. Tylko tyle masz do powiedzenia przyjacielowi z dzieciństwa? — przerwał. — Jak myślisz, czego chcę, Lucky?

— Nie mam pojęcia Carlos. Może mi powiesz i wyniesiesz się.

Jego zapadnięte oczy przebiegły po gabinecie. Chrom i skóra — ulubione przez Mickeya Stolliego, nadal utrzymywały się w pokoju.

— Ładne miejsce powiedział. — Mówią, że jesteś nową właścicielką. Chyba powodzi ci się nieźle jak na głupią córeczkę Gina.

— Daj spokój Carlos i spierdalaj.

— Nadal dama, co?

— Ty i tak nie odróżnisz damy od taniej dziwki. Spojrzał na nią.

— To prawda...

Przez chwilę chciała wezwać Otisa, żeby wyrzucił tego pajaca, ale postanowiła nie robić awantur bez powodu.

— Panther jest mi winien milion dolców — powiedział Carlos siadając. — Branie forsy od ciebie należy do przyjemności.

Lucky wstała.

— Wynocha — powiedziała ostro. — Nie dam się szantażować.

— Chyba nie rozumiesz — powtórzył nie ruszając się z miejsca.

— Rozumiem doskonale. Wiem o wszystkim, co się tu działo, zanim przyszedłem. Miałeś umowę z Eddiem Kane'em, a Eddie cię okradł. Tak?

Carlos przyglądał się jej spod przymkniętych powiek. Przez chwilę wydało jej się, że to Enzo. Twarz Enzia na moment przed tym, jak go zastrzeliła... W samoobronie. Sprawa nawet nie trafiła do sądu. Ale mimo tego... ta twarz...

— Wyjdź z mojego biura — powtórzyła.

— Lucky, mylisz się. Moja firma wykonała pewne prace dla Panther, oficjalne prace, w zamian za co podpisaliście rachunek. Twoje studio wisi mi milion papierów. Przyszedłem po wypłatę.

— Panther nie jest ci nic winne.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kopię oficjalnej umowy. Rozłożył ją na stole.

— Przeczytaj — powiedział wstając. — Wrócę po należność. Bez słowa wyszedł z gabinetu. Otis wetknął głowę przez drzwi.

— Wszystko w porządku?

— Tak, Otis, dziękuję.

— Kim jest ten facet?

— Nieważne.

Wzięła dokument i zaczęła czytać. Wysławiony był przez prawdziwą kancelarię adwokacką w Century City.

Przebiegła wzrokiem kartkę. To umowa stwierdzająca, że studio Panther jest winne firmie Bonnattiego milion dolarów za wykonane usługi. Podpisane przez Mickeya Stolliego.

Jakie usługi? Co to za kpiny?

Spojrzała na datę. Wystawione miesiąc temu.

Niemożliwe. To nieprawda. Jako Luce siedziała w biurze i słuchała wszystkich rozmów. Wiedziała, że Eddie Kane był winien te pieniądze i że Mickey odmówił złożenia odpowiedzialności na Panther. Czy możliwe, żeby Mickey zmienił zdanie? Musiałaby o tym wiedzieć.

Działo się coś niedobrego. Dokument musi być fałszywy.

Zadzwoiła do działu finansów i porozmawiała z Teddym P. Laudenem.

— Teddy — powiedziała czy ktoś może sprawdzić, jakie mamy długi? Daj mi znać, czy jesteśmy coś winni firmie Bonnattiego. Jeśli tak, przyślij mi papiery.

Oczywiście Teddy wysłał oryginał dokumentu Bonnattiego. Dołączył kartkę, że to umowa Mickeya Stolliego, o której nie wiedział. A więc Mickey odpłacił się Abe'owi Pantherowi i jej przy okazji. Sukinsyn! Nie zamierzała zapłacić Carlosowi Bonnattiemu ani centa. Wiedziała, co wolno a czego nie, nie zamierzała się poddać w tej sprawie. Dla Lucky jest to sprawa zasad.

Rozdział osiemdziesiąty drugi

Prasa śledziła ich wszędzie. Dokądkolwiek poszli, Deena i Martin Swan-sonowie napastowani byli przez wścibskich dziennikarzy.

— Nie mogę tak żyć — powiedziała chłodno Deena. - Wyjeżdżam do uzdrowiska.

— Do Golden Door? — zapytał Martin.

— Nie. Jest jakieś nowe miejsce w Palm Springs, podobno bardzo dobre. Byłeś uczciwy wobec mnie, doceniam to. Teraz chcę pobyć sama.

Skinął głową. Deena przyjmowała to lepiej, niż się spodziewał. Nie powiedział wprost, że chce rozwodu. Poprosił tylko o czas do namysłu. Ale gdyby miał być naprawdę szczerzy, musiałby przyznać, że podoba mu się rozgłos. Pochlebiało mu, że ludzie uważają go za Don Juana. Nawet interesy szły lepiej. Zewsząd napływały zamówienia na jego nowy samochód -Swanson — a nie było jeszcze publicznej prezentacji.

Rozwód. Nigdy przedtem nie myślał o tym poważnie. Ale jeśli Deena gotowa była go puścić...

Nie zamierza oddać jej połowy pieniędzy. Chyba zwariowała, jeśli tak uważa. Ale adwokaci wymyślą sprawiedliwe rozwiązanie.

— Czyli nie przyjedziesz do Detroit na pokaz Swansona?

— Na pewno nie — odpowiedziała zimno. — Sądzę, że sobie poradzisz.

— Na jak długo zamierzasz wyjechać?

— Może na dziesięć dni spojrzała na niego przenikliwie, po czym dodała: — Będziesz w Detroit?

— Tak. Potem leczę do Los Angeles załatwić sprawy w Orpheusie. Kiedy pozbędę się Zeppa, dam jego stanowisko Mickeyowi Stolliemu. Zajmę się też mianowaniem nowych członków zarządu.

— Martin — powiedziała cicho — obiecaj mi coś.

— Co takiego?

— Nie podejmuj żadnej decyzji do mojego powrotu. Ani niczego nie ogłaszaj. Jeśli mamy się rozstać, musimy ogłosić to razem w jakiś godny sposób. Zgoda?

Skinął głową.

— Nie skompromituję cię.

— Skompromitujesz mnie, jeśli zobaczysz się z Venus Marią. Więc łaskawie nie rób tego. Kiedy podejmiemy decyzję, będziesz mógł robić, co ci się podoba — przerwała. — Nie za wiele żądam?

Znów skinął głową.

— Jak sobie życzysz.

Utkwiła w nim swoje niebieskie oczy.

— Proszę, żebyś mi to obiecał.

— Czy nie... Obiecaj.

Dobrze — powiedział niechętnie. - Dziękuję.

Poszła do sypialni i wskazała pokojówce, które ubrania ma spakować na podróż.

Długo pani nie będzie, pani Swanson? — dopytywała się pokojówka.

Wystarczająco długo.

Po odejściu służącej podeszła do sejfu i wybrała biżuterię. Za klejnotami ukryty był pistolet, który kupiła na fałszywe nazwisko pół roku wcześniej, na wszelki wypadek. Jednak nie spodziewała się, że naprawdę nadejdzie dzień, kiedy będzie zmuszona go użyć.

Zamknęła się w łazience i z wprawą naładowała broń, zapakowała w pudełko i wrzuciła na dno walizki.

W sypialni Martin szykował się do snu. Miał na sobie błękitną jedwabną piżamę, uzbroidł się w nieszczery uśmiech. Patrzyła na niewiernego męża. Co pchało go w ramiona innych kobiet? Czy była taką okropną żoną? Bardzo iilinkcyjna, dobrze wychowana, doskonale ubrana. Kochała go, dbała o niego, spała z nim, kiedy miał na to ochotę. Więc czemu?

Widziałaś tó? — pokazał jej gazetę ze swoją fotografią. — Fatalne zdjęcie. Ujęli mnie ze złej strony.

Zdawało mu się, że jest gwiazdą filmową? Hollywood zaczynało uderzać mu do głowy. Zaczynał dbać w swoich wielbicieli.

Rano Martin wyszedł do biura, zanim Deena wyjechała. Powiedziała mu, że chce polecieć jego samolotem, więc czekał gotowy na lotnisku. Weszła na pokład, przywitała się z kapitanem i załogą, po czym usiadła przy oknie. Kiedy będzie po wszystkim, zmieni tu wystrój. Najpierw w samolocie, potem w domu w Nowym Jorku, i na wsi, na końcu w domu w Connecticut.

Samolot zawiózł ją prosto do Palm Springs. Lot przebiegł gładko, przeczytała parę gazet, przespała się.

Na lotnisku czekał samochód, który zabrał ją do uzdrowiska Ostatnia Przystań. Jak trafnie nazwane miejsce — pomyślała. Ostatnia Przystań.

Emilio niczym król krążył po swojej dawnej okolicy. Kupił sobie płaszcz z wielbłądziej wełny i biały kapelusz z czarną obwódką. Nosił go jak gangster, niedbale rozpięty płaszcz zwisał luźno.

Żeby wszystkim zaimponować, zabrał ze sobą Ritę. Rita, gwiazdka z Hollywood — rude włosy, zgrabny tyłek, wiele zalet.

— Ubieraj się w rzeczy, które świadczą o pieniądzach, kochanie — zachęcał. — Chcę, żeby widzieli, na co mnie stać.

— Ja wiem, na co cię stać — zachichotała, zawsze mu schlebiała. Emilio zameldował ich w hotelu. Nie zamierzał mieszkać u ojca, wiedział, że bracia będą próbowali podrywać Ritę. Taką już ma rodzinę. Nic nie może poradzić. Sierrowie to gorąca rodzina.

Kiedy razem z Ritą przyszedł do domu na lunch, zlecieli się wszyscy przyjaciele i krewni.

— Gdzie Venus? — pytali, kiedy wszedł. — Nie przyjechała? Sprawilo im to wyraźny zawód. Nie wystarczało, że mieli wielkiego Emilia, świeżo z Hollywood, z jego przyjaciółką?

— Venus przysłała mnie w zastępstwie — powiedział pusząc się. — Jest teraz zajęta, ja natomiast mam trochę wolnego przed nakręceniem pierwszego filmu.

— Filmu? — zaskrzeczała jedna z kuzynek. — Ty?

— Tak — pochwalił się Emilio. — Film ze Stallone'em. Gram jego najlepszego przyjaciela. Rita rzuciła mu wymowne spojrzenie. Widziała wielu kłamców, ale Emilio był bezkonkurencyjny. Jak się spodziewał, bracia jej nadskakiwali. Kiedy przyjrzał się ich żonom, przestał się dziwić. Na szczęście on postanowił wyjechać za Venus do Hollywood. Na szczęście wy dostał się z Brooklynu.

— Czytałem o tobie — powiedział ojciec poklepując się po brzuchu.

— Tak? — Emilio starał się zachować chłód, ale wrzał z radości, że jest w centrum zainteresowania.

— Tak, w „Truth and Fact”. Było tam twoje zdjęcie.

— Pozowałem — powiedział skromnie Emilio, jakby wszystkie gazety zapchane były jego zdjęciami.

— Zapłacili ci? — zapytał ojciec, drapiąc się po jajach — rodzinny nawyk Sierrów. Ojciec musi zapytać o pieniądze.

— Jasne, że zapłacili — pochwalił się. — I to nieźle.

— Czy ja coś z tego dostanę?

Emilio nie zamierzał obdarowywać rodziny, ale chciał wypaść jak wielki człowiek. Wyjął kilka zmiętych studolarówek i podał mu.

— Gotówka, tato. Mam tego więcej.

Ojciec spojrział na pieniądze, chciał coś powiedzieć, zmienił zamiar i schował je do kieszeni. Wiedział, że i tak ma szczęście, skoro wyciągnął cokolwiek od Emilia.

Chłopak zawsze był strasznie skąpy.

Emilio po kolei rozmawiał z każdym gościem.

— Poproszono mnie o napisanie artykułu o Venus dla „People” — skłamał. — Pamiętasz coś o niej? Z czasów dzieciństwa. Co robiła? Z kim się przyjaźniła?

— Była bardzo grzeczna — powiedział wujek Louie.

— To mała diablica — stwierdziła jego żona.

— Pilnie się uczyła — powiedziała jakaś kuzynka.

— Stale chodziła na wagary — przypomniała sobie inna.

— Znałam ją dobrze — pochwaliła się szkolna koleżanka. Emilio wiedział, że nigdy nie lubiła Venus.

— Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami — pochwaliła się dziewczyna, która nawet nie chodziła z nią do klasy.

Emilio starał się wyciągnąć coś od braci.

— Kim był ten tłuścioch, z którym się spotykała? Wychodziła z nim? Czy to jej pierwszy chłopak?

— Pamiętam go — powiedział jeden z braci. — Taki mały sukinsyn. Przyłapałem ich kiedyś w kuchni. Musiałem go wyrzucić. — Jak się nazywał?

— Vinnie jakoś, albo inaczej.

— Nie — poprawił starszy brat. — To Tony Maglioni. Jest teraz kierownicą ciężarówki, co sobota chodzi do pizzerii.

Rita nudziła się. Nie podobały jej się zaloty ojca i braci Emilia. Cała zabawa jej się nie podobała. Najpierw było śmiesznie, mogła grać gwiazdę i opowiadać im o Hollywood. Teraz jednak zmęczyło ją to i chciała wyjść.

— Chodź Emilio, idziemy — mrugnęła.

— Chodź Emilio, idziemy — papugował któryś z braci, trącając Emilia w bok.

— Gorąca — szepnął. — Nie broniłbym się.

— Masz żonę i dziecko — zmitygował go Emilio.

— Mogę pomarzyć, prawda? — syknął brat, wydając dziwne dźwięki.

Emilio zabrał Ritę do hotelu. Jeśli znajdzie Tony'ego, może skleci jakąś historię. Następnego dnia Martin poleciał do Detroit, na pokaz samochodu. Wydawało się, że rozgłos z powodu Venus Marii sprowadził więcej dziennikarzy, niż się spodziewał. Jeśli ma to zwiększyć sprzedaż samochodów — czemu nie?

Przyszło mu go głowy, że gdyby namówił Venus Marię do przyjazdu, opinia publiczna naprawdę by zawrzała. Doskonały pomysł, jedynie Deena może się wściec. Już mówiła o odebraniu mu połowy pieniędzy. Nie ma mowy. Rozmawiał z adwokatem. Deena może dostać uczciwe odszkodowanie i to wszystko.

Zastanawiał się, jak to jest, kiedy jest się mężem Venus Marii. Podniecające, bez wątplenia. Inne... Dodające energii... Będzie mu szkoda stracić Deenę. W pewien sposób jest dużo warta. Ale on ma już czterdzieści sześć lat — czas na podniecające życie. Martin uwielbiał rozgłos.

Deena czuła się zupełnie spokojnie w uzdrowisku. Obmyśliła proste rozwiązanie i zamierzała niedługo je zrealizować.

Każdy dzień zbliżał ją do celu.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

Saxon układał fryzurę Venus Marii na zdjęcia z wielkim Antonio.

— Czuję się jak więzień — narzekała. — Nie mogę się ruszyć na krok, żeby za mną nie łazili. To śmieszne.

— Wiem — zgodził się współczująco Saxon.

Skąd mógł wiedzieć, jak to jest, kiedy twoje zdjęcia są we wszystkich szmatławych gazetach? Gdyby tylko na okładkach...

Boże! Jeśli dorwie kiedyś tego sukinsyna Emilia, osobiście go udusi. Jak mógł?

J a k mógł?!

Próbowała go odnaleźć, ale chyba ukrył się gdzieś. Dodzwoniła się tylko do sekretarki automatycznej.

Drugie wydanie „Truth and Fact” było o wiele gorsze od pierwszego. Bzdury o tym, jak robiła sobie loki, jak wyglądała bez makijażu, podziwiała się godzinami przed lustrem, nosiła męską bieliznę i pływała nago. Czuła się, jakby ktoś włamał się do jej domu. To takie wścibskie.

Saxon krążył wokół niej — wcierał balsam, suszył, potrząsał swoją bujną grzywką, której mogły pozazdrościć mu wszystkie klientki.

— Jesteś pedałem? — spytała ciekawa.

— Nie, kochana. Jestem tylko szczęśliwy — odpowiedział bez urazy.

— Pytam poważnie — nalegała. Wcierał balsam w jej włosy.
— To bardzo osobiste pytanie.
Cóż! Chciałby porozmawiać na prywatne tematy? Jak jemu podobałoby się figurowanie w gazetach? Prawdopodobnie byłby zachwycony
— No więc jesteś? — nie rezygnowała.
— To chyba nie twoja sprawa - odpowiedział, mierzwiąc jej włosy.
— No, Saxon, powiedz - drażniła go. Może coś z tego będzie.
— Jesteś taką suką.
— Ty też.
— Jeśli musisz wiedzieć powiedział zadowolony z uwagi, którą mu poświęcała — kierując się w obie strony.
— Uwielbiam to określenie — pisnęła. — Jest takie staroświeckie. Kierować się w obie strony. Wiesz, przypomina mi się dzieciństwo, grę w klasy — masz wybór kierunków. Co to właściwie znaczy? Czy to nie jest bardzo niebezpieczne?
— Nikt nie ośmieliłby się zadawać mi takich pytań.
— Jestem inna. A co wolisz? Zaśmiał się.
— Nie twoje sprawa.
— Daj spokój — wierciła dziurę. — Gdybyś miał wybierać na przykład między mną a Ronem, kogo byś wolał?
— Wziąłbym oboje — powiedział wymachując szczotką.
To ją zamknęło. Z uśmiechem obserwowała w lustrze jego wysiłki.
Saxon szczerze podziwiał Venus Marię. Była nie tylko szalenie zapracowaną gwiazdą, umiała znaleźć czas dla spraw w które wierzyła. Pracowała w Komitecie do walki z AIDS, w towarzystwie „Matki przeciwko pijaństwu” i w centrum pomocy kobietom zgwałcowanym. Utrzymywała to w tajemnicy, żeby nie posądzono jej o działanie pod publiczkę.
— Skoro zadajemy sobie osobiste pytania — zaczął — co jest między tobą a Martinem Swansonem?
— Mówisz jak Ron — mruknęła. — Tylko to go interesuje.
— Możesz mi zaufać. Komu miałbym powiedzieć?
— Każdej kobiecie w Beverly Hills. Twój salon to gniazdo plotek. Właśnie to się u ciebie uprawia, prawda? Każdy mówi o każdym. To wylęgarnia nieprzyzwoitości.
— Nie mam nad tym kontroli.
— Ponieważ to uwielbiasz.
Szczotkował jej włosy. Obejrzała w lustrze jego dzinsy. Tak samo opięte jak Kena Laleczki — to dużo mówi.
— Założę się, że w salonie można usłyszeć o wielkich skandalach — ciągnęła.
- Powiedzmy, że my dowiadujemy się najpierw — uśmiechnął się dumnie.

Czy wszyscy obmawiali Mickcya Slolliego, kiedy dał się złapać z dziwką?

— Można powiedzieć, że był to gorący temat. Roześmiała się.

— Ale o mnie więcej się mówi, co?

— Nie tyle o tobie, co o Martinie Swansonie. Uwielbiają Martina Swansona.

— Uwielbiają jego pieniądze — sprostowała.

— To prawda. Pieniądze i władzę. Żeby zostać prawdziwą żoną Hollywood, trzeba poślubić obie te rzeczy, a wydaje się, że Martin ma więcej niż inni — zachichotał. — Czy ma więcej niż inni, kochanie?

Też się roześmiała.

— Nigdy nie opowiadam o moich kochankach!

Po Saxonie przyjechał Yves, specjalista od makijażu, za nim dwóch speców od ubioru i wreszcie Ron, który przyciągnął ze sobą Kena Laleczkę. Ken Laleczka jak zwykle założył ciasne džinsy i białą koszulkę, opinającą jego mięśnie.

— Nakręcał reklamówkę piwa. Prawda, że wygląda świetnie? — spytał Ron dając do zrozumienia, kto do kogo należy.

— Bosko — powiedziała ironicznie Venus Maria. — Znasz Saxona?

— Czy znam?

— Właśnie rozmawialiśmy o jego życiu seksualnym — powiedziała złośliwie Venus Maria.

— Naprawdę? — spytał zainteresowany Ron. Jak się mają twoi śliczni chłopcy z podstawówki, Saxon?

Saxon odrzucił w tył lawinę włosów i roześmiał się.

— Coś ci się pomyliło. Nie wkraczam na twoje terytorium, Ron.

— Boże! Nie ma nic gorszego od przekomarzających się pedałów — chichotała Venus Maria.

W południe przyjechał sam wielki fotograf Antonio, przywiózł kilku pomocników.

— Kochanie! — powitała go Venus Maria.

— Bellissima! — wykrzyknął Antonio. Uścisnęli się i ucałowali.

Antonio był bardzo znany, niesłychanie humorzasty i wyjątkowo skąpy. Na szczęście rzadko musiał sięgać do swojej kieszeni, ponieważ pisma, dla których pracował, miały zwyczaj płacić. „Style Wars”, dla której robił to zdjęcie, nie płaciła aż tak wiele, dlatego że znacznie wyprzedzała inne magazyny. „Style Wars” to pismo, które czyta się obowiązkowo — coś między „Vanity Fair” a „Interview”. Antonio grasował po domu, szukając odpowiedniego miejsca do zdjęć. Venus Maria nigdy nie zgadzała się na zdjęcia w domu, ale dla Antonia i „Style Wars” zrobiła wyjątek.

— Jak myślisz, kochana — spytał Antonio — sypialnia? Venus

Maria naga w łóżku, jedynie czarne jedwabne prześcieradło kryje twoje wdzięki. Venus Maria nie miała nic przeciwko pomysłowi wystąpienia tylko w prześcieradle przed żarłoczną publicznością.

— Tak — powiedziała. — Podoba mi się.

— Czemu nie, kochanie? Jesteś wielką gwiazdą. Urok przede wszystkim.

— Jak uważasz, Ron? — zapytała zwracając się do najbliższego doradcy.

— Dla mnie dobre — odpowiedział.

Myślał o niespodziance, jaką zaplanował na jej urodziny. Za trzy dni będzie miała dwadzieścia sześć lat. On wyda dla niej przyjęcie, które Panuje już od sześciu tygodni. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przyjęcie będzie fantastyczne.

— Wyobraź sobie — powiedział Antonio, wymachując rękoma — twoje ciało bellissima, jedna noga na wierzchu. Włosy upięte na czubku głowy i czarny jedwab aż pod brodę. Może zaszalejemy i ukaże się jedna pierś.

— Żadnej nagości — powiedziała stanowczo Venus. - Nigdy me pozowałam nago i nie zamierzam.

— Dla Antonia możesz zmienić zdanie.

Wiele zrobiłaby dla Antonia, ale już na początku kariery zdecydowała, że nie będzie rozbierać się przed kamerami.

Mogłaby, gdyby chciała, miała piękny biust. Nie za duży, me za mały, w sam raz.

Wspaniałe piersi Venus Marii. Uśmiechnęła się do siebie.

Antonio opisał Saxonowi, jak mają wyglądać jej włosy.

Saxon doskonale zrozumiał. Szopa poskręcanych włosów, upięta na czubku głowy i kilka uwodzicielskich loków, które nie dają się podpiąć.

— Będiesz wyglądać wspaniale, Venus — zachwycił się.

— Oczywiście, że będzie — ogłosił Antonio. — Antonio tak mówi.

Kiedy zwijały się loki, do pracy zabrał się artysta od makijażu.

Antonio przejrzał ubrania, jakie przynieśli ze sobą styliści, na wypadek gdyby zdecydował się ją w coś ubrać. Nic mu się nie podobało, prawdopodobnie ze względu na pomysł z czarnym jedwabnym prześcieradłem.

W środku tego wszystkiego zadzwonił Martin. Miała mieszane uczucia. Od wybuchu tej sensacji był bardzo ostrożny. Spędzili razem jedną noc w hotelu Bel Air, a poza tym mówił jej, iż jest zbyt zajęty sprawą Orpheusa, wydaje mu się, że go śledzą i musi naradzić się z prawnikami, żeby Deena nie odebrała mu wszystkiego, co ma. Potem wrócił do Nowego Jorku.

Zrozumiałe, ale bardzo wkurzające. Albo Martin zamierza się poświęcić, albo nie. Ona nie będzie dłużej jego hollywoodzką przyjaciółką.

— Jestem w Detroit — powiedział, jakby niecierpliwie czekała na wiadomość o jego miejscu pobytu.

— Naprawdę — odpowiedziała chłodno.

— Jesteś chyba wkurzona.

Bo jestem, Martin. Nie będę więcej siedziała i czekała na ciebie. Kiedy (u byleś, widzieliśmy się raz — to za mało. Jesteś w Nowym Jorku od tygodnia i nie raczysz się odezwać. Co się dzieje z Deeną?

Nie ma sensu rozmawiać przez telefon — powiedział. — Muszę być z tobą.

— W takim razie musisz dokonać wyboru.

— Już to zrobiłem.

— Naprawdę?

— Tak.

— Zamierzasz mi powiedzieć? Nabrał głęboko powietrza i ogłosił:

— Odchodzę od Deeny.

Od miesiący czekała na te słowa, a teraz, kiedy je usłyszała, przebiegł ją zimny dreszcz. Czy naprawdę chciała przez cały czas być z Martinem? Czy to wymarzony związek?

— I co? — niecierpliwił się. Nie masz nic do powiedzenia?

— Jestem zaszokowana - wydusiła wreszcie.

— Dlaczego?

— Nie spodziewałam się, że to zrobisz.

— Robię to dla ciebie. Pokażę swansona i przylecę cię zobaczyć.

— Przyjeżdżasz do mnie, czy do Orpheusa?

Wolał zapomnieć o obietnicy danej Deenie. I tak się nie dowie.

— Do ciebie, Venus. Będziemy razem i omówimy naszą przyszłość.

— Brzmi bardzo serio.

— Bo mówię serio.

— Zobaczymy.

— Kto to był? — zapytał Ron, kiedy wróciła do przebieralni.

— Jesteś taki wścibski. Wiesz doskonale, kto to był. Martin oczywiście.

— Czy superogier przyjedzie do ciebie? — Zgadłeś.

Ron wpadł na nowy pomysł. Gdyby namówił Martina na przyjazd na przyjęcie urodzinowe, Venus Maria byłaby zachwycona. Kiedy rozmawiała przez telefon, Antonio najwyraźniej zakochał się w Kenie. — Wstawimy go gdzieś w tle — postanowił, wskazując na Kena Laleczkę. — Venus, kochanie, ty idź do łóżka. Ken oprze się o tą półkę. Będzie wyglądało wspaniale, jak to się mówi... macho. Ken, rozepnij rozporek — skinał na jednego ze stylistów. — Podrzemy koszulkę. Jak Marlon Brando, na lata sześćdziesiąte. — Chyba masz na myśli pięćdziesiąte — poprawił go Ron. — Oczywiście, mnie nie było jeszcze na świecie, ale ty powinieneś wiedzieć, prawda? Antonio zignorował tę uwagę.

— Hmm — mruzczał Saxon. — Szykują się kłopoty w rajcu.

Venus Maria była gotowa. Platynowe loki spięte na czubku głowy, świetny makijaż. Ubrano ją w skąpe majteczki, piersi mogła zakryć tylko rękoma,

usadowiła się jakoś pod czarnym jedwabiem, który stylistę artystycznie rozrzucił na łóżku.

Wiedziała, o co chodzi Antoniowi. Poza klasyczna. Jedna noga prowokująco odsłonięta, ona siedzi, trzymając prześcieradło pod brodą, nagie ramiona, uwodzicielski uśmiech. Spojrzenie a la Venus Maria. Dopracowała je do perfekcji. Uczyła się go przez lata.

— Bellissima, kochanie — gruchał Antonio, patrząc przez obiektywy. — Ken, przysuń się bliżej.

Kiedy Ken niedbale opierał się o ścianę, nawiązał kontakt wzrokowy z Antoniem. Ron dokładnie widział, co się dzieje. Venus Maria zauważyła, że jego usta ściągają się w cienką linię, zwiastującą kłopoty. Ktoś włączył płytę Steviego Wondera i dom zalała muzyka.

Venus Maria umiała mizdrzyć się do kamery lepiej niż ktokolwiek mny. Śliniła usta, czyniąc je pełniejszymi i bardziej uwodzicielskimi. Z oczu biła zmysłowość.

Wyrażała czysty seks.

Patrzyła w obiektyw, rozkoszując się każdą chwilą.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

Gino przyleciał do Los Angeles, zanim dotarli tam Steven i Mary Lou. Lucky wzięła wolne i wyszła po niego na lotnisko, zabierając z sobą Bobby'ego. Ledwie poznała Gina kiedy wyszedł do holu. Gdzie jego dumna postawa? Gdzie słynny Santangelowski uśmiech? Gdzie Gino-Byk? Czy to możliwe, że Gino się starzeje? Jej ojciec, wspaniały, energiczny ojciec, który zawsze był młodszy i silniejszy od wszystkich?

Uścisnęła go.

— Co się dzieje?

— Powiedziałem ci, dziecino. Dopadło mnie w końcu.

— Co? — spytała ciekawa.

— Starość, jak mniemam. Zużyłem się, dziecko. Zużyłem się. Nie spodziewała się, że usłyszysz takie słowa.

— Ty, Gino? Nigdy! — powiedziała.

— Dziadku! — zawołał Bobby, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— Co, Bobby? — spytał Gino ściskając wnuka.

Boogie wiozł ich do domku na plaży, a Bobby opowiadał z przejęciem o szkole w Londynie i o tym, co robi.

- jest tu mój przyjaciel, dziadku — poinformował dumnie. — Powiedziałem mu, że nie może jechać na lotnisko, bo ja pierwszy muszę zobaczyć się z dziadkiem.

Słusznie - zgodził się Gino. — Tylko tak dalej. Nauczę cię kilku rzeczy na tej wycieczce. Bobby się zainteresował.

Dobrze dziadku. A czego?

— Nauczę cię, jak być prawdziwym Santangelo.

— On nie jest Santangelo, to Stanislopoulos — przypomniała Lucky.

— Bzdura — odpowiedział Gino. — Bobby nie wygląda jak Stanislopoulos, wygląda dokładnie jak Santangelo.

Zaśmiała się.

— Masz rację, to bzdura.

— Dziękuję.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Więc... co porabiałeś? — spytała.

— Nic takiego — przyznał Gino. — Siedziałem w domu, chodziłem na spacer.

Czasami grywam w pokera.

Nie podobało się jej, kiedy ojciec był beczynny. Od kiedy sprzedał większość swoich firm, nie zajmował się wcale interesami.

— Wiesz, co powinniśmy zrobić? — zaproponowała.

— Co?

— Zbudować jeszcze jeden hotel. Udało się z Mirage i z Magiriano, ale już do nas nie należą. Może zbudujemy nowy hotel i nazwiemy go Panther? Będzie większy od Mirage, lepszy od Magiriano. Co ty na to?

— Nie zbudowałbym następnego hotelu, nawet gdybyś mi zapłaciła — powiedział potrząsając głową.

— Dlaczego nie? Lubieś to. Zawsze byłeś pierwszy w Vegas.

— To bardzo, bardzo stare dzieje. Dziś to już inny świat.

— Nie taki inny. Zrobimy to razem. Strasznie bym chciała postawić nowy hotel.

— Tak, znajdziesz jakoś czas w chwilach wolnych od studia, tak?

— Mam dużo energii.

— Nawet o tym nie wspominaj. Jestem za stary. Gino przyznawał, że jest stary. Coś jest nie tak.

Poczekala do powrotu do domu. Bobby pobiegł bawić się z kolegą, dopiero wtedy opowiedziała o Carlosie Bonnattim.

— Przyszedł do ciebie? — zapytał Gino, zmartwiony. — Próbował cię nastraszyć?

— Żartujesz? Nie pozwoliłabym, żeby ten bubek mnie straszył. Wiem, że to fałszywy dług i nie zapłacę.

— Wiesz co, dziecko? Zapłać i pozbądź się go. Nie potrzebujemy więcej kłopotów z Bonnattimi. Dość już się nazbierało.

Zdumiała się.

— Nie mogę uwierzyć, że ty to mówisz, Gino. Mam zapłacić dług, którego nie zaciągnęłam? Dać Bonnattim wygrać z nami? Nie ma mowy.

— Życie jest zbyt krótkie, żeby przejmować się takimi rzeczami. Masz pieniądze, to mu zapłać.

Zmrużyła oczy i patrzyła na ojca.

— Powiedziałam, że nie.

Trzeba coś zrobić z Ginem. Zsuwał się. Musiała wymyślić jakiś niezawodny sposób na wyciągnięcie go z dołka.

Po zabawie z Bobbym, Gino postanowił się przespać. Lucky poszła zadzwonić do Paige. Odebrała pokojówka.

— Czy zastałam panią Wheeler? — zapytała Lucky.

— Chwileczkę.

Lucky nie posiadała się z radości, kiedy Paige podniosła słuchawkę.

— Cześć, mówi Lucky Santangelo. Jak się masz?

— Lucky — zawołała Paige. — Miło cię usłyszeć. Gratulacje. Cieszę się z powodu Panther, mimo że Ryder nie jest zachwycony. Uwielbiam interesy z tym wspaniałym Mickeyem Stollim. Ale słyszałam, że planujesz coś dobrego?

— Mam nadzieję — powiedziała Lucky. — Chcę robić filmy, które dadzą kobietom szansę na pokazanie swojej siły.

— I zrobisz — powiedziała ciepło Paige. — Zawsze udaje ci się to, na czym ci zależy. Kiedy byłam z twoim ojcem, Gino nie przestawał się tobą chwalić.

Lucky była mile zaskoczona.

— Naprawdę?

— Tak — zapewniła ją Paige.

— Możemy się spotkać? — zapytała Lucky. — Nie mogę w porze lunchu, ale gdyby odpowiadało ci jakoś później, może na drinka.

— Dobrze — zgodziła się Paige. — Chętnie cię zobaczę. Kiedy?

— Jak najszybciej.

Rozdział osiemdziesiąty piąty

Wspaniałe południe Francji, gorące słońce, piękne kobiety, dobre restauracje i swawolna atmosfera.

Mimo tego Lennie czuł się fatalnie. Myślał tylko o Lucky. Siedział koło basenu i obserwował Brigitte i Nonę. Dziewczyny bawiły się wyśmienicie. Poznały wielu ludzi, chodziły na basen albo pływały na nartach wodnych. Widywał je tylko w porze obiadu, jedli zawsze razem z jego przyjaciółmi, Jess i Mattem Traynor, którzy przylecieli dotrzymać mu towarzystwa.

Jess, najlepsza przyjaciółka jaką miał, dała mu dobrą radę.

— Zachowujesz się jak dzieciak, Lennie — skarciła go. — Lucky me jest przeciętną kobietą. Wiedziałeś o tym, kiedy braliście ślub. Kochasz ją. Chcesz

z nią być. A teraz jesteś obrażony, ponieważ kupiła studio nie pytając cię o zdanie. Wielka sprawa!

Powinna była mi powiedzieć - upierał się. - Dlaczego? — Jess zmarszczyła nos. To miała być niespodzianka. Dla ciebie.

Nie rozumiał.

— Nie dla mnie, dla siebie. Jest zadowolona tylko, kiedy czymś kieruje.

— Nie — spierała się Jess. — Zrobiła to, żebyś był szczęśliwy, ponieważ stale narzekasz na kontrakt, film, na ludzi z którymi pracujesz. Myślała, że to będzie śmieszne. I spójrz prawdzie w oczy — może sobie na to pozwolić.

Próbował jej wytłumaczyć.

— To jakby kupowała mnie, Jess. Rozumiesz, co mówię?

— Co za bzdury! Jesteś jej mężem, na miłość boską. Daj dziewczynie spokój.

— Próbuję.

— Jak?

— Trzymam się z daleka.

Jess spojrzała na niego z wyrzutem. Zbyt dobrze się znali, żeby mogli się okłamywać.

— Lucky Santangelo to najlepsze, co ci się przytrafiło w życiu — powiedziała stanowczo. — Obudź się, zanim będzie za późno.

Uśmiechnął się.

— Tobie i Mattowi idzie o wiele lepiej. Jak to robicie?

— Kiedy bierzesz ślub, dajesz coś z siebie — odpowiedziała poważnie Jess. — Raz mi się nie udało, tak samo tobie. Kiedy robisz to po raz drugi, wiesz, w co się pakujesz. Chcę być z Mattem, bo go kocham. Nie kochasz Lucky?

Tak, kochał Lucky. Kochał ją bardziej niż kogokolwiek na świecie. Ale czy może z nią żyć? To inna sprawa.

— Masz jedną ciekawą cechę Lennie - zauważyła Jess, wzdychając z bezsilności.

— Jaka?

— Jesteś świetny w komplikowaniu sobie życia.

— Dzięki!

— Pomyśl o tym, co powiedziałam. Czy Lucky zrobiła coś tak koszmarnego?

Przecież nie uciekła i nie spała z innym facetem, na Boga!

— Okłamała mnie. Jess straciła cierpliwość.

— Skłamała dla ciebie, idioto. Dlaczego przynajmniej się z nią nie zobaczysz, może jakoś to rozwiążecie. Nie chcę, żeby to się tak skończyło. Oboje jesteście zbyt uparci, to wasz problem.

Później, kiedy został sam w pokoju, Lennie zastanawiał się nad słowami Jess. Tak, był uparty. Tak samo Lucky. Ale to nie znaczy, że nie mogą porozmawiać.

Jess ma rację. Kochał Lucky i nie chciał zerwać związku. Chyba pora, żeby coś z tym zrobić.

— Zwalniam cię — powiedziała Lucky. Eddie odwrócił się.

— Dlaczego?

— Nie podoba mi się sposób, w jaki robisz interesy. Eddie nie mógł uwierzyć, że wylała go kobieta.

— Jesteś tu od pięciu minut i już ci się nie podoba sposób, w jaki pracuję?

— Eddie, wiem, co tu się dzieje.

— Dobra, nie ma sprawy. Zaproponowano mi pracę w Orpheusie.

— Więc lepiej ją przyjmij.

— Zwinę się jeszcze dzisiaj.

— Aha, zrób coś dla mnie.

— Co?

— Kiedy przyjdzie urocza panna Lc Paul, która zaopatruje cię w narkotyki, zostaw jej wiadomość ode mnie, dobrze? Powiedz jej, że jeśli kiedykolwiek ją tu zobaczę, skończy w pierdłu.

Eddie spojrział na nią, odwrócił się i wyszedł.

Później Lucky spotkała się z Paige. To taka energiczna kobieta, pełna życia i wesoła, Lucky rozumiała, dlaczego Gino za nią tęsknił. Paige zamówiła campari z wodą sodową, zanim usiadła.

— Wyglądasz świetnie, Lucky — powiedziała. — Hollywood ci służy.

— Dziękuję. Nic się nie zmieniłaś, Paige. Paige poprawiła miedziane włosy.

— Staram się nie poddawać. Jak Bobby?

— Wspaniale.

— A Lennie?

— Też.

Nie zamierzała informować całego świata o separacji.

— Przy okazji, zgadnij, kto jest u mnie?

— Kto? — zapytała, mimo że dobrze wiedziała.

— Gino. Jest w domu na plaży, z Bobbym. Paige piła campari.

— Tak?

— On się starzeje, Paige.

— Gino nigdy nie będzie stary — powiedziała Paige uśmiechając się ciepło.

— Bez ciebie starzeje się w oczach. Paige bawiła się ciężką srebrną bransoletą.

— Nie ja postanowiłam zerwać nasz związek — powiedziała. — To on.

— Chyba musi mieć cię tylko dla siebie. Znasz Gina. Paige nie przestała się uśmiechać.

— Zawsze był chciwy.

Lucky przeszła do sedna. Więc zostawisz Rydera?

— Czy dlatego chciałaś się ze mną spotkać?

— To chyba dobry powód.

Paige zawołała kelnera i zamówiła drugiego drinka.

— Czy Gino cię przysłał?

— Nie wie, że tu jestem. Zabiłby mnie, gdyby wiedział, że się wtrącam. ^v

— Tak, na pewno.

— Więc?

— Wy, Santangelo, jesteście tacy bezwzględni...

— Pomyśl o tym, Paige. Możesz to dla mnie zrobić?

— Dobrze, pomyślę, Lucky.

— O nic więcej nie proszę.

Rozdział osiemdziesiąty szósty

Deena wynajęła samochód kilka dni wcześniej. Osobowy, ciemnobrązowy ford, zupełnie zwyczajny.

Dziewczyna w biurze wynajmu samochodów nie będzie jej pamiętała. Deena założyła ciemną perukę, ciemne okulary, dżinsy i kurtkę. Własna matka by jej nie poznała.

Pokazała fałszywe prawo jazdy z niewyraźnym zdjęciem i wynajęła wóz.

— Na jak długo? spytała dziewczyna, żując gumę i myśląc o swoim chłopaku, kierowcy ciężarówek.

— Mniej więcej na tydzień — powiedziała Deena, starając się ukryć swój akcent.

— W porządku — wcale nie zwracała na nią uwagi. — Proszę tu podpisać.

Deena zastanawiała się, czy w ogóle musiała się przebierać. Pewnie nie. Ale obmyśliła plan tak szczegółowo, żeby żadne ślady nie prowadziły do niej.

Po wynajęciu wozu pojechała na podziemny parking, gdzie go zostawiła. Na tym samym parkingu stał srebrny cadillac, wynajęty dla niej przez uzdrowisko.

Wsiadła do cadillaca, pojechała do sklepu i w przebieralni zdjęła perukę, okulary i dżinsy. Znow była Deeną Swanson.

Po zrobieniu zakupów, wróciła cadillakiem do uzdrowiska. Kiedy pojedzie gdzieś formem, nikomu nie przyjdzie do głowy, że to może być ona.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

Kiedy Ron chciał, potrafił być bardzo zorganizowany. Przygotowania do przyjęcia na dwudzieste szóste urodziny Venus Marii szły pełną parą. Zabawa polegała na utrzymaniu ich w tajemnicy. Osobiście zaprosił wszystkich gości i wymusił na nich przysięgę milczenia. Żeby upewnić się o ich przybyciu, wysłał każdemu śliczną kartkę, na której było napisane: „Przyjdź, nie mów nic nikomu”.

Zaprosił trzysta osób. Każdego, począwszy od Coopera Turnera i innych gwiazd Panther, skończywszy na Mickeyu Stollim i jego kolegach z zarządu. Zaprosił ich oczywiście, zanim dowiedział się o zamieszaniu w Panther.

Teraz zaprosił także Lucky Santangelo, która z przyjemnością przyjęła zaproszenie. Zamówił tort, olbrzymi, trzy poziomowy, ze statuetką Venus Marii na szczycie. Z boków zwisały sztuczne płyty z tytułami jej przebojów.

Dodatkową osłodą miał być Martin Swanson. Gdyby Martin się pojawił, na pewno miałyby udany wieczór.

Ron wydawał to przyjęcie w ogrodzie za swoim domem. Zamówił egzotyczne kwiaty, wykwintne jedzenie, trzy grupy muzyczne i dyskdżokeja. Wszystko, co Venus Maria lubi. Na liście gości umieścił znanych jej tancerzy, współpracowników, przyjaciół, oraz ludzi, których warto poznać bliżej.

Niestety, popełnił błąd i zaprosił Emilia. Wysłał mu zaproszenie na długo, zanim kochany brat opublikował swoje wynurzenia.

Jednak na pewno ten kretynek nie odważy się przyjść?

Nie, Ron nawet nie brał tego pod uwagę.

Żeby goście dobrze się bawili, zaprosił też dwadzieścia pięknych dziewcząt i dwudziestu przystojnych chłopców — mężowie i żony nie powinni się nudzić.

Chłopców dobrał Ken. Zaprosił młodych aktorów, przyjaciół, najprzystojniejszych fotomodeli w mieście.

— Postaraj się, żeby choć połowa z nich była normalna — poinstruował go Ron.

— Chcesz, żebym to osobiście sprawdził? — odciął się Ken. Suka! Potrząsnął głową zirytowany Ron.

— Nieważne.

Dziewczętami zajął się sam. Zadzwoił do Madame Loretty, która dysponowała najładniejszymi dziewczynkami w mieście.

— Tym razem nie będą musiały się sprzedawać — powiedział starszej pani. — Będą tylko tańczyć, bawić się i świetnie wyglądać.

Tylko piękni ludzie mogą zapewnić naprawdę udane przyjęcie. A Venus Maria doceni dowcip wymieszania dziwek z żonami.

Ron zatrudnił w tej konspiracji Coopera Turnera, który miał zająć się sprowadzeniem samej Venus Marii.

— Jeśli będzie uważała, że wychodzi z tobą na przyjęcie, będzie wyglądała

cudownie wyjaśnił Ron. — Nie zawracałbym sobie głowy Madame, gdyby ona miała przyjść byle jak ubrana. Właściwie, kupiłem jej na urodziny rewelacyjny kostium u Gautiera. Może się przebrać, jak przyjdzie.

Przyjęcie zaplanował na poniedziałek. Zostały tylko dwa dni. Trudno było mu utrzymać wszystko w tajemnicy, ale skoro wytrzymał tyle czasu, postara się i przez te dwa dni.

Warner Franklin podeszła do drzwi domu Johnny'ego Romano i zadzwoniła.

Podszedł jeden z lokajów. Nie poznał Warner. Kojarzył wysoką Murzynkę, z którą ostatnio pokazywał się Johnny, jednak nie rozpoznawał wysokiej umundurowanej policjantki.

— Pan Romano — powiedziała służbowym tonem.

— Nie ma go — odpowiedział portier.

Warner potrafiła być ostra, kiedy wymagała tego sytuacja.

— Czy mam wrócić z nakazem? Lokaj odwrócił się zakłopotany.

— O co chodzi?

— To do wiadomości pana Romano. Jeśli cenisz swoją pracę, szybko sprowadź go na dół.

Portier pospieszył się, mamrocząc coś pod nosem. Pięć minut później wrócił z Johnnym. Przystojny Johnny. Atrakcyjny, incho i sukinsyn zarazem. Nie poznał Warner, co bardzo ją rozzłościło.

— Słucham?

Miał na sobie frotowy szlafrok, na szyi kilka złotych łańcuszków. Długie włosy spływały na karku. Z tyłu kręciło się dwóch goryli. Pamiętała, jaki był w łóżku i bardzo go pragnęła. Zdjęła duże, ciemne okulary i popatrzyła na niego.

— Próbowałam dodzwonić się do ciebie - powiedziała. — Jednak bez rezultatów. Nagle ją poznał.

— Cholera! — krzyknął. — To ty! Mundur niesłychanie cię zmienia. Warner wiedziała, że mundur w dziwny sposób przyciągał niektórych mężczyzn. Dlatego go nosiła. Najwyraźniej Johnny też do nich należał.

— Dlaczego nie odpowiadałeś na moje telefony? spytała.

— Kochanie, nie miałem pojęcia, że dzwoniłaś — machnął ręką w powietrzu. — Chuck, czy Warner dzwoniła?

— Nie wiem, Johnny. Przesłucham taśmę w sekretarce.

Johnny nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Podobało mu się, że przyszła do niego, jakby miała do tego prawo.

— Zaprosiłbym cię do środka, ale mam gości — powiedział. Chciała, żeby wiedział, iż nie jest jakąś tam panienką na jedną noc.

— Kiedy możemy porozmawiać? — naciskała. - Mam dość wydzwaniania do ciebie.

Myślał szybko. Za wiele nie działało się w jego życiu. Na górze dwie blondynki bliźniaczki czekały na niego w łóżku. Na dziś wystarczy, ale później...

— Powiem ci coś. Idę na duże przyjęcie w poniedziałek. Zabiorę cię. Co ty na to?

— Dobrze — powiedziała Warner.

— Jesteśmy umówieni — powiedział Johnny, patrząc na jej olbrzymie piersi.

Warner była zadowolona. Wyciągnął rękę i dotknął munduru.

— Co byś powiedziała, gdybyś następnym razem przyszła do mnie na dłużej w mundurze?

Skinęła głową.

— Może.

Johnny się ucieszył.

— Daj mi swój adres. Przyślę po ciebie limuzynę. O ósmej w poniedziałek. I załóż coś seksy.

— Dobrze — zgodziła się Warner.

— Wspaniale — podsumował Johnny.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

Carlos Bonnatti siedział w swoim domu w Century City i rozmyślał. Lucky Santangelo traktowała go jak śmiecia. Kazała mu czekać na pieniądze, które mu się należały. Niech cholera weźmie ją i jej ojca, Gina. Santangelowie zawsze uważali się za lepszych od innych. Gdyby nie ta parszywa rodzina...

Pamiętał, jak Enzo narzekał na Gina. Ten sukinsyn — mawiał. Myśli, że jest mądrzejszy od innych. Nie wchodzi w narkotyki i dziwki. Wydaje mu się, że jest uczciwy, skoro robi pieniądze na lichwie i kasynach. Pieprzony Gino. Enzo jeszcze mu pokaże.

Kiedy ta dziwka Santangelo zamordowała Enzia, Carlos się wycofał. Nie zamierzał mieszać się w rodzinne porachunki. Chciał prowadzić interesy na swój sposób.

Kiedy Santino poprzysiągł zemstę, Carlos pomyślał, że to dureń. Sam odsunął się od swojego brata. W końcu Santino też dał się zabić, ale Santino zawsze był kretynem, interesowały go tylko dupy.

Carlos wiedział, o co mu chodzi. Najważniejsze są pieniądze. Pieniądze to podstawa. A teraz ta dziwka Santangelo stanęła mu na drodze. Najwyższy czas, żeby przedstawił swoje warunki. Dwadzieścia cztery godziny, dziwko. A jeśli nie zapłacisz...

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

Hotel Beverly Hills należał do najbardziej luksusowych na świecie, jednak nie można go porównać z mieszkaniem we własnym domu. Mickey Stollie szybko się o tym przekonał.

Wprowadził się do willi. Miał kuchnię, jednak jaki z niej pożytek, kiedy nie miał kto dla niego gotować?

Musiał zdać się na obsługę hotelową.

Tabitha nalegała na spotkania z nim w soboty.

— Wyjdźmy na basen, tato. Tam jest pełno fajnych chłopaków — marudziła.

— Na basenie nie ma żadnych fajnych chłopaków — powiedział znudzony Mickey.

— Są tylko starzy producenci.

— Tacy jak ty, tato?

— Ja nie jestem producentem.

Tabitha ubrana była w szorty i obszerną koszulkę. Kiedy poszli na basen, zdjęła ubranie i ukazała się w o wiele za małym bikini. Nie zdawał sobie sprawy, że jego córka tak szybko się rozwija. Gdyby nie aparacik na zębach, nikt by się nie zorientował, że ma dopiero trzynaście lat.

— Załóż koszulkę — nakazał.

— Chcę się opalać, tato.

— Powiedziałem ubierz się.

Tabitha zrobiła nieszczęśliwą minę i sięgnęła po koszulkę.

— Kiedy wrócisz do domu?

— Kto powiedział, że wrócę?

— Mama.

— Naprawdę?

— Tak. Mama mówi, że nie dasz sobie sam rady.

— Czy chce, żebym wrócił?

— Nie wiem.

Przywitał się z kilkoma znajomymi, po czym poszli z Tabithą do restauracji i usiedli przy stoliku na powietrzu.

Tabitha postanowiła zamówić wszystko, co było w karcie. Mickey przekonał ją, żeby wzięła tylko kanapkę i koktajl czekoladowy, sam zamówił jajecznicę.

— Czy mogę urządzić w Orpheusie moje szesnaste urodziny? — zapytała, spoglądając lubieżnie na meksykańskiego kierowcę autobusu.

— Kto wie? — powiedział zirytowany Mickey. — Jezu, po co o to pytasz? Twoje szesnaste urodziny będą dopiero za trzy lata.

— Planuję z wyprzedzeniem — poinformowała go córka. — Mama mówi, że tak trzeba. Nauczyła mnie tego.

Tabitha znów spojrzała na chłopaka. Też się jej przyglądał. To Beverly Hills, nie ma szansy na to, żeby się kiedyś spotkali.

— Czy wiesz, że jak dziadek umrze, zostawi mi dużo pieniędzy? — spytała Tabitha. Mickey się zainteresował.

— Naprawdę?

— Wszystkie pieniądze, które dostał za studio podzielił między mnie, dzieci ciotki Primrose i Inge. Kiedy dziadek umrze, dostaniemy wszystko. Wszystko, tato. Będę naprawdę bogata.

— To dobrze. Będziesz mnie utrzymywać na starość.

— Sam możesz się utrzymywać. Jesteś bogaty. Nie tak bogaty, jak tego pragnął.

— A co z twoją mamą? — spyta! ciekawy.

— Nie wiem. Dostanie odsetki, dopóki nie będę miała dwudziestu jeden lat, potem ja przejmę całość. Kupię sobie porsche'a, corvette i czerwonego thunderbirda. Co ty na to, tato?

Jak matka, wydaje, zanim ma.

Tabitha wzięła bułkę i wpackowała ją sobie do ust.

— Jak jest w Orpheusie? Czy tak fajnie jak w Panther? Jakie gwiazdy tam racują? Tom Cruise? A Matt Dillon? Mogę poznać Roba Lowe'a?

— Jeszcze nie podpisałem kontraktu powiedział wkurzony. — Muszę poczekać, aż Zeppo się wyniesie. Robi trudności.

— Jakie trudności?

Zdawało mu się, czy ten kierowca puścił do niej oko?

— Straszy nas sądem, kruczkami w kontrakcie. Kiedy to się skończy, obejmę stanowisko.

Tabitha kręciła się na krześle.

— Mogę przyjść z wizytą? Jakie filmy robisz?

— Daj mi spokój — powiedział złowrogo Mickey. — Nie mam nastroju na takie rozmowy.

— Powinieneś być dla mnie miły — oznajmiła Tabitha, obgryzając paznokcie. — Jestem teraz opuszczonym dzieckiem, moi rodzice są w separacji — pociągnęła łyk koktajlu. — Pójdziemy do kina? Do Westwood? Albo do Tower Records?

— Możesz się zamknąć?

Czy tak będą wyglądały wszystkie soboty? Mickey miał wrażenie, że nie będzie lubił weekendów.

Warner zadzwoniła do Abigaile.

— Zrobiłam, jak mi radziłaś — powiedziała podniecona.

— Mówiłam, że to dobry pomysł. Warner zachichotała.

— Naprawdę był zaskoczony moim widokiem.

— Jestem pewna.

— Zaprosił mnie na przyjęcie w poniedziałek.

— To miło.

wiesz, Abby — powiedziała ciepło Warner — naprawdę źle cię oceniałam. To przez opowieści Mickeya. Przedstawił cię jak wiedźmę z Beverly Hills. Kiedy byłam policjantką w drogówce, spotykałam masę takich, (idybym wiedziała, jaka jesteś naprawdę, nigdy nie miałabym romansu z twoim mężem.

— Rozumiem, moja droga — powiedziała Abigaile spokojnie. — Mickey potrafi być przekonujący. Może któregoś dnia pójdziemy na lunch. Do Bistro Gardens, dobry pomysł?

— Bistro Gardens? Nigdy tam nie byłam — powiedziała Warner. — Wspaniale.

— To dobrze — powiedziała Abigaile. — Zadzwoń, kiedy będziesz miała ochotę. Odłożyła słuchawkę i pokiwała głową. Wrogów należy przekształcić w przyjaciół. To daje przewagę, a Abigaile lubi mieć przewagę.

— Idziemy na przyjęcie — Madame Loretta poinformowała grupę wybranych dziewcząt.

— Zabawiać gości? — zapytała Texas, delikatna, dwudziestodwuletnia blondynka.

— Nie, nie musicie ich zabawiać — odpowiedziała Madame Loretta. — To wyprawa dla przyjemności.

Zwróciła się do Leslie.

— Doskonała okazja dla ciebie, kochana.

— Jaka okazja? — spytała Leslie bez entuzjazmu. Odkąd Eddie ją zostawił, nie miała na nic ochoty.

— Okazja do znalezienia męża — stwierdziła Madame Loretta. — Bogaci, wpływowi mężczyźni. Wprawdzie chciałabym, żebyś znów dla mnie pracowała, moja droga, jednak ucieszę się, jeśli sobie ułożysz życie. Należysz to typu żon. Leslie skinęła głową i zastanawiała się, jak Eddie daje sobie bez niej radę. Był dla niej taki parszywy, a jednak nie mogła przestać o nim myśleć.

— W poniedziałek wieczorem — zapowiedziała dziewczętom Madame Loretta. — Musicie świetnie wyglądać. Idziemy na najlepsze przyjęcie w mieście.

Rozdział dziewięćdziesiąty

Otoczona rodziną, Lucky czuła się lepiej, jednak nie tak jak przy Lenniem.

Obecność Gina, Bobby'ego, Stevena, Mary Lou i Carioki Jade uświadamiała jej, jak bardzo za nim tęskni. Zastanawiała się, gdzie jest, co robi i czy jest szczęśliwy.

Sprawy w studio zaczynały się układać. *Granat* został już poprawiony, a nowy scenariusz bardzo jej się podobał. Nawet Venus Maria była zachwycona. Montana Grey przyjechała do studia i spotkała się z nimi. Interesująca kobieta, wysoka, inteligentna i przede wszystkim utalentowana. Lucky zleciła jej reżyserię filmu. Przeczytała dwa inne scenariusze, które się jej spodobały. Trafiła też na kryminał-komedie, który może dać Susie Rush, skoro dziewczyna chce grać inne role niż kociaki.

Susie zainteresowała się, ale dostała już coś z Orpheusa.

— Czy podpisałaś kontrakt? — zapytała Lucky.

Kiedy okazało się, że jeszcze nie, zaproponowała Susie więcej pieniędzy i dodatkowe przywileje przy kręceniu filmu. Pieniądze zawsze mogą zmienić zdanie aktorki. Poza tym, nadarzyła się okazja, na jaką Susie czekała. Zgodziła się.

Lucky czuła, że w krótkim czasie wiele osiągnęła w Panther. Wiele czasu spędzała na planie *Macho Mana*. Gdyby Lennie znów chciał nad tym pracować, na pewno bardzo by to jej pomogło.

Może powinna do niego zadzwonić. Nie. Może to on powinien zadzwonić.

Jak się spodziewała, *Matkożerca* spadał na łeb na szyję. Wprawdzie w pierwszym tygodniu ludzie walili drzwiami i oknami, szybko jednak rozeszła się wieść, że to szmira. Johnny Romano nie był najszcześniejszym gwiazdorem.

Nadszedł długo oczekiwany weekend. Po sobotnim obiedzie Steven zaproponował spacer po plaży.

— Chcę iść z wami — powiadomił ich Bobby.

— Nie. Muszę być sam z twoją mamą — wyjaśnił Steven. — Nigdy jej nie widuję. To jedyna okazja.

Lucky wzięła go pod ramię.

— To nieprawda, braciszku.

— Oj, prawda!

— Jestem teraz.

— I dlatego idziemy na spacer. Poszli wzdłuż plaży.

— Tak się cieszę, że udało ci się z Mary Lou. A Carioca Jade! Jest wspaniała! —

Lucky uścisnęła go. — Masz rację, Stevenie, nie widzimy się wystarczająco często.

— Przyznaje mi rację!

— Dobrze, Ojciec Roku, co jeszcze u ciebie słyhać?

— Powiedz lepiej, co słyhać u ciebie — patrzył na nią przez chwilę. — Słyszałem o tej historii z przebraniem. Jesteś niezwykła, Lucky.

— Tak — powiedziała smutno. — I zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło. Zyskałam studio i straciłam męża.

Steven się zatrzymał.

— Jak to?

Nie słyszałeś? Lennie wkurzył się, kiedy powiedziałam mu, co zrobiłam. Nie jest zachwycony, że kupiłam Panther. W zasadzie... — zawahała się — rozmawialiśmy o rozwodzie.

Steven potrząsnął głową.

— Niemożliwe.

— A jednak.

— Twój problem polega na tym, że zawsze musisz postawić na swoim. Żadnych przeszkód.

— Mówisz, jakbyś mnie znał całe życie.

— Może nie tak długo, ale czuję się z tobą związany. To niezwykle być twoim bratem.

— Tak jak twoją siostrą. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? W windzie?

Uśmiechnął się.

— Ta słynna winda. Kiedy uwięziła nas, jak wyłączyli prąd w Nowym Jorku. Dwoje obcych ludzi. Nie mieliśmy pojęcia...

— Ja byłam załamana powrotem Gina z wygnania, a ty byłeś takim sztywniakiem!

— Tak, byłaś szalona. Zamknęci w windzie, ciemno, nie znamy się, a ty mówiłaś tylko o seksie. Zastanawiałem się, kim jest ta zwariowana kobieta, z którą tu siedzę? Zaśmiała się pełna skruchy.

— - Byłam wtedy młoda i wolna.

— Lucky, nic się nie zmieniło. Nadal jesteś tak samo wkurzająca! Popatrzyła na niego uważnie.

— Czy zrobiłam Lenniemu coś tak okropnego?

— Cóż... zostawiłaś go nieco z boku, prawda? Mary Lou nauczyła mnie, że małżeństwo polega na robieniu rzeczy wspólnie. Na zaufaniu. Na dzieleniu się.

— Więc według ciebie nie powinnam robić Lenniemu takiej niespodzianki? Powinnam mu powiedzieć i dopuścić go do udziału.

— Właśnie, dziecino.

— Stevenie, mówisz jak Gino!

— To chyba nieźle.

— Wyobraź sobie, jak to jest dorastać przy takim ojcu jak Gino? Niektórzy ludzie mają takie nudne życie. A ja miałam Gina — najbardziej fascynującego ojca na świecie.

— Szkoda, że mnie to ominęło.

— Masz go teraz. On cię kocha, Stevenie — pocałowała go. — Ja też.

— I wzajemnie, dziecino.

— Przestań nazywać mnie dzieciną! Poszli dalej.

— Jak myślisz, czy Lennie wróci? — zapytała tęsknie.

— Na pewno.

— Skąd wiesz?

— Bo ty jesteś sobą. Żaden facet od ciebie nie odejdzie. Uśmiechnęła się.
— Dziękuję, Steven. Właśnie to chciałam usłyszeć.
— Jestem prawnikiem. Daję dobre rady.
— Dasz mi jakąś?
— I tak nie posłuchasz.
— Powiedz.
— Kiedy Lennie wróci, powiedz mu, że sprzedasz to cholerne studio, jeśli on tak chce.

— Czekać, czekać — nie zamierzam stać się kurą domową.
— Lucky, daj szansę swojemu małżeństwu. Dzielenie się nie jest takie straszne. Pamiętaj o tym.

— Postaram się.

W domu Carioca Jade bawiła się w kojcu, Mary Lou opalała się, Gino spał, a Bobby przyciągał w wiaderku piasek z plaży i zasypywał nim podłogę. Udręczony Miko spojrział na Lucky.

— Powiedziałem paniczowi, żeby nie wnosił tu piasku, ale on twierdzi, że pani się zgodziła.

— To nie szkodzi, Miko — odpowiedziała spokojnie. Mamy weekend, niech się bawi.

— Jak pani chce, madame.

Miko nie był zachwycony napływem gości, ale Lucky bawiła się wyśmienicie.

— Wracamy do Ameryki — powiedział Lennie.

— Co? — spytała zaskoczona Brigitte. — Tak krótko tu jesteśmy. Dlaczego wyjeżdżamy?

— Nie chcesz zobaczyć Lucky i Bobby'ego?

— Bardzo chętnie, ale myślałam, że ty i Lucky nie rozmawiacie ze sobą.

— Wiesz co? — powiedział Lennie. — Życie jest zbyt krótkie. Pora jakoś je ułożyć. Szczęśliwa Brigitte skinęła głową.

— Dobrze, więc spakujcie się, ja wszystko załatwię. I ani słowa nikomu. Chcę zrobić Lucky niespodziankę.

W niedzielę w południe zadzwonił telefon. Siedząca nad basenem Lucky podniosła słuchawkę. Natychmiast rozpoznała niski, chrapliwy głos Carlosa Bonnattiego.

— Zapłać, dziwko — powiedział. - Dość mam już czekania. Daję ci dwadzieścia cztery godziny. Jeśli do tego czasu nie dostanę mojej forsy, będziesz miała kłopoty. Santangelowie zbyt długo igrali z Bonnattimi, teraz będzie odwrotnie. Więc zapłać, dziwko, albo wiesz, co się stanie.

Nic nie powiedziała. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Gina. Wydawał się taki spokojny, kiedy siedział na leżaku, opalał się, a Bobby bawił się opodał.

W dupie ma Carlosa Bonnattiego i jego groźby.

Lucky Santangelo nie da się zastraszyć ani jemu, ani nikomu innemu. Poradzi sobie. Wymyśli coś.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

Tony Maglioni to przystojny, nieco przylizany facet z dużym nosem. Królował w pizzerii. Emilio wszedł ciągnąc za sobą Ritę.

— Co robimy w tym zasranym miejscu? — spytała zdegowana Rita.

— Zapewniamy mi dobrą przyszłość — odpowiedział Emilio, zastanawiając się nad barwnością jej wypowiedzi. — Postaraj się być miłą dla wszystkich, to ważne.

Rita rzuciła mu groźne spojrzenie. Miała dość bycia miłą. Pomyślała, że kiedy wróci do Hollywood, zerwie, wszelkie znajomości. Szczególnie te z Brooklynu.

Emilio przypominał sobie Toniego, mimo że facet był od niego dużo młodszy.

— Cześć, Tony! — zawołał. — Emilio Sierra.

Tony miał doskonałą pamięć do nazwisk. Wskoczył zza stołu.

— Emilio, stary, jak się masz!

— Przyjechałem do miasta i nie chciałem stracić okazji zobaczenia ciebie — powiedział Emilio.

Kiedy przyjrzał się nieco Tony'emu, wszystko sobie przypomniał. Venus Maria bardzo go lubiła. Miesiącami za nim łąziła i w końcu dorwała go w kuchni pewnego wieczora, kiedy wszyscy wyszli.

— Słyszałem że jeździsz na ciężarówce — powiedział Emilio. — Przejmujesz Manhattan, co?

Tony się roześmiał.

— Tak, jeżdżę ciężarówką. Mam w niej swój udział, wiesz? Robię też parę rzeczy na boku. Nieźle mi idzie. A ty, Emilio, co u ciebie?

Emilio skromnie wzruszył ramionami.

— Mieszkam w Hollywood i właśnie kręcę film. Gram najlepszego przyjaciela Sylwka Stallone'a.

Zrobiło to duże wrażenie na Tonym. Tak samo na jego dziewczynie, zezowatym rozchohrańcu w mini i z dużymi cyckami.

Rita westchnęła zdegowana. Dlaczego Emilio stale wyjeżdżał z tym Stallone'em?

— Możemy się przysiąść? — zapytał Emilio.

— Siadajcie, siadajcie — powiedział Tony, który też chciał zrobić wrażenie. — To najlepsza pizzeria w okolicy.

Podsunał Emiliowi tłusty kawałek pizzy.

— Spróbuj.

Emilio usiadł, sadzając niechętną Ritę obok.

— Tak, zawsze wiedziałem, że będziesz kimś — powiedział Emilio, ostrożnie nagryzając twarde ciasto. — Tony Maglioni zna się na tym, co dobre.

Tony skinął głową. Nie jest głupi ten Emilio.

— Co u twojej siostry? — uśmiechnął się nieszczercze.

Emilio uśmiechnął się w ten sam sposób — pora na męską rozmowę.

— Całkiem nieźle sobie radzi.

— Tak, mała Virginia... — zamyślił się Tony.

— Chodziliście kiedyś ze sobą, prawda?

- Cóż — Tony wymachiwał rękoma. Spotkaliśmy się kilka razy. Była nieznośna.

— Założę się, że nie przypuszczałeś, iż zostanie taką cholerną gwiazdą, co?

Tony odrzucił głowę w tył i się roześmiał.

— Kto mógł się spodziewać?

— Wiesz, jeśli będziesz kiedyś w Hollywood — skłamał Emilio — mamy tam z Venus dużą chałupę. Mógłbyś nas odwiedzić, bardzo by się ucieszyła. Nadal o tobie mówi.

Tony się ucieszył.

— Naprawdę?

Wtrąciła się jego dziewczyna.

— On nigdzie beze mnie nie pojedzie — oznajmiła.

— Zamknij się — powiedział Tony, odwracając się do niej. — Będziesz siedziała cicho? To męska rozmowa.

Rita miała dość.

— Emilio — zaczęła — chodźmy stąd.

Emilio nic nie powiedział. Kopnął ją pod stołem, żeby się nie odzywała.

— Wiesz — ciągnął — Venus nigdy nie wyszła za mąż. Mam wrażenie, że nadal cię wspomina. W zasadzie jestem tego pewien.

— Mnie? — uśmiechnął się Tony, pokazując krzywe przednie zęby, jedyną skazę na przystojnej twarzy.

— Musisz przyznać, że byliście raczej blisko przez pewien czas. Tony roześmiał się lubieżnie.

— Nikt nie był bliżej!

Jego dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Tony — zaczęła — powiedz mu, że bierzemy ślub. No, powiedz mu. Tony ponownie się do niej odwrócił. Nadeszła jego szansa i zamierzał ją wykorzystać.

— Wiesz co, kochanie? Właśnie zerwałem zaręczyny.

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

Eddie Kane, co zrobiłeś z milionem dolarów?

Sam sobie zadawał to pytanie każdego ranka zaraz po przebudzeniu. Trudno na nie odpowiedzieć. Wiedział tylko, że jest bankrutem. Żadnych pieniędzy w banku, kieszenie też puste.

Chyba nie zaciągnął się taką forszą?

Nie. Miał dużo wydatków. Dom, szafa pełna ubrań od najlepszych krawców, ślub z Leslie, cenny maserati. Człowiek musi wydawać, żeby jakoś wypaść.

Co zrobiłeś z milionem dolarów, Eddie?

Pytanie nie dawało mu spokoju. Od czasu kiedy rzucił Leslie, szło mu coraz gorzej. Większość nocy spędzał u Arniego i Frankiego; zawsze wydawali przyjęcie. Było dużo narkotyków i panienek.

A jednak... żadnej nie można porównać z Leslie.

Dużo o niej myślał. Duże oczy, słodkie ciało, otwarty i szczery uśmiech. Cholera, stary, to dziwka. Dobrze, że ją, zosta wił. Może. Jednak chciał, żeby wróciła, a nie umiał wymyślić sposobu na sprowadzenie jej i zachowanie twarzy. Może kokaina mu pomoże. Jeśli pociągnie wystarczająco, znajdzie rozwiązanie dla swoich problemów.

Deena miała stały harmonogram dnia. Zgrabna, szczupła, ciało nacierane najdroższymi olejkami i kremami — w zasadzie była w doskonałej kondycji fizycznej. Nie potrzebowała pobytu w uzdrowisku. Ale nie o to jej chodziło.

Co rano pływała w odkrytym basenie, szła na masaż rozluźniający, a potem na lekki lunch. Następnie chowała się w swoim apartamencie i nikt nie widział jej aż do następnego ranka. Tak co dzień. Pilnowała rozkładu zajęć, jako najważniejszego elementu swojego planu. Unikała spotkań z innymi kuracjuszkami, prawie nie rozmawiała z obsługą, trzymała się z daleka od wszystkiego. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, kim była.

W poniedziałek ukazało się nowe wydanie „Truth and Fact”. Pierwszą stronę zdobiło wielkie zdjęcie Venus Marii i Martina, trzymających się za ręce w holu hotelu Bel Air. „Tajemnicza randka” — mówiły nagłówki. Deena przez chwilę patrzyła na zdjęcie i doszła do wniosku, że czeka już wystarczająco długo.

— Cześć, Dennis, tu twój stary przyjaciel Emilio. Wróciłem. Boże! Kiedy pozbędę się tego faceta — pomyślał Dennis.

— Co masz dla mnie? — spytał.

— Szybciej powiem, czego nie mam — odpowiedział arogancko Emilio. — Tym razem to naprawdę bomba. Mam jej pierwszą noc z chłopakiem i wszystkie szczegóły.

— Kto jest tym chłopakiem?

— Odpieprz się!

— Nie mogę wydrukować historii, jeśli nie znam nazwiska.

— Opowiem ci historyjkę, a potem podam nazwisko. Jak dostanę forszę, oczywiście

— Emilio z wiekiem stawał się coraz przebieglejszy.

— O co chodzi? Nie ufasz nam? — wyrzekął Dennis.

— Nikomu nie ufam — powiedział pogardliwie Emilio. Skąd mam wiedzieć, że to prawdziwe?

— Jakoś twoje pismo się dzięki mnie sprzedaje, nie? — rzucił zdenerwowany Emilio. — Czy za każdym razem muszę przechodzić te próby, kiedy mam coś dla ciebie?

— Pismo sprzedaje się dzięki twojej siostrze — przypomniał mu Dennis. — Bez niej nie masz nic, stary.

— Cholera — powiedział Emilio może powinienem pójść gdzie indziej. Może mnie lepiej potraktują.

Znużony Dennis westchnął ciężko.

— Dobra, spotkajmy się — powiedział. Posłucham szczegółów i powiem ci, ile to dla mnie warte.

Emilio triumfująco odłożył słuchawkę.

Rita przeglądała się w lustrze łazienkowym. Wyglądało, jakby się do niego wprowadziła, wszędzie leżały jej rzeczy. Nie zauważył, jak to się stało, ale to był fakt.

Emilio nie miał nic przeciwko temu. Nie mieszkał jeszcze z żadną dziewczyną, a Rita była ładna.

— Twoja siostra jest wściekła jak diabli — powiedziała, wchodząc do sypialni.

— Skąd wiesz?

— Odsłuchałam sekretarkę. Słyszałam ją. Dosłownie kipi złością.

— Przejdzie jej. Właściwie... wiesz co? Mam dla ciebie niespodziankę na dzisiejszy wieczór. — Co takiego? — zapytała mając nadzieję, że to nie jego ciało.

— Zabiorę cię do Venus, jej pedałowaty przyjaciel Ron wydaje dla niej urodzinowe przyjęcie.

— Tak? — parsknęła ironicznie Rita. — Na pewno bardzo za tobą tęskni.

— Zostałem zaproszony — powiedział zadziornie Emilio.

— Kiedy? — spytała podejrzliwie Rita.

— Jakiś czas temu. Pamiętaj, że jestem jej bratem. Na pewno spodziewa się mnie.

— Żeby mogła ulżyć swojej wściekłości.

Nie cierpiał, kiedy baba musi coś powiedzieć. Ojciec ma rację. Kobiety istnieją z trzech powodów — aby gotować, sprzątać i dawać dupy. Koniec.

— Co mnie to obchodzi? Chcę iść na to przyjęcie, a ty? W oczach Rity pojawiły się płomyki.

— Czy to duże przyjęcie?

Wystarczająco. Rita skinęła głową. Nie przepuści takiej okazji. Jak chcesz, Emilio. W poniedziałek Deena zachowywała się jak zwykle. Po lunchu zniknęła w pokoju i przygotowała wszystko. Wyjęła czarną perukę, dzinsy, w końcu wyciągnęła pistolet.

Niedługo wymknie się nie zauważona, pojedzie cadillakiem na parking, przesiądzie się w forda i uda się do Los Angeles.

Dziś w nocy zabije Venus Marię.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

Ron doglądał przygotowań. Mnóstwo ludzi biegało w tę i z powrotem, panował straszny bałagan. Zwrócił się do Kena:

— Mam nadzieję, że ona to doceni, bo i tak zdemolują mi willę.

— Doceni — zapewnił go Ken. — Będzie wspaniale.

— Nie może być po prostu wspaniale — denerwował się Ron. — To musi być najlepsze przyjęcie roku.

— I będzie.

— Naprawdę tak uważasz?

Ron był kłębkiem nerwów. Zajął mu to tyle czasu. Na szczęście dodzwonił się do Detroit do Martina Swansona, który mu obiecał, że przyleci na przyjęcie zrobić Venus Marii niespodziankę.

— Czy będą tam dziennikarze? — zapytał Martin, przypominając sobie obietnicę daną Deenie.

— Żadnego! — powiedział Ron. — To prywatne przyjęcie. Może być jakiś nasz fotograf, ale poinstruję go, żeby nie robił ci zdjęć z Venus.

— Dobrze — zgodził się Martin.

Właśnie pokazano mu kolejne wydanie „Truth and Fact”. Kiedy Deena je zobaczy, może robić więcej kłopotów. Ale niedługo nie będzie musiał tłumaczyć się Deenie z niczego.

Ron nie mógł zdecydować, jak rozsadzi gości. Nie stawiał wizytówek na stołach, to zbyt skomplikowane, ale zamierzał dać każdemu numer stolika, żeby wiedzieli, co mają ze sobą zrobić.

On sam, Ken, Lucky Santangelo, Cooper Turner i oczywiście Martin usiądą przy stoliku Venus Marii. Może posadzi tam jakąś inną gwiazdę.

Podniecony wyszedł do ogrodu obejrzeć namiot, w którym mają się bawić.

Wszystko wyglądało cudownie. Namiot był czarny, oświetlony morzem

świątełek. W nocy będą wyglądały jak gwiazdy. Reszta czarno-srebrnych dekoracji na pewno spodoba się Venus Marii. Egzotyczne i pięknie poukładane kwiaty kazał sprowadzić aż z Hawajów.

Na ścianach namiotu założono olbrzymie ekrany, na których będą wyświetlane zdjęcia Venus Marii.

— Odpręż się — Ken położył mu kojącą rękę na ramieniu.

Ron odtrącił go. Był na niego zły, odkąd przyłapał go na wymianie spojrzeń z Antoniem.

— Koniec z flirtowaniem — zarządził.

— Jakbym to robił — odpowiedział Ken, zły że Ron go o to posądza.

— Nigdy przedtem nie wydawałem takiego przyjęcia — westchnął Ron. — To duża odpowiedzialność.

— Uda się — powiedział Ken. — Obiecuję ci.

— Nie ma się udać — rzucił zirytowany Ron. — Już ci powiedziałem, to musi być najgłośniejsze przyjęcie roku.

— Będzie — zapewnił go Ken.

Ron rzucił mu gniewne spojrzenie. Co on mógł wiedzieć?

Abigaile nie zamierzała się ukrywać przed ludźmi tylko dlatego, że Mickey zrobił coś, co robili i inni mężczyźni, którzy jednak byli na tyle mądrzy, że nie dawali się na tym przyłapać. Zamierzała pójść na przyjęcie Venus Marii. Jednak nie wiedziała, kto miałby z nią iść. Abigaile nie miała męskich przyjaciół, wszyscy mężczyźni, jakich znała, byli kolegami Mickeya.

Siedziała w Iwanie i podczas gdy Saxon układał jej włosy, wpadła na świetny pomysł. — Saxon, mój drogi — powiedziała łaskawym tonem — nie masz ochoty pójść na wspaniałe hollywoodzkie przyjęcie?

Saxon nie mógł uwierzyć, że Abigaile Stolli zamierzała go gdzieś zaprosić. Nie pierwszy raz klientki chciały go zabierać, ale po niej się tego nie spodziewał.

— I co? — Abigaile zniecierpliwiła się, czekając na odpowiedź. Musiał to przemyśleć. — Z czym, pani Stolli?

— Chcesz pójść ze mną na hollywoodzkie przyjęcie, czy nie? Jakby nie był już na tysiącu przyjęć.

— Ja... — nie wiedział co powiedzieć.

Może powinien się zgodzić. Chyba była w potrzebie.

— Jasne. Jakie to przyjęcie?

— Urodziny Venus Marii.

— Już jestem na nie zaproszony, pani Stolli.

— Tak?

Zaskoczyło ją to. Fryzjerzy nie bywali zapraszani na ważne przyjęcia. — Tak.

Czeszę ją, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Naprawdę? Nie wiedziałam. Nigdy o niej nie mówiłeś.

Uśmiechnął: się.

— Jestem dyskretny.

— Więc skoro i tak idziesz, może mógłbyś pójść razem ze mną? Saxon nie wiedział, jak się wykręcić. Poza tym, to będzie sensacja. Już wyobrażał sobie wyraz twarzy Venus Marii, kiedy zobaczy, że przyszedł z Abigaile Stolli. To niezły numer.

— Z przyjemnością, pani Stołli — powiedział. — Mam po panią przyjechać? Abigaile obawiała się, czy samochód będzie odpowiedni.

— Jakim wozem jeździsz?

— Jaguarem.

Pomyślała chwilę i zdecydowała, że może być.

— Dobrze.

— O której?

— A o której to się zaczyna?

— Ron chce, żeby wszyscy przyszli do wpół do ósmej. Planuje zupełne zaskoczenie. Przyjadę piętnaście po siódmej. Niech mi pani napisze swój adres.

Abigaile napisała i wyszła z salonu z lekkim sercem. Jeśli Mickey może mieć romans z wielką, czarną policjantką, ona może pojawić się na przyjęciu u Venus Marii z niezwykle przystojnym fryzjerem.

Czemu nie? W miłości i małżeństwie wszystkie chwytaki są dozwolone.

Po długiej debacie z samym sobą. Mickey postanowił pójść na przyjęcie do Venus Marii. Nie miał nic innego do roboty. Siedzenie co wieczór w hotelu, nawet jeśli to luksusowy hotel, nie należało do najzabawniejszych zajęć. W domu miał basen olimpijskich wymiarów, saunę, kąpiele parowe, siłownię i wspaniały prywatny gabinet wiodący do sali zdjęciowej.

Uroki domu! Bardzo za nimi tęsknił.

Jeśli zamierza rozwieść się z Abigaile, musi pomyśleć o kupnie nowego domu. I to szybko. Mieszkanie w hotelu nie odpowiada mu.

Martin Swanson robił go w balona. Nie mógł się do niego dodzwonić. Za każdym razem rozmawiał jedynie z sekretarkami Martina, które opowiadały mu historyjkę o Zeppie. Najwyraźniej musieli postępować z nim ostrożnie. Zeppo miał bardzo dobry kontrakt z Orpheusem i nie zamierzał odejść. W każdym razie nie dobrowolnie.

— Ile to jeszcze potrwa? — zapytał Mickey.

— Już niedługo — padała zawsze taka sama odpowiedź. Znienawidził słowo „niedługo”. Nie miał nawet energii na powrót do

Madame Loretty. Za każdym razem, kiedy pomyślał o seksie, przypominał sobie rękę lądującą na jego ramieniu i głos: „Jesteś aresztowany”. I tak facet może stracić zainteresowanie seksem!

Jeśli chodzi o Warner — brakowało mu łóżka, komplementów i prostoty bycia z nią. Ale to skończone. Jest tego pewien.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty

Rita założyła czerwoną sukienkę, która podkreślała wszystkie zaokrąglenia wspaniałego ciała. Okręciła się przed Emiliem, żądna podziwu.

— Podoba ci się, kochanie? Gwizdnął z zadowolenia.

— Niezłe.

Usatysfakcjonowana Rita pokręciła się jeszcze chwilę.

— A w co ty się ubierzesz? — spytała.

Emilio kupił niedawno brązowe, skórzane spodnie i kurtkę. Zamierzał założyć to do falbaniastej, różowej koszuli.

Skórzane spodnie opinały mu uda, przez co wyglądał okrągłej niż zwykle.

Rita nie chciała mu tego mówić, Emilio był bardzo próżny, a jej nie zależało na psuciu mu humoru.

— Czy wyglądam na gorącego faceta? — zapytał paradując przed nią dumny jak paw.

— Na bardzo gorącego — odpowiedziała.

Nie było to kłamstwo stuprocentowe, gdyż już zaczynał się pocić.

— Jesteś pewien, że twoja siostra ucieszy się na twój widok? — martwiła się Rita.

— Nazwała cię skurwysynem, nie wydaje mi się, żeby chciała z tobą przebywać.

Szczególnie, że wyszedł nowy numer „Truth and Fact”.

— Przystaniesz? Ona mnie kocha — chwalił się Emilio. — Sierrowie trzymają się razem.

— W porządku — Rita nie będzie się kłócić.

Zanościło się na niezwykle przyjęcie i nie chciała go stracić. Jakoś się tam dostanie. Z Emiliem albo bez niego.

Warner założyła imponującą suknię nabłyszczaną złotem. Gdyby Eddie Murphy, jej idol, mógł ją w tym zobaczyć, umarłby z wrażenia. Dodała do tego odpowiedni żakiet.

Przechadzając się przed lustrem doszła do wniosku, że Johnny Romano będzie zadowolony z tego, co zobaczy. Ale gdyby nie był... złożyła stary mundur i wcisnęła do torby razem z kajdankami i pistoletem.

Gdy przyjechała po nią limuzyna, kazała kierowcy włożyć torbę do bagażnika.

— Kiedy po przyjęciu pojedziemy do pana Romano — powiedziała z miłym uśmiechem — upewnij się, żebym jej nie zapomniała.

— Oczywiście, proszę pani — odpowiedział kierowca, przyglądając się jej.

Zauważył, że ma najwspanialszy biust, jaki kiedykolwiek widział.

— Dziękuję — Warner wsiadła do samochodu, pokazując nogi. — Czy jedziemy do pana Romano?

— Tak — potwierdził kierowca uradowany widokiem.

Jestem gwiazdą — powtarzał Johnny Romano podziwiając swoje odbicie w lustrze.
— Stary, jesteś gwiazdą!

Nikogo nie było w pokoju, Johnny jednak lubił brzmienie własnego głosu.

Pomagało mu to, ładowało go.

Stary, jesteś gwiazdą — powtórzył po raz trzeci i uśmiechnął się do swojego odbicia.

Wyglądał na twardego faceta.

Modelka, z którą się kilka razy spotkał, zaprowadziła go do Armaniego. Włoski wygląd bardzo mu pasował. Czarny garnitur, czarna koszula, biały krawat. Do tego jego czarne włosy, oliwkowa skóra i ciemne oczy — naprawdę wyglądał jak gwiazda.

Jego świta czekała na dole. Wszystko za niego robili. Być gwiazdą znaczyło nie musieć nawet kiwać palcem. Pamiętał czasy, kiedy było inaczej. Pamiętał doskonale! Pierwsza praca jaką dostał w Hollywood polegała na parkowaniu samochodów. Dużych, wypieszczonych, drogich aut. Większość ludzi, którym parkował samochody traktowała go jak powietrze. Milsi dawali duże napiwki, ale przeważnie cieszył się, jeśli dostał należną mu opłatę parkingową.

Czasami na przyjęciach widywał tych samych ludzi, którym kiedyś parkował rollsy i porsche. Chciałby im powiedzieć: „Stary, nasikałem ci do bagażnika, zepsułem radio, ukradłem kasety”. Nie podobałyby im się takie żarty, ale on bawiłby się świetnie.

Zanim został gwiazdą... Zanim został Johnnym Romano.

Ostatnie spojrzenie w lustro. Bombowo! Wszyscy umrą na jego widok! Mimo tych koszmarnych recenzji z ostatniego filmu i klapy finansowej.

Co go to obchodzi? Ludzie go kochają. Wróć.

Otworzył drzwi od sypialni.

— Hej, Johnny Romano jest gotów — krzyknął. — Idziemy! Świta stanęła na baczność.

Lubieżni Kawalerowie niejako adoptowali Eddiego Kane'a. Został jakby ich przyjacielem.

— Idziesz na przyjęcie? — spytał go Arnie. — To ma być niespodzianka dla Venus Marii. Możemy poderwać tam jakieś laski. Najlepsze miejsce w mieście.

— Jasne — zgodził się Frankie. — Idziesz z nami.

Eddie przypomniał sobie, że kilka tygodni temu dostał zaproszenie. Boże! Kilka tygodni wydaje się długie jak pół wieku!

— Czemu nie? — postanowił. — Pojadę do siebie i przebiorę się. Mam ochotę wziąć prysznic.

— Nie możesz wziąć prysznic tutaj? — zapytał zawsze gościnnie Frankie.

— Właśnie. Dlaczego się, kurwa, nie wprowadzisz? — parsknął śmiechem Arnie.

Roześmiali się wszyscy.

— Dobra chłopaki, zobaczymy się na miejscu. Dajcie adres. Frankie napisał coś na kawałku papieru i podał go Eddiemu. Eddie pojechał do domu. Po drodze zadzwonił do Kathleen Le Paul.

— Muszę trochę kupić — powiedział. — Możesz do mnie przyjechać?

Była na niego zła.

— Nie jestem twoim chłopcem na posyłki. Jestem zajęta.

— Ale ja należę do twoich najlepszych klientów — przypomniał jej.

— Tak, do najlepszych nie płacących klientów. Nadal u mnie wiesz i dopóki nie zapłacisz, nie dostaniesz towaru.

Wściekły rzucił słuchawkę. Dziwka!

Maserati pruł po szosie. Boże, jak kochał ten samochód. Może sprzedać dom, ubrania, ale nigdy nie sprzeda tego cholernego auta!

— Idziemy na przyjęcie — poinformowała Lucky Gina.

— Daj spokój, mam dość przyjęć — wystękał.

— Nie zachowuj się jak stary grzyb. Jedziemy na prawdziwy hollywoodzki bankiet i będziemy się świetnie bawić.

— Bawić się? — spojrzał na nią, jakby zwariowała. — Wiesz, na ilu takich bankietach byłem, kiedy żyłem z Marabelle Blue? I kiedy ożeniłem się z Susan?

Ciągała mnie na trzy różne jednego wieczora. Bawić się! Dobrze sobie.

— Przestaniesz marudzić? Chcę, żebyś poznał Venus Marię. To wspaniała kobieta.

— Dziecko, kiedy ktoś jest w moim wieku, widział już wszystko, robił wszystko i wiesz co? Nie ma ochoty na nic więcej.

— Przestań tak gadać. Działasz mi na nerwy. Idziemy, rozumiano? Gino potrząsnął głową.

— Twarda jesteś.

— Tak, tak, wiem. I do tego wygadana. Tak mi zawsze powtarzałeś. Wrodziłam się w tatusia!

Roześmiali się.

— Lucky, naprawdę coś z ciebie wyrosło.

— Tobie też nic nie brakuje, Gino. Idź się przebrać, chcę żebyś wystąpił w garniturze.

Mary Lou i Steven zabrali małą Cariocę Jade, Cee Cee, Bobby'ego i jego przyjaciela do ciotki. Zostaną tam na noc.

Lucky dała Mikowi kilka dni wolnego, żeby nie załamał się nerwowo. Mieszkanie wyglądało koszmarnie, ale nie przeszkadzało jej to, dopóki się dobrze bawiła.

Przejrzała szafę i zdecydowała założyć biały frak. Ubrana wyglądała uderzająco pięknie z szopą nieuporządkowanych, błyszczących włosów, z ciemnymi, cygańskimi oczami, z pełnymi ustami i opalenizną.

No, córeczko — powiedział Gino na jej widok. — Brak mi słów. Jestem z ciebie dumny.

— Dziękuję Gino... Tatusiu.

Spojrzenia ojca i córki spotkały się. Rozumieli się doskonale.

— Idziemy się bawić — powiedziała roześmiana Lucky.

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty

— Zabij ją — polecił Carlos Bonnatti.

— Kogo? — spytał Link.

Carlos Bonnatti przemierzał apartament w Century City.

— Lucky Santangelo, oczywiście.

— Zrobi się.

— Mam nadzieję.

— Nie martw się, ta pani już nie żyje.

— To nie żadna pani, to Santangelo. Robota ma być wykonana w ciągu dwudziestu czterech godzin. I niech wygląda na wypadek.

— Załatwione, szefie.

Carlos skinął głową. Nadeszła pora zemsty.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty

Cooper przyjechał po Venus Marię.

— Co się takiego stało, że musimy wychodzić na kolację? — zapytała. — Wolę zostać w domu. Jutro są moje urodziny, przyjeżdża Martin. Powinnam wcześniej się położyć.

Cooper wzruszył ramionami.

— Odwiozę cię przed północą, w samą porę, żeby ci złożyć życzenia. Zgoda?

— Bardzo śmieszne, Cooper.

— Jestem tu, żeby cię rozśmieszyć.

— No więc o co chodzi? Dlaczego tak ci zależy, żebyśmy dziś gdzieś poszli?

— Kiedy ci wyjaśnię, zrozumiesz wszystko.

— Czy chodzi o Martina?

— Częściowo. Pamiętasz, jak kazałaś mi z nim porozmawiać?

390

— To było dawno. Wszystko się zmieniło.

— Zauważyłem. Ale wydaje mi się, że i tak powinniśmy omówić to, co mi powiedział.

Westchnęła.

— Dobrze Cooper, skoro tak ci zależy. Powstrzymał uśmiech.

— Tak, zależy mi. Sięgnęła po torebkę.

— Jesteśmy dziś tacy poważni.

— Ćwiczę przed waszymi zapowiedziami ślubnymi.

— Zmartwi cię to?

Wymienili długie, milczące spojrzenie, zanim Cooper zmienił temat.

— Czy w tym idziesz?

Ubrała się w powyciągane dżinsy, obcisłą białą koszulkę i męską marynarkę. Teoria Rona, że dla Coopera ubierze się elegancko nie sprawdziła się.

— Przepraszam — powiedziała sarkastycznie. - - Czy to nie wystarczy do baru hamburgerowego?

— Zarezerwowałem stolik w Spago.

— Znowu! Nie mogą codziennie fotografować nas razem. Raz czy dwa to śmieszne, ale tego już za wiele. Martin się wścieknie.

— Martin się nami nie martwi. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda?

— Nie przebieram się — uparła się.

— Jak chcesz. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem. To ją zaskoczyło.

— Przed czym?

— Żebyś się nie martwiła.

— Bardzo dziwny dziś jesteś, Cooper.

— Tak?

Patrzył na nią. To kobieta, która od długiego czasu pociągała go najbardziej ze wszystkich, a należała do kogoś innego.

— Dlaczego tak uważasz?

— Jesteś jakiś nerwowy. Spojrzał na zegarek.

— Chodź. Im szybciej pójdziemy, tym szybciej cię odwiozę.

— Wspaniale! Może rzeczywiście powinniśmy wyjść gdzieś na noc.

— Zmieniłaś zdanie?

— Powiedziałam ci — o północy są moje urodziny.

— Powinnaś powiedzieć mi wcześniej, kupiłbym ci prezent.

— Nie szkodzi, możesz przysłać mi jutro kwiaty. Orchidee. Uwielbiam orchidee — wzięła go pod ramię. — No to w drogę. Umieram z głodu.

Lennie wynajął dziewczynkom pokój w Hiltonie w Beverly Hills. Nie chciał godzić się z Lucky w obecności Brigitte i Nony.

Podobał im się pomysł mieszkania w hotelu. Obsługa w pokojach, telewizja kablowa. Niczego im nie brakowało.

— Na pewno poradzicie sobie? — zapytał po raz piąty.

— Pójdiesz wreszcie Lennie? — poganiała go Brigitte. — Nie jesteśmy dziećmi, wiesz?

— Dobrze — powiedział. — Ale musicie mi coś obiecać — żadnych chłopców w pokoju.

Nona zachichotała.

— Dlaczego uważasz, że przyprowadzimy tu chłopców? — spytała niewinnie.

— Miałem kiedyś tyle lat co wy. Pamięć się nie zmienia, tylko ciało. Wiecie, o czym mówię?

Dziewczynki skinęły głowami i śmiejąc się odprowadziły go do drzwi.

— Tak, tak Lennie, wynoś się wreszcie. Dobranoc!

Czuł się świetnie, jakby kamień spadł mu z serca. Wszystko będzie dobrze. Wiedział o tym.

Odźwierny sprowadził mu taksówkę, wsiadł i kazał się zawieźć na plażę. Próbował wymyślić pierwsze zdanie. Może: „Jestem w domu”? Powinno być dobrze.

Ken, dumny z powierzonego mu zadania, odebrał Martina Swansona z lotniska.

— Venus Maria nie wie, że będziesz na przyjęciu — poinformował go Ken. — W zasadzie nie wie nawet o przyjęciu.

— Żadnych fotografów. Pamiętacie?

— Oczywiście — odpowiedział Ken, prowadząc Martina do czekającej limuzyny.

— Nie mogę być fotografowany — martwił się Martin. — Dużo przeszedłem przez prasę. Nie potrzebuję rozgłosu. To już zaczyna być śmieszne.

— Na pewno — zgodził się Ken, który miał nadzieję, że prasa przez moment chociaż będzie uganiać się za nim. — Rozumiem doskonale.

— Dobrze — powiedział Martin. Nie miał nastroju na rozmowę.

— Niespodzianka jest tego warta — powiedział Ken zakładając okulary słoneczne, mimo że już dawno zapadł zmierzch.

— Jestem pewien — zgodził się nieskromnie Martin.

Ani Lucky, ani Lennie nie zdawali sobie sprawy, że mijają się na autostradzie.

Lucky i Gino jechali do Beverly Hills, Lennie mknął do Malibu.

Kiedy Lennie przyjechał do domu, ze smutkiem stwierdził, że nikogo nie ma.

Otworzył drzwi swoim kluczem i rozejrzał się po wnętrzu. Straszny bałagan. Czy Lucky przyjmowała gości?

Kilka razy wołał Mika, aż zdał sobie sprawę, że nawet jego nie ma. Cholera! Powinien zawiadomić ją, że przyjeżdża. Dlaczego uważał, że będzie siedziała wieczorami w domu w nadziei, że on się pojawi? Niech to! Cóż... w końcu wróci do domu, on poczeka.

Inną autostradą do Los Angeles zbliżała się Deena. Pewnie prowadziła forda na miejsce przeznaczenia.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy

Gości, przybywających do nieco eklektycznego domu Rona, witały tętniące rytmy dzikiej muzyki. Gospodarz uwielbiał wysokie wnętrza, czarne granity, lustra i oszklone powierzchnie. Dom sprawiał więc patetyczne wrażenie.

Goście przyjeżdżali przed ósmą, co dało Ronowi dość czasu na zapewnienie im drinków i przystawek.

Cała armia służących miała zajęcie, kiedy przez drzwi przelewała się kolumna hollywoodzkich świetności. Ron nie znał wszystkich, ale imię Venus Marii wystarczyło, żeby ich zgromadzić.

Jako jedni z pierwszych przyjechali małżonkowie Danzas, Moore, oraz Michael Caine z uderzająco piękną żoną Shakirą. Zaraz po nich zjawiała się uśmiechnięta Susie Rush w towarzystwie męża. Gwiazda muzyki, Al King, przyszedł ze swoją egzotyczną żoną Dallas. Później przyjechało kilku dyrektorów studia, między innymi Zeppo i Ida White'owie, Mickey Stoll i nieogolony Eddie Kane. Ron nie przypominał sobie, żeby go zapraszał.

Muzyka działała dobrze — podniecenie wisiało w powietrzu.

Ron osobiście przywitał legendarnego reżysera Billy'ego Wildera i jego elegancką żonę Audrey, niewątpliwie najszykowniejszą kobietę w mieście. Pomachał Jourdansom, Poitiersom i Davisom. Wieczór nabierał pożądanych kształtów. Srebrna limuzyna Johnny'ego Romano wyjeżdżała z podjazdu. Warner siedziała obok niego, kolana razem, wysoko podciągnięta sukienka ukazywała niemal całe uda.

— Może popieścimy się trochę, kochanie? — zaczął Johnny, próbując wcisnąć rękę między jej zwarte kolana.

— Nie teraz — zaprotestowała. — Później.

— Teraz, kotku — powiedział Johnny, nieustraszenie pchając się do celu. — Johnny tak by chciał. No, kochanie, otwórz się przed tatusiem.

Uderzyła go w rękę.

Hoże, ale mocno bijesz! Ćwiczyłam. Uśmiechnął się.

— Tak?

Goryle jechali w drugim samochodzie. Na prywatnych przyjęciach starali się nie rzucać w oczy. Nie było to łatwe, jednak większość gospodarzy tak sobie życzyła.

— Kochałaś się kiedyś na siedzeniu w limuzynie? — zapytał Johnny, pochylając się nad nią.

Nie chciała mu powiedzieć, że po raz pierwszy siedziała w limuzynie, mimo że kilka razy wlepiała mandaty kierowcom.

— Nie — przyznała.

— No, kochanie, Johnny uważa, że masz braki w wykształceniu. Johnny pomoże ci je uzupełnić.

— Nie teraz — powtórzyła uparcie.

— A kiedy? — dopytywał się. — Jutro? Mam przysłać po ciebie rano samochód? Zamierzała spędzić z nim noc.

— Rano będę z tobą, nieprawda?

— Oczywiście kochanie, jeśli tylko chcesz.

— Chcę Johnny — Warner Franklin nie da się przelecieć na tylnym siedzeniu i odesłać do domu.

— Dobrze, powiem ci, co zrobimy. Wstąpimy na przyjęcie, posiedzimy z godzinę, a potem będziemy się kochać w samochodzie. Całą drogę do domu. Co ty na to? Warner była zachwycona. Pod warunkiem, że do jego domu. Coś w Johnnym Romano robiło z niej galaretkę.

Adam Bobo Grant nie może przepuścić takiego przyjęcia. Usłyszał o nim aż w Nowym Jorku, zadzwonił do Rona i poprosił o zaproszenie.

Ron był zachwycony. Bobo złapał pierwszy samolot i przyleciał. Nie żałował — roilo się od gwiazd, będzie o czym pisać w kolumnie co najmniej przez miesiąc. Chodził po pokojach ze szczęśliwym uśmiechem i starał się wszystko spamiętać.

— Niesłychany dom — pochwalił Rona. Po prostu... inny. Ron bardzo się ucieszył.

— Naprawdę ci się podoba?

— Przecież właśnie to powiedziałem, czyż nie?

Bobo już stał się opryskliwy, właśnie zauważył Lionela Richiego i jego ładną żonę. Obok nich siedzieli Luther Vandross i Bacharaczi.

— Więc może w przyszłości zechcesz gościć u mnie na dłużej?

Bobo nie zdeklarował się jasno ani tak, ani nie. Pomachał do Tity i Sammiego Cahnów, którzy właśnie weszli. Potem zniknął szukając Clinta Eastwooda. Eddie łąził szukając znajomych. Właściwie ludzi, którzy chcieli z nim porozmawiać. Wieści roznosiły się szybko i wszyscy już wiedzieli, że został wylany z Panther.

Wpadł na znajomego aktora.

— Cześć, stary, co u ciebie słychać? — zapytał go przyjaciel.

— W porządku — skinął głową, starając się kontrolować ton głosu. Przyjaciel rozejrzał się podejrzliwie dookoła i zapytał:

— Masz jakąś działkę?

Za kogo go brał? Za handlarza narkotykami? Dlaczego go o to pytał? Poza tym nie miał nic, a nawet gdyby miał, nie podzieliliby się z tym bałwanem.

Próbował znaleźć Arniego i Frankiego, ale nigdzie ich nie było.

Mickey siedział przy barze z Zeppem White'em. Eddie nie spodziewał się, że ci dwaj ze sobą rozmawiają. Słyszał, że Zeppo nie odejdzie z Orpheusa bez walki.

Mickey z kolei nie miał pracy, chyba że Martin płacił mu za siedzenie w domu.

Ale to jest Hollywood, tu robi się dobrą minę do złej gry i ma nadzieję na szczęście.

Mickey był dzielnym wojownikiem, jak wszyscy tutaj.

Sznur samochodów podjeżdżał pod dom.

— Na pewno jesteśmy zaproszeni? — molestowała Rita, sprawdzając w lusterku swój wygląd.

— Co będzie, jeśli nas wyrzucą? Nie zniósłabym tego, Emilio. Nigdy znikąd mnie nie wyrzucono.

Nie całkiem prawda, ponieważ wyrzucono ją z trzech prac, w tym z baru, ponieważ nie chciała przespać się z właścicielem. Oczywiście to było dawno, zdążyła już zapomnieć. W końcu zagrała już trzy epizody w filmach. Została aktorką.

— O co chodzi? Nie ufasz mi? — zdenerwował się Emilio. Mówię ci, ja i Venus trzymamy się razem.

— Pozwoliła ci napisać te wszystkie rzeczy? Emilio chciał, żeby Rita przestała marudzić.

— Nie muszę pytać o pozwolenie. Ona zrozumie. Jak dostanę forszę, podzielę się z nią.

— Jakby jej na tym zależało. Dobrze — powiedziała ironicznie Rita.

— No więc nie dam jej. Nie ma znaczenia. Jesteśmy rodziną. Zamkniesz się?

Rita westchnęła.

— Jak chcesz. A ta nowa historia o seksie? Ta, którą opowiedział ci Tony? Jaka jest w łóżku, jak było za pierwszym razem i tak dalej?

Jeżu! Co ma z nią zrobić? Zakneblować? Kogo to obchodzi? Ją na pewno nie.

Nie widzę, jak mają to wydrukować — dodała Rita, zamykając puderniczkę.

Emilio miał ochotę zasznurować jej usta. Za dużo gadała.

Podjechali pod wejście i lokaje rzucili się otworzyć drzwi.

Rita wysiadła, rozejrzała się i obciągnęła sukienkę. Lokaje niemal powpadali na siebie. Z uniesioną głową wzięła Emilia pod rękę i weszła do domu.

— Kto to jest, do diabła? — mruknął Ron na widok Rity. Wyglądała jak uliczna dziwka. Panienki Madame Loretty przynajmniej wyglądały na damy.

Ron jęknął cicho, kiedy zauważył u jej boku Emilia. Takie zagranie wymagało od faceta jaj — a tego przecież Emilio nie miał.

Ron poszedł w ich stronę, ale wpadł na Antonia.

— Ach! — powiedział mały fotograf. — Gdzie twój przyjaciel? Porozmawiam z nim o zdjęciach.

Ron wpadł we wściekłość. Czy teri włoski karzeł nadal miał ochotę na Kena?

— Nie ma go — powiedział wzgardliwie.

— Nie ma go? Nie rozumiem — zdziwił się Antonio.

— Masz dla niego jakąś wiadomość? — spytał Ron. — Doręczę mu. Antonio się nie zrażał.

— Nie, obiecałem porozmawiać z nim osobiście.

Rozpustny kurdupel. Ron odszedł dumnym krokiem, zapomniał, że chciał wyrzucić Emilia i jego ulicnicę.

Kiedy przypomniał sobie o nich, zniknęli w tłumie.

Rita chciała się rozejrzeć. Dostali się na przyjęcie, więc nie miała zamiaru siedzieć z Emiliem, ubranym w ten tani skórzany mundurek. Przypominał jej ulicznego stręczyciela.

— Przynieś mi drinka, kochanie. Idę do toalety — oznajmiła. — Spotkamy się w barze.

Zanim zdążył zaprotestować, zniknęła.

Wszystkie głowy odwracały się na jej widok. Wiedziała, że wygląda rewelacyjnie.

Dlatego na nią patrzyli. Dziś wywrze wielkie wrażenie. Może zrobi karierę. Rita wkopie im wszystkim w te hollywoodzkie tyłki.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy

Kiedy Saxon przyjechał po Abigaile Stolli, natknął się na wojowniczo nastawioną trzynastoletnią dziewczynkę.

— Kim jesteś? — zapytała Tabitha, patrząc na niego z góry. Jakie troskliwe dziecko.

— Saxon — odpowiedział.

— Nie wyglądasz na przyjaciela mojej mamy — stwierdziła opryskliwie Tabitha.

Na szczęście, pomyślał Saxon.

— Czy jest twoja mama? — spytał. — Zabieram ją na przyjęcie. Tabitha się roześmiała.

— Ty zabierasz mamę na przyjęcie? Ciekawe, co tatuś na to powie.

— Twoi rodzice są w separacji, prawda? — zauważył Saxon.

— To nie twoja sprawa — rzuciła lekceważąco.

Na szczęście pojawiła się Abigaile, kazała córce wyjść. Tabitha się nie przejmowała. Patrzyła na matkę.

— Wyglądasz jak głupia — powiedziała. — Po co zrobiłaś taki makijaż? Nie pasuje ci. Jest za ostry.

— Dobranoc, kochanie — powiedziała Abigaile przez zaciśnięte zęby. W samochodzie przeprosiła za zachowanie córki.

— Tabitha jest załamana. To bardzo żenująca sytuacja. Na pewno słyszałeś o... wybryku mojego męża.

Czy słyszała! Cały salon nie mówił o niczym innym. Wzruszył ramionami.

— Zdarza się.

Abigaile ubrała się w elegancki kostium od Valentina, założyła prawdziwą biżuterię i suto skropiła się perfumami.

— Ładnie pani pachnie, pani S. — powiedział Saxon wciągając powietrze.

— Dziękuję.

Patrzyła prosto przed siebie. Nie chciała go zachęcać. Miał tylko towarzyszyć jej na przyjęciu, nic więcej.

Kiedy przyjechali, zauważyła, że kilka głów odwraca się za nimi. Nikt nie spodziewał się, że wysoki i przystojny Saxon zajmie miejsce Mickeya. Abigaile rozkoszowała się wywołanym wrażeniem. Kiedy zauważyła Zeppa i Idę White'ów, wzięła Saxona za rękę i zaciągnęła do nich. Ida zmierzyła go swoim lubieżnym spojrzeniem. Odciągnęła Abigaile na stronę i szepnęła:

— Przyszłaś z fryzjerem? To nie fair, kochana, nie rób tego więcej. Wiem, że chcesz ściągnąć Mickeya z powrotem, ale takie zachowanie jest nie do przyjęcia.

Abigaile zjeżyła się. Jak Ida śmie dawać jej rady? Ta wiecznie dziwiąca się wszystkim krowa!

— On nie jest moim fryzjerem, tylko kochankiem — odcięła. Ida zmarszczyła brwi, była zaszokowana.

Przepraszam, nie wiedziałam — wymamrotała. Abigaile się uśmiechnęła. Jak myślisz, dlaczego Mickey poszedł do burdelu? Nie spaliśmy ze sobą od miesięcy. Jesteśmy z Saxonem bardzo blisko. Pochyliła się ku niemu i uściśnęła go intymnie. Saxon był nie mniej zaskoczony od Idy.

— Chodź, kochanie.

Abigaile uwiesiła się na jego ramieniu i odciągnęła go, pozostawiając bladą ze zdumienia Idę.

Venus Maria powinna już niedługo przyjechać. Ron zajął do gości. Wszyscy bawili się raczej dobrze, prawie nikogo nie brakowało. Nie było tylko Martina, ale Ken powinien przywieźć go z lotniska na czas, żeby zrobić Venus Marii niespodziankę.

Ron znał plan Coopera. Miał zabrać Venus Marię pod pretekstem kolacji, oznajmić jej w samochodzie, że ma dla niej niespodziankę, zawiązać jej oczy i przywieźć prosto na bankiet.

Venus Maria pójdzie na to, uwielbia intrygi.

Ron poprosił, żeby wszyscy byli cicho, kiedy przyjedzie. Chciał wprowadzić ją do sali, zdjąć opaskę z oczu, a wtedy wszyscy mają krzyknąć: „Niespodzianka!”

Ogłosił pomysł gościom. Śmiali się i bili brawo. Zrobią tak, to Hollywood, a Venus Maria jest supergwiazdą.

Warner przylepiła się do ramienia Johnny'ego Romano. Ludzie odwracali się za nimi. Co za para!

Warner żałowała, że nie widzi jej rodzina z Watts. Ona na wielkim hollywoodzkim przyjęciu razem z gwiazdorem filmowym! I to z nie byle jakim! Z Johnnym Romano. Z samym królem.

Zastanawiała się, ilu z tych ludzi wlepiła mandaty, kiedy pracowała w drogówce. Nie do pomyślenia! Naprawdę nie do pomyślenia!

Warner Franklin i Johnny Romano!

Johnny uśmiechał się otwarcie. To ważny wieczór. Po raz pierwszy pokazuje się publicznie od czasu, kiedy *Matkożerca* zrobił finansową klapę. Musi zachować twarz. Musi im pokazać, że ma to w dupie. A przy Warner czuł się cholernie dobrze. To nie przeciętna hollywoodzka dupa, to kobieta. Jaka kobieta! Prawie dwumetrowa.

Pierwszym człowiekiem, na którego wpadli zaraz po Ronie był Mickey Stoll.

Mickey był zaszokowany, natomiast Warner zachwycona.

Po krótkim powitaniu Mickey miał już się ulotnić, kiedy pojawiła się Abigaile i jakiś długowłosy zbir. Całkowicie zignorowała Mickeya.

— Warner, moja droga! — zawołała, jakby były najlepszymi przyjaciółkami. — Jak się masz? Johnny, ty zawsze jesteś taki przystojny!

Mickey nie wierzył własnym oczom. Czy oni wszyscy dostali bzika? Odciągnął Abigaile na bok.

— Co tu robisz? I kim jest ten bałwan?

— Bałwan? — była wyraźnie zaskoczona. — Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

— Ten dureń z fryzurą metalowca.

— Saxon? Nigdy ci o nim nie mówiłam? Saxon jest właścicielem tego wspaniałego salonu na bulwarze. Ivana. Na pewno nie wspominałam o nim, Mickeyu? — złapała Saxona za rękę i ścisnęła. — Mój drogi, poznaj mojego prawie byłego męża, Mickeya Stolliego.

Saxon górował nad Mickeyem, podobnie jak Warner.

— Miło cię poznać, stary — powiedział. — Wiele o tobie słyszałem.

— Chodź, Saxon — zaszczębiotała wesoło Abigaile. — Musimy się rozejrzeć.

Rzuciła Mickeyowi triumfujący uśmiech i odeszła.

Nie mógł w to uwierzyć. Abigaile? Dobrze się bawi? Uśmiecha się? Ciąga ze sobą jakiegoś gacha? Abigaile powinna siedzieć w domu i rozpaczać. Mickey doszedł do wniosku, że to fatalny wieczór.

Znienacka dopadła Mickeya Rita.

— Znam pana — powiedziała podniecona. — Widziałam pańskie zdjęcia w gazetach. Pan jest... Mickey Sully, tak?

— Stolli — poprawił.

Patrzył na tą tanią dziewczynę w czerwonej sukience. Za mocno opięta. Za mocno umalowana. Rozczochrana.

— Jak się nazywasz?

— Rita.

— Rita jak?

— Rita, dziewczyna która zostanie drugą Venus Marią — powiedziała, wykorzystując okazję. — Tańczę, śpiewam, w zasadzie — przysunęła się do niego — robię wszystko.

Na wypadek, gdyby nie zrozumiał, dodała:

— Wszystko, czego pan sobie zażyczy.

Zanim Mickey zdążył odpowiedzieć, nadszedł Emilio i odciągnął ją.

— Czekałem na ciebie w barze — powiedział z wyrzutem. — Gdzie byłaś? Rita spojrzała porozumiewawczo na Mickeya.

— To mój przyjaciel. Jest nieco sztywny — wyjaśniła.

— Kto jest sztywny, do cholery? — wybuchnął Emilio.

— Przepraszam, panie Scully — zawahała się. — Pan obsadza role? Jeśli tak, proszę o mnie pamiętać. Śpiewam, tańczę...

Emilio włókł ją do baru.

Cooper nagle zjechał na pobocze.

— O, nie! — zawołała Venus Maria. — Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnim razem zaparkowaliśmy?

Roześmiał się.

Tym razem będzie inaczej. Przybrała poważny ton. Czyli jak będzie?

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Znow zaczęła go drażnić.

— Mowy nie ma, nie zrobię ci dobrze Cooper.

— Zamkniesz się?

— Dlaczego?

— Zamknij się i załóż tę opaskę. Mam dla ciebie niespodziankę.

— Ooo! — pisnęła. — Uwielbiam niespodzianki!

— Wiem. Bądź grzeczna i rób, co ci każe.

— Podoba mi się, kiedy jesteś taki twardy, Cooper. Wyjął jedwabną chustkę i zawiązał jej oczy.

— Bardzo seksy — powiedziała. — Muszę to zapamiętać. Jak skończę Cooper? Naga w twoim łóżku?

— Podrywaczka z ciebie, naprawdę. Poza tym, za dużo gadasz Rozbawiło ją to.

— Nie podoba ci się?

— Mogę skupić się na prowadzeniu?

— Czy możesz? — drażniła go. — Tylko pomyśl — ja nago w twoim łóżku...

— Wystarczy - powiedział twardo.

— Powiedz, dokąd jedziemy.

— Mam popsuć niespodziankę? Nigdy.

Deena jechała po Bulwarze Zachodzącego Słońca. Zablokowała drzwiczki od samochodu. Studiowała mapę Los Angeles i Beverly Hills, wiedziała dokładnie dokąd ma jechać. Na Doheny Road skręciła w lewo i pojechała na wzgórze.

Niedługo będzie przed domem Venus Marii.

Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty

Początkowo Lucky zamierzała powiedzieć Ginowi o groźbach Carlosa Bonnattiego, jednak zrezygnowała z tego. Po co go denerwować? Sama poradzi sobie z Carlosem. Umie radzić sobie ze wszystkim, co może wejść jej w drogę.

W torbce nosiła mały pistolet, na wszelki wypadek. Stało się to jej zwyczajem, dzięki któremu czuła się bezpieczniej. Szczególnie teraz.

— Cholera! — jęknął Gino. — Nienawidzę przyjąć. Dlaczego dałem ci się namowie?

— Może spotkasz piękną gwiazdę filmową, która wywabi cię z Nowego Jorku i nakłoni do życia tutaj — drażniła go Lucky.

— Wielkie coś! — zachnął się. — Kiedy widziało się jedną gwiazdę filmową, to jakby widziało się wszystkie.

— Co się stało z Marabelle Blue?

— Wyszła za torreadora, potem za piosenkarza, a potem to nie wiem.

— Udziela się jeszcze?

— Kto to może wiedzieć?

— Sprawdzę, jeśli chcesz. Gino wybuchnął śmiechem.

— Po co? Szukam spokoju w życiu. Jestem już stary.

— Przystaniesz to w kółko powtarzać? Już mnie to wkurza. Raz mówisz, że zawsze będziesz miał czterdzieści pięć lat, kiedy indziej, że jesteś stary. Czy było coś w środku?

— Nic, dziecko. Zdałem sobie sprawę z rzeczywistości. Przyjechali zaledwie pięć minut przed Venus Marią i usiedli przy barze. Lucky lubiła podglądać ludzi. Uwielbiała przyglądać się, jak gwiazdy zabierają się do działania.

— Czy to nie zabawne? — szepnęła do Gina, kiedy przechodził koło nich Al King.

— Prawie tak zabawne jak szubienica przed całą skazańca.

— Niespodzianka!

Venus Maria ściągnęła opaskę z oczu i szepnęła:

— Nie mogę w to uwierzyć. Kto to zorganizował?

— Jak myślisz? — spytał dumnie stojący obok niej Ron.

— Boże! Wspaniała niespodzianka. Wszyscy przyszli.

— Oczywiście, moja królewno. Musisz obejrzeć prezenty. Będziemy mieli zabawę przy otwieraniu.

— Dziękuję Ron — pocałowała go. — Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

— Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent, elegancką sukienkę. Pewnie będziesz chciała się przebrać — zaproponował Ron.

Zawstydzona spojrzała na powyciągane spodnie i olbrzymią marynarkę.

— Cholera! Cooper, dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Chodź, kochanie. Zabiorę cię do sypialni.

— Oj, Ron — zażartowała. — Ty wiesz jak dogodzić dziewczynie. Poszli do sypialni Rona, a goście wołali: „Wszystkiego najlepszego!” Na środku pokoju stał czekając na Venus Marię Martin. Wmurowało ją w podłogę.

— Niespodzianka — powiedział zachwycony Ron. — Tak, jak planowaliśmy.

— Wszystkiego najlepszego — powiedział Martin. Uśmiechnęła się.

Jesteś prezentem?

Jednym z wielu — wtrącił się Ron. — Zostawię was teraz, ale tylko na chwilę. Pospieszcie się i zjeździecie na przyjęcie. Tu masz drugi prezent — wskazał na wielkie, ładnie zapakowane pudło. Dziękuję Ron. — Nie ma za co. Zostawił ich samych. Venus Maria powoli podeszła do Martina, oplótła go ramionami, przytuliła się i pocałowała go głęboko.

— H mm — mruknęła. — Witam z powrotem.

Całowali się przez chwilę, potem Venus zapytała przytłumionym głosem, przypominającym nieco intonację Marylin Monroe:

— Tęskniłeś za mną?

— O, tak — powiedział.

— Udowodnij. Przysunął się jeszcze bliżej.

— Oto dowód. Zaśmiała się.

— O, Martin, naprawdę się oszczędzałeś.

Potem osunęła się na kolana, rozpięła mu rozporek i zanim się zorientował, miała go w ustach.

Właśnie to podobało mu się w Venus Marii. Jej urodziny, a on dostał prezent.

Na dole Ron natknął się na Antonia i Kena, zagłębionych w rozmowie. Podszedł i złapał Kena władczo za rękę.

— Antonio mówi, że moje zdjęcia wypadły świetnie — powiedział radosny Ken. — Zdjęcia razem z Venus Marią mogą mi bardzo pomóc w karierze. Nie sądzisz? Ron westchnął. Dlaczego zawsze spotykał tych ambitnych? Czy nie byłoby fajnie, gdyby Ken siedział w domu i był przystojny?

— Oczywiście — powiedział zrezygnowany. Ken pochylił się do Antonia.

— Kiedy mogę je obejrzeć? — spytał. — Nie mogę się doczekać.

— Jutro. Przyjdź do mnie do studia — zaprosił go Antonio, rzucając Ronowi zwycięskie spojrzenie. — Studio mam w domu. Zjemy mały lunch i pokażę ci zdjęcia.

— Wspaniale — ucieszył się Ken.

„Ha! Pomyślał Ron, patrząc na Antonia. Dlaczego nie rozepniesz spodni i nie pokażesz mu teraz?”

Dziewczynki Madame Loretty bez trudu zmieszały się z towarzystwem

Niewątpliwie należały do najpiękniejszych kobiet na przyjęciu. Madame Loretta miała dobre oko. Wyławiała je, kiedy wysiadały z pociągu lub

samolotu. Przyjeżdżały do Hollywood żeby zostać gwiazdami. Trochę prostytucji po drodze nie zaszkodzi ich karierom.

Stadko Madame Loretty było sławne. Kilka z jej panienek poślubiło znanych aktorów i producentów, jedna zaręczyła się z arabskim miliarderem. To dawało dużo satysfakcji.

Leslie należała do najlepszych, Madame chciała, żeby życie ułożyło się jej pomyślnie.

Tego wieczora występowała z Tomem, jednym z przyjaciół Kena, foto-modelem. Powiedziano im, żeby kręcili się i czarowali kogo się da.

— Płacą ci za to? — spytał Tom.

— Dlaczego mają mi płacić? — odpowiedziała urażona Leslie.

— Słyszałem plotkę, że są tu panienki. Nie twierdzę, że jesteś jedną z nich, ale niektóre pracują dla Madame Loretty.

— Ja słyszałam plotkę, że niektórzy faceci tu są pedałami — odcięła Leslie. — Ty też?

Tom oblał się rumieńcem.

— Jestem aktorem.

— Chcesz powiedzieć, że wśród aktorów nie ma pedałów?

— Jestem biseksualny — wyjaśnił.

— To chyba przykrywka dla wielu grzeszków — mruknęła.

Kiedy pojawiła się Venus z Martinem, po sali rozszedł się pomruk. Przekształciła się z kaczątka w niebieskich dżinsach w Venus Marię, jaką wszyscy znali i kochali

— uwodzicielską, dumną, wspaniałą królową wideo, wyzywającą, piękną i odważną. Założyła prezent od Rona — suknię Jean-Paula Gaultiera, na którą narzuciła wyszywaną kamizelkę. Ręce ozdobiła czerwono-czarnymi bransoletkami.

— Wszyscy na nas patrzą — szepnęła do Martina. — Chyba są zaskoczeni twoim widokiem.

— Tylko bez zdjęć — ostrzegł.

— Nie wygłupiaj się. Ron nie wpuściłby fotografów na takie przyjęcie.

Kelner podał im szampana. Martin ścisnął jej rękę.

— Zamierzam zostać. Pociągnęła łyk i zmarszczyła nos.

— Naprawdę?

— Tego chcesz, prawda? Uśmiechnęła się.

— Tak, Martin. Właśnie tego chcę. Naprawdę.

Ale w momencie, kiedy to mówiła, zdała sobie sprawę, że nie jest taka pewna.

Rozdział setny

- Dobrze się bawisz? — zapytał sucho Cooper. Lucky uśmiechnęła się do niego.
- Zawsze czerpię ze wszystkiego najwięcej, ile mogę. To interesujące przyjęcie.
- Jeśli ktoś lubi przyjęcia — powiedział nerwowo Cooper.
- Ty nie lubisz?
- Chętniej siedziałbym w domu i czytał dobrą książkę.
- Sądząc z tego, co o tobie słyszałam, czytanie książki to ostatnia rzecz, jaką robisz w łóżku.
- Spojrzał na nią zaskoczony.
- Dlaczego wszyscy myślą, że jestem niezaspokojonym ogierem?
- Bo jesteś!
- Wiesz to na pewno, tak?
- Dużo o tobie czytałam.
- I oczywiście wierzysz w to, że przeczytasz? Uśmiechnęła się.
- Jasne. Ty nie? Podszedł bliżej.
- Dlaczego nigdy nie widuję cię z mężem? Gdzie jest Lennie?
- W tej chwili jest w Europie.
- Czyli w waszym małżeństwie on robi, co mu się podoba, a ty na co masz ochotę, tak?
- Nie twoja sprawa.
- Rozumiem. Tobie wolno roztrząsać moje życie seksualne, ale o twoim nie wolno nic powiedzieć, tak?
- Westchnęła.
- Właściwie mamy... parę problemów.
- Właśnie to Cooper chciał usłyszeć. Lucky podobała mu się od pierwszego spotkania.
- Jestem świetny w rozwiązywaniu problemów. To moja specjalność — powiedział.
- Na pewno. Ale swoje rozwiązuję sama, dziękuję.
- Zmierzyli się wzrokiem. Gdyby nie Lennie, Cooper bardzo by jej się podobał, mimo jego okropnej reputacji.
- I co z tego? Kiedyś sama miała niezłą reputację.
- Jesteś intrygującą kobietą — powiedział Cooper, nie odwracając wzroku.
- Lucky ochłodziła sytuację.
- Powiedz mi — zaczęła — zawsze używasz tej samej zagrywki? Czy za każdym razem wymyślasz coś nowego?

Gino poszedł do baru po następnego drinka.

— Cześć, Gino.

Odwrócił się i spostrzegł Paige.

— Co tu robisz? — zapytał.

— To samo co ty, bawię się fatalnie.

— Jesteś z Ryderem?

— Nie.

Zauważył, że nie miała obrączki i zastanowiło go to.

— Więc z kim jesteś?

Położyła swoją wypielegnowaną rękę na jego dłoni.

— Chciałam cię o coś zapytać, Gino. Czuję zapach jej perfum.

— Co takiego?

— Masz ten pierścionek?

— Jaki pierścionek? Pokręciła głową.

— Pyta się jaki pierścionek! Z dużym diamentem, pamiętasz? Ten, który mi dałeś, kiedy prosiłeś, żebym odeszła od Rydera.

Pociągnął łyk szkockiej. Jak ona na niego działała!

— Nie, oddałem. Dlaczego chcesz wiedzieć?

— Szkoda — powiedziała cicho.

— O co chodzi, Paige? Oblizwała usta.

— A jak myślisz?

— Mam wrażenie, że... Dokończyła za niego:

— ...jestem gotowa pójść z tobą do domu.

— Na stałe?

— Tak.

Wybuchnął śmiechem.

— Najwyższy czas!

— Martin, czy możesz mi coś powiedzieć?

Martin spojrział przerażony. Co do cholery robi tu Adam Bobo Grant? Ron obiecał, że nie będzie żadnej prasy.

— Dobry wieczór, Bobo — powiedział przyjacielsko, nie da po sobie poznać niezadowolenia.

— Tak mi przykro z powodu ciebie i Deeny — wywnętrznił się Bobo, kładąc mu współczująco rękę na ramieniu. — Ale co ma wisieć, nie utonie.

Martin rozejrzał się po sali szukając Rona. Kiedy go znajdzie, udusi. Jeśli Bobo napisze o nim cokolwiek, Deena postara się odebrać mu wszystko, co ma.

Miękcy i Abigaile spotkali się przy kominku. Jesteś odrażająca — syknął Mickey.

— Ja jestem odrażająca — odcięła się Abigaile. — A ty i ta... ta dziwka?

— Ilo lepsze niż pokazywać się z fryzjerem. Jest od ciebie młodszy Jak możesz stawiać się w tak głupiej sytuacji?

— Nie pouczaj mnie, co mam robić, Mickey. Odszedłeś i zamknąłeś za sobą drzwi. Sama kieruję swoim życiem.

— Chciałbym wrócić — wygadał się, sam zaskoczony swoją decyzją

— Naprawdę?

— Tak. Co o tym sądzisz, Abby?

Podano kolację. Na długim stole znalazło się wszystko począwszy od krabów skończywszy na pieczonych kurczakach, żeberkach, ziemniakach kukurydzy, gorącego, chrupkiego chleba i nieskończonej ilości sałatek

— Moje ulubione jedzenie! — zawołała zachwycona Venus Maria — Kon, pomyślałeś o wszystkim. Jestem taka szczęśliwa. To niezwykle wieczór Jak udało ci się utrzymać to w tajemnicy?

— Nie było to łatwe — przyznał. — Ale czego bym dla ciebie nie zrobił? Usiadła między Ronem i Martinem, zachwycona poświęcaną jej uwagą

Nikt nigdy nie wydał dla niej przyjęcia urodzinowego, była taka wzruszona.

Podeszła Lucky i usiadła obok. W rękę miała napełniony talerz

— Moje ulubione jedzenie — powiedziała. Venus Maria się uśmiechnęła.

— I moje. Znasz Martina Swansona?

Lucky wyciągnęła rękę. Jej zdecydowany uścisk spotkał wodnistą dłoń Martina.

Cóż. Kiedy była w szkole, dziewczyny żartowały z facetów, którzy mieli miękkie ręce. „Miękką ręką, miękki ptaszek” — mawiały. Jeśli to prawda, co robiła z nim Venus Maria?

Lucky zatrzymała te myśli dla siebie.

— Dużo o tobie słyszałam — powiedziała.

— Znałem twojego zmarłego męża — wyznał Martin. — Dimitri był interesującym człowiekiem.

— Robiłeś z nim kiedyś interesy? — zapytała.

— Rozmawialiśmy o tym, ale do niczego nie doszło.

— I dobrze. Dimitri był mordercą. Martin zmarszczył brwi.

— Ja też nie jestem owieczką.

— Tego nie powiedziałam, ale Dimitri był prawdziwym mordercą w interesach.

— Jak rozumiem, idziemy łeb w łeb — zauważył Martin.

— Jak to?

— Kupiłaś Panther, ja przejąłem Orpheusa. Mickey Stolli będzie go dla mnie prowadził.

— Jeśli pozbędziesz się Zeppa.

— Pozbędę się — zamilkł na chwilę. — Na pewno żałujesz, że straciłaś Mickeya?
— Tak — powiedziała smutno. — Bardzo nam go brakuje w Panther.
— Pewnie bardziej będzie wam brakowało Venus Marii. — Przecież nie odchodzę
— wtrąciła się Venus.
— Nie rozmawialiśmy o tym jeszcze — powiedział Martin — ale mam dla ciebie pracę w Orpheusie.
— Dobrze mi w Panther — zareplikowała Venus, machając do Angel i Buddiego Hudsonów. — Lucky kazała przerobić dla mnie *Granata*. *Dumny* też jest wspaniały. Poczekaj, aż zobaczysz. Nigdzie nie odchodzę.
Martin uśmiechnął się uprzejmie.
— Nie pora na omawianie tych rzeczy — stwierdził. — Później powiem ci, co dla ciebie mamy.
Venus postawiła sprawę jasno:
— Martin, nie obchodzi mnie, co dla mnie masz. Zostaję w Panther i tyle.
Rozumiesz?
Nie ciągnął tematu. Kiedy zostanie z nią sam, nauczy ją paru rzeczy o życiu. Jeśli mają się pobrać, będzie pracowała dla Orpheusa. Bez dyskusji.
Kelner podszedł do Lucky.
— Pani Santangelo? - Tak.
— Mam wiadomość od pani ojca. Wzięła zmiętą kartkę od Gina.
„Zostajesz sama, dziecko. Paige i ja pojechaliśmy do Beverly. Nie padnij z zaskoczenia. Może jutro wrócę. P.S. Miałaś rację. Nie jestem taki stary, jak mi się wydawało”.
Lucky uśmiechnęła się. Gino wrócił do życia. Tam, gdzie jego miejsce.
Tort był wspaniały, a przy tym tak wielki, że musiano go wieźć na specjalnym wózku.
Venus zdmuchnęła świece, a wtedy ze środka wyskoczył nagi chłopiec.
— Boże! zawołała. Zawsze marzyłam o czymś takim.
Setki baloników spadły spod sufitu, a dwudziestu brazylijskich tancerzy wbiegło wężykiem na salę.
Venus odwróciła się do Rona.
— To niesamowite - powiedziała ściskając go.
— Przyjęcie, które będziemy długo wspominać — zauważył. — Od starego przyjaciela dla ciebie.
Spojrzeli na siebie, przypominając sobie dawne czasy.
— Dziękuję, Ron — powiedziała ciepło. — Tak cię kocham.
Nikt nie zauważył pewnego faceta, Linka, kiedy wkradł się między gości.

Rozdział sto pierwszy

„Miejmy nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie”. Deena myślała o słowach, które powiedziała Stevenowi Berkelyowi i Jerriemu Myersonowi. Jak dawno to było? W głębi duszy nie spodziewała się, że naprawdę do tego dojdzie.

Chyba nie. Ale doszło i Deena nie cofnie się przed zadaniem, jakie przed sobą postawiła.

Siedziała w fordzie przed domem Venus Marii. Wiedziała, że nie ma w domu nikogo poza gosposią, która śpi z tyłu. Znała system alarmowy, wiedziała, gdzie są guziki i co trzeba zrobić, żeby wyłączyć alarm. Dużo zapłaciła za informacje, ale dowiedziała się wszystkiego.

Venus Maria... Widziała przed oczami jej postać. Ladacznica. Mała ladacznica. Dziwka. Ta dziwka! Co Martin w niej widział? Nie kochał jej, chodziło mu tylko o seks. Deena wiedziała, że musi uwolnić go z władzy Venus Marii. Kiedy dziwka przyjedzie do domu, Deena rozwiąże ten problem definitywnie. Nikt nie będzie jej podejrzewał. Deena była na to za mądra. Poza tym wszyscy myśleli, że śpi w swoim pokoju w uzdrowisku w Palm Springs. Kto pomyśli, że pojechała do Los Angeles? Deena przypomniała sobie pewne zdarzenie sprzed lat.

Czternaście... miała czternaście lat, kiedy przyłapała ojca z inną kobietą w łóżku...

Deena Akveld wyglądała jak chłopak. Była poważna, blada, miała długie, rude włosy. Weekendy spędzała z ojcem. Zawsze wychodzili razem. Jej ojciec lubił polować i łowić ryby. Deena była jedynaczką, Rione Akveld nie miał syna, więc wszędzie ją zabierał. Biegała jak chłopak, łowiła ryby jak chłopak, strzelała jak chłopak. Ojciec był z niej dumny.

Nawet nie miała biustu. To coś, gdyż wszystkim koleżankom rosły już piersi.

Cieszyła się, że była silna i sprawna jak chłopcy.

Rione Akveld prowadził małą gospodę pod Amsterdamem. Zbierali się tam ludzie przed polowaniami. Oferował pokoje i wyżywienie, dostarczał sprzęt kempingowy. Kiedy nie była w szkole, Deena pomagała w gospodarstwie. Ścieliła łóżka, zmywała, sprzątała. Nie pracowała ciężko. Póki mogła spędzać weekendy z ojcem, była zadowolona.

W ten dzień miała czternaście lat, dopiero od miesiąca.

Jej matka, która pracowała jako tłumacz w ambasadzie amerykańskiej, przyjechała bardzo zmęczona.

— Nie możesz pojechać z ojcem — powiedziała. — Musisz zostać i pomóc mi.

Deena rozpacziała. To niedziela, najlepszy dzień.

— Tatuś na mnie czeka — rozplakała się.

— Nie dziś — powtórzyła matka. — Pomożesz mi. Mamy dużo roboty.

Kiedy matka poczuła się lepiej, widząc zmartwienie córki, pozwoliła jej pojechać do domku myśliwskiego, do ojca. Deena podziękowała matce, pocałowała ją, wskoczyła na rower i odjechała. Usłyszała w szkole kilka nowych dowcipów, zapamiętała je i chciała opowiedzieć ojcu. Tak lubiła pływać z nim łódką — słońce, wiatr, tylko oni na jeziorze. Deena była szczęśliwa, gwizdała pod nosem i jechała najszybciej jak mogła.

Gdy przyjechała do domku, zobaczyła mały, czarny samochód ojca. Dobrze, nie poszedł bez niej nad jezioro. Weszła po cichu, żeby zrobić mu niespodziankę. Rzeczywiście go zaskoczyła. Nagi i rozkraczony, jego tyłek unosił się i opadał jak u dzikiej świni. Wydawał przy tym straszne jęki. Przez chwilę nie rozumiała. Co mu się stało? Zachorował?

Nagle zobaczyła leżącą pod nim kobietę. Nagą kobietę z wielkimi piersiami, strasznie owłosioną. Miała otwarte usta, wzdychała cicho.

— Uwielbiam to. Więcej, więcej, więcej.

Deena zachowała spokój. Zdjęła wiszącą na ścianie przy drzwiach myśliwską strzelbę.

Ojciec wyczuł jej obecność i w samą porę zszedł z kobiety. Deena strzeliła.

Kula utkwiała w piersi kobiety, zabiła ją natychmiast. Deena trafiła w dziesiątkę, tak jak uczył ją ojciec.

— Jezu! — krzyknął ojciec podbiegając i wyrywając jej strzelbę. — Co zrobiłaś?! Co ty na Boga zrobiłaś?

Deena patrzyła na niego bezmyślnie. Wszystko stało się tak szybko, że nie bardzo wiedziała, co zrobiła.

— Zabiłaś ją! Zabiłaś ją! — wrzeszczał ojciec.

— Pójdziemy na ryby? — zapytała cicho i spokojnie.

Chwilę później, kiedy ojciec uspokoił się, posadził ją na krześle i powiedział cichym głosem:

— Nikomu nie powiesz o tym, co tu się stało, rozumiesz? Nie powiesz nikomu, bo jeśli to zrobisz, wsadzą cię do więzienia, wyrzucą klucz i nigdy nie wyjdiesz — ujął ją za ramiona i potrząsnął. — Deena, słuchasz mnie? Rozumiesz, co mówię. Bezmyślnie skinęła głową.

— Tak, tato. Możemy iść na ryby? Przerażony potrząsnął głową.

Kobieta w jego łóżku to autostopowiczka, wziął ją poprzedniego dnia. Nikt ich razem nie widział, nic ich nie łączyło. Kazał Deenie pomóc owinać ją prześcieradłami, potem owinęli ją ceratą i wrzucili ciało do bagażnika.

W nocy zawieźli ją nad rzekę. Ojciec przymocował do ciała cegły i wreszcie wrzucili ją do zimnej, ciemnej wody.

— To się nigdy nie stało — powiedział gorąco. — Rozumiesz, Deena? To się nigdy nie stało.

— Tak, tato — odpowiedziała. — Czy jutro pójdziemy na ryby?

Tak - zgodził się. Nigdy żadne z nich nie wspomniało o tym incydencie. Deena była cierpliwa. Wiedziała, że Venus Maria w końcu zjawi się w domu. A kiedy się zjawi, wszystko się skończy. Nikt nie wchodzi w drogę Deenic Akveld.

Rozdział sto drugi

Lennie kilkakrotnie obszedł cały dom. Nie miał pojęcia, gdzie może być Lucky czy ktokolwiek z domowników. Nawet Miko zniknął. To ma być powrót do domu? Zaatakował lodówkę i znalazł zimną pieczeń z sałatką. Natychmiast zjadł. Nie mógł się doczekać rozmowy z Lucky, ale wyglądało na to, że nie odbędzie się to natychmiast. Powinien był zadzwonić i uprzedzić ją o powrocie.

O jedenastej poczuł się zmęczony. Postanowił zrobić to, co ona, kiedy zaskoczyła go w Nowym Jorku. Wszedł do sypialni, rozebrał się i wskoczył do łóżka. Wcześniej wykręcił żarówkę, żeby nie mogła go dostrzec, kiedy wejdzie. Na pewno ją zaskoczy. Lucky wejdzie do łóżka, a tam on!

Pomyślał, że położy się i zamknie na chwilę oczy, nie zorientował się, kiedy zasnął. Musiało do tego w końcu dojść Venus Maria zauważyła Emilia, zanim Ron zdążył go wyrzucić. Spojrzała na brata i jego koszmarną dziewczynę i zakipiała ze złości. — Ron, co on tu robi do cholery? Wyrzuć go. Natychmiast! To podły szcur. Nie chcę go nigdy więcej widzieć.

Ron przywołał dwóch strażników, wskazał im Emilia i Ritę. -- Pozbądźcie się ich dyskretnie — nakazał.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby Emilio dał się dyskretnie wyprowadzić. Ale nie, tak być nie mogło.

Weźcie te łapy! - krzyknął, kiedy strażnicy, po nieudanej perswazji, musieli przejść do czynu.

Niektórzy goście odwrócili się, zaciekawieni.

— Przepraszam na chwilę — Venus Maria wyskoczyła zza stołu. Podeszła do Emilia i spojrzała na niego groźnie.

Rita pomachała jej na powitanie.

— Cześć, jestem Rita. Emilio powiedział, że możemy tu przyjść. Jestem twoją wielbicieleką. Jestem...

Venus uspokoiła ją wzrokiem.

— Emilio — powiedziała twardym, lodowatym tonem — wynoś się z mojego przyjęcia. Natychmiast.

— Siostrzyczko, co takiego zrobiłem? — jęczał żałośnie. — Chyba nic strasznego, co?

Zrobił zbolaną minę.

— Jestem twoim bratem, tworzymy rodzinę. Powinniśmy trzymać się razem.

Uważam, że...

Zamachnęła się i uderzyła go w twarz.

— Za to, że mnie sprzedałeś — powiedziała wściekła. — Żegnam, Emilio. Nigdy nie wracaj.

Emilio rozzłościł się. Nie da się publicznie upokarzać.

— Za kogo ty mnie masz, do cholery? — wrzeszczał czerwony. — Nie jesteś dla mnie żadną gwiazdą! Wiem o tobie wszystko i opowiem to najgłośniej jak umiem.

Uważaj, siostrzyczko, jeszcze mnie popamiętasz. I to dobrze.

Venus Maria odwróciła się do niego plecami.

— Zabierzcie go — poleciła.

Strażnicy próbowali złapać Emilia, ale odtrącił ich.

— Sam potrafię stąd wyjść — powiedział ostro. — Ale to nie znaczy, że nie wrócę.

— Cóż — podsumował Ron, kiedy Emilia już nie było, a Rita podążała za nim — chyba się go pozbyliśmy

Zwrócił się do obserwujących zająście goście:

— Bawmy się dalej. Podeszedł do Venus Marii.

— Wszystko w porządku? Skinęła głową.

— Jeden brat mniej do zawracania mi głowy. Już o tym zapomniałam.

Lucky, Cooper, Venus i Martin wychodzili razem. Ron odprowadził ich do drzwi.

— Naprawdę zrobiłeś coś wspaniałego — powiedziała ciepło Venus Maria, zarzucając mu ręce na szyję. — A prezenty! Jest ich tak dużo. Nie mogę się doczekać, kiedy je otworzę.

— Przyjdź rano i zrobimy to razem — zaproponował Ron. Umierał z ciekawości, co takiego mogła dostać.

— Tylko niczego nie ruszaj! Znam cię!

— Jak bym śmiał?

— Ron, to była najwspanialsza noc mojego życia. Bawiłam się wyśmienicie.

Lucky podzielała tę opinię.

— Fantastyczne przyjęcie.

— Poza incydentem z Emiliem — skrzywił się Ron.

— To nieważne — Venus Maria potrząsnęła głową. — To zero.

Twój ojciec bardzo szybko znalazł sobie towarzyszkę — Cooper złośliwie zwrócił się do Lucky. Uśmiechnęła się.

Tak, wielki Gino. W dawnych dobrych czasach przezywano go „Byk”. Pewnie miał więcej towarzyszek od ciebie, Cooper. Wszyscy się roześmiali.

— Kiedyś na pewno szalenie by mnie pociągał — przyznała Venus Maria. — Ma takie głębokie, ciemne oczy. Jako młody człowiek musiał być niezły.

— Tak — zgodziła się Lucky.

— Jak się dzielimy? — spytał Cooper. — Może ja odwiozę Martina, a ty Lucky pojedziesz z Venus. Ron może zająć się, kim chce.

Znów się roześmiali.

— Teraz poważnie — Cooper objął Lucky ramieniem. — Nie jedziesz sama do domku na plaży. Odwiozę cię.

— Poradzę sobie. Gdzieś tu jest mój samochód. Z kierowcą.

— Powiedziałem, że cię odwiozę — powtórzył Cooper.

— Dobrze, jeśli nie spodziewasz się zaproszenia na herbatę lub kawę...

— Co się z tymi babami ostatnio dzieje? Odwiozę Venus do domu, a ona mi mówi, że nic z tego nie będzie. Chcę odwieźć cię, a tu, zanim wsiądziemy do samochodu, słyszę tą sarnę gadkę. Czy straciłem swój urok?

— Jestem zamężną kobietą.

— Tak, bez przerwy wpadam na twojego męża.

— Nie rozumiesz tego.

— No więc odwiozę cię po prostu. Nic się nie stanie.

Kiedy indziej mogłoby stać się bardzo dużo — Cooper to niesłychanie atrakcyjny mężczyzna. Jednak Lennie wciąż chodził jej po głowie.

— Gdzie Ken? — rozejrzał się niespokojnie Ron.

Jeden z parkingowych powiedział, że Ken odjechał z Antoniem. Usta Rona ściągnęły się w wąską linię.

— Jesteś pewien?

— Tak. Znam Kena. Siedział w cadillacu Antonia.

— Ron, pamiętaj, że on nigdy na ciebie nie zasługiwał — szepnęła Venus Maria. Ron starał się ukryć zmartwienie.

— Masz rację — przyznał. — Stanowczo za dużo na niego wydawałem. Następny szczęśliwy wybraniec będzie musiał być starszy i bogatszy. Niech wreszcie ktoś się mną zaopiekuje.

— Słusznie — podsumowała Venus Maria. — Niech tak będzie. Zaslugujesz na coś lepszego.

Martin czekał na nią przy limuzynie. Spojrzała na Martina i znów na Rona.

— Czy chcesz, żebym została? — zapytała. — Zostanę, jeśli wolisz.

— Nie. Jestem dzielnym chłopcem. Poradzę sobie — powiedział. — Idź już, pan Nowego Jorku czeka.

— Niech czeka — nie dbała o to. — Nie obchodzi mnie.

— Wszystkiego najlepszego — powiedział Ron, całując ją w usta.

— Tyle oboje dokonaliśmy.

— Tak. , Odeszła do Martina. Lucky wsiadła do mercedesa Coopera. Ron odwrócił się i powoli poszedł do domu. Dla niego zabawa się skończyła.

Kiedy Johnny Romano miał na coś ochotę, nic nie było w stanie go powstrzymać.

Warner nie mogła ostudzić jego zapałów w limuzynie.

Starła się go odepchnąć, ale nie zwracał na to uwagi.

— Rozstaw nogi — powiedział, śmiejąc się z własnego dowcipu. — Tak mówisz do przestępców? Rozstaw nogi?

— Johnny, nie.

Usiłowała zachować godność, ale spódniczkę miała tak krótką, że bez problemów mógł podciągnąć ją do pasa. Jedną ręką poradził sobie z majtkami.

— A kierowca? — protestowała.

— Nie patrzy — powiedział Johnny.

„Jakby nigdy tego nie widział” — pomyślał w duchu.

Potem jednym susem znalazł się na niej i robił co chciał. Limuzyna mknęła Bulwarem Zachodzącego Słońca.

W pewien sposób, Warner bardzo się to podobało. Z drugiej strony obawiała się, żeby nie zatrzymała ich policja. Co za wstyd dać się przyłapać na robieniu tego w samochodzie!

— Jeśli ten gnojek napisze cokolwiek, podam go do sądu — burknął Martin, kiedy jechali do domu.

— Kogo? — zapytała Venus Maria, przytulając się do mego.

— Tego bubka Bobo Adama Granta, czy jak mu tam.

— Bobo jest nieszkodliwy.

— Taki nieszkodliwy jak fiut Johnny'ego Romano!

— Martin! — wybuchnęła śmiechem. — Nie wiedziałam, że jesteś taki zabawny.

— Ja też nie — powiedział niezadowolony. — Słuchaj, muszę ci powiedzieć, że obiecałem Deenie nie spotykać się z tobą tym razem. Jeśli Bobo coś wydrukuje, Deena się wścieknie.

— Co z tego? Przecież od niej odchodzisz, nie?

— Tak, ale chcę to zrobić kulturalnie. I nie zamierzam oddać jej połowy pieniędzy. Czy tylko o tym potrafił myśleć, o pieniądzach?

— Według prawa chyba nie musisz.

Nie, ale kiedy kobieta jest wściekła, podpuszcza prawnika do zniszczenia męża. Obiecałem jej coś i chyba powinienem dotrzymać słowa. Za późno na namysły, Martin. — Masz rację.

— Powiem ci coś — zaproponowała. — Zadzwoń rano do Boba i opowiem mu ciekawą historyjkę o czymś zupełnie innym. Uważam, że posłucha, jeśli poproszę go, żeby dał nam spokój. Jesteś zadowolony?

— Tak. Ale i tak mnie to wkurza. Ostrzegalem Rona, że nie chcę żadnej prasy.

— Nikt nie traktuje Boba jak prasę. On należy do otoczenia.

— Nie do mojego. A w ogóle, co on tu robi? Zwykle siedzi w Nowym Jorku.

— Wystarczy powiedzieć mu o przyjęciu, a zjawi się. Limuzyna podjechała na podjazd przed jej domem.

— Powinnaś lepiej mieszkać — zauważył Martin. — Nie masz zdalnie sterowanej bramy, każdy może tu wjechać za tobą.

— Mam system alarmowy.

— To nie wystarczająca ochrona dla kogoś takiego jak ty. A już na pewno nie dla mnie. Jutro zaczniesz szukać nowego domu. W ramach prezentu urodzinowego ode mnie.

Nie zdawał sobie sprawy, że miała dużo pracy?

— Nie mam czasu. Ty czegoś poszukaj.

— Może poszukamy razem? Każę komuś wyszukać ciekawe propozycje i pojedziemy obejrzeć w przyszły weekend.

Nie wiedziała, czy chce się wyprowadzić. Lubiła swój dom.

— Zostaniesz dziś na noc, prawda? — zapytała.

— Oczywiście.

Zwolnili limuzynę i weszli do środka.

— A więc, panie Swanson — odwróciła się do niego. — Dziś są moje urodziny. Co pan dla mnie ma?

Martin się uśmiechnął.

— Zapytaj, czego nie mam? Chodź tu.

Podeszła do niego wolno, objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie.

Ściągnął górę jej sukienki i dotknął piersi.

— Och, uwielbiam sposób, w jaki to robisz — przebiegł ją dreszcz podniecenia. — Dotykaj mnie tak, to moje urodziny. I niech to nie będzie za szybko. Nie spieszmy się. Chcę wolno. Bardzo, bardzo wolno.

Zaczął ją gorąco całować. Westchnęła i położyła się na kanapie.

— Rozbierz mnie.

Zrobił, o co prosiła. Pod sukienką miała tylko skąpe, czarne majtki. Martin rzucił marynarkę, rozluźnił krawat i pochylił się, by znów ją pocałować. Żadne nie słyszało, jak do pokoju weszła Deena. Venus Maria odrzuciła ręce za głowę i powiedziała lubieżnie:

— Och! Martin, uwielbiam smak twoich ust. Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz... Żadne nie słyszało dźwięku odbezpieczonego pistoletu. Venus Maria sięgnęła do jego spodni i rozpięła rozporek.

— Satysfakcja... gwarantowana... — drażniła.

— Boże, jak cię kocham — mruknął, kiedy wzięła go w usta. Słowa Martina uderzyły Deenę jak grom. Kocha ją? Martin kocha tę dziwkę? Niemożliwe. Nie do pomyślenia. Zdrada ostateczna.

— Czekalam, kiedy mi to powiesz — szepnęła Venus Maria. — Naprawdę mnie kochasz, Martin? Naprawdę?

— Tak, najdroższa, naprawdę.

Odgłos wystrzału urwał wszelką konwersację.

Rozdział sto trzeci

— Jedziesz zbyt wolno — powiedziała Lucky.

— Spiesz nam się? — zapytał Cooper patrząc na nią. Jego przystojna twarz przybrała figlarny wyraz.

— Jest pierwsza w nocy. Za sześć godzin muszę być w studiu.

— Ja też. Czy nie będzie wygodnie, jeśli zostaną na noc? Roześmiała się.

— Chyba ci powiedziałam. Nie zostaniesz na noc. Nie wejdiesz na kawę. Nic. Jestem zamężną kobietą.

Delikatnie pogłaskał ją po kolanie.

— Jesteś bardzo piękną zamężną kobietą.

— Pozwól, że cię o coś zapytam — powiedziała odsuwając jego rękę.

— Proszę.

— Czy uważasz za swój obowiązek dobieranie się do każdej kobiety, z którą znajdziesz się sam na sam?

Uśmiechnął się.

— Czemu nie? Kiedy ma się taką jak ja reputację, kobiety tego oczekują. Jeśli ich nie podrywam, mają wrażenie, że coś z nimi nie tak. A nie chciałbym, żebyś pomyślała, że jesteś nieatrakcyjna.

Teraz ona wybuchnęła śmiechem.

— Cooper, zapewniam cię, że mam o sobie bardzo wysokie mniemanie. Nie musisz się o mnie martwić.

— Ale martwię się.

— Jaki dżentelmen!

— Dziękuję.

— W każdym razie — powiedziała — mam intuicję.

I co?

— I wiem, że lubisz Venus Marię.

— To moja przyjaciółka — bronił się.

— Przyjaciółka, którą bardzo lubisz, prawda?

— Venus jest z Martinem.

— Tak, to niezła zdobycz.

— Są bardzo szczęśliwi.

— Daj spokój, Cooper. Oboje wiemy, że to nie najlepszy związek. Kiedy on zacznie ją zdradzać? To jego sposób działania, prawda? Podbój i następna. Wielu biznesmanów tak robi. Podnieca ich tylko pogoń za czymś.

— Może — powiedział ostrożnie.

— Posłuchaj, zaufaj mi. Wiem, co mówię. Sama taka byłam.

— Jaka?

— No, wiesz, podniecało mnie zdobywanie, potem szłam dalej. Ociec zawsze mi mówił, że prowadzę się jak facet. Jeśli spotkałam mężczyznę, który mi się podobał, musiałam go mieć. To zjawisko „nie dzwoń do mnie, ja zadzwonię do ciebie”. Nie chciałam się angażować. Oczywiście, to było w dobrych latach siedemdziesiątych, wtedy chodzenie do łóżka było bezpieczne. Teraz nie tylko musisz zakładać im prezerwatywy, musisz też znać ich ostatnie siedem lat pożycia seksualnego. Nie wspominając o utrzymywaniu jakiejś fabryki kondomów.

— Walisz prosto z mostu, nie?

— To jedyny sposób.

— Bardzo odświeżający.

— Dziękuję.

— W zasadzie...

— Co, Cooper?

— Mogę nazywać cię kumplem? Roześmiała się.

— Jasne. Nazywaj mnie jak chcesz. Będziemy z Lenniem twoimi nowymi przyjaciółmi.

„Jeśli on się kiedyś pokaże” — pomyślała wdychając. Mercedes mknął autostradą nad brzegiem oceanu.

— Skręć tu w lewo — powiedziała.

Cooper skręcił i zapytał, czy Gino wróci na noc.

— Wątpię — powiedziała. — Kiedy zabiorą się z Paige do roboty, nie można przewidzieć, kiedy skończą.

— Chcesz powiedzieć... w jego wieku?

— Sam możesz sobie tego życzyć.

— Cóż...

— Myślę, że masz na to szanse. Zatrzymał samochód przed jej domem.

— Dobrze — zdecydowała. — Możesz wejść na fdżankę kawy, ale to wszystko.

Uśmiechnął się.

— Doceniam propozycję, ale lepiej nie.

— Więc dobranoc, Cooper. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

— Dobranoc, Lucky.

Wysiadła z samochodu, podeszła do drzwi, pomachała mu i weszła.

Cooper też jej pomachał, zapalił silnik i odjechał.

Żadne z nich nie zauważyło czarnego wozu, który przejechał obok i zatrzymał się niedaleko na ulicy.

Nie zdążyła się rozebrać, usłyszała dzwonek do drzwi. Myśląc, że to Cooper, otworzyła.

Link nie dał jej czasu do obrony. Złapał ją, zanim zdążyła krzyknąć i zakrył jej ręką usta.

Próbowała go ugryźć.

Cofnął się i z całej siły uderzył ją pięścią.

Lucky straciła przytomność nie wydając dźwięku.

Rozdział sto czwarty

Rita wściekała się całą drogę do domu.

— Nigdy mnie tak nie upokorzono! Jak mogłeś mi to zrobić? Na przyjęcie przyszli bardzo ważni ludzie, Emilio, a przez ciebie nas wyrzucono. Jak mogłeś?

— Nie martw się, jeszcze przeczytasz o tym głupim przyjęciu w „Truth and Fact” — powiedział gorzko Emilio. — Ośmieszę wszystkich tych zarozumialców. Pokażę, jacy beznadziejni są w rzeczywistości. Nikt nie będ/ie wyrzucał Emilia Sierry.

— A co zrobisz, kiedy skończą ci się historyjki? — drwiła Rita. — Bo masz tylko to, Emilio. Robisz sobie z tych ludzi wrogów, nigdy nie znajdziesz pracy w Hollywood.

— Co ty o tym wiesz? — odgryzł się.

— Dużo.

Kłótnia rozwinęła się na tyle, że kiedy dojechali do domu, Rita postanowiła odejść.

Zebrała swoje rzeczy i zadzwoniła po taksówkę.

— Nigdzie nie znajdziesz takiego faceta jak ja — wołał za nią Emilio.

— Nie zamierzam szukać.

W hotelu Beverly Wilshire Paige pocałowała Gina i schroniła się w jego bezpiecznych ramionach.

— Dobranoc, Gino — szepnęła zadowolona.

A co w niej takiego dobrego? Potrząsnęła miedzianymi lokami.
Jesteśmy razem, nieprawda? Jego ręka błędziła po nogach Paige.

— Na stale?

— Chcę mój pierścionek!

— Kochanie, już go masz. Jutro idziemy do sklepu. Objęli się ponownie i ułożyli wygodnie pod kołdrą.

— Dlaczego tak długo się zastanawiałaś? — zapytał Gino, głaszcząc ją po udzie.

— Bałam się.

— Mnie?

— Wejścia w kolejny związek.

— Już weszłaś. Uśmiechnęła się szczęśliwa.

— Wiem, Gino, wiem.

— Przyzwyczaisz się.

— Już się przyzwyczaiłam.

— Cieszę się, że jestem w domu — powiedział Mickey.

— Nie jesteś jeszcze w domu — ochłodziła go niemile Abigaile. — Zatrzymaj domek w Beverly Hills, dopóki oboje nie będziemy tego pewni. Biorę cię na próbę Mickey.

— Na jaką znowu próbę? Jesteśmy małżeństwem od tak dawna, że wiemy, czy do siebie pasujemy.

— Jeśli zdecyduję się przyjąć cię z powrotem, to na innych warunkach niż poprzednio — ostrzegła Abigaile. — Żadnych kochanek. Żadnych dziwek. Pomyślałam, że powinniśmy iść do poradni małżeńskiej.

Mickey wykrzyknął z niedowierzaniem:

— Do poradni małżeńskiej?! Ty i ja? Całe miasto będzie się z nas śmiać.

Venus Maria wyszła, ale zostało jeszcze wielu gości. Ron chciał, żeby wszyscy poszli w cholerę. Załamał się wiadomością o Kenie i Antoniu.

Byli razem prawie rok. Lojalność. Ha! Nie ma już czegoś takiego. Ken umie tylko brać. Venus Maria od początku miała rację. Ken Laleczka. Jak to do niego pasuje.

Podszedł Adam Bobo Grant.

— Wspaniałe przyjęcie, Ron. Umiesz robić rzeczy z rozmachem.

— Dziękuję, Adamie.

— Powiedz mi, gdzie twój przyjaciel?

— Już nie jest moim przyjacielem.

— Naprawdę? Naprawdę.

— Masz piękne włosy — powiedział Saxon, wyciągając rękę.
— Dziękuję — Leslie odsunęła się.
— Jesteś bardzo piękną dziewczyną. Aktorka? Patrzyła na niego słodkimi, wielkimi oczami.
— Nie. A ty jesteś aktorem? Zaprzeczył ruchem głowy.
— Czy wyglądam na takiego?
— Jesteś bardzo przystojny — powiedziała nieśmiało.
— Z kim przyszłaś?
— Z przyjaciółmi. A ty?
— Z pewną mężatką, która właśnie miała się rozwieść, ale zmieniła zdanie i pogodziła się z mężem.
— Zawsze wychodzisz z mężatkami?
— Jakoś je przyciągam — przyglądał się jej świeżej urodzie. — Jesteś zameżna? Spuściła wzrok.
— Nie jestem pewna.
Arnie i Frankie poderwali cztery dziewczyny.
— Wracamy do domu i bawimy się dalej — powiedział Arnie, biorąc Eddiego pod rękę. — Zbieraj się.
Eddie całą noc kręcił się po sali. Zauważył Leslie i nie spuszczał jej z oczu. Teraz konwersowała z jakimś długowłosym bubkiem, bardzo go wkurzało. Nie rozmawiał z nią, bo nie wiedział, co powinien powiedzieć.
— Jasne, zaraz do was dotrę — pomachał Arniemu.
— Zmywamy się już — powiedział Frankie. — Do zobaczenia.
Eddie jeszcze raz poszedł do toalety. Ostatnią działkę kokainy rozłożył uważnie w trzy rządki i wciągnął przy pomocy studolarowego banknotu.
Kiedy narkotyk zaczął działać, doznał olśnienia. Eddie Kane wyjdzie z tego. Leslie mu pomoże.
Wszystkich innych ma w dupie. Już podjął decyzję.
Tak skończyło się przyjęcie. Obsługa po kolei kończyła pracę i wracała do domów. Muzycy spakowali się i odjechali. Parkingowi wyprowadzili ostatnie samochody. W końcu nastąpiła cisza i spokój. Bankiet zakończony.

Rozdział sto piąty

Drżąca ręka w domu Venus Marii sięgnęła do telefonu i wykręciła numer na policję. — Pomocy — szepnął przerażony głos. — Pomóżcie nam. Zastrzelono kogoś. Przyjeżdżajcie szybko.

Coś obudziło Lenniego. Nie wiedział co. Na wpół śpiący wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, czy Lucky wróciła. Nie znalazł jej. Cholera!

Wyczołgał się z łóżka, poszedł do łazienki. Spojrzał na zegarek — po pierwszej. Coś było nie w porządku. Miał złe przeczucie. Jakby obudził się po strasznym nocnym koszmarze. Obszedł dom. Nikogo nie było, ale fale uderzały o brzeg podejrzenie głośno. W salonie zobaczył otwarte drzwi na taras. To dziwne, przedtem były zamknięte. Podeszedł, żeby je zamknąć i wtedy zobaczył widok, którego nie zapomni do końca życia.

Człowiek oświetlony światłem księżyca ciągnął jakieś ciało do morza.

— Hej! — krzyknął odruchowo.

Człowiek odwrócił się, upuścił ciało i pobiegł wzdłuż plaży. Lennie zbiegł po schodach i pospieszył na brzeg, w miejsce, gdzie stał przedtem ten ktoś. Zanim dobiegł, obcy zniknął w ciemności.

Lennie brodził po brzegu. Nic nie widział, ale był pewien, że facet włókł coś do morza.

Kolejna fala podeszła i załamała się. Nagle zobaczył ciało leżące bezwładnie, powoli unosiło je morze. To Lucky! Jezu Chryste, to Lucky!

Potykając się wziął ją pod pachy i powoli — gdyż była całkiem nieprzytomna — zaciągnął ją na piasek.

Oddycha? Nie wiedział. Próbował przypomnieć sobie zasady pierwszej pomocy.

Tonący... tonący... jak do cholery ratuje się tonącego?

Wypompować wodę, odwrócił ją na brzuch. Boże! To największy koszmar, jaki przeżył.

Nie wiedział, czy uda się ją uratować.

Rozdział sto szósty

Pogrzeb był bardzo smutny i poważny. Żałobnicy ubrali się na czarno, w kościele zebrał się tłum ludzi. Martin stał nie zwracając uwagi na wszechobecnych fotoreporterów, pochylił głowę. Kilka helikopterów krążyło nad głową. Cóż... cena sławy...

— Czuję się jak po dziesięciu rundach z Mikiem Tysonem — powiedziała powoli Lucky.

Twarz miała posiniaczoną od ciosu nieznanego napastnika, rękę miała złamaną. To stało się, zanim zaciągnął ją do morza i usiłował utopić.

— Gdyby coś ci się stało — zaczął Lennie. Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. — Jestem tu, z tobą. To wystarczy. Nie myślmy o tym, co by było, gdybyś do mnie nie wrócił.

Spojrzał na nią i potrząsnął głową.

— Chyba jesteśmy sobie pisani, pani Golden. Uśmiechnęła się smutno i odpowiedziała:

— Chyba tak, panie Golden.

— To była wspaniała kobieta — mówił ksiądz. — Wspaniała i szanowana. Będzie nam jej brakowało.

Martin patrzył prosto przed siebie, ksiądz ciągnął swoją przemowę.

Tak, będzie mu jej brakowało, tak samo jak Venus Marii. W trzy dni po tym, jak Deena zastrzeliła się w ich obecności, Venus uciekła do Meksyku z Cooperem Turnerem. Wzięli ślub.

Przeznaczenie. Kto ma nad nim władzę? Nawet Martin Swanson jej nie ma. W ciągu ostatnich kilku dni został publicznie upokorzony. Źle się to odbiło na jego wizerunku. Ale poradzi sobie. Nic nie powstrzyma Martina Swansona. Zniszczona opinia może być naprawiona. Zaczął nad tym pracować.

Oglądali pogrzeb w telewizji.

— To bardzo trudne — powiedział cicho Lennie.

— Dla kogo? — zapytała Lucky.

— Dla nich wszystkich.

— Masz rację.

— Słuchaj — zaczął Lennie. — Rozmawiałem z policją. Nadal nie wiedzą, kto to mógł zrobić. Jesteś całkowicie pewna, że nikogo nie podejrzewasz?

— Absolutnie nikogo — powiedziała Lucky, przeglądając gazetę.

— Na pewno?

Do pokoju wbiegł Bobby.

— Dziadek się żeni! — wołał. — Dziadek się żeni! Wdrapał się na łóżko i zaczął po nim skakać.

— Kiedy? — spytała Lucky odrzucając gazetę.

— Najszybciej, jak się da — krzyczał Bobby. — Będę jego świadkiem. Obiecał mi, tak powiedział.

Za Bobbym weszła Brigitte.

— To prawda — potwierdziła chichocząc. — Gino mówi, że żeni się z Paige, jak tylko przyjdzie jej rozwód. Będą mieszkać w Palm Springs.

— Gino znieawidzi Palm Springs — mruknęła Lucky, kręcąc głową.

Jeśli będzie z Paige, może żyć nawet na Alasce — zauważył Lennie. Brigitte też wskoczyła na łóżko.

— Czy mogę pożyczyć twój samochód, Lennie? Jadę z Noną po Paula na lotnisko.

— Ferrari? Nie ma mowy, weźcie dzipa. Brigitte zrobiła błagalną minę.

— Wiesz, że jeżdżę bardzo ostrożnie — powiedziała pysznie.

— To świetnie. Weź dzipa.

— Mogę z wami pojechać? — zawołał Bobby.

— Nie hałasuj tak, mama powinna odpoczywać — skarcił go Lennie.

— Mogę? — pisnął Bobby skacząc.

— Chodź, mały — zgodziła się Brigitte. — Jeśli mnie dogonisz. Wybiegli z hałasem z pokoju.

— A ty chcesz więcej dzieci? — spytała Lucky. — Tych dwoje ci nie wystarczy? Uśmiechnął się.

— Wydawało mi się, że chcę. Ale teraz, kiedy o mało cię nie straciłem, zrobię, co chcesz. To twój wybór.

— Wybrałam. Jesteśmy w ciąży, Lennie.

— Jesteśmy co?

— Jesteśmy w ciąży, mamy studio, nakręcimy twój film i nadal jesteśmy razem. Wiesz, że pobraliśmy się już prawie rok temu? Pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Rok? A wszyscy mówili, że nic z tego nie będzie.

— Otwórz szampana, mężu.

— Robi się, żono.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Dwoje upartych, zwariowanych, mądrych ludzi.

Rozpoczęła się nowa przygoda.

Epilog

Mickey i Abigaile Stollie pogodzili się. Mickey w końcu został szefem studia Orpheus, które do tego czasu zdążył przejąć jakiś koncern japoński. Abigaile nadal wydawała wykwintne przyjęcia, a Mickey się puszczał.

Tabitha w dniu czternastych urodzin uciekła z osiemnastoletnim meksykańskim kelnerem. Abigaile i Mickey nie byli zachwyceni. Wysłali ją do L'Evier — zamkniętej, szwajcarskiej, damskiej szkoły z internatem. Mieli nadzieję na poprawę.

Johnny Romano przyjął radę Lucky i nakręcił prostą, sympatyczną komedię, w której zagrał bohatera. Ani razu nie powiedział „skurwysyn”. Film, zrealizowany w studio Panther, okazał się przebojem kasowym. Johnny uczcił to w Europie, podczas tournée promocyjnego — poprosił Warner Franklin o rękę.

W dniu ślubu, we Włoszech, Warner poznała dwumetrowego amerykańskiego koszykarza i zakochała się do nieprzytomności. Johnny na próżno czekał w kościele. Emilio Sierra napisał tyle historyjek o swojej siostrze, ile zdołał. W końcu nic miał już nic do powiedzenia. Kiedy skończyły mu się pieniądze, wrócił do Nowego Jorku i został barmanem w znanej dyskotecie. Tam poznał starzejącą się europejską hrabinę, która dodała nieco blasku jego przygasłemu urokowi. Emilio chodził z nią do Marbelli i uczył się tańczyć tango. Stanowili dziwną parę.

Eddie Kane starał się o powrót żony. Leslie chciała do niego wrócić, przecież jej potrzebował, obiecał się poprawić. Coś ją jednak powstrzymywało i kazała mu poczekać.

Po drodze do domu na plaży, naćpany kolejną ostatnią w życiu porcją kokainy, stracił kontrolę nad pięknym maserati i zderzył się czołowo z betonowym murem. Eddie Kane nie przeżył.

W dniu swoich osiemdziesiątych urodzin, Abe Panther poślubił Inge Irving, długoletnią towarzyszkę życia.

Jego wnuczki, Abigaile i Primrose, były niepokieszone.

Po krótkim, nieudanym związku z Adamem Bobo Grantem, nadal załamany stratą Kena Laleczki na korzyść tego złodzieja Antonia, spełniły się życzenia Rona.

Poznał starszego, bogatszego i o wiele mądrzejszego mężczyznę. Nowy przyjaciel miał dużą wytwórnię płytową i dysponował miliardami. Nareszcie Ron otrzymywał prezenty. Pozwolił podarować sobie rolls-royce'a, złoty zegarek Rolexa i mały obraz Picassa.

Venus Maria była tym zachwycona.

Leslie Kane zaczęła pracować jako recepcjonistka w Iwanie. W ten sposób Saxon mógł ją mieć na oku. Niestety, Eddie zostawił jej tylko długi.

Pewnego dnia dostrzegła ją Abigaile Stollie i uznała, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziała.

— Jesteś aktorką, kochanie? - zapytała.

Leslie powiedziała że nie, ale Abigaile nalegała, żeby Mickey załatwił jej zdjęcia próbne. Na ekranie uroda Leslie była jeszcze wyraźniejsza. W ciągu roku zrobiła karierę.

Brigitte Stanisloupoulos spotkała wnuka jednego z wrogów jej dziadka, Dimitriego.

Wnuk był wysoki, jasnowłosy i przeznaczony do większych pieniędzy niż ona sama.

Kiedy ogłosili swoje zaręczyny, pojawił się Paul Webster i wyznał jej miłość.

Brigitte jednak zmądrzała z biegiem czasu.

Za późno — powiedziała. — Spróbuj z kimś młodszym. Kiedy Steven dowiedział się o dziwnym samobójstwie Deeny Swanson, poczuł się jakby odpowiedzialny. — Nic nie mogłeś zrobić — pocieszała go Mary Lou. — Ona zniszczyła się sama. — Może powinienem był chociaż porozmawiać z Martinem. — Nie — stwierdziła Mary Lou.

Steven zorientował się, że jego firma nadal ma milion dolarów wpłacony przez Deenę. Ku wściekłości swojego partnera, Jerry'ego Myersona, kazał wszystko przekazać organizacjom charytatywnym.

To mu ulżyło.

Gino Santangelo zajął się wszystkim, zamawiając jedną rozmowę. To wystarczyło. Carlos Bonnatti wypadł nieszczęśliwie z okna swojego mieszkania na dziewiętnastym piętrze. Nikt nie wiedział, jak to się stało. Link, jego prawa ręka, został zastrzelony w biały dzień. Nigdy nie znaleziono zabójców.

Gino i Paige wreszcie zalegalizowali związek. Została jego czwartą żoną. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat i był bardzo, bardzo szczęśliwy.

Martin Swanson powoli pozbierał się po skandalu. Brakowało mu Deeny, prawdziwej partnerki i podpory. Nie tęsknił za Venus Marią, zbyt dużo od niego wymagała.

Kiedy jego przedsiębiorstwa zaczęły się chwiać ze względu na ciemne interesy bankowe, uciekł do Hiszpanii, aby uniknąć aresztowania. Poznał tam zmysłową śpiewaczkę operową. Planował triumfalny powrót do Nowego Jorku.

Venus Maria i Cooper Turner nadal byli ulubieńcami prasy. Tworzyli bardzo wybuchową mieszankę.

Gazety opisywały dokładnie wszystkie ich poczynania.

Ich małżeństwo należało do szczęśliwych, ale fotoreporterzy stale ich obserwowali. Czekali... czaili się... gotowi do napaści.

Lucky i Lennie zostali dumnymi rodzicami ciemnowłowej dziewczynki. Dali jej na imię Maria. Razem prowadzili Panther — obojgu zależało na robieniu interesujących, zabawnych i niegłupich filmów. Wypuszczali wszystko od komedii po dramaty, pozwalali kobietom zajmować odpowiedzialne stanowiska. Zgodnie z obietnicą Lucky, Panther znów stało się sławne. Po narodzinach Marii, dorobili się drugiego dziecka, tym razem chłopca. Nazwali go Gino.